

MASKA ATREUSZA



A.J. HARTLEY

Prószyński i S-ka

Muzeum w Atlancie, późno w nocy.

Młoda kustoszka, Debora Miller, znajduje zwłoki pracodawcy i przyjaciela, Richarda Nixona.

W tym samym miejscu, w pokoju ukrytym za regalem z książkami, Debora ze zdumieniem odkrywa bogaty zbiór starożytnej sztuki greckiej.

Czemu Richard nie pokazał światu tej wspaniałej kolekcji? Dlaczego zniknął tylko jeden eksponat, złota Maska Atreusza? I, co najważniejsze, kto i dlaczego zabił Nixona?

A. J. Hartley – pisarz, scenarzysta, dramaturg, doktor literatury angielskiej, wyklada na uniwersytecie w Charlotte, w Północnej Karolinie. „Maska Atreusza” to jego literacki debiut. Niedawno ukazała się druga powieść autora, „On The Fifth Day”.

Strona internetowa autora: www.ajhartley.net



Patronat medialny



Cena 29,90 zł

Informacje o naszych książkach
www.proszynski.pl



ISBN 978-83-7469-524-4



A.J. HARTLEY

MASKA

ATREUSZA

Przełożyła
Katarzyna Kosterka

Tytuł oryginału
THE MASK OF ATREUS

Copyright © 2006 by Andrew James Hartley
All Rights Reserved

Ilustracja na okładce
Jacek Kopalski

Redakcja
Ewa Witan

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta Grażyna
Nawrocka

Łamanie komputerowe
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-524-4

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pi

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

*Dla Sebastiana,
objawionego nam po raz pierwszy
przez cyberwyrocznię w Delfach...*

PODZIĘKOWANIA

Autor chciałby podziękować następującym osobom:

Wszystkim, którzy wspierali moje pisarskie wysiłki w przeszłości:
Jane Hill, Davidowi Raneyowi, Jaimemu Cortezowi, Alanowi McNee,
Douglasowi Brooks-Daviesowi, Jonathanowi Mulrooneyowi oraz - szczególnie gorąco - Stacey Glick, która nigdy się nie poddała.

Wszystkim, którzy wnieśli swój wkład w tę powieść - recenzując ją na etapie powstawania lub dostarczając cennych informacji:

Gary'emu Hibbertowi, Kimily Willingham, Cary'emu Mazerowi, Ronowi Tiptonowi, Jonathanowi Brentonowi, Natalee Rosenstein oraz Narodowemu Muzeum Archeologicznemu w Atenach.

Oraz tym, którzy robili jedno i drugie:

Mojemu bratu, Chrisowi; rodzicom, Frankowi i Annette; oraz - przede wszystkim - żonie, która znosiła moje uporczywe wodzenie piórem po papierze z nieopisaną cierpliwością przekraczającą ludzkie wyobrażenie.

PROLOG

Niemcy, 1945 rok

Andrew Mulligrew przycisnął mocniej słuchawki do uszu. Chyba musiał się przesłyszeć. Ostatecznie przy tym ryku shermana to cud, że w ogóle wyłapał jakieś słowa.

- Powtórz! - wrzasnął.

- Kolumna niemiecka, szybko kierująca się na południe, idzie wprost na was - odezwał się głos w słuchawkach. - Na czele pojazd opancerzony, za nim coś wielkiego, bez wieżyczki. Być może jagdpanther.

Mulligrew poczuł, jak serce mu zamiera. Wydawało mu się, że wcześniej właśnie coś takiego usłyszał. Mimo łoskotu i metalicznego zgrzytu gąsienic dotarło do niego, że w słuchawkach zapadła głucha cisza przerywana jedynie charakterystycznymi elektrostatycznymi trzaskami. Chwilę później ktoś - być może Williams ze „Zbójcy” (wszystkie czołgi plutonu miały wymalowane na kadłubach nazwy nadane przez załogi) - zapytał, jakie jeszcze pojazdy znajdują się w kolumnie. W tonie jego głosu rezygnacja mieszała się ze zgrozą.

- Parę ciężarówek i co najmniej dwa inne czołgi. Być może panzer IV i pantera.

A tu tylko cztery shermany, pomyślał Mulligrew, w tym jeden z trudem rozwijający połowę maksymalnej prędkości, oraz dwa stuarty M5, z działami kalibru zaledwie trzydzieści siedem milimetrów, przeciwko najlepszym niemieckim pojazdom pancernym, przede wszystkim zaś potworowi, któremu nie zdołają zrobić najmniejszej krzywdy, o ile jakimś cudem się nie zbliżą do niego na odległość splunięcia. Na domiar złego każdy z niemieckich wozów bojowych miał armatę mogącą ich uziemić z ponad pięciuset metrów, z wyjątkiem wspomnianego potwora - jagdpanthera,

niszczyciela czołgów - bo ten bez trudu rozerwałby ich wszystkich na strzępy z trzykrotnie większej odległości.

Co, do diabła, strzeliło szkopom do głowy, żeby wysłać doborowy oddział pancerny na południe, w chwili gdy każdy niemiecki żołnierz i pojazd był kierowany na północ w desperackiej próbie odwleczenia ostatecznej klęski? Berlin padał, być może już się poddał, a tymczasem elitarna niemiecka jednostka pędziła ku szwajcarskiej granicy - wprost na wycieńczony walkami pluton Mulligrew.

Jego oddział został oddzielony od reszty 761. Batalionu Czołgów pięć dni temu, kiedy parli na wschód przez leżący nad Dunajem Regensburg. Znajdowali się wówczas około stu dwudziestu kilometrów na północny wschód od Monachium i w niewiele mniejszej odległości od Austrii oraz granicy ze Szwajcarią, a także z państwem, które przed nazistowskimi Anschlussami zwano Czechosłowacją. Była to urokliwa kraina - pełna lesistych zboczy, szczytów pokrytych śnieżnymi czapami i majaczących w oddali romantycznych zamków. Ich pluton sunął leniwie wraz z resztą batalionu i chłopcy nabierali przekonania, że koszmar krwawych walk (toczonych od Normandii poprzez Ardeny, a w końcu w samym sercu Niemiec) zmierza ku zwycięskiemu końcowi, a chwilę później zostali zaatakowani ogniem ciężkiej artylerii. Pluton Mulligrew otrzymał wówczas zadanie odciążenia wroga od linii zaopatrzenia i nim minęły dwa dni - został osamotniony. Pozostałym oddziałom batalionu wydano rozkaz, by wraz z resztą amerykańskiej grupy 3. Armii ruszyły do miasta Steyr nad rzeką Enns, gdzie miało dojść do - budzącego niejaki niepokój - spotkania z siłami sowieckimi.

Tymczasem oddział Mulligrew posuwał się samotnie ku północy, a jedynym jego problemem było teraz przebijanie się drogami pełnymi uchodźców. Od Regensburga Amerykanie nie wystrzelili ani jednego pocisku i powoli zaczęli wierzyć, że tak już zostanie. Bo przecież tylko jakiś psychopatyczny fanatyk mógł jeszcze negować fakt, że wojna dobiegła końca.

A tu nagle taka historia.

Mulligrew przełączył się na interkom i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Zwrócił nos shermana w przeciwną stronę i kazał załadować działo pociskami przeciwpancernymi. Ledwo zbczyli z drogi, a ich oczom się ukazał niemiecki pojazd opancerzony. Zasuwał co najmniej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i wpadł w poślizg, gdy rzucił się w bok w poszukiwaniu jakiejś osłony. Niemcy otworzyli ogień z karabinów maszynowych, ale pociski tylko się odbijały rykoszetem od wieżyczki shermana. I dopiero widok

tego, co znajdowało się za pędzącym pojazdem, przyprawił Mulligrew o mdłości.

Jagdpanther był olbrzymi - niski, szeroki, sunął złowrogo niczym gigantyczny krokodyl czy rekin ludojad. Jego ostro nachylony pancierz czołowy miał kilka centymetrów grubości, więc nawet z niewielkiej odległości siedemdziesięciosześcioletnie pociski shermana były wobec niego bezradne. Gdyby jednak niemiecki niszczyciel trafił ich ze swojego potężnego działa - byłoby po nich. Tak po prostu.

Mulligrew wrzaskiem rozkazał kierowcy zjechać na pobliskie pole. Ich jedyną szansą było przemknięcie obok jagdpanthera i trafienie go z bardzo bliska kilkoma pociskami w bok kadłuba. Pozostałe shermany będą musiały poradzić sobie z resztą szwabskich pojazdów.

Ledwo czołg Mulligrew pokonał przydrożny rów, wystrzeliło niemieckie działo. Oślepiający blask wybuchu i chmura dymu sprawiły, że Mulligrew odruchowo odskoczył od wizjera. Potrzebował pełnych dwóch sekund, by nabrać pewności, że uszli cało. A gdy głośnym krzykiem wydawał rozkaz: „Ognia!”, wiedział już, że cały impet uderzenia osiemdziesiątki-ósemki wroga przejęła wieżyczka czołgu Williamsa - ziała w niej dziura wielkości pokrywy ulicznego pojemnika na śmieci, a wewnątrz wciąż rykoszetem odbijał się pocisk...

Siedemnaście długich minut później Mulligrew stał z tyłu niemieckiej ciężarówki i - przesuając wzrokiem po dymiących szczątkach rozrzuconych na drodze oraz pobliskich polach - szacował własne straty. Jeden Stuart i dwa shermany nie nadawały się do użytku, trzeci zaś był poważnie uszkodzony. Z załogi Williamsa przeżył tylko jeden człowiek, zginęli też Smith, Jenkins i Pole. Rogers stracił nogę, a Lumpkin oko. Obaj uważali, że im się upiekło.

Niemcy w ogóle nie próbowali się zatrzymać. Zamiast błyskawicznie się przegrupować na widok amerykańskich czołgów - obrać dogodną pozycję i zniszczyć wroga miazdzącą siłą rażenia swojej broni, desperacko parli na oślep do przodu. I nawet kiedy shermany rozwinęły szyk, by zaatakować z flanki, tamci nie zareagowali, tylko popędzili na południe, wystawiając na ostrzał boki i nieopancerzony tył jagdpanthera: niszczyciela, który przecież sam jeden mógł bez trudu zmieść z powierzchni ziemi cały pluton Mulligrew - gdyby tylko podjął walkę.

To nie miało najmniejszego sensu.

Podobnie jak sam przebieg starcia. Kiedy niespodziewanie przewagę w bitwie zaczęli osiągać Amerykanie, żołnierze niemieccy ściśle otoczyli

ciężarówkę, wyraźnie zdeterminowani, żeby spośród wszystkich pojazdów przede wszystkim zachować w całości tego zdezelowanego opla.

- Zobaczmy, co było warte takiego poświęcenia - mruknął Andrew.

Tom Morris, kierowca Mulligrew, odryglował tył budy ciężarówki. Jego twarz wciąż była woskowata i nieruchoma, a oczy szeroko rozwarte na skutek szoku wywołanego bitwą i jej nieprawdopodobnym przebiegiem.

Mulligrew wspiął się do wnętrza, przechodząc przez zwłoki młodego Niemca, który próbował ich powstrzymać, prując seriami z pistoletu maszynowego, dopóki nie ostrzelali ciężarówkę z działa shermana.

Pośrodku znajdowała się jedynie duża skrzynia, oznakowana stylizowanym niemieckim orłem i swastyką. Mulligrew chwycił siekierę - którą wozili przymocowaną do boku czołgu - po czym wsunął ostrze pod wieko, a sam naparł na trzonek całym ciężarem, aż wreszcie sosnowe drewno pękło i ustąpiło. Amerykanin odsunął pokrywę i zajrzał do środka.

Co u diabła?

- Andrew? Co tam widzisz? - dopytywał się Morris.

- Nie wiem - odparł Mulligrew pełnym niedowierzania głosem. - Nie mam pojęcia. Ale to coś cholernie niesamowitego.

- Niesamowitego?

- Powinniśmy ściągnąć żandarmerię. I to natychmiast.

Tak też uczynili. I chociaż wciąż znajdowali się na krwawym poboju-wisku przepełnieni żalem po zabitych w niedawnym horrorze, Mulligrew tkwił nieruchomo w budzie ciężarówki, wpatrując się - niczym zaczarowany - w zawartość skrzyni. Stał tam nawet wtedy, gdy nadjechały ambulanse, żeby zabrać poległych.

CZEŚĆ PIERWSZA

STARE KOŚCI

*Szanuj bogi, Achilu, nie gardź moimi dary:
Przypomnij ojca, obu nas ciężar lat gniecie.
Może być kto ode mnie biedniejszy na świecie?
Jam usta - tegom wreszcie nieszczęśliwy dożył –
Na ręce synów moich zabójcy położył.*

Homer, „Iliada”, księga 24
Przeł. Franciszek Ksawery Dmochowski

1.

Terazniejszość

Zwalisty mężczyzna opierał się o ścianę, przenosząc pokaźny ciężar swojego cielska na nogę, którą niby od niechcenia oparł o framugę drzwi.

- Jest pani kobietą o uderzającym wyglądzie, panno Miller - wycedził z południowym, przeciągłym akcentem, mrużąc świńskie oczka w nalanej twarzy i oblizując grube, wilgotne wargi.

- Wiem - odparła Debora.

Miała sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i wyglądała tak, jakby się składała z wielu wąskich rurek. Rzadko ktokolwiek nazywał ją atrakcyjną. Nigdy ładną. Natomiast często - kobietą o uderzającym wyglądzie. Jakiś czas temu może by jej to pochlebiło. Dziś jednak, po tygodniach drobiazgowego planowania i ciągnącym się godzinami wieczorze, kiedy musiała z przyklejonym do twarzy uśmiechem prowadzić banalne, nic nieznaczące rozmowy, była zbyt zmęczona, żeby się silić na uprzejmości - nawet wobec Harveya Webstera, prominentnego członka Ligi Chrześcijańskich Biznesmenów Atlanty i prezesa rady nadzorczej muzeum. Minęła już północ i Debora marzyła jedynie o powrocie do domu.

- Uderzającym - powtórzył tymczasem Webster, wyciągając dłoń w stronę jej uda.

Przypominał olbrzymią ropuchę. Jego cielsko wybrzuszało się w niektórych miejscach, w innych zaś zapadało i obwisało niczym balon na wpełniony wodą przelewającą się bezwładnie w jedną bądź drugą stronę.

- Panie Webster. - Spojrzała wymownie na jego poznaczoną plamami wątrobowymi dłoń. - To nie najrozsądniejszy pomysł.

Jeżeli mnie dotkniesz, pomyślała, z pewnością się porzygam.

Dłoń zawisła w powietrzu; ale po chwili Weber zapewne doszedł do wniosku, że reakcja Debory jest oznaką fałszywej skromności, bo ręka ponownie ruszyła w kierunku uda dziewczyny. Debora odsunęła się z niesmakiem.

- Panie Webster, bardzo proszę - powiedziała ze znużonym uśmiechem.

Mężczyzna zmienił taktykę - w miejsce lubieżnego skrzywienia ust pojawił się szeroki uśmiech, a dłoń uniosła się w geście poddania.

- Żadną miarą nie zamierzałem pani urazić - zapewnił, rozciągając jeszcze bardziej usta, tak że jego uśmiech wydawał się już szerszy niż otwarte drzwi, które notabene wciąż blokował nogą. - Miałem jedynie nadzieję, że oprowadzi mnie pani po muzeum... teraz, kiedy już wszyscy poszli... i w ogóle...

Websterowi uśmiech zastygł na ustach i dojrzała błysk chłodnej kalkulacji w jego oczach. Niesamowite, że sześćdziesięcioletni facet wciąż prezentował arogancką, samczą pewność siebie nastoletniego mięśniaka. Pewność siebie, za którą, pomyślała Debora, kryła się również bliżej niesprecyzowana groźba.

- Że wystąpi pani w roli mojej osobistej przewodniczki - dorzucił obelśnym tonem, niepozostawiającym wątpliwości co do intencji.

Prawdę powiedziawszy, zachowywał się w podobny sposób przez cały wieczór, szczególnie gdy już wlał w siebie kilka drinków. Debora uważała się za tolerancyjną, gdyby jednak miała teraz przy sobie sznur, powiesiłaby - lub przynajmniej boleśnie skrepowała - tego dumia.

- Innego dnia, panie Webster - odparła. - Kiedy będzie widno, tłoczno, a ja wcześniej zainwestuję w porządny elektroszoker do poskramiania bydła.

Uśmiechnęła się szeroko, by podkreślić, że miało to być dowcipne, jednak mina mu nieco zrzędła.

- Jest pani błyskotliwa, Deboro. I ma pani ostry język.

- Dziękuję - odrzekła z dobrze wystudiowaną prostotą.

Westchnął ciężko i uniół ręce w geście żartobliwego poddania.

- No cóż - uśmiechnął się ponownie - w takim razie ruszam do domu.

- Proszę jechać ostrożnie - zaleciła troskliwie, nieznacznie usuwając się w bok, gdy podjął ostatnią desperacką próbę pochwycenia jej w objęcia.

- W przyszłym tygodniu wpadnę się zobaczyć z Richardem, a więc... do rychłego zobaczenia.

Wycofał się przez szklane drzwi, patrząc na Deborahę tak, jakby oczekiwał, że ona jednak zmieni zdanie i przywoła go z powrotem.

- Dobranoc, panie Webster - wypowiedziała bezgłośnie, wyraźnie układając usta, by odczytał słowa z ruchu warg. W duchu zaś dorzuciła: ty pijana, obmierzyła glisto.

Poczuła ulgę, kiedy zniknął w ciemnościach, chociaż podejrzewała, że za tę bezceremonialną odprawę przyjdzie jej jeszcze zapłacić - zapewne dużo drożej, niż przypuszczała. Webster kontrolował finanse muzeum, a do tego miał poważne wpływy w Atlancie, przynajmniej w kręgach statecznej, zamożnej części białej społeczności. Oficjalnie nigdzie nie stwierdzono, że do Ligi Chrześcijańskich Biznesmenów nie mogą wstępować czarnoskórzy przedsiębiorcy, ale fakt, że wśród jej członków nie dałoby się uświadczyc choćby jednego Afroamerykanina - i to w mieście takim jak Atlanta - był wiele mówiący. Debora starała się zrównoważyć wszechobecność ligi w muzeum, zapraszając do współpracy organizacje o bardziej zróżnicowanym rasowo składzie, zawsze jednak czuła się winna, gdy odbierała od ligi czeki. Pewnie mogłaby zainteresować działalnością muzeum biznesowe grupy żydowskie, ale taka myśl też wywoływała w niej niesmak. Miała wrażenie, że w ten sposób wykorzystywałaby swoje pochodzenie - od którego pilnie się odżegnała już wiele lat temu, oraz spuściznę kulturową - teraz jej już całkiem obcą. Po co więc miała narażać siebie i muzeum na antysemityczne ataki, skoro jej żydowskie korzenie były zamierzchną, niemal zapomnianą przeszłością?

Och, proszę, odezwał się cichy głos w jej głowie, zaczynasz popadać w paranoję. Weber zapewne nie ma pojęcia, że jesteś żydówką.

Debora sprawdziła zamki w drzwiach muzeum, po czym szybko przeszła przez foyer pod szkieletem tyranozaura i paskudnym aflastonem - rzeźbą z galeonu, którą Richard umieścił tu w zeszłym miesiącu i odsłonił z taką miną, jakby oznajmiał, że właśnie nadeszło Boże Narodzenie. Rzeźba przedstawiała na wpół nagą kobietę o łuskowatej szyi węża lub smoka, i Debora nie mogła się oprzeć wrażeniu, że owa dama o wiele lepiej by się prezentowała wymalowana na harleyu niż jako ozdoba renesansowego hiszpańskiego okrętu wojennego. Richard jednak uważał, że to cudownie zabawny przykład historycznego kiczu. Debora spojrzała gniewnie na pozbawioną wyrazu twarz kobiety i jej bujne kształty, po czym zatrzymała wzrok na gadziej szyi, gdzie seksowny powab przeradzał się - bo jakże by inaczej - w kusicielskiego węża z Edenu.

Przez chwilę się przyglądała kobiecie-smokowi o piersiach wielkości osiemnastowiecznych lamp powozowych, po czym uśmiechnęła się ironicznie.

- Richardzie, kocham cię - powiedziała na głos - ale muszę przyznać, że masz beznadziejne poczucie humoru.

Wzruszyła ramionami, westchnęła cicho i w końcu się zmusiła, żeby powieść wzrokiem po pobjowisku, jakie w foyer pozostawiła po sobie firma cateringowa. Dojrzała cztery wypełnione papierowymi talerzykami kosze, które dawno temu powinny być stąd wyniesione; w półkolistej alce, gdzie trzy godziny temu prowadziła swoją prezentację, stały plastikowe kieliszki po martini i walały się serwetki z resztkami tartinek, wypolerowana posadzka zaś była upstrzona lepkimi plamami. Już ona powie Richardowi, co sądzi o jakości usług firmy Smak i Elegancja i to nie tylko dlatego, że ich *foie gras* podejrzanie przypominało w smaku tanią mielonkę z puszki.

Richard Dixon był założycielem muzeum, jego pierwszym kustoszem, głównym sponsorem i dobrym duchem, a poza tym pracodawcą Debory, jej mentorem i przyjacielem. W rzadkich chwilach, gdy potrafiła się zdobyć na całkowitą szczerłość wobec siebie samej, Debora przyznawała w duchu, że Richard był również w jej życiu kimś na kształt zastępczego ojca. Nikogo innego nie traktowała tak od czasu, gdy jej własny ojciec zmarł nagle na atak serca, kiedy była zaledwie nieopierzoną trzynastolatką.

Tylko myśl o Richardzie dodawała Deborze ducha, gdy podejmując wysiłki wprowadzenia muzeum w dwudziesty pierwszy wiek, musiała się stykać z ludźmi pokroju Harveya Webstera. Teraz zaś, kiedy stała samotnie w foyer, optycznie pomniejszonym przez kontrast z ogromem tyranozaura, w mdłym świetle padającym od nowych gablot z eksponatami dokumentującymi kulturę Indian szczepu Krik, zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze Richard będzie w stanie ją czynnie

Co zrobisz, gdy go zabraknie?, pomyślała z trwogą. Minęło już dwadzieścia lat od śmierci ojca, a ty jeszcze jej nie przebolełaś. Pogodziłaś się z tym na swój sposób, ale rana dotąd się nie zablizniła. W każdym razie nie do końca.

Potrząsnęła stanowczo głową.

- Nie możesz pić na takich imprezach - upomniała się głośno. - Stajesz się melodramatyczna.

Rozejrzała się energicznie dookoła, sprawdzając, czy przed wyjściem nie powinna jeszcze zrobić czegoś istotnego. Jej paszport wciąż się znajdował w sejfie, w biurze muzeum - leżał tam od czasu, kiedy musiała prze-faksować wszystkie zawarte w nim dane organizatorom wystawy celtyckiej (na wypadek, jak przypuszczała, gdyby zamierzała zwać z kraju z kilkoma cennymi eksponatami wciśniętymi za biustonosz). Ale przecież pasz-

port może tam spokojnie poleżeć do jutra. Ostatecznie dzisiaj nigdzie się nie wybierała.

Chwyła ze stolika popołudniową pocztę i sprawnie ją przerzuciła, oddzielając rachunki od reklam i listy adresowane do niej osobiście od tych do Richarda. W rezultacie jedna trzecia całej korespondencji od razu wylądowała w koszu. Przesyłki z jej nazwiskiem mogły poczekać do następnego dnia, a i żadna z tych do Richarda nie wydawała się szczególnie pilna. Na jednej z kopert Debora dostrzegła w rogu znak wyobrażający małą, trójkątną maskę - zapewne błaganie o dotację dla któregoś z lokalnych teatrów. Richard dostawał kilkadziesiąt takich próśb tygodniowo. Odpowiadał na wszystkie - z wyjątkiem zbyt nachalnych lub ogólnikowych - często załączając jednocześnie czek na pokazną kwotę. Uśmiechając się z pobłażliwą wyrozumiałością, Debora wsunęła listy do torebki i zaczęła zamykać wszystkie pomieszczenia. Korespondencją zajmie się jutro.

Włączyła alarm i przez szklane drzwi zerknęła na parking okolony typowymi dla Południa magnoliami, nastawiając się psychicznie na powiew gorącego, parnego powietrza. Był czerwiec - w Atlancie zaczynało się lato - i noce robiły się już nieznośnie upalne. Otworzywszy drzwi, Debora z wahaniem zatrzymała się w progu. Od kilku dni w pobliżu muzeum kręcił się jakiś bezdomny. Sprawiał wrażenie starca, ale miał bystre, przenikliwe spojrzenie i mamrotał coś w języku, którego nie rozumiała. Wczoraj, kiedy zamykała muzeum, poruszał się bokiem niczym krab i kluczył chyłkiem pomiędzy samochodami, okutany w ciężki, gruby płaszcz pomimo panującego gorąca. Idąc do auta, Debora miała świadomość, że mężczyzna śledzi ją świdrującym wzrokiem - i poczuła się bardzo nieswojo.

Tym razem po bezdomnym nie było śladu, podobnie jak po idealnie wywoskowanym jaguarze Webstera, śmiało więc wyszła w lepki mrok i, ziewając szeroko, ruszyła w stronę parkingu. Wystarczyło zaledwie pięć jej długich kroków, by się znalazła przy małej toyocie. Pomijając zmęczenie i irytację, musiała przyznać, że wieczór należał do udanych.

Kiedy przejeżdżała międzystanową przez centrum miasta usiane wysokimi, przeszklonymi biurowcami - pomimo późnej pory jasno oświetlonymi, tętniącymi życiem i (jak wszystko w Atlancie z wyjątkiem jej muzeum) pachnącymi nowością - znowu powróciły myśli o zaawansowanym wieku Richarda.

Ile on właściwie miał lat? Siedemdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt sześć? Coś w tych okolicach. I wyraźnie opuszczała go energia. To przede wszystkim dlatego zatrudnił Debore, chciał na jej barki przerzucić główny ciężar

promocji muzeum, zintegrować ją ze stałymi sponsorami i wdrożyć do pracy z zarządem, żeby w końcu, z czystym sumieniem, wycofać się na dobre w zacisze przylegającego do muzeum luksusowego domu i ograniczyć do roli hojnego darczyńcy. Debora zatrudniła się tu trzy lata temu i wówczas moment odejścia Richarda wydawał się niezmiernie odległy, teraz jednak nie ulegało wątpliwości, że dzień jego rezygnacji z czynnej działalności zbliżał się w zatrważająco szybkim tempie. Nigdy nie rozmawiali na ten temat wprost, jednak ów problem wisiał nad nimi niczym gęsty cień. Może Richard nie chciał o tym dyskutować, bo przygnębiało go przeświadczenie, że traci siły? Na pewno. Pozostawało jednak pytanie, co dalej...

Jej muzeum.

Wkrótce będzie zarządzać nim sama. W pewnym sensie już tak było. Ta świadomość nie poprawiła Deborze humoru.

Z ponurych rozważań wyrwała ją niespodziewanie salwa irytujących, elektronicznych dźwięków. Telefon komórkowy. To Richard - w przekonaniu, że to świetny dowcip - przeprogramował dzwonek komórki Debory tak, że wygrywał teraz skoczne tony „La Cucaracha”. Richard musi szybko to zmienić albo ona już się na nim odpowiednio odegra. Na tę myśl od razu opadło z niej przygnębienie. Po imprezach w rodzaju dzisiejszej Richard często sprawdzał, co u niej słychać, ale dopiero wtedy, gdy był przekonany, że całe towarzystwo już się wyniosło na dobre - i nikt obcy nie majaczył na horyzoncie. Tego wieczoru wycofał się z przyjęcia co najmniej półtorej godziny przed jego zakończeniem, mglście wymawiając się przed gośćmi zmęczeniem starego człowieka. Chwilę później mrugnął szelmowsko do Debory i pozostawił ją na pastwę Webstera oraz jego szajki. Za to też będzie musiała mu odpłacić.

- Tak? - rzuciła energicznie, szykując się do wygłoszenia pod adresem pryncypała kilku bezlitośnie sarkastycznych uwag.

- Debora?

O, nie. To w żadnym razie nie był Richard.

- Cześć, mamó - rzuciła i poczuła, jak opuszcza ją dobry nastrój. Na swój sposób kochała tę kobietę, jednak czasami...

- Byłam na kolacji z Lowensteinami - oznajmiła matka nie wiadomo po co.

Debora przecież o to nie pytała. W istocie nie zamieniły ze sobą słowa co najmniej od dwóch tygodni.

- Pamiętasz Lowensteinów? - dorzuciła matka takim tonem, jakby podejrzewała ją o postępującą głuchotę. - Tych z Cambridge? To znaczy teraz już z Long Island. W każdym razie zjechali do miasta i wybraliśmy

się razem do restauracji. I co mnie nagle spotkało po powrocie do domu? Niewiele brakowało, a padłabym trupem, gdy na sekretarce odkryłam wiadomość od pierwородnej córki. Pierwszą, od kiedy to? od miesiąca?

- Mamo, nie przesadzaj.

- Ale prawie.

- Uhm, wybacz - odparła Debora z niemiłym przeświadczeniem, że za chwilę dopadnie ją ból głowy, którego nie uda jej się w żaden sposób powstrzymać, podobnie jak zazwyczaj nie udawało jej się powstrzymać ekspansywności matki. Nie powinna była w ogóle do niej dzwonić, ale uległa idiotycznemu impulsowi - nieodpartej ochocie, by się podzielić z kimś, z kimkolwiek, dzisiejszym triumfem. Teraz zrozumiała, że popełniła poważny błąd. Matka Debory - swego czasu pielęgniarka pracująca na pół etatu - z lubością powtarzała, że jej największym osiągnięciem życiowym było złowienie ojca Debory - uznanego lekarza internisty. Gdy tylko zaszła w ciążę, zrezygnowała z pracy, do której jednak musiała wrócić po stracie męża, żeby popłacić wszystkie rachunki piętrzące się po jego śmierci. Debora, wówczas nastolatka, miała wrażenie, że przez kolejne dwa lata jej matka przemieszczała się pomiędzy domem a szpitalem w stanie oszołomienia podszytego poczuciem krzywdy i zniewagi - niczym królowa piękności pozbawiona korony za sprawą jakiegoś banalnego, niewartego dyskusji uchybienia. Debora, bezkrytycznie uwielbiająca ojca, pomimo - a może właśnie z powodu - jego częstej nieobecności, nienawidziła podejmowanych przez matkę rozpaczliwych prób poprawienia urody swojej wiecznie pogrążonej w książkach starszej córki oraz niemal fizycznie wyczuwalnego matczynego przerażenia, gdy Debora - od zawsze chuda, bez wdzięku i chłopięca w wyglądzie - w wieku zaledwie piętnastu lat osiągnęła sto osiemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu i nadal rosła.

- Cóż to za wielka nowina, Debbie? Jak tylko odsłuchałam twoją wiadomość, natychmiast chwyciłam za słuchawkę. Odniosłam wrażenie, że chcesz mi oznajmić coś ważnego.

Nikommu innemu na świecie nie przysłoby do głowy nazwać ją „Debbie”. To świadczyło niezbitnie, że matka uporczywie i z premedytacją nie chciała zaakceptować rzeczywistej osobowości córki.

- Chodziło o pracę. - Debora instynktownie zacisnęła mocno powieki. - Miałam dzisiaj dobry dzień.

- To wspaniale, skarbie - łaskawie przyznała matka, po czym na jednym oddechu wyrzuciła z siebie: - A poza tym, co u ciebie słychać? Dziś rano rozmawiałam z Rachel i dowiedziałam się, że z nią także, nie utrzymujesz kontaktu.

Rachel, istny dar niebios, układna córeczka o ciele gimnastyczki, której nie przyszło do głowy, żeby się na dobre odpepnić od mamusi. Dlatego wraz z mężem i potomkiem mieszkała zaledwie trzy przecznice od rodzinnego domu na Brooklynie...

- Rzeczywiście, ostatnio nie rozmawiałam z Rachel. Teraz sporo się dzieje w muzeum.

- W muzeum? Hm... Zdecydowanie za dużo pracujesz. Zupełnie jak twój ojciec. Ale jego przynajmniej od czasu do czasu oglądałam na oczy...

- Jesteś zawsze mile widzianym gościem. Możesz przyjechać w każdej chwili - odparła Debora.

- Tam?! Do ciebie?!

- Przecież nie mieszkam w Kalkucie. Dzieli nas jedynie dwie godziny lotu.

- Jakim cudem jeszcze to pamiętasz? - spytała matka uszczypliwie.

- Bardzo zabawne, mammo.

- Pomijając zaś pracę, coś się u ciebie zmieniło? Może przypadkiem wyszłaś potajemnie za mąż lub coś w tym rodzaju?

Oto przykład zawołowanej uszczypliwości, pozwalającej matce upiec na jednym ogniu co najmniej kilka soczystych pieczeni. Ta kobieta miała wyjątkowy talent do podobnych odzywek. W jedno pozornie niewinne stwierdzenie potrafiła wtłoczyć pół tuzina znaczeń. W tym konkretnym wypadku owa lekko i od niechcienia rzucona uwaga wyrażała w istocie:

1. Poświęcasz zbyt wiele czasu i energii na pracę, która - spójrzmy prawdzie w oczy - nie jest tego warta.

2. W twoim życiu nie ma żadnego mężczyzny. Jak zwykle.

3. Najlepiej wychodzi ci ukrywanie różnych sekretów przed matką i siostrą.

4. Poślubienie kogoś bez powiadomienia o tym rodziny byłoby bardzo do ciebie podobne. Ostatecznie odwróciłaś się od najbliższych, od rodzinnego miasta i wszystkiego, co powinno być ci drogie w chwili, gdy postanowiłaś się przeprowadzić na Południe, do tej przeklętej Sodomy...

To się stało dużo wcześniej, mammo. Przecież tato zmarł dwadzieścia lat temu, pomyślała.

- Nie - zapewniła głośno matkę, zmuszając się do nieznacznego uśmiechu - u mnie nic się nie zmieniło.

Zabawiała się wymyślaniem na wpół żartobliwych złośliwości, którymi powinna była uroczyć matkę, gdy ponownie rozległy się upiorne dźwięki komórki.

- Mammo, jestem w drodze do domu. Zadzwoń do ciebie, jak tylko...

- Czy to jest ciągle na swoim miejscu?

Debora już otworzyła usta, aby coś odpowiedzieć, gdy nagle zdała sobie sprawę, że w słuchawce odezwał się nieznany głos.

- Słucham? Kto mówi?

- Gdzie jesteś?

- Pytałam, kto mówi.

- Czy już wpadło im w ręce? I gdzie ty właściwie jesteś?! Mężczyzna niemal krzyczał. A jego głos brzmiał jakoś dziwnie. Obcy akcent? Brytyjski? Południowoafrykański? Australijski?

- Przykro mi - odparła Debora z chłodną uprzejmością - ale obawiam się, że to pomyłka. Proszę jeszcze raz wybrać numer, a potem rozpocząć rozmowę od upewnienia się, czy ma pan do czynienia z osobą, na którą właśnie postanowił pan nawrzeszczyć.

- Posłuchaj mnie, do cholery, ty tępą idiotko! Musisz natychmiast wracać...

Przerwała rozmowę, po czym wyłączyła komórkę.

2.

Międzystanowa była niemal pusta, więc już kilka minut później Debora jechała ulicą Dziesiątą, zmierzając ku Piedmont. Po drodze powoli się wyciszała, wyłączając systematycznie kolejne strefy umysłu, jakby wykręcała bezpieczniki obwodu elektrycznego. Kiedy zaparkowała na żwirowym podjeździe, zarezerwowanym dla mieszkańców enklawy apartamentowców Bay Court, działała już jak na automatycznym pilocie. Wysiąść. Zamknąć samochód. Wyjąć z torebki klucze. Zajrzeć do skrzynki pocztowej. Otworzyć drzwi mieszkania. Wejść do środka.

Z letargicznego stanu wyrwało ją mrugające, czerwone światelko automatycznej sekretarki. Debora sprawdzała wiadomości nagrane na domowy numer, gdy jeszcze znajdowała się w muzeum, ktokolwiek więc do niej zadzwonił, zrobił to w przeciągu ostatniej godziny. Czyżby Richard? Zaintrygowana wcisnęła guzik odtwarzania i ruszyła do łazienki po szczoteczkę do zębów.

- Jesteś tam? - odezwała się sekretarka i zamilkła.

Debora zatrzymała się gwałtownie, czując nieprzyjemne mrowienie karku. Znowu ten głos. Obcy akcent. Kolejna pomyłka.

Ale przecież o pomyłce nie mogło być mowy. Ów człowiek całkiem niedawno dzwonił do niej na komórkę.

- Odbierz, jeżeli tam jesteś. - Ton głosu mężczyzny był nagły.

Debora tkwiła w bezruchu, tymczasem ponownie zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili rozległ się głuchy trzask i znajomy dźwięk sygnału telefonicznego. W końcu zabrzmiało długie „piiip” oznaczające koniec nagrania. Debora wpatrywała się w urządzenie w zamyśleniu. Coś w głosie owego nieznanego wzbudziło w niej niepokój, chociaż nie umiałaby powiedzieć, czy był to stanowczy ton, obcy akcent czy fakt, że mężczyzna się nie przedstawił.

Debora Miller nie należała do osób, które łatwo dawały się zastraszyć, a przynajmniej tak o sobie myślała. Skwitowała więc sprawę telefonu - podobnie jak wcześniejsze toporne awanse Harveya Webstera - zwykłym wzruszeniem ramion. Jutro czeka ją kolejny pracowity dzień. Zgasiła nocną lampkę, wśliznęła się pod kołdrę i zaczęła przebiegać w myślach agendę na następny dzień.

Richard zechce omówić przebieg przyjęcia i deklaracje sponsorów. Ponadto Debora będzie musiała porozmawiać z dziennikarzami z „Atlanta Journal-Constitution”, a potem przygotować szczegółowe plany wystawy celtyckiej. Zadzwoi również do firmy cateringowej z żądaniem wysokiej bonifikaty - nie dość bowiem, że sama sprzątała po wynajętych pracownikach, to na dodatek z samego rana będzie musiała dać odpór Tonyi, nowej sprzątacze, która natrze na nią gniewnie z powodu opłakanego stanu zazwyczaj idealnie wypolerowanej posadzki. Konfrontacja z niekompetentną firmą cateringową będzie niczym wobec konfrontacji ze zdumiewająco kompetentną Tonyą.

Nie przypominała ona żadnej pracownicy fizycznej, z jakimi Debora kiedykolwiek miała do czynienia. Tonya była czujna i pełna rezerwy, drażliwa i... często sardoniczna. To niezwykle cechy u sprzątaczkę w średnim wieku. W odczuciu Debory deprymujący sposób bycia Tonyi, często ocierający się o arogancję, w dużej mierze wynikał z faktu, że ta kobieta była błyskotliwie inteligentna, wykształcona, a przy tym czarnoskóra - chociaż Debora nie potrafiłaby logicznie uzasadnić swojego przeświadczenia. Tak czy inaczej tłumaczenie się przed Tonyą z faktu, że miejscowi notable (czytaj: biali i bogaci) tak bardzo zapaskudzili wypielęgnowaną posadzkę foyer, będzie równoznaczne z rozbieraniem bomby grożącej eksplozją zabójczej ironii i szyderstwa.

Na szczęście finalne przygotowania do wystawy celtyckiej to już tylko czysta przyjemność, pomyślała z uśmiechem: niedługo w muzeum pojawią się - powstałe na przestrzeni czterech stuleci - szkockie i irlandzkie krzyże, misternie iluminowane manuskrypty oraz niezwykle okazy sztuki złotniczej. Jeszcze dwa lata temu nikt nie wypożyczyłby im kolekcji takiej wartości i kalibru. Tymczasem teraz... Nie przestając się uśmiechać, Debora powoli zapadła w sen.

Ze snu wyrwał ją przeszywający dźwięk przypominający ryk syreny alarmowej. Ocknęła się zdezorientowana, łapczywie chwytając ustami powietrze. Zdażyła wyskoczyć spod kołdry i ruszyć ku drzwiom, zanim się zorientowała, że to dzwonek telefonu. Wokół panowały ciemności, a na

elektronicznym wyświetlaczu radiobudzika właśnie dochodziła trzecia. Gdyby Debora myślała całkiem trzeźwo, odczekałaby, aż ktoś się nagra na sekretarkę. Ostatecznie o tej porze mogła być to jedynie pomyłka. Tymczasem, wciąż zaspana, podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Dlaczego nie jesteś w muzeum? Musisz tam natychmiast wrócić.

- Co takiego? - Z początku nie pojmowała, co się dzieje, szybko jednak wróciła jej pamięć. Ten sam nieznamy głos o obcym akcencie. - Kto mówi?

- Musisz tam jechać! - Ponownie nagłący, pełen frustracji ton. - Nie wolno ci dopuścić, żeby je zabrali!

- Co zabrali?

- Ciało!

- Jeżeli zadzwoni pan do mnie jeszcze raz - na którykolwiek z telefonów - zawiadomię policję. Czy to jasne?

Przerwała połączenie i leżała w ciemnościach, wciąż zaciskając dłoń na słuchawce i czekając, aż opuści ją uczucie niepokoju.

Ciało?

Jakie ciało?

Tkwiała w bezruchu przez dłuższy czas, wpatrując się w cyfry przeskakujące na wyświetlaczu budzika, ale sen nie nadchodził. Miała wrażenie, że wszystkie bezpieczniki wskakują na swoje miejsca i wysokie napięcie znów ogarnia jej umysł, pobudzając kolejne sfery do działania. Wydawało jej się nawet, że słyszy niskie szumy przepływającego prądu, wyczuwa jego zapach w nocnym powietrzu - jak po uderzeniu pioruna.

Ciało?

Zerwała się na równe nogi, szybko ubrała w to, co akurat miała pod ręką, i chwyciła kluczyki do samochodu.

3.

Budynek stał pogrążony w mroku, a parking był całkowicie opustoszały - czego naturalnie należało się spodziewać o trzeciej nad ranem. Na ten widok Debora doszła do wniosku, że się zachowuje jak idiotka. Powinna być teraz w domu, we własnym łóżku. Na wszelki wypadek jednak otworzyła wejściowe drzwi muzeum i zerknęła na panel alarmu. Bez wątplenia nie włączał się tej nocy, nikt też przy nim nie manipulował, a foyer wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy je opuszczała.

Alarm jednak nie zabręczał, jak każdego rana, kiedy przekraczała próg, co oznaczało, że nie został aktywowany. Debora wbiła pełen niedowierzania wzrok w elektroniczne urządzenie. Jasne, była zmęczona po imprezie, ale to przecież niemożliwe, żeby wychodząc, zapomniała o aktywowaniu alarmu. Podeszła do włączników światła umieszczonych przy drzwiach, po czym nacisnęła je wszystkie naraz energicznym, zdecydowanym ruchem.

I nic. Foyer ze szkieletem dinozaura, stanowiskami informacyjnymi i gablotami z czasowymi ekspozycjami było nadal podświetlone jedynie mdłym blaskiem lampek awaryjnych, które nigdy nie gasły. Ogarnięta niedowierzaniem, Debora kilkakrotnie nacisnęła nieszczęsne włączniki. I nadal nic. Niepokój, który po nieoczekiwanym telefonie nie pozwolił jej zasnąć, powrócił ze zwielenokrotnioną siłą. Coś jest nie w porządku.

Sięgnęła do kieszeni po komórkę i szybko ją włączyła. Foyer stanowiło niejako serce tego budynku, bo muzeum w rzucie przypominało połowę koła drabiniastego wozu, każda szprycha mieściła inną tematycznie galerię, a łuk spinający całość był szerokim, półkolistym korytarzem, obstawionym po obu stronach dziewiętnastowiecznymi wypchanymi okazami najrozmaitszej fauny. Debora energicznie przeszła przez foyer, minęła gabloty z indiańskimi eksponatami i ruszyła jedną z „szprych”, by dojść do łukowatego korytarza.

Tutaj panował gęściejszy mrok, bo światła awaryjne rozmieszczono w większych odstępach, natomiast gabloty (z mezozoicznymi skamielinami z okolic Atlanty, z barwnymi tablicami przedstawiającymi florę i faunę okresu jury i kredy, z niemal kompletnym szkieletem *velociraptora*, a także naturalnej wielkości modelem tego zwierzęcia usadowionym na gnieździe) nie były podświetlone, podobnie jak wielkie, wtopione w mur szklane panele przywodzące na myśl przepastne akwarium. Wrażenie, jakie w założeniu miały wywoływać („bliżej nieokreślone kształty majaczące za szybami”), potęgowało niepokój Debory, przyspieszyła więc kroku. Nadal nie widziała jakiegokolwiek śladu bytności kogoś obcego, a mimo to w jej ustach nasilał się metaliczny posmak, jak gdyby jakiś pierwotny gruczoł w pniu mózgu wysyłał atawistyczne sygnały ostrzegawcze. Nie zwalniając ani na chwilę, Debora wystukała numer domowego telefonu Richarda.

W słuchawce rozległ się wolny sygnał i Debora ogarnęła przekonanie, że za moment usłyszy zaskoczony, zaspany głos szefa. Kiedy jednak nikt nie podnosił słuchawki, zerwała się do biegu, wciąż przyciskając komórkę do ucha. Zatrzymała się dopiero u wylotu pasażu z mezozoiczną ekspozycją.

Nie przejmuj się ciemnością i ruszaj przed siebie. Nie patrz na ekspozycje!

Galeria jurajska, podobnie jak wszystkie inne, wychodziła na łukowaty korytarz obstawiony okazami prezentującymi osiągnięcia przebrzmiałej, barbarzyńskiej sztuki wypychania zwierząt - taksydermii. Była to najmniej lubiana przez Debora sekcja: pełna martwoty, ucieleśniająca wiktoriańską ideę muzealnictwa. Unosił się tu szczególny zapach - mieszanina naftaliny z formaliną - w mniemaniu Debory bardziej prehistoryczny niż sam *velociraptor*. Przywodził jej na myśl zmurszałe woluminy i koncepcję nauki konstruowaną przez ludzi najpierw ochoczo mordujących zwierzęta, potem zaś pilnie zgłębiających zawiloci łacińskich nazw systematycznych nad wybebeszonymi zwłokami nieszczęsnych ubitych stworzeń. Na własny użytek Debora nazywała to logiką kolekcjonera motyli: „Oto wspaniały okaz - uśmierćmy go, żeby szerokie rzesze mogły podziwiać jego piękno”. Zapowiedziała więc Richardowi, że zmieni ekspozycję w półkolistym korytarzu, gdy tylko zdobędą przedmioty mogące ją zastąpić. Na owo dictum Richard wygłosił z uśmiechem często powtarzane zdanie: „Rób, co chcesz, bylebyś tylko nie przekształciła mojego muzeum w jakiś komercyjny park tematyczny”.

Zarząd, oczywiście, dokonałby właśnie takiej zmiany, byleby tylko przyciągnąć tutaj jak największe rzesze zwiedzających.

Richard natomiast mawiał: „Jeżeli zaczniesz udawać, że w gruncie rzeczy nie jest to muzeum, w końcu pozór stanie się rzeczywistością. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś przyciągała do nas ludzi na wszelkie możliwe sposoby, pamiętaj jednak, by potem zaofiarować im coś, co poszerzy ich wiedzę... o czym nie zapomną do końca życia...”.

W słuchawce wciąż rozbrzmiewał wolny sygnał.

To zdecydowało, że Debora w końcu się przemogła i ruszyła przed siebie. Nigdy nie wyznała Richardowi, że kolekcja wypchanych zwierząt nie tylko obrażała jej wrażliwość estetyczną muzealnika, ale najzwyczajniej w świecie ją przerażała. Teraz, w mdłym zielonkawym świetle lampek awaryjnych, niemal fizycznie wyczuwała obecność zatechłych trucheł dawno temu uśmierconych stworzeń, przywodzących na myśl gargulce majające w cieniu gotyckich katedr. Choć kamiennie martwe, nieodmiennie sprawiały wrażenie czujnych, groźnych strażników. Ponownie więc przyspieszyła kroku, aż nagle zdała sobie sprawę, że im dalej się posuwa, tym więcej jasnego światła dociera do łukowatego korytarza.

W pierwszej chwili poczuła ulgę, która jednak szybko ustąpiła miejsca panice. W tej sekcji muzeum znajdowało się tylko jedno potencjalne źródło światła. Skoro jego blask przedostawał się aż tutaj, nie zwiastowało to niczego dobrego. Debora ponownie poderwała się do biegu - minęła zniechęconie, wyblakłe lwy o obnażonych kłach i żółtych oczach; zeszywniałe mewy i ich zastygłe w bezruchu pisklęta; a także czarną bryłę bawołu ze spuszczonego łbem i o szeroko rozstawionych rogach. Z każdym krokiem surrealistyczna, zielona poświata coraz wyraźniej ustępowała miejsca cieplej, jasnej żółci, a Deborę ogarniało coraz większe prz - Nie. Nie. Nie!

Chwilę później je zobaczyła. Drzwi. Jedyne drzwi w tym sektorze muzeum, umieszczone pomiędzy zeszywniałymi pingwinami i fokami, otwarte teraz na oścież. To z nich wylewało się na korytarz jasne światło. Kiedy Debora podeszła bliżej, dobiegł do niej dochodzący z czeluści wnętrza jakiś odległy, regularny dźwięk. Dzwonek telefonu. Uświadamiając sobie, co to oznacza, spojrzała na trzymaną w dłoni komórkę i przerwała połączenie. Dzwonienie natychmiast ustało.

Owe drzwi prowadziły do rezydencji Richarda, znajdującej się w przyległym budynku. W istocie, wbrew przypuszczeniom większości ludzi, apartamenty mieszkalne wcale nie znajdowały się na terenie muzeum. Trzydzieści pięć lat temu Richard dobudował część ekspozycyjną do istniejącego budynku i podarował ją miastu. Przez ponad dwie dekady prowadził tę placówkę samodzielnie, ale w końcu jego olbrzymia fortuna

i jeszcze większy entuzjazm już nie gwarantowały sprawnego funkcjonowania muzeum. Wówczas zdecydował się na zatrudnienie profesjonalnych kustoszów. Debora była trzecim z kolei i jednocześnie tym, którego Richard cenił najbardziej, darzył pełnym zaufaniem i niemal ojcowskimi uczuciami.

Ciało!

Z mocno bijącym sercem Debora przeszła przez drzwi oddzielające prywatny świat Richarda od muzeum - przez drzwi, których zawsze strzegł niczym pitbull, i które w związku z tym nigdy nie stały otworem.

- Richard! - zawołała najgłośniejszym głosem, jak mogła.

Przeszła przez salon, kuchnię, jadalnię i bibliotekę. Ani śladu żywego ducha. Zdeterminowana, weszła na szerokie schody o subtelnej, spiralnie skręconej poręczy z mahoni, wciąż nawołując szefa. Zajrzała do gabinetu. Pusto. Sprawdziła gościnną sypialnię, łazienkę oraz pokój, o którym Richard mawiał, że przekształcił go w kolejną bibliotekę, a który wciąż był pełen pamiątek po jego małżeństwie. Żona Richarda nie żyła od ponad dziewięciu lat, Debora jednak dałaby sobie rękę uciąć, że Richard do tej pory nie wyrzucił ani jednej rzeczy należącej kiedyś do zmarłej.

Następnie przysła kolej na bawialnię - pokój, którego nigdy wcześniej nie oglądała na oczy - oraz pomieszczenie, w założeniach będące zapewne służówką, gdzie między innymi znajdowała się winda wykorzystywana przez Tonyę do dostarczania Richardowi posiłków, gdy on akurat „czuł się pod psem” - co ostatnio zdarzało się wyjątkowo często.

W końcu Debora stanęła przed sypialnią, kryjącą się za dwuskrzydłowymi, ciężkimi drzwiami z grubych dębowych paneli. Po chwili wahania zastukała w nie głośno, natarczywie.

- Richardzie! To ja! - wykrzyknęła. - Jeżeli sam nie otworzysz, za moment wejdę do środka.

Z zadowoleniem skonstatowała, że ton jej głosu - choć nieco uniesiony - był jednak pozbawiony piskliwej nuty paniki czy hysterii.

Odczekała moment, po czym chwyciła za gałki. Drzwi ustąpiły bez najmniejszego protestu.

4.

Sypialnia była pusta, a w łóżku z pewnością nikt nie leżał tej nocy. Ani śladu Richarda. Debora zajrzała do łazienki, po czym szybko wyszła na korytarz, ponownie nawołując przyjaciela. Po raz pierwszy naruszyła jego prywatne sanktuarium i nie widziała powodu, żeby się tam kręcić dłużej niż to konieczne.

Postała chwilę na podeście schodów, w końcu jednak - zdeorientowana - wróciła do sypialni. Nadal ani śladu Richarda.

Biorąc pod uwagę, co obawiałaś się tu znaleźć, powinnaś się cieszyć.

Usiadła na twardym łóżku i rozejrzała się po pokoju. Dzięki Tonyi wszędzie wokół pachniało czystością i panował wzorowy ład. Na nocnym stoliku, koło telefonu, leżał bloczek do notatek, na którym Richard coś wypisał swoim pajęczym pismem. Poza tym wszystko wydawało się nieknięte - meble stały w równej linii, a półki wbudowane w ścianę, zajmujące niemal całą jej powierzchnię, mieściły idealnie poukładane, pozbawione choćby pyłka kurzu, książki.

Debora przygryzła w zamyśleniu wargę i nachyliła się, żeby zerknąć, co Richard zapisał na bloczku. Zobaczyła tylko jedno, kilkakrotnie zakreślone słowo, po nim zaś parę znaków zapytania:

„Atreusz??”.

Przyglądała się owej lapidarnej notce, a w umyśle mgliście majaczyło jej wspomnienie jakiejś dawnej lektury. Jakiej? Nie miała ochoty się teraz nad tym zastanawiać. Ostatecznie stało przed nią poważniejsze zadanie.

Gdzie, do diabła, podziewał się Richard?

Oparła głowę na dłoniach i wówczas spostrzegła na podłodze drobny przedmiot, częściowo zasłonięty skrajem olbrzymiej kapy, jakby przypadkiem kopnięty pod łóżko. Instynktownie schyliła się i podniosła kawałek ceramiki - mocno wklęsły, jakby był fragmentem kulistego dzbana. Na de-

likatnie turkusowym tle widniał niekompletny kobiecy profil z wielkim okiem w kształcie migdała i czarnymi włosami poskręcany w pierścionki. Twarz wyglądała jak wyjęta z kreskówki - była szkicowa, ale pełna niewymuszonego, niemal filuternego wdzięku oraz witalności. Debora podsunęła odłamek ku światłu i potarła jego powierzchnię palcem. Natychmiast nabrała przekonania, że nie ma do czynienia ze skorupą współczesnego bibelotu, tylko z zabytkiem pochodzącym z dawnych wieków.

Żaden wyrób ceramiczny powstały w jakimkolwiek okresie historycznym na terenie Ameryki Północnej nie mógł tak wyglądać. Tego była pewna. Wzór na ceramice wydawał się jej znajomy, ale jedynie w takim sensie, że widziała już naczynia zdobione w tym samym stylu, a nie ten konkretny okaz. Czyżby starożytny Egipt? Nie, ta twarz była zbyt pełna życia, zbyt kokieterijna. Niewykluczone, że owa ceramika pochodziła z równie zamierzchłych czasów... choć Debora nie dałaby za to głowy. Mezopotamia? Asyria? Nie. W żadnym razie. A w ogóle, jeżeli był to fragment naczynia sprzed wielu wieków, co robił w ich muzeum? Przecież nie posiadali w zbiorach żadnych antycznych eksponatów. Debora raz jeszcze się przyjrzała rysunkowi twarzy. Może cywilizacja egejska, prekursorka kultury klasycznej Grecji?

Natychmiast powróciło do niej słowo zapisane na kartce: „Atreusz”.
Także greckie.

Atreusz był jednym z potomków Tantalosa. Jego brat... Mitologia wspominała coś o jego bracie czy też dzieciach... Ale co, Debora nie mogła sobie przypomnieć. Podeszła do imponującego zbioru bibliotecznego i powiodła wzrokiem po grzbietach książek. Może tutaj znajdzie tom traktujący o greckiej mitologii?

Znalazła. W istocie, gdy zaczęła się przesuwać wzdłuż półek, aż gwizdnęła cicho ze zdumienia. Każda z mniej więcej czterystu pozycji w taki czy inny sposób dotyczyła starożytnej Hellady: jej mitologii, historii, polityki, poezji, kultury, sztuki czy też filozofii. Debora wyciągnęła ciężki, opasły tom zatytułowany „Encyklopedia starożytnej Grecji” i poszukała hasła „Atreusz”, po czym przebiegła treść notki jakby we śnie, niepewna, po co to robi i czego właściwie szuka.

Richard. Szukasz Richarda.

Nic dziwnego, że starożytne imię brzmiało znajomo. Atreusz był królem Myken, potężnej greckiej twierdzy z okresu brązu. Według legendy to właśnie przez jej bramę zwieńczoną monumentalnym reliefem przedstawiającym dwa wyniosłe lwy Agamemnon poprowadził do boju wielką armię, która następnie przez dziesięć lat oblegała Troję. Ród Atreusza

został przeklęty, stąd kolejne pokolenia jego potomków ginęły w krwawych wendetach, w których walczyli przeciwko sobie bracia, synowie, mężowie i żony, a akty zemsty prowadziły do niewyobrażalnych bestialstw - bratobójstw, ojcobójstw, mężobójstw, dzieciobójstw, rytualnych ofiar z ludzi, kazirodztwa i kanibalizmu. Debora zamknęła encyklopedię i spojrzała na trzymany w dłoni fragment ceramiki. Zaczęła sobie usilnie przypominać, czego się nauczyła na studiach o epoce brązu oraz wykopaliskach prowadzonych na stanowiskach z owej epoki - i tak powoli wiedza zaczęła wypierać z umysłu dziewczyny pasjonujące wątki mitologiczne. Teraz już Debora nie miała wątpliwości, że przedstawiona na ceramicznym odłamku twarz reprezentowała styl typowy dla wzornictwa mykeńskiego. Gdzie jednak znajdowały się pozostałe kawałki dzbana? Skąd właściwie wziął się tutaj ten odłamek i jakie znaczenie miało owo mityczne imię?

Richard zaginął. Nie był to najlepszy czas na rozwiązywanie starożytnych i mitologicznych zagadek...

Chyba że... jedno wiązało się z drugim.

Usiadła na podłodze, żeby zobaczyć, jakie pozycje stoją na najniższej półce, i wówczas spostrzegła czerwoną kroplę na dywanie. Dotknęła jej palcami - ciecz okazała się lepka; i jeszcze zanim Debora zdążyła się jej dobrze przyjrzeć, wiedziała już, że to krew.

5.

Z walącym sercem osunęła się jeszcze niżej - jej policzek dotykał podłogi zaledwie parę centymetrów od czerwonej plamki - i wtedy zauważyła, że miejscami dywan był tu przygnieciony, jakby przetoczyło się tędy coś ciężkiego. Uważniej przyjrzała się spłaszczonym włóknom i dostrzegła nieznaczny, ciągnący się w stronę drzwi, ślad oleistej, brązowej cieczy. Jakiegoś smaru.

Raz jeszcze spojrzała na nierozmazaną kroplę krwi. W mrocznym zakamarku jej umysłu narodziło się rozpaczliwe, zabijające wszelką nadzieję przeświadczenie, że to krew Richarda.

Opanowała emocje, żeby skoncentrować się na implikacjach tego, co miała przed oczami, i powróciła szybko do poprzedniej myśli. Coś ciężkiego wtańczano na półki? Nie. Ślad smaru nie prowadził w ich stronę, ale dokładnie w przeciwnym kierunku i urywał się gdzieś pośrodku pokoju. Wyglądało to tak, jakby ów ciężki przedmiot został wytoczony z biblioteczki wbudowanej w ścianę. Ale przecież nie można niczego wytoczyć z litej ściany. Chyba że...

Debora poderwała się z podłogi i zaczęła przesuwac palcami po półkach. Nie wyczuła niczego niezwykłego. Zabrała się do wyciągania kolejnych książek, ale wszystkie gładko wysuwały się ze swoich miejsc. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że były ich tu setki...

Uspokój się i pomyśl, nakazała sobie. Jeżeli jedna z tych książek miałaby cokolwiek uruchamiać... Która mogłaby to być?

Atreusz. Mykeny.

Czyżby to wszystko miało coś wspólnego z życiową obsesją Richarda - wojną trojańską? Wielokrotnie powtarzał, że dzieła Homera, podania o bogach i herosach, opierały się na autentycznych wydarzeniach. Jego chłopięcy entuzjazm był zaraźliwy, chociaż zbudowany na wątpliwych podstawach naukowych.

Richard nie był archeologiem. Należał do pasjonatów, czy też - ujmując rzecz mniej elegancko - zwykłych dyletantów. Archeologia nie stanowiła dla niego przyczynku do badań nad cywilizacjami; oczekiwał od niej potwierdzenia, że czytane w młodości opowieści o heroicznym wyczynach i glorii bohaterów były prawdziwe. Nie patrzył na archeologię jak na naukę pozwalającą poznać zamierzoną historię, ukazującą rozwój kultury materialnej i dawnych systemów społecznych; żądał, aby dostarczała dowodów na prawdziwość tego, w co chciał wierzyć. Przypominał w tym Yigaela Yadina przemierzającego pustynię Negev i półwysep Synaj ze szpadlem w jednej i egzemplarzem Starego Testamentu w drugiej dłoni. Czy też Schliemanna prowadzącego wykopaliska w Mykenach i Troi tylko po to, by udowodnić, że Homerowe strofy o Agamemnonie i Helenie, Achillesie i Hektorze, Ajaksie i Odyszeuszu nie były poetyckimi fantazjami, ale opiewały wydarzenia historyczne.

Debora odsunęła się od biblioteczki i zaczęła przebiegać wzrokiem tytuły na grzbietach książek.

W prawym rogu, na czwartej półce od góry, dostrzegła grubą wolumin oprawioną w połacaną, czarną skórę. „Iliada” Homera. Najdoskonalsza w formie i treści relacja z wojny trojańskiej.

Sięgnęła po ciężką księgę, aby ją wyciągnąć, ale gdy tom wychylił się do przodu, poczuła opór i usłyszała głośne kliknięcie. Powoli, niemal bezszelstnie, półki zaczęły się przesuwać w jej stronę.

Debora spoglądała w osłupieniu w głąb pomieszczenia o powierzchni niewiele większej niż połowa sypialni. Musiało jednak minąć trochę czasu, zanim zdała sobie sprawę, co tak naprawdę ma przed oczami.

Chwilowa ciemność niemal natychmiast ustąpiła miejsca łagodnej poświacie płynącej z ekspozycyjnych gablot i pojedynczego reflektora umieszczonego pośrodku sufitu. Snop bladego światła układał się na podłodze w idealny kwadrat. To właśnie w tym miejscu zaczynał się krwawy ślad.

Debora powoli opadła na kolana, a przerażenie, które przygniatało ją niczym ciężką szatą, przeszło w pustoszącą serce i umysł rozpacz.

Richard leżał na plecach, z rozrzuconymi na boki ramionami, jak ukrzyżowany, z jedną dłonią zaciśniętą, drugą szeroko rozwartą. Był do pasa nagi, wyraźnie więc rzucała się w oczy jego wątła budowa i kruchość członków. Wydawał się nieprawdopodobnie stary, a bladość i sinawy odcień skóry sprawiały, że pokryte zakrzepłą krwią rany na piersiach i brzuchu nabierały wyjątkowo upiornego wyglądu. Oczy, na szczęście, miał zamknięte.

Debora chwyciła jego zimną rękę i uniosła do ust. Miała wrażenie, że coś wysssało powietrze z jej piersi. Zaciśnęła mocno powieki i zaczęła szlochać.

6.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w ukrytym pokoju - a właściwie klęczała niczym suplikantka przy ołtarzu. W takiej samej pozie po śmierci ojca spędziła siedem nocy (*shiv'ah* - okres rytualnej żałoby), odmawiając kadisz, modlitwę do wszechmocnego Boga, którego obecności już od tamtej pory nigdy nie poczuła. Okoliczności tych obu jakże bolesnych dla niej śmierci były całkiem inne, Debora jednak miała wrażenie, że dwadzieścia lat oddzielających te fakty zapada w nicość, a ona znowu jest trzynastoletnią dziewczynką i przenosi wzrok z lekarzy na krewnych i z krewnych na rabina, który prowadził uroczystości pogrzebowe i do którego już nigdy więcej w życiu się nie odezwała. Teraz nie zdołałaby sobie przypomnieć aramejskich wersów kadisz. Jednak fragmenty jakiejś innej modlitwy za zmarłych, odmawianej często na cmentarzach, pozostały jej w pamięci - niczym niegojąca się rana.

„Boże miłosierny, pozwól duszom naszych umiłowanych, którzy odeszli do domu wiekuistego, przebywać w bezpiecznej przystani Twojej obecności. Daj im niezmacony pokój wśród świętych i czystych - tych, co świecą jasnością firmamentu niebieskiego.

Boże miłosierdzia, chroń ich po wsze czasy pod skrzydłami swojej boskiej obecności i spraw, by ich dusze żyły życiem wiecznym, a pamięć o nich inspirowała mnie zawsze do czynów szlachetnych i pobożnych. Amen”.

Jak zwykle, słowa modlitwy zabrzmiały gorzko, i to nie łagodną goryczką uwielbianego przez Richarda campari, raczej piekącą goryczą trucziny o cierpkim posmaku zbyt długo parzonej herbaty.

Bóg miłosierny? Wolne żarty. Raczej bezduszny i okrutny lub - w najlepszym wypadku - przerażająco obojętny. Czy Bóg jej przodków w ogó-

le raczył spostrzec, co się tu wydarzyło minionego wieczoru? Czy w ogóle cokolwiek go obchodziło?

Richardzie, tak strasznie cię przepraszam. Powinam być tu dzisiaj z tobą.

Od momentu, gdy go znalazła, praktycznie tkwiła nieporuszona i tylko równo, powoli wdychała i wydychała powietrze, jednak tak płytko, że jej pierś praktycznie się nie unosiła - jakby Debora chciała dzielić z Richardem jego bezruch i ciszę. Z oczu nieustannie płynęły jej łzy i opadały na dywan niczym ciężkie krople letniego deszczu.

W końcu jednak przez niemy smutek przedarł się natarczywy, autorytatywny głos, podobny do głosu Policjanta rozpędzającego gapiów po wypadku drogowym - głos rozumu wygłaszający silne emocje. Richard został zamordowany, nie było to więc jedynie miejsce żałoby, lecz przede wszystkim miejsce okrutnej zbrodni, gdzie nadal mogły czyhać śmiertelne zagrożenia, które natychmiast należało uwzględnić w dalszych posunięciach.

Mimo to Debora nie mogła wyjść z sekretnego pokoju - nie mogła oderwać zapłakanych oczu od Richarda i jego ran.

Z początku musiały krwawić obficie, nie były to jednak płaskie cięcia, raczej bardzo wąskie, głębokie sztychy, długości mniej więcej trzech centymetrów, rdzawoczerwone na brzegach i przerażająco czarne pośrodku. Pierś Richarda znaczyły jedynie drobne, zakrzepłe strumyczki, jego zwłoki leżały jednak w kałuży krwi. Czy to możliwe, że Richard został przeszyty na wylot (sześć lub siedem razy, podpowiadał rzeczowy, zorientowany na szczegóły głos, przywykły do opisu znalezisk z kurhanów)? Że ostrze przebiło całe ciało? Jaka broń można zadać podobne ciosy? Z pewnością czymś bardziej przypominającym miecz niż nóż.

Po obu stronach każdej rany na skórze widniały płytkie wgłębienia - drobne zasinienia oddalone od nakłuc o mniej więcej dwa centymetry...

Debora odwróciła się gwałtownie, ogarnięta mdłościami. W gardle ją paliło, ale nie mogła nic z siebie wyrzucić. W oczach, chociaż nadal płynęły z nich łzy, czuła niezrozumiałą suchość i pieczenie. Zaciśnęła mocno powieki i wówczas ogarnęło ją przekonanie, że powinna przemyć rany Richarda, usunąć tę zakrzepłą krew...

W żadnym razie nie wolno ci niczego ruszać, odezwał się ponownie głos rozsądku, bo policja musi sfotografować zwłoki Richarda w takim stanie, w jakim je znalazłaś. Ktoś inny potem go umyje.

- Och, Richardzie. Mieliśmy sobie jeszcze tyle do powiedzenia. Chcieliśmy tak wiele razem działać.

Ledwo to wypowiedziała, a - jakby w odpowiedzi na jej słowa - rozległ się dzwonek komórki.

Przez dłuższą chwilę Debora nie zwracała na telefon uwagi, w końcu jednak z wolna puściła rękę Richarda i z nienaturalnym spokojem uniosła aparat do ucha.

- Tak?

- Czy zabrali ciało?

Ten sam głos. Debora siedziała w milczeniu i uparcie się wpatrywała w pierś Richarda - w ludzkie zwłoki, które kiedyś były Richardem.

- Czy je zabrali?

Poczuła, że zaczyna brakować jej powietrza, tymczasem mężczyzna odezwał się ponownie jeszcze bardziej nagłym, wręcz natarczywym głosem:

- Czy zabrali ciało?

- Nie - odparła, nie wiedząc, czemu właściwie z nim rozmawia.

- Czekaj na mnie. Zaraz tam będę.

Połączenie zostało przerwane.

Debora wbijała wzrok w komórkę, powtarzając sobie słowa nieznanego. Ich znaczenie w końcu zelektryzowało ją tak bardzo, że natychmiast opadło z niej dotychczasowe odrętwienie. Gwałtownie poderwała się na nogi, odwróciła plecami do leżących na podłodze zwłok i pobiegła do telefonu w sypialni. Wybrała numer policji.

7.

Zapowiedział, że się tu zjawi. Ale nie poinformował dlaczego i ile czasu zajmie mu dotarcie do muzeum. Nie wyjaśnił, kim jest, skąd wiedział, co się tutaj wydarzyło, czemu tak go interesowało, czy zabrano ciało, i kto właściwie miałby je zabrać. Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, że kimkolwiek był, czegokolwiek chciał, miał taki czy inny związek ze śmiercią Richarda Dixona. I to właśnie Debora powiedziała dyżurnej policjantce, a owo stwierdzenie podziałało jak zastrzyk adrenaliny na funkcjonariuszkę, do tej pory prowadzącą rozmowę ospałym, pełnym powątpiewania głosem. Czy Debora jest pewna, że leżący obok mężczyzna nie żyje?

- Ma liczne rany klute klatki piersiowej i jamy brzusznej. Jego... ciało znajduje się w czymś, co można nazwać sekretnym pokojem. Zapisał na kartce imię „Atreusz” i dlatego pomyślałam o Troi, chwyciłam więc za „Iliadę”, a wówczas ściana z półkami podjechała w moją stronę i...

- Mów trochę wolniej, skarbie - przerwała policjantka.

Debora zdała sobie sprawę, że choć zaczęła spokojnie i rzeczowo („liczne rany klute...”), szybko straciła głowę. Głos jej się załamał - bez ładu i składu plotła, co jej ślina na język przyniosła.

- Przepraszam - odezwała się po chwili. Czuliła się jak idiotka. - Ale jestem. .. jestem trochę...

Nie umiała znaleźć słów, by opisać swój obecny stan. Poza tym, że jeszcze nigdy tak bardzo nie doskwierała jej samotność.

- Wszystko w porządku. Proszę zaczerpnąć głęboki oddech.

Funkcjonariuszka nie ostrzegła Debory, że głupie dowcipy i marnowanie czasu policji mogą ją wpędzić w poważne kłopoty, pomimo wzmianki o sekretnym pokoju (co już samo w sobie wystawiało na poważny szwank wiarygodność zgłoszenia) czy bredzenia o jakimś Atreuszu. Nie zrobiła te-

go, ponieważ nie ulegało dla niej wątpliwości, że rzeczywiście stało się coś złego, i że dzwoniąca kobieta musi zebrać myśli, bo wyraźnie przestaje panować nad nerwami.

- Przepraszam - powtórzyła raz jeszcze Debora. - Ale Richard i ja... byliśmy sobie bardzo bliscy.

- Czy mówi pani o mężczyźnie, który odniósł obrażenia?

- Tak. O tym, który nie żyje.

Powiedziała to już spokojnym głosem, chociaż w głowie miała kompletną pustkę. Słowa, które artykułowała, były poprawnie dobrane, dla niej jednak całkowicie pozbawione treści.

- Gdzie dokładnie się pani znajduje?

- W sypialni - odpowiedziała Debora.

- Chodziło mi o adres.

- Naturalnie. Przepraszam. - Znowu poczuła się jak idiotka i ponownie powróciło odrętwienie. - Muzeum Druid Hills, Deerborne Street sto czterdzieści trzy. Rezydencja, z której teraz dzwonię, jest połączona z muzeum. Najlepiej, jeżeli przyjdziecie właśnie od strony galerii. To znaczy, nie miałam na myśli pani, ale tego, kto się zjawi...

- Uhm - mruknęła funkcjonariuszka. - Jeżeli pani zechce, może poczekać na policję przy wejściu. Czy to daleko od miejsca, z którego pani dzwoni?

- Tak. Raczej daleko.

- Uhm... A ten mężczyzna, który do pani telefonował, czy to ktoś znajomy?

- Nie.

- Czy w budynku jest jakieś bezpieczne pomieszczenie, gdzie mogłaby się pani ukryć do chwili przybycia funkcjonariuszy?

- Chyba tylko łazienka - odparła Debora. Kiedy zdała sobie sprawę, z jaką powagą policjantka traktuje telefon od tajemniczego nieznajomego, ogarnęła ją fala paniki.

- Czy jest tam porządny zamek, a drzwi są dość solidne?

- Tak, ale żeby iść do łazienki, muszę się rozłączyć. To nie jest bezprzewodowy telefon. Mam jednak komórkę i mogę z niej zadzwonić, jeżeli...

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Czy poza tym dobrze się pani czuje?

- Tak. Za chwilę odłożę słuchawkę.

- Jest pani pewna, że nic pani nie dolega?

- Jestem.

- W takim razie proszę się starannie zamknąć w łazience, dobrze?

Debra potaknęła, po czym się rozłączyła i przysiadła na skraju łóżka, wpatrując się w drzwi łazienki. Po chwili wstała, postąpiła parę kroków naprzód i ponownie zajrzała do zalanego łagodnym światłem ukrytego pokoju. Nie chciała patrzeć na leżące na podłodze zwłoki, rozejrzała się więc po ścianach i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak imponującą - nie, jak niewyobrażalną - kolekcję zgromadził tutaj Richard.

8.

Nawet nie podchodząc bliżej, widziała, że znajdują się tu naczynia podobne do tego, którego fragment znalazła w sypialni. Jedna z gablót była otwarta, a na szklanej półce wyraźnie rzucało się w oczy puste miejsce. Debora zerknęła w dół. W mrocznym kącie, mniej więcej metr od kwadratu światła rzucanego przez centralny reflektor, leżały porozrzucone ceramiczne szczątki. Niektóre były tego samego, delikatnie turkusowego koloru co odłamek spod łóżka.

Debora tkwiła nieruchomo w jednym miejscu, starając się nie zerkać na ciało (Pod żadnym pozorem nie wolno ci na nie patrzeć!), i błędziła wzrokiem po pokoju. Oszołomienie narastało, w miarę jak docierało do niej, co naprawdę umieszczono w gablottach. Był tam złoty kielich o dwóch wdzięcznie wyginających się ponad brzeg naczynia uchwytych zwany, zdaje się, *kantaros*; cztery płytkie misy, na których widniały stylizowane lwy; a także dwie pieczęcie, również ze złota. Nieopodal znajdowała się wąska, kamienna płyta - zapewne stela grobowa - a na niej relief wyobrażający woźnicę w rydwanie; obok srebrna czara z inkrustacjami w kształcie byczych głów, sznury paciorków ze szkła i polerowanego kamienia, i znowu złoto: naszyjniki, wisiory, diademy, pierścienie oraz szpile do włosów - wszystkie misternie cyzelowane i zdumiewające przepychem. Trzy gablotty były wypełnione ceramiką - od kraterów malowanych w wymyślne, geometryczne wzory po eleganckie w rysunku wazy i amfory z przedstawieniami scen polowania i postaci wojowników. W ostatniej gablocie leżały groty oszczepów, miecze oraz sztylety inkrustowane złotem i szlachetnymi kamieniami, wąskie i eleganckie w swojej utylitarnej prostocie, o ostrzach z brązu, pokrytych zieloną patyną starości, ale jakimś cudem nigdzie niewyszczerbionych...

Jeżeli to autentyki...

Nic nie wskazywało, by miało być inaczej, poza jednym, oczywistym faktem. W ukrytym pomieszczeniu zgromadzono czterdzieści, może pięć-

dziesiąt eksponatów. Gdyby okazały się tym, na co wyglądały, byłyby to największa, najwspanialsza kolekcja egejskich, a dokładniej mykeńskich wytworów kultury materialnej, znajdujących się poza murami Muzeum Archeologicznego w Atenach. Nie dałoby się oszacować ich wartości - takie skarby są bezcenne.

A więc muszą to być falsyfikaty.

Prywatna kolekcja takich autentyków po prostu nie mogła istnieć. Większość twierdź archaicznej Grecji przekopano i splądrowano jeszcze w zamierzczłej przeszłości. Natomiast wszystkie nowożytnie znaleziska z Myken, Tyrynsu i minojskich stanowisk na Krecie skatalogowano, starannie opisano i przebadano, a ich fotografie zamieszczono w tysiącach książek poświęconych historii i sztuce. Nieprawdopodobne więc, by zbiór takiej klasy był całkowicie nieznanym współczesnej archeologii.

Z drugiej strony Debora, wodząc wzrokiem po gablotach, nabierała pewności, że nie patrzy na kopie powszechnie znanych i udokumentowanych eksponatów. Oczywiście nie należała do ekspertów w dziedzinie sztuki egejskiej, w żadnym więc razie nie byłaby w stanie bezbłędnie zidentyfikować każdego naczynia kiedykolwiek odkopanego w Mykenach, widziała jednak wszystkie najszlachetniejsze zabytki, stąd miała pewność, że w tym niewielkim pomieszczeniu znajdują się przedmioty równie wspaniałe i bogato zdobione jak te powszechnie znane. Zdawała sobie również sprawę, że okazy zgromadzone przez Richarda różniły się od skatalogowanych eksponatów - miały wszelkie cechy dzieł rzemiosła mykeńskiego, ale nikt ich wcześniej nigdzie nie wystawiał. Debora zatrzymała wzrok na sztylecie z brązu, ustawionym na delikatnej, przezroczystej podstawie, po czym pochyliła się, by dokładniej obejrzeć szczegóły. Wzdłuż klingi z brązu dwa lwy, wykonane ze złotych i srebrnych płytek, ścigały jelenia, a dynamizm sceny i artyzm rzemieślnika wprost zapierały dech w piersiach. Ta broń liczyła sobie trzy i pół tysiąca lat, jednak do tej pory żaden z uznanych archeologów nie widział jej na oczy. Tego jednego Debora była całą. Żaden z uznanych archeologów...

Co to w istocie oznaczało? Nagle poczuła, że ogarnia ją przerażenie - mroczne, gęstniejące w żołądku, drażniące ostro niczym tłuczone szkło. „Uznani” znaczyło przede wszystkim działający zgodnie z wymogami etyki. Wobec tego - jeżeli miała przed oczami autentyki - musiały one pochodzić z grabieży. Przewożono je w sekrecie, handlowano nimi poza wiedzą i zgodą społeczności archeologów, egoistycznie upychano po tajemnych pomieszczeniach, a ich uroda i walory historyczne cieszyły oczy jedynie prywatnego kolekcjonera. Przerażenie i straszne rozczarowanie pozbawi-

ły Deborę energii, wypaliły w środku, a nawet sprawiły, że łyzy wreszcie przestały płynąć.

- Richardzie - wyszeptwała ze znużeniem - coś ty najlepszego zrobił?

I jak mogłeś mi o tym nie powiedzieć?, odpowiedział zawzięty, pełen urazy głos, którego jednak nie miała ochoty słuchać.

Przypomniała sobie natomiast często wygłaszane przez Richarda stwierdzenie - zdanie iście w stylu Indiany Jonesa. „Miejsce zabytkowych obiektów jest w muzeum”. Nic dodać, nic ująć. Owo wspomnienie powinno wywołać ironiczny uśmiech, ale uczucie skręcające trzewia przerodziło się tymczasem w dojmujący smutek. Debora raz jeszcze spojrzała na Richarda, bladego i dziwnie obcego, półnagięgo i poznaczonego ohydłą, rdzawą czerwienią zakrzepłej krwi.

Byłeś mi przyjacielem, byłeś mi mentorem, byłeś mi...

Nie mogła się zdobyć, żeby dorzucić „ojcem”. Ukrywanie przed nią takiej tajemnicy to oczywisty akt zdrady - zdrady wobec niej samej, wobec wyznaczanych przez nią wartości i wobec tego, co próbowali wspólnie osiągnąć.

Chyba że...

Czy to możliwe, aby Richard nabył tę kolekcję czarnorynkowymi kanałami z zamiarem przekształcenia jej w stałą ekspozycję muzeum? Deborze aż zabrakło tchu w piersi na tę myśl. Jej przyjaciel był ostatnio nieobecny duchem i dziwnie skryty. Ale za ową skrytością wyraźnie się kryło wyczekiwanie. Czyżby wobec tego tajemny pokój był jedynie tymczasowym miejscem przechowywania skarbów - ukrycia ich do chwili, aż adwokaci uporają się z prawnymi zawiłościami umożliwiającymi zalegalizowanie kolekcji, a tym samym udostępnienie jej szerokiej publiczności? To dopiero byłoby mistrzowskie posunięcie!

Rzecz w tym, że sekretne pomieszczenie nie nosiło żadnych znamion tymczasowości. Czas więc porzucić nadzieję oraz idealistyczne rojenia i w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Richard wdał się w konszachty z przestępcami handlującymi pokątnie dziełami sztuki i w pewnym momencie czymś im się naraził. Bo jakże inaczej zinterpretować oczywiste dowody?

Problem w tym, że owe dowody wciąż się znajdowały na miejscu. Co sprawiło, że napastnicy nie zabrali kolekcji ze sobą? Jeżeli były to parachunki związane z nielegalną transakcją, dlaczego mordercy Richarda postanowili zrezygnować z odzyskania tak niewyobrażalnie cennych przedmiotów? Zakładając, że...

Nieznaczny szmer sprawił, że Debora gwałtownie się odwróciła - akurat w chwili, gdy gałki w drzwiach sypialni zaczęły się obracać. Bardzo powoli. I niemal bezszelestnie.

9.

Deborze pozostało zaledwie parę sekund na działanie, a na domiar złego wszystkie dostępne opcje wydawały się wysoce ryzykowne. Kiedy jednak drzwi sypialni nieznacznie się uchyliły, bez namysłu rzuciła się na ziemię i wturlała pod łóżko Richarda.

Przez moment w pokoju panowała idealna cisza. Debora leżała płasko na brzuchu, z nogami zwróconymi w stronę wezłowania, z twarzą oddaloną zaledwie parę metrów od drzwi. Wstrzymywała oddech i pilnie nasłuchiwała. Nikt nie wkroczył zamasyście do sypialni, nie rozległ się tupot ciężkich, policyjnych butów. Ktokolwiek więc zakradł się do środka, nie miał prawa tu przebywać.

Debora zaczęła żałować, że jednak się nie zamknęła w łazience.

Tymczasem przywierała płasko do podłogi. Wielka kapa niemal na całej długości łóżka spływała aż do ziemi i choć dzięki temu kamuflowała ową w gruncie rzeczy dziecianną kryjówkę, jednocześnie uniemożliwiała obserwację pokoju. Wyjątkiem było jedno miejsce, na wysokości talii dziewczyny, gdzie kapa wygięła się nieznacznie w literę V, kiedy Debora wtaczała się pod łóżko. Dostrzegłszy tę niewielką lukę, zaczęła powoli wykręcać szyję, aż w końcu udało jej się co nieco zobaczyć.

Dywan. Noga stołu. Przyćmione światło dobiegające z pomieszczenia za półkami. Odrzucone w bok ramię Richarda.

To szaleństwo. Natychmiast wyłaż spod łóżka.

Nie. Ów ukradkowy sposób otwierania drzwi i wślizgiwanie się cichaczem do pokoju nie zachęcały do aktów odwagi.

Minęła długa chwila, zanim w sypialni rozległy się jakiegokolwiek odgłosy - tak długa, że Debora zaczęła nawet rozważać, czy intruz przypadkiem się nie rozmyślił i nie wycofał spod drzwi. Jednak kiedy już zamierzała opuścić kryjówkę, usłyszała cichutki świst, a może raczej przeciągłe wes-

tchnienie. Przesunęła się jeszcze kawałek, by poszerzyć pole widzenia. Z początku niewiele to dało, lecz po pewnym czasie osoba znajdująca się w pokoju postąpiła zdecydowanie w przód i wówczas oczom Debory ukazały się białe tenisówki z firmowym znakiem Nike na pięcie. Kobięce tenisówki. Zwrócone nosami w stronę sekretnego pokoju, w którym wciąż leżało ciało Richarda. Podczas gdy Debora wpatrywała się intensywnie w biel miękkich butów, tajemnicza osoba stanęła na palcach, wychylając się do przodu, jakby chciała się czemuś uważniej przyjrzeć.

Po chwili stopy się obróciły, ruszyły w stronę wyjścia i zniknęły. Rozległ się cichy stukot otwieranych, a potem zamykanych drzwi i odgłos oddalających się kroków. Ktokolwiek tu był, już się nie skradał. Debora usłyszała także jeszcze inne, chociaż przytłumione dźwięki - męskie głosy, zapewne dochodzące z foyer. A więc wreszcie zjawiała się policja.

Jednym energicznym ruchem wytoczyła się spod łóżka, wygładziła dłońmi ubranie i wyszła na korytarz. Na podeście schodów, czekając na wchodzących policjantów, stała Tonya, sprzątaczką, w idealnie białych tenisówkach Nike, które bez wątpienia dostała w prezencie od córki lub siostrzenicy. Usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi, czarnoskóra kobieta gwałtownie się odwróciła z szeroko rozwartymi ze zdumienia ustami, po czym obrzuciła Debore spojrzeniem pełnym nieskrywanej wrogości.

10.

Obie kobiety w milczeniu mierzyły się wzrokiem, chwilowo niepomne obecności mundurowych policjantów, którzy przezornie anonsowali swoje nadejście donośnymi głosami. Było ich dwóch: jeden łysy i gruby, chociaż pewnie nie miał jeszcze trzydziestki, drugi zaś - czarnoskóry i smukły.

- Panna Miller? - odezwał się łysy.

- Tak - odpowiedziała Debora, niechętnie odwracając się od Tonyi.

- To tam. - Wskazała na sypialnię.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia, po czym łysy funkcjonariusz ruszył w stronę drzwi. Nie było go zaledwie pół minuty, czas ten jednak wydawał się Deborze wiecznością pulsującą martwą ciszą. Drugi z policjantów kręcił się bez celu, wyraźnie speszony, chociaż trudno powiedzieć, czy z powodu obecności dwóch kobiet, czy raczej jednego denata. W końcu zaczął coś mówić, ale Debora nie zwróciła uwagi na jego słowa, bo zaabsorbowały ją głosy dochodzące z radiotelefonu grubego policjanta akurat wychodzącego z sypialni. Deborze wydawało się, że mężczyzna mocno pozieleniał na twarzy, chociaż robił, co mógł, żeby zachować kamienny wygląd. Jakie to niezwykle, pomyślała. Nią samą tak bardzo zawładnęła rozpacz, że zmasakrowane ciało Richarda nie wzbudziło w niej ani przerażenia, ani odrazy.

- Pomyślałam, że czas się zabrać do pracy - tłumaczyła tymczasem Tonya. - Wiedziałam, że czeka mnie dziś dużo sprzątania. Wczorajszego wieczoru w muzeum odbywało się przyjęcie.

- A pani, panno Miller?

- Słucham? - Debora zwróciła się w stronę czarnoskórego policjanta, który trzymał w dłoni notes, patrząc na nią z niepokojem. Zapewne ogarnęło go przerażenie na myśl, że może coś pokręcić w procedurach, pomyślała Debora i niespodziewanie obudziło się w niej współczucie.

- Ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, że powinnam natychmiast wrócić do muzeum - wyjaśniła. - Tuż przed trzecią, o ile się nie mylę.

Teraz dochodziła czwarta. A Tonya zamierzała się zabrać do pracy?!

- Czy znała pani dzwoniącego?

Debora zaprzeczyła, po czym dokładnie zrelacjonowała swoje poczynania, a także opisała, w jaki sposób odnalazła zwłoki. Podczas gdy przedstawiała wydarzenia, Tonya za wszelką cenę próbowała ukryć, jak pilnie chłonie każde słowo.

- I nigdy wcześniej nie widziała pani pokoju ukrytego za półkami?

- Łysy policjant dołączył do kolegi i natychmiast przejął inicjatywę.

- W ogóle nie miałam pojęcia o jego istnieniu.

- Ani ja - ochoczo wtrąciła Tonya, nie patrząc Deborze w oczy.

- Minie trochę czasu, zanim dotrze tu ekipa dochodzeniowa - wyjaśnił łysy. - Czy moglibyśmy na nich poczekać w jakimś przyjemniejszym miejscu?

Zostawili czarnoskórego funkcjonariusza na straży przed drzwiami sypialni i zeszli na parter, gdzie Debora wskazała na wejście do salonu. Obie kobiety przysiadły na fotelach z epoki królowej Anny, po czym w milczeniu wbiły wzrok w ścianę, natomiast opasły policjant przechadzał się po pokoju, od czasu do czasu koncentrując uwagę na którymś z obrazów lub bibelotów, czy też zapisując coś w notesie, jakby sam sobie chciał udowodnić, że w gruncie rzeczy jest przenikliwym detektywem, a nie najzwyczajniejszym mundurowym. W końcu, po dwudziestu minutach, rozległ się trzask frontowych drzwi i do salonu dotarła kakofonia głosów armii kryminologów oraz techników wchodzących tłumnie do budynku, obciążonych niezbędnym sprzętem.

- Chyba będzie lepiej, jak wrócimy na górę - stwierdził policjant.

- Na wypadek gdyby ktoś chciał z paniami porozmawiać.

Sprawił wrażenie nieprzekonanego o słuszności własnej decyzji, niemniej obie ruszyły za nim bez sprzeciwu. Na podeście piętra usiadły w fotelach o wysokich zagłówkach, funkcjonariusz zaś zniknął z pola widzenia, zapewne by się skonsultować z kimś, kto tu dowodził.

- Bardzo mi przykro z powodu Richarda. - Tonya wypowiedziała te słowa sucho, niemal obcesowo, jakby wbrew samej sobie zdecydowała się na konieczne ustępstwo.

Debora jedynie skinęła głową, bo tak naprawdę nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Tonya doskonale się wywiązywała z obowiązków sprzątaczkii, w zasadzie aż za dobrze, i z dumą podchodziła do swojej pracy, dając przy tym do zrozumienia, że działalność samego muzeum z jej punktu widzenia jest poważną niedogodnością. Była nieustępliwa, niczego nie

owijała w bawełnę i chociaż wykonywała pracę, która ze swej natury polegała na wypełnianiu poleceń, reagowała alergicznie, kiedy wydawano jej jakiegokolwiek dyspozycje.

Kiedy ty je wydawałaś, doprecyzował wewnętrzny głos Debory.

Bo wobec Richarda Tonya zachowywała się z pełną rewerencją wręcz graniczącą z potulnością. Natomiast serdecznie nie znosiła Debory. Pewnie dlatego, że jej nominalna szefowa była młodsza i biała, chociaż za wrogością Tonyi kryło się jeszcze coś innego, coś wyraźnie osobistego. Zastanawiające, że w dzień śmierci Richarda Tonya w środku nocy myszkowała w jego sypialni...

Nie myśl o tym. Pozostaw śledztwo detektywom.

Debora westchnęła i z rezygnacją skupiła wzrok na uwijających się wokół kryminologach i technikach uzbrojonych w aparaty fotograficzne, kamery, foliowe woreczki na dowody oraz szpule żółtej policyjnej taśmy. Od czasu do czasu funkcjonariusze - bo w ekipie byli sami mężczyźni - wymieniali przyciszonymi głosami jakieś uwagi i spoglądali spod oka na obie kobiety. Żaden jednak do nich nie podszedł, nikt z nimi nie porozmawiał, o nic nie zapytał, aż w końcu Debora poczuła się jak widz na dziwnie intymnym, surrealistycznym spektaklu. Przez pół godziny członkowie ekipy pojawiali się i znikali, gawędzili między sobą i sporządzali notatki, podczas gdy w sypialni raz po raz ostrym światłem rozbłyskały fotograficzne flesze. I przez cały ten czas nikt nie wykazał najmniejszego zainteresowania Debora czy Tonyą.

Po kolejnych dwudziestu pięciu minutach pojawiła się kobieta - tęga, wylewna funkcjonariuszka, która z miejsca zaproponowała Deborze szklankę wody, a potem robiła, co mogła, żeby odwrócić jej uwagę od zwłok - zwłok Richarda - wywożonych z sypialni na stalowym, obciążonym plastikiem wózku. Mężczyzna - zapewne patolog - prowadził ożywioną rozmowę z detektywem, który najprawdopodobniej tutaj dowodził. Lekarz rozsunął dłonie na odległość trzydziestu kilku centymetrów, a potem rozstawił kciuk i palec wskazujący na szerokość odpowiadającą długości nakłuć na piersi Richarda.

Narzędzie zbrodni.

- Panno Miller? - zwrócił się detektyw do Debory, jak tylko patolog pospiesznie się oddalił. - Teraz wreszcie możemy spokojnie porozmawiać. - Skinął głową w stronę Tonyi. - Proszę, z łaski swojej, jeszcze chwilę po czekać. Wkrótce i pani ktoś zada kilka pytań.

Mężczyzna był wysoki - przynajmniej wzrostu Debory - atletycznej budowy, o szerokich ramionach, ciemnych włosach i wyraźnej opaleniznie.

wątku, nie miała jednak ochoty rozważać, czemu ona tak nie uważała.

- Detektyw Chris Cerniga - przedstawił się policjant. - Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy weszli do sypialni?

Powiedział to miękkim głosem, jakby się obawiał, że szok wywołany powrotem na miejsce zbrodni mógłby ją przyprawić o atak hysterii, stracił jednak rezon, gdy Debora podniosła się z fotela, objawiając swój imponujący wzrost, i bez namysłu minęła czarnoskórego, umundurowanego funkcjonariusza wciąż pełniącego straż przy drzwiach. Detektyw wyprężył się, bardziej niż było to konieczne, i podążył za nią. W pokoju znajdował się jeszcze jeden mężczyzna - niski, łysiejący, w poplamionym, poliestrowym garniturze. Pochłonięty był jednak oględzinami biblioteczki i nie raczył choćby zerknąć w stronę wchodzących.

- Dave - przywołał go do porządku Cerniga.

Drugi detektyw powoli się odwrócił, żeby obejrzeć świadka, po czym na chwilę utkwiał wzrok w Deborze. Wyraźnie się nie spodziewał jej obecności w tym miejscu, chociaż dlaczego, nie umiałaby powiedzieć.

- Panna Miller - oznajmił Cerniga. - To ona znalazła ciało.

- Detektyw Keene - przedstawił się łysiejący mężczyzna, nie wyciągając w stronę Debory ani ręki, ani odznaki. Prawdę mówiąc, gdy już zaszczycił ją spojrzeniem, dał jasno do zrozumienia, że Debora nie zasługuje na jego dalszą uwagę; odwrócił się z powrotem w stronę półek i skoncentrował na studiowaniu tytułów.

- Zdaję sobie sprawę, że to bardzo przykre - zagaił Cerniga - ale mam nadzieję, że zdoła pani odpowiedzieć na kilka pytań.

Debora skinęła głową w milczeniu. Sypialnia Richarda wyglądała tak samo jak wtedy, gdy z niej wychodziła. Sekretny pokój za półkami wciąż stał otworem, a z gablot mieszczących skarby nadal płynęła łagodna poświata. Tylko zwłok już nie było. W miejscu, gdzie przedtem leżał Richard, widniały jedynie wiele mówiące plamy, pobłyskujące ciemnym karminem w blasku intrygująco umieszczonego reflektora, którego światło kładło się na podłodze kwadratem, okalając ślady krwi. Wejście do niewielkiego pomieszczenia zostało ogrodzone policyjną taśmą. Debora miała wrażenie, że patrzy na całą tę scenę oczami kogoś obcego lub doświadcza dziwnego snu na jawie, w którym świat uległ def-

- Czy w muzeum znajduje się jakaś rytualna broń?

Głos Cernigi przywołał ją do rzeczywistości.

- Rytualna? - Pytanie całkowicie zbiło ją z tropu. - W jednej z gablot na dole leży kamienny tomahawk...

- Nie. Miałem raczej na myśli broń o wąskim ostrzu - jak sztylet czy może miecz.

Przez chwilę stała z lekko otwartymi ustami, a gdy wreszcie do niej dotarło, o co w gruncie rzeczy pyta ją Cerniga, gwałtownie się zarumieniła.

- Ach, tak. Oczywiście. Nie. Nie mamy tu nic takiego. Przykro mi. Nie miała pojęcia, czemu powiedziała, że jej przykro. I dlatego drżały jej dłonie. Cerniga tymczasem skoncentrował się na swoich notatkach.

- Ciężka noc dla chłopaków z sądówki i laboratorium - odezwał się gliniarz, który przedstawił się jako Keene, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Słucham? - Debora nie bardzo pojęła jego słowa.

- To drugie zabójstwo dzisiejszego wieczoru. - Keene wzruszył ramionami. - Pierwsze popełniono w sąsiednim kwartale. Ofiarą też był starszy gość. - Powiedział to takim tonem, jakby ustalał menu na śniadanie.

- Czy te zabójstwa są ze sobą powiązane? - spytała Debora, oszołomiona zarówno samą wiadomością, jak i nonszalancją w głosie detektywa.

- Nieee. Kompletnie różne metody działania.

- Powiedziała pani funkcjonariuszowi stojącemu przed drzwiami, że nigdy wcześniej nie widziała pomieszczenia za półkami, czy tak? - odezwał się Cerniga, podnosząc wzrok znad notesu.

- Tak.

- I przypadkiem natknęła się pani na ten pokój właśnie dzisiejszej nocy? - wtrącił ironicznie Keene.

W jego spojrzeniu było coś, co ją zmroziło - arogancka pewność siebie i podejrzliwość zarazem.

- Nie przypadkiem - sprostowała. - Szukałam Richarda - pana Dixona - dlatego weszłam do jego sypialni. Podniosłam z podłogi kawałek ceramiki i wówczas zauważyłam ślad smaru u podnóża półek...

Wyciągnęła przed siebie wklęsły odłamek, który - nawet nie zdając sobie z tego sprawy - trzymała w dłoni od chwili, gdy się rozpoczął ten koszmar. I dopiero kiedy detektywi wbili w nią pełen niedowierzania wzrok, zrozumiała, że popełniła błąd.

- Przepraszam - wydukała. Po raz kolejny tej nocy poczuła się jak idiotka. - Zapewne powinnam to oddać policjantom, którzy pierwsi się zjawili w rezydencji. Lub zostawić na swoim miejscu...

- Co pani powie? - Głos Keene'a ociekał sarkazmem.

- Gdzie leżał ten odłamek? - Cerniga z trudem powściągał irytację.

Debora wskazała jego dokładne położenie.

- Coraz lepiej! - warknął Keene. - A więc naruszono integralność miejsca zbrodni!

- Co to jest? - spytał Cerniga, lekceważąc oburzenie kolegi.

- Proszę?

- Ten ceramiczny odłamek. Co to takiego?

- Fragment wazy lub dzbana - odparła, odwracając się od Keene'a.

- Zdaje się, że bardzo wiekowego, choć może to być falsyfikat. Jeśli nie, najprawdopodobniej pochodzi z Grecji. Z Myken.

- Z Grecji? - Cerniga wydawał się... jaki? Zaintrygowany? Zaskoczony?

- A gdzie reszta? - zapytał Keene.

- Tam, jak mi się zdaje.

Wskazała na róg sekretnego pokoju, gdzie leżały inne porzrzucone kawałki.

- Czy to jest coś warte? - Cerniga zerknął na roztrzaskane szczątki.

- Zależy - odparła Debora. - Jeżeli mamy do czynienia z falsyfikatem, to nic. Natomiast jeśli z autentykiem... z rzeczywiście starą ceramiką... to zupełnie inna historia.

- Mimo że trzeba by to wszystko posklejać? - dociekał Cerniga.

- Niemal wszystko z tamtego okresu wymaga sklejania. Jeżeli zrobiono by to fachowo, naczynie nadal byłoby wiele warte.

- Ile? - wszedł jej w słowo Keene z wdziękiem nosorożca.

- Trudno powiedzieć.

- Niech pani strzela.

- Musiałabym zobaczyć tę wazę po renowacji. Wiele zależałoby od jej kształtu i wielkości...

- Powiedziałem: „niech pani strzela”. Co to ma być, do cholery, jakieś pieprzone „Targowisko antyków”?

- Tysiące - odparła, wzruszając ramionami. - Dziesiątki tysięcy. Może więcej.

- Za coś takiego? - Keene był wyraźnie oszołomiony.

- Za posklejane naczynie mykeńskie, o ile to nie falsyfikat.

- Mykeńskie?

- Z Myken epoki brązu. Ze starożytnej Grecji.

- A epoka brązu to jakie lata? - znowu wtrącił się Cerniga.

- Od trzytyśczonego do tysiąc dwusetnego roku przed naszą erą - wyjaśniła Debora. - Mniej więcej.

Przez parę sekund obaj detektywi wpatrywali się w odłamek trzymany przez Keene'a z niekłamana rewerencją i Debora - muzealnik duszą i ciałem - nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- A... ta cała reszta? - Cerniga szerokim gestem wskazał na wiszące gabloty. - Czy też pochodzi z epoki brązu? Jest również myk...?

- Mykeńska - podsunęła Debora. - Tak wygląda, ale...

- Ale co? - rzucił Keene wojowniczo, jakby podejrzewał, że ma przed sobą pedantyczną profesjonalistkę, która zamiast przejść do sedna, zabawia się dzieleniem włosa na czworo.

- Trudno mi uwierzyć, że to autentyki. Musiałyby być gdzieś opisane, wcześniej wystawiane. Na taką kolekcję nie sposób się natknąć przypadkiem.

- Jeśli jednak założymy, że mamy do czynienia z autentykami - Cerniga nie dawał za wygraną - jak wiele byłby wart ten zbiór?

- Setki milionów. Miliardy. W zasadzie nie sposób wycenić kolekcję takiej klasy.

W pokoju zapanowała głucha cisza. Detektywi wodzili wzrokiem po ceramicznych naczyniach i wyrobach ze złota i brązu, matowo pobłyskujących w łagodnym świetle gablot. Był to niemal sakralny akt - niczym samotna kontemplacja, której jeden jedyny raz Debora oddała się wiele lat po śmierci ojca, przeżywając w świątyni chwile nabrzmiałe wspomnieniami, oszołomieniem, a przede wszystkim smutkiem.

Czyżby w tej sprawie chodziło jedynie o pieniądze? Czy dlatego zginął Richard?

- Pozostaje jeszcze kwestia tego słowa. - Cerniga sprowadził Debore z powrotem do teraźniejszości, podsuwając jej pod nos bloczek z szafki nocnej Richarda, teraz zapakowany w polietylenowy woreczek. - „Atreusz”. Czy ma jakiś związek z osobistym życiem pana Dixona lub prowadzoną przez niego działalnością? Może pani się z czymś kojarzy?

Debora pokręciła głową.

- Jedynie z legendami.

11.

Pozwolili jej jechać do domu o piątej czterdzieści pięć, z góry zapowiadając, że gdy wypocznie, będą chcieli z nią ponownie porozmawiać. Debora zostawiła numer domowego telefonu i poinformowała, że całe popołudnie spędzi w muzeum. Po raz drugi tej nocy wyszła na parking i wsiadła do samochodu, ale jakże obie te chwile różniły się od siebie.

Richard. Na Boga, nie miała pojęcia, co pocznie, gdy już w pełni do niej dotrze, że odszedł na zawsze. W tej chwili czuła tylko dziwną pustkę w sercu, jakby pozbawiono ją części niej samej i to tak szybko i gwałtownie, że Debora jeszcze nie umiała zdecydować, co naprawdę się z nią dzieje. Ale emocje wkrótce się pojawiają - palące, bolesne, pozostawiające blizny na całe życie.

A co potem?

Czy uda jej się prowadzić muzeum gładko, sprawnie, jak gdyby nic się nie stało? To byłoby straszne. W tej chwili zdawało się jej, że nigdy nie chciałaby dożyć dnia, kiedy będzie się zajmować pracą, nie myśląc przy tym nieustannie o człowieku, któremu tę pracę zawdzięczała. Wyzwalanie się z rozpaczki wymagało przynajmniej częściowego zapomnienia, a to wydawało się Deborze niewybaczalnym aktem nielojalności.

Wciąż jeszcze panował mrok, gdy dojechała do niskich apartamentowców na tyłach Juniper. Zaparkowała pod wiekowym, kwitnącym na biało dereniem i ruszyła w stronę swojego mieszkania, ledwo rejestrując cykanie świerszczy i ciężką wilgoć upalnego powietrza. Przeszła przez furtkę z kutego żelaza oraz wąski pasaż – niezadaszony, ale gęsto obrośnięty od góry pnączami wistarii. Już gdy dochodziła do furtki, poczuła wokół siebie różne aromaty, ale dopiero kiedy znalazła się w mrocznym, ceglany korytarzu, zaczęła rozróżniać poszczególne wonie. I właśnie miała wsunąć klucz w zamek, gdy odruchowo zawiesiła dłoń w pół gestu. Nie

wszystkie bowiem zapachy były swojskie i znane - uderzył ją nieoczekiwanie pikantny aromat egzotycznego likieru czy może wody kolońskiej i jeszcze coś poza tym: nieznaczna, słodkavo-korzenna woń tytoniu fajkowego, gwałtownie przywołująca wspomnienia o ojcu.

Zaczekaj.

Debora zastygła w bezruchu i ostrożnie pociągnęła nosem, jakby unosząca się smużka zapachu mogła być silnie trująca, i wówczas znowu poczuła tamten specyficzny, słodko-korzenny aromat - tym razem jeszcze wyrazistszy i ostrzejszy. Ona sama nigdy nie paliła i na palcach jednej ręki zdołałaby policzyć, ile razy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy skrapiała się perfumami. Nieco częściej nakładała makijaż, chociaż też zdarzało się to sporadycznie. Ubiegłego wieczoru zamierzała się umalować i wyperfumować, jednak nie zrobiła ani jednego, ani drugiego, bo pomiędzy kojeniem nerwów Richarda, pacyfikowaniem Tonyi i poganianiem pracowników firmy cateringowej nie znalazła czasu, żeby

W wąskim pasażu obrośniętym winoroślą widniały jeszcze jedne drzwi, prowadzące do drugiego położonego na parterze apartamentu. Mieszkała w nim niejaka pani Reynolds, stateczna wdowa, która - o ile Deborze było wiadomo - nigdy nie wracała ani nie wychodziła po zmroku i tego samego wymagała od swoich gości.

Debora powoli, z chirurgiczną precyzją wsunęła klucz w zamek, podświadomie napinając wszystkie mięśnie. Parne powietrze Atlanty wydawało się teraz jeszcze cięższe niż zwykle, a cykanie świerszczy niespodziewanie rozbrzmiało przenikliwym echem po mrocznym korytarzu. Cicho, ostrożnie przekręciła klucz, aż usłyszała znajome kliknięcie i poczuła pozorną nieważkość drzwi, gdy puściła zapadka zamka. W salonie panowała całkowita ciemność.

Ani kroku dalej.

Nie weszła. Wciąż stojąc przed progiem, raz jeszcze pociągnęła nosem.

Rozpoznała zapach wczorajszej kolacji - makaronu przyprawionego hojnie czosnkiem i bazylią, z pewnością już niejadalnego, bo pozostawionego na kuchence. Poczuła też słodkavo-ziemistą woń - przywodzącą na myśl ciepłą - wydzielaną przez rośliny doniczkowe znajdujące się przez cały upalny dzień w zamkniętym pomieszczeniu. A poza tym... lekki aromat wody kolońskiej oraz tytoniu.

Uciekaj!

Obróciła się na pięcie i nie zamykając mieszkania, szybkim krokiem podążyła w stronę zielonej toyoty. Nacisnęła guzik pilota. Światła samo-

chodu zamrugały i centralny zamek z cichym szurgotem zwolnił blokady drzwi. Debora zerwała się do biegu.

Ktoś bez wątpienia był w jej mieszkaniu.

Gwałtownie szarpnęła za klamkę i wskoczyła na siedzenie kierowcy, przy okazji boleśnie uderzając kolanem o kierownicę. Wsunęła kluczyk do stacyjki i przekręciła. Drzwi natychmiast ponownie się zablokowały i rozległ się warkot silnika.

Dzięki Bogu.

Debora włączyła światła i ustawiła samochód tak, by blask przednich reflektorów padał na furtkę i korytarz prowadzący do jej apartamentu. Jasny snop wydobyl z czerni nocy kontrastujące kolory - soczystą zieleń kamelii i cynober cegieł. Z mroku wyłoniła się także męska, biała ręka, chwytająca za kute żelazo furtki.

Zaciskała się na metalu tylko przez parę sekund, a potem zniknęła w zarośniętym pnączami pasażu. Furtka zakołysała się nieznacznie na zawiasach, by po chwili zastygnać w bezruchu.

Debora pospiesznie wrzuciła wsteczny bieg, jednocześnie wystukując numer policji.

12.

Funkcjonariusz w radiowozie ze stroboskopowo migającymi światłami na dachu machnięciem ręki skierował ją ku drzwiom muzeum. Weszła do środka, oddychając miarowo i głęboko, żeby się uspokoić, zanim zacznie składać wyjaśnienia. Policjanci czekali na nią w foyer obok tyranozaura i kobiety o węzowej czy też smoczjej szyi. Debora się spodziewała, że zobaczy wielu mundurowych, tymczasem ujrzała tylko obu detektywów. I Tonyę. Keene, zaczerwieniony na twarzy, posłał Deborze pełne irytacji spojrzenie.

- Wyczuła pani czyjaś obecność w swoim mieszkaniu?

Nie mógł wypowiedzieć pierwszego słowa z większym niedowierzaniem. Ale przynajmniej od razu zdradził, że przyjmujący zgłoszenie funkcjonariusz o wszystkim ich poinformował. I łaska boska, bo Debora nie miała ochoty powtarzać wszystkiego od początku.

- Owszem, byłam w stanie stwierdzić, że ktoś tam przebywał lub przebywa - odparła, spoglądając na Tonyę i zastanawiając się jednocześnie, czy ta kobieta wciąż tu jest, bo nadal składa zeznania, czy też pozostała z całym innym powodem. Tymczasem Tonya gwałtownie się odwróciła i zaczęła wychodzić, posławszy jednak wcześniej Deborze spojrzenie jasno wyrażające: „Wielmożna panienka życzy sobie prywatności? Jeżeli o mnie chodzi, nie ma sprawy”.

- Czy mamy jakąś szansę na kawę? - zawołał za nią Keene.

Tonya zeszywniała - zdawało się nawet, że zeszywniały jej siwiejące włosy splecione ciasno w dziesiątki warkoczyków - i Debora nie miała wątpliwości, że czeka ich gniewna tyrada. Ale nic takiego się nie stało. Tonya jedynie wzruszyła obojętnie ramionami.

- Podejrzewam, że i tak nic innego nie pozwolicie mi tu dzisiaj zrobić - odparła. - Ze śmietanką i cukrem?

Debora uniosła brwi ze zdumienia, tymczasem Cerniga wbił wzrok w kobietę-węża.

- To dopiero okaz - powiedział obojętnym tonem.

- Rzeczywiście - zgodziła się Debora, po czym dorzuciła łagodniejszym tonem: - Richard chciał poddać tę rzeźbę profesjonalnej renowacji. Mnie przychodzi na myśl okładkę albumu „Whitesnake”.

- A mnie się podoba - zdecydował Cerniga z szerokim uśmiechem, wyciągając z wewnętrznej kieszeni notes.

- Dziesięć dolców i jest pańska - oświadczyła Debora i usiadła za stojącym w foyer biurkiem. - Pewnie mam panu opowiedzieć o intruzie w moim mieszkaniu?

- Niekoniecznie. Chyba że chciałaby pani coś dodać do informacji podanych dyżurnemu?

- Nie. Nie wydaje mi się. - Ogarnęło ją zmieszanie.

- Rozumiem, że nie widziała pani tego człowieka?

- Tylko jego rękę na furtce.

- Biały mężczyzna?

- Tak.

Cerniga zastukał długopisem w notes.

- Chętnie natomiast porozmawiałbym z panią o muzeum - stwierdził. - Może w biurze?

Poprowadziła go obok punktu informacyjnego, toalet i księgarni (w zasadzie sklepiku z pamiątkami, Richard jednak nalegał, by większość „pamiątek” stanowiły książki), do której przylegało biuro. Znajdowały się tam dwa biurka, na nich komputery, a poza tym biblioteczka, metalowa szafka na dokumenty i drukarka. Nad resztą pokoju dominował mahoniowy stół konferencyjny, wypolerowany na wysoki połysk, wokół którego stało osiem krzeseł. Ledwo Debora i Cerniga usiedli przy stole, w progu pojawił się Keene, mamrocząc coś do stojącego w korytarzu mundurowego. Kiedy w końcu wszedł do środka, nawet nie spojrzął na Deborę.

- Właściwie nie mam wiele do powiedzenia - oznajmiła, patrząc, jak Keene prześlizguje się wzrokiem po wiszących na ścianach plakatach (jeden reklamował wystawę sztuki prekolumbijskiej, drugi - ekspozycję prac lokalnych fotografików) z kwaśną, zniesmaczoną miną pobożnego wika-rego kartkującego „Playboya”. - Richard był miejscowym promotorem i sponsorem artystów...

Keene prychnął głośno i Debora posłała mu ostre spojrzenie.

- Coś wpadło mi do gardła. - Machnął lekceważąco ręką, rozciągając usta w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- Ponieważ zawsze wysoko sobie cenił sztukę, kulturę i edukację...
- Debora starannie dobierała słowa - ..zdecydował się na założenie niewielkiego muzeum. Postanowił także, że nie będzie pobierał opłaty za wstęp. Kolekcja przez niego zgromadzona była... dość eklektyczna.
 - Erotyczna? - Na twarzy Keene'a pojawił się sardoniczny uśmiešek.
 - Eklektyczna - sprostowała z naciskiem.
 - Aaa. Jaka szkoda.
- Debora zwróciła się w stronę Cernigi.
 - Wystawiał wszystko, co uważał za godne prezentacji. Ekspozycje umieszczał w staroświeckich gablotach praktycznie na chybił trafił. Kiedy jednak wycofał się z jednoosobowego zarządzania muzeum, postanowił podnieść jego rangę. Powołał radę nadzorczą i zatrudnił profesjonalnego kustosa...
 - Panią - wtrącił Cerniga.
 - Nie. Ja jestem trzecim kustoszem z kolei. Pracuję tu zaledwie od trzech lat.
 - A pochodzi pani z...
 - Tutaj skończyłam studia, ale urodziłam się w Bostonie, a kształciłam w Nowym Jorku.
 - Uhm, rzeczywiście gada pani jak ktoś z tamtych stron - stwierdził Keene, przesadnie podkreślając miękkość i przeciągłość swojej południowej wymowy. - Choć w pierwszej chwili myślałem, że to kwestia frymuśnego wykształcenia.
- Debora nie wiedziała, jak zareagować na jego słowa. Keene wyraźnie jej nie znoził i chociaż przywykła do faktu, że ludzie niekiedy okazywali jej niechęć, zazwyczaj najpierw musiała na te negatywne emocje jakoś zapracować. Tymczasem ów policjant znienawidził ją od pierwszego wejrzenia.
- W końcu postanowiła, że najrozsądniej będzie skoncentrować się na meritum.
 - Kiedy zaczęłam tu pracować, zabrałam się do porządkowania istniejących zbiorów i pozyskiwania nowych eksponatów - podjęła rzeczowym tonem. - Staralam się organizować czasowe wystawy interesujących zbiorów wypożyczonych z innych placówek. Temu między innymi miało służyć wczorajsze przyjęcie. Jego celem było zebranie dodatkowych funduszy. Zamierzamy pokazać w naszym muzeum kolekcję celtyckich...
 - Jakże fascynujące - przerwał jej Keene pogardliwym tonem. - Może w takim razie poda nam pani nazwiska osób uczestniczących w tej drobnej bibce.
 - Chcielibyśmy ich przepytac i sprawdzic, czy ktos z obecnych przy-

padkiem nie został w muzeum po zakończeniu imprezy lub nie powrócił po jego zamknięciu - wyjaśnił Cerniga przeprasającym tonem.

Do Debory dotarło nagle, że tych dwóch w gruncie rzeczy wcale nie obchodzi śmierć Richarda. Chcieli tylko złapać mordercę i zakończyć śledztwo sukcesem.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła listę gości, którzy potwierdzili udział w przyjęciu.

- Oto nazwiska osób, które odpowiedziały pozytywnie na nasze zaproszenie. Nie jestem pewna, czy wszyscy rzeczywiście się zjawili, chociaż jeżeli uważnie przejrzę ten spis, zapewne zdołam sobie przypomnieć, które z wymienionych tu osób widziałam wczorajszego wieczoru. Na przyjęciu zauważyłam także kilka zupełnie obcych mi twarzy, najprawdopodobniej więc Richard zaprosił jakichś swoich znajomych, ale ich nazwiska nie figurują na oficjalnej liście.

To cały Richard. Najpierw prosił ją o dopięcie spraw organizacyjnych na ostatni guzik, po czym - pod wpływem chwili lub kaprysu - przewracał system do góry nogami... To zawsze doprowadzało ją do rozpacz i jednocześnie rozbawiało.

- A obsługa? - zainteresował się Keene.

- Była tutaj Tonya, a także kilkoro wolontariuszy. Firma cateringowa przysłała własny personel.

- Jak liczny?

- Dwóch barmanów i trzy osoby do roznoszenia przekąsek.

- O której wyszli?

- Tonya dosyć wcześnie. Około dziewiątej, jak mi się zdaje. Gdy się przekonała, że wszystko przebiega gładko, oświadczyła, że na nią czas. Wolontariusze zostali mniej więcej godzinę dłużej. Personel firmy cateringowej skończył pracę kwadrans po jedenastej. Do północy wszyscy goście opuścili muzeum.

- Pani wyszła ostatnia? - upewnił się Keene.

- Tak.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła Tonya z nieśmiałym uśmiechem na ustach. Trzymała w dłoniach dwa kubki z kawą, które uniosła w porozumiewawczym geście, gdy poproszono, by weszła do środka. Postawiła je na stole i przesunęła w stronę detektywów. Na Deborę nawet nie zerknęła, nie zaoferowała jej też niczego do picia. Przez moment Debora rozważała, czy sobie czegoś nie zażyczyć - na przykład tradycyjnego angielskiego śniadania ze wszystkimi szykanami... Choćby tylko po to, żeby ujrzeć wyraz twarzy Tonyi.

A, absurdalny humor. Twoja naturalna reakcja obronna...

Kiedy Tonya zniknęła za drzwiami, Keene zwrócił się w stronę Debory i rozłożył przed nią arkusz papieru, który wyglądał na dokument przesłany faksem.

- Czy kiedykolwiek widziała pani coś podobnego?

Odwracając się ku dokumentowi, Debora dostrzegła kątem oka, że przez twarz Cernigi przebiegł cień irytacji. Detektyw ściągnął gniewnie brwi i szybko spuścił wzrok. Nie ulegało wątpliwości, iż wściekł się na Keene'a za pokazanie Deborze tej kartki.

Widniało na niej zdjęcie... najprawdopodobniej sztyletu o długim, wąskim ostrzu, z krzyżowym jelcem i rękojeścią lekko wygiętą w stosunku do klingi. Gdyby wbić ów sztylet w ciało, opuszczone ku dołowi końce jelca zapewne odcisnęłyby się po obu stronach rany...

.. .pozostawiając niewielkie, symetryczne zasinienia...

Sztylet na zdjęciu znajdował się w pochwie wykonanej najprawdopodobniej z czarnej, sztywnej skóry, u góry i u dołu hojnie okutej błyszczącym metalem, z przytwierdzonym krótkim łańcuchem o masywnych ogniwach, zapewne służącym do zawieszenia ostrza na pasie. Była to elegancka, ale zabójcza z wyglądu broń, chociaż nie tylko to czyniło ją szczególną. U góry rękojeści znajdowała się okrągła, metalowa plakietka z - wytrawionym bądź wytłoczonym - powszechnie znanym symbolem.

- Czy to swastyka? - Debora nie wierzyła własnym oczom.

- Rozumiem, że nigdy wcześniej nie widziała pani podobnej broni?

- Cerniga ponownie zwrócił się w jej stronę i z beznamiętną miną zabrał kartkę.

- Nie, nigdy.

- Nic podobnego nie znajdowało się w zbiorach muzeum?

- Nie.

- Swastyka jest tu bez znaczenia - dorzucił po chwili. - Interesuje nas jedynie kształt sztyletu.

Tym razem to Keene posłał koledze szczególne spojrzenie, chociaż trudno zdecydować, co właściwie wyrażało. Zdziwienie? Powątpiewanie?

Debora już otwierała usta, żeby się odezwać, gdy rozległo się kolejne pukanie do drzwi, tym razem bardziej energiczne, i do pokoju wszedł jeden z umundurowanych funkcjonariuszy.

- Mamy tu faceta, który chce się natychmiast widzieć z panną Miller

- oznajmił. - Twierdzi, że jest adwokatem Dixona.

Debora otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie znała żadnego adwokata i nawet nie wiedziała, że Richard zatrudnił kogoś takiego, chociaż

gdyby się zastanowiła, byłoby dla niej oczywiste, że musiał korzystać z usług prawników.

- Dixon nie żyje - warknął Keene. - Nie potrzebuje więc żadnego cholernego mecenasa.

W jego tonie i spojrzeniu było coś, co zelektryzowało Deborę.

- Czyżbym była podejrzana?

- Ależ skąd - pospiesznie zapewnił Cerniga, Keene natomiast szybko umknął spojrzeniem w bok.

- Poza tym - mundurowy policjant wykorzystał chwilę ogólnego milczenia - dostaliśmy wiadomość od patrolu wysłanego do mieszkania panny Miller. Ani śladu włamania czy przeszukania.

Keene z zainteresowaniem spozjrzał na Deborę.

- O co chodzi? - Nie kryła irytacji. - Myśli pan, że coś mi się przywidziało?

- To była dla pani bardzo ciężka noc odpowiedział zwoźniczo łagodnym głosem. - Ale nie. Nie sądzę, żeby coś się pani prz Uśmiechnął się przebiegle, a Debora poczuła, że się czerwieni.

- Uważa pan, że zmyśliłam to wszystko? - spytała z niedowierzaniem. - Przecież podobno nie jestem podejrzana?

- Królowo, każdy jest podejrzany, dopóki sprawca nie zostanie skazany w sądzie - oświecił ją Keene.

- Chyba nie bardzo pojmuję. - Debora poczuła, że znów popada w odrętwienie, w idiotyczne oszołomienie, jakby była pijana lub pod wpływem silnych środków uspokajających. - Sądzi pan, że zabiłam Richarda?

- Hej, królowo, ja tylko wyjaśniam obowiązującą zasadę.

- Proszę więc sobie darować to wyjaśnianie - niespodziewanie powróciła jej normalna wojowniczość - tym bardziej że jest ono dość mętne. I nie życzę też sobie, żeby zwracał się pan do mnie per „królowo”.

- To akurat przyjdzie mi z łatwością - odparł, siląc się na ironię.

Debora zmierzyła go wzrokiem w milczeniu. Miała wrażenie, że niespodziewanie grunt jej się usuwa spod nóg. I nigdy wcześniej to wyrażenie nie wydawało się równie adekwatne. Czuli się tak, jakby silny prąd spychał ją daleko w morze. Woda, na której się unosiła, była zimna i ciemna, a w jej głębinach czaiły się drapieżne stworzenia, obserwowały ją, krążyły coraz bliżej...

- I jeszcze jedna sprawa - przypomniał sobie mundurowy. - Ten NN, zastrzelony niedaleko stąd?

- Co z nim? - zainteresował się Cerniga.

- W kieszeniach miał kilka osobistych drobiazgów. Między innymi kawałek kartki zapisanej w jakimś obcym języku. Być może po grecku.

- Po grecku?
 - Tak przypuszczają. Ale nie są pewni. Wciąż to sprawdzają.
 - No, pięknie. Jeszcze tylko obcokrajowca potrzeba nam do szczęścia
 - mruknął Keene z kwaśną miną.
 - Może rzeczywiście powinniśmy panią poprosić, żeby zechciała spojrzeć na tego zastrzelonego - zastanowił się Cerniga. - Sprawdzić, czy nie widywała go w okolicy.
 - Tylko dlatego, że to Grek, a na górze jest pokój pełen greckiego szaj-su? - W głosie Keene'a pobrzmiwało szydercze niedowierzenie. - Naprawdę sądzisz, że te sprawy są powiązane?
 - Pewnie nie są - zgodził się Cerniga, po czym spojrzał na Deborahę zmrużonymi oczami. - Czy pani wie, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni pan Dixon wielokrotnie telefonował do Grecji?
 - Nie - odpowiedziała całkiem szczerze.
 - Czy domyśla się pani, w jakiej sprawie mógł tam dzwonić?
 - Nie. - Powróciło znajome przygnębienie.
- Kolejne tajemnice.
- Cerniga z westchnieniem zerknął na mundurowego.
- Prawdopodobnie te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego, przyjrzyjmy się jednak bliżej drugiemu denatowi.
 - To nie nasza sprawa - rzucił Keene z rozdrażnieniem. - Już dosyć mamy na głowie bez szukania bezsensownych związków pomiędzy jednym sztywniakiem - bogatym, zadżganym we własnym domu, a drugim - bezdomnym, zastrzelonym w jakimś ciemnym zaułku!
 - On był bezdomny? - zainteresowała się Debora, przypominając sobie dziwne mężczyźne przemykającego ukradkiem po parkingu.
 - Najprawdopodobniej - potwierdził Cerniga. - Chociaż nie mamy jeszcze stuprocentowej...
- Niespodziewanie drzwi odskoczyły z takim hukiem, jakby ktoś otworzył je kopniakiem, i do biura wkroczył wysoki, młody blondyn. Był szczupły, ale barczysty, ubrany w modnie pomięty jasny garnitur i szarą, rozpiętą pod szyją koszulę. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu lepiej nie wchodzić w paradę.
- Panno Miller? - zwrócił się wprost do niej, kompletnie ignorując policjantów. - Nazywam się Calvin Bowers i byłem adwokatem pana Dixona. Ponieważ prawnie jestem odpowiedzialny za jego majątek, obejmujący również muzeum, pomyślałem, że zaoferuję swoje usługi.
- Jego oczy miały niezwykle, niepokojący odcień błękitu - tak głębokiego i intensywnego, że momentami przechodził w fiolet.

- Panna Miller nie została o nic oskarżona. - Cerniga podniósł się z krzesła, piorunując Keene'a wzrokiem.

- I całe wasze szczęście - warknął Bowers z groźnym błyskiem w oku. - Co nie zmienia faktu, że jest to drugie, wyjątkowo długie przesłuchanie panny Miller w odstępie zaledwie paru godzin i to tej samej nocy, gdy przeżyła szok z powodu tragicznej śmierci swojego mentora. Wszelkie pozyskane przez was w tych okolicznościach dowody można będzie bez trudu odrzucić w dalszym postępowaniu, czyż nie? Ja w każdym razie już się postaram, żeby wielka ława przysięgłych spojrzała odpowiednio na tę kwestię.

- Chwila! Moment... - zaproponował Keene, także zrywając się na nogi.

- Czy to właśnie pan formalnie odpowiada za śledztwo? - natarł na niego ostrym tonem Bowers.

Keene posłał Cernidze niepewne spojrzenie. Atak prawnika wytrącił go z równowagi i zachwiał przeświadczeniem o słuszności własnych racji.

- Nie. Ja je prowadzę - odparł Cerniga. - I w związku z tym chciałbym wrócić do kwestii intruza w mieszkaniu panny Miller...

- Intruza?! - Bowers z zatroskaniem spojrzął na Deborę. - Czy nic się pani nie stało?

Pokręciła przecząco głową, nerwowo się zastanawiając, kim jest ten człowiek i czemu stanął w jej obronie.

- Wycofałam się, zanim ujrzałam jego twarz.

Keene skrzywił usta w ironicznym uśmiechu, co natychmiast ściągnęło na niego kolejne gromy Bowersa.

- Jeżeli się dowiem, że świadka próbowano traktować jak osobę podejrzaną i poddawać jakiegokolwiek presji, wszystkie uzyskane od panny Miller informacje będziecie mogli wrzucić do kosza, czy to jasne?

Uśmiezek Keene'a znacznie przybladł, chociaż jeszcze się błakał gdzieś w kącikach ust. W końcu detektyw wzruszył ramionami i ugodo-wo skinął głową.

- Chciałbym, żeby sprawa była całkiem jasna - ponownie odezwał się Cerniga. - Panna Miller uprzejmie zgodziła się pomóc nam w śledztwie i w związku z tym udzielić paru odpowiedzi na najpilniejsze pytania. W żadnym razie nie została poddana przesłuchaniu.

- Czy ustaliliście już motyw ataku na pana Dixona? - Bowers najwyraźniej nie zamierzał rezygnować z ofensywnej taktyki.

- Jeszcze nie - przyznał Cerniga, a w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiała gburowatość jak wcześniej u kolegi. - Podejrzewamy, że to kradzież z włamaniem, w trakcie której coś poszło lewym torem. Tyle że...

- Tak? - zainteresował się Bowers.
- Nie wiemy, czy coś zabrano.
- I, jak rozumiem, właśnie na tę okoliczność prowadziliście rozmowę z panną Miller. Ze spisem inwentaryzacyjnym w ręku robiliście wspólnie obchód muzeum, żeby sprawdzić, czy niczego nie brakuje.
- Jeszcze do tego nie doszliśmy, panie mecenasie.

Na ustach Bowersa pojawił się nieznaczny uśmiezek. Czy tym, co go tak usatysfakcjonowało, było owo „panie mecenasie”, czy raczej fakt, że odebrał Cernidze wszelką inicjatywę?

Wciąż leciutko uśmiechnięty, Bowers zwrócił się do Debory:

- Panno Miller, czy dysponuje pani pełnym spisem zasobów muzeum? Zapewne pomógłby on policji w śledztwie - panowie, zamiast na nękanii niewinnego świadka, mogliby się wreszcie skoncentrować na pożytecznej pracy.

Podczas gdy obaj detektywi siedzieli w ponurym milczeniu, Debora wsunęła klucz w zamek szafki z dokumentami.

13.

Debora siedziała obok Calvina Bowersa w foyer rozjaśnionym teraz - jakże niestosownie do okoliczności - ostrym, radosnym światłem po ranku. Richard nie żył, a tymczasem słońce weszło jak każdego dnia. Taką była naturalna kolej rzeczy, ona jednak nie chciała się z tym pogodzić i z nienawiścią w sercu witała promienie brzasku.

Przy wejściowych drzwiach stał umundurowany funkcjonariusz, detektywi natomiast wciąż siedzieli w biurze.

Z dala od uszu policjantów Bowers okazał się zupełnie innym człowiekiem: wyluzowanym, otwartym, przyjaznym. Ze zdumieniem odkryła, że na dodatek jest bardzo przystojny. Siedział z nogami wyciągniętymi przed siebie, w elegancko niedbałej pozie przywodzącej na myśl drapieżnego kota. Zrelaksowany - ale w każdej chwili gotów do ataku. Debora nie paliła się do rozmowy, tym bardziej że w obecności tego atrakcyjnego mężczyzny wydawała się sobie niezdarna i kanciasta, on jednak pomógł jej w trudnej sytuacji, zachowała się więc grubiańsko, gdyby w milczeniu tkwiła u jego boku.

- Od dawna pracuje pan dla Richarda?

- Niecały rok. Oczywiście nasza firma prowadziła jego interesy od wielu lat. Od czasu gdy kupił tę posesję, o ile się nie mylę. Ale ja zostałem wprowadzony w jego sprawy zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy zlecił nam przygotowanie pewnych dokumentów. Kilkakrotnie rozmawiałem z nim przez telefon, wymienialiśmy także korespondencję, nigdy jednak nie spotkaliśmy się osobiście.

Debora była pod wrażeniem. Święte oburzenie, które zaprezentował kilka minut temu w biurze, doprowadziło ją - i zapewne także detektywów - do wniosku, że Bowers jest wieloletnim przyjacielem Richarda, stąd po pełniona zbrodnia, jak i niemrawo prowadzone dochodzenie dotyczyły go

osobiście. Tymczasem odegrana scena okazała się jedynie prawniczą sztuczką. Jego zainteresowanie sprawą było czysto profesjonalne.

- Nie mogę uwierzyć, że nie ma już Richarda - przyznała Debora, le-
dwo jednak zamknęła usta, już pożałowała, że wypowiedziała te słowa,
szczególnie w obecności nieznanego mężczyzny. - Przepraszam - dorzu-
ciła pospiesznie. - To taki wyświechtany frazes. W najmniejszym stopniu
nie oddaje... Boże, czeka mnie tak wiele pracy.

Bowers poszedł za jej ostatnią myślą, taktownie udając, że nie zauwa-
żył wcześniejszego emocjonalnego wystąpienia.

- Z pewnością są ludzie, którzy mogliby panią odciążyć? Na przykład
rada nadzorcza muzeum? Ja też chętnie się włączę do pomocy. Moja zna-
jomość z panem Dixonem była niestety krótka, ale nasza firma współ-
pracowała z nim od lat, z pewnością więc chętnie odda mnie do pani dys-
pozycji.

„Odda mnie do pani dyspozycji”. Podobną kwestię mógłby wygłosić
rycerz w złocistej zbroi, szarmancko spieszący na pomoc znajdującej się
w opresji damie.

- Sama sobie ze wszystkim poradzę - rzuciła z pewną wyniosłością
Debora. Zrobiła to odruchowo, bo tak naprawdę wcale nie była przekon-
nana, czy rzeczywiście podola spiętrzonemu obowiązkowi.

- Nie wątpię - odparł z ciepłym uśmiechem, który sprawił, że szybko
złagodniała.

- Przepraszam. Nie przywykłam... -...do korzystania z cudzej
uprzejmości? -...do tego, że ktoś rozpościera nade mną parasol
ochronny. Richard zawsze wrzucał mnie na głęboką wodę...

Złapała się na tym, że coś ścisną ją w gardle. Zmusiła się do uśmiechu
i bez przekonania wzruszyła ramionami, a Bowers jedynie skinął z empa-
tją głową. Debora tymczasem powiodła wzrokiem po foyer, które wraz
z Richardem zarządzali z niezwykłym przejęciem, wkładając wiele wysiłku
w wyszukanie i zakup odpowiednich eksponatów...

- A więc jest pani archeologiem - odezwał się adwokat, krytycznie
spoglądając na relikty kultury Indian.

- Niezupełnie. Jestem muzealnikiem. Taka była moja specjalizacja.

- A jakie kierunki należy studiować, żeby specjalizować się w muzeal-
nictwie?

- Ja studiowałam anglistykę i archeologię, ale wiele osób wybiera mar-
keting.

- Pani wybór bardziej mi odpowiada.

- Mnie również - przyznała i tym razem jej uśmiech był o wiele cieplejszy.

- Niemniej, te przedmioty, z którymi musi pani obcować na co dzień!
- rzucił Bowers, wskazując na piękny tomahawk o kamiennym ostrzu.
- Proszę tylko spojrzeć na ten odrażający okaz. Trudno sobie wyobrazić bardziej barbarzyńską broń. Jak się na coś takiego patrzy, trudno zaprzeczyć doktrynie wyłożonej w „Manifest Destiny”*, prawda?

- Nie wydaje mi się, żeby rdzenni Amerykanie byli mniej cywilizowani od białych osadników. Z pewnością nie świadczy o tym fakt, że mniej efektywnie zabijali ludzi - zauważyła z ironicznym uśmiechem.

- „Rdzenni Amerykanie”. Zabawna jest ta naiwna wiara, że odpowiednią semantyką można zatuszować istotę problemu.

Deborę ogarnął gniew, nie miała jednak okazji, żeby wyrazić swoją opinię.

- Panno Miller? - rozległ się głos Tonyi.

Sprzątaczką wyłoniła się z galerii prowadzącej do rezydencji Richarda i, z rękami niezdarnie splecionymi na brzuchu, niepewnie przestępowała z nogi na nogę.

- Czy mogę prosić na słowo?

Debora podniosła się z miejsca.

- Na osobności, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu.

Debora przepaszając skinięła głową Bowersowi i wraz z Tonyą ruszyła w milczeniu w stronę gabinetu.

- O co chodzi, Tonyu? - spytała, gdy zamknęły za sobą drzwi. Obie były spięte i czujne.

- Myślę, że pani wie - mruknęła Tonya. - Proszę posłuchać. Poszłam tam, bo ciekawam była, i tyle. Mam znajomka w służbie i to on mi powiedział o morderstwie, kiedy tylko doszło go zgłoszenie. Przy okazji chlapanął coś na temat sekretnego pokoju i... no, tego... pomyślałam, że sprawdzę, co zaszło. Nie myślałam, że chodzi o pana Dixona. Niczego złego nie zamiarowałam.

Debora nie знаła zbyt dobrze Tonyi, rozmawiała z nią jednak na tyle często, że teraz nie wierzyła własnym uszom. Tonya nigdy nie mówiła językiem typowym dla prostych Murzynek, nie wyrażała się jak kolorowa mieszkanka getta. Pod względem gramatycznym jej angielszczyzna była bez zarzutu, a idealna wymowa zdradzała staranne wykształcenie, stąd Debora często się zastanawiała, z jakim stanowiskiem musiała się pozeg-

* Doktryna patriotyczno-religijna z lat 40. XIX w., głosząca m.in., że Ameryka to biblijna Ziemia Obiecana, a jej kolonizacja i ewangelizacja „dzikich barbarzyńców” jest misją powierzoną przez Boga białym Amerykanom (wszystkie przypisy od tłumaczki).

nać ta kobieta i czemu teraz podjęła się czyszczenia muzealnych toalet. Z drugiej strony Tonya zawsze się zachowywała i wysławiała w taki sposób, że nikt nie odważyłby się potraktować jej z góry z powodu tego, czym się zajmowała czy też jak się ubierała. Tonya, którą znała Debora, nigdy w życiu nie powiedziała: „zamiarowałam”, „no, tego” czy „ciekawam”. Te słowa stawiły jej wyznanie w całym nowym, choć niezrozumiałym świetle.

- Co nie zmienia faktu, że nie powinnaś tam wchodzić przed przybyciem policji - zauważyła Debora znużonym głosem.

- Nie, psze pani. W rzeczy samej źle postąpiłam.

Żadnej wojowniczej riposty, żadnej sugestii w sposób zawołowany - ale oczywisty - wyrażającej, gdzie pedantyczna, biała suka może sobie wsadzić swoje pouczenia. W zamian zaś: „Nie, psze pani. W rzeczy samej źle postąpiłam”?!
Z ust Tonyi? Wolne żarty.

Debora zerknęła na stojącą kobietę zmrużonymi oczami. Miała wrażenie, że stoi przed nią kandydatka na statystkę do „Przeminęło z wiatrem”.

- Życzy sobie pani, cobym zaparzyła dla niej kawy? - Tonya jak widać nie zamierzała porzucić swojej dziwnej gry. - Już dawno myślałam ją przygotować, ale z powodu tej strasznej sprawy aż flaki mi skreśliło. Teraz już i sama bym się napiła.

Debora skinęła głową, zmuszając się do uśmiechu. Spoglądała za odchodzącą Tonyą z mieszaniną niedowierzania i niepokoju. „Flaki mi skreśliło”? Kogo ona próbowała nabrać i dlaczego?

Kiedy ponownie znalazła się w foyer, Calvin Bowers rozmawiał ze zwalistym facetem w błyszczącym garniturze. Harvey Webster. Zrobiło jej się słabo na jego widok, ale dzielnie uniosła głowę i żwawo ruszyła w stronę obu mężczyzn.

Webster miał twarz ściągniętą powagą, lecz gdy tylko zobaczył Debore, powitał ją promiennym uśmiechem. Nie widać było po nim skutków wczorajszego pijaństwa, a i jego miłość własna najwyraźniej nie doznała szwanku po bezceremonialnej odprawie Debory.

- Okropna sprawa - powiedział przyciszonym, melodyjnym głosem.

- Prawdziwy horror. Jeżeli tylko w jakikolwiek sposób mógłbym pani pomóc, wystarczy jedno słowo.

- Dziękuję panu, Harvey. Będę o tym pamiętać.

- Z samego rana dzwonił do mnie z policji. Powiedzieli, że powinniśmy zamknąć muzeum.

- Co takiego? - Debora nie wierzyła własnym uszom. - Na długo?
- Skądże. Zaledwie na dwa, góra trzy tygodnie - rzucił uspokajająco Harvey.

- Trzy tygodnie!
- Może zdołamy ich przekonać, żeby skrócili ten okres - włączył się do rozmowy Bowers w stylu godnym rycerza ruszającego na odsiecz bezbronemu dziewczęciu.

- Byli bardzo kategoryczni w swoich żądaniach oznajmił Webster, posyłając Deborze pełen współczucia uśmiech, niesięgający jednak jego wodnistych oczu.

A więc taka ma być jej kara. Webster i członkowie rady przejmą stery, wyeliminują ją na parę tygodni z gry, sami zaś w tym czasie przegrupują siły. Patrząc na jego obłudny uśmiezek, oczyma duszy zobaczyła, jaka czekają przyszłość - systematyczne i konsekwentne ograniczanie jej wpływu na charakter muzeum i jednoczesne przejmowanie kontroli przez Ligę Chrześcijańskich (białych) Biznesmenów Harveya, której członkowie wreszcie spełnią swoje marzenie i stworzą tu kolejny park tematyczny dostarczający lekkiej rozrywki i ciężkich pieniędzy.

- Pójdę pogadać z tymi detektywami - oznajmił tymczasem Webster.
- Może mi się uda coś załatwić.

Na przykład zamknięcie muzeum na dodatkowy miesiąc, pomyślała Debora. Zdawała sobie sprawę, że w tej rozgrywce Harvey zdobył taktyczną przewagę.

Nagle ogarnęły ją straszne zmęczenie i frustracja wywołana bezsilnością - a właśnie tego poczucia nie znosiła najbardziej na świecie. Nie poprawiał jej humoru fakt, że niedaleko stał Bowers, gotowy wygłosić kilka krzepiących uwag. Przygnębiona, oparła ręce na biodrach i rozejrzała się po oświetlonym słońcem, przestronnym foyer. Teraz, gdy zabrakło jej mentora, została już naprawdę sama, a gdy to sobie uświadomiła, budynek muzeum wydał jej się jedynie pustą skorupą - po śmierci Richarda pozbawioną racji bytu.

Trzy tygodnie!

Kosztowne, wymagające mnóstwa czasu i pracy zabiegi mające wypromować muzeum, usługane ściskanie setek rąk, wysłuchiwanie z uprzejmym uśmiechem bzdur wygadywanych przez sponsorów i przypochlebianie się prywatnym darczyńcom, kampania reklamowa w prasie, której głównym atutem były fotografie tej ohydnej ozdoby galionu... - wszystko to pójdzie teraz na marne. Za trzy tygodnie nikt w Atlancie nie będzie już pamiętać o istnieniu muzeum. A co ona ma ze sobą począć przez ten czas?

Obijać się po tym przemyślnie oświetlonym mauzoleum, wysłuchując, jak Keene i jemu podobni sypią błyskotliwymi wariacjami na temat *homo erectus*?

Boże, cóż za dobijająca perspektywa.

- Z pewnością zdołamy doprowadzić do wcześniejszego otwarcia muzeum, jeżeli będzie pani w stanie wykazać, że niczego nie brakuje - odezwał się Bowers. Wciąż trzymał się w pobliżu, zachowując jednak taktowny dystans.

Debora posłała mu pełen wdzięczności uśmiech.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czemu tak bardzo mi zależy, aby muzeum pozostało otwarte - przyznała. - Pewnie gdzieś w głębi duszy wierzę, że jeżeli zachowam pozory normalności, wówczas... jakimś cudem...

- Rozumiem - wtrącił Calvin, oszczędzając jej konieczności dokonania zdania.

Tymczasem Debora zaczerpnęła powietrza, zbierając się w sobie.

- Jeszcze dzisiaj mogę przeprowadzić pełną inwentaryzację - zdecydowała stanowczym tonem. - Sprawdzić, czy wszystkie eksponaty znajdują się na swoich miejscach. Oczywiście, odrębny problem stanowi pokój ukryty za półkami w sypialni Richarda. Nie znałam jego zawartości, więc nie będę w stanie stwierdzić, czy wszystko jest.

Westchnęła i wzruszyła ramionami, ale widok owego dziwnego pomieszczenia natrętnie ją prześladował - niczym dobrze znany, choć nieprzyjemny zapach. To ciało leżące w świetle rzucałym przez reflektor...

Zaraz, zaraz...

Coś jednak stamtąd zniknęło.

Na pierwszy rzut oka brakowało tylko roztrzaskanego naczynia, które niewątpliwie stało w otwartej gablocie, ale ponieważ wszystkie pozostałe gabloty wydawały się nietknięte, Debora uznała, że nie doszło do kradzieży. Nie wzięła jednak pod uwagę tego centralnie umieszczonego reflektora rzucającego zimne światło na poranione ciało Richarda. Co, zanim znalazły się tam zwłoki, mogło wymagać tak wyjątkowej iluminacji?

Debora przypomniała sobie natychmiast, że w centrum kwadratu światła widniało zainstalowane w podłodze gniazdko elektryczne.

Oczywiście. Na środku pokoju musiało się coś znajdować. Najprawdopodobniej najcenniejszy, najbardziej spektakularny obiekt kolekcji, zasługujący na ekspozycję w centralnym punkcie. Był przechowywany w jakiejś dużej, ciężkiej skrzyni, której nie dało się wynieść, więc wytoczono

ją ze środka, pozostawiając przy tym ślad smaru na dywanie... Co jednak mogło być tak niespotykanego, przewyższającego pod każdym względem inne zgromadzone tu skarby, że zniknęło, podczas gdy cała reszta pozostała na swoim miejscu - jakby w porównaniu z tajemniczym, zaginionym eksponatem nie była warta zachodu?

14.

- Czy ma pani dość sił, żeby pojechać do kostnicy? - rozległ się głos detektywa Cernigi.

Debora była właśnie w drodze do gabinetu, gdy detektyw przywołał ją skinieniem dłoni. Teraz zaś siedziała pogrążona w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć.

- Zdaję sobie sprawę, że potrzebna panu formalna identyfikacja - odezwała się po dłuższej chwili - ale szczerze mówiąc, jeszcze nie jestem gotowa, by znów na niego spojrzeć. Poza tym, zamordowanym z pewnością był Richard. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Czy na prawdę muszę ponownie oglądać jego ciało?

Nienawidziła się za te słowa. Za to, że jest słaba i ulega emocjom. Nienawidziła również zdumienia widocznego w oczach detektywa.

- Ależ nie. - Na twarzy Cernigi pojawił się wyraz ulgi. - Nie chodzi o Richarda Dixona. Już pani dokonała identyfikacji jego ciała. Miałem na myśli drugiego zamordowanego. Tego NN. Człowieka z Grecji.

Debora skinęła głową i ruszyła za detektywem. Jakie to dziwne, pomyślała, że propozycja oględzin zwłok obcego człowieka może zdjąć z ramion tak wielki ciężar. A jeszcze dziwniejsze, że ktoś inny - być może córka nieznanego Greka - patrząc na jego ciało, czułby dokładnie to samo, co ona poczuła na widok ciała Richarda. Ta myśl nie opuszczała Debory, gdy we dwójkę jechali samochodem, a potem przemierzali bezduszne, pozbawione wyrazu korytarze budynku mieszczącego biuro koronera hrabstwa. Debora przez cały ten czas unikała ludzkich spojrzeń i trzymała się z tyłu, kiedy Cerniga półgłosem udzielał rozmaitym funkcjonariuszom wyjaśnień, w końcu zaś w milczeniu podążyła za nim do piwnicy o ścianach z betonowych płyt, z nieosłoniętymi rurami biegnącymi pod sufitem, poprzecinanej sterylnymi przejściami odbijającymi głuchym echem wszelkie, nawet najcichsze odgłosy.

Nigdy wcześniej nie była w kostnicy, ale tak często pokazywano ją na filmach i w serialach kryminalnych, że wydała się Deborze dziwnie znajomym miejscem. Patrząc na szuflady chłodni - żywcem wyjęte z telewizji - poczuła dreszcz drobnej satysfakcji, jakby właśnie poznała osobiście jakąś słynną gwiazdę. To skądinąd przyjemne wrażenie bezpowrotnie ją opuściło, gdy młody asystent w okularach o prostokątnych oprawkach odstłonił twarz zmarłego.

Mężczyzna był stary, co najmniej siedemdziesięcioletni, krępy i - sądząc po tym, jak syntetyczne prześcieradło wybrzuszało się na jego ciele - raczej tęgi. Miał zamknięte i dziwnie teraz zapadnięte oczy, ale gdyby je otworzył, z pewnością okazałoby się, że są jasne, o bystrym, intensywnym spojrzeniu - takim samym, jakie ścigało Deborę, gdy szła przez parking do swojego samochodu.

- Owszem - stwierdziła rzeczowym tonem. - Od mniej więcej trzech dni ten człowiek kręcił się w pobliżu muzeum. Nieustannie wypowiadał jakieś niezrozumiałe słowa. Zresztą tak naprawdę nie zwracał się do mnie. Po prostu... mamrotał coś do siebie pod nosem.

- Jeżeli mówił po grecku, trudno oczekiwać, żeby go pani zrozumiała - zauważył Cerniga.

- Nie mówił po grecku - wtrącił mężczyzna w okularach. - Ustalono, że fragment znalezionej przy nim listu został napisany po rosyjsku. Zdaje się, że w rosyjskim alfabecie niektóre litery są podobne do greckich.

- A więc najprawdopodobniej ten mężczyzna nie miał nic wspólnego ze skarbem - mruknął Cerniga, w zamyśleniu marszcząc brwi.

- Ze skarbem? - Asystent natychmiast się ożywił.

Detektyw zignorował go, po chwili zaś zapytał:

- Czy możemy zobaczyć jego rzeczy osobiste?

- Jasne - odparł mężczyzna, spoglądając badawczo na Deborę. Najwyraźniej rzucone przez Cernigę niedorzecznie brzmiące słowo „skarb” nie dawało mu teraz spokoju.

- Powinna się pani przeprowadzić na jakiś czas do hotelu - stwierdził detektyw, gdy asystent zniknął za drzwiami. - Tak na wszelki wypadek. - Odczekał moment, żeby do Debory w pełni dotarło jego zalecenie, po czym dorzucił łagodniejszym głosem: - Proszę to potraktować jak wakacje.

Wakacje? Nie zasłużyła na podobny luksus. A na dodatek to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Z drugiej strony pewnie wszystko byłoby lepsze od wysiadania na progu muzeum...

...w poczuciu kompletnej bezsilności...

...i wyczekiwania, aż ktoś łaskawie pozwoli jej wrócić do pracy. Debora jeszcze przez kilka sekund rozważała w milczeniu swoją sytuację, po czym podjęła odważną decyzję.

- Dobrze. Rozejrzę się za odpowiednim miejscem.
- Byle dyskretnie - przestrzegł ją Cerniga.

W pierwszej chwili oniemiała. Szybko jednak wzięła się w garść i z kamienną twarzą kiwnęła głową.

Tymczasem powrócił asystent, niosąc parę toreb. Wysypał ich zawartość na tacę, na której je przyniósł, obok zaś położył oficjalny spis rzeczy umieszczonych w torbach. Nie było wśród nich portfela ani niczego przypominającego dokument tożsamości. Znajdowała się tam natomiast szczoteczka do zębów - na oko zupełnie nowa, a oprócz niej jeszcze kilka innych drobiazgów: znaczek w kształcie tarczy do wpięcia w klapę marynarki, koperta zaadresowana po rosyjsku czarnym atramentem oraz pojedynczy arkusz podartego, poplamionego papieru, pokrytego niewyraźnym pismem.

- Miał przy sobie więcej zapisanych kartek - poinformował asystent.
- Ale zanim go tu przywieźli, uległy... uszkodzeniu.

Zerknął na Debora z niewyraźną miną, po czym szybko przeniósł wzrok z powrotem na tacę.

Pozostałe kartki przesiąkły krwią. I tylko tyle udało im się uratować.

- Czy mamy już tłumaczenie tekstu? - zapytał Cerniga.
- Jeszcze nie. Zresztą większość jest nieczytelna - odparł asystent, zerkając na wydruk z komputera. Podniósł z tacy znaczek pokryty emalią w kolorach czerwieni, zieleni i złota, przedstawiający żołnierza z karabinem maszynowym. Wokół postaci wypisano coś po rosyjsku, u dołu zaś widniał sztylet, a na nim sowiecki sierp i młot. - Podobno ten napis głosi: „Wzorowy żołnierz ochrony pogranicza” czy coś w tym rodzaju. Znaczek pochodzi z lat pięćdziesiątych.

- A te litery na dole? - zainteresowała się Debora.
- MWD - odczytał z wydruku asystent - to skrót oznaczający Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Nasz denat miał coś wspólnego z jakimś departamentem tego urzędu.
- Co stary sowiecki żołnierz robił w Atlancie? - zdziwiła się Debora.
- Cokolwiek to było, nie ma związku z naszą sprawą - zdecydował Cerniga, wzruszając ramionami. - Możemy się więc stąd zbierać.

Richard szykował coś już od kilku tygodni. Jego dziwne zachowanie, ożywione kontakty z prawnikami, telefony do Grecji czy choćby nietypo-

wy entuzjazm, z jakim odniósł się do pomysłu zorganizowania przyjęcia - wszystko to jasno wskazywało, że cokolwiek tak naprawdę zaszło ubiegłego wieczoru, nie spadło jak grom z jasnego nieba. Gdy tylko Debora wróciła do muzeum, zamknęła się w swoim gabinecie i włączyła komputer. Wszystkie komputery w muzeum i w domu Richarda zostały skonfigurowane w jednej sieci, stąd za pomocą kombinacji haseł można było dotrzeć do dowolnego pliku przechowywanego w każdej z maszyn.

Monitor powoli się budził do życia. Debora wystukała swój kod dostępu, weszła do systemu, ale okazało się, że większość połączonych ze sobą komputerów - w tym aparatury Richarda - nie odpowiada.

Policja je zabrała?

Po chwili jednak Debora zrozumiała, co się najprawdopodobniej stało. Komputery wciąż się tutaj znajdowały, ale były wyłączone. Policjanci zrobili coś, czego pracownicy muzeum nie robili nigdy - po skopiowaniu zawartości twardych dysków powyłączyli maszyny. Deborze nie pozostało nic innego, jak wpatrywać się tępo w pusty ekran.

Musi wszystko jeszcze raz przemyśleć. W ukrytym pokoju, poza zbiorami umieszczonymi w gablotach, znajdował się jeszcze jeden obiekt - duży, prawdopodobnie ciężki, którego istnienie należało z jakichś względów utrzymać w tajemnicy. Cokolwiek to było, stanowiło rdzeń planów Richarda. Może chciał zorganizować wystawę, a może wielką aukcję - w każdym razie coś takiego, co na zawsze zmieniłoby charakter muzeum. Miał to być szczególnie dar Richarda dla mieszkańców Atlanty - to nie ulegało wątpliwości. Richard nie gromadziłby tych skarbów tylko po to, by zachwycać się nimi w samotności. Chciałby je objawić całemu światu, sprawić, żeby cieszyły miliony oczu. O, tak. Z pewnością takie właśnie były jego zamiary. Tyle że w jakimś momencie wszystkie kalkulacje tragicznie zawiodły i perła kolekcji, umieszczona na honorowym miejscu, w świetle centralnego reflektora, została skradziona... albo przechwycona, zanim jeszcze dotarła do miejsca przeznaczenia.

Debora poczuła gwałtownie narastający bunt - bunt i pragnienie, a właściwie potrzebę, żeby przyczynić się do wyjaśnienia okoliczności śmierci Richarda, do wydobycia na światło dzienne prawdy, tak jak się wydobywa z ziemi bezcenne znalezisko. To by wysublimowało jego śmierć, nadało jej sens. Oczywiście, jeżeli zdoła coś odkryć, podzieli się swoją wiedzą z detektywami, ale musi podjąć samodzielne działanie. Po prostu musi.

Drzwi otworzyły się cicho i w progu stanęła Tonya.

- Przepraszam - powiedziała lekko spłoszona. - Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. W innym wypadku bym zapukała.

- Nie ma sprawy.
- W takim razie przyjdę później - odparła sprzątaczką, wycofując się rakiem.

- Ach, Tonyu! - rzuciła szybko Debora, jakby właśnie coś przyszło jej do głowy. - Czy mogłabyś włączyć komputer w rezydencji Richarda? Muszę ściągnąć szczegółowe menu wczorajszego przyjęcia.

Dość marne kłamstwo, pomyślała, ale brzmiące całkiem niewinnie. Tonya zawahała się przez moment, zaraz jednak się rozpromieniła.

- Naturalnie.

Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi i Deborze pozostało tylko czekać.

Czas wyświetlany w dolnym rogu monitora posunął się do przodu o minutę. Potem o następną. Debora zerwała się na równe nogi. Usiadła z powrotem. Tonya na pewno powiedziała o wszystkim Keene'owi, który za moment tu wpadnie i będzie sterczał jej nad głową z tym swoim sardonycznym uśmiechem na ustach. Debora chwyciła za mysz, by rozwinąć menu, ale w tej samej chwili ekran zamigotał i ukazała się na nim nowa ikona. Teraz wystarczyło wpisać tylko jedno hasło i już mogła bez przeszkód poruszać się po komputerze Richarda.

Nie wiedziała, czego tak naprawdę szuka. Przebiegła wzrokiem przez sprawozdania finansowe i formularze księgowo, ale nie dostrzegła nic niezwykłego. Otworzyła okno „Dokumenty” i zaczęła przeglądać umieszczone tam foldery. Na widok jednego z nich znieruchomiała. Nosił prostą nazwę: „Atreusz”.

Pospiesznie najechała na niego myszą i dwukrotnie kliknęła, czekając, aż beznadziejnie wolny system wyświetli jego zawartość. Okazało się, że znajduje się tam tylko jeden plik w formacie JPEG.

Zdjęcie?

Ponownie kliknęła myszą i komputer rozpoczął ładowanie pliku.

W tym samym momencie ponownie otworzyły się drzwi. Stanął w nich Calvin Bowers.

Debora zaczęła nerwowo manipulować myszą, żeby zminimalizować obraz, ale znieruchomiała z osłupienia, gdy zobaczyła, co właśnie ściągnęła.

Cały ekran wypełniała szeroka, stylizowana twarz wykuta w złocie - mykeńska maska pośmiertna.

15.

- Zabrałaś się do pracy? - Calvin Bowers zerknął jej przez ramię na pusty w tym momencie ekran komputera. Debora zamknęła plik, gdy prawnik wszedł do pokoju, nie dość szybko jednak, by nie dojrzał złotej twarzy.

- Czy ty nigdy nie pukasz? - rzuciła gniewnie, czując, jak wzbiera w niej panika.

- Wybacz - powiedział, uśmiechając się jowialnie. - Co takiego przed chwilą oglądałaś?

- Grecką maskę pośmiertną - wyznała niechętnie po krótkim wahaniu. - Rozważam wykorzystanie jej w charakterze logo na stronie internetowej muzeum - dorzuciła pośpiesznie.

To kłamstwo jej samej wydało się głupie i nieporadne.

- A czy muzeum ma coś podobnego?

To nie było w gruncie rzeczy pytanie. Bowers dobrze wiedział, że nie.

- Stronę internetową? - rzuciła z niewinną miną.

- Grecką maskę pośmiertną - wyjaśnił dobitnym głosem.

- Nie - przyznała. - Ale to jest archeologiczna ikona. Szczególny symbol.

Przez moment patrzył na nią w zamyśleniu.

- Marnie pani kłamie, panno Miller - stwierdził w końcu. - Kłamstwo najwyraźniej nie leży w twojej naturze. Mnie to nie przeszkadza, ale serwowanie podobnych historyjek policji może cię wpędzić w poważne tarapaty.

Debora odwróciła wzrok. Calvin miał rację. W całym swoim dorosłym życiu zawsze była prostolinijna i bezpośrednia, a takie cechy nie czynią z człowieka gładkiego kłamcy. Jak bardzo szczerść musiała leżeć u podstaw jej osobowości, skoro uznała jego uwagę za swoisty komplement. Kłamstwo rzeczywiście nie leżało w jej naturze.

- Niewykluczone, że ta maska jest jakoś powiązana ze śmiercią Richarda. Ale nie jestem tego pewna.
- Ale jak?
- Nie wiem. Po prostu muszę się zastanowić.
- Nad czym?

Przez jakiś czas siedziała w milczeniu, nie tyle rozważając, ile może mu powiedzieć, ile raczej porządkując wszystko, co wiedziała. Potem zaczęła mówić, a Bowers słuchał jej słów z początku rozluźniony, lecz w miarę rozwoju opowieści coraz bardziej skoncentrowany, intensywnie wpatrując się w jej twarz spod zmrużonych powiek.

Mykeńska ceramika, biżuteria czy broń są niezwykle cenne, poinformowała go Debora, ale maski sepulkralne to klasa sama w sobie. Archeolodzy odkopywali przedmioty codziennego użytku na różnego typu stanowiskach, maski natomiast można znaleźć tylko w jednym miejscu - w grobowcu. I to w nie byle jakim, bo w królewskim.

Sztylety i wazy, pierścienie i amfory mają niewyobrażalną materialną wartość, jednak w wymiarze humanistycznym nic nie wyraża lepiej istoty cywilizacji sprzed tysiącleci niż odtworzone rysy zmarłego króla, bez względu na to, jak dalece wystylizowane. Maski pośmiertne są wyobrażeniem majestatu, ale i niemal intymnym portretem człowieka; gdy na nie patrzymy, to tak jakbyśmy spoglądali w głębię tunelu przeszłości i na jego krańcu odkrywali lustro - przekonywali się, że setki wieków historii, mitologii i legend w ostatecznym rozrachunku można zredukować do oblicza istoty ludzkiej. Nic więc dziwnego, tłumaczyła Debora, że właśnie maski sepulkralne - zwane też grobowymi lub pośmiertnymi - były zawsze tak pożądane przez kolekcjonerów i przyciągały do muzeów tłumy ludzi ustawiających się w kolejkach przed gablotami, żeby zajrzeć w oczy maski, a więc, przez asocjację, w oczy człowieka, który miał ją na twarzy po śmierci.

Maski grobowe zyskały wyjątkową wartość także dlatego, że rzadko przez długi czas pozostawały tam, gdzie je złożono. Grobowce były zazwyczaj wyraźnie oznakowane lub też ludzie dobrze pamiętali, gdzie się odbywały ceremonie pogrzebowe i jakie wspaniałości zmarły zabierał ze sobą w zaświaty. Notorycznie więc plądrowano miejsca pochówku, czasami już nazajutrz po pogrzebie, czasami wiele wieków później, gdy dana cywilizacja od dawna już nie istniała, a pamięć po niej, w szczątkowej formie, zachowywała się tylko w ludowych podaniach, jednak te również mogły stanowić cenną wskazówkę dla cmentarnych hien. Zanim do starożytnych osad dotarli ludzie, których można by uznać za archeologów, najwspaniał-

sze skarby już dawno zostały rozgrabione. Oczywiście historia zna parę wyjątków: na przykład grobowiec Tutenchamona z jego złotym sarkofagiem, odkryty przez Cartera, czy też skarby znalezione przez Schliemanna w Mykenach.

Na obecną niewyobrażalną wartość starożytnych zabytków kultury wpływa jeszcze jeden istotny czynnik. W dzisiejszych czasach szanse wywiezienia ich z kraju pochodzenia są praktycznie równe zeru. Dziewiętnastowieczne mocarstwa wypełniły swoje muzea skarbami de facto zagrabionymi narodom, które swego czasu należały do artystycznych i militarnych potęg, później jednak zostały zredukowane do haniebnego statusu kolonii. Ten ponury okres na szczęście dawno minął, teraz zaś nie było dnia, żeby Grecja czy Egipt, Iran, Indie, Kolumbia czy Peru nie żądały od obecnych właścicieli zwrotu posągów, klejnotów, obrazów bądź innych wytworów kultury materialnej zrabowanych z ich terytorium przez przedstawicieli europejskich mocarstw. Dlatego to absolutnie wykluczone, by w ostatnich dziesięcioleciach udało się przeszmygłować do Ameryki skarby z mykeńskiego grobowca, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń międzynarodowych instytucji kulturalnych.

Trzeba więc powrócić do Schliemanna.

- Schliemanna? - powtórzył Calvin.

Przez cały czas pilnie słucał jej wykładu i dopiero teraz odezwał się po raz pierwszy. Debora z przyjemnością snuła opowieści archeologiczne, a skupienie prawnika wyraźnie jej pochlebiało.

- Żeby ci dokładnie zrelacjonować jego historię, musiałabym najpierw pogrzebać w książkach - przyznała szczerze. - Richard był ekspertem, gdy chodzi o biografię Schliemanna, ale nie podobały mu się moje krytyczne uwagi pod jego adresem, dlatego niechętnie wspominał o Schliemannie w moim towarzystwie. - Uśmiechnęła się posepnie.

- Czemu ten człowiek wzbudza w tobie taką niechęć? Miałaś okazję poznać go osobiście?

Debora wybuchnęła śmiechem.

- Heinrich Schliemann zmarł na długo przed moim urodzeniem. W swoim życiu dokonał kilku niebywałych odkryć, ale jego metody działania wzbudzały wiele kontrowersji. Do tego, o ile mnie pamięć nie myli, w tajemniczych okolicznościach ginęły mu pewne przedmioty.

- Zabytki?

- Zabytki.

Bowers przez dłuższy czas przyglądał się jej w milczeniu.

- Posłuchaj, Deboro - powiedział w końcu. - Muszę teraz iść na górę

i przejrzeć pewne prawne dokumenty, ale może jutro moglibyśmy podjąć naszą rozmowę? Na przykład... przy wspólnym lunchu?

Złożył tę propozycję, ostrożnie dobierając słowa. Wyraźnie mu zależało, żeby Debora nie uznała zaproszenia za oznakę nadmiernego zainteresowania - przynajmniej jej osobą - czy też frywolności. Po co w ogóle chciał się z nią spotkać? Żeby miała się przed kim wygadać, na jakiś czas oderwała się myślami od śmierci Richarda? To możliwe. Kierował się po prostu zwykłą ludzką życzliwością, chociaż Debora wolałaby, żeby to było nagłe zafascynowanie archeologią. Richardowi taki obrót sprawy z pewnością sprawiłby przyjemność.

- Jasne - odrzekła, zmuszając się do uśmiechu, choć myślami była już w całkiem innym miejscu: w gabinecie Richarda, nad książkami, z których mogłaby się więcej dowiedzieć o poczynaniach Heinricha Schliemanna.

16.

Zdecydowała się na pobliski hotel sieci Holiday Inn. Ale gdy się już wprowadziła i zamówiła do pokoju hamburgera, stos książek wypożyczony (za pozwoleniem Cernigi) z biblioteki Richarda wydał jej się murem nie do sforsowania. Oglądała więc telewizję, skacząc po kanałach, aż poczuła się zmęczona do szpiku kości. Wówczas wyłączyła odbiornik, położyła się na łóżku, jak stała, w ubraniu, i natychmiast zasnęła.

Następny ranek upłynął jej na wertowaniu książek, szybkim przeglądaniu niektórych rozdziałów, sprawdzaniu przypisów i zachłannym studiowaniu wybranych akapitów. Kiedy skończyła, nadszedł czas na lunch, jednak nie czuła głodu. Na jej śniadanie złożyło się jedynie kilka filiżanek mocnej kawy i kofeina wciąż żywo krążyła w żyłach, pozbawiając Deborahę ochoty na posiłek. Chociaż może to nie kofeina, tylko fascynująca lektura tak bardzo naładowała ją energią.

Początkowo środowisko archeologów bezlitośnie kpiło ze Schliemanna i jego niezłomnego przekonania, że wojna trojańska była faktem historycznym, ale kiedy w północnej Turcji udało się Schliemannowi odnaleźć ruiny Troi, nagle znalazł się w centrum powszechnego zainteresowania. Mimo to wielu poważnych naukowców nadal podchodziło do niego z dystansem - tym bardziej że metody, które stosował, wzbudzały przerażenie nawet wśród jego zwolenników. Oskarżano go o „uszlachetnianie” znalezisk, fałszowanie dokładnego miejsca odkopania zabytków, gromadzenie eksponatów bez odpowiedniej dokumentacji - byle tylko dowieść tezy, że starożytne podania mówiły o autentycznych postaciach i wydarzeniach, a także by pomnożyć swoją własną chwałę. Aż w końcu doszło do skandalicznego incydentu ze skarbami Priama.

Wedle Homera Priam zasiadał na tronie Troi w okresie greckiego obłężenia. Był ojcem wielu dzieci, w tym Troilusa, Hektora oraz Parysa, który walnie przyczynił się do wybuchu wojny, porwał bowiem Helenę, żonę Menelaosa, brata Agamemnona. Homer twierdził, że w grodzie Priama aż kapą od złota, a tymczasem Schliemann, choć przekopał wiele warstw, nie znalazł ani grama tego kruszcu. W końcu, gdy już mu się kończyło pozwolenie na prowadzenie wykopalisk, osobiście natknął się na wyjątkowy skarb i to podobno tylko częściowo przykryty ziemią. Wśród cennych artefaktów znajdowała się między innymi kolekcja zachwycającej biżuterii. Niezwykła historia odkrycia bezcennego znaleziska - delikatnie rzecz ujmując, podawana w wątpliwość - miała jeszcze bardziej zdumiewający ciąg dalszy. Oto po sfotografowaniu domniemanego skarbu (do zdjęć pozowała żona Schliemanna, Sophia, obwieszona odnalezionymi kosztownościami) przepadł on jak kamień w wodę. Rząd turecki wpadł w furję, żaden bowiem z jego członków nie miał wątpliwości, że archeolog potajemnie wywiózł złoto z ich kraju...

Jeżeli jedna bezcenna kolekcja zaginęła, czemu nie miałyby zaginać kolejna?

Po zakończeniu prac w Turcji Schliemann rozpoczął wykopaliska w Mykenach. Tym razem także powodowany przyjętą z góry tezą. Otóż legenda głosiła, że gdy Agamemnon, wódz zwycięskiej greckiej armii, powrócił do domu, został podstępnie zamordowany w kąpielni przez swoją wiarołomną żonę, Klitajmnestrę i jej kochankę, Egista. Po śmierci wyprawiono mu pełen przepychu pogrzeb, a o władnięty manią trojańskich poddań archeolog postanowił odnaleźć jego grób.

Grecki rząd podszedł sceptycznie do całego projektu, ostatecznie jednak wydał pozwolenie na prowadzenie wykopalisk. Schliemann - przekonany, że miejsce królewskiego pochówku musi się znajdować w murach cytadeli - zaczął kopać szyb nieopodal głównej bramy, utrzymując, że nie przebija się przez naturalną warstwę gleby, ale nagromadzony tu ludzką ręką materiał wypełnieniowy. I chociaż wkopał się na głębokość trzech metrów, niczego nie znalazł, a na dodatek nadeszła pora ulewnych deszczów. Niezrażony, wydrążył następny szyb, potem zaś trzy kolejne i wówczas przedsięwzięcie zaczęło nabierać rumieńców.

Odnalazł groby - nazwane szybowymi - zawierające rozczłonkowane szczątki wielu ciał. Na wszystkich czaszkach widniały złote diademy, pośród kości znajdowały się srebrne wazy i noże z obsydianu. W piątym grobie szybowym Schliemann odnalazł pięć ciał - wszystkie pokryte kosztownościami. Była tam również wspaniała, wykonana ze srebra głowa byka ze

złotymi rogami, a do tego miecze z brązu i wazy ze złota. Największą sensację wywołały jednak grobowe złote maski pokrywające twarze zmarłych.

Lecz dopiero gdy Schliemann zabrał się do pogłębiania pierwszego szybu, cały archeologiczny świat zaniemógł z wrażenia, a wszystkie oczy z niedowierzaniem skierowały się ku greckiemu wzgórz, na którym wzniesiono achajską cytadelę. Bo właśnie w owym pogłębionym szybie Schliemann odkrył najcenniejsze ze znalezisk: trzy kolejne ciała, dwa ze złotymi maskami, a także jeszcze jedną pośmiertną maskę zdecydowanie różniącą się od pozostałych - większą, o wyrazistszych rysach, najbardziej majestatyczną.

Według pewnej historii - później jednak odrzuconej jako przekaz apokryficzny - Schliemann miał wysłać do jednej z ateńskich gazet chełpliwy telegram, w którym oznajmiał między innymi: „Dane mi było spojrzeć w oblicze Agamemnona”.

Bez względu na to, czy rzeczywiście napisał te słowa, z pewnością nie oblicze Agamemnona było mu dane zobaczyć. Późniejsze badania wykazały bowiem, że znalezione w grobach szybowych ludzkie szczątki oraz towarzyszące im wyposażenie są dobre trzysta lat starsze od słynnego władcy Myken - o ile taka postać rzeczywiście istniała. Co więcej, niektórzy uczeni podejrzliwie patrzyli na wspaniałą maskę. Uważali, że jest nieodpowiedniego kształtu. Wskazywali, że sposób uformowania nosa znacznie odbiegał od zastosowanego w pozostałych, a wąsy odzwierciedlały kanon dziewiętnastowiecznej mody... Czyżby więc Schliemann, już podejrzewany o kradzież i manipulowanie prawdą, posunął się tym razem do bezwstydnego podrabiania zabytków?

Debora rozsiadła się wygodnie w fotelu i poddała analizie nowo poznane fakty. Po jakimś czasie w głowie zaczęła jej kiełkować pewna niepokojąca myśl. Czy to możliwe, że prowadząc wykopaliska w Mykenach, Schliemann odnalazł skarb, którego nie ujawnił? Czy istniał choćby cień prawdopodobieństwa, że niekonwencjonalna pośmiertna maska łączona (choć błędnie) z postacią Agamemnona, zajmująca poczesne miejsce w Narodowym Muzeum Archeologicznym w Atenach, była falsyfikatem? A jeśli tak, czy istniała prawdziwa, którą Schliemann podmienił na imitację? Czyżby autentyczna mykeńska maska „wyparowała” - podobnie jak skarby Priama z Troi? Przede wszystkim jednak, czy właśnie ów bezcenny eksponat znajdował się w sypialni Richarda jeszcze kilkanaście godzin temu, a jeśli tak, skąd się, do diabła, tam wziął?

Richarda czasami lekko zaślepiały jego chłopięce fantazje, nie był jednak głupcem. Jeżeli uważał, że pokój za półkami mieścił najwspanialszą

kolekcję mykeńskich zabytków, znajdującą się poza granicami Grecji, zapewne dysponował jakimiś dowodami jej autentyczności. A takie dowody musiały się wiązać z pochodzeniem eksponatów - informacją, gdzie i kiedy zostały odnalezione. Dla archeologów udokumentowanie pochodzenia zabytku było fundamentalną kwestią. Czyżby Richard zdołał odtworzyć przeszłość zbiorów i precyzyjnie wykazać, kiedy po raz pierwszy w erze nowożytnej ujrzały światło dzienne? A jeżeli to odkrył, kto jeszcze mógł posiadać ową informację? Jego mordercy? Jakaś osoba w Grecji, z którą Richard się kontaktował telefonicznie? I czy to jedynie zbieg okoliczności, że zaawansowany wiekiem Rosjanin, który przez ostatnich kilka dni kręcił się w pobliżu muzeum, zginął tej samej nocy co Richard - zaledwie przecnicę dalej? Czyżby ów były sowiecki żołnierz wiedział coś o starożytnych skarbach?

Debora sięgnęła po książkę telefoniczną leżącą na nocnym stoliku, po czym chwyciła za słuchawkę i z długopisem w ręku wystukała odpowiedni numer.

- Komenda okręgu Dekalb - odezwał się kobiecy głos.

- Dzień dobry. Dzwonię w sprawie Rosjanina, który został zabity przedwczoraj w nocy niedaleko muzeum Druid Hills - wyjaśniła Debora.

- Pani nazwisko?

- Debora Miller. - Ledwo to powiedziała, nabrała przekonania, że policja nie udzieli jej żadnych informacji. - Jestem pracownikiem tego muzeum - dorzuciła pospiesznie. - I uczestniczyłam w identyfikacji zwłok.

W pewnym sensie tak przecież było.

- To sprawa detektywa Robbinsa, ale jest w tej chwili nieobecny. Czy przekazać mu jakąś wiadomość?

- Nie. Chciałam się jedynie dowiedzieć, na jakim etapie znajduje się obecnie śledztwo.

- Praktycznie zostało zamknięte - oznajmiła policjantka.

- Tak szybko? Macie już więc podejrzanego?

- Nie. I nie sądzę, by w istniejących okolicznościach udało się nam kogoś takiego wytypować. Wątpliwe, by w tej sprawie pojawiły się jakiegokolwiek nowe poszlaki czy dowody, chyba że zdołamy dopasować kulę do broni zarejestrowanej w naszej bazie.

- W istniejących okolicznościach... - powtórzyła Debora. - Jak to należy rozumieć?

Kobieta westchnęła teatralnie i, sądząc po odgłosach, zaczęła grzebać w papierach. Kiedy się odezwała ponownie, Deborze się wydawało, że odczytuje jakąś notatkę.

- Pan Siergiej Wołoszynow nie posiadał obywatelstwa USA. Był obco-krajowcem, przedłużył swój pobyt poza okres ważności wize i - jak udało nam się ustalić - najprawdopodobniej cierpiał na zaburzenia psychiczne. Co najmniej od dwóch tygodni sypiał pod gołym niebem i miał zwyczaj kręcić się nocami po ulicach. No i w końcu natknął się na niewłaściwych ludzi. Tak po prostu. Obawiam się, że nic więcej nie zdołamy w tej sprawie zrobić.

- Wołoszynow - mruknęła Debora, zapisując nazwisko na kartce z hotelowego notesu. - A jak udało się ustalić jego personalia?

- Miał przy sobie ostemplowaną kopertę. Skontaktowaliśmy się z rosyjskimi władzami i najbliższą rodziną, ale wszystko wskazuje na to, że zostanie pogrzebany u nas.

- Z najbliższą rodziną?

- Z córką mieszkającą w Moskwie. Aleksandrą.

- A co z listem? Czy tłumacz zdołał cokolwiek odcyfrować?

- Proszę poczekać - poleciła policjantka i ponownie rozległ się szelest papieru. - Tłumacz... tłumacz... już mam. - Zaczęła odczytywać odpowiedni ustęp z akt monotonnym, nieco znudzonym głosem. - Tłumacz, David Barrons, stwierdził, że: „List jest poważnie uszkodzony, dlatego można odczytać zaledwie kilka słów z jednego zdania. Brzmia one, jak następuje: »Jestem już teraz absolutnie pewien, że pozostałości nigdy nie dotarły do Mary«. Należy jednak zwrócić uwagę, że ostatnie słowo jest niewyraźne i może być niekompletne. Z całą pewnością można też uznać, że ów list pochodzi co najmniej sprzed dwudziestu lat”.

Policjantka zamilkła.

- To wszystko - powiedziała po chwili. - Jeżeli zależy pani na kontakcie z detektywem Robbinssem, proszę zadzwonić ponownie. Choć osobiście wątpię, czy będzie on w stanie udzielić pani obszerniejszych wyjaśnień. A teraz, jeżeli pani nie ma żadnych więcej...

„Jestem już teraz absolutnie pewien, że pozostałości nigdy nie dotarły do Mary”...

Debora złapała się na tym, że w myślach wciąż wraca do enigmatycznego zdania. Czy „pozostałości” mogły być użyte w sensie archeologicznym? Czy obejmowały także mykeńską maskę grobową? Czy to możliwe, że tajemniczy Rosjanin podążał śladem starożytnego skarbu i padł ofiarą tych, którzy zabrali ów skarb z pokoju kryjącego się za półkami w sypialni Richarda?

17.

Debora powróciła do muzeum z pełną świadomością, że jej hipotezy opierają się jedynie na spekulacjach, niemniej wydawały się tak ekscytujące, że chciała jak najszybciej podzielić się nimi z Cernigą czy choćby z Calvinem Bowersem - z kimkolwiek, kto by jej wysłuchał. Tropem nieznanego świata, mykeńskiej pośmiertnej maski, ponad sto lat temu potajemnie wywiezionej z Grecji przez Schliemanna, podąża samotny Rosjanin i dociera aż do Atlanty w stanie Georgia! Jakże niezwykła historia. Niemal tak fascynująca, że pozwoliła choć na moment oderwać myśli od śmierci Richarda. A co najważniejsze, gdy Debora przedstawi swoją teorię policji, przyczyni się do wykrycia mordercy i w ten sposób uhonoruje Richarda. Kto wie, może nawet się uda odzyskać maskę, która kosztowała go życie. Trudno sobie wyobrazić odpowiedniejszy sposób uczczenia jego pamięci.

Najpierw jednak musi powrócić do prozy życia. Do tej pory nic nie miała w ustach i ogarnął ją wilczy głód. Przypomniawszy sobie, że po przyjęciu zostało sporo jedzenia, zeszła do kuchni zlokalizowanej na tyłach budynku. Dzięki Bogu, nie zastała tam Tonyi.

Zdjęła pokrywy z tac stojących w lodówce i podejrzliwie zaczęła obwąchiwać ich zawartość. Skubnęła kawałek pasztetu i od razu stwierdziła, że był równie paskudny, jak przedwczorajszego wieczoru. To przypomniało jej o kolejnej ważnej sprawie. Chwyciła za słuchawkę wiszącego telefonu i wykręciła numer firmy cateringowej. Trudno, musi jeszcze trochę poczekać, zanim podzieli się swoimi odkryciami z Cernigą.

- Smak i Elegancja - odezwał się nieznany jej głos. - Czym mogę służyć?

- Mówi Debora Miller z muzeum Druid Hills. Chciałabym rozmawiać z Elaine.

Najpierw zapadła cisza, potem zatrzeszczała przekazywana komuś słuchawka, aż w końcu na linii rozległ się inny głos - niski, o afektowanej modulacji.

- Elaine Shotridge przy telefonie.

Debora bez zbędnych wstępów zaczęła wygłaszać litanię zażaleń. W przeszłości już miała do czynienia z tą babą, dobrze więc wiedziała, że subtelnością niczego nie zwojuje.

Na moment ogarnęło ją złudzenie, że wszystko wróciło do normy, a koszmar nigdy się nie wydarzył. Oto ona przeprowadza kolejną rozmowę w interesach, a Richard pracuje w gabinecie na górze, z filuternym błyskiem w oku wyczekując, aż Debora przyjdzie zdać mu relację ze swojej potyczki z Elaine Shotridge - słynącą z tyranii królową cateringu Atlanty.

- W obronie dobrego imienia firmy muszę stanowczo zaznaczyć, że pojemność lodówek oddanych do naszej dyspozycji daleko odbiegała od wymaganych standardów.

- Pojemnością lodówek trudno wytłumaczyć fakt, że pani pracownicy nie raczyli po sobie posprzątać oraz że zabrakło czerwonego wina.

- Jesteśmy gotowi obniżyć kwotę rachunku z powodu tych drobnych niedociągnięć - odparła pani Shotridge. - O, powiedzmy, dziesięć procent?

- Piętnaście byłoby bardziej na miejscu - oznajmiła Debora. - Państwa tartinki pozostawiały wiele do życzenia, zarówno jeśli chodzi o smak, jak i ich różnorodność.

- Panno Miller - w głosie jej rozmówczyni pojawiła się lodowata nuta - bez sprzeciwu uwzględnię w fakturze fakt, że doszło do nieznacznych uchybień z naszej strony, ale kwestia gustów kulinarnych nie może usprawiedliwiać próby wymuszenia obniżki wcześniej ustalonych cen. Poza tym stanowczo się sprzeciwiam sugestii, że nasze tartinki nie należały do najbardziej wyrafinowanych, ręcznie przygotowanych...

W tym momencie Debora powinna powiedzieć tej kobiecie, że Richard nie żyje, więc targowanie się o parę półmisek kanapek z rokforem obecnie nie plasuje się najwyżej na liście jej priorytetów, ale nie mogła się na to zdobyć. Na razie jej się udawało w miarę sprawnie funkcjonować, gdyby jednak zaczęła mówić o śmierci Richarda, natychmiast by się rozkleiła. Odwołała się więc do sarkazmu, którego do tej pory starała się unikać.

- Nie uśmiecha mi się wyrzucanie trzydziestu dolarów za półmisek zawierających w szynkę kulek z melona, które smakują jak owcze ślepie okęczone skórą na zelówki - rzuciła wojowniczo. - Nie mieszajmy więc do naszej dyskusji fałszywych wyobrażeń o *haute cuisine*, dobrze?

- Grecy przyjaciele pana Dixona nie mogli się nachwalić sera, którego użyłam do pasztecików z fetą i szpinakiem - zachnęła się pani Shotridge.

- Zaraz, zaraz - Debora pilniej nadstawiała ucha - greccy przyjaciele pana Dixona? Jacy greccy przyjaciele?

- Dwaj dżentelmeni, z którymi konwersował podczas prowadzonej przez panią prezentacji.

- Skąd pani wie, że byli Grekami?

- Wyglądali na Greków, mówili jak Grecy i - ach, tak! - pan Dixon powiedział mi, że właśnie przyjechali z Grecji. - Elaine najwyraźniej próbowała powalczyć o palmę pierwszeństwa w kategorii „umiejętne posługiwanie się sarkazmem”.

- Co jeszcze mówili owi Grecy? - dopytywała się Debora. Była pewna, że na liście gości nie widniały żadne greckie nazwiska.

- Nic. Rozmawiali między sobą po grecku, a ja właśnie przechodziłam obok z tacą i pan Dixon powiedział, że jego przyjaciele chętnie by się poczęstowali moimi pasztecikami, ponieważ bardzo im zasmakowały. „Nigdy w życiu nie jedli lepszej fety” - tak mi wówczas oznajmił. Obaj dżentelmeni pokiwali z uśmiechem głowami i wszyscy - łącznie z panem Dixonom - nałożyli sobie po trzy paszteciki. Zaraz potem odeszłam.

- I nie mówili nic poza tym?

- Nie - odparła stanowczym głosem szefowa cateringu. - A wracając do zasadniczej kwestii... Dwanaście procent. To moje ostatnie słowo.

- Niech będzie - zgodziła się łaskawie Debora i odłożyła słuchawkę. Najwyższy czas, żeby porozmawiać z policją.

18.

Debora wsunęła drugą tartinkę do ust, popiła szklanką soku żurawinowego i właśnie miała wyjść z kuchni, gdy w progu pojawił się Bowers.

- Calvin - zagadnęła go bez namysłu, kierowana nagłym impulsem - czy lubiłeś Richarda?

Zmarszczył brwi, jakby przetwarzał treść nieoczekiwanego pytania.

- Nigdy go nie poznałem - odrzekł w końcu. - Ale tak. Myślę, że lubiłem. Dlaczego pytasz?

- Czy wobec tego uwierzyłybyś, gdybyś się dowiedział, że przedkładał dobro muzeum nad swój prywatny majątek czy wręcz reputację?

- Uwierzyłbym bez trudu.

Skinęła głową, zadowolona z odpowiedzi.

- Ja też - przyznała ciepłym głosem.

Na ułamek chwili stanęła jej przed oczami cała grecka kolekcja, z maską jako główną atrakcją, wystawiona w podświetlonych gablotach w dolnym holu lub specjalnie do tego celu wybudowanej sali na końcu długiego, mrocznego korytarza ze ścianami pokrytymi edukacyjnymi informacjami, diagramami i planszami. Najwspanialszy zbiór greckich zabytków znajdujący się poza Atenami. Zapewne takie właśnie marzenie pragnął zrealizować Richard.

Calvin tymczasem patrzył na nią tak, jakby widział obrazy przesuwane się w jej umyśle.

- Rozumiem. - Skinął w zamyśleniu głową. - Jeżeli cokolwiek mógłbym zrobić...

Debora uśmiechnęła się szeroko, ze zdumieniem odkrywając, że od dłuższego czasu wstrzymywała oddech.

- A tak przy okazji... - dorzucił Calvin. - Nie mogę znaleźć pewnych

ważnych papierów, przesłanych Richardowi pocztą. Czy na dole nie ma jakichś listów?

- Może w biurze - odpowiedziała. - Tam zanoszę korespondencję ściśle związaną ze sprawami muzeum. Szukasz czegoś konkretnego?

Miał lekko zakłopotaną minę.

- Jak już ci wspominałem, pan Dixon otrzymywał ostatnio do akceptacji sporo prawnych dokumentów dotyczących jego majątku osobistego i udziałów w muzeum. Mogą one mieć znaczący wpływ na finalny kształt jego ostatniej woli, a policja chce poznać status prawny pozostawionych przez niego aktywów, by sprawdzić, czy tu się przypadkiem nie kryje ewentualny motyw zbrodni.

Debora kiwnęła energicznie głową, pilnie skrywając konsternację - jak na profesjonalistkę przystało.

- W takim razie mówimy o korespondencji prywatnej - zdecydowała.

- Co oznacza, że znajduje się w rezydencji, w aktach w gabinecie, chyba że dotarła bardzo niedawno.

- Jak to?

- Jeżeli została wysłana na adres domowy, mogła pozostać nie otwarta przez dzień, góra dwa. Jeżeli przyszła na adres muzeum, ale jest prywatna - może leżeć nietknięta dużo dłużej. Rezydencja i muzeum mają różną numerację, mimo że de facto to jeden budynek, nie pytaj mnie o logikę tego rozwiązania. W każdym razie są tutaj dwie skrzynki na listy. Ja wyjmuję pocztę jedynie z tej przypisanej muzeum - odsiewam reklamy, a resztę kładę na biurku Richarda. Zazwyczaj nie pozostawało tego wiele, jednak jeśli nie zaczęłam natrętnie wymachiwać jakimś listem Richardowi przed nosem, nie zabierał się zbyt ochoczo do czytania korespondencji. Czy to jakiś problem?

Stał spięty i wpatrywał się w nią zwężonymi oczami, kiedy jednak usłyszał ostatnie pytanie, wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko.

- Nie sądzę. Po prostu denerwuje mnie, kiedy dokumenty nie trafiają do rąk adresata. To taka adwokacka obsesja.

Detektywi Cerniga i Keene siedzieli w rezydencji, w sąsiadującym z sypialnią gabinecie Richarda, studiując listę gości oraz spisy inwentaryzacyjne muzeum. Debora zerknęła na schody, postanowiła jednak, że zanim rozpocznie rozmowę z policjantami, wcześniej się trochę odświeży.

Weszła do małej toalety znajdującej się obok biura, zarezerwowanej dla pracowników muzeum. Mieściła się tu jedynie muszla, umywalka i jedna z tych elektronicznych suszarek do rąk, które zwykle zmuszały Debo-

rę do wycierania dłoni o spodnie. Włącznik światła uruchamiał jednocześnie wentylator, hałasujący prawie tak samo jak spuszczana ze spluczki woda. Gdy do tego dodać szum suszarki, wydawało się nieprawdopodobne, by mogły tu docierać jakiegokolwiek dźwięki z zewnątrz. Debora więc była zaskoczona, kiedy usłyszała podniesione głosy.

Po chwili się zorientowała, skąd dobiegają. Powyżej muszli znajdował się szyb wentylacyjny. Debora z początku nie zwracała uwagi na rozmowę, aż dotarło do niej, że to dyskusja pomiędzy detektywami.

Szyb musiał przebiegać przez gabinet na górze.

Nigdy wcześniej tego nie zauważyła, ale też jakim cudem miałyby zauważyć? W gabinecie bardzo rzadko toczyły się jakieś rozmowy. To przecież było prywatne sanktuarium Richarda.

Jeden z głosów brzmiał donośniej. Cernigi...? Nie... Keene'a.

Zignoruj to. Już wystarczy zabawy w detektywa.

Suszarka zacharczała i umilkła, a wówczas głosy stały się wyraźniejsze.

- To ty tak twierdzisz! - ryknął Keene. - Mnie nic o tym nie wiadomo.

Cicha odpowiedź Cernigi, skwitowana ironicznym śmiechem tamtego drugiego. Cerniga znów zaczął coś mówić, ale Debora nie zdołała usłyszeć jego słów.

Instynktownie sięgnęła do kontaktu. Toaleta pogrążyła się w ciemności i ciszy, bo przestał także pracować wentylator. Głos Cernigi, niosący się przez szyb lekko metalicznym echem, wpłynął teraz do środka miękko niczym smuga dymu.

- Mówiłem ci przecież - jego ton był chłodny, ale pełen irytacji - że jeżeli masz w związku z tym jakiś problem, porozmawiaj ze swoim kapitanem.

- Już z nim gadałem! - wykrzyknął Keene. - I dokąd mnie to zaprowadziło?

- A więc koniec dyskusji, jak sądzę?

- W żadnym razie, do cholery! Twierdzisz, że cię tu przeniesiono z okręgu Henry? Dzwoniłem do nich zaledwie dziś rano. I wiesz co? Nikt tam nigdy o tobie nie słyszał. Dosłownie nikt.

Deborę ogamął nagły chłód i znów poczuła mrowienie na karku - takie samo, jak wtedy, gdy spod drzwi mieszkania poczuła zapach wody kolońskiej i tytoniu.

- Twój kapitan zdecydował, że masz ze mną współpracować. - Głos Cernigi był teraz stalowy, jakby jego właściciel z trudem hamował wściekłość. - Więc jeżeli ci nie odpowiada taki układ, załatwiasz sprawę z szefem.

- Czy ty w ogóle jesteś gliniarzem? - zaperzył się Keene. - Osobiście

bardzo w to wątpię. Widziałem, jaką minę zrobiłeś na widok rutynowych formularzy. Z pewnością nigdy ich nie wypełniałeś. Chcę zobaczyć twoją odznakę!

W tej samej chwili ktoś zaczął szarpać za klamkę toalety i Debora nie usłyszała już ani słowa więcej.

19.

To była Tonya.

- Przepraszam - powiedziała tonem, w którym nie pojawił się ani cień przepraszającej nuty, aż do chwili gdy spostrzegła wyraz twarzy Debory.

- Nie widziałam, żeby paliło się światło, uznałam więc... Czy wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- W porządku. Nic mi nie jest. Ja tylko... dopadło mnie zmęczenie. Ostatnie dni były dość wyczerpujące. Myślę, że powinnam...

W zasadzie nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Wykonała nieokreślony gest ręką, zmuszając się do uśmiechu, ale wyraz zaniepokojenia na twarzy Tonyi jasno sugerował, że nie wykazała się talentami aktorskimi.

- Czy coś ci przynieść? Podać wody?

- Nie, nie.

- Może chcesz, żebym przyprowadziła tych gliniarzy i...?

- Nie! - zaproponowała Debora gwałtowniej, niż zamierzała. - To znaczy... nie. Wszystko w porządku. Naprawdę. Porozmawiamy później.

Ruszyła zdecydowanie przed siebie, oddalając się od schodów prowadzących do gabinetu Richarda. Nieustannie przyspieszała kroku, kiedy więc znalazła się w półkolistym korytarzu obstawionym odrażającymi dowodami wiktoriańskiego zamiłowania do taksydermii - praktycznie już biegła. Wpadła do biura muzeum, otworzyła sejf i wyjęła paszport. Nie minęły dwie minuty, a mijała szkielet tyranozaura i kobietę-smoka. Po kolejnych dwóch - siedziała w samochodzie i wyjeżdżała z parkingu.

Przypomniała sobie, że ma wyłączone komórki, ale zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli tak pozostanie.

Teraz chciała jedynie dostać się do domu, czy choćby wynajętego pokoju hotelowego. Przespać się. Rozjaśnić umysł.

Cokolwiek zrobisz, nie wymażesz słów, które przypadkiem usłyszałaś w toalecie.

To oczywiste, zdecydowała, przejeżdżając przez światła na Buford Highway i skręcając na trasę międzystanową. Ale może ta rozmowa nabierze logicznego sensu, jeżeli Debora fizycznie się oddali od muzeum i jego niezwykłych zagadek.

Po prostu potrzebowała samotności i spokoju.

Gładko i bez przeszkód mknęła 1-85 w stronę centrum, gdy gwałtownie wyrwał ją z zamyślenia dobiegający z tyłu wizz opon. Zerknęła w lusterko i zobaczyła ciemną furgonetkę w zawrotnym tempie wpadającą na autostradę.

Kierowcy z Atlanty. Gotowi zaryzykować życie, byle tylko pięć minut wcześniej znaleźć się w domu.

Debora skręciła na prawy, skrajny pas, żeby furgonetka mogła ją swobodnie wyminąć, i zaczęła się zastanawiać, dokąd właściwie ma jechać. Instynktownie skierowała się w stronę domu, oddalając jednocześnie od hotelu, położonego zbyt blisko muzeum. Zbyt blisko Cernigi i Keene'a.

Może po prostu przez godzinę pojeżdżę bez celu. Albo się wybiorę na spacer po Piedmont Park. Tak. Dojadę w pobliże enklawy, zaparkuję na Juniper, a potem się przejdę wokół jeziora.

Gdy już wybrała cel podróży, jednostajny rytm jazdy powoli ją uspokajał. Mniej zdenerwowana, powróciła myślami do rozmowy policjantów. Czy to możliwe, żeby się przesłyszała? Teoretycznie tak, ale gotowa byłaby się założyć, że jednak słuch ją nie zawiodł. Czy mógł być to swoisty dowcip, zrozumiały tylko dla nich obu? Jeszcze mniej prawdopodobne. A więc Keene rzeczywiście podejrzewał, że Cerniga - prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Richarda - w gruncie rzeczy wcale nie jest gliniarzem? Jak to w ogóle możliwe?

Dojeżdżając do Grady Curve, wciąż znajdowała się na zewnętrznym pasie i po jej prawej stronie pojawił się betonowy mur oraz znajoma tablica ostrzegawcza: 50 M DO KOŃCA PRAWEGO

Spojrzała w boczne lusterko, żeby skręcić w lewo, i zaraz szybko szarpnęła kierownicą, ujrzała bowiem vana, który wcześniej znajdował się w martwym polu lusterka.

Uważaj!

Porzuciła swoje rozważania na temat detektywów i mocniej zacisnęła dłoń na kierownicy.

Van po lewej wciąż poruszał się z tą samą prędkością, jakby kierowca zupełnie nie zauważył, że nieomal doszło do zderzenia. Debora nieznac-

nie przyspieszyła, żeby wśliznąć się przed większy pojazd, ale wówczas prowadzący furgonetkę zrobił dokładnie to samo. Jakże to typowe.

- No więc ruszaj, ty idiotyczny macho - mruknęła pod nosem, zdejmując nogę z gazu. Nie miała dostatecznego pola manewru, by wdawać się w bezsensowną próbę sił, tym bardziej że na wszystkich pasach samochodu poruszały się ciągłym, szybkim strumieniem. Po prawej miała tylko betonowy mur, a na całej jego długości nie było ani jednej zatoczki, nie istniał więc żaden margines błędu.

Van natychmiast zwolnił do tempa jazdy Debory i jego maska znalazła się dokładnie na wysokości maski niewielkiej toyoty. Debora, z morderczym błyskiem w oku, odwróciła się w stronę kretyńskiego kierowcy i wówczas spostrzegła, że szyby furgonetki są tak mocno przyciemnione, że w ogóle nie widać jej wnętrza.

Furgonetki?

Nagle, niemal jednocześnie, dwie rzeczy stały się jasne. Po pierwsze, miała obok siebie ten sam samochód, który z wizgiem opon gonił ją tuż po wjeździe na stanową. Po drugie, kierowca furgonetki nie blokował jej tylko z tego powodu, że był jednym z oszalałych piratów drogowych z pasją wyzywających się na innych użytkownikach drogi.

30 M DO KOŃCA PRAWEGO PASA. ZJEDŹ NA LEWO - głosiła kolejna, wisząca nad jezdnią tablica.

- Właśnie usiłuję to zrobić - jęknęła Debora.

Włączyła migacz i z całej siły nacisnęła na klakson. Kierowca vana nie zareagował. Debora naturalnie nie spodziewała się niczego innego. Ostatecznie ten człowiek śledził ją od muzeum i celowo wpędził w sytuację bez wyjścia. Debora przyspieszyła do osiemdziesięciu, potem do stu kilometrów na godzinę. Przed sobą widziała już tylko wąski klin drogi, oznakowany pomarańczowymi pachołkami stojącymi wzdłuż betonowego, zbliżającego się nieubłaganie muru.

Furgonetka także przyspieszyła i minimalnie wjechała na zajmowany przez Deborę pas, spychając ją w stronę muru. Szara bryła betonu coraz wyraźniej majaczyła na wprost przedniej szyby, a tymczasem Debora nie miała żadnego miejsca do manewru. Pomimo dławiącej paniki, jedno dotarło do niej z całą jasnością: jeżeli uderzy z taką prędkością w mur, nie przeżyje tej kolizji.

15 M DO KOŃCA PRAWEGO PASA.

Zahamowała gwałtownie - tak gwałtownie, że tyłem toyoty aż zarzucało. Rozległ się trzask uderzenia o beton, a po nim przeciągły zgrzyt me-

tal. Przez moment wydawało się, że furgonetka popędzi teraz naprzód, zaraz jednak zaczęła zwalniać, by nie wypuścić Debory z matni.

Debora jechała z prędkością zaledwie czterdziestu kilometrów na godzinę, a mur i tak zdawał się przybliżać w zawrotnym tempie.

W porządku, a więc po prostu się zatrzymam.

I co dalej? A jeżeli furgonetka także stanie? Jeżeli kierowca wysiadzie i ruszy w stronę toyoty?

Deborze mignął przed oczami obraz zamordowanego Richarda - bladego, wyglądającego tak krucho i staro. Ktokolwiek go zamordował, nie miał w sobie krzty miłosierdzia.

Wbiła wzrok w betonowy mur, po czym wcisnęła pedał gazu w podłogę.

20.

To było kompletne szaleństwo. Karkołomne, samobójcze pociągnięcie.

A jednocześnie ostatnia reakcja, jakiej się spodziewał kierowca vana. Zanim się zorientował w sytuacji i przyspieszył, by nadal skutecznie blokować Deborę, ona znalazła się dobre dziesięć metrów przed nim i skręciła kierownicą z całej siły w lewo tuż przed betonowym murem.

Małym samochodem ostro zarzuciło, posypało się szkło, toyota jednak tylko nieznacznie zwolniła, Deborze udało się więc wpaść pomiędzy inne samochody w akompaniamencie wycia klaksonów i pisku hamulców.

Chyba jesteś obłąkana. Mogłaś zginąć!

- Zginęłabym, gdybym się zatrzymała.

Te słowa na chwilę zagłuszyły głos rozsądku.

Debora poruszała się teraz jednym ze środkowych pasów, jej oddech powoli wracał do normy. Zaczęła w przepaszającym geście machać dłońmi do pobliskich kierowców, wciąż przeklinających ją z furją, a jednocześnie pokręciła wstecznym lusterkiem tak, że zdążyła jeszcze dojrzeć czarną furgonetkę kierującą się w stronę najbliższego zjazdu z autostrady i szybko ginącą jej z oczu.

Nie poszła do parku. Opuściła międzystanową na chwilę, żeby z pobliskiego bankomatu wybrać tyle gotówki, ile się tylko dało, po czym wróciła na autostradę i w końcu zaparkowała swoją pokiereszowaną toyotę przed synagogą, do której kiedyś zamierzała się wybrać. Stamtąd przeszła na pobliską stację kolejki i wysiadła dopiero przy terminalu Międzynarodowego Lotniska Hartfield-Jackson Atlanta.

Ostatnio nie mogła narzekać na brak emocji.

Ktoś się włamał do jej mieszkania i, co gorsza, zaczął się tam na nią. Ktoś próbował zgładzić ją w wypadku drogowym. Ktoś bestialsko zamor-

dował Richarda. Ale najdziwniejszy i najbardziej frustrujący był fakt, że w tej sprawie Debora nie mogła zaufać ludziom, których pomocy potrzebowała najbardziej - a mianowicie policjantom. Musiała więc uciekać. Uciekać jak najdalej. Co prawda nie miała przy sobie niczego poza torebką (wciąż wypchaną korespondencją, której jakoś nie zdołała do tej pory przejrzeć), ale jako osoba nieprzywiązująca szczególnej wagi do stroju postanowiła nie zawracać sobie głowy brakiem bagażu. Kupi wszystko, czego będzie jej potrzeba, kiedy już dotrze na miejsce.

Na miejsce? To znaczy gdzie?

Skoncentrowała się na rozstrzygnięciu tej kwestii, gdy jechała kolejką. Do godzin szczytu na szczęście było daleko, stąd niewiele osób zajmowało twarde, plastikowe krzeselka, z niepojętych przyczyn pomalowane na ciemnopomarańczowy kolor, który niemal każdego normalnego człowieka musiał przyprawiać o chorobę lokomocyjną.

Pewnie mogłaby się udać do rodzinnego domu na Brooklynie - do matki i siostry - tak naprawdę jednak wiedziała, że tego nie zrobi. Jej wizyty w Massachusetts należały, jak z lubością podkreślała matka, do wyjątkowo rzadkich i - może właśnie z tego powodu - zawsze się sprowadzały do stresujących i trudnych negocjacji oraz nieustannych, wzajemnych podchodów.

„Cześć, mamó. Tu Debbie. Ktoś próbuje mnie zabić. Mogę się u ciebie na jakiś czas zatrzymać?”

Rany, to dopiero byłaby katastrofa.

Debora wysiadła z kolejki, weszła na teren lotniska od strony południowego terminalu, po czym wśród spieszących w różne strony tłumów skierowała się ku stanowisku odpraw linii Delta. Pogratulowała sobie w duchu, że nie zabukowała biletu telefonicznie, a teraz postanowiła wręcz zniekształcić nieco własne nazwisko - tylko tyle, żeby w razie czego wyglądało to na zwykłą literówkę, a jednocześnie spowolniło polowanie, gdyby policjantom przyszło do głowy przeczesać komputery lotniczych przewoźników.

Co ty wyprawiasz! Przecież to stróże prawa. Im właśnie powinnaś zaufać. Opowiedzieć o furgonetce. Przecież ludzie muszą mieć poczucie, że policja ich obroni, bo w innym razie...

Zapanuje totalny chaos?

Przejrzała rozkłady lotu na monitorach, po czym ustawiła się w krótkiej kolejce zdominowanej przez jakąś koszmarnie znękaną rodzinę, objużoną olbrzymimi walizkami, niemal wysypującymi się z dwóch wózków. Pracownica linii, ze sztywnymi od lakieru włosami i o zmęczonych oczach,

objaśniała zaaferowanej rodzinie ideę elektronicznych biletów. Debora obejrzała się nerwowo za siebie. Zaledwie kilka metrów dalej w szklanej ścianie widniały drzwi prowadzące do strefy przyjmowania i odbioru bagażu, do wyjścia na parking, do normalności, do codziennego świata...

Gdzie kierowcy o morderczych zapędach próbują cię wgnieść w ścianę betonu lub zmusić do zatrzymania w jakimś opuszczonym tunelu, żeby zaatakować sztyłem pozostawiającym symetryczne zasinienia po obu stronach rany...

Odwróciła się gwałtownie i wpadła na mężczyznę w niezwykle dla upalnej Atlanty, trzyczęściowym garniturze. Mężczyzna był zgrzany i jak niemal wszyscy czekający na lot - sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- Przepraszam - mruknęła Debora.

Mężczyzna, raczej zaskoczony niż rozeźlony, nie odezwał się słowem, ona zaś, bardziej z powodu zażenowania niż czegokolwiek innego, zawróciła w stronę stanowiska.

Poszukaj policjanta!

A on cię odda w ręce Cernigi? O, nie. W tej chwili jedyną osobą, która jeszcze trzymała jej stronę, wydawał się młody prawnik poznany zaledwie dwa dni temu.

- W czym mogę pomóc? - spytała kobieta za kontuarem, częstując Debora wystudiowanym, służbowym uśmiechem.

Znekana rodzina odtoczyła się od stanowiska; nerwowo wymieniali niespokojnie uwagi i studiowali karty pokładowe z takimi minami, jakby wypisano je tajemnym kodem.

- Czy są jeszcze bilety? - spytała Debora.

- Na ten lot? Decyzja podjęta pod wpływem chwili?

W odpowiedzi Debora jedynie uśmiechnęła się niemrawo, kobieta zaś zerknęła na ekran komputera.

- Uhm - potwierdziła po chwili. - Będzie się jednak pani musiała pośpieszyć. Przejście przez stanowiska ochrony to obecnie coś więcej niż czysta formalność. W jedną stronę czy powrotny?

- Powrotny, ale otwarty, jeśli to możliwe?

- Naturalnie. - Pracownica linii zaczęła stukać w klawiaturę. - Jak będzie pani płacić?

Debora wołałaby nie używać karty, ale nie miała wyboru. Z drugiej strony przecież jeszcze za wcześnie, by zaczęli jej szukać, prawda? Położyła więc kartę na kontuarze, podczas gdy pracownica linii jeszcze raz zaczęła wszystko podliczać.

- A więc tak... Jeden powrotny, otwarty... Ateny, Grecja...

INTERLUDIUM

Francja, 1945 rok

Edward Graves zdjął biały hełm żandarma, wepchnął go pod brezentową torbę leżącą w kabinie zdezelowanej ciężarówki opla, po czym energicznym krokiem wszedł do budynku prowincjonalnej poczty. Ten etap planu był trochę niepokojący, bo Graves nie znał francuskiego, okazało się jednak, że francuski nie był mu do niczego potrzebny. Pokazał naczelnikowi swój starannie podrobiony dokument wojskowy, a potem musiał chwilę poczekać i przy okazji znosić cierpliwie zaczepki pewnej starej kobiety trajkoczącej coś - jak mu się zdawało z entuzjazmem - na temat wyzwolenia. Graves kiwał głową i rozpływał się w uśmiechach, jednocześnie prosząc Boga, by baba się wreszcie odczepiła.

- Jedna przesyłka, *monsieur* - oznajmił naczelnik, unosząc w górę grubym pakiet tak triumfalnie, jakby z nim pod pachą osobiście pokonał wpław La Manche.

Graves bez słowa chwycił paczkę i wymaszerował z poczty, zerkając jedynie okiem na angielskie znaczki. Dopiero gdy się znalazł w kabinie ciężarówki, zabrał się do otwierania przesyłki. Taśma klejąca nie chciała puścić, rozdarł więc skraj pakietu zębami, a potem długimi, zwinnymi palcami - teraz lekko drżącymi - wyjął z grubej koperty pojedynczą kartkę papieru i plik brytyjskich funtów. Przeliczył je szybko, a następnie zerknął na notkę zawierającą jedynie adres w Londynie oraz nazwisko nadawcy przesyłki: Randolph Fitz-Stephens. Graves zmiął kartkę w kulkę i cisnął za okno, po czym przekręcił kluczyk w stacyjce, czekając, aż zaskoczy silnik starej ciężarówki.

Trzy godziny później stał na kei i przyglądał się, jak z portu w Cherbourg wypływa transportowiec „St. Lo”, przewożący zdemobilizowa-

nych żołnierzy, ich dobytek, francuskie produkty (głównie wino), a także kilka sporych skrzyń, za których przewóz zapłacili prywatni obywatele amerykańscy, tacy jak on. Dokerzy potrzebowali niecałych dziesięciu minut na wypakowanie skrzyni ze starego opla i umieszczenie jej w ładowni okrętu. Stojący w pobliżu Graves cały czas śledził operację, siłąc się przy tym na obojętną minę, żeby przypadkiem nie sprowokować załogi do rozbicia skrzyni w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Ostatecznie marynarze byli równie niegodni zaufania co czarnuchy.

Za dwa tygodnie on sam zostanie odesłany do Stanów, a wówczas Randolph Fitz-Stephens już w żaden sposób nie zdoła go odnaleźć, nawet gdyby znał jego prawdziwe nazwisko. A swoją drogą ciekawe, czy wszyscy Brytyjczycy byli równie naiwni? Wystarczyło kilka fotografii tego towaru, a facet wpadł w euforię. Początkowo Graves zamierzał zażądać dziesięciu tysięcy funtów, kiedy jednak wyczuł entuzjazm kontrahenta, natychmiast podwoił cenę - a ten Angol zaakceptował ją bez mrugnienia okiem. Bogaty i dumny - z takimi najbardziej lubił robić interesy. Pewnie udałooby się wydusić więcej, jaka szkoda, że wcześniej się nie zorientował w sytuacji. Niemniej ogarniał go pusty śmiech na myśl o angielskim naiwniaku koczującym przy dokach w Southampton, czy gdzie tam do diabła miał wyekspediować mu towar, czekającym tygodniami na skrzynię, która nigdy nie miała przybyć, potem zaś wysyłającym uprzejme, wyrażające zaniepokojenie listy do głównianego, francuskiego miasteczka na adres nieistniejącego człowieka!

Sprawy nie mogły się ułożyć lepiej. Co prawda niewykluczone, że jeszcze będzie musiał odpowiedzieć na kilka pytań w związku ze śmiercią tego dowódcy shermana, jeżeli ludzie tamtego czarnucha puszcza parę zębów, ale przecież nikt nie potraktuje takich jak oni poważnie, a co najważniejsze - nikt nie połączy Edwarda Gravesa, sierżanta żandarmarii, z jakimkolwiek nazwiskiem znajdującym się na liście frachtowej „St. Lo”. Tak więc, biorąc wszystko pod uwagę, tegoroczna wiosna należała do udanych. Wojna - ta wojna, do której jego stosunek był co najmniej ambiwalentny - dobiegła wreszcie końca, on zaś przygotował sobie doskonały grunt pod cholernie dostatnią przyszłość w Stanach.

Wojna w Europie rzeczywiście się skończyła, ale zaledwie przed paroma tygodniami, nadal więc nieliczne, odizolowane niemieckie jednostki albo o tym nie wiedziały, albo po prostu nie zamierzały się poddać. Dryfujący niecałe dwieście kilometrów na północny zachód od Cherbourga samotny okaleczony U-Boot, który kilka tygodni temu nadział się na zbłą-

kaną minę, tracąc przy tym część kiosku i osprzętu radiowego, należał do tej pierwszej kategorii. Owa niemiecka łódź podwodna - U-146, VIIB, z bazy w Saint-Nazaire - od ponad dwóch tygodni ledwo się unosiła na falach, zachowując tylko resztki zdolności manewrowej. Silne wiatry i sztormy zerwały to, co po wybuchu miny pozostało jeszcze z anteny radiowej - całkowicie uniemożliwiając kontakt z Vaterlandem czy którymkolwiek z niemieckich agentów. Kapitan zdawał sobie sprawę, że sytuacja na froncie przedstawia się beznadziejnie, a siły Trzeciej Rzeszy zapewne znalazły się już w stanie agonii, ale jako zawodowy wojskowy wzdragał się na myśl o opuszczeniu uszkodzonego okrętu przed wypełnieniem misji. Nie wiedział, które z baz łodzi podwodnych wciąż znajdowały się w niemieckich rękach, postanowił więc poczekać jeszcze dzień, zanim wyśle sygnał SOS. Przypuszczał, że tymi, którzy pospieszą z pomocą - jeżeli jakkolwiek pomoc w ogóle zdoła do nich dotrzeć przed zatonięciem okrętu - będą najprawdopodobniej Amerykanie. Zdecydował, że najpierw się upewni, czy Jankesi zdołają wyłowić członków jego załogi z morza, a potem pośle okręt na dno.

Trzeba więc uznać za wyjątkowo nieszczęsne zrządzanie losu, że transportowiec „St. Lo”, zaledwie na trzy godziny przed planowanym przez Niemców nadaniem sygnału SOS, wpłynął w pole widzenia U-Boota, wciąż dysponującego trzema torpedami gotowymi do odpalenia.

CZEŚĆ DRUGA

ZA MORZEM CIEMNYM JAK WINO...

Kadisz afirmuje to, co niezniszczalne w człowieku, tym samym zaprzeczając triumfowi śmierci. Posiada uświęcającą moc, pozwala bowiem uschniętemu kwieciami, opadłemu z drzewa człowieczego, rozkwitnąć na nowo w ludzkich sercach. Dzięki kadiszowi umacnia się nadzieja, że po naszej śmierci ci, co pozostaną - czy to w bogactwie, czy ubóstwie, czy to w tym, czy innym zakątku ziemi - będą pielęgnować w sobie i czcić naszą pamięć. Czyż istnieje coś bardziej uwznioślającego?

Rozważania nad modlitwą kadisz,
„Księga modlitw na szabas i inne święta”
oprac. przez Amerykańskie Zgromadzenie Rabinów
oraz Zjednoczoną Synagogę Ameryki

21.

To instynkt podpowiedział Deborze, żeby wybrać Grecję. Ostatecznie tam właśnie wszystko się zaczęło - stamtąd się wywodził niezwykły skarb, podobnie jak tajemniczy goście Richarda i ktoś, z kim w sekrecie przez kilka ostatnich tygodni kontaktował się przez telefon. Skoro Debora nie mogła zaufać policji we własnym kraju, Grecja była idealnym miejscem, aby szukać tropów prowadzących do rozwikłania zagadki - tym bardziej że znajdowała się dostatecznie daleko i od muzeum, i od bezwzględного kierowcy furgonetki. Każda godzina lotu coraz bardziej oddalała dziewczynę od śmiertelnego zagrożenia, a przybliżała do źródeł problemu.

Debora nigdy nie zasypiała w samolocie. Po pierwsze, przestrzeń między fotelami była zbyt ciasna jak na jej długie, smukłe nogi, poza tym odstręczała ją myśl o pogrążeniu się we śnie wśród obcych ludzi. Już wystarczyło, że musiała podróżować z nimi wszystkimi w stosunkowo ciasnej, metalowej tubie, nie zamierzała jeszcze do tego tracić świadomości. Ale dziś, jak nigdy dotąd, marzyła o tym, żeby zasnąć - by w błogim niebycie przebyć Atlantyk i Morze Śródziemne, a ocknąć się dopiero nad brzegami Morza Egejskiego.

Jednak chociaż bardzo się starała utwierdzić swój organizm w przekonaniu, że nadeszła noc, a więc czas wypoczynku, nie mogła zmrużyć oka. Mimo że czuła się wyczerpana, a do tego perspektywa kilkunastogodzinnego lotu i lądowania w Atenach w ostrym słońcu poranka niemal pripraviała ją o depresję, umysł uporczywie odmawiał zapadnięcia w drzemkę i wciąż podsuwał jej nowe myśli, migające pod zamkniętymi powiekami niczym napisy na obcojęzycznym filmie. Nie ma czasu na bezproduktywny relaks. Trzeba się zająć planowaniem.

Debora nie miała ze sobą miejscowej waluty (Czy w Grecji nadal płaciło się drachmami, czy może już euro?), nie zarezerwowała pokoju w żąd-

nym hotelu, w gruncie rzeczy nie wiedziała, po co się wybrała w tę szaleńczą podróż i jak powinna postąpić, skoro się już na nią zdecydowała.

Przez jakiś czas bezmyślnie wpatrywała się w wyświetlany film; jadła wszystko, co przed nią stawiano, a czego smaku nie umiałaby opisać; spędziła sporą część „nocy” (rolety były opuszczone, a trzy czwarte pasażerów chrapało w najlepsze), kręcąc się po samolocie z niemiłym przekonaniem, że wszyscy podnoszący wzrok widzą w niej niezdarną, irytującą babę. W pewnej chwili spostrzegła mężczyznę w trzyczęściowym garniturze, na którego wpadła na lotnisku, on jednak siedział zatopiony w lekturze i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

I tak minęły dwie godziny. Potem następne trzy. Przez chwilę Deborze wydawało się, że może jednak się zdrzemnęła, kiedy jednak zerknęła na zegarek, wskazywał nadal tę samą godzinę. Siedziała więc pogrążona w myślach i głównie zastanawiała się, co do diabła robi, jak już w końcu wyładują.

Cóż, przynajmniej będzie bezpieczna.

Mężczyzna w trzyczęściowym garniturze odłożył książkę, po czym odwrócił się bokiem, jakby zamierzał rozprostować mięśnie zeszywniałe od długiego siedzenia w jednej pozycji. Przy okazji zerknął nonszalancko do tyłu, gdzie parę rzędów dalej wysoka Amerykanka, lekko wychylona przed siedzącego przy oknie sąsiada, spoglądała na poranne słońce widoczne spod uchylonych rolet.

Był pewien, że go nie rozpoznała, co ułatwiało mu zadanie. Kiedy wyładują, nie może stracić jej z oka, nie powinien jednak podchodzić zbyt blisko. Ostatecznie, nie musiał się już spieszyć. Teraz o wszystkim zdecyduje dobra synchronizacja działań w czasie.

22.

W Atenach panował skwar, a suche, upalne powietrze niosło ze sobą masy pyłu klejącego się niemiło do wilgotnego ciała. Niektóre z drobin wydawały się żwirowate, przypominały sproszkowany beton, co - sądząc po widoku z okien autobusu wiozącego pasażerów z lotniska - było więcej niż prawdopodobne. Transmisje z olimpiady pozostawiły wrażenie, że Ateny i okolice to głównie starożytne ruiny i idylliczne wioski odbijające idealną bielą od błękitu morza i nieba. Debora ze zdumieniem więc patrzyła na ciągnące się kilometrami rzędy bezdusznych szarych blokowisk, w większości albo na wpół wykończonych, albo na wpół wyburzonych - nie sposób to było rozstrzygnąć.

Siedzący naprzeciwko Debory mężczyzna - przynajmniej pięćdziesięcioletni, wysportowany i bardzo zadbany - ścisnął ramię o połowę od niego młodziej, kształtnej piękności o nadąsanej twarzy. Dziewczyna mogłaby być jego córką, przeczyła temu jednak aura dumnego posiadacza oraz sposób, w jaki mężczyzna wodził nosem po jej szyi. Debora odwróciła wzrok i teraz już nie pozostało jej nic innego, jak tylko spoglądać przez okno na spowite smogiem, okute betonem ulice.

Co ty, do diabła, tu robisz?

- Szukasz odpowiedzi na istotne pytania oraz uciekasz przed zagrożeniem - mruknęła pod nosem. - I to niekoniecznie w tej właśnie kolejności.

Na lotnisku znalazła punkt informacji turystycznej, gdzie kupiła „Krótki przewodnik po Grecji”, ponieważ jednak odkryła, że było to wydanie z 1995 roku i wszystkie ceny podano tam w drachmach. Tymczasem okazało się, że Grecja już kilka ładnych lat temu weszła do strefy euro. Debora nie miała pojęcia, jak wiele danych zawartych w przewodniku było równie nieaktualnych, ale ponieważ i tak nie mogła wykrzesać z siebie nic poza drobną irytacją, postanowiła się tym nie przejmować. W każ-

dym razie właśnie z przewodnika wybrała hotel Achilleus, położony w samym centrum miasta, i zadzwoniła tam jeszcze z punktu informacyjnego, modląc się w duchu, żeby podany numer telefonu był aktualny. Szczęśliwie numer się nie zmienił, dokonała więc rezerwacji i wsiadła do kursującego między miastem a lotniskiem autobusu, by odbyć tę długą, przygnębiającą podróż do centrum

Wysiadła na placu Syntagma - w najładniejszym miejscu, jakie do tej pory widziała w Atenach - sąsiadującym z ogrodem botanicznym i budynkiem parlamentu. Stamtąd skierowała się na zachód. Potrzebowała nieco czasu, by się zorientować w labiryncie bocznych ulic oznakowanych tablicami w nieznanym jej, ale w miarę czytelnym greckim alfabecie, i w końcu znalazła się w chłodnym, zacienionym holu Achilleusa. Recepcjonistka wyglądała jak kopia dziewczyny z autobusu - była ciemnowłosa, piękna i miała nieco znudzony wyraz twarzy. Debora - od dawna przekonana, że wylewna usłużność obsługi hotelowej w Stanach jest sztuczna i wymuszona - z miejsca poczuła do recepcjonistki sympatię.

Zameldowała się pod własnym nazwiskiem. Ostatecznie Atlanta wydawała się oddalona o lata świetlne od tego mrocznego budynku o marmurowych posadzkach, z królującą w nim beznamietną pięknnością.

- Nie ma pani bagażu? - spytała dziewczyna.

- Nie. - Debora uśmiechnęła się niepewnie, jakby ten fakt czynił z niej postać podejrzaną lub co najmniej dziwną.

- Okay. - Na dziewczynie brak bagażu nie wywarł najmniejszego wrażenia. - Oto pani klucz.

Pokój okazał się przyjemny, urządzone z tą samą swobodną elegancją, którą zauważyła już w holu. Debora nieco się zawahała na widok rozklekotanej windy i wąskiej klatki schodowej, jednak w najważniejszych kwestiach hotel okazał się bez zarzutu. Przylegająca do pokoju łazienka była wyłożona marmurem - najprawdziwszym marmurem, połyskliwym w świetle lamp, nie zaś erzacem typowym dla Stanów - a w oknach wisiały ciężkie, długie zasłony. Debora natychmiast je zasunęła, po czym położyła się na sprężystym materacu i wsłuchana w szum sufitowego wiatraka w końcu zasnęła.

Śniło jej się, że jedzie szosą międzystanową do centrum Atlanty. W pewnym momencie jezdni zaczęła się zwężać bez ostrzeżenia, przed oczami zamajaczył jej złowrogo betonowy mur, a tymczasem nikt nie chciał ustąpić jej miejsca, nie usuwał się choćby na cal. Jak to często się zdarza w snach, Debora była tym faktem bardziej zdumiona niż przera-

żona aż do chwili, gdy zdała sobie sprawę, że wszyscy znajdujący się na autostradzie kierowcy mają na twarzach złote pośmiertne maski.

Obudziła się zdezorientowana w mrocznym, przepelnionym ciszą pokoju. Jakoś udało jej się trafić do łazienki, ale dopiero gdy chwyciła mydło owinięte biało-niebieskim pergaminem z nadrukowanym pośrodku, stylizowanym Partenonem - zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

W Grecji.

Co jej właściwie strzeliło do głowy? Wróciła do pokoju i złapała za słuchawkę telefonu, szybko ją jednak odłożyła.

Przecież nie ma do kogo zadzwonić.

Przejrzała swój skromny dobytek, wzięła prysznic, odchyliła zasłonę i wyjrzała na rozświetloną słońcem, boczną uliczkę, po czym ponownie zeszła do recepcji. Na miejscu ciemnowłosej piękności o beznamytnym spojrzeniu siedział mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna. Debora spytała go, czy mówi po angielsku.

- Naturalnie - odparł z nieznacznym wzruszeniem ramion i taką miną, jakby go zapytała, czy umie czytać i pisać.

- Może mógłby mi pan powiedzieć, jak stąd trafić do Narodowego Muzeum Archeologicznego?

Recepcjonista wyjął spod kontuaru mapę z wyraźnie zaznaczonym na niej hotelem.

- Jesteśmy tutaj - wskazał. - A oto muzeum. Można tam dojść na piechotę, ale jest duży upał. Doradzałbym taksówkę.

W jego intonacji nie było nic z pytania, mężczyzna jednak patrzył na Debora wyczekującym wzrokiem. Debora zerknęła na mapę, bezskutecznie szukając skali, która dałaby jej wyobrażenie o odległościach.

- Taksówką tam, z powrotem na piechotę - zaproponował recepcjonista. - Będzie już chłodniej.

Podniósł słuchawkę i po raz kolejny rzucił pytające spojrzenie. Debora skinęła głową i mężczyzna wykręcił numer.

Z tylnego siedzenia taksówki patrzyła na bezduszną, betonową zabudowę miasta i sznur trąbiących samochodów zapełniających ulice, zastanawiając się przy tym, czy policja już zaczęła jej poszukiwać. Bez trudu wytropiła, dokąd się udała - posługiwała się przecież własnym paszportem i kartami kredytowymi - nie miała jednak pojęcia, jak dalej postąpić. Nawet jeżeli znajdowała się w gronie podejrzanych o zamordowanie Richarda, to z pewnością nie na czołowych miejscach na liście - w każdym razie

nie przemawiało przeciwko niej nic takiego, co uzasadniałoby alarmowanie Interpolu, o ile właśnie Interpol zawiadamiano w podobnych sytuacjach.

I o ile w sprawę śmierci Richarda w ogóle była zaangażowana policja.

Chociaż nie... Keene z pewnością jest detektywem. Nie lubił jej, ale bez wątplenia pracował w policji. Natomiast Cerniga, o wiele rozsądniejszy, bardziej zrównoważony... Kto wie, kogo lub co reprezentował? Chwilami coś pchało Debore, żeby tak czy owak zadzwonić do detektywów, dać im do zrozumienia, że przed nimi nie ucieka... Ale już po chwili nie widziała w tym sensu. Może zatelefonować do Calvina Bowersa?

Tylko po co? Czym uzasadnisz swój telefon? Myślisz, że on za tobą tęskni? Nie może się doczekać spotkania z tą dziwną, pokręconą emocjonalnie kobietą, na którą się natknął, gdy akurat była przesłuchiwana w sprawie szczególnie brutalnego morderstwa...?

Och, zamknij się!

Debora zapłaciła za kurs i wysiadła na rozpalony słońcem chodnik. Muzeum było nieco oddalone od ulicy, prowadziły do niego wysokie schody. Debora przeszła pod kolumnowym portykiem, zapłaciła za bilet i wkroczyła do przestronnego wnętrza zaskakującego prostotą, z niewielką tylko liczbą wyraźnie wyodrębnionych sal, o białych, odbijających echo ścianach i oknach zaczynających się pod równie białym sufitem.

Była to antyteza większości amerykańskich muzeów - ascetyczna forma nietolerująca ustępstw na rzecz rozrywki, niedbająca o pozory wysokiej kultury, w niewielkim stopniu uwzględniająca walory edukacyjne. Na swój sposób owo wnętrze stanowiło kwintesencję greckiej estetyki: modelowany powietrzem i światłem, podzielony na sekcje wielobok, gdzie nic nie odwracało uwagi od obiektów wyeksponowanych w sposób tak prosty, że aż graniczący z surowością. Nie było tu żadnych tablic informacyjnych, żadnych przyciągających oko diagramów - ani śladu żywego koloru. To wnętrze zdawało się głosić: „Jeżeli chcesz się dowiedzieć więcej - a powinieneś - kup sobie książkę albo jeszcze lepiej - wracaj do szkoły”. Debore zachwycało tu wszystko, a w szczególności kolekcja plastyki figuralnej z Cyklad, o dziwnie postmodernistycznych formach przywodzących na myśl rzeźby Moore'a i Picassa - artystów działających cztery tysiące lat później.

Naturalnie najwięcej skupienia i uwagi Debora poświęciła kolekcji mykeńskiej. Przesuwała się tak wolno od gabloty do gabloty, że wkrótce została sama w pomieszczeniu, wyprzedziły ją bowiem wszystkie szybko przemykające grupy wycieczkowe. Nic tutaj nie wyglądało tak samo, jak

eksponaty ukryte przez Richarda za półkami w Atlancie. Oczywiście w innych miejscach na świecie znajdowały się także zbiory zabytków mykeńskich, ten jednak był największy, najpełniejszy i Debora po raz kolejny doszła do wniosku, że na kolekcję Richarda nie składały się kopie znanych obiektów, tylko przedmioty wykonane przez artystę posługującego się podobnymi motywami, unikającego jednak bezpośrednich cytatów. Innymi słowy, okazy w Atlancie albo były autentykami - co wydawało się niewyobrażalne, albo niedokładnymi imitacjami - co złamałoby Richardowi serce.

Najdłużej zatrzymała się przed pośmiertnymi maskami, a szczególnie maską „Agamemnona” (Debora z zadowoleniem zauważyła, że muzeum nie opisało eksponatu tym mylnym określeniem). Wpatrując się w rysy wykute w złocie, usilnie przypominała sobie szczegóły oblicza, które ukazało się na ekranie jej komputera, i ostatecznie nabrała pewności, że to dwa różne obiekty.

Maska „Agamemnona” była nieco większa od naturalnej ludzkiej twarzy i lekko asymetryczna, chociaż nie sposób stwierdzić, czy zgodnie z zamiarem artystycznym, czy raczej na skutek działania ton ziemi i kamienia, pod którymi tkwiła przez trzy i pół tysiąclecia. Przedstawiała twarz o wąskich ustach, cienkim nosie, łukowatych brwiach oraz gęstych wąsach i brodzie. Uszy wycięto częściowo z fragmentu wyobrażającego włosy, sterczały więc lekko - niczym klapy samolotu. Najbardziej uderzające były jednak oczy - w kształcie migdałów, bez tęczówek czy źrenic, przecięte grubą kreską na całej długości, tak że wyglądały na zamknięte i otwarte zarazem. To one wywoływały w patrzącym niesamowite wrażenie, że ma przed sobą twarz człowieka zawieszzonego pomiędzy życiem a śmiercią.

- Wiele czasu poświęca pani temu eksponatowi.

Głos dobiegający gdzieś z boku był głęboki, o silnym obcym akcencie. Debora odwróciła się gwałtownie i ujrzała mężczyznę dobrze po pięćdziesiątce, najprawdopodobniej Greka, o poważnym, skupionym spojrzeniu. Patrzył na nią z pewnym rozbawieniem.

- Przepraszam - rzuciła, rozglądając się szybko na boki, by sprawdzić, czy przypadkiem nie wstrzymuje jakiejś wycieczki. Ów mężczyzna to zapewne jeden z przewodników. Ona tymczasem tak bardzo się pogryzła... - w czym właściwie? w naukowych dociekaniach? doznaniach estetycznych? dedukcji detektywistycznej? - że nie spostrzegła, kiedy ów przewodnik pojawił się u jej boku. Niewykluczone, że się jej przyglądał już od dłuższego czasu.

- Nie ma za co przepraszać - powiedział mężczyzna, wzruszając tak

ekspresywnie ramionami, że na parę sekund jego twarz postarzała się o dziesięć lat, a oczy rozbłyły jak twarde węgle. - Przywykłem już, że ludzie bacznie się wpatrują w tę maskę, niewiele jednak osób oddaje się temu tak... bez reszty. Czy jest może pani studentką archeologii? Debora uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jestem kustoszem muzeum. Ze Stanów.

- A! Proszę mi wybaczyć. W żadnym razie nie chciałem sugerować braku wiedzy. Moja angielszczyzna jest...

Wykonał sugestywny ruch ręką, mający sugerować: „nie najlepsza”, „kulawa”.

- W żadnym razie. - Teraz już uśmiechała się szeroko. - Jeżeli można mnie w ogóle uznać za specjalistkę, to jedynie w dziedzinie sztuki obu Ameryk. Jeśli chodzi o Grecję - wciąż przede mną wiele nauki.

- Doskonale. A więc nie zjawiała się tu pani, by udowodnić, że nasza maska jest falsyfikatem.

- Nie. W żadnym razie. A czy wiele jest takich osób?

Po raz kolejny wzruszył ramionami w ten charakterystyczny dla Starego Świata sposób, po czym rozłożył ręce.

- Zdarzają się od czasu do czasu - odparł i skinął głową, jakby zadowolony z doboru słów. - Naturalnie żaden z poważnych archeologów nie traktuje takich ludzi poważnie, zawsze jednak znajdą się miłośnicy teorii spiskowych, czyż nie?

Debora w milczeniu skinęła głową i z konsternacją zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem sama się tu nie zjawiała, by w duchu podać w wątpliwość autentyczność maski.

Mężczyzna tymczasem wykorzystał chwilę ciszy, by się przedstawić.

- Dimitri Popadreu - powiedział, wyciągając dłoń.

- Debora Miller.

Zareagowała odruchowo i przez moment przemknęło jej przez głowę, że być może nie powinna była podawać swojego nazwiska. Ta refleksja została jednak niemal natychmiast wyparta przez następną.

- Chwileczkę... Popadreu? - Szybko zerknęła do przewodnika.

- Czyżby pan był...?

- Dyrektorem tego muzeum? - Wszedł jej w słowo. - Owszem. - Skłonił się nieznacznie. - Lubię od czasu do czasu pokreć się wśród zwiedzających, żeby sprawdzić, które eksponaty przyciągają ich uwagę - z reguły prawie żadne, co zaś ich nudzi - zazwyczaj wszystko. Turyści to bardzo dziwne istoty - stwierdził i odwrócił głowę w stronę grupki zwiedzających.

- Często nie jestem w stanie pojąć, dlaczego tu w ogóle przychodzą. - Po

raz kolejny wzruszył ramionami, Debora zaś uraczyła go ciepłym uśmiechem. - Czy w pani muzeum wystawiane są eksponaty z Nowego Świata?

Z Nowego Świata, powtórzyła w duchu z rozbawieniem. Europejczycy kolonizują obie Ameryki od ponad pięciuset lat, a wciąż uznają je za coś nowego. Cóż, zreflektowała się, wodząc wzrokiem po białej sali wypełnionej skarbami z epoki brązu, może tutaj czas rzeczywiście płynie dużo wolniej. Dyrektorowi odpowiedziała jedynie: „Głównie takie” i wykonała lekceważący gest ręką, harmonizujący z repertuarem mimiczno-ruchowej ekspresji starszego Greka. Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że jej muzeum jest małe i nie może się poszczycić eksponatami światowej klasy.

Z wyjątkiem sekretnego zbioru mykeńskich zabytków zgromadzonych w sypialni...

- A więc maska z pewnością jest prawdziwa? - zagadnęła z filuterną przekorą.

- Nie widzę powodu, by sądzić inaczej - odparł Popadreus, przybliżając twarz do gabloty. - Faktem jest, że stylem różni się od pozostałych, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Gdybyśmy dysponowali obszerniejszym materiałem porównawczym, powiedzmy przynajmniej setką masek, można by wyciągać jakieś wnioski. Ale mamy ich tylko sześć. Odrębności mogą być wynikiem indywidualnego gustu twórcy lub szczególnych cech fizjonomii zmarłego czy też... - Tradycyjnie wzruszył ramionami i głośno sapnął dla podkreślenia siły argumentu. - W każdym razie - podjął - nie istnieją racjonalne powody, żeby podważać relację Schliemanna o miejscu i dacie ich odnalezienia. Natomiast trudno sobie wyobrazić, że w tak krótkim czasie i przy tak ograniczonych środkach, jakimi dysponował, udało by mu się wykonać podobną rzecz. Czyż nie?

- Zapewne - zgodziła się Debora. - A tak na marginesie, nigdy nie rozważał pan możliwości datowania maski naukowymi metodami, choćby po to, by uciąć wszelkie spekulacje?

- Myśleliśmy o tym - przyznał. - Ale to niemożliwe. Niektóre metody należałoby z góry odrzucić z przyczyn oczywistych. Na przykład badanie... jak wy to nazywacie?... drobin z roślin?

- Pyłków roślinnych.

- No właśnie. Wykonanie podobnej analizy może miałoby sens tuż po wydobyciu maski z ziemi, chociaż pyłki roślinne generalnie nie trzymają się powierzchni polerowanych metali. Ale teraz, po ponad stu latach... nie miałoby to najmniejszego sensu.

- Węgiel? - podsunęła Debora.

- Datowanie węglem radioaktywnym wymagałoby dostarczenia próbki materiału, a więc odłamania kawałka maski. To, naturalnie, jest absolutnie wykluczone. Co więcej, nie ma najmniejszego powodu poddawania bezcennego zabytku równie inwazyjnemu testowi, szczególnie dlatego że złoto nie nadaje się najlepiej do takich badań. Gdyby kruszec wytapiano w owych czasach przy użyciu węgla drzewnego, to być może dałoby się wykryć ślady izotopu... Jednak rezultaty i tak nie byłyby rozstrzygające. Po co więc wystawiać maskę na tak drastyczne działania, skoro w gruncie rzeczy nikt nie byłby usatysfakcjonowany wynikami?

- A metoda helowa? - spytała Debora.

- Może zdecydujemy się na nią w przyszłości. - Dyrektor z powagą skinął głową. - Musimy jednak mieć więcej danych dotyczących dokładności tego badania, a także pewność, że maska nie ulegnie uszkodzeniu. - Spojrzał znacząco na Debore. - Jak na kogoś, kto nie zamierza kwestionować autentyczności naszego eksponatu, zadaje pani zaskakująco wiele pytań.

- Ciekawość zawodowa - odparła z uśmiechem. - Między nami, kustoszami...

- Doskonale. W takim razie proszę mi opowiedzieć o swoim muzeum.

Debora chętnie przystała na propozycję. Opisała wystawę sztuki i rzemiosła Indian Krik, z zapałem opowiedziała o zbliżającej się ekspozycji celtyckich zabytków, a przez cały ten czas Grek z uśmiechem kiwał głową, a nawet się starał wykrzesać z siebie szczery entuzjazm. Debora, oczywiście, próbowała deprecjonować rangę swojego muzeum. Jakże mogłoby być inaczej, skoro ich rozmowa toczyła się przed gablotami z tak niezwykłą kolekcją? Po kilku minutach ogarnęło ją jednak zażenowanie, bo złapała się na tym, że mimo wszystko nie jest w stanie ukryć dumy z Druid Hills. Tego zażenowania nie zdołały nawet stłumić uprzejme słowa dyrektora, by więc uciec od krepującego tematu, na nowo podjęła wątek mykeńskich zabytków.

- Czy mogłabym zadać panu jeszcze jedno pytanie?

- Bardzo proszę.

- Jeśli uznajemy tę maskę za autentyk, jakie istnieje prawdopodobieństwo, że Schliemann znalazł jeszcze jedną, podobną, jednak nigdy nie ujawnił tego światu?

Kiedy Debora w jakiś czas później powróciła w myślach do rozmowy z Popadreusem, zdała sobie sprawę, że podczas ich całego spotkania jego twarz przywodziła na myśl rozświetlony, przyjazny gościom dom. Gdy zadała ostatnie pytanie, wszystkie światła jakby nagle pogasły.

Przez chwilę dyrektor w milczeniu patrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

- Uważam, że to wysoce nieprawdopodobne - oznajmił sucho.
- Wręcz nie wyobrażam sobie, jak mogłoby dojść do czegoś podobnego.
- Zerknął na zegarek i spojrzał na Deborę z uśmiechem, który jednak nawet nie musnął jego antracytowych oczu. - Proszę mi wybaczyć, muszę wracać do swoich obowiązków. Ale proszę... - w tym momencie na jego twarzy pojawiła się wcześniejsza serdeczność -...żeby pani kontynuowała zwiedzanie. -... - I... - był już kilka kroków od Debory, ale jeszcze się odwrócił -...proszę nas koniecznie odwiedzić ponownie. Wystarczy, że poda pani swoje nazwisko przy wejściu, a zostanie pani wpuszczona bez opłaty.

Debora odprowadzała wzrokiem odchodzącego mężczyznę, zastanawiając się jednocześnie, co w jej słowach lub zachowaniu spowodowało go do tak nagłego i nerwowego odwrotu.

23.

Po drodze z muzeum Debora zatrzymała się przy ulicznym straganie i kupiła jaskrawożółty plecak - sakwojaż na najbliższe dni. Potem wstąpiła do najskromniej wyglądającego butiku, jaki udało jej się znaleźć w okolicy, zastanawiając się przy tym, czy decyzja, aby kupić trochę ubrań, oznaczała, że zamierza pozostać w Atenach dłużej niż parę dni. Ostatecznie wybrała kilka T-shirtów, szorty i bawełnianą bieliznę, a także - w przyływie nedorzecznego optymizmu - kostium kąpielowy, który najprawdopodobniej i tak się okaże za mały. Zdecydowała się również na długą, miękko spływającą białą sukienkę wykonaną z przewiewnej tkaniny, być może z muslinu. Swoim niewprawnym okiem uznała ją za bardzo grecką - przynajmniej w klasycznym sensie. Bo teraz wszystkie kobiety na ulicy wyglądały dla niej jak typowe Europejki - młode ubierały się modnie i z ostentacyjną odwagą sugerującą pewną seksualną naiwność; natomiast podeszłe wiekiem matrony oblekały się w czarne, bezkształtne suknie, na których motały zdumiewające w tym skwarze szale, zapewne działające jak osobiste mikrofalówki. Z początku Debora miała nadzieję, że nowe ubranie pozwoli jej się z łatwością wtopić w tłum, szybko jednak spostrzegła, jak bardzo się myliła. Nigdzie wokół nie zauważyła nikogo - ani mężczyzny, ani kobiety - tak wysokiego jak ona, i niemal bez przerwy czuła na sobie pełne otwartego zainteresowania spojrzenia Greków.

Na ulicy Themistokleus natknęła się na wielką księgarnię oferującą duży wybór pozycji w języku angielskim. Kupiła kilka monografii na temat archeologii i sztuki - parę z nich widziała na półkach Richarda - a także dwutomowe, popularne wydanie „Mitów greckich” Roberta Gravesa. Wizyta w muzeum pełnym antycznych skarbów uświadomiła jej, jak wiele z treści dzieł Homera, Ajschylosa czy Eurypidesa już zapomniała lub nigdy nie poznała. Miała więc sporo do nadrobienia.

Zanim dotarła do hotelu, minęła czwarta, nic dziwnego więc, że była zmęczona i głodna. Z jednej strony marzyła, żeby się rzucić na łóżko, z drugiej - musiała przecież coś zjeść, a poza tym świeżo zakupione książki działały na nią równie magnetycznie jak nierozpakowany, bożonarodzeniowy prezent. Poczytała więc przez półtorej godziny, potem zaś wzięła szybki prysznic, włożyła nowe ciuchy, zapakowała do plecaka parę książek i ponownie wyszła na przesycony kurzem skwar ulic.

Z placu Syntagma skręciła w ulicę Ermou, którą doszła do Plaki - świeżo odnowionego, ongiś tureckiego serca Starego Miasta. Tutaj nie było śladu po betonie i ateńskich korkach; po obu stronach brukowanych uliczek stały neoklasyczne domy okładane terakotą, gdzieniegdzie przezielone minaretami. Na tle nieba rysowała się sylweta greckokatolickiej katedry. Wszędzie królowała rustykalna cegła, połyskiwały kopułowe dachy. Wiele budynków wydawało się dziwnie lilipucich. Od czasu do czasu Debora dostrzegała także ślady starożytnych kultur: pozostałości łuku rzymskiego czy częściowo zachowane kolumnady z okresu hellenistycznego. Atmosfera tego miejsca działała na nią kojąco - w odróżnieniu od muzeum i enigmatycznej rozmowy z jego dyrektorem. To takie właśnie Ateny miała nadzieję zobaczyć - eleganckie, bogate miasto mocno osadzone w wielowiekowej spuściźnie.

Snując podobne rozważania, w pewnej chwili uniosła głowę i po raz pierwszy ujrzała wzgórze Akropolu oraz fragment budynku o belkowaniu podpartym kolumnami (doryckimi? jońskimi? z tej odległości nie umiała zdecydować), wyłożonymi promieniami popołudniowego słońca. Debora nie mogła oderwać oczu od tego zapierającego dech widoku; wyraźnie czuła moc płynącą z owego miejsca. Zapewne patrzyła na Propyleje lub filigranową świątynię Ateny Nike, bo Partenon był przecież nieporównanie większy. Jasny marmur eleganckiej konstrukcji zdawał się świecić wewnętrznym ogniem, nadającym budowli niezmierną, wyjątkową aurę. To tam, jak głoszą legendy, ojciec Tezeusza, Egeusz, wyczekiwał wieści od syna, który wyruszył na Krete, by zabić Minotaura żyjącego w labiryncie pod pałacem w Knossos. Gdyby jego wyprawa się powiodła, Tezeusz miał zmienić na swoim okręcie czarne żagle na białe, jednak upojony triumfem zapomniał o złożonej ojcu obietnicy. Na widok czarnych żagli Egeusz - przekonany, że syn zginął - w akcie rozpaczony rzucił się ze skalnego urwiska do morza.

Legendy. Ta kraina aż pulsowała legendami. Może dlatego ludzie tacy jak Richard czy Schliemann, odwiedzając ją, nabierali wiary, że opowieści o bogach i herosach nie były jedynie poetycką fikcją.

W tawernie pod gołym niebem Debora zamówiła kebab jagnięcy oraz sałatkę z pomidorów, oliwek i fety. Czekając na posiłek, zajęła się lekturą - głównie żeby zniechęcić kelnerów do flirtu - oraz obserwacją chudych, wszechobecnych kotów, przemykających zwinnie pomiędzy nogami krzeseł. Kiedy zaś już się zabrała do jedzenia, natychmiast doszła do wniosku, że ten z Greków, który uznał ser w pasztecikach Elaine Shotridge za najlepszy, jaki przyszło mu jeść w życiu, był - w najlepszym wypadku - wyjątkowo szarmancki, w najgorszym zaś - bezlitośnie sarkastyczny. Feta w sałatce - idealnie wilgotna, słonawa, wyrazista w smaku - doskonale uzupełniała delikatną słodycz skropionych oliwą, przyprawionych miętą pomidorów.

Po obiedzie Debora raz jeszcze zajrzała do przewodnika, by się upewnić, że bez kłopotu trafi na Akropol, po czym zapłaciła i opuściła tawernę.

Do zamknięcia kompleksu świątynnego wzgórza pozostało nieco ponad godzinę. Za mało czasu, by dokładnie obejrzeć wszystkie budowle, dość jednak, żeby się nasycić urokiem owego szczególnego miejsca w łagodnym świetle i względnym chłódzie wieczoru. Autor przewodnika zapewniał, że o tej porze będzie tam niewielu zwiedzających, ponieważ większość wycieczek o zachodzie słońca kierowała się na Wzgórze Muz, skąd rozciągał się doskonały widok na Partenon efektownie podświetlony nocą.

Ze starego rzymskiego rynku Debora ruszyła energicznym krokiem szeroką drogą pnącą się serpentyną ku szczytowi wzgórza. Z zadowoleniem zauważyła, że większość turystów - w jaskrawych strojach, absurdalnych czapkach lub kapeluszach, ze spoconymi twarzami i ramionami spieczonymi na raka - kieruje się w przeciwną stronę. Było wśród nich kilkoro hałaśliwych, dziarskich nastolatków obciążonych plecakami, którzy sprawiali takie wrażenie, jakby zamierzali się wspinać na kilka kolejnych wzgórz, większość jednak schodzących wyglądała na zmęczonych i nieco przygnębionych. Co mogło ich wprawić w podobny nastrój? Rozczarowanie? Nieunikniona, nieznośna świadomość własnej ignorancji? Poczucie, że taśmowo odwiedzane, najśłynniejsze centra starożytnej Grecji zaczynają się zlewać w bezładną, pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia kupę kamieni? Debora - choć była przecież archeologiem i historykiem - nie miała im tego za złe. Przypomniała sobie, jak ktoś kiedyś podsumował filozofię typowego turysty: „To, co widzę, śmiertelnie mnie nudzi, a jednocześnie się boję, że nie wszystko uda mi się zobaczyć”.

Miała jednak nadzieję, że sama nigdy nie będzie aż tak zblazowana. Zbliżając się do szczytu, spojrzała ku północy, na skaliste rumowisko znane jako Areopag lub wzgórze Aresa. To tam święty Paweł głosił swoje na-

uki, od tamtej strony Persowie wdarli się na Akropol pięćset lat przed narodzinami Chrystusa, i również tam, w okresie archaicznym - jeszcze przed ustanowieniem zrębów demokracji - obradowała rada archontów, najwyższych prawodawców ówczesnych Aten. Legenda głosiła, że na Areopagu sądzono także Orestesa - za zabójstwo matki, Klitajmestry, dokonane w krwawym akcie zemsty za mord na ojcu, królu Myken, Agamemnonie. Synu Atreusza.

„Atreusz” - najprawdopodobniej ostatnie słowo napisane przez Richarda. Ono doprowadziło Deborahę do ciała ukrytego w pokoju za półkami. Co jednak znaczyło dla jej mentora i czemu postawił po nim znaki zapytania?

Debora minęła nieskazitelną w rysunku świątynię Ateny Nike i przez Propyleje ruszyła ku sercu Akropolu. Po lewej stronie widniał Erechtejon ze słynną lożą kariatyd - posągów kobiecych pełniących funkcję podpór architektonicznych. Natomiast tuż na wprost dumnie się wznosił Partenon. Debora przystanęła i zapatrzyła się w najświetniejszą świątynię, zadowolona, że może ją podziwiać w samotności.

Nic dziwnego, że ta konstrukcja należała do najlepiej rozpoznawalnych na świecie - monumentalne doryckie kolumny emanowały tajemnicą i siłą jak żadna inna budowla na ziemi. Naturalnie Partenon nie zawsze wyglądał jak obecnie i zapewne wielu zwiedzających wzdrygnęłoby się z niesmakiem, patrząc na przeładowany rzeźbami i krzykliwymi polichromiami gmach, który wzniesiono na rozkaz Peryklesa po bitwie pod Maratonem. Świątynia uległa poważnym zniszczeniom i bezpowrotnie straciła dach w siedemnastym wieku, podczas weneckiego oblężenia, gdy wybuch prochów składowanych tam przez Turków poważnie uszkodził helleńską architekturę i wywołał pożar szalejący przez dwa dni i dwie noce. Obecnie największymi zagrożeniami dla Partenonu - jak napisano w przewodniku - byli turyści, którzy wdrapywali się na kolumny, gdy tylko strażnicy odwracali głowy, oraz kwaśne deszcze. Zatrważający ateński smog przeżerał antyczny marmur w bezprecedensowym tempie...

- Wszystkie elementy tej struktury zachowują te same proporcje wobec siebie - odezwał się niespodziewanie głos u jej boku.

Debora odwróciła się i ujrzała nieznanego mężczyznę, który - choć zachłannie się wpatrywał w imponujące budowle - niewątpliwie do niej skierował te słowa.

- Doprawdy?

W tej samej chwili uświadomiła sobie, z kim ma do czynienia, i uśmiechnęła się pogodnie. Mężczyzna był teraz zupełnie inaczej ubrany,

ale z pewnością to właśnie z nim się zderzyła na lotnisku w Atlancie, gdy wahała się, czy wsiąść do samolotu, którym - jak się okazało - i on tu przyleciał.

Skinął głową i zerknął na nią spod oka, po czym znowu skierował wzrok na świątynię.

- Rozumiem więc, że odkryła pani kolekcję Richarda - powiedział cicho. - Czy raczej odnalazła to, czego w niej brakuje.

I wówczas, niczym za przekręceniem klucza, powróciły wyraziście niedawne wspomnienia i świadomość, że zna tego mężczyznę nie tylko z lotniska. Przede wszystkim jego głos brzmiał znajomo.

„Czy zabrali ciało?” - to zdanie wypowiedział z tym samym gładkim, nie amerykańskim akcentem.

Debra zeszywniała i zaczęła powoli się cofać, pchana narastającym przerażeniem.

24.

Był potężnym mężczyzną o szerokiej piersi i ramionach, może nie jakoś szczególnie wysportowanym czy atletycznym, ale niewątpliwie bardzo silnym. Miał czterdzieści parę lat i teraz wpatrywał się intensywnie w jej oczy.

- Niech się pan trzyma ode mnie z daleka - zażądała, ale głos wiązał jej w gardle, więc słowa zabrzmiały niepoważnie i piskliwie. Cofnęła się o kolejny krok, odchrząknęła i splunęła na potrzaskane marmurowe bloki. Jej zachowanie musiało go zaskoczyć, bo przystanął - jednak nie na długo. Już chwilę później ruszył w jej stronę, w Deborze zaś zamarło serce, gdy zobaczyła, jak zwinnie i lekko się poruszał.

- Panno Miller, musimy porozmawiać.

- Jeszcze krok, a wezwę policję - zagroziła, tym razem już niższym, bardziej stanowczym głosem.

- Rzeczywiście, zauważyłem, że ma pani wyjątkowe zaufanie do stróżów prawa - rzucił sucho.

Uprzejmość, z jaką wypowiedział jej nazwisko, oraz gorzki sarkazm ostatniej uwagi wyostrzyły jego akcent. Nie jest Australijczykiem ani Południowoafrykańczykiem, zdecydowała Debora, ale najczystszej krwi Brytyjczykiem. W tym samym momencie uświadomiła sobie także, że najstarsza, zwierzęca część jej mózgu - ta postrzegająca świat w kategoriach drapieżników i ofiar - bierze górę nad rozsądkiem i niuanse dotyczące pochodzenia tego człowieka stają się zupełnie nieistotne. Do tej pory praktycznie nie uświadamiała sobie działania tego atawistycznego mechanizmu, który teraz spowodował napięcie mięśni i kazał jej się rozglądać w poszukiwaniu jakiejś grupy turystów. Jednocześnie, niemal podświadomie, rejestrowała wyważone ruchy mężczyzny i automatycznie szacowała, jaka odległość od intruza zapewnia jej jeszcze bezpieczeństwo.

Jak na złość w pobliżu nie było żywego ducha. Napastnik idealnie wybrał moment ataku i nagle Akropol - miejsce niemal duchowe, do tej pory tak kojąco ciche i spokojne - wydał się jej złowrogo wyludnioną, śmiertelną pułapką.

- Nie musi się pani mnie obawiać - zapewnił, ale w jego tonie porzmięwało wyraźne zniecierpliwienie, bynajmniej nie działające uspokajająco.

- Jasne - odparła, podczas gdy prehistoryczny instynkt samozachowawczy kazał jej omiatać wzrokiem najbliższe otoczenie w poszukiwaniu solidnego kamienia, który mogłaby wykorzystać w charakterze broni. Grecy jednak już dawno temu odkryli, że turyści zabiorą stąd wszystko, co zdołają unieść, nie dostrzegła więc w polu widzenia niczego, co można by ruszyć z miejsca bez pomocy wózka widłowego.

- Jesteśmy po tej samej stronie - powiedział mężczyzna, ostrożnie posuwając się w jej stronę.

- Ja nie stoję po żadnej ze stron - rzuciła wojowniczo.

Zaryzykowała i zerknęła za siebie, akurat w chwili gdy grupa turystów weszła przez oddalone o jakieś dwieście metrów Propyleje i półkolem otoczyła przewodnika, trzymając w pogotowiu kamery i aparaty fotograficzne. Debora zaczerpnęła głęboki oddech i kolejny element łamigłówki trafił na swoje miejsce - dobiegł ją aromat tytoniu fajkowego i wody kolońskiej o egzotycznej nucie. Pochwyciwszy ów zapach, uświadomiła sobie, że poczuła go już na lotnisku - jednak nie skojarzyła wówczas z intruzem zaczajonym w jej mieszkaniu. Widać potrzebowała do tego również wysokiego poziomu adrenaliny, jak w tej chwili.

- Ma pani coś, na czym mi zależy - odezwał się ponownie mężczyzna. - I jestem gotów negocjować warunki, co, zważywszy na fakt, że moja rodzina już raz zapłaciła za ów obiekt, należy uznać za wyjątkowo korzystny dla pani układ.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Ależ, panno Miller - uśmiechnął się pobłaźliwie. - Jestem w stanie zapłacić dużo więcej niż jakiegokolwiek muzeum.

Kolejny klocek znalazł się na swoim miejscu.

- Podążał pan dziś za mną krok w krok.

- Naturalnie. - Wzruszył ramionami. - Przecież tego pani ode mnie oczekiwała.

On oszalał. To bez wątplenia wariat.

- Gdybym nawet znalazła się w posiadaniu cennego przedmiotu należącego do Richarda, czy sądzi pan, że sprzedałabym go jego mordercy?

- wysyczała, cały czas wycofując się w stronę turystów, którzy wydawali się wciąż nieskończenie oddaleni.

Twarz mężczyzny gwałtownie spochmurniała.

- A więc Richard nie żyje. Tego się obawiałem.

Wbiła w niego pełne niedowierzania spojrzenie.

- Przecież doskonale pan wiedział o jego śmierci.

- Zobaczyłem wozy policyjne i zacząłem się zastanawiać... Jednak myślałem... Wciąż miałem nadzieję...

Głos mu zamarł i mężczyzna na moment jakby się skurczył w sobie, szybko jednak rysy jego twarzy się zaostrzyły i nabrały twardego wyrazu.

- Teraz rozumiem - rzucił zimno. - Nic dziwnego, że wyjechała pani z kraju. - To było swoiste oskarżenie, Anglik jednak nie czekał na żadne wyjaśnienia. - Niemniej, jeżeli sądzi pani, że zapłacę więcej, ponieważ splamiła pani ręce krwią, czeka panią gorzkie rozczarowanie. W rzeczy samej, swoim brutalnym mordem osiągnęła pani tylko jedno: teraz już żadne muzeum na świecie nie podejmie z panią jakichkolwiek negocjacji.

- Uśmiechnął się ponuro. - Proponuję więc, by jak najszybciej rozważyła pani swoje obecne położenie; w innym wypadku będę zmuszony powiadomić policję o miejscu pani pobytu.

Ten niespodziewany zwrot akcji przyprawił Deborę o zawrót głowy.

On próbuje cię otumanić.

Wezbrała w niej podszyta goryczą nienawiść do tego człowieka - nienawiść tak gorąca, że miała ochotę rzucić się na niego z pięściami i zmienić jego twarz w krwawą miazgę. Dotarło do niej jednak, że może właśnie do tego zmierzał: chciał wytrącić ją z równowagi i zmusić do pochopnego działania.

- Myślisz, że nie wiem, co zrobisz? - wyszeptała chrapliwie, z trudem tłumiąc mdłości. - To ty zabiłeś Richarda!

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami, jakby w duchu przeprowadzał jej szybką ocenę.

- Dobrze pani wiadomo, że nie przyłożyłem do tego ręki. - Nie zabrzmiało to jak pełne pasji zaprzeczenie, ale chłodne stwierdzenie faktu, który w jego mniemaniu powinien być jej dobrze znany. - Bo po co wówczas miałbym do pani dzwonić?

- Wiedział pan o śmierci Richarda już w chwilę po tym, jak zginął.

- W żadnym razie. - Na ułamek sekundy spuścił wzrok. - Wiedziałem jedynie, że tej nocy miało dojść do pewnej... transakcji. Telefonowałem do Richarda, jednak nie odpowiadał. Wówczas zadzwoniłem do pani.

- Ja natomiast wiem o masce - rzuciła. To nie było najmądrzejsze po-

sunięciu, ale chciała wytrącić go nieco z równowagi, by szybciej dotrzeć do grupy turystów. - Odbiorę ją panu, a potem wydam pana w ręce policji.

- Mnie ją pani odbierze? - Przez chwilę sprawiał wrażenie autentycznie zdezorientowanego. - Cóż za nonsens!

- To pan ją zabrał. Jestem tego pewna.

Potrząsnął głową i w geście niemal ojcowskiego zniecierpliwienia przewrócił oczami. A właśnie na podobny moment czekała Debora. Bez zastanowienia rzuciła się do ucieczki.

25.

Ani razu nie obejrzała się za siebie. Wbijając wzrok w nierówny grunt i ze schyloną głową biegła przed siebie, wyciągając co sił długie nogi. Zatrzymała się dopiero w środku grupy zaskoczonych turystów, po zderzeniu z tęgim mężczyzną, który nie omieszkał wyrazić swojej irytacji w całym niezrozumiałym dla niej języku. Debora wdała się w chaotyczne przeprosiny, a gdy tylko się zorientowała, kto jest przewodnikiem grupy, wykrztusiła szybko:

- Ściga mnie jakiś obcy mężczyzna. Czy ktoś mógłby zadzwonić po policję?

Natychmiast pojawiło się co najmniej pół tuzina telefonów komórkowych i stojąc na tle jednej z najsłynniejszych budowli starożytnego świata, poczuła wielką radość, że przyszło jej żyć w dwudziestym pierwszym wieku, nawet za cenę smogu i tym podobnych paskudztw.

Kiedy w końcu się spotkała z policjantem patrolującym wspaniałe ruiny starożytnych teatrów usytuowanych u podnóża Akropolu, oznajmiła mu, że mężczyzna, który ją prześladował, najwyraźniej uciekł, gdy podbiegła do grupy turystów. Nie, nie znała tego człowieka. Tak, chciałaby, żeby funkcjonariusz odwiózł ją do hotelu. Nie powiedziała natomiast, że wspomniany mężczyzna przyjechał tu za nią aż zza Atlantyku.

- Zostanie pani w Atenach? - zapytał policjant, młody i lakoniczny, wyraźnie nieswój w towarzystwie tykowanej Amerykanki.

- Muszę się spakować. Ale potem... Co potem? Znowu zacznę uciekać?

- Mogę zaczekać przed hotelem i odwieźć panią na lotnisko.

Chcesz uciekać stąd, jak uciekłeś z Atlanty, jak chwilę temu uciekłeś przed tym Anglikiem? Ale dokąd? Oni już cię raz odnaleźli. Są tutaj. Podążają twoim śladem...

- Wie pan co? Proszę zapomnieć o całym incydencie. Ten facet zapewne zniknął na dobre. Sama bez problemu trafię do hotelu. Jeszcze mam tutaj coś do załatwienia.

26.

W podświadomości oczekiwała, że tajemniczy mężczyzna o brytyjskim akcencie będzie na nią czekał w hotelu. Ostatecznie śledził ją, zanim wsiadła do samolotu, podążył za nią do muzeum, a potem z rozmysłem zagadnął na Akropolu. Naiwnością byłoby sądzić, że nie wiedział, gdzie mieszkała.

Trzymała nerwy na wodzy, idąc ulicami Plaki, a gdy dochodziła do Achilleusa, odwołała się do swojej naturalnej buntowniczej natury. Poczowała pierwsze zwiastuny buntu, gdy młody policjant poczęstował ją uśmiechem sugerującym, że zdołał ją przejrzeć. Ów bunt musiał się w niej tlić już o wiele wcześniej - zanim obcy Anglik zaczepił ją przy Partenonie, zanim jeszcze opuściła Stany, a może wręcz wtedy, gdy uciekła spod drzwi własnego mieszkania.

Uciekła!

Ta świadomość doprowadzała ją do białej gorączki. Debora Miller nie należała do osób, które poddają się bez walki. Umykają bez wyprowadzenia ciosu. Ona zawsze stawiała do konfrontacji uzbrojona w inteligencję, siłę ducha i - jak to ujął Harvey - cięty język. Nie będzie więc dłużej uciekać.

W holu hotelowym panował mrok i przyjemny chłód - azyl dla przybysza z zewnętrznego świata. W recepcji ponownie siedział starszy mężczyzna. Sprawiał wrażenie zapadniętego w sobie ze zmęczenia, ale na widok Debory natychmiast się rozpromienił i automatycznie sięgnął do jednej z przegródek, w których przechowywano klucze. Nie musiał jej nawet pytać o numer pokoju.

Debora podziękowała i wzięła w rękę masywny, mosiężny przedmiot - wyglądający dokładnie tak, jak według jej wyobrażeń powinny wyglądać klucze w Atenach.

- Czy są dla mnie jakieś wiadomości? - spytała. - Może ktoś dzwonił

lub chciał się ze mną widzieć?

Recepcjonista zmarszczył brwi, wyczuwając, że za jej pytaniem kryje się jakiś podtekst.

- Nie, proszę pani. Jakież problemy?

- Nie sądzę - odparła. - Zamierzam natomiast odbyć międzynarodową rozmowę ze swojego pokoju.

- Nie musi mnie pani o tym informować.

- Tak, wiem. Ale spodziewam się telefonu, a będę rozmawiać przez dłuższą chwilę. Czy mógłby pan poinformować dzwoniącego, żeby połączył się ze mną ponownie, powiedzmy... o dziesiątej?

Jeżeli recepcjonistę zdumiały jej szczegółowe wyjaśnienia, nie dał tego po sobie poznać.

- Oczywiście, proszę pani - odparł, skłaniając nieznacznie głowę.

Pokój zastała w takim samym stanie, w jakim go zostawiła. Nie była tym zdziwiona, postanowiła jednak sprawdzić wszystko starannie i systematycznie. W drodze do hotelu zastanawiała się, kogo w Stanach powinna zawiadomić o miejscu swojego pobytu. Pierwszą osobą na liście była matka, lecz na samą myśl o tym, w jak zawiłe musiałyby się uwikłać wyjaśnienia, Debora natychmiast odrzuciła ów pomysł. Jeśli policja nie zadzwoniła do jej rodziny - cóż za przerażająca perspektywa! - matka i siostra nie miały dotąd pojęcia, że Richard nie żyje. Na dodatek Debora zdawała sobie sprawę, że gdy wda się w dyskusję na temat śmierci Richarda, obudzi się w niej poczucie winy. Te wnioski były przygnębiające, ponieważ pierwszy raz od wielu lat miała szczerą ochotę otworzyć się przed matką - dla dobra ich obu -jak wtedy, gdy miała dziesięć

Wybacz, mamo. Opowiem ci o wszystkim. O wszystkim bez wyjątku. Ale za jakiś czas. Obiecuję, pomyślała.

Wyjęła z portfela wizytówkę i wybrała podany na niej numer. Dopiero po dłuższym czasie po drugiej stronie odezwał się burkliwie męski głos.

- Calvin?

- Owszem. Kto mówi, do diabła? Czy czwarta nad ranem to trochę nie za wcześnie na telefony?

- Tu Debora Miller.

Przez chwilę panowała cisza, a gdy prawnik odezwał się ponownie, nie był już ani zaspany, ani rozdrażniony.

- Debora? Gdzie się podziewasz, na Boga?

- Jestem w Grecji - rzuciła pogodnie. - I zostanę tu jeszcze przez jakiś czas.
 - Co się dzieje?
 - Policja już mnie szuka?
 - Tak. To znaczy nie. Właściwie nie jestem pewien. Jeden z tych detektywów pytał mnie, czy wiem, gdzie cię można znaleźć. To wszystko.
 - Który z nich?
 - Który? A co to za różnica?
 - Zasadnicza. A więc który?
 - Keene - odparł Bowers. - Ten facet chyba cię nie lubi. Wpadnie w szal, kiedy się dowie, że wyjechałeś z kraju.
 - Prawdopodobnie już wie. Posłuchaj, Calvinie. Zdaję sobie sprawę, że w zasadzie się nie znamy, ale komuś muszę zaufać, a ty współpracowałeś z Richardem... więc zaryzykuję.
 - Co mógłbym dla ciebie zrobić?
 - Chciałabym, żebyś mi przesłał mejlem wszystko, co znajdziesz w komputerze Richarda na temat Schliemanna, Myken, Agamemnona czy Atreusza.
 - Co takiego?! Nie pozwolą mi się dotknąć do jego komputera.
 - Oczywiście, że pozwolą. Przecież zajmujesz się jego sprawami majątkowymi. Posłuchaj, Richard zginął z powodu pewnego eksponatu z tajemnej kolekcji. Eksponatu, który zabrali jego mordercy.
 - Czego brakuje?
- Zawahała się na moment.
- Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że pośmiertnej maski.
 - Takiej, jaką oglądałaś w komputerze?
 - Być może. Zaufaj mi, proszę. Mam twój adres mejlowy na wizytówce. Odezwę się do ciebie, a ty wyślesz mi wszystko, co zdołasz wyszukać.
 - Ponownie się zawahała, w końcu jednak postanowiła się rzucić na głęboką wodę. - Słuchaj, niewykluczone, że policja nie znajdzie zabójcy Richarda. Że nie będą chcieli go znaleźć.
 - Jak mam to rozumieć? Sądysz, że policja jest... jakoś w to uwikłana?
 - Jeszcze nie wiem - odparła. - Ale uważam, że zanim zaczniesz udzielać tym detektywom jakichkolwiek informacji, powinieneś ich najpierw starannie sprawdzić.
 - Milczał przez dłuższy czas, ogarnięty wątpliwościami.
 - Okay - powiedział w końcu. - Tak zrobię.
 - I... Calvinie?

- Słucham?
- Jeżeli zaczną opowiadać, że zabiłam Richarda, nie wierz im. Nagle zdała sobie sprawę, że chciałaby mu powiedzieć dużo więcej, że zupełnie inne słowa cisną jej się na usta, natychmiast więc przerwała połączenie, aby przypadkiem nie palnąć jakiegoś głupstwa.
Przez dziesięć minut oglądała telewizję, potem szybko się umyła w twardej wodzie (ilekroć wyjeżdżała, tęskniła do wody w Atlancie) i już miała się kłaść do łóżka, gdy zadzwonił telefon.
- Panno Miller - odezwał się głos o dobrze jej już znanym, angielskim akcencie - obawiam się, że wbrew swoim intencjom niemile dziś panią zaskoczyłem.
- Nie wspominajmy o tym. Wydaje mi się natomiast, że powinniśmy poprowadzić naszą rozmowę na bardziej partnerskich warunkach.
- To znaczy?
- Pan zna moje nazwisko, ja nie znam pańskiego.
Drobne zawahanie i wyraźne westchnienie.
- Naturalnie - odrzekł. - Nazywam się Marcus Fitz-Stephens.
Oczywiście mógł kłamać, ale to ją nie obchodziło. Najważniejsze, że wymusiła na nim odpowiedź.
- A więc zacznijmy od samego początku, dobrze? - zaproponowała.

27.

Wracając tego wieczoru samotnie z Akropolu, Debora analizowała rozmowę, którą odbyła z tajemniczym Anglikiem u stóp Partenonu, i w żaden sposób nie mogła dopatrzeć się w niej sensu. Albo ten człowiek był wyjątkowo utalentowanym aktorem i świetnym psychologiem, albo jego ogląd faktów rzeczywiście rozchodził się zasadniczo z tym, co postrzegala ona. Musiałby być szaleńcem, aby sądzić, że oskarżając ją o zabicie Richarda, zrzuci z siebie podejrzenia. Może więc autentycznie wierzył w jej winę. Jeżeli natomiast zamierzałby ją zabić, dlaczego szukał kontaktu w publicznym miejscu? To wszystko prowadziło do zdumiewającej konkluzji - czyżby on naprawdę sądził, że maska jest w posiadaniu Debory? To prawdopodobne. W innym wypadku po co by utrzymywał - i to szczerze, jak się zdawało - że ona chciała, by za nią poszedł tego dnia?

Potrzeba znalezienia odpowiedzi na te wszystkie pytania plus jej uparta natura sprawiły, że nie pojechała na lotnisko, tylko wróciła do hotelu. Wiedziała, że mężczyzna z Akropolu spróbuje się z nią tutaj skontaktować.

Teraz siedziała skupiona, przytrzymując słuchawkę ramieniem, z długopisem zaciśniętym w dłoni zawieszanej nad arkuszami papieru z firmowym nadrukiem hotelu.

- W porządku. Co pan ma mi do zakomunikowania?
- Panno Miller, zdaje się, że nie tylko panią przestraszyłem, ale także wysunąłem pod pani adresem zbyt pochopne oskarżenie o zamordowanie pracodawcy.

Oficjalna forma zdania w zestawieniu z niesioną przez nie treścią czyniła jego wypowiedź absurdalną, ale Debora postanowiła przejść nad tym do porządku dziennego.

... i tak przynajmniej częściowo, zastanawiając się, czy ten zaprowadzi ta rozmowa.

- Obawiam się również, że może pani żywić autentyczne przekonanie, iż to ja... się dopuściłem tego zbrodniczego czynu.

- Uhm... I teraz, jak sądzę, zapewni mnie pan o swojej niewinności.

- W rzeczy samej.

W słuchawce nie słyszała nic poza jego modulowanym głosem starannie wykształconego Anglika - żadnych trzasków, odgłosów ruchu ulicznego czy gwaru rozmów. Najprawdopodobniej Fitz-Stephens również siedział teraz w jakimś zacisznym hotelowym pokoju...

- Ale przecież dzwonił pan do mnie w Atlancie, pytając: „Czy zabrali ciało?” - przypomniała mu Debora. - Jeśli nie wiedział pan o śmierci Richarda, skąd pytanie o jego zwłoki? I kim byli owi tajemniczy „oni”?

- „Oni” to dwóch greckich biznesmenów, z którymi, jak sądzę, Richard zamierzał przeprowadzić szczególną transakcję. Niestety jej przebieg został zakłócony w nieoczekiwany dramatyczny sposób.

- A „ciało”?

Tym razem zamilkł na bardzo długo - Debora zaczęła nawet podejrzewać, że przerwano im połączenie. Kiedy się ponownie odezwał, jego głos dobiegał z oddali, sączył się cicho w ciemności, jakby Fitz-Stephens odwrócił się od telefonu, i zaczął mówić, zanim jeszcze przyłożył do ucha słuchawkę. Debora przypomniała sobie niespodziewanie zapach tytoniu pod drzwiami mieszkania, i dotarło do niej, że Anglik zapewne nabijał fajkę. To od razu lepiej ją do niego usposobiło.

Zapewne dlatego, że tata też palił fajkę.

- Po raz pierwszy ujrzała pani kolekcję Richarda dopiero po jego śmierci, czy tak?

- A co to ma za znaczenie?

- Świadczy o tym, że nie wie pani, co dokładnie skradziono.

- Miło mi słyszeć, że już pan mnie nie podejrzewa o zabranie owego tajemniczego eksponatu - odparła Debora. - Cokolwiek to było.

- Myślę, że w zaistniałej sytuacji powinniśmy się nawzajem obdarzyć pewnym kredytem zaufania - stwierdził. - Ja hipotetycznie założę, że pani nie popełniła zbrodni i nie dokonała kradzieży, a pani z takim samym założeniem podejdzie do mnie. Przynajmniej na razie.

- Dobrze. Na razie.

- Wobec tego przyjmuję, że nie posiada pani tego, o co został uszczuplony ów drobny łup ukryty za półkami. I uprzedzając pani pytanie - tak,

widziałem ten obiekt, chociaż nie w naturze i nie tej nocy, kiedy zginął Richard.

- Proszę mówić dalej.

- Jak pani sądzi, co zniknęło?

- Myślę, że maska pośmiertna. Podobna do wystawionych w ateńskim Muzeum Archeologicznym. Maski, jak twierdził Schliemann, pokrywająca twarz Agamemnona.

- „Jak twierdził Schliemann” - powtórzył jej rozmówca. - Nie wierzy więc pani, że w jednym z mykeńskich grobów szybowych znajdowały się szczątki człowieka, który powiódł Greków pod Troję?

- Nie wierzę.

- Richard tak sądził.

- Richard był... - złapała się na tym, że mimowolnie się uśmiecha, i szybko ściągnęła usta -...był marzycielem.

- Może właśnie dlatego nigdy nie pokazał pani skarbów, jakie zgromadził. Skarbów, przy których wszystkie inne eksponaty w waszym muzeum wyglądałyby groteskowo.

Debora natychmiast się zjeżyła, odpowiedziała jednak opanowanym głosem:

- Jest pan przekonany, że maska znajdująca się w posiadaniu Richarda pochodziła z grobów szybowych odkrytych przez Schliemanna pod koniec dziewiętnastego wieku?

- A wie pani, jaka była treść depeszy, którą Schliemann wysłał do jednej z ateńskich gazet tuż przed zakończeniem wykopalisk w Mykenach? „Dane mi było spojrzeć w oblicze Agamemnona”.

- Czytałam, że to było wymyślone. Sam Schliemann zaprzeczał, by kiedykolwiek napisał podobne słowa.

- To akurat zrozumiałe... - jej sceptycyzm ewidentnie nie zrażał Marcusa -...skoro maska, o której wspominał, nigdy nie miała trafić do rąk przedstawicieli greckiej agendy rządowej.

- Sądzi pan, że maska w muzeum jest falsyfikatem?

- Nie, jest jak najbardziej autentyczna. Tyle że nie jest to ta sama maska, która tak poruszyła Schliemanna. Była jeszcze jedna. Pochodziła z najhojniej wyposażonego grobu, którego zawartość Schliemann zachował w sekrecie.

- A więc pan wierzy, że Richard znalazł się w posiadaniu maski, która - według Schliemanna - miała pokrywać twarz samego Agamemnona?

Kompletnie nedorzeczna sugestia, nawet jeżeli Agamemnon był postacią historyczną. Okazało się jednak, że Debora nie usłyszała jeszcze największej rewelacji Marcusa.

- Nie tylko maski - odparł Anglik. - Widziała przecież pani tę kolekcję i zdaje sobie sprawę z jej artystycznej wartości?

- Tak.

Debora poczuła, że zaczyna jej brakować tchu - w miarę jak słuchała Anglika, ogarniała ją trwoga, czy też może niezwykła ekscytacja, zagłuszająca wątpliwości wobec opowieści tego człowieka i tym samym dopuszczająca, że to może być prawda.

- I nie uderzyło pani, że zabójcy pozostawili te wszystkie wspaniałe eksponaty, a zabrali jedynie maskę?

- Owszem - przyznała - ale uznałam, że maska była... unikalna, absolutnie wyjątkowa.

- Bo w istocie jest niezwykła. Rzecz w tym, że nie została tak po prostu wyjęta z gabloty, prawda?

- Tak. - Coraz bardziej brakowało jej powietrza, a gdzieś w zakamarkach umysłu majaczyła zatrwazająca prawda, której jednak nie mogła pochwycić.

- Zabrano całą skrzynię - stwierdził autorytatywnie Marcus. - Ciężką, dużą kasety, którą trzeba było wytoczyć z za półek.

Deborze stanęły przed oczami ślady smaru na dywanie, pojedyncze gniazdko elektryczne w podłodze i obszerny kwadrat jasnego światła. To, co wyeksponowano pośrodku sekretnego pokoju, z pewnością było o wiele większe niż pojedyncza maska. Debora poczuła, że jej ciało pokrywa się gęsią skórką, jakby nagle w pokoju zapanował nieznośny chłód.

- Co to więc było? - wykrztusiła z trudem.

- Gdy pytałem, czy zabrali ciało, nie miałem na myśli zwłok Richarda. Mówiłem o szczątkach Agamemnona.

28.

Kompletny nonsens. Niedorzeczność. Przypuszczenie, że w małym pomieszczeniu w Atlancie znajdowały się doczesne szczątki legendarnego władcy Myken, było czystym absurdem. Nie wspominając już o fakcie, że to absolutnie niemożliwe, aby dziewiętnastowieczny archeolog zdołał w stanie nienaruszonym wydobyć i zachować jakiegokolwiek zwłoki, które przez trzy i pół tysiąca lat spoczywały w ziemi.

Debora bez ogródek powiedziała to Marcusowi i, zdjęta irytacją, że tak długo wysłuchiwała podobnych bzdur, oraz ogarnięta narastającym przygnębieniem, że Richard mógł uwierzyć w coś równie nonsensownego, straciła ochotę na dalszą pogawędkę. Poprosiła tylko, żeby Marcus podał jej numer telefonu, pod którym mogłaby się z nim skontaktować (już więcej nie będzie jej dyktował miejsca i czasu rozmowy), po czym się rozłączyła.

Przez następną godzinę siedziała jak oniemiała na łóżku, aż w końcu przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Rozważała go przez chwilę, po czym ponownie chwyciła za słuchawkę telefonu i zaczęła wykręcać numer.

Dyżurnemu na posterunku okręgu Dekalb zajęło dokładnie trzy minuty odszukanie telefonu kontaktowego Davida Barronsa, tłumacza listu znalezionego przy nielegalnym imigrancie z Rosji, Wołoszynowie. Barrons odebrał już po dwóch dzwonekach - w pełni rozbudzony i

Debora przedstawiła się oficjalnym tonem - nie przypisując sobie jednak żadnej oficjalnej funkcji - i od razy przeszła do sedna.

- Chodzi o zdanie z owego listu odnoszące się do „pozostałości”. Jak, według pana, należałoby rozumieć to słowo?

- O ile się nie mylę, użyto tam rosyjskiego wyrazu *ostaki* - odpowiedział Barrons, tak zaferowany rozmową na temat swojej pracy, że zupełnie go nie zainteresowało, kim jest jego rozmówczyni i czemu w ogóle się

interesuje tą sprawą. - Ma on wiele znaczeń. Resztki. Starocie. Szczątki. Wspomniane pozostałości.

- Zabytki?

- Niewykluczone. Proszę chwilę poczekać. Pójdę po notatki.

Tłumacz zapewne odłożył na bok słuchawkę, bo Deborę dobiegły niewyraźne odgłosy - być może jakiejś audycji telewizyjnej - szybko jednak odezwał się ponownie.

- Powiedziałem *ostaki*, tak? Ale zaraz... teraz widzę, że coś pokręciłem. - Nie wydawał się tym zakłopotany, raczej zaintrygowany. - Wyraz, którego użyto w oryginale, to *ostanki*. Przegapiłem „n”. Rety.

- Czy to wiele zmienia? - spytała Debora.

- Znaczenie tego słowa jest bardzo podobne, jednak zdecydowanie węższe.

- Tak? - Głos Debory był teraz niewiele głośniejszy od szeptu.

- Nadal mówimy o szczątkach, ale o szczątkach ludzkich. O zwłokach.

Zacisnęła powieki.

- Dziwaczne - stwierdził Barrons.

- A ostatnie słowo w tym zdaniu... - Debora czuła, że coraz mocniej bije jej serce. - W swoim tłumaczeniu zapisał pan „Mary”. Czy ma pan jakiś pomysł na interpretację tego słowa?

- Wcale nie jestem pewien, czy dobrze odczytałem litery. List był podarty i bardzo zaplamiony, a na dodatek napisany niewyraźnym charakterem pisma. Dla mnie to bardziej wyglądało na MAGD, ale ponieważ nie miałem pojęcia, co mogłoby to oznaczać, więc w tłumaczeniu podałem „Mary”.

- Czy to możliwe, że chodzi o fragment dłuższego słowa? Jakiegoś imienia czy nazwy miejscowości?

- Nie wiem. Pewnie tak.

Debora podziękowała i odłożyła słuchawkę, a potem wyciągnęła się na łóżku, patrząc na wirujący pod sufitem wentylator. Po kilkunastu minutach wstała, żeby sprawdzić, czy starannie zamknęła drzwi, po czym wróciła do łóżka i w przeciągu kilku minut zasnęła.

Spała głębokim snem przez parę godzin, obudziła się jednak jeszcze przed świtem i zanim Muzeum Archeologiczne otworzyło o ósmej swoje podwoje, już od pół godziny siedziała na prowadzących do wejścia schodach. Przy drzwiach swobodnym tonem zapytała o pana Popadreusa i dowiedziała się, że dyrektor już jest, ale nie wolno mu przeszkadzać.

- Jestem umówiona - oświadczyła. Na swój sposób było to zgodne z prawdą, chociaż nie w takim sensie, jak mogłyby sugerować jej słowa.

- Proszę czekać - rzuciła kobieta o wyglądzie żandarma, która wpuszczała zwiedzających na teren muzeum.

Trudno było zdecydować, czyjej chłodna obcesowość wynikała z określonych cech charakteru, czy raczej z faktu, że ktoś bezceremonialnie zwrócił się do niej po angielsku. Debora zaczęła się zżymać w duchu, że nie zadała sobie trudu, by nauczyć się kilku podstawowych zwrotów po grecku. Niewychodzący poza ograniczenia własnego języka turyści musieli sprawiać wrażenie protekcyjnych, zadowolonych z siebie pyszałków, przekonanych, że cały świat radośnie dostosuje się do ich ignorancji. Wiedzioną poczuciem winy, Debora uśmiechnęła się i wydukała: *Efharisto*. Kobieta-żandarm skwitowała podziękowanie skinieniem głowy, nie odwzajemniła jednak uśmiechu.

Chwilę później otworzyły się drzwi gabinetu i w holu pojawił się Popadreus prowadzący ożywioną rozmowę z wysokim mężczyzną o żółtawej cerze, w eleganckim garniturze i okularach o grubych szklach. Niektórzy mężczyźni czują się nieswojo w garniturach i nie potrafią ich odpowiednio nosić - natomiast ci greccy dżentelmeni sprawiali takie wrażenie, jakby garnitur był ich drugą skórą. Poza tym obaj emanowali pewnością siebie i autorytetem. Dyrektor muzeum, pochwyciwszy wzrok Debory, powiódł swojego gościa poprzez hol w jej stronę. Kiedy podeszli, Popadreus spojrział na nią z ironicznym rozbawieniem.

- Dalsze studia nad naszymi eksponatami czy kolejne sprawdzanie moich wiadomości?

- Najchętniej jedno i drugie.

- Oczywiście. - Zwrócił się ku swojemu oficjalnemu gościowi.

- Panna Miller jest kustoszem jednego z amerykańskich muzeów - wyjaśnił. - I bardzo ją interesuje nasza mykeńska kolekcja. A oto...

- spojrział na Deborę -...Alexander Davos, minister kultury i dziedzictwa narodowego.

- Jestem zaszczycona. - Zdumiona Debora uściśniła wyciągniętą dłoń.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani nakłonić naszego przyjaciela do sprzedaży jakichkolwiek eksponatów - powiedział minister z nieznacznym uśmiechem. Jego głos był przyjemny, angielszczyzna perfekcyjna, z typowo brytyjskim akcentem. - Dbamy, by greckie zabytki nie opuszczały naszej ziemi.

- Naturalnie - odparła. - Szkoda, że nie zawsze to było możliwe.

W oczach Davosa pojawił się szczególny błysk. Spojrzał na Popadreusa i już niemal otworzył usta, żeby zareagować, zaraz jednak ponownie się uśmiechnął, zachowując dla siebie to, co zamierzał

- W rzeczy samej - rzucił grzecznościowo. - Cóż, Dimitri, na mnie już czas - zwrócił się do dyrektora. - Pamiętaj, żeby... - szybko rzucił kilka słów po grecku. Popadreuś kiwnął głową, po czym potrząsnął dłonią ministra.

- Panno Miller - Davos przeniósł wzrok na Deborę - miło było panią poznać.

Zdecydowanym krokiem oddalił się ku wyjściu, żegnany uśmiechami i lekkimi ukłonami pracowników muzeum.

- Mam nadzieję, że go niczym nie uraziłam.

- W żadnym razie - zaprzeczył Popadreuś. - O czym chciała pani ze mną porozmawiać?

- O pracach wykopaliskowych Schliemanna.

- A, znowu Schliemann. - Dyrektor przekrzywił lekko głowę z bezamiętnym wyrazem twarzy. - Oczywiście. Może w takim razie przejdziemy do mojego gabinetu.

Ruszył przed siebie tak szybko, że nawet Debora ze swoimi długimi nogami musiała za nim truchtać.

Gabinet był równie ascetycznie urządzone jak część ekspozycyjna muzeum: gołe, bielone ściany, stare meble - lecz nie antyki - regały z książkami, kilka pożółkłych certyfikatów w języku greckim i oprawiony w ramki plakat reklamujący wystawę sztuki egipskiej.

Popadreuś gestem wskazał Deborze krzesło, sam natomiast usiadł za biurkiem. Po obcesowości, z jaką zakończył poprzednią rozmowę, nie zostało ani śladu - teraz był serdeczny i sprawiał wrażenie, jakby się szczerze cieszył z tej wizyty.

- Napije się pani kawy? - zapytał. - Najprawdziwszej, nie jakiejś tam rozpuszczalnej neski.

Przystąpiła na propozycję ze względów czysto grzecznościowych. Podejrzewała, że w tym małym królestwie nie każdego spotyka podobny zaszczyt. Popadreuś tymczasem podniósł słuchawkę, wydał szybkie dyspozycje, po czym całą swoją uwagę skupił na Deborze.

- A więc ma pani jeszcze jakieś pytania. Słucham.

- Czy w mykeńskich grobach szybowych znajdowały się ciała?

- Naturalnie. Przecież to były miejsca pochówku zmarłych.

- Chodziło mi o to, czy udało się odkopać zwłoki.

- A! - Poruszył się na krześle. - Częściowo zachowane? Owszem.

- Naprawdę? Po tak długim czasie?
- Czy słyszała pani o ludziach z torfowisk?
- Oczywiście.

Popadreus miał na myśli ciała znalezione na obszarach północnej Brytanii i Skandynawii (najsłynniejsze wśród nich to tak zwany Człowiek z Lindów i Człowiek z Tollund), pochodzące z epoki żelaza - mniej więcej z pierwszego wieku naszej ery. Byli to najprawdopodobniej nieszczęśliwcy złożeni w rytualnej ofierze, których zwłoki zatopiono w bagnach, odkryto zaś dopiero w dwudziestym wieku zachowane w tak doskonałym stanie, że w przypadku ciała odnalezionego podczas prac budowlanych w okolicach Manchesteru miejscowa policja wdrożyła dochodzenie w przekonaniu, że natrafiono na ofiarę niedawnego zabójstwa, ponieważ skóra, włosy, kości, mięśnie, zęby, treść żołądka, a nawet garota zadziergnięta na szyi zabitego przetrwały niemal nienaruszone.

- Ale ciała tych ludzi uległy zakonserwowaniu dzięki szczególnym substancjom charakterystycznym dla torfowych bagien. To bardzo rzadko spotykana kombinacja glebowa. I z pewnością nie występuje nigdzie na obszarach południowej Europy.

- Racja. - Uśmiechnął się, zadowolony z jej wiedzy. - Ale podobne warunki można wytworzyć sztucznie, jeżeli w stanie nienaruszonym wydobędzie się zwłoki z ziemi.

- Właśnie w tym rzecz - w ziemi zwłoki zawsze ulegną rozkładowi.

- Panno Miller, czy czytała pani Szekspirowskiego „Hamleta”?

- Owszem, czytałam - odparła Debora, ściągając brwi. Przypomniała sobie natychmiast, jak jej profesor literatury zwykł mawiać, że każda rozmowa na istotny temat wcześniej czy później sprowadzi się do Szekspira.

- A czy przypomina sobie pani, co odpowiada grabarz, gdy Hamlet pyta, jak długo ludzkie ciało leży w ziemi, zanim zgnije?

- Obawiam się, że nie.

- Twierdzi, że najdłużej w dobrym stanie przechowają się zwłoki grabarza, bo ma skórę tak wygarbowaną, że przez kilka lat nie będzie przepuszczać wody. „Woda najsrożej rozkłada ci twoje skurwysyńskie martwe ciało”*.

- Chce pan powiedzieć, że suchy i ciepły klimat tych okolic przyczyniał się do mumifikacji? - podchwyciła Debora.

- Predynastyczni Egipcjanie chowali swoich zmarłych bezpośrednio w gorącym piasku pustyni. W tych warunkach dochodziło do błyskawicz-

* Przekład Macieja Słomczyńskiego.

nej utraty wody i nie następował rozkład zwłok. Późniejsze praktyki egipskie - usuwanie organów, owijanie ciał w zaimpregnowane odpowiednimi substancjami bandaże i tak dalej - były próbą odtworzenia naturalnej desykcji zachodzącej w pustynnym piasku, by zachować w dobrym stanie szczątki składane do grobowców.

- Ale niewątpliwie aż tak wysuszone ciało rozpadłoby się w proch wkrótce po wydobyciu, choćby na skutek kontaktu z powietrzem.

- Rzeczywiście. Większość zwłok szybko zostałaby zredukowana do kilku bardzo kruchych kosteczek.

Debora poczuła, że jej przekonanie o absurdalności sugestii Marcusa drży nieznacznie, jakby grunt, na którym się opierało, uległ drobnemu przemieszczeniu.

- A co Schliemann znalazł w Mykenach? - zapytała.

- W tak zwanym kręgu A grobów szybowych odkrył kości kilku osób, w tym dzieci. Zostały one starannie popakowane i wywiezione ze stanowiska.

- Dokąd?

- Tu, do tego miejsca - odparł Popadreus. - Nie wystawiamy ich, ale znajdują się w naszych zbiorach.

Debora na moment zaniemówiła z wrażenia.

- Są tutaj? - wydukała w końcu.

- Owszem. - Uśmiechnął się, widząc jej reakcję. - To nie jest żadną tajemnicą.

- I wszystkie odnalezione szczątki to były jedynie pojedyncze kości, tak?

- Wszystkie z jednym wyjątkiem: zwłok znalezionych nieopodal maki, która wczoraj wzbudziła w pani tak niezwykle zainteresowanie.

Debora wybałuszyła oczy.

- Chce pan powiedzieć, że oprócz kości zachowało się też... ciało?

- O ile mi wiadomo, to tak. - W charakterystyczny dla siebie sposób wzruszył ramionami. - Schliemann utrzymywał, że odnalazł nienaruszone zwłoki... ponoć nawet rysy twarzy były wciąż wyraźnie widoczne. Ściągnął miejscowych balsamistów, żeby zakonserwowali wydobyte szczątki. Jak podejrzewam, mieli odtworzyć warunki spotykane na torfowiskach, stosując alkohol, rozmaite żywice...

- A czy wysiłki się powiodły?

- Niestety, nie - odparł Popadreus. - Zwłoki uległy zniszczeniu.

Debora przystanąła samotnie naprzeciwko gablot ze złotymi maskami i pogrążyła się w myślach. Jeżeli ciała rzeczywiście się zachowały dzięki su-

chej, spalonej słońcem glebie Grecji, czy to możliwe, że Schliemann na pierwszych, oficjalnie poddanych próbie konserwacji zwłokach udoskonalił swoją technikę tak, że potem zdołał zachować ciało, o którego istnieniu nigdy nie poinformował władz greckich? Czy słynne słowa o spojrzeniu w oblicze Agamemnona uznano za apokryf, bo odnosiły się do szczątków, które poszukiwacz postanowił ukryć przed Grekami? Tylko dlatego w ogóle miałby ukrywać podobną rewelację? Wszystko, co do tej pory przeczytała na temat Schliemanna, jasno sugerowało, że był nie tylko marzycielem, ale przede wszystkim człowiekiem wyjątkowo zabiegającym o uznanie i sławę. Gdyby udało mu się dokonać tak spektakularnego odkrycia, czy nie czułby potrzeby ogłoszenia swojego triumfu światu?

Z drugiej strony najcenniejszych znalezisk z Troi nie oddał władzom tureckim. Po sfotografowaniu skarby - według Schliemanna należące do Priama - niespodziewanie zniknęły. Czy kiedykolwiek ktoś miał je jeszcze okazję zobaczyć? Wiele książek znajdujących się w sypialni Richarda było niemal antykwarycznymi wydaniem i chociaż w niektórych znajdowały się reprodukcje zdjęć Sophii, żony archeologa, prezentującej zaginione kosztowności, w żadnej nie podano, co tak naprawdę stało się ze skarbem. Nie oznaczało to, naturalnie, że nie istniało wyjaśnienie tej zagadki. Debora wbiła wzrok w nieruchome, złote oblicza, zastanawiając się, czy to możliwe, że Richard rzeczywiście wszedł w posiadanie ciała któregoś z mykeńskich królów.

29.

W jednej z tawern na Starym Mieście zjadła wczesną kolację, popita kieliszkiem retsiny, a potem wróciła prosto do hotelu, żeby się zabrać do „Wspomnień Heinricha Schliemanna” w opracowaniu Leo Deuela, gdzie spodziewała się znaleźć więcej informacji na temat tak zwanego skarbu Priama. Usiadła w fotelu, podwinęła pod siebie nogi i zaczęła czytać z ołówkiem w rękę, by podkreślać najistotniejsze ustępy. Według Deuela, wydarzenia przedstawiały się następująco.

Był rok 1873. Rząd turecki zamierzał odebrać Schliemannowi pozwolenie na prowadzenie wykopalisk, ponieważ pojawiły się podejrzenia (słuszne, jak się później okazało), że archeolog potajemnie wywozi z kraju zabytki znalezione na terenie Troi. Ponadto Schliemann kopał na chybił trafił - przenosił się z miejsca na miejsce, z poziomu na poziom, zupełnie nieświadomy, że odnalezione w ten sposób przedmioty pochodzą z różnych okresów. Był przekonany, że najstarsza warstwa osadnicza jest Troją z Homerowej „Iliady” i zaślepiony swoją obsesją nie dostrzegał, że robotnicy niszczą inne warstwy i kradną drobne znaleziska.

Jego kontrowersyjny triumf nadszedł pewnego czerwcowego poranka, zaledwie kilka dni przed zakończeniem prac. Schliemann twierdził, że obchodził stanowisko, kiedy u podstawy jednego z murów dojrzał błysk metalu. Zaczął osobiście kopać w tym miejscu i szybko odsłonił kolekcję przedmiotów ze złota - różnej pojemności wazy, dzbany, krater, diademy, zausznice i inne kosztowności. Uznał natychmiast, że to skarby Priama. Wartość samego kruszcu z odnalezionych przedmiotów przekraczała sumę miliona ówczesnych franków francuskich. To niezwykle znalezisko miało, według Schliemanna, dowodzić prawdziwości Homerowego przekazu o bajecznych bogactwach Troi.

Niespójny, często wewnętrznie sprzeczny opis miejsca, w którym odnaleziono złoto, wzbudził wiele wątpliwości, które jednak przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie w świetle późniejszych wydarzeń. Bo oto - całkowicie gwałcąc porozumienie z Turkami uznającymi złoto Troi za swój skarb narodowy (dla którego przeznaczyli już najświetniejszą salę w świeżo wybudowanym Muzeum Konstantynopolskim) - Schliemann zorganizował natychmiastowy przerzut złota do Aten, gdzie podówczas mieszkał na stałe. Kosztowności przemycono w brezentowej torbie i sześciu wiklinowych koszach, o których zawartości nie mieli pojęcia nawet najbliżsi współpracownicy archeologa.

Siedemnaście lat później, po triumfalnie zakończonych wykopaliskach w Mykenach Schliemann ponownie rozpoczął prace w Troi. Odnalazł cztery bezcenne kamienne ostrza toporków i postąpił identycznie jak ze złotem - wywiózł je z Turcji do Grecji, w deklaracji celnej wpisując, że pochodzą z Egiptu, by bez trudu przetransportować je dalej. Nie zamierzał bowiem pozostawiać legendarnych zabytków w Grecji. Wszystkie swoje wspaniałe zbiory ofiarował Berlinowi.

Berlinowi?!

Debora kilka razy przeczytała odnośny ustęp. Zarówno skarb Priama, jak i kamienne toporki zostały przewiezione morzem do Niemiec, gdzie - po śmierci Schliemanna w 1890 roku - wystawiono je we wzniesionym specjalnie na tę okazję skrzydle muzeum etnograficznego jako dar archeologa dla ojczyzny i narodu. Na tym jednak nie skończyły się peregrynacje trojańskiego dziedzictwa. W swojej książce Deuel podał fascynujące, wcześniej nieznanne Deborze fakty.

W ostatnich dniach drugiej wojny światowej Berlin zdobywały wojska sowieckie. Po sromotnym upadku stolicy Trzeciej Rzeszy wszelki ślad po zbiorach Schliemanna zaginął i podejrzewano, że skarby najprawdopodobniej padły łupem plądrujących miasto Sowietów. Czy został zrabowany w całości, czy rozszabrowany, czy może po prostu barbarzyńsko przetopiony - nikt tego nie zdołał jednoznacznie stwierdzić. W chwili gdy książka Deuela szła do druku, los trojańskich zabytków był nieznanym. Niemniej większość specjalistów przychyliła się do opinii, że przepadły na zawsze.

Sowiecka armia? Rosjanie?

Debora zamknęła książkę i wbiła wzrok w sufit, a przed oczami stanęła jej zapadnięta twarz zamordowanego Siergieja Wołoszynowa, żołnierza wojsk radzieckich...

Czy Schliemann w Mykenach zachował się tak samo jak wcześniej - i to dwukrotnie - w Troi? Czy potajemnie wywiózł z kraju najwspaniał-

sze znaleziska, których istnienia nikomu nie zgłosił? Historia jasno wskazywała, że uzurpował sobie prawo własności do zabytków odnalezionych na założonych przez siebie stanowiskach i choć nie wydzierał skarbów z rąk Greków z równą determinacją jak z rąk tureckich (Jego stosunek do „orientalnych” Turków był co najmniej etnocentryczny, żeby nie powiedzieć rasistowski), nie można wykluczyć, że za jedyny kraj godny posiadania niezwykłych zbiorów uznał Niemcy. Zakładając jednak, że przeszmuglował jakieś znaleziska mykeńskie do Berlina, czemu nie istniała żadna dokumentacja potwierdzająca ów fakt? Przecież to naturalne, że Schliemann chciałby je z dumą wystawić razem ze swoimi innymi zdobyczami - wraz z resztą cudów ofiarować przyszłym pokoleniom rodaków.

Z drugiej strony trzeba pamiętać, że Schliemann przez wiele lat był w Niemczech obiektem drwin i publicznym pośmiewiskiem - co napędzało go bólem i goryczą. Nade wszystko jednak należał do wyjątkowych oryginałów. Człowiek, który wznosił dla siebie rozległą rezydencję w antycznym stylu zaledwie kilka przecznic od hotelu Debory, nadał służącym imiona wzięte żywcem z mitologii i nalegał, by wszelkie wiadomości przekazywano mu jedynie w klasycznej grece - taki oryginał bez wątpienia był panem samego siebie i swoich kaprysów. Jeżeli odnalazł i zachował w dobrym stanie ludzkie szczątki, które - jak niewzruszenie wierzył - były szczątkami samego Agamemnona, i to w pełnym przepychu sepulkralnym majestacie, czyż nie zrobiłby wszystkiego, żeby ów skarb zachować tylko dla siebie? Z drugiej strony, skoro istnienie tak zdumiewającego eksponatu było ściśle ukrywaną tajemnicą, jakim cudem znalazł się on w niewielkim muzeum w Atlancie i co mogło go łączyć z nieżyjącym Rosjaninem, zaledwie parę dni temu przemykającym chyłkiem przez należący do muzeum parking?

Następnego ranka, po śniadaniu złożonym z wędzonej szynki, fety, chrupkiego pieczywa, jogurtu i miodu, Debora zeszła do recepcji - gdzie ponownie zasiadała młoda, ciemnooka piękność - i zapytała, w jaki sposób mogłaby uzyskać dostęp do Internetu.

- Na rogu Ermou i Voulis jest kafejka internetowa - poinformowała recepcjonistka, automatycznie rozkładając niezawodną hotelową mapę i zakreślając wspomniane skrzyżowanie ołówkiem.

Debora bez trudu znalazła kafejkę, przypominającą najwykleszy bar - do tego całkowicie wyludniony. Weszła do środka i rozejrzała się dookoła: chromowane stołki przy barze, ściana luster z reklamami metaxy,

w rogu zaś jakaś gra automatyczna. Debora już zamierzała się określić na pięcie i wyjść, gdy dobiegł ją męski głos:

- *Neh?*

Chłopak miał dwadzieścia parę lat i niebywale pyzată twarz, poza którą Debora nic nie widziała, bo głowa młodego człowieka zdawała się wyrastać wprost z podłogi. Okazało się, że z boku baru znajdują się prowadzące w dół schody.

- *Parakalo* - odezwała się Debora - *mipos milateh anglika?*

„Czy mówisz po angielsku?” to jedyne greckie wyrażenie, którego się nauczyła. Jeżeli nie usłyszy potwierdzenia, będzie ug- Tak - odpowiedział chłopak, uśmiechając się niepewnie.

- Chciałabym skorzystać z komputera. Czy istnieje taka możliwość? Uśmiech zdecydowanie przygasł.

- Internet? - rzuciła, mimowolnie przebiegając w powietrzu palcami, jakby stukała w niewidzialną klawiaturę.

Uśmiech powrócił, tym razem niemal triumfalny.

- Tam, w piwnicy - oznajmił i ruszył po stopniach w dół.

U stóp schodów dumnym gestem wskazał na cztery komputery ustawione na dosuniętych do ściany stolikach. Przy każdym terminalu stało chromowane krzeselko, a obok każdego monitora leżał równiutki plik arkuszy papieru oraz ołówek.

Debora podziękowała rozpromieniona, a właściciel wskazał na cennik wywieszony na ścianie. Pierwsze pół godziny - dwa euro; każde następne - jedno euro. Tanio jak barszcz.

- Kawy? Życzy pani?

- Tak, poproszę.

- Tylko neska - wykrzywił się przepraszająco. - Okay?

- Okay.

Zniknął na górze, Debora zaś weszła na stronę Hotmail i nim minęło pięć minut, założyła nowy, darmowy adres o kretańskiej nazwie Ancient-ambassador2@hotmail.com, przy czym co najmniej przez minutę siedziała w osłupieniu, gdy się okazało, że nazwa Ancientambassador1@hot-mail.com jest już zajęta. Wyjęła wizytówkę Calvina, zerknęła na kontakt mejlowy i szybko wystukała wiadomość.

Calvin,

Zgodnie z obietnicą przesyłam wiadomość. Zapewne ta skrzynka nie ma zbyt dużej pojemności, więc proszę pomiń zdjęcia i inne obszerne pliki. Daj znać, co nowego.

Ja się bawię świetnie i oddaję frywolnym uciechom. Tęsknię.

D.

Informacja wydawała się odpowiednio enigmatyczna.

Debora nie umiałaby jednak wyjaśnić, czy dodając owo „Tęsknię”, rzeczywiście zamierzała nadać liścikowi charakter niewinnej enigmatyczności. Szczególnie że podała swój inicjał, zdradzając się w ten sposób przed wszystkimi ewentualnymi zainteresowanymi. A może naprawdę tęskniła do Calvina? Ależ skąd! Co za absurdalny pomysł. Przecież kompletnie nie знаła tego faceta. Po prostu brakowało jej kogoś, z kim mogłaby szczerze porozmawiać, kto by ją wspierał. I tyle.

A fakt, że to przystojny, inteligentny i życzliwy mężczyzna, oczywiście nie ma nic...

Oczywiście, że nie, zapewniła się w duchu żartobliwie. I natychmiast doszła do wniosku, że wszystkie inne podszepty rozbrzmiewające w jej głowie to dywersyjne działanie hysterii wywołanej trudnym położeniem, dlatego należało je jak najszybciej wygłuszyć.

Debora zerknęła na zegarek i stwierdziła, że wciąż zostało jej dwadzieścia minut opłaconego czasu, weszła więc na wyszukiwarkę Google'a i wpisała hasło „Mykeny”. Pierwszy link prowadził do oficjalnej witryny greckiego trustu archeologicznego. Można tam było znaleźć podstawowe dane historyczne dotyczące Grecji heroicznej, kilka fotografii, godziny otwarcia cytadeli dla zwiedzających oraz ceny wejściówek. Debora zamknęła stronę i do wyszukiwarki wrzuciła hasło „Skarb Priama”. Właśnie otworzyła pierwszy link, gdy chłopak o twarzy jak księżyc w pełni pojawił się z kawą.

- *Efharisto* - powiedziała uprzejmie.

- *Paracalo* - odparł, stawiając filiżankę.

Kawa chyba była słaba i mocno rozbielona mlekiem, ale wyglądała w miarę apetycznie.

- Pani jest Angielką?

- Amerykanką - przyznała Debora i niepewnie spojrzała na chłopaka, zdając sobie sprawę, że poza Stanami taka odpowiedź mogła sprowokować całą gamę skrajnych reakcji. Okazało się, że nie musiała się przejmować.

- A! - rozpromienił się właściciel. - Elvis Presley!

- Właśnie - odrzekła Debora, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Ten szczerzy zachwyty na twarzy chłopaka sprawił, że wyglądał jeszcze z pięć lat młodziej.

- „Blue swathe shoes” - rzucił.
 - Owszem. „Blue suede shoes”. Błagam, tylko nie śpiewaj!
 Na szczęście nie próbował się popisać zdolnościami wokalnymi, zainteresował się natomiast tym, co zobaczył na ekranie komputera. Najwyraźniej za dwa euro nie można było kupić prywatności.

- Priam - stwierdził i pokiwał głową z aprobatą.
 - -hm.
 - *Pusskin* - oznajmił.
 - Słucham?
 - *Pusskin* - powtórzył, chwytając jednocześnie za ołówek i kartkę, na której napisał: *Museo Pusskin*.
 Debora zmarszczyła czoło, całkowicie zbита z tropu.
 Chłopak tymczasem wskazał na klawiaturę.
 - Proszę? - Spojrzał pytająco.
 - Ee... Okay. - Odsunęła się, on zaś zaczął szybko stukać w klawisze, potem kliknął na jeden z linków i otworzył oficjalną witrynę Muzeum Puszkina w Moskwie. Szybko najechał na kolejne okna i ściągnął zdjęcie gabloty, w której bez wątplenia widniała kolekcja trojańskich zabytków, ochrzczonej przez Schliemanna mianem Skarbu Priama.

Debora nie wierzyła własnym oczom! Oto bezcenne znalezisko z ruin Troi, potajemnie wywiezione z Turcji, uznane za bezpowrotnie zaginione, widniało teraz przed jej oczami, wystawione oficjalnie w jednym z moskiewskich muzeów!

Tekst dołączony do zdjęcia wyjaśniał, miejscami kulawą angielszczyzną, że to kolekcja zabytków odkopanych przez Heinricha Schliemanna pod koniec dziewiętnastego wieku na tureckim wzgórzu Hisarlik, kryjącym ruiny legendarnej Troi. Podczas oblężenia stolicy Trzeciej Rzeszy skarby ukryto w jednym z gniazd broni przeciwlotniczej na terenie berlińskiego zoo, gdzie pozostały aż do „wyzwolenia” przez radziecką armię.

Bezcenne zabytki pogrzebano na następne pół wieku - tym razem w magazynach Muzeum Puszkina - aż w końcu, w 1994 roku, Rosja przyznała, że znajdują się one w Moskwie, i wystawiła je na widok publiczny. Było to tak niedawno, że żadna książka z biblioteki Richarda nie mogła zawierać owej informacji. Obecnie z żądaniem wydania skarbu zwróciły się do Rosji rządy Grecji, Turcji i Niemiec oraz kilku spadkobierców archeologów współpracujących ze Schliemannem. Postępowanie prawne było wtoku...

- Bardzo stare - zapalił się chłopak. - Bardzo piękne.

- Tak - przyznała Debora, myśląc już jednak o czymś innym.

Jeżeli Iwia część zbiorów Schliemanna ujrzała światło dzienne po tak wielu latach, czemu nie miałyby się nagle odnaleźć jeszcze jedna kolekcja?

Debora postanowiła, że natychmiast po powrocie do hotelu zadzwoni do Marcusa, by się umówić z nim na rozmowę.

30.

Zasugerowała, żeby się spotkali w restauracji, i Marcus bez zastanowienia zaproponował Kostoyiannis, ekskluzywny lokal przy ulicy Zaimi, na tyłach Muzeum Archeologicznego. Najwyraźniej, by dokonać wyboru, nie potrzebował ani przewodnika, ani mapy.

Debora z rozmysłem przybyła na miejsce dużo wcześniej. Kilkakrotnie przeszła obok lokalu, potem obserwowała restaurację z okna domu towarowego stojącego po drugiej stronie ulicy, aż w końcu dziesięć minut przed umówionym czasem weszła do środka. Była zdenerwowana, a to, że na sali znajdowali się sami Grecy, dodatkowo podkopywało jej pewność siebie. Niespodziewanie dotarło do niej, że strzępki angielszczyzny - powszechnie używanej przez turystów - jakie nieustannie podchwytywała uchem w dzielnicy Plaka, znosiły wyobcowanie i dawały - choćby złudne - poczucie bezpieczeństwa.

Marcus, wyjątkowo elegancki w bladoszarym garniturze, zjawiał się dokładnie o oznaczonej godzinie. Płynną greką zamienił kilka słów z maitre d', po czym usiadł przy stoliku. Debora tymczasem zmusiła się do uśmiechu.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś - przyznał bez wstępów. - Mamy wiele spraw do omówienia.

Przez telefon oznajmiła mu, że nadal nie ma do niego zaufania i wciąż tak naprawdę nie przestała go podejrzewać o zamordowanie Richarda, Marcus jednak puścił mimo uszu jej uwagi, biorąc je za nonsensowny bełkot, jakim były w istocie. Prawdę powiedziawszy, Debora już nie wiedziała, komu i w co wierzyć, w duchu jednak stwierdziła, że dziwaczna opowieść Anglika o zmarłych przed tysiącami lat achajskich królach jest bardziej prawdopodobna, niż byłaby skłonna przyznać.

- Podają tu niezrównane *mezedhes* - stwierdził Marcus.

Skinęła głową, jakby doskonale wiedziała, co to znaczy, po czym zaczęła przeglądać menu wypisane jedynie po grecku. Brnęła przez listę dań, starając się odcyfrować nieznanne litery, ale ostatecznie udało jej się zidentyfikować tylko cztery potrawy. Poczucie porażki nie poprawiło jej humoru.

- Czy mam wybrać za ciebie? - zaproponował Marcus na widok jej miny.
- Nie, dziękuję - odparła, w duchu nie marząc o niczym innym.
- Polecam potrawkę z królika. To specjalność tej restauracji. Deborę kusiło, by odpowiedzieć jakąś ciętą uwagą, szybko jednak się

poddała.

- Doskonale. Niech będzie potrawka. A do tego te...
- *Mezedhes?*
- Właśnie.

Złożył zamówienie po grecku, wybrał butelkę retsiny - zdecydowanie mniej cierpkiej i żywicznej niż podawana w większości restauracji - po czym wyjął fajkę i postąpił Deborze uważne spojrzenie.

- Już ustaliliśmy, że nie obdarzamy się nawzajem szczególnym zaufaniem - powiedział - więc może pominiemy etap składania podobnych deklaracji i od razu, hm... jak to wy, Amerykanie, lubicie mawiać... przejdziemy do sprawy?

- Doskonale - odparła. Odstawiła kieliszek i spojrzała Marcusowi prosto w oczy. - Zakładam, że oboje chcemy odkryć, kto zabił Richarda i co się stało z przechowywanymi przez niego skarbami, wśród których się znajdowały... - zawahała się, bo trudno jej było wypowiedzieć w głos te niedorzeczne słowa - ...dobrze zachowane szczątki jednego z mykeńskich władców.

- Agamemnona.
- Nieważne.

- Może w takim razie pozwolisz, że ja uznam za „nieważne” poszukiwanie zabójcy Richarda? Ja go nie zabiłem, a wierzę, że ty tego nie zrobiłaś, i w tej sprawie tylko to się dla mnie liczy. Nie znałem Richarda, poza tym zakładam, że odpowiednie władze są już zaangażowane w wykrycie i postawienie przed sądem sprawcy tego morderstwa.

- Może tak, może nie... - mruknęła Debora.

Ściągnął pytająco brwi, ale poczekał, aż kelner przyniesie dania, zanim podjął wątek.

- Jak mam to rozumieć?

Nie od tego tematu chciała rozpocząć rozmowę, ale ostatecznie on też ściśle się wiązał z interesującą ich sprawą. Nie była pewna, na ile może zaufać Marcusowi, doszła jednak do wniosku, że nie zaszkodzi sobie w za-

den sposób, dzieląc się z nim swoimi podejrzeniami. Będzie to akt dobrej woli z jej strony, dzięki któremu może uda jej się więcej wyciągnąć od Anglika.

- Sprawą zabójstwa Richarda zajmuje się dwóch detektywów: Keene i niejaki Cerniga. Rzecz w tym, że Cerniga wcale nie jest policjantem.

Twarz Marcusa pociemniała, gdy powtórzyła mu zasłyszana rozmowę.

- Twoja kolej - zdecydowała, kosztując potrawki. Tak jak Marcus obiecywał, była doskonała.

- W porządku - zgodził się bez wahania. - A więc posłuchaj. W „Atlanta Journal-Constitution” podano, że Richard zginął od noża, nie ujawniono jednak żadnych szczegółów. Osobiście jestem gotów zaryzykować stwierdzenie, że zadano mu ciosy sztyletem o szczególnie długiej klindze i jelcu z końcówkami lekko opadającymi ku dołowi. Czy mam rację?

Debora przypomniała sobie blade ciało poznaczone rdzawymi strużkami, leżące w kałuży krwi sugerującej, że broń, którą zadano rany, przebiła Richarda na wylot. Przed oczami stanęło jej również zdjęcie ukazujące dziwny sztylet ze swastyką na rękojeści i o mało się nie wzdrygnęła.

- Jeżeli go nie zabiłeś, skąd o tym wiesz? - spytała.

- Richard nie był pierwszym, którego zamordowano w ten sposób - wyjaśnił Marcus. - Dziesięć lat temu w pewnej francuskiej wiosce na wybrzeżu bretońskim inny dżentelmen w podeszłym wieku zginął od podobnych ran.

- Dziesięć lat temu? - zdumiała się Debora. - We Francji? Jesteś pewien, że między tymi zabójstwami istnieje jakiś związek?

- O, tak. Jestem tego absolutnie pewien. Powiem więcej - dobrze wiem, co je łączy. - Wsunął do ust kęs potrawki, pociągnął łyk wina, po czym podjął wątek. - Wspomniany dżentelmen był potencjalnym nabywcą ciała mykeńskiego króla, które w niewyjaśnionych okolicznościach w końcu znalazło się w Stanach, w kolekcji Richarda Dixona. Zamordowany trafił ten zabytek od wielu lat.

- Sądzisz, że Richard miał coś wspólnego z tym zabójstwem? - spytała z niedowierzaniem w głosie.

- Nie. W rzeczy samej, jestem przekonany, że starszego mężczyznę we Francji zamordowali ci sami ludzie, którzy zabili pana Dixona. Oni również poszukiwali szczątków Agamemnona i byli gotowi na wszystko, by je zdobyć. We Francji bezcenny łup wymknął im się z rąk i minęło wiele czasu, zanim ponownie trafili na jego ślad. Uważam, że ktokolwiek dziesięć lat temu zamierzał sprzedać szczątki, po morderstwie we Francji dobrze

się zakonspirował, zabójcy jednak nie zrezygnowali - dlatego byli w pogotowiu, gdy parę miesięcy temu „towar” ponownie pojawił się na rynku. Zapewne przechwycili skarb podczas transakcji... no a resztę już znasz.

- Richard chciał sprzedać mykeńskie zabytki? - Debora poczuła, jak zamiera w niej serce.

To wyjaśniało, czemu ukrywał przed nią tę kolekcję, a także jasno świadczyło, że nigdy nie zamierzał jej wystawić w Atlancie.

Marcus kiwnął głową potakująco. Wsunął niezapaloną fajkę między zęby i przygryzł ustnik.

- Owszem. Zbiory się znajdowały w jego posiadaniu od czasu, gdy wywieziono je z Francji, a więc mniej więcej od dziesięciu lat. Ostatecznie zdecydował się je sprzedać. Kiedy się zaczął rozglądać za odpowiednim kupcem, mordercy wreszcie odzyskali trop.

- Po tak długim czasie? - Debora nie kryła zdumienia. - Co za ludzie są gotowi mordować innych i wyczekiwać dziesiątki lat, żeby zdobyć jakieś zwłoki? Czemu to dla nich takie ważne?

- Bo chodzi o największe archeologiczne znalezisko w całej historii ludzkości - odparł z naciskiem.

- Z pewnością wiele autorytetów polemizowałoby z tą opinią.

- Kolekcjonerzy to szczególnie gatunek ludzi - odrzekł z namysłem Marcus. - Ich pasja często zakrawa na obsesję. A obiekt tak ważny z historycznego punktu widzenia - nie wspominając już o wartości materialnej - tak bogaty w konotacje kulturowe i cywilizacyjne, powiązany z najsłynniejszymi mitami... Niektórzy oddaliby wszystko, byle tylko położyć rękę na takim trofeum.

Uwierzyła mu, oczywiście. A jednocześnie zaniepokoił ją wyraz jego oczu.

- Ale skąd ty wiesz o tym wszystkim? - zapytała.

- Od jakiegoś czasu trzymam rękę na pulsie - odrzekł, uśmiechając się ponuro. - Już wiele lat temu usłyszałem o mykeńskich zwłokach i towarzyszącym im wyposażeniu grobowym. Wiedziałem także, że transportowano je z mniej cennymi znaleziskami. Nie ulegało więc wątpliwości, że jeżeli natknę się na jeden z owych zabytków, będę bliski dotarcia do ciała Agamemnona. Jeden z nich to przedmiot bardzo charakterystyczny, na swój sposób unikatowy. Kilka miesięcy temu wypłynął na powierzchnię w najbardziej nieoczekiwanym miejscu. Czy wiesz gdzie? - Uśmiechnął się ponownie, ale w owym uśmiechu nie było ani cienia

- Skąd mogłabym wiedzieć? - Deborę zaczęły już irytować te szarady. - Przecież nie mam pojęcia, co to za przedmiot.

Marcus odłożył fajkę, pochylił się nad stołem i ujął jej dłonie silnymi, chłodnymi palcami. Debora próbowała się wyrwać, jednak Anglik nie rozluźnił uścisku. Przysunął się bliżej, a jego twarz nabrała nagle drapieżnego, wilczego wyrazu.

- Wczesnorenesansowy aflaston z dziobnicy galeonu: pół smok, pół kobieta. Czy to brzmi znajomo, panno Miller?

31.

Przypomniła sobie, jak Richard z filuternym błyskiem w oku zaprezentował w muzeum groteskową kobietę-smoka. Od tej pory minęły za ledwie dwa, góra trzy miesiące. Pewnego ranka Debora przyszła do pracy i aflaston już tam stał - w całym swoim odrażającym majestacie. Wszyscy mogli go oglądać podczas pierwszego z serii przyjęć mających na celu pozyskiwanie funduszy. Zdjęcie rzeźby ukazało się również w lokalnej prasie...

- No właśnie - rzucił Marcus, obserwując wyraz twarzy Debory. - Nie wiem, od jak dawna rzeźba galionu znajdowała się w posiadaniu Richarda i czemu postanowił ją wystawić właśnie w tym a nie innym momencie, ale gdy tylko ją ujrzałem, wiedziałem, co to oznacza. Z pewnością wiedzieli także inni.

- Niewykluczone, że taki był zamiar Richarda - odparła Debora. - Jeżeli miał zamiar sprzedać mykeńską kolekcję, publiczne wystawienie galionu było sposobem przekonania zainteresowanych, że znalazł się w posiadaniu autentycznego obiektu.

Wbiła widelec w kawałek mięsa, ale nagle opuścił ją apetyt.

- Co się stało? - zaniepokoił się Marcus.

- Nic - skłamała gładko.

- Zastanawiasz się, czemu nigdy nie pokazał ci kolekcji i dlaczego nie ofiarował jej muzeum.

- Owszem - przyznała.

- Nie mam pojęcia - powiedział nadspodziewanie miękko głosem.

- I pewnie już nigdy się tego nie dowiemy.

- To przedziwne... - zaszepiła się Debora. - Pracujesz z kimś przez lata, jesteś przekonany, że znasz tę osobę, dzielisz jej przekonania i priorytety, aż tu nagle...

Wzruszyła ramionami, otrząsając się z ponurych myśli.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, kto jeszcze mógł powiązać aflaston z Agamemnonem... - mruknął Marcus.

- Czekaj, właśnie coś sobie przypomniałam - ożywiła się Debora. - Wspominałeś, że Richard chciał przeprowadzić transakcję z dwoma greckimi biznesmenami. Tego wieczoru gdy zginął, na przyjęciu w muzeum pojawiło się ponoć dwóch Greków. Ich nazwiska nie widniały na oficjalnej liście gości i ja osobiście ich nie poznałam, ale podobno spędzili z Richardem sporo czasu, więc...

Nagle uderzyła ją pewna myśl. Prawdopodobnie była to desperacka próba zachowania resztek nadziei, ale nie kłóciła się z logiką, a poza tym pozwalała Deborze zachować Richarda w pamięci jako człowieka, którego znała i szanowała.

- On miał obsesję na punkcie greckich legend, a szczególnie wojny trojańskiej... - podjęła z wahaniem. - Ale przede wszystkim był człowiekiem z zasadami. Wiemy, że wiele lat temu wszedł w posiadanie niezwyklej kolekcji. Może więc przez ten cały czas prowadził badania, robił, co mógł, by potwierdzić lub obalić jej autentyczność, miał bowiem zamiar wystawić ją w muzeum. Ale... - ciągnęła niemal jednym tchem, nie dostrzegając niczego, poza rozwijającą się w jej głowie koncepcją - ...coraz częściej dochodził do wniosku, że Agamemnon (bo szczerze wierzył, że ma do czynienia ze szczątkami Agamemnona) w ogóle nie powinien się znajdować w Stanach. Że jego miejsce jest w Grecji. Richard przypominał Schliemanna w jednym względzie - podobnie jak on wierzył, że Homer przedstawił wydarzenia historyczne. Obaj jednak kierowali się zupełnie inną etyką i inaczej myśleli o moralnych prawach własności do spuścizny cywilizacyjnej. Dlatego sądzę, że doszło do kontaktu - nieważne, zainicjowanego przez Richarda czy też drugą stronę - między nim a jakąś grecką organizacją archeologiczną albo też wręcz greckim rządem. Richard wyjawiał, co posiada, a dla potwierdzenia swoich słów wyeksponował ów hiszpański galion. Niewykluczone, że doszło do swoistego porozumienia - Richard odda Grekom ciało, zachowa natomiast inne obiekty i wystawi je w swoim muzeum. W końcu tamci przyjechali do Atlanty, żeby osobiście obejrzyć

skarby. I wówczas doszło do tragedii. Albo oni nie byli ludźmi, za Nagle zabrakło jej słów i energii. Ostatecznie to tylko czyste spekulacje, w gruncie rzeczy prowadzące donikąd...

Marcus najwyraźniej nie podzielał jej sceptycyzmu, bo teraz w jego oczach pojawił się błysk ekscytacji.

- Jeżeli masz rację - oznajmił - spróbują wwieźć skarb z powrotem do Grecji. Przy obecnym stopniu kontroli bagażu nie zaryzykują transportu lotniczego, a to oznacza, że się zdecydują na drogę morską.

- Podobnie jak Schliemann - zauważyła Debora.

- Musimy jechać do Koryntu - zdecydował Marcus, odkładając sztucce, jakby zamierzał natychmiast wyruszyć w drogę.

- Do Koryntu? Dlaczego?

- Masz jakąś mapę?

Wyjęła swój przewodnik i otworzyła na odpowiedniej stronie.

- Popatrz. - Stuknął palcem w jedną z map. - Tutaj są Ateny. Każdy ze statków płynących z Ameryki w końcu zawinie do Pireusu, ale jest to zbyt duży i zbyt dobrze strzeżony port, aby ryzykować wwóz kontrabandy. Poza tym, jeśli się chce tam bezpośrednio dostać ze Stanów, trzeba pojechać Morze Śródziemne, okrążyć włoskie wybrzeże, Peloponez i przepłynąć przez Cyklady. Natomiast jeśli się wpływa do Zatoki Korynckiej i przecina Istm przez kanał, oszczędza się wiele zachodu. Wszelki podejrzany fracht wyładowuje się wówczas w Koryncie, a potem spokojnie podąża do Pireusu. A na dodatek w ten sposób można skrócić żeglugę o dwa do trzech dni.

Kiedy pojedziemy do Koryntu - ciągnął Marcus - sprawdzimy, jakie statki ze Stanów mają tam zawinąć w najbliższym czasie. Kanał jest wąski, panuje na nim spory ruch, trzeba więc z wyprzedzeniem zgłaszać przybycie. Jeżeli poznamy dzień i godzinę, będziemy mieć przesyłkę na oku od momentu wyładunku. Może nawet zdołamy ją przechwycić.

- Ależ zanim statek się zjawi w Koryncie, minie kilka tygodni - zatrwożyła się Debora.

- Będziemy więc mieli czas, żeby się dobrze przygotować.

- Uważam, że powinniśmy o wszystkim powiadomić greckie władze.

- Z tego, co wiemy, to właśnie władze zamierzają potajemnie wwieźć zabytki do kraju - zauważył Marcus.

Debora zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie wierzę, by jakakolwiek agenda greckiego rządu posunęła się do rabunku i morderstwa, nawet dla odzyskania skarbów narodowych.

- Doprawdy? - rzucił Marcus. - Grecy mają bardzo szczególny stosunek do swojego dziedzictwa. I trudno się dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, jak bezwstydnie różne mocarstwa ograbiały ten kraj na przestrzeni wieków.

- Łącznie z Wielką Brytanią - przypomniała Debora. - Płaskorzeźby partenońskiego fryzu i frontonu były klejnotem Akropolu do czasu, aż lord Elgin kazał je odkuć i wyekspediować do Londynu.

Obecnie słynne „marmury Elgina” znajdowały się w Muzeum Brytyjskim i Anglicy nie kwapili się do ich zwrotu pomimo nieustannie ponawianych żądań władz greckich. Lord Elgin za życia utrzymywał, że gdyby pozostawił fryz i metopy na swoim miejscu, zostałyby zniszczone przez Turków. Niewykluczone, że miał rację. Tak czy owak Wielka Brytania i Grecja wciąż wysuwały różne prawne i pozaprawne argumenty, mające uzasadnić prawo każdej ze stron do marmurów.

- Dzięki za wykład z moralności - rzucił oschle Marcus. - Czy teraz możemy powrócić do meritum?

Debora uśmiechnęła się i ze zdziwieniem stwierdziła, że coraz bardziej lubi tego człowieka.

- Słuchaj - powiedziała - jeszcze do tej pory mi nie wyjaśniłeś, co sprawiło, że się zaangażowałeś w tę sprawę. Zdaję sobie sprawę, że jesteś kolekcjonerem i masz gruntowne wykształcenie historyczne. Sprawiasz wrażenie człowieka tak samo jak Richard owładniętego obsesją na punkcie Myken i greckich legend. Skąd jednak wiesz, że ciało achajskiego króla transportowano razem z ową szesnastowieczną hiszpańską maskarą?

Wciąż się uśmiechała i mówiła lekkim tonem, zdziwiła się więc, gdy zobaczyła jego poważny, pełen rezerwy wyraz twarzy.

- Dowiedziałem się wszystkiego od owego wiekowego dżentelmena zamordowanego we Francji. To on przed dziesiątkami lat skontaktował się z pewnym pozbawionym skrupułów handlarzem, lecz niestety nigdy w życiu nie widział skarbu w naturze.

- A czemu akurat tobie zdecydował się o wszystkim opowiedzieć?

Marcus chmurnie ściągnął brwi.

- Ponieważ był moim ojcem.

32.

Debora zjawiała się w kafejce internetowej równo z wybiciem godziny otwarcia. Pызaty właściciel rozpromienił się na jej widok - sprawiał wrażenie wręcz zachwyconego. Dziewczyna jednak pilnie unikała jakiegokolwiek dyskusji i w uprzejmych słowach zrezygnowała z kawy. Chłopak wydawał się lekko rozczarowany, ale tym razem nie zakłócał jej prywatności.

W nowej skrzynce mejlowej czekały dwie wiadomości. Jedna była rutynowym, automatycznie rozsyłanym podziękowaniem za skorzystanie z oferty serwera; druga przyszła od Calvina i jej lakoniczność przygnębiła Deborę.

Komputery skonfiskowane, przeczytała. Wiedzą, gdzie jesteś. Także za Tobą tęsknię.

Żadnych załączników.

Debora głośno westchnęła, zastanawiając się, czy w ogóle powinna odpowiadać. Bo właściwie co miałyby napisać i dlaczego. Przecież to był zupełnie obcy człowiek. Nawiązała z nim kontakt tylko dlatego, że Richard miał do niego zaufanie. Z drugiej strony rozsądek nakazywał, aby kogoś poinformować o wyjeździe do Koryntu z mężczyzną, którego jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu uważała za mordercę Richarda. Debora zatrzymała wzrok na ostatnim zdaniu od Calvina - „Także za Tobą tęsknię” - i zalała ją fala nonsensownej radości.

Nie zachowuj się jak naiwna nastolatka.

Zaczerpnęła głęboki oddech i szybko wystukała treść wiadomości - żeby nie miała czasu się rozmyślić.

Wyjeżdżam z Marcusem do Koryntu. Pogoda przepiękna. Szkoda, że Cię przy mnie nie ma.

Wmawiała sobie, że ten liścik to swoisty żart - próba zbagatelizowania powagi sytuacji. Ale jak tylko wysłała wiadomość, od razu tego pożałowała.

Ach, cóż. Co się stało, to się nie odstanie.

Jeżeli Calvin uzna, że ona na niego leci, nic teraz na to nie poradzi, ale też nie poniesie żadnych nieprzyjemnych konsekwencji. Może przynajmniej, mile polectany, nie będzie się kwapił, żeby rozmawiać na jej temat z policją. Czyżby tym się właśnie kierowała? Odpowiedź twierdząca byłaby skrajną obłądą. Przecież nie flirtowała z Calvinem (i to w żałośniej infantylnej manierze, gdy już o tym mowa), żeby utrzymać go w swoim narożniku. Robiła to, ponieważ chciała, ponieważ pociągały ją jego uśmiech i leniwa nonszalancja, z jaką wyciągał przed siebie długie nogi...

Nie zapędzaj się zbyt daleko!

Jakkolwiek patrzeć, Debora nie należała do kobiet tęskniących za romansem. Nie wdawała się w przygodne związki (cokolwiek to odrażające słowo miało oznaczać) i z pewnością nie ulegała łatwo miłości.

Bo nie ufasz mężczyznom.

Nawet zabójczo przystojnym?

Przed wszystkim tym zabójczo przystojnym.

Calvin prawdopodobnie wiałby co sił w nogach, gdyby uznał, że ona naprawdę jest nim zainteresowana. Niewątpliwie mógł przebierać wśród pnących się po szczeblach kariery, polujących na męża prawniczek i kobiet interesu z całej Atlanty. Związek na odległość (znów to odrażające słowo) ze zbiegłą podejrzaną o nogach przypominających szczudła z pewnością nie plasował się najwyżej na liście jego priorytetów.

Kiedy snuła swoje rozważania ze wzrokiem tępo utkwionym w ekran komputera, spostrzegła, że nadeszła nowa wiadomość. Przez moment sądziła, że to odpowiedź Calvina, i serce podeszło jej do gardła na myśl o upokorzeniach, jakie przyjdzie jej zaraz przełknąć. Post nadszedł jednak z nieznanego adresu o nazwie wyrażonej nic nieznaczącym ciągiem cyfr i liter. Zaskoczona Debora kliknęła na okno poczty.

Wiadomość składała się jedynie z sześciu wyrazów, które w żaden sposób nie zdradzały, kto mógł być jej autorem.

Wracaj do domu. Grozi ci śmierć.

33.

Czy w Atenach mogło ją spotkać coś gorszego niż niebezpieczeństwa czyhające w Atlancie? Ta wiadomość nie miała najmniejszego sensu. I najprawdopodobniej wcale nie była przeznaczona dla niej osobiście. Nikt poza Calvinem nie znał jej mejlowego adresu, a wątpliwe, by on komukolwiek go podał.

Wracaj do domu. Grozi ci śmierć.

To zapewne dowcip jakiegoś hakera rozesyłany na milion przypadkowych adresów - niezbyt zabawny, nawet jak na hakerskie standardy, ale cóż... Dlatego tekst był tak ogólnikowy: miał się odnosić do każdego, kto go otrzyma. W tej chwili pewnie mnóstwo osób odskakiwało od komputera i w panice rzucało się do drzwi. Lub też - co bardziej prawdopodobne - w tysiącach biur ludzie pokładali się ze śmiechu, jak wtedy gdy przysyłano im wyrażane w poważnych słowach prośby, by podać numery swoich kont, na które obiecywano przetransferować grube miliony z różnych afrykańskich państw. Dla niej ów post miał bardziej złowieszczą wymowę, ponieważ była w obcym kraju, nie znała tu nikogo, a wyjechała (uciekła!) z domu z powodu krwawego morderstwa... Jeżeli cokolwiek jej rzeczywiście zagrażało, to nie tutaj, lecz w Atlancie.

Chyba że zabójca podążył za nią aż do Grecji...

Nonsens!

Kiedy wróciła do hotelu, czekała na nią telefoniczna wiadomość od Marcusa. Nie był to najszcześniejszy moment na jej odsłuchanie. Zaczęła już myśleć o Marcusie jak o sojuszniku, może nawet przyjacielu. Zagadkowa wiadomość - chociaż w warstwie racjonalnej Debora była przekonana, że kryje się za nią jakiś bezimienny, rozmiłowany w horrorach na-

stolatek - podważyła jej zaufanie. Z czasem wszystko wróci do normy, w tej chwili jednak nie tęskniła do głosu Anglika.

- Deboro - w jego tonie pobrzmiwało zniecierpliwienie - gdzie się, do diabła, podziewasz? Rozmawiałem z kapitanatem portu w Pireusie. W przyszłym miesiącu przez Kanał Koryncki będzie przepływać tylko jeden statek ze Stanów. Miał się zjawić za trzy tygodnie, ale doszło do jakichś opóźnień w Nowym Orleanie. Bezzwłocznie wyruszam do Koryntu, może uda mi się dowiedzieć, co spowodowało zwłokę. Oddzwoń jak najszybciej.

Korynt znajdował się o rzut kamieniem od Myken. Debora od chwili przyjazdu do Grecji miała przeczucie, że wcześniej czy później coś ją zawiedzie do achajskiej cytadeli.

Recepcjonista z Achilleusa zarezerwował jej pokój w jednym z korynckich hoteli średniej klasy. Debora szybko się spakowała i zatelefonowała do Marcusa z nadzieją, że go nie zastanie. Rzeczywiście nie było go w pokoju, okazało się jednak, że hotel, w którym się zatrzymał, nie dysponuje telefoniczną pocztą głosową, wiadomość więc można było tylko zostawić u recepcjonistki. Debora postanowiła skorzystać z tej możliwości, bo nie chciała czekać na powrót Marcusa -

- Proszę mu przekazać - rzuciła w słuchawkę - że dzwoniła Debora i że w Koryncie zatrzymam się w hotelu Ephira. Tam się spotkamy.

Teraz przed wyjazdem pozostała jej jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia. Zeszła na dół i poprosiła starszego recepcjonistę o pomoc.

- Chciałabym odbyć rozmowę międzynarodową, ale nie znam numeru osoby, z którą muszę się skontaktować - wyjaśniła. - Wszystko, co mam, to jej nazwisko.

- Zobaczę, co da się zrobić - odparł recepcjonista. - Ale to może być kosztowne.

- Nie szkodzi.

- Do jakiego kraju chce pani zadzwonić?

- Do Rosji. Do Moskwy. Kobieta, z którą muszę porozmawiać, nazywa się Aleksandra Wołoszynow.

Jeżeli zdumiało go jej życzenie, nie dał tego po sobie poznać.

Zadzwonił w trzy miejsca. Za każdym razem zapisywał jakiś numer i cały czas rozmawiał po grecku. Potem znowu się z kimś połączył, ale tym razem od razu przeszedł na angielski, i wręczył słuchawkę Deborze. Usłyszała kobiecy głos o silnym, obcym akcencie - zapewne rosyjskim.

- W Moskwie mamy trzy abonentki o nazwisku Aleksandra Wołoszynow. Czy podać wszystkie numery?

Debora starannie je zanotowała, rozłączyła się, po czym wykreśliła pierwszy numer z listy.

Mężczyzna, który się odezwał, nie mówił ani słowa po angielsku i wpadł w gniew, gdy Debora próbowała mu wyjaśnić, o co chodzi. W końcu rzucił słuchawką, a recepcjonista, uśmiechając się ironicznie, podsunął jej drugi numer.

- *Da?* - Tym razem odebrała kobieta.

- Przepraszam panią. - Debora mówiła z boleśnie przesadną powolnością, ogarnięta poczuciem niemocy, wściekła na siebie, że nigdy się nie nauczyła ani słowa po rosyjsku. - Próbuję się skontaktować z Aleksandrą Wołoszynow, ale niestety nie znam rosyjskiego. Jestem Amerykanką. Dzwonię w sprawie...

- *Mojego ojca* - weszła jej w słowo Rosjanka. - Już zostałam o wszystkim poinformowana - dodała beznamiętnym tonem.

- Bardzo pani współczuję - powiedziała szczerze Debora, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak pusto brzmią jej słowa.

- Czy pojawiło się coś nowego? - spytała kobieta, lecz w jej głosie nie było ani cienia nadziei czy ciekawości.

- Nie, niestety. - Debora poczuła się jak zdradziecka uzurpatorka. - Prawdę mówiąc, chciałam pani zadać kilka pytań.

Kobieta nie zareagowała w żaden sposób, Debora brnęła więc dalej.

- Czy zna pani osobę bądź miejscowość, która ma jakikolwiek związek z pani ojcem, a jej imię lub nazwa zaczyna się od liter MAGD?

Kobieta nie wahała się ani przez moment.

- Magdeburg - odparła. - Miasto w Niemczech. Ojciec przebywał tam przez jakiś czas.

Znowu Niemcy?

- Pani ojciec pracował dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - rzuciła Debora, grając na zwłokę, bo tak naprawdę nie wiedziała, o co jeszcze chciałaby zapytać. - Dla MWD?

Tym razem kobieta milczała przez dłuższą chwilę, a gdy się odezwała, jej głos był zimny i szorstki.

- Tak. Przed wielu laty.

- A czym się zajmował?

- Czym się zajmował? - powtórzyła tamta ze zdumieniem.

- Na czym polegała jego praca?

- Nie wiem.

Zaintrygowana Debora zmarszczyła brwi - ta kobieta najwyraźniej chciała ją spławić.

- Przepraszam, ale nie bardzo pojmuję. - Starła się przybrać najuprzejmiejszy ton głosu.

- MWD - powtórzyła kobieta z naciskiem. - Tam właśnie pracował. Debora uchwyciła się tego wątku.

- A co to jest MWD? - spytała.

- MWD już nie istnieje - odparła Aleksandra Wołoszynow. Znowu zamilkła na dłużej. - Kiedyś to się nazywało NKWD - dodała ze zdumiewającą niechęcią w głosie.

- NKWD? - Ta nazwa nic nie mówiła Deborze.

W tym momencie recepcjonista, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowie z lekkim rozbawieniem, gwałtownie zeszywniał, a w jego rozszerzonych oczach pojawił się niepokój czy wręcz strach. Sprawiał wrażenie, jakby zobaczył upiora. Bezgłośnie ruchem warg Debora spytała go: „O co chodzi?“, ale mężczyzna tylko patrzył na nią znieruchomiałymi oczami. Gdzieś zniknęły jego beznamiętność i swoboda. Wyglądał na zdjętego trwoga.

- Przepraszam - Debora zwróciła się ponownie do Rosjanki. - Ale nie mam pojęcia, co to jest.

- Nie chcę rozmawiać o tych sprawach przez telefon.

- Może jednak będzie pani tak uprzejma i powie mi, czym było MWD i NKWD.

- Rodzajem policji - odparła kobieta, a Debora natychmiast się zorientowała, że nawet ta lakoniczna odpowiedź wiele kosztowała jej rozmówczynię. - Ale tajnej. Te służby działały w kraju i za granicą. Śledziły wszystko i wszystkich, zbierały informacje.

- Jak szpiedzy? - Deborę ogarnął silny niepokój, który zaczął się przeradzać w panikę, gdy spojrzała na wciąż sparaliżowanego strachem recepcjonistę.

Jak to możliwe, że zlepek kilku liter jest w stanie wprowadzić ludzi w tak obezwładniające przerażenie?

- NKWD przekształcono w MWD - wyjaśniła kobieta powoli i dobitnie. - A potem MWD zostało przemianowane na KGB.

Ten skrót był już Deborze świetnie znany.

34.

Autobus o silnie przyciemnianych szybach, z silnikiem pracującym na jałowym biegu, był dzięki Bogu klimatyzowany i nie miał nic wspólnego z rozklekotanym gruchotem z koszmarnych wizji Debory, pełnym kóz, kur i innego domowego ptactwa. Kiedy wsiadła do tego nowoczesnego pojazdu odchodzącego z terminalu Kiffisou, zrozumiała, że w swoich wyobrażeniach na temat Grecji kierowała się stereotypami i arogancką protekcjonalnością. Jedno tylko się zgadzało: autobus był środkiem komunikacji, z którego korzystali głównie miejscowi - Debora nie dostrzegła ani jednego obcokrajowca.

Minęło ponad czterdzieści minut, zanim w końcu wyjechali z miasta, a wówczas krajobraz uległ zasadniczej zmianie: miejsce betonowych blokowisk zajęły rozległe, piaszczyste wzgórza gęsto usiane drzewkami oliwnymi oraz czysty błękit morza, który ukazał się po lewej stronie drogi, gdy opuszczali Attykę i wjeżdżali na Półwysep Peloponeski. Był to obszar o największej liczbie prastarych osad greckich, takich jak Korynt, Mykeny, Tyryns czy Epidauros z najpiękniejszym teatrem antycznego świata oraz Argos, od którego nazwę wziął cały region - Argolida.

Autobus zatrzymał się na krótko w Elefsinie, gdzie podróżni mogli kupić po paskarskich cenach kanapki i chłodne napoje. Debora wykorzystała ten postój, żeby rozprostować nogi i odetchnąć czystym powietrzem, zupełnie nieprzypominającym ateńskiego. Wkrótce jednak ruszyli w dalszą drogę i w końcu wjechali na stalowy most, skąd rozciągał się oszałamiający widok na pionowo opadające klify i wykuty w skale, położony kilkaset metrów poniżej, wodny szlak. Sunęły po nim wielkie promy i statki, które z tej wysokości przypominały małe, dziecinne okręciki. Podróż zakończyła się na Ermou - ulicy o takiej samej nazwie, jak ta, którą Debora najczęściej przemierzała w Atenach.

Hotel Ephira stał przy tętniącym życiem bulwarze, zaledwie kilka przecznic od brzegów morza. Był niewielki, czysty i pełen światła, wzniesiony raczej z myślą o biznesmenach niż turystach. Korynt nie był tak atrakcyjny jak Delfy, Epidaurus czy Mykeny, szczególnie dla obcokrajowców już zafascynowanych spektakularnymi zabytkami Aten. Debora weszła do holu przez szklane drzwi i czekała cierpliwie, aż właściciel oderwie się od partii backgammona oraz szklanki piekielnie mocnej, smolistej kawy. Jego partner w grze, młody człowiek w koszuli z krótkimi rękawami, wychylił się zza rozłożystej, doniczkowej palmy i obrzucił przybyłą uważnym spojrzeniem.

Starszy mężczyzna wręczył Deborze elektroniczną kartę do drzwi, po czym z jednej z ponumerowanych przegródek wyjął niewielką kartkę.

- Panna Miller? - upewnił się raz jeszcze. - Wiadomość dla pani.
Skreślono ją ołówkiem, krągłym charakterem pisma.

Spotkajmy się na Akrokoryncie dziś o piątej po południu. Marcus.

Debora z irytacją ściągnęła brwi: nie znosiła, jak ktoś jej dyktował, co ma robić. Z drugiej strony, nie będzie musiała tkwić w hotelu, niecierpliwie wyczekując na wiadomość od Marcusa.

Ucięła sobie godzinną drzemkę, a potem wyszła obejrzeć miasto. Zjadła wyjęty prosto z pieca pieróg ze szpinakiem i zawędrowała na kamienistą plażę, zatłoczoną, jednak nie przez turystów, lecz lokalnych mieszkańców. Stała nad brzegiem i zapatrzyła się na morze oraz sunącą po falach, niekończącą się paradę tankowców i kontenerowców, które zapewne całkiem niedawno przecisnęły się przez kanał.

Tuż przed czwartą zesza z plaży, zatrzymała taksówkę i kazała się zawieźć na Akrokorynt. Znajdzie się tam przed umówioną godziną, ale dzięki temu przed spotkaniem z Marcusem będzie miała dość czasu, by przynajmniej pobieżnie zwiedzić ruiny.

Starożytny Korynt był niezwykle zamożnym miastem, zarówno w czasach helleńskiej świetności, jak i - po tragicznie mrocznym acz krótkim antrakcie - za panowania Rzymu. Jego usytuowanie pozwalało kontrolować handel pomiędzy Morzem Egejskim oraz Jońskim i czyniło z Koryntu swoiste wrota pomiędzy śródziemnomorskim Wschodem a Zachodem. Jeszcze w okresie archaicznym Grecy wzniesli tu słynną świątynię Apollina - ważny ośrodek kultu religijnego. Rzymianie natomiast pomnożyli już i tak bajeczne bogactwa miasta, tak że stało się ono synonimem luk-

susu, niepohamowanego zbytku, a także „uciech cielesnych”, gdyż w Heladzie słyneło z heter, a w czasach rzymskich - z tysiąca kapłanek-prostytutek urzędujących w świątyni Wenus. W mieście tym święty Paweł założył jedną z pierwszych gmin chrześcijańskich, nowa wiara jednak z trudem utrzymywała się na powierzchni tego morza nieokiełznanego hedonizmu. Pomimo wysiłków święty apostoł nie zdołał wypłenić pogańskiej kultury z Koryntu, odszedł więc, pozostawiając to zadanie dwóm potężnym trzęsieniom ziemi (będącym bez wątpienia wyrazem gniewu bożego), które w szóstym wieku doprowadziły do wyludnienia miasta.

Debora z przyjemnością patrzyła na Korynt - i to nie pomimo braku wspaniałych zabytków, ale właśnie dlatego, że było ich tak niewiele. Oprócz pozostałości świątyni Apolla i rzymskiego forum, nie czekało tu na zwiedzających nic nadzwyczajnego. Miasta nie przekształcono w jedno wielkie wykopalisko - świadectwa jego świetności wciąż tkwiły wiele metrów pod ziemią, co sprawiało, że owo miejsce zdawało się o wiele przyjaźniejsze ludziom i realniejsze od Aten. Debora była nie tylko archeologiem, ale także - a może przede wszystkim - antropologiem kultury, bardziej więc interesowały ją starożytne społeczności i ich powszednia egzystencja niż zapierające dech cuda architektury. Te wszystkie opowieści o Schliemannie i jego złocie odsuwały to, co zawsze uważała za najbardziej pasjonujące: możliwość odtworzenia, przynajmniej w wyobraźni, codziennego życia zwyczajnych ludzi. Książki na temat Myken i Troi zawiodyły ją w świat legend o heroicznym czynach oraz nieprzebranych skarbach. I choć gloria bohaterów czy olśniewające bogactwa pasjonowały i oszałamiały laików - a fakt, że Richard i Marcus dali się uwieść owym mirażom, dobitnie świadczył o ich dyletanctwie - dla poważnych archeologów były one tylko marginalnymi zjawiskami. W Atenach ascetyczna elegancja starożytnych budowli przytłaczała, sprawiając, że przeszłość zdawała się odrealniona, heroiczna i wyestetyzowana - a przecież nigdy w istocie ludzka egzystencja taka nie była. O wiele skromniejsza antyczna spuścizna tętniącego życiem, dobrze prosperującego Koryntu pozwalała lepiej wychwycić echo tupotu stóp przemierzających przed wiekami ulice miasta w prozaicznym

Taksówka dość żwawo przemknęła aleją Skoutela, kierowca jednak musiał znacznie zwolnić, gdy wjechali w przecznicę, wzdłuż której roilo się od kafejek, chwiejnych stojaków z pocztówkami i sklepików z pamiątkami. Ich witryny wypełnione były reprodukcjami starożytnej ceramiki i gipsowymi replikami znanych posągów. Parkowało tutaj także wiele autokarów o przyciemnionych szybach i z silnikami nieustannie pracującymi na

jałowym biegu. Za nimi rozciągała się biała przestrzeń rzymskiego forum z kolumnami o bogato zdobionych kapitelach - w stylu korynckim, jak szybko przypomniała sobie Debora. Archaiczna dorycka prostota i jońska elegancja zostały w czasach cesarstwa wyparte przez bogatsze zwieńczenia kolumn, o ornamentacji wywiedzionej z kształtu liścia akantu. Debora wyciągnęła szyję, żeby lepiej im się przyjrzeć, ale taksówka znowu przyspieszyła i kolumny całkowicie zniknęły jej z oczu.

Przez chwilę dziewczyna sądziła, że kierowca szuka dogodnego miejsca do zaparkowania, ale kiedy forum pozostało daleko w tyle, a oni wjechali w kolejną wąską uliczkę, klepnęła mężczyznę po ramieniu.

- Zmierzamy na Stare Miasto, prawda?

- Na Akrokorynt - odparł taksówkarz.

Do tej pory uważała, że Akrokorynt to po prostu najwyższy punkt antycznego miasta, skaliste wzgórze, gdzie być może znajdowała się słynna świątynia Apollina.

- To on nie znajduje się w murach miasta? - zdziwiła się, spoglądając za siebie. Starożytne ruiny szybko ginęły za horyzontem, autokary turystyczne pozostały daleko z tyłu i teraz mieli już drogę tylko dla siebie.

- Nie - odparł mężczyzna. - To tam - wskazał, wychylając się przez okno.

Na szczycie góry o niemal pionowych, kilkusetmetrowych ścianach ulokowały się poszarpane mury i wieże, spozierając w milczeniu na starożytne miasto i wiejską okolicę. Wydawały się niemal niewidoczne z oddali w oślepiających promieniach słońca. Taksówkarz uśmiechnął się do Debory, gdy samochód zaczął się mozolnie piąć po ostrym zboczu.

Nie odwzajemniła uśmiechu. Wątpiła, by jakiegokolwiek turystyczne autokary ryzykowały jazdę po tej stromiznie. Droga wiodła zygzakiem układającym się w ostre wiraże, a i tak spadziste zbocza zapierały dech. Nie należało raczej liczyć na jakiegokolwiek towarzystwo na górze, szczególnie w tym niemiłosiernym skwarze popołudniowego słońca. Skrzynia biegów w taksówce zgrzytała i klekotała, a nawet przez moment silnik odmówił posłuszeństwa, kierowca jednak ostro pobudził go do życia. I tak powoli, nieuchronnie zbliżali się ku szczytowi.

Chociaż wjazd na górę zajął niemal piętnaście minut, nie minął ich żaden pojazd. Poniżej rozciągały się regularne wieloboki pól i wszechobecne gaje oliwne, na pewnej wysokości ustępujące jednak miejsca piaszczystemu, nierównemu podłożu, z którego tylko gdzieniegdzie wyrastały niskie, powyginane drzewa - sosny lub wiekowe oliwki. Była to nieprzyjazna kraina, jałowa i wysuszona, wystawiona na działanie żywiołów

i trudno dostępna, nawet dla zdobyczy technologii dwudziestego pierwszego wieku. Deborę ogarnęło nieprzyjemne przekonanie, że nie jedzie do miejsca, które kiedykolwiek przypominało miasto - tylko do ponurej fortecy.

Widok rozpadających się murów potwierdził jej przypuszczenia. Zdziwiła się jednak, gdy zauważyła, że nie są to fortyfikacje greckie czy rzymskie. Wzniesiono je z cegły, a gdzieś tam widniały fragmenty mozaiki - były więc bizantyjskie, może z okresu średniowiecza. Część umocnień wydawała się jeszcze późniejsza - memento wojny i okupacji tureckiej. Debora po raz pierwszy zobaczyła tak wyraźne ślady owych czasów naznaczonych bestialskim okrucieństwem i zastanawiała się, czy to nacjonalistyczna gorliwość Greków sprawiła, że wyburzyli większość podobnych miejsc. Taksówkarz, w odróżnieniu od większości swoich rodaków chętnie czyniących uwagi na temat greckiej kultury i historii, zachowywał milczenie.

Na szczycie zatrzymał się na dużym, opustoszałym parkingu, nie wyłączył jednak silnika. Debora zapłaciła za kurs, z trudem się powstrzymując od tchórzliwej i zapewne kosztownej prośby, żeby mężczyzna na nią poczekał. Przybyła jednak sporo przed umówionym czasem, zapewne więc szybko się stąd nie ruszy. I z tą przygnębiającą myślą wysiadła, siłąc się na uśmiech i uprzejme: *Efharisto*. Kierowca odpowiedział uśmiechem od ucha do ucha, rozejrzał się po jałowym, spieczonym otoczeniu i znacząco wzruszył ramionami: „Cóż, to twój wybór, cudzoziemko”. Odjeżdżając, wysunął jeszcze rękę przez okno w pożegnalnym geście, po czym śledził swoją pasażerkę we wstecznym lusterku, aż zniknęła mu z oczu.

Tymczasem Debora przeszła pod szerokim łukiem kruszejacej bramy i ruszyła powoli, niepewnie ku wnętrzu fortecy, przystając w głębokim cieniu murów, zanim skierowała się ku rozpalonym słońcem umocnieniom zewnętrznym. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że zabrała tylko jedną butelkę wody, a jej komórka nie działała poza obszarem Stanów, i zaczęła się zastanawiać, jak zdoła stąd zejść. Pocieszała się tylko nadzieją, że Marcus przyjedzie samochodem.

Teraz, w obrębie murów, przekonała się, że Akrokorynt nie był wyłącznie fortecą. Widniały tu pozostałości kaplic oraz meczetów - jedne zapewne stawiane na gruzach drugich, gdy w ciągu wieków walk o dominację nad regionem owo miejsce przechodziło z rąk do rąk. Jego strategicznej wagi nie sposób bowiem było przecenić. Gdy Debora wspięła się na fragment potężnie ufortyfikowanych murów - z wykuszami dla dział i strzelniczymi szczelinami dla muszkietów - roztoczył się przed nią widok nie tylko na starożytne miasto leżące u stóp wzgórza, ale także na część

Zatoki Korynckiej. Z wyższych partii murów czy baszt zapewne można było, ponad leżącą po drugiej stronie Istmu Zatoką Saronką, obserwować ruch morski do Aten i z powrotem. Osłoniwszy dłonią oczy od słońca, Debora powiodła wzrokiem po wysokich blankach, a potem zaczęła się piąć ścieżką wiodącą wśród ruin rozmaitych budynków i wojskowych umocnień. Wokół nie było żywej duszy, a powietrze wydawało się aż gęste od cykania świerszczy i koników polnych - niskiego, jednostajnego dźwięku to wznoszącego się, to opadającego na falach gorącego powiewu.

Cytadela - jeżeli tak można było określić to miejsce - składała się z koncentrycznych pierścieni murów, a linie obronne wiły się szalonymi zygzakami wzdłuż obrysu góry. Najwyższy punkt twierdzy nie znajdował się jednak w środku, tylko na krawędzi: stała tam kwadratowa wieża - coś na kształt stołpu - górująca nad parapetami, blankami i rozległymi połaciami spalonej słońcem trawy. Debora poruszała się z wysiłkiem, powoli. Plecy i twarz zalewał jej pot, buty zdawały się ciężać niemiłosiernie. Dzień był zdecydowanie zbyt skwarny na podobne eskapady...

Zatrzymała się na moment w miejscu, gdzie ścieżka rozszerzała się na otwarty plac wyłożony kamiennymi płytami, i spojrzała do tyłu, na drogę, którą do tej pory przebyła, oraz na majaczący w oddali błękit morza. Oparła dłonie na biodrach, zaczerpnęła głęboki oddech i właśnie wtedy rozległ się głośny huk, a w powietrze wystrzeliła fontanna kamiennych odłamków, gdy tuż za jej plecami pierwsza kula trafiła w mur.

35.

Debora instynktownie rzuciła się w bok, w pierwszym odruchu jednak wcale nie miała ochoty szukać bezpiecznego schronienia, lecz zamachać rękami i głośnym krzykiem wyrazić swoją wściekłość. Automatycznie założyła bowiem, że to idiotyczna pomyłka - po postu jakiś wsiowy głupek postanowił postrzelać do królików. Ona zaś przypadkiem znalazła się w zasięgu strzału.

Druga kula świsnęła jej koło ucha, roztrzaskując w proch jedną z bizantyjskich płytek pokrywających resztki ścian jakiegoś budynku.

Co, na Boga...?

Nawet kiedy się rzucała na ziemię i toczyła w stronę nieregularnej sterty kamieni, będącej swego czasu załomem jakiegoś gmachu - nawet kiedy trzecia kula zaryła w miejscu, w którym przed chwilą stała - wciąż jeszcze wierzyła, że to kolosalne nieporozumienie.

Ogarnęła ją fala wściekłości.

Jak ktoś śmie do mnie strzelać! Ledwo to pomyślała, powietrze popołudnia znów zaczęło pulsować ciszą. Nie ruszaj się. Nasłuchuj. I spokojnie oddychaj.

Leżała nieruchomo, choć jej ramię i nadgarstek przeszywał ostry ból. Musiała niefortunnie wylądować, gdy gwałtownie padała na ziemię. Na dodatek włosy wchodziły jej do oczu, a całe ciało pokrywał pot, do którego nieprzyjemnie przywierał szorstki pył ze zwietrzałego kamienia. To jakiś kompletny absurd. Nawet jeżeli ktoś z rozmysłem do niej strzelał, musiał być po prostu szaleńcem. Totalnym świrem traktującym turystów jak zwierzynę łowną. Inne logiczne wytłumaczenie - że myśliwy polował właśnie na nią, na Deborę Miller - było zbyt szokujące, aby w tej chwili brać je pod uwagę. Spróbowała poruszyć nadgarstkiem - najprawdopodobniej go wywichnęła.

Ta pierwsza praktyczna myśl od chwili ataku pobudziła ją do działania. Debora spojrzała w stronę łuku nad resztkami bramy, a potem na mur bastionu, by na podstawie miejsca trafienia kuli określić jej przypuszczalną trajektorię. Musi się odwołać do racjonalnych zachowań, żeby zapanować nad rosnącą paniką. Tak: logika, dedukcja, chłodna kalkulacja - tylko to może ją uratować. Zachować przy życiu...

Zamachowiec musi być gdzieś wysoko.

W ten sposób miał zapewnioną dobrą widoczność i szerokie pole ostrzału. Debora wychyliła się nieznacznie, próbując ocenić, jaki zasięg miałyby strzelec siedzący w najwyższej baszcie.

Czwarty pocisk trafił w jeden z pobliskich odłamów skalnych, rozluźniając go na trzy części, z których jedna trafiła dziewczynę prosto w skroń. Debora ponownie padła na ziemię, uderzając o twarde kamienie, i poczuła ostry ból. Niepewnie uniosła dłoń, by sprawdzić, czy nie została trafiona, i pod palcami poczuła krew.

Nie tryska strumieniami. To jedynie powierzchowne draśnięcie.

Tyle że okazało się czymś dużo gorszym od draśnięcia. Obraz zaczął falować jej przed oczami.

Wstrząśnienie mózgu?

No, cudnie.

Z wysiłkiem rozejrzała się dokoła - bardzo powoli, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi napastnika. Potrzebowała jakiejś lepszej osłony.

Napastnika... Z góry założyła, że to mężczyzna. Marcus? A kto inny mógł wiedzieć, że ona się tu znajdzie? Chyba że to działanie na chybił trafił, wymierzone przeciwko pierwszej turystce, która się pojawi w tych murach...

Debora chciała by w to wierzyć, ale teraz już nie mogła. Wystrzelone pociski były przeznaczone specjalnie dla niej - jakby ktoś wyrył na nich jej nazwisko. Absurdalność tej sytuacji wydawała się niemal groteskowa: miała wrażenie, że się znalazła w środku akcji hollywoodzkiego filmu - na przykład jednej z tych Hitchcockowskich przygodowych produkcji w rodzaju „Północ, północny zachód”. Snując owe nonsensowne rozważania, Debora jednocześnie miała wrażenie, że ogląda siebie przez teleskop, a raczej ogląda jakąś inną osobę i słyszy jej myśli niczym nałożony na obraz filmowy, dochodzący zza kadru głos wszystkowiedzącego narratora.

Trzeba stąd uciekać.

Jeżeli nie przestanie tu tkwić, strzelec zejdzie na dół i ją odnajdzie. W zasadzie nawet nie będzie musiał specjalnie się wysilać. Leżała praktycznie nieosłonięta, zapewne wystarczy więc, by przesunął się o parę metrów, a ujrzy

ją jak na dłoni. Ona zaś się nie zorientuje, że napastnik zmienił pozycję, dopóki tamten nie weźmie jej na cel i nie wystrzeli. Za to najprawdopodobniej zamachowiec nie przypuszczał, że ona się ruszy z miejsca. Pewnie oczekiwał, że niczym królik zastygnie w bezruchu dla zmylenia drapieżnika - kierując się po części strategią, po części panicznym przerażeniem. Tego bez wątpienia się po niej spodziewał. Dlatego teraz musiała się zerwać do biegu.

Boże, tylko nie to...

A właśnie, że tak. To jedyny sposób, aby zachować życie. Przeturlała się na brzuch i oparła na rękach, starając się oszczędzać kontuzjowany nadgarstek, a chwilę później wystrzeliła przed siebie niczym sprinter z bloków startowych. Zdążyła dać cztery długie susy, zanim zaświstał drugi pocisk. Nie zauważyła go, uznała więc, że trafił w coś za jej plecami. Dwa kolejne susy i znalazła się przy murze sięgającym jej do pasa, chropowatym, poszarpanym przez żywioły. Niewiele myśląc, rzuciła się szczupakiem na drugą stronę, akurat w chwili gdy następna kula świsnęła obok jej twarzy. Przeskakując, zahaczyła udem o ostry kawałek skały i skaleczyła się tak boleśnie, że upadła z krzykiem na wyschniętą, ostrą trawę, odruchowo łapiąc się za nogę. Dwie następne kule, jedna po drugiej, utkwily w kamieniach muru, po czym znowu zaległa cisza.

Ile razy już wystrzelili? To w gruncie rzeczy nie miało znaczenia. Debora przecież kompletnie nie знаła się na broni. Chociaż ostatnie dwa strzały sprawiały wrażenie oddanych z frustracji. Może facet celowo opróżnił magazynek, żeby na nowo załadować go do pełna. Może to najlepszy moment na następny ruch...

Nie! Siedz za osłoną tego muru. Tu jesteś bezpieczna.

Szybko jednak doszła do wniosku, że pierwsza myśl była dużo lepsza. Wiązała się oczywiście z ryzykiem, dawała jednak szansę na znaczne oddalenie się od strzelca. Walcząc ze strachem i słabością, Debora poderwała się z ziemi i biegiem pokonała kolejnych kilkanaście metrów.

Okazało się, że miała rację. Zdążyła przebiec parę metrów, nim ponownie rozległ się huk wystrzału. Kula jednak padła daleko. Debora, biegnąc co sił w nogach, nie mogła się powstrzymać od triumfalnego uśmiechu: pospieszyleś się za bardzo, co? Poruszała się zygzakami i przeskakiwała nad nierównościami niczym gazela. Nogi - te bocianie patyki, szczudła, fasolowe tyki - w dziesięć sekund wynagrodziły jej wszystkie złośliwości, które musiała z ich powodu znosić. Zanim rozległ się ostatni strzał, była już przy dolnej strażnicy. O ile niedoszły zabójca nie został obdarzony typowym dla kozic darem szybkiego przemieszczania się po zboczach gór, teraz już stała się dla niego niewidoczna.

Problem w tym, że do miasta wiodła tylko jedna droga. Jeżeli zamachowiec ruszy za nią autem, zapewne zdoła powetować sobie słabe umiejętności strzeleckie. Debora pamiętała jednak, że kiedy tu przyjechała, na parkingu nie stał żaden samochód, więc albo napastnik przyszedł tu pieszo, albo - podobnie jak ona - skorzysta! z cudzego transportu. Lub też ukrył pojazd gdzieś w pobliżu fortecy. Przechodząc w chłodnym cieniu łuku wieńczącego bramę, zaczęła rozważać możliwe opcje wyjścia z opresji.

Odpocznij. Odetchnij. Może jeśli się dobrze ukryjesz, doczekasz nadejścia jakiejś pomocy...

W zasięgu wzroku nie było żadnych samochodów ani miejsca, w którym można by ukryć auto. Puściła się więc biegiem przez szeroki, piaszczysty podjazd, a potem w dół, po spiralnej, asfaltowej drodze. Będzie się trzymać blisko zbocza, żeby napastnik nie mógł ostrzelać jej z góry, i ani na chwilę nie zwolni kroku. Dojście do miasta zajmie jej mniej więcej pół godziny, może nawet mniej, jeżeli zdoła utrzymać szybki marszowy krok pomimo zdenerwowania, zmęczenia i odwodnienia, które już dawały jej się we znaki. W nodze cały czas pulsował ostry ból, ale Debora jeszcze nie kuląła, więc zapewne zdoła pokonać co najmniej połowę dystansu, zanim skaleczone udo zacznie jej poważnie dokuczać. Może w tym czasie pojawi się niespodziewany wybawiciel, może uda się jej złapać jakąś okazję...

Wszystko się powiedzie pod warunkiem, że strzelec - czy to pieszy, czy korzystający z jakiegoś ukrytego wcześniej środka transportu - nie okaże się szybszy od niej. Debora jeszcze przyspieszyła, zdając się na pochyłość stoku, tak że teraz niemal bez kontroli telepała się w dół ciężkimi, chwiejnymi krokami. Dwie minuty. Niemal nie czuła skwaru ani bólu w nodze. Pięć minut. Siedem. I wówczas usłyszała ten dźwięk - odległy, wysoki warkot silnika, przypominający brzęczenie komara. Mógł świadczyć tylko o jednym. Ze wzgórza zjeżdżał ktoś na motocyklu.

36.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie widział jej od chwili, gdy opuściła Akrokorynt, i mógł jedynie zgadywać, jaki dystans udało się jej pokonać. Im głośniejszy stawał się warkot silnika, tym energiczniej Debora zaczęła się rozglądać za jakąś kryjówką.

Jedzie coraz szybciej. Jest coraz bliżej.

Po jednej stronie znajdowały się tylko wybetonowany kanał odpływowy i stroma ściana zbocza, po drugiej - gaj oliwny z przysadzistymi, powkręcanymi drzewami.

Debora przebiegła na drugą stronę drogi, wpadła do gaju i rzuciła się brzuchem na ziemię, jakby właśnie zdobywała drugą baseballową bazę. Ledwo na asfalcie opadł pył, a już usłyszała motocykl pokonujący zakręt. Napastnik mógł ją zauważyć, gdy przecinała drogę, a i teraz, jeżeli uważnie wbiłby wzrok w nieznaczną cień zalegającą pod starymi oliwkami, z pewnością dostrzegłby Debore.

Jestem bezpieczna czy już po mnie?

Zamarła w idealnym bezruchu. Silnik zaczął pracować na niższych obrotach. Jadący zdecydowanie zwalniał.

W pierwszym odruchu chciała się zerwać do ucieczki, ale przecież wtedy z pewnością by ją zobaczył. Przyłgnęła mocniej do ziemi (więc jednak zwyciężyła strategia królika!) i tylko leciutko uniosła głowę, gdy pojazd znalazł się w polu widzenia.

Motocykl był niewiele większy od motoroweru, w bliżej nieokreślonym, ciemnym kolorze, pokryty gdzieś liszczami rdzy. Siedzący na nim mężczyzna - drobny i szczupły - miał na sobie poplamiony T-shirt, ciężkie wojskowe buty i komandoskie spodnie, a także kask w zjadliwie zielonym kolorze, całkowicie zasłaniający głowę i twarz, bardziej odpowiedni na dużo potężniejszy i szybszy motor.

Marcus?

Wykluczone. Zdecydowanie za drobny.

Chwilę później Debora dostrzegła jeszcze jeden szczegół - mężczyzna miał przewieszony przez plecy długi, cienki przedmiot owinięty w jakieś szmaty. Bez wątpienia strzelba.

Motocyklista odwrócił gwałtownie głowę, kierując ciemną przyłbicę kasku dokładnie w stronę Debory, tak że niemal poczuła na sobie spojrzenie oczu kryjących się za plastikową osłoną. Nagle uświadomiła sobie, że jej plecak jest jaskrawożółtego koloru. Czemu się na nim nie położyła! Tymczasem silnik motoru znowu zwiększył obroty i mężczyzna ruszył przed siebie, nabierając coraz większej prędkości.

Bezpieczna. Przynajmniej na razie.

Debora jeszcze przez parę minut leżała bez ruchu, wsłuchując się w bicie serca, które teraz - podobnie jak oddech - powoli wytracało szaleńcze tempo.

On wróci. Przejedzie z pół kilometra, zorientuje się, że przeoczył ofiarę, i wróci, aby ją przydybać na otwartym terenie. Debora rozważyła szybko swoje obecne położenie. Gaj oliwny zapewni jej osłonę przez mniej więcej kilometr, a idąc na azymut, skieruje się bezpośrednio w stronę pobliskiej wioski. Wędrówka po nierównym terenie potrwa dłużej, poza tym nie wiadomo, co ją czeka po wyjściu z gaju. W końcu będzie musiała parę razy przeciąć serpentynę drogi. Na razie jednak trzymanie się drzew wydawało się najbezpieczniejszym wyjściem.

Zastanawiała się, czy nie wyrzucić plecaka, ostatecznie jednak owinęła go ciemną koszulą, którą zabrała na wypadek wieczornego chłodu. Wcześniej jednak wrzuciła do środka kamień wielkości solidnego melona. Na niewiele się on zda, jeżeli napastnik nadal będzie się zabawiał w polowanie na grubego zwierza, gdyby jednak spróbował ją podejść w inny sposób, podobna broń mogła się okazać użyteczna. Plecak zawisał jej ciężko na ramionach i Debora uświadomiła sobie, że pewnie zdołaby nim zabić czyhającego na nią mężczyznę, jeżeli tylko wzięłaby odpowiedni zamach. Na tę myśl zrobiło jej się słabo. Pociągnęła długi łyk wody i ruszyła szybko przed siebie, starając się przemykać bezszelestnie pomiędzy pachnącymi, pokrytymi pyłem drzewami. I cały czas nasłuchiwała.

Oliwki były niewysokie, posadzone w równych rzędach, daleko jedna od drugiej, stąd nie tworzyły liściastej, ochronnej kopuły nad głową ani zagmatwanej, łudzającej oko płataniny pni gęstego lasu. Debora wiedziała więc, że jeśli dobiegnie ją warkot motoru będzie musiała natychmiast rzucić się z powrotem na twardą ziemię. Gdyby natomiast napastnik zapar-

komu gwałtu na podobu i kładzie jej śladem przodem, wówczas zobaczyłby ją jak na dłoni, zanim ona zdołałaby go dostrzec.

Cóż, nie ma sensu teraz o tym myśleć.

Po kilku minutach szybkiego marszu w dół zbocza Debora dojrzała betonowe obrzeże kanału odpływowego, oddalone o jakieś dwadzieścia metrów. To tam właśnie będzie musiała po raz kolejny przeciąć drogę. Jeżeli jednak na chybika zaczęłaby się gramolić na drugą stronę, byłaby widoczna z wielu punktów, położyła się więc na brzuchu i czołgała przez ostatnie dziesięć metrów, aż do skraju obrzeża, skąd wyraźnie widziała biegnącą dwa metry niżej asfaltową szosę oraz położony za nią kolejny oliwny gaj. Szybko się rozejrzała dookoła, nasłuchując i wyglądając jakichkolwiek śladów motoru lub motocyklisty.

Droga wolna.

Podciągnęła się ku górze. W nadgarstku i udzie odezwał się przeszywający ból, który natychmiast zignorowała, po czym przełożyła najpierw jedną, potem drugą nogę przez chropowaty beton obrzeża, tak że w końcu wisiała tylko na czubkach palców. Po momencie wahania puściła się i wpadła do kanału odpływowego, paskudnie rozdrapując przy tym łokieć i policzek. Było to mało eleganckie lądowanie, chociaż próbowała amortyzować zeskok kolanami, zaraz jednak poderwała się na nogi i czujnie się rozglądając na boki, wygramoliła się na drogę.

Nadal ani śladu prześladowcy.

Szybkimi szusami pokonała rozgrzany asfalt i wpadła pomiędzy drzewa następnego gaju, kuląc się mocno, bo rwanie w nodze nasilało się coraz bardziej. Potykając się i stąpając ociężale, dotarła do kolejnej krzyżówki z drogą.

Wszystko wskazywało na to, że napastnik dał za wygraną. Debora znalazła się już teraz niemal u stóp góry, na łagodnie opadającym terenie. Gołym okiem widziała zabudowania gospodarskie, okalające granice starożytnego miasta, sklepiki z pamiątkami i kafejki stojące po obu stronach ulic wiodących ku rzymskim ruinom. Tam już z pewnością strzelec nie odważy się zaatakować. Zrozumiał, że zaprzepaścił swoją szansę, i odjechał, żeby złożyć sprawozdanie temu, kto go tu przysłał.

Ponownie drzewa oliwne ustąpiły miejsca czystemu, niczym niezmaconemu błękitowi nieba. Na horyzoncie majaczyły wyraźnie kontury dachów i pięć monolitycznych kolumn archaicznej świątyni Apollina. Podobnie jak poprzednio, ostatnich dziesięć metrów dzielących ją od obrzeża rowu odpływowego Debora pokonała, pełznąc powoli, aż w końcu zostawiła za sobą drzewa. Jeszcze tylko kilka minut, a będzie wolna i bezpiecz-

na. Już miała przetrzucić nogę przez mur, kiedy doszła do wniosku, że dobrze byłoby sprawdzić, czy nie czekają przypadkiem jeszcze gorszy upadek niż poprzednio, wysunęła więc głowę ponad skraj betonu.

Poniżej, w rowie stał niewielki motocykl. Nieopodal zaś, w wyschłej trawie leżał zamachowiec i mierzył ze strzelby w stronę ostrego zakrętu drogi wiodącej ku Akrokoryntowi. Zaczajony snajper był szczupły i drobny, na głowie miał jaskrawozielony kask.

37.

Znajdował się najwyżej trzy metry dalej i Debora założyłaby się o każde pieniądze, że nie usłyszał jej tylko z powodu tego kasku. Cofnęła się raptownie - aż za raptownie - i przypadła płasko do wypalanej słońcem trawy, zastanawiając się przy tym, czy się nie zdradziła gwałtownością reakcji.

I co teraz?

Mężczyzna przyjął quasi-snajperską pozycję - jakby przyczajony w okopie - czekając, aż Debora tanecznym krokiem wynurzy się zza zakrętu - niczego nieświadoma, radosna niczym skowronek, jak większość odwiedzających Grecję turystów. Ta myśl zirytowała ją tak bardzo, że aż poczuła twardy węzeł skręcający jej wnętrzości.

Gdyby się rzuciła na niego, zyskałaby drobną przewagę zaskoczenia. Mogłaby go ugodzić plecakiem obciążonym kamieniem i... Rzecz w tym, że kask z pewnością zamortyzowałby uderzenie, narażając ją na wielkie ryzyko. Uświadomiwszy to sobie, Debora z niejaką ulgą odrzuciła pomysł ataku.

Mogłaby go też wziąć na przeczekanie, choć Bóg jeden wie, jak długo by to potrwało. Słońce już zmierzało ku zachodowi i choć do zapadnięcia ciemności pozostało kilka ładnych godzin, Debora wolałaby się nie wałęsać tu po zmierzchu, szczególnie ze świadomością, że zabójca wciąż na nią poluje.

A gdyby odwrócić od siebie uwagę, rzucając kamyki w stronę odległych krzaków, jak to robią w filmach, a kiedy on się ruszy, żeby sprawdzić, co się dzieje, przemknąć szybko i niepostrzeżenie na drugą stronę? Debora przewróciła się na plecy i leżała wpatrzona w błękit nieba prześwitujący pomiędzy artretycznie powyginanymi gałęziami. Jeżeli zawierzy hollywoodzkiej fikcji, z pewnością skończy z kulką w głowie.

Po chwili odrzuciła też pomysł, żeby podejść do strzelca, uprzejmie się przedstawić i siłą logicznych argumentów zakończyć tę paranoiczną farsę. A to oznaczało, że pozostało jej tylko czekać. Nie cieszyła jej ta perspektywa, czuła bowiem potrzebę konstruktywnego działania. Owo rozwiązanie wydawało się jednak najbezpieczniejsze, oczywiście przy założeniu, że Deborze uda się usiedzieć bez ruchu do chwili, aż napastnik opuści swój posterunek.

Niespodziewanie wróciły do niej kolejne filmowe epizody, co prawda raczej przynależne do świata komedii niż tragedii, niemniej dla niej opłakane w skutkach: przymus, żeby natychmiast się wysikać, niepohamowany atak kichania, nieoczekiwany dzwonek telefonu. Odrzuciła szybko te myśli i zaczęła dumać nad absurdalnością położenia - oto ona i polujący na nią strzelec leżeli przyczajeni w bezruchu, zaledwie parę metrów jedno od drugiego...

Bo teraz już nie ulegało wątpliwości, że to nie jakiś kretyń, który pomylił ją z królikiem, tylko zabójca nasłany, by to właśnie ją zlikwidować. I gdy spokojnie sobie uświadomiła ten fakt, po raz pierwszy pytanie, kto mógł chcieć jej śmierci, ustąpiło pytaniu dlaczego.

Uciekła do Grecji przed zagrożeniem czyhającym na nią w Atlantycie. Kiedy teraz znajdowała się tak blisko napastnika, uderzyła ją ironia sytuacji, a także bezsensowność decyzji o wyjeździe.

„Wróć do domu. Grozi ci śmierć”. Te słowa nie wydawały się teraz aż tak ogólnikowe i absurdalne...

W Atlantycie przerażała ją fakt, że jeden z detektywów prowadzących śledztwo w sprawie Richarda najprawdopodobniej w ogóle nie był policjantem, oraz świadomość, że śledzi ją jakiś podejrzany osobnik. Owym osobnikiem okazał się Marcus, z którym zawarła coś na kształt paktu detektywów, chociaż teraz zaczynała wątpić w roztropność tego posunięcia. Pomijając jednak wszelkie paranoiczne uprzedzenia, tak naprawdę nie mogła pojąć, czemu komukolwiek mogłoby zależeć na jej śmierci. Bóg świadkiem, że nie odkryła niczego, co rzuciłoby światło na śmierć Richarda. A do tego, logicznie rzecz biorąc, prześladowcom Debory powinno zależeć, by pozostała przy życiu, bo - zważywszy na jej idiotyczne pociągnięcia - zyskiwali niepowtarzalną okazję, aby uczynić z niej idealnego kozła ofiarnego.

Ale może rzecz nie w tym, co naprawdę wiedziała, lecz czego wedle ich przypuszczeń udało się jej dowiedzieć?

Przez chwilę miała nieograniczony dostęp do kolekcji Richarda, a także do jego komputera. Niewykluczone, że dotarła do jakichś ważnych po-

szkła, tyle że w całym momencie nie zauważyła sobie spłaty z tego znaczenia. Może patrzyła na coś, co pozwoliłoby bez trudu utworzyć logiczny ciąg: Agamemnon - Schliemann - Richard - jego mordercy. Zapatrzona w kryształowo czysty błękit greckiego nieba, wsłuchana w brzęczenie owadów i niskie, jednostajne cykanie świerszczy, Debora zaczęła się zastanawiać, jaki istotny element układanki mógł umknąć jej uwagi.

Nagle zza muru dobiegł ją chrzęst żwiru: motocyklista opuścił swoją pozycję.

O, Boże. To już koniec.

Ogarnęła ją panika na myśl, że napastnik postanowił wejść na wysokie obrzeże rowu, aby poszerzyć swoje pole widzenia. Zacisnęła powieki i wyteżyła słuch, ale nie umiała jednoznacznie zinterpretować dochodzących z dołu odgłosów. Szybko kucnęła i obróciła się najciszej, jak mogła, instynktownie unosząc ciężki plecak, którym zamierzała uderzyć, gdyby nad krawędzią pojawił się jaskrawozielony kask.

Warkot pobudzonego do życia silnika zabrzmiał tak ogłuszająco w przesyconej strachem ciszy, że Debora z trudem stłumiła krzyk. Zachowała jednak tyle przytomności umysłu, aby przywrzeć płasko do ziemi - inaczej napastnik mógłby ją dojrzeć ze swojego pojazdu.

Leżała w bezruchu przez pół minuty, wsłuchując się w cichnący ryk motoru. Mężczyzna wjeżdżał z powrotem na górę, zapewne w przekonaniu, że przyłapie Deborę na otwartym terenie. Ona tymczasem odczekała jeszcze kilkanaście sekund, po czym ostrożnie wyjrzała zza obrzeża, a gdy nie zobaczyła w zasięgu wzroku zabójcy, szybko skoczyła w dół. Tym razem pewnie skrzyła kostkę, zignorowała jednak przesywający ból i kulejąc, pomknęła na drugą stronę drogi. Znalazła się w następnym gaju oliwnym - na oko już ostatnim - który dzielił ją od gospodarskich zabudowań. Wciąż docierał do niej cichy warkot motocykla pnącego się pod górę i nagle Debora zdała sobie sprawę, że z odpowiedniej wysokości mężczyzna dojrzy ją przebiegającą wśród drzew. Może jednak strzelec się nie odwróci, może wjazd na górę zajmie mu nadspodziewanie dużo czasu... Rzecz w tym, że nie uciekała już długimi szusami, tylko drobnym, niepewnym truchtem, który coraz dramatyczniej przekształcał się w powolne utykanie. Pokonywanie nierównego terenu sprawiało jej coraz więcej trudności, Debora nie mogła jednak powrócić na drogę, bo to oznaczało pewną śmierć.

Przebycie kolejnego gaju zajęło jej zaledwie parę minut, a kiedy znów doszła do betonowego obrzeża, nie wahała się ani chwili. Rozejrzała się szybko na boki, rzuciła w dół, a potem nie przecięła gorącego asfaltu,

tylko ruszyła przed siebie drogą, która zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej skręcała ostro ku północy - w kierunku zatoki i starożytnych ruin. Zaciśnęła zęby i pochyliła nisko głowę, starając się zapomnieć o bólu. Jej koszula była mokra od potu, który także spływał strugami po twarzy, tak że oczy zaczęły szczypać ją od soli. Właśnie miała pokonać ostatni zakręt, gdy kostka odmówiła posłuszeństwa i Debora zatoczyła się do rowu.

Tym razem wrzasnęła na całe gardło, bardziej jednak z powodu irytacji niż cierpienia - jak gdyby ten emocjonalny impuls z nakazu dawno uśpionego, prymitywnego instynktu miał być najbardziej użyteczny w obecnych okolicznościach. Ledwo dźwignęła się na nogi, usłyszała - a przynajmniej tak jej się zdawało - wysokie rejestry silnika motocyklowego. Zastygła na moment w bezruchu, żeby się przekonać, czy nie zawiodą jej zmysły. Jednak nie. Napastnik powracał. Ponownie zjeżdżał z góry, a sądząc po obrotach silnika, poruszał się z dużą prędkością. Zapewne więc ją dostrzegł.

Teraz to już wyścig.

Popatrzyła przed siebie. Czarna wstęga gorącego, połyskliwego asfaltu biegła prostą, strzelistą linią. Mniej więcej sto metrów dalej po jednej ze stron widniały zabudowania, leżały jednak dość daleko od drogi, wśród spalonej słońcem łąki i bardziej przypominały szopy ogrodowe niż domy mieszkalne. Kolejne dwieście metrów dalej droga przechodziła w główną arterię. Wystarczyło, żeby Debora zdążyła skręcić w odpowiednią stronę, a znalazłaby się wśród sklepów i kafejek, i to zaledwie w przeciągu kilku minut.

O ile zostało jej jeszcze tyle czasu, w co powoli zaczynała wątpić. Zmusiła się do maksymalnego wysiłku - ponownie ruszyła przed siebie długimi susami. Krew z rany na udzie płynęła już ciągłym strumykiem, brudząc skarpetę i znacząc nogę barbarzyńskim deseniem. Ale Debora tylko wzruszyła ramionami - widok był dużo gorszy od autentycznego stanu. Zwknięcie nadgarstka można było całkowicie zlekceważyć. Teraz największą groźbę stanowiło odwodnienie, fizyczne wyczerpanie i skręcenie kostki, zdecydowanie spowalniające marsz.

Jeszcze tylko kilkanaście metrów...

Minęła szopy, strzeżone przez samotną kozę, nie zatrzymując się ani na moment. Warkot motoru ucichł na chwilę, gdy pojazd znalazł się za wschodnim zboczem, ale powoli i nieuchronnie narastał od nowa. Jeszcze jeden zygzak, a napastnik z wielką prędkością popędzi wprost na nią.

Debora zerwała się do biegu.

W zasięgu wzroku pojawiły się kolumny świątyni Apolla, ale teraz była ona kompletnie wyludniona, a na dodatek od drogi oddzielało ją ogrodzenie z gęstej, metalowej siatki, stąd gdyby nawet po drugiej stronie znajdował się cały oddział przebywających na urlopie marines, i tak nie zmieniłoby to rozpaczliwego położenia Debory. Odgłos motoru raz jeszcze przygasł. Może zabójca doszedł do wniosku, że znów się gdzieś ukryła, i postanowił od nowa przemierzyć całą trasę? Debora wykrzywiła twarz, gdy rwanie w nodze odezwało się ze zdwojoną siłą, po czym zacisnęła zęby niczym starożytny rzymski legionista zaciskający szczękę na kawałku rzemienia podczas zabiegu chirurgicznego.

Huk, jaki rozerwał powietrze, gdy motocykl wypadł z zakrętu, wydał jej się wystrzałem z armaty. W jednej chwili słyszała odległy warkot - cichy brzęk przywodzący na myśl trzeszczenie cykady; w następnej grzmot - jakby pojazd pokonał barierę dźwięku i gnał z rykiem w zawrotnym tempie. Nie było sensu tracić czasu na zerkanie za siebie. Jeżeli mężczyzna zacząłby teraz strzelać, Debora mogła mieć tylko nadzieję, że nie uda mu się jej trafić.

Biegła więc przed siebie. Pokonała kolejne dziesięć metrów. Piętnaście. Dwadzieścia pięć. Pojawiło się skrzyżowanie, na którym skręciła w prawo, potykając się i kulejąc coraz wyraźniej. W tym miejscu kompleks świątynny otaczały wysokie, kamienne bloki, wytłumiające ryk silnika. Tuż przed sobą Debora widziała kawiarniane stoliki i krzeselka wystawione na ulicę, stojak z pocztówkami zlewającymi się w ostrą plamę koloru, witrynę sklepową, autobus... innych ludzi.

Zatoczyła się w stronę pierwszej kafejki, która znalazła się na jej drodze, przewracając jeden ze stolików, i desperacko rzuciła się w stronę kuchni. Ani na zewnątrz, ani w środku nie było żadnych klientów, przy barze stał jednak kelner zaciągający się papierosem. Odwrócił się na dźwięk wywracanego stolika - zaskoczony, z wyrazem irytacji na twarzy - a chwilę później w stronę Debory pospieszyła starsza, ubrana na czarno kobieta z włosami ściągniętymi w ciasny węzeł, o poznaczonej zmarszczkami, surowej twarzy. Wyraz jej oczu nie wróżył niczego dobrego.

Deborę opuściły wszelkie siły. Straciła resztki równowagi i padła na posadzkę, przewracając następny stolik i kilka kolejnych krzesel. Posiniaczona, krwawiąca i wyczerpana, nie miała dość woli, by choć ruszyć ręką lub nogą.

- Przepraszam - wymamrotała, gdy twarz Greczynki znalazła się w zasięgu jej wzroku.

Tamta burknęła coś do kelnera, po czym znów zwróciła się w stronę Debory, tym razem z zatroskaną miną.

- Już okay - zapewniła, a tymczasem kelner wcisnął kobiecie w dłoń butelkę wody mineralnej.

Greczynka uniosła głowę Debory i przycisnęła brzeg butelki do jej ust.

Debora pociągnęła długi łyk, czując, jak rozkosznie lodowata woda zaczyna pobudzać całe jej ciało.

Wciąż miała wrażenie, że za moment zemdleje, uniosła się jednak nieznacznie na łokciach i przebijając się wzrokiem przez chaotyczną płataninę stolików i krzeseł - spojrzała na drogę. Natychmiast dojrzała motocyklistę w jaskrawozielonym kasku, beznamiętnie spoglądającego w jej stronę przez ciemną przyłbicę. Chwilę później z silnika wydobył się niski, metaliczny dźwięk i motocykl pomknął w dół, szybko niknąc Deborze z oczu.

38.

Starsza Greczynka, nosząca imię Sophia (podobnie jak żona Schliemanna), postawiła przed Deborą wodę oraz talerz z jedzeniem (kurczak z grilla garniowany cienkimi plasterkami ogórka), po czym opatrzyła jej zadrapania i przemyła ranę na udzie jodyną z wiekowej, brązowej buteleczki ze szklanym korkiem. Sophia znała tylko kilka angielskich słów - ściśle związanych z kawiarnianym menu - cały czas jednak mówiła coś do Debory przyjaznym, kojącym tonem.

Debora wyjaśniła, że od samego Akrokoryntu ścigał ją mężczyzna na motocyklu, nie powiedziała jednak, że do niej strzelał, i lekceważącym machnięciem ręki zbyła propozycję wezwania policji. Sophia z wyraźną ulgą przyjęła tę decyzję, pewnie dlatego, że dobrze wiedziała, z jakim sceptycyzmem spotkałaby się opowieść cudzoziemki. A kiedy Debora w końcu się podniosła i powiedziała, że czuje się już na tyle dobrze, by wsiąść do autobusu lub taksówki, Greczynka zareagowała stanowczym: „nie”, po czym zaczęła wykrzykiwać coś do kelnera. Chwilę później mężczyzna pojawił się przed kafejką za kierownicą starego zdezelowanego fiata.

Zanim Debora - z ledwie skrywanym lękiem - wsiadła do wnętrza małego, przerdzewiałego auta, z wdzięcznością przyjęła od Sophii butelkę wody i bochenek chleba oraz - jakże zdumiewający - gorący, serdeczny uścisk. Sophia, nieustannie wyrzucając z siebie potok greckich słów, na koniec po matczynemu poklepała Deborę po policzku i poczęstowała pełnym zachęty uśmiechem, ta zaś - wciskając swoje długie, pokierszowane nogi do środka samochodu - po raz pierwszy od przyjazdu do Grecji była bliska łez.

Sophia upewniła się jeszcze, czy jej pracownik wie, jak trafić do hotelu Debory - co było bardzo roztroptym posunięciem, jako że angielszczyzna kelnera ograniczała się do nazwisk kilku angielskich piłkarzy („Beck-

ham, Scholes, Owen" powtarzał z szerokim uśmiechem, po czym wydawał z siebie entuzjastyczne, choć bliżej niesprecyzowane dźwięki) - i chwilę później ruszyli w stronę współczesnego Koryntu.

Z przyczyn, których nie umiałyby logicznie uzasadnić, Debora spodziewała się, że w hotelu będzie czekać na nią niespodzianka - liścik od Marcusa bądź sam Marcus z fajką w zębach usadowiony w holu czy też choćby krótka wiadomość od przystojnego prawnika z Atlanty. Brak zainteresowania jej losem ze strony jakiegokolwiek ludzkiej istoty wpłynął na nią przygnębiająco. Gdyby tylko dostała kilka słów od Calvina...

Najpierw rojenia na poziomie podlotka, teraz rozczulanie się nad własnym losem. No po prostu cudnie.

Kiedy już się pożegnała z kelnerem - o wiele przyjaźniejszym i pełnym entuzjazmu poza zasięgiem wzroku Sophii - i powróciła do hotelowego pokoju, doszła do wniosku, że wydarzenia minionego dnia nie były jedynie punktem zwrotnym tego koszmaru, ale czymś znacznie poważniejszym.

Uciekła z Atlanty, bo czuła się zagrożona, okazało się jednak, że tu nie jest wcale bezpieczniejsza, a do tego w żaden sposób nie zbliżyła się do rozwiązania zagadki śmierci Richarda. Kiedy popijała szybko stygnącą kawę, narastało w niej przekonanie, że zawiodła nie tylko siebie samą, ale i zmarłego przyjaciela. Zrozumiała też, że nawet gdyby odkryła, dlaczego zginął Richard, i tak nie pojęłaby głębszego sensu ani nie zaakceptowała jego śmierci.

Pomasowała opuchniętą kostkę i szybko się pogodziła z nachalnie powracającą myślą: czas wracać do domu.

Sprawdziła, czy dokładnie zamknęła drzwi, po czym weszła nago do łóżka, przykrywając się jedynie cienkim prześcieradłem, a potem spała do samego rana, budząc się tylko raz - gdy w jej sen wdarł się ostry, przeszywający ryk motocykla.

Przygnębienie z poprzedniego wieczoru męczyło ją także rano - niczym kac lub bolesne wspomnienie niepowetowanej straty. Przed śniadaniem raz jeszcze spytała w recepcji o wiadomości, ale nikt nic dla niej nie zostawił. Najwyraźniej Marcus postanowił ją porzucić. Na wszelki wypadek zajrzała też do kafejki internetowej, ale w skrzynce nie czekała żadna poczta.

Zmieniła opatrunek na udzie, starannie obmywszy ranę. Nie wyglądała najgorzej, chociaż miejsce wokół było zaognione i opuchnięte. Pewnie powinna poprosić recepcjonistę o jakiś silnie dezynfekujący środek, ale na samą myśl o tym poczuła się wydrenowana z energii, usiadła więc tyl-

ko na łóżku i wbiła wzrok w okno, za którym rozpościerał się widok na pobliskie dachy, kopułę bazyliki i majaczące w oddali morze.

Rzeczywiście, nadszedł czas, żeby wracać do domu, stawić czoło konsekwencjom swoich posunięć, pozostawić śledztwo w rękach kompetentnych ludzi i skoncentrować swoje wysiłki na tym, by nie skończyć w więzieniu za utrudnianie dochodzenia czy - nie daj Boże - zamordowanie przyjaciela i mentora. Przed wyjazdem miała jednak jeszcze coś do zrobienia. Ostatecznie od chwili przyjazdu do Grecji wiedziała, że ją to czeka.

39.

- Mikines - warknęła kobieta, która sprawdzała bilety autobusowe. Miała na nosie okulary o wyjątkowo ciemnych szklach, a na głowie dziwacznie zamotaną chustkę w żółto-musztardowych odcieniach. - Mikines - powtórzyła i zniecierpliwionym gestem wskazała na drzwi, jakby Debora kradła jej cenne sekundy życia.

Debora szybko wysiadła i rozejrzała się po piaszczystym skrzyżowaniu, przy którym stała jedynie wiekowa stacja benzynowa, podczas gdy autobus zaczął się oddalać w chmurze brunatnych, gryzących spalin. W ostatniej chwili kierowca się zlitował, wychylił przez okno i wskazał ręką biegnącą prosto jak strzeł, boczną drogę.

Mikines to współczesne miasteczko powstałe na miejscu starożytnej achajskiej osady, choć nie cytadeli położonej na wzgórzu oddalonym o dobre trzy kilometry. Debora zarzuciła plecak na ramię i ruszyła we wskazanym kierunku, ostrożnie testując kostkę i zabandażowane udo. Skrzywiła się lekko, zdecydowała jednak, że nieprzyjemne uczucie wynika z zeszywnienia od długiego bezruchu, i że wystarczy rozchodzić nogę, a dyskomfort się zmniejszy. Na pewno przykre rwanie nie zniknie całkowicie, a może nawet ból się zwiększy, jeżeli Debora przeforsuje kostkę, ale był to już ostatni dzień pobytu w Grecji, a musiała zobaczyć miejsce, od którego się wszystko zaczęło, nawet jeżeli za tę eskapadę przysłoby jej zapłacić całym tygodniem rekonwalescencji po powrocie do Georgii. Ostatecznie i tak nie będzie tam miała nic lepszego do roboty.

Szybko pozostawiła miasteczko za plecami, a po drodze minęła tylko kilka niewielkich hotelików i kafejek z pustymi tarasami ocienionymi parasolami, które przyprószył jasny pył. Za jakiś czas nadjadą turystyczne autokary i miejsca te szybko się zapełnią Brytyjczykami, Niemcami czy Amerykanami szukającymi schronienia przed palącym, wczesnopopołu-

dniowym słońcem, jako że na odkopanych achajskich stanowiskach archeologicznych notorycznie brakowało cienia. Za kafejkami i restauracjami rozciągały się już tylko spłachetki wypłowiałej ziemi upstrzone powykręcanyimi, karłowatymi drzewkami oliwnymi, siwoszarymi w ostrym świetle słońca, oraz wysokimi, wonnymi eukaliptusami, porastającymi także obrzeża drogi. Debora doszła do wniosku, że poprzedniego dnia tak się napatrzyła na drzewa oliwne, że wystarczy jej tego widoku do końca życia.

Gdy jej oczom ukazały się mury cytadeli - przytłaczające ogromem, rdzawe, podobne do krwi i starego złota, wyrastające ze szczytu wysokiego wzgórza - Debora przystanęła i zapatrzyła się na nie w zamyśleniu. Z tej odległości nie dojrzała żadnych kolumn czy elementów dekoracyjnych - jedynie monumentalne płaszczyzny nieregularnego kamienia emanujące potęgą i heroiczną wielkością, przynależne do świata mitów i legend.

Pociągnęła długi łyk wody i ruszyła przed siebie.

Zapłaciła za wstęp i zaczęła się wspinać ku słynnej Lwiej Bramie. Mury fortecy wykonano z olbrzymich bloków, pozornie nawet nieociosanych. Poeci zwali owe mury cyklopowymi, czyniąc aluzję do podań, wedle których cytadela została wzniesiona przez mitycznych jednookich gigantów. Trudno nie być pod wrażeniem czy wręcz nie popaść w trwożny podziw dla budowniczych tego warownego grodu: nie dysponując żadnymi maszynami, żadnymi udogodnieniami współczesnej techniki, zdołali ściągnąć tu te kolosalne głazy, ustawić je na drugich i odpowiednio połączyć. W tym grodzie - podobnie jak w Stonehenge czy pod wielkimi piramidami - Debora czuła, jak pysze i zarozumiałości człowieka dwudziestego pierwszego wieku zostaje zadany ciężki cios. Ludzie tak się przywiązali do koncepcji ewolucji kulturowej, że automatycznie uważali swoich starożytnych przodków za gorszych od siebie, kiedy jednak Debora stawiała naprzeciwko takich osiągnięć jak cyklopowy cytadela, nie wyobrażała sobie, co mogłaby wnieść nowego do onegdaj kwitnącej tu cywilizacji, gdyby nagle została tam przeniesiona w czasie. Nie mając pod ręką samochodu, komputera czy dostępu do elektryczności, jakie cuda współczesnego świata zdołałyby zademonstrować owemu dawno wymarłemu, niemal zapomnianemu ludowi? Żadne. Byłaby może w stanie wyrecytować kilka formułek naukowych czy twierdzeń astronomicznych, ale i tak nie umiałaby ich udowodnić. Pewnie więc uznaliby ją za czarownicę i skazali na śmierć lub też - co bardziej prawdopodobne i nieskończenie gorsze - zignorowaliby ją, tak jak ona zignorowała bezdomnego z Roswell Road, głoszącego, że nadchodzi koniec świata.

Debora przeszła pod płaskorzeźbą Lwiej Bramy, ponownie zadając sobie pytanie, czy Richard miał rację. Czy rzeczywiście pod tym samym portykiem przemaszerowała zmierzająca na podbój Troi wielka armia wojowników w hełmach zdobionych kłami dzika, uzbrojona we włócznie o grotach wyzłoconych odbitymi promieniami słońca? Czy naprawdę sam wielki Agamemnon, powożąc bojowym rydwanem, przewodził owej groźnej armii, a kopyta jego rumaków uderzały o tę samą ziemię, po której teraz stąpała Debora? Gdy patrzyła na potężne mury strzeżone przez kamienne lwy, kiedy znalazła się w obrębie grodu i w końcu doszła do kolistego cmentarzyska grobów szybowych, w które się wgryził Schliemann, przekopując spieczoną, czerwoną ziemię, wszystko wydało jej się możliwe, ale też zupełnie nieistotne.

„Czym dlań Hekuba lub on dla Hekuby, by płakał po niej?”* powiedział Hamlet, tuż po tym jak jeden z aktorów odegrał rozpacz trojańskiej królowej po zamordowanym mężu, Priamie. Wspomnienia dawno zapomnianego seminarium z literatury powróciły nagle z całą ostrością. Jakież znaczenie miały owe starożytne podania? Jakiego znaczenia miało rozstrzygnięcie kwestii, czy Agamemnon kiedykolwiek przemaszerował przez Lwią Bramę? Lub czy to jego szczątki zostały odnalezione i zachowane przez Schliemanna? Odpowiedź na którekolwiek z tych pytań nie przywróci Richardowi życia. Nie wpłynie na koleje jej losu. Niespodziewanie Debora poczuła, że chce już stąd wyjechać, wrócić do Atlanty, odbudować swoje życie czy nawet - to była całkiem nowa, lecz pociągająca myśl - zacząć wszystko od nowa z dala od muzeum.

Skoro jednak dotarła aż do tego miejsca, zwiedzi je sumiennie jak tysiące turystów, którzy każdego roku obchodzili wokół cytadelę, zachodząc przy tym w głowę, po co w ogóle tu przyjechali. Groby szybowe były teraz, naturalnie, całkiem puste, a ich kamienne niecki nie dawały żadnego pojęcia o niezwykłych skarbach wydobytych przez Schliemanna niewiele ponad sto lat temu. Debora nachyliła się i spojrzała w dół, a w głowie majaczyło jej pytanie, co właściwie spodziewała się ujrzeć - czyżby jakiś istotny ślad przeoczony przez odwiedzających tę fortecę od przeszło wieku?

Idąc wzdłuż murów obronnych, patrzyła na pobliskie poszarpane wzgórza pachnące dzikim tymiankiem porastającym zbocza, na których beznamytnie pały się kozy. Przeszła po płytach posadzki pałacu wybudowanego

* Przekład Macieja Słomczyńskiego.

wanego w najwyższym punkcie akropolu i przez chwilę wpatrywała się w pozostałości niewielkiej kamiennej wanny, w której - wedle legendy - Agamemnon miał zostać zamordowany przez swoją żonę i jej kochanka, Egista. Obejrzała przypominające kamienne ule grobowce, które Schliemann uznał za miejsca pochówku dwojga skrytobójców, a także ruiny onegdaj wspaniałego Domu Kolumnowego, znajdujące się na południowo-zachodnim skraju cytadeli. Ale nawet dla niej - przecież archeologa - była to jedynie nic niemówiąca płatanina niskich kamiennych ścian, gładkich przedproży i wielowiekowego pyłu. W przewodniku wyczytała, że obchodząc wokół mury, można dojść do Północnej Bramy. Po jej wschodniej stronie znajdowały się zdradliwe, pogrążone w całkowitym mroku schody prowadzące do podziemnej cysterny pochodzącej z dwunastego wieku przed naszą erą. Według przewodnika szyb urywał się niespodziewaną przepaścią - otchłanią biegnącą siedemdziesiąt metrów w głąb wzgórza do lustra wody, której głębina była dotąd nieznaną. Chociaż perspektywa podziemnego chłodu zdawała się kusząca, Debora czuła się zmęczona, a do tego studzienny szyb przywodził na myśl śmiertelną pułapkę. Nagle fizyczne wyczerpanie, poczucie bezsilności i stres poprzednich dni opadły na nią niczym czarna chmura i teraz już nie marzyła o niczym innym jak tylko o powrocie do domu. Opuściła cytadelę i ruszyła w stronę miasteczka przygnębiona i nieco zagubiona - bo chociaż nie umiałaby dokładnie powiedzieć, czego tu szukała, była pewna, że tego nie znalazła.

Szła drogą prowadzącą łagodnym łukiem wokół wzgórza, mijała ruiny domostw kupców z epoki brązu, potem przecięła nieustannie zapełniający się parking i rozczulając się w duchu nad sobą, ruszyła ku odległemu o parę kilometrów przystankowi autobusowemu. Chwilę później jednak ujrzała po drugiej stronie drogi dużą grupę ludzi. Tam też znajdowało się coś godnego uwagi, jakiś kolejny zabytek. Debora jedynie pobieżnie przejrzała przewodnik i schowała go do plecaka, gdy tylko przeczytała notatkę dotyczącą samej cytadeli. Teraz była zgrzana, a czekał ją długi marsz do przystanku, buntowała się więc na myśl o zbaczaniu z drogi, by zwiedzić coś, o czym nie miała pojęcia, ale w tym samym momencie grupa się rozproszyła i wówczas Debora ujrzała otwarty korytarz o wyniosłych ścianach, prowadzący do wielkiego otworu wejściowego w zboczu wzgórza, obrzeżonego poziomymi blokami skalnymi. Powyżej wrót znajdował się duży, mroczny otwór w kształcie litery V zwróconej wierzchołkiem ku niebu. Ta brama zwieńczona trójkątną czernią była dobrze znana Deborze - z pewnością już ją widziała, dawno temu, być może w jakimś akademickim podręczniku.

Jeszcze coś innego związanego z tym miejscem nie dawało jej spokoju, czaiło się w zakamarkach pamięci, pragnęło wychynąć na powierzchnię. Debora oderwała wzrok od odrzwi, zrzuciła z ramion plecak i zaczęła wygrzebywać przewodnik tak gwałtownie, że przy okazji butelka z wodą wypadła i potoczyła się, zapomniana, wzdłuż drogi.

Debora szybko odnalazła odnośną stronę - była poplamiona od potu i kremu z filtrem, ale wciąż dobrze czytelna. Lwia Brama. Cyklopowe mury. Grobowiec Klitajmnestry. Dom Kolumnowy. Odwróciła kartkę. Schliemann. Wykopaliska. Osadnictwo mykeńskie. Przeszła na kolejną stronę, której do tej pory nie oglądała. I tam właśnie ujrzała zdjęcie bramy w zbczu wzgórza, a u dołu słowa, których - pomimo wysiłków - nie mogła sobie przypomnieć od wielu dni: „Skarbiec Atreusza”.

40.

Bez wątpienia jeszcze jedna z tych wydumanych nazw, pomyślała, przechodząc na drugą stronę drogi, nazw, które się odwołują do sentymentów ludzi owładniętych starożytnymi mitami, niewiele zaś mają wspólnego z archeologią. Mają przyciągać turystów. Więc pomimo odniesienia do imienia Atreusza oględziny tego miejsca w żaden sposób nie zbliżą jej do wyjaśnienia śmierci Richarda. Niemniej przyspieszyła kroku i weszła w monumentalny korytarz o wysokich, kamiennych ścianach, prowadzący do mrocznego otworu wejściowego. Zmusiła się też, żeby przeczytać odnośne informacje w przewodniku, na wypadek gdyby znajdowało się tam coś - cokolwiek - naprawdę istotnego.

Według przewodnika był to w istocie grobowiec, jednak nie szybowy, jak te w obrębie murów cytadeli, ale kopułowy, zwany także z grecka *tholos*. Niekiedy w monografiach poświęconych historii sztuki ów grobowiec występował nie pod nazwą Skarbiec Atreusza, ale Grób Agamemnona.

Kolejna pożywka dla entuzjastów mitów. Lep na turystów. Twierdzenie, że wszystko w tej okolicy ma coś wspólnego z Agamemnonem, przywodziło na myśl bredzenia ludzi utrzymujących, że pamiętają swoje przeszłe życie, które na dodatek zawsze w taki czy inny sposób okazywało się związane z jakąś słynną postacią historyczną: dama dworu Kleopatry, ogrodnik Marii Antoniny... Czyste nonsensy. Powiastki dla naiwnych.

Owszem, to prawda. Niemniej... Surowa budowla emanowała potęgą i siłą, bez względu na to, jaką nosiła nazwę. Debora uniosła wzrok na czerń wejścia wysokiego na jakieś czternaście, może piętnaście metrów, po czym ponownie zerknęła do przewodnika. Ów *tholos* pochodził mniej więcej z tego samego okresu, co grobowiec Klitajmnesty, wiarolomnej żony Agamemnona; datowano go na trzynasty wiek przed Chrystusem, to jest na stulecie, w którym wedle archeologów doszło do zburzenia Troi.

Może więc jednak pochowano tu Agamemnona...

Natomiast nazwa Skarbiec Atreusza wzięła się z ludowej tradycji, łączącej grobowiec z królewskim rodem władców Myken - na którą nałożyło się iście niedorzeczne przekonanie Schliemanna, że panujący przechowywali złoto i inne cenne precjoza poza murami cytadeli. Ostatnie badania wykluczyły przypuszczenia, że odkopana przez niego kopułowa struktura była czymś innym niż tylko grobowcem, oraz jednoznacznie potwierdziły, że to właśnie powstanie *tholosów*, a nie grobów szybowych, zbiegło się w czasie ze splądrowaniem Troi. Jeżeli więc Atreusz i jego syn, Agamemnon, to autentyczne postaci historyczne, wówczas właśnie grobowce kopułowe - a nie szyby, w których Schliemann odnalazł słynne pośmiertne maski oraz resztę wyposażenia grobowego - stanowiłyby miejsce ich ostatniego spoczynku.

Debora wstrzymała oddech i wkroczyła w chłodny mrok grobowca.

Był wielki, w przybliżeniu okrągły, o średnicy jakichś piętnastu metrów i ledwo widocznym w mroku kopułowym sklepieniu. Z jednej strony ciemniała nisza w ścianie, poza tym komora okazała się pusta. Debora usiadła pośrodku monumentalnej sali, na zimnej posadzce, i czekała, aż jej wzrok przywyknie do ciemności, podczas gdy ostatni turyści opuszczali grobowiec, przy wyjściu osłaniając dłońmi oczy od słońca.

Prawdę powiedziawszy, nie było tu wiele do oglądania i Debora nie mogła się uwolnić od rozczarowania. Z miejsca, gdzie siedziała, widziała jedynie wklęsłość kopuły, ciemną niszę, gdzie zapewne składano zwłoki, i otwór bramy - teraz ostro jaśniejący słonecznym blaskiem. Nadproże nad wejściem musiało ważyć tony, a masa kopuły wydawała się nieogarniona. Nic dziwnego, że nad bramą znajdował się trójkąt odporowy. Teraz pusty, w czasach świetności byłby zasłonięty cienką kamienną płytą zdobioną reliefem, sprawiającą wrażenie masywnej, ale niewyobrażalnie lekką w stosunku do całości.

Monumentalna budowla w istocie wywierała potężne wrażenie, ale w gruncie rzeczy nie miała żadnego odniesienia do życia Debory czy śmierci Richarda.

Kolejny ślepy zaułek.

Uśmiechnęła się gorzko i wsparła brodę na dłoniach. Siedziała tak w chłodnych ciemnościach przez dobrą minutę, zanim zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Zwróciła się w stronę, z której dobiegł nieznaczny szmer, i ujrzała zarys ludzkiej sylwetki.

- Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że w końcu się tu zjawisz - odezwał się znajomy głos.

Dobrze znajomy. I tak zaskakujący w tym miejscu, że Debora aż zaniemówiła z wrażenia.

To niemożliwe!

W tej samej chwili dostrzegła pistolet wymierzony w jej stronę i poczuła w głowie jedną wielką pustkę.

41.

- Tonya?! - wykrztusiła w końcu. - Co ty tu robisz? - W odpowiedzi pistolet uniósł się nieznacznie i mierzył teraz dokładnie w jej gardło. - Natychmiast opuść tę broń! - dorzuciła Debora.

- Nie odzywaj się do mnie jak do służącej czy sprzątaczk! - nakazała Tonya przyciszonym, złowrogim głosem.

Ależ ty właśnie jesteś sprzątaczką, pomyślała Debora. Sprzątaczką z Atlanty!

Powiedziała jednak:

- Nic nie rozumiem. Skąd się tutaj wzięłaś? Ja nie pojmuję...

- Nie? A więc zamknij się i słuchaj. Za minutę się pojawi kolejna grupa turystów i chcę mieć pewność, że nie zrobisz nic głupiego. Okay?

- Okay - odparła Debora, natychmiast zapominając o Atreuszu i Agamemnonie. Teraz mogła się jedynie skoncentrować na czarnym oku lufy.

- Ustalmy więc szybko podstawowe reguły - zarządziła Tonya. - Po pierwsze, zbliż się do mnie jeszcze o krok, a zastrzelę cię na miejscu.

Debora, która odruchowo ruszyła w stronę Tonyi, natychmiast zastygła w miejscu.

- Po drugie. Spróbuj się odezwać do jakiegokolwiek trzeciej osoby, a...

- Zastrzelisz mnie na miejscu? - weszła jej w słowo Debora, siląc się na ironiczny czy wręcz beztroski ton. Oderwała wzrok od pistoletu i spojrzała prosto w twarz Tonyi. - O, nie. Z pewnością tego nie zrobisz. Czy zwróciłaś może uwagę, jak liczna jest populacja czamoskórych w Grecji? Aresztują cię w przeciągu paru minut.

Ledwo to powiedziała, zorientowała się, że popełniła grubą błąd.

- Zapewne - rzuciła lodowatym tonem kobieta. - Ale nic mnie to nie obchodzi.

W jej głosie nie było ani cienia dramatyzmu, za to tak zimna stanowczość, że Debora aż cofnęła się o krok, przekonana, że Tonya nie blefuje. Co więcej, odniosła wrażenie, że odwołanie się do koloru skóry wzmogło jeszcze determinację jej przeciwniczki i to z powodów całkiem innych niż te, które do tej pory wywoływały pomiędzy obiema kobietami krępujące napięcie. Obecność Murzynki w tym miejscu i broń w jej ręku miały zdecydowanie związek z jej rasą, chociaż trudno było znaleźć na to jakiegokolwiek logiczne uzasadnienie.

Z rasą?!

- Przyjechałam, żeby odebrać coś, co nigdy do ciebie nie należało - odezwała się Tonya. - Jeśli mi się to nie uda, wówczas cię zabiję. Istnieje też duże prawdopodobieństwo, że zrobię jedno i drugie. A jeżeli z tego powodu zginę lub skończę w greckim więzieniu - trudno. Nie dbam o to.

W jej tonie pobrzmiwała rezygnacja zrodzona z długo tłumionego, gorzkiego gniewu, a treść samych słów działała mroząco. Debora wiedziała, że nie ma sensu wskazywać na absurdalność całej sytuacji. Pamiętała też, że Tonya gardzi słabością. Zapytała więc jedynie:

- Dlaczego?

Czarnoskóra kobieta odpowiedziała uśmiechem, w którym nie było jednak ani cienia wesołości, za to wiele bólu i smutku.

- I ty pytasz dlaczego?

- Tak - odparła Debora. - Jeżeli masz mnie zastrzelić, chciałabym wiedzieć, z jakiego powodu. Tego wyjaśnienia nie możesz mi odmówić.

- Za mojego ojca, którego nigdy nie znałam.

Debora spojrzała na nią kompletnie oszołomiona.

- Czy to dla ciebie dość dobry powód? - spytała Tonya, ponownie unosząc pistolet.

42.

- Richard był twoim ojcem? - Debora nie mogła dojść do siebie. - Jak to możliwe?

- Oczywiście, że nie, głupia suko - warknęła Tonya. - Jeżeli nadal będziesz zgrywać idiotkę, to przysięgam na Boga, że...

- Zastrzelisz mnie na miejscu - wtrąciła Debora. Nie była to już jednak kpina. Debora wyraźnie widziała błysk ledwo tłumionej wściekłości w oczach tamtej i zrozumiała, że Tonya naprawdę byłaby zdolna ją zabić.

- Właśnie.

- Czy jesteś w zмовie z Marcusem?

- A kim, do diabła, jest Marcus?

- W takim razie z Cernigą.

- Z Cernigą? - zdziwiła się Tonya. - Z tym gliniarzem?

- On nie pracuje w policji - odparła Debora. - Przynajmniej według Keene'a.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie, panował jednak zbyt gęsty mrok, by dojrzeć wyraz twarzy Tonyi. Ale kiedy się w końcu odezwała, w jej głosie nie było już poprzedniej pewności siebie.

- Ja nie jestem z nikim w zмовie.

- I nie jesteś też sprzątaczką. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Debora pomyślała, że powinna się bać. Nie miała powodu, by nie wierzyć, że czarnoskóra kobieta ją zastrzeli. Tonya z pewnością była do czegoś takiego zdolna - sprawiała wrażenie, że pod najlżejszym pretekstem zrobi to z prawdziwą przyjemnością. Debora natomiast nie miała pojęcia, dlaczego miałyby zginąć - bo wzmianka o ojcu wydawała się nonsensowna - ale jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: kobieta, którą przez długi

czas uważała za zwykłą sprzątaczkę, szczerze jej nienawidziła i teraz wystarczyło niefortunne słowo, by pociągnęła za spust bez względu na liczbę ewentualnych świadków.

Rzecz w tym, że Deborę już zmęczył strach. „Jeśli nie ma nastąpić później, nadejdzie teraz”, zabrzmiały jej w głowie słowa Hamleta, „a jeśli nie nastąpi teraz, nadejdzie przecież; gotowość jest wszystkim”*. Nie była pewna, czy jest gotowa na śmierć, ale - do cholery - w żadnym razie nie zamierzała błagać o życie.

- Rzeczywiście, nie jestem sprzątaczką.

Debora nie widziała twarzy Tonyi, jednak dałaby głowę, że pojawił się na niej cień uśmiechu.

- I co teraz?

- Jeżeli o mnie chodzi, przybyłam tu, by dokopać się do prawdy. Kto jak kto, ale ty powinnaś to zrozumieć - czyż nie, pani archeolog?

Ostatnie słowa wypowiedziała tak, jakby były zniewagą.

- Prawdy? Prawdy o czym?

- O tym sekretnym łupie za półkami.

Debora zacisnęła wargi. Nie miała ochoty znów do tego wracać.

- Pomijając pozbawienie mnie życia, czy jest jeszcze jakiś inny powód, dla którego miałabym z tobą o tym rozmawiać? - spytała w końcu.

- Samo pozbawienie życia nie wystarczy? - Tonya nie zdołała ukryć zaskoczenia.

- Nie dalej jak wczoraj ktoś już do mnie strzelał - oznajmiła Debora, wykrzywiając usta, jakby wzmianka o pełnym grozy incydencie co najmniej ją nużyła. - Może jednak wyjdziemy na zewnątrz? Nie mogę z tobą sensownie rozmawiać w tych ciemnościach.

Tonya zwróciła się w stronę wejścia, gdzie już się gromadzili turyści, którym przewodnik serwował garść efektywnych półprawd.

- Dobrze. Ale trzymaj się blisko mnie, póki nie dojdziemy do samochodu.

- Wynajęłaś samochód? Jakże rozsądnie - zauważyła Debora. - Ja się zdałam na taksówki i autobusy. A do tego udało ci się przesznułować broń przez granicę. To też musiało wymagać sporo sprytu.

- Zamknij się i chodźmy - warknęła Tonya.

Debora wzruszyła ramionami i powoli skierowała się ku prostokątowi jasnego światła.

* Przekład Macieja Słomczyńskiego.

Nie czuła w sobie tej swobody i nonszalancji, jaką okazywała na zewnątrz. Nie opuściły jej jeszcze wcześniejsze przygnębienie i apatia, które uwolniły ją od strachu, za to pobudziły chłodną, poznawczą ciekawość: jak się dalej potoczą sprawy, a przede wszystkim - co tak naprawdę łączyło Tonyę z tą całą niezwykłą historią. I to wszystko.

Wyszła na palące słońce, przeciskając się przez tłumek turystów, którzy właśnie wchodzili do środka. Tonya przyspieszyła kroku, żeby zrównać się z Deborą, a potem machnęła w jej stronę małą torebką, kryjąc w niej prawą rękę, by przypomnieć, że wciąż trzyma palec na spuście pistoletu. Deborą uśmiechnęła się niedbale, sprawiając, że po raz kolejny determinacja Tonyi uległa zachwianiu.

Mam to w nosie, odezwał się cichy głos w jej głowie. Chcesz mnie zastrzelić? Bardzo proszę, ulżyj sobie.

Bez słowa doszły do parkingu i Tonya podprowadziła Deborę do małego, czerwonego renaulta, nakazując, by zajęła siedzenie pasażera. Deborą wypełniła instrukcję, coraz bardziej przekonana, że tamta improwizuje - nigdy wcześniej nie robiła niczego podobnego i sama nie miała pojęcia, jak powinno wyglądać każde kolejne posunięcie. Ale furia nadal płonęła w oczach czarnoskórej kobiety i Deborą zdawała sobie sprawę, że nieustannie znajduje się w niebezpieczeństwie.

W samochodzie panował piekielny upał i unosił się niemiły zapach rozgrzanego plastiku. Tonya włączyła silnik, po czym pootwierała wszystkie okna.

- Nie ma klimatyzacji - powiedziała niemal przeproszającym tonem.

- Trudno. - Deborą wzruszyła ramionami. Jeżeli to uprowadzenie, o dziwniejszym nie słyszała w życiu.

- Pojedziemy do miasteczka - zdecydowała Tonya. - I tam porozmawiamy.

- W porządku. A czy przy okazji będziemy się mogli czegoś napić? Umieram z pragnienia.

Tonya spojrzała na nią z ukosa i przez chwilę Deborą była pewna, że w odpowiedzi usłyszy: „To ja zadaję tutaj pytania!” lub równie absurdalną odzywkę, ale tamta jedynie skinęła głową i zwróciła wzrok na drogę.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś kolekcję Richarda? - zapytała Deborą.

- W noc jego śmierci, gdy ukrywałaś się w łazience czy też jakimś innym durnym miejscu.

- Ale wiedziałaś, że kolekcja znajduje się za półkami. - Deborą przypomniała sobie widok tenisówek Tonyi na dywanie.

- Wiedziałam, że coś tam jest, i byłam przekonana, że o to coś właśnie mi chodzi.

- Jak mam to rozumieć?

- Że nie miałam pojęcia, czego właściwie szukam - burknęła Tonya.

Debora zbyła te słowa milczeniem.

Wkrótce pozostawiły cytadelę za plecami, a teraz mijaly restauracje i sklepy z pamiątkami stojące przy drodze do mykeńskich ruin. Przejechały obok nich dość szybkim równym tempem, a na skrzyżowaniu, przy którym znajdował się przystanek autobusowy, skręciły w lewo, ku centrum miasteczka, i zatrzymały przy najskromniej wyglądającej kafejce.

- Wsiadaj - zarządziła Tonya.

Debora po raz kolejny wypełniła polecenie, a potem na znak Tonyi usiadła przy jednym z zaledwie trzech stolików wystawionych na zewnątrz. Miasteczko sprawiało wrażenie wyludnionego. Debora rozejrzała się wokół i zobaczyła tylko jeden sklep nastawiony na turystów, z szeroką witryną, na której wypisano: „Najwspanialsze repliki antyków w całej Grecji!”. Klientów zapewne przywozili tu przewodnicy wycieczek, otrzymujący procent od sprzedaży. Bo trudno uwierzyć, by wielu indywidualnych turystów zapuszczało się do tego miejsca.

Przez dłuższą chwilę dwie kobiety mierzyły się wzrokiem w milczeniu. W końcu na szczęście pojawił się kelner i Debora zamówiła wodę oraz *ouzo*, którym potem kręciła w szklaneczce z lodem, aż nabrało mlecznej barwy.

- Co to jest, u diabła? - zainteresowała się czarnoskóra kobieta.

Debora pchnęła szklanekę w jej stronę. Tonya, wyjąwszy już dłoń z torebki, popatrzyła podejrzliwie na płyn, po czym powąchała i pociągnęła drobny łyk.

- Lukrecja, piołun i anyżek? To absynt - zauważyła zdumiona.

- Bardziej drapie w gardło - zdecydowała Debora.

- Czy tak samo jak absynt przyprawia o obłąd? - Tonya nie oddawała pola. - Przyprawia o ślepotę?

- Nie sądzę.

- Wypij więc za Nowy Orlean - powiedziała Tonya z nostalgiczną zadzierzystością.

- Jesteś z Luizjany?

Tonya skinęła głową, nawet nie próbując ukryć dumy.

Debora tymczasem uniosła szklaneczkę w toaście. Nowy Orlean? To wyjaśniało, czemu Tonya artykułowała głoski w tak nietypowy dla południowców sposób. Nowoorleańczyków często mylono w Georgii z nowo-

jorczykami. Niewątpliwie miało to wiele wspólnego z faktem, że Nowy Orlean był miastem portowym.

Portowym...

Marcus ustalił, że opóźniony amerykański kontenerowiec cumował w Nowym Orleanie. Czysty przypadek?

- A więc, co to takiego? - spytała Tonya.

- O czym mówisz?

- O tym, co zginęło z kolekcji.

- Naprawdę nie wiesz? - spytała Debora.

- Chcę to usłyszeć od ciebie. - Głos tamtej ponownie złodowaciał.

- Zależy, komu wierzyć - odparła Debora. - Richard i ów Brytyjczyk imieniem Marcus byli przekonani, że to szczątki Agamemnona.

Tonya nie zareagowała, ale ewidentnie nie dlatego, że mityczne imię nic jej nie mówiło.

- W skrzyni, która zniknęła, znajdowała się pośmiertna maska - podjęła Debora - oraz zapewne inne elementy wyposażenia grobowego. Broń. Bizuteria. Być może ceramika. Ale najważniejsza jest owa maska, no i oczywiście ewentualne szczątki.

- Te przedmioty mają dużą wartość?

Debora pociągnęła łyk *ouzo*.

- Jeżeli to autentyki, są bezcenne.

- Trafiły do ciebie?

- Nigdy nie widziałam ich na oczy - odparła Debora. Tonya postąpiła jej złowrogie spojrzenie i Debora odstawiła szklaneczkę z takim impetem, że aż huknęła szkłem o stolik. - Posłuchaj, ostatnie kilka dni dało mi nieźle w kość. Richard... był moim przyjacielem. Jeżeli musisz wiedzieć, traktowałam go niemal jak ojca. Przyjechałam tu, bo w Atlancie nie czułam się bezpieczna, poza tym pomyślałam, że może mi się uda... bo ja wiem?... jakoś pomóc w śledztwie. Wczoraj ktoś próbował mnie zabić. Ja nie żartuję. I nie była to jakaś przypadkowa akcja, próba wepchnięcia mnie pod autobus na zatłoczonym przystanku, tylko autentyczne polowanie trwające parę godzin.

- Kto na ciebie polował? - Na twarzy Tonyi pojawił się wyraz niekłamane go zainteresowania pomieszanego ze zdumieniem.

- Nie mam zielonego pojęcia, ale powiem ci jedno: już mi obrzydły niemiłe niespodzianki. To, czego szukasz, nie znajduje się u mnie. I nie wiem, gdzie się może podziewać. Najwyraźniej nie jestem w stanie wytłumaczyć ani pojąć wielu rzeczy, więc, o ile nie wpakujesz mi w głowę kulki z tej swojej śmiesznej pukawki, zamierzam z samego rana wsiąść w autobus do Aten, po czym złapać najbliższy samolot do Atlanty.

Tonya wpatrywała się w jej twarz przez dłuższą chwilę, jakby szukała oznak fałszu. W końcu westchnęła głęboko i opadła na oparcie krzesła.

- Policja będzie tam na ciebie czekać.
- Wiem. Ale czas stawić czoło burzy. Ostatecznie wszystko, o co mnie będą mogli oskarżyć, to głupota i ostry atak paranoi.

- Powiedziałaś, że Cerniga nie pracuje w policji. Jesteś tego pewna?

Debora powtórzyła podsłuchaną rozmowę i Tonya jeszcze mocniej marszczyła brwi.

- Wierzę Keene'owi - podjęła Debora. - Nie lubię go, ale mam do niego zaufanie. Zapewne będzie chciał mnie oskarżyć o wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy, ale jakoś sobie z nim poradzę. A jeżeli wyczuję, że coś jest nie w porządku, wyjadę do sąsiedniego hrabstwa i oddam się w ręce najbliższego policjanta. Zdaje się, że tak właśnie powinnam była postąpić od samego początku.

Zbyła wzruszeniem ramion własny błąd w ocenie sytuacji, Tonya zaś kiwnęła głową z aprobatą, a nawet cieniem sympatii. Nastrój przy stoliku zmienił się zasadniczo i obie kobiety zaczęły się odprężyć. Torebka z pistoletem w środku leżała cały czas u boku Tonyi, ta jednak nie sięgała już ku niej ręką.

- No dobrze - odezwała się w końcu Debora. - A więc przyjechałaś tutaj, żeby odnaleźć coś, czego nigdy nie widziałaś, a co - według twojego mniemania - znalazło się w moich rękach. Zamierzałaś mnie zmusić, bym ci to oddała, i co potem? Chciałaś to sprzedać?

- Skąd! - Tonya pokręciła głową z taką miną, jakby ów pomysł wzbudził w niej odrazę. - Nigdy się nie interesowałam materialną wartością te-go przedmiotu, jedynie rolę, jaką odegrał w życiu mojej ro-
ro- Miał związek z twoim ojcem?

- Właśnie.

- Nadal nic z tego nie pojmuję - przyznała Debora.

Tonya się uśmiechnęła, tym razem melancholijnie, po czym przywołała kelnera przyczajonego w cienistym wnętrzu kafejki.

- Proszę nam jeszcze podać to lukrecjowe cholerstwo - zarządziła, unosząc szklaneczkę Debory. Gdy kelner się oddalił, zwróciła się ponownie w stronę swojej rozmówczynie, posłała jej jeszcze jedno taksujące spojrzenie, po czym wzruszyła ramionami, jakby godząc się z nieuchronną

koniecznością. - Okay. Oto, co mi się udało ustalić.

43.

Tonya pociągnęła łyk *ouzo*, a następnie obejrzała szklaneczkę ze wszystkich stron, jakby się nie mogła zdecydować, co sądzić o zawartym w niej trunku. Debora zastanawiała się tymczasem, czy tamta przypadkiem nie zamierzała zrezygnować z wynurzeń.

- Okay. - W końcu Murzynka pochyliła się do przodu, kładąc dłonie płasko na stoliku, zgodnie z manierą biznesowych negocjatorów. - Mój ojciec zginął podczas drugiej wojny światowej. Służył w batalionie czołgów jako dowódca plutonu shermanów - czołgów, które pancerniacy nazywali „Łatwymi Ósemkami”, bo bardzo gładko się je prowadziło.

- Twój ojciec był dowódcą jednostki pancерnej? - Debora nawet nie próbowała ukryć zdumienia. Nie miała pojęcia, że czarnoskórym żołnierzom powierzano tak odpowiedzialne funkcje.

- Owszem - odparła Tonya z niekłamana dumą. - W tym batalionie służyli sami czarni. Batalion należał do armii Pattona i został przetrzucony z Anglii do Normandii w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Walczył w bitwie o Ardeny, a potem na południu Niemiec. Wyzwalał nawet jakieś obozy zagłady.

Debora zaniemówiła.

Obozy zagłady...

Jej przodkowie przenieśli się z Niemiec do Stanów w latach dwudziestych, w krótkim okresie stabilizacji, jaki nastąpił pomiędzy czasami spłaty dotkliwych reparacji nałożonych w wyniku traktatu wersalskiego kończącego pierwszą wojnę a Wielką Depresją, która doprowadziła do upadku Republiki Weimarskiej i wysforowania się tak zwanych narodowych socjalistów na czoło niemieckiego życia politycznego. Jej dziadek był młodym kawalerem i marzył o życiowym sukcesie, którego w końcu zaczął poszukiwać w Stanach - ponoć niechętnie, nie miał bowiem pojęcia, do czego

pod wodzą Hitlera doprowadzą narodowi socjaliści, wkrótce lepiej znani światu jako naziści. Jej babka przybyła do Bostonu trzy lata później z Polski. W owym czasie już można było dostrzec pierwsze groźne zapowiedzi mrocznej przyszłości, wielu Żydów jednak zdecydowało się pozostać w Europie. Debora miała krewnych i w Niemczech, i w Polsce - krewnych, którzy doświadczyli najgorszych skutków nazistowskiej „filozofii”. Wielu członków dalszej rodziny nie dożyło końca wojny, ale dla Debory pozostali jedynie młodymi, pełnymi nadziei twarzami na bardzo wiekowych fotografiach, a teraz -jak pomyślała ze wstydem - nie umiałaby im nawet przypisać imion. Jej rodzice byli ludźmi sukcesu z bardzo nietypowym dla Żydów brakiem zainteresowania przeszłością.

„Niech umarli grzebią umarłych” - zwykł mawiać ojciec. „Tradycję budują ludzie zorientowani na przyszłość. Zbyt wiele osób za swoje niepowodzenia obwinia wydarzenia z przeszłości. Trzeba się z tego otrząsnąć. Trzeba iść naprzód”.

Rodzice Debory nigdy nie mówili o rodzinie, która pozostała w Europie, i chociaż ojciec kiwał z powagą głową, gdy w telewizji pojawiały się wzmianki o holokauście, nigdy nie dyskutował na ten temat - sam nawet nie wymawiał słowa „holokaust”.

Debora zawsze uważała, że to pragmatyczne i zdrowe podejście, pomimo że sama wybrała dość szczególny zawód. Archeologia ostatecznie zajmowała się odkrywaniem często już zapomnianej przeszłości, badaniem historii minionych pokoleń, odkrywaniem, kim byli dawno zmarli ludzie. Niewiele miała wspólnego z teraźniejszością czy przyszłością. Może więc Debora zajęła się tą dziedziną w odruchu rekompensaty za wzrastanie w rodzinie oderwanej od korzeni i przeszłości.

Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. Wzmianka o obozach zagłady wzbudziła w niej niezrozumiały niepokój, jakby podstawy jej dotychczasowego życia uległy nieoczekiwanemu przesunięciu. Spojrzała na Tonyę i wówczas zauważyła, że czarnoskóra kobieta uważnie się jej przygląda.

- Przepraszam - mruknęła. - Opowiadaj dalej.

- Ojciec zginął pod koniec pierwszego tygodnia maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. - Tonya uśmiechnęła się ponuro. - Wojna już się praktycznie zakończyła, ale gdzieś wcióż jeszcze dochodziło do zbrojnych potyczek. Tak to właśnie sprawy się mają ze wszystkimi wojnami, czyż nie?

Zamilkła na chwilę, a wówczas Debora oderwała myśli od własnych spraw i ujrzała ją w całkiem nowym świetle. Nigdy nie przypuszczała, że Tonya ma tyle lat, by mogła być córką żołnierza drugiej wojny światowej.

Kiedy jednak się przyjrzała uważniej czarnoskórej kobiecie, dostrzegła, że jej włosy miały dużo jaśniejszy odcień u nasady, a więc zapewne były farbowane. Wyraz jej oczu także sugerował zaawansowany wiek i Deborę nagle ogarnęło zdumienie - a jednocześnie zawstydzenie - że nie dojrzała tego wcześniej.

- Nigdy go nie poznałam - ciągnęła tymczasem tamta. - Mama była w ciąży, gdy ojciec dostał powołanie i został wysłany na obóz szkoleniowy. Ja się urodziłam, kiedy przebywał w Anglii, czekając na przerzut. Dorastałam w przekonaniu, że zginął w ostatnich dniach wojny podczas walk w południowych Niemczech. Nie istniały zresztą żadne powody, by kwestionować tę oficjalną wersję... W każdym razie po latach skończyłam studia i zaczęłam pracę jako reporterka, a potem publicystka w Luizjanie, osiem lat temu zaś związałam się z „Atlanta Journal-Constitution”. Przeniósłam się do Georgii i coraz częściej przychodziło mi do głowy, żeby opisać wojenną historię ojca. Zaczęłam myszkować w wojskowych archiwach i poszukiwać żyjących weteranów z tej samej jednostki. W końcu natrafiłam na człowieka nazwiskiem Thomas Morris. W dokumentach przeczytałam, że służył z ojcem w jednym plutonie, ale dopiero kiedy się z nim skontaktowałam, odkryłam, że był kierowcą czołgu, którym dowodził mój tata.

Do owej chwili byłam pewna, że jeżeli dowódca czołgu zginął w akcji, to oznaczało, że jego pojazd uległ całkowitemu zniszczeniu, zdumiało mnie więc, że któryś z członków załogi pozostał przy życiu. Okazało się, że nie miałam pojęcia o pancernych potyczkach. Morris wyjaśnił mi, że kiedy czołg zostaje trafiony, pocisk może po prostu przelecieć przez niego na wylot lub też objąć się w środku, zabijając jednych, raniąc drugich, a innym nie czyniąc najmniejszej krzywdy. Sprawa, oczywiście, wygląda zupełnie inaczej, gdy czołg się zaczyna palić, co notabene shermanom przytrafiało się wyjątkowo często. W każdym razie... - Tonya uniosła swoją szklaneczkę, ale nie tknęła trunku - ...zadzwoiłam do owego Morrisa i zdołałam go namówić na spotkanie. Od początku jednak wyraźnie czułam, że coś jest nie w porządku. Był niby serdeczny i w ogóle, ale jednocześnie... czujny i ostrożny, jakby się pilnował, żeby nie powiedzieć o kilka słów za dużo. Opowiadał wiele historyjek o ojcu, o tym jak się poznali, jaki miał charakter, jak ojciec celebrował listy do mamy... niewątpliwie obaj bardzo się lubili, wręcz byli przyjaciółmi. Kiedy jednak zabrałam się do wypytywania o dzień, w którym zginął mój ojciec, Morrisowi nagle zaczęła szwankować pamięć. Nie mógł sobie przypomnieć niczego ponad to, co oficjalnie przekazało nam dowództwo armii. Znajdowali się na pół-

noc od Monachium, ich pluton został oddzielony od reszty batalionu, i wówczas nadziali się na niemiecką jednostkę usiłującą zbiec do Szwajcarii. Związali wroga walką i odnieśli zwycięstwo, ale niestety mój ojciec zginął podczas wymiany ognia.

Przyjęłam jego wyjaśnienia, nadal jednak zajmowałam się tą sprawą. Dostałam do wniosku, że może z tego wyjść niezły reportaż dla „AJC” lub nawet jakaś książka. W ciągu paru lat udało mi się zdobyć mnóstwo informacji, ale nie znalazłam nic na temat okoliczności śmierci ojca. Z czasem pogodziłam się z myślą, że Morris rzeczywiście zapomniał, co się wówczas stało, że podświadomie wyparł z pamięci bolesne, traumatyczne wydarzenia. No a potem Kareem Abdul-Jabbar* napisał książkę na temat tamtego batalionu i wówczas porzuciłam własne projekty wydawnicze. Nic nowego nie mogłabym dodać do publikacji Jabbara, więc się skoncentrowałam na pracy dziennikarskiej.

- W jakim dziale pracujesz? - zainteresowała się Debora.

- Recenzje kulinarne - odparła Tonya z tęsknym uśmiechem. - Ale chciałaś chyba powiedzieć „pracowałam”. Czas przeszedł. Porzuciłam bowiem dziennikarstwo, żeby się zatrudnić jako sprzątaczką w muzeum Druid Hills.

- Dlaczego?

- Właśnie do tego zmierzam - zapewniła Tonya. - No więc trzy miesiące temu odebrałam całkiem nieoczekiwany telefon. Dzwonił Thomas Morris, kierowca mojego ojca. Powiedział, że nie zostało mu wiele życia, i że koniecznie musi się ze mną spotkać. Niezwłocznie więc do niego pojechałam – i rzeczywiście, był w kiepskim stanie. Miał dobrze po osiemdziesiątce i cierpiał na raka płuc. Stwierdził, że musi zrzucić pewien ciężar z piersi, i bynajmniej nie miał na myśli sześćdziesięciu lat nałogowego palenia. Wyjawił, że ojciec nie zginął w czasie potyczki z Niemcami. Rzeczywiście, natknęli się na niemiecki konwój, tak jak głosił oficjalny raport, ale ów konwój był niezwykle - „nieadekwatny sprzęt do rodzaju misji” - tak się wyraził Morris. Nie bardzo wiem, co dokładnie miał na myśli, jednak o ile się zdołałam zorientować, cenne - z bojowego punktu widzenia - opancerzone, dobrze uzbrojone pojazdy miały za zadanie chronić jedną zdezelowaną ciężarówkę.. No i Niemcy polegli w jej obronie co do

Pluton ojca także poniósł ciężkie straty, ale zniszczyli niemieckie czołgi i przechwycili ciężarówkę w nienaruszonym stanie. Mój ojciec pierwszy

* W Polsce znany przede wszystkim jako jeden z najlepszych koszykarzy w historii NBA.

zajrzał do środka, chociaż Morris i kilku innych otwierało budę. W środku znajdowała się tylko jedna skrzynia, oznakowana numerem transportowym. Połączyli się przez radio z Kwaterą Główną i zdali raport z sytuacji, a potem zajęli się opatrywaniem rannych i oplakiwaniem zabitych. Na jakiś czas zapomnieli o zawartości ciężarówki. Minęło parę godzin i w końcu mój ojciec się zainteresował, czemu hitlerowcy z takim poświęceniem bronili tej skrzyni, więc postanowił zajrzeć do jej wnętrza. Niektórzy utrzymywali, że powinien był poczekać na żandarmerię. On jednak doszedł do wniosku, że skoro stracił ludzi z powodu zawartości drewnianego pudła, to ma prawo wiedzieć, za co oddali życie.

Otworzył skrzynię, odbijając pokrywę siekierą; Morris, który stał z tyłu, nie zobaczył nic poza dużą, rzeźbioną figurą zielonkawego koloru, przedstawiającą na wpół kobietę, na wpół...

- Węża lub smoka - weszła jej w słowo Debora.

- Uhm. Przypuszczałam, że będziesz o tym wiedzieć. Dwa dni przed telefonem do mnie Morris zobaczył tę samą figurę w gazecie, w której pracowałam, na zdjęciu ilustrującym artykuł o waszym muzeum.

- Więc postanowiłaś zatrudnić się u nas, żeby sprawdzić, co jeszcze zobaczył twój ojciec.

- Owszem. Ale nie tylko z tego powodu. Cokolwiek znajdowało się w tej skrzyni, doprowadziło do jego śmierci. Kiedy przybyła żandarmeria, ojciec i jego żołnierze otrzymali rozkaz powrotu do swoich pojazdów. Całością akcji dowodził młody biały podoficer. Naturalnie, aby dobrze zrozumieć sytuację, trzeba sobie przypomnieć, jak w owych czasach wyglądały stosunki pomiędzy białymi i czarnymi w armii. Biali żołnierze nie mogli się pogodzić z częściowym zrównaniem z nimi czarnych, chociaż naturalnie o prawdziwej równości nie mogło być mowy. W czasie okresu szkoleniowego w Stanach ponoć przynajmniej jeden czarnoskóry ginął co weekend w czasie przepustki zamordowany przez białych mieszkańców miejscowości leżących obok baz. Żandarmeria wzywana na miejsce przestępstwa stanowiła odrębny problem. Jeżeli nawet jej funkcjonariusze sami się nie dopuszczali zbrodni na czarnych - co niekiedy także się zdarzało - to nie robili nic, by wykryć sprawców rasistowskich mordów - czy dopuszczali się ich cywile, czy też wojskowi.

Wielu czarnych wcielonych do armii nie wierzyło, że kiedykolwiek zostaną dopuszczeni do działań bojowych, ale po lądowaniu w Normandii straty w załogach czołgów były tak ogromne, że do ich uzupełnień wykorzystywano wszystkie rezerwy. Biali dowódcy wciąż jednak uważali, że czarni to tchórze, że są niezdolni do walki... - w głosie Tonyi pojawiła się

gorycz - ...mimo że batalion ojca był wysławiany za męstwo i determinację przez białych żołnierzy walczących razem z tą pancerną jednostką. Chociaż czarni chłopcy umierali za swoją ojczyznę, ta ojczyzna wciąż nie chciała uznać ich zasług.

Tonya opadła na oparcie krzesła i dla uspokojenia wzięła głęboki oddech.

- W każdym razie, kiedy z pola walki zabrano poległych i rannych, na straży ciężarówki i tej skrzyni pozostał wspomniany biały podoficer żandarmarii. Morris nigdy nie poznał jego nazwiska, ale powiedział mi, że był to jeden z tych typowych południowców, którzy nie owijali w bawełnę, co sądzą o „czarnuchach”, i mówili im prosto w oczy, że tacy jak oni rozkradną wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Kiedy dopytywali, co się właściwie znajduje w drewnianej skrzyni, żandarm odbezpieczył broń i zapowiedział, że wpakuje kulkę w brzuch każdemu, kto się do niej

Wycofali się więc do swoich wozów, mój ojciec jednak po jakimś czasie ruszył w stronę ciężarówki. Chwilę później Morris usłyszał strzał, a po nim dwa kolejne. Po paru minutach żandarm podszedł do nich i oznajmił, że jeden z Niemców jeszcze żył, i że to właśnie on zastrzelił dowódcę oddziału czołgów.

Wszyscy wiedzieli, że południowiec kłamie, ale zdawali sobie też sprawę, że jeżeli zaczną protestować, zostaną aresztowani albo wręcz podzielą los mojego ojca. Celowniczy mojego ojca został mianowany nowym dowódcą czołgu, a na jego miejsce przydzielono młodego rekruta.

Morris był ostatnim żyjącym członkiem załogi. Celowniczy, który został dowódcą, zginął na minie trzy dni po incydencie z konwojem, reszta zaś powymierała w miarę upływu czasu. Morris przegrał walkę z rakiem cztery tygodnie temu.

Debora milczała, czując, że to jeszcze nie koniec opowieści.

- Powiedział mi jednak... - Tonya pochyliła się konfidencko w stronę Debory - ...że ojciec zobaczył w tej skrzyni „coś cholernie niesamowitego”, ale nie chciał powiedzieć nic więcej, póki jeszcze raz się temu nie przyjrzy. Morris nie miał też najmniejszych wątpliwości, że ojciec nie zginął jedynie z powodu rasistowskich uprzedzeń żandarma, tylko tego, co próbowali wywieźć do Szwajcarii Niemcy. Zrezygnowałam więc z pracy i zatrudniłam się w muzeum, żeby wreszcie odkryć, z jakiego powodu straciłam ojca. Dlatego też teraz siedzę tutaj z tobą.

Debora pokiwała z wolną głową.

- Pamiętaj, że tej nocy, kiedy zginął Richard, pewien bezdomny został zabity niedaleko muzeum?

- Uhm. Ale policja twierdzi, że te zabójstwa nie są ze sobą powiązane.
- Może nie - odparła Debora. - Niemniej jest w tej całej sprawie coś zastanawiającego. Rozmawiałam z córką tego człowieka. Był Rosjaninem i - uważaj - pracownikiem KGB, a właściwie organizacji, którą później przekształcono w KGB.

- Czego on szukał w Atlancie?

- Nie jestem pewna. Ale podejrzewam, że tej samej skrzyni, którą twój ojciec znalazł w niemieckiej ciężarówce pod koniec wojny.

Tonya rozwarła oczy ze zdumienia, po czym niemal równie dramatycznie je zmrużyła.

- Rosjanin miał przy sobie list - ciągnęła Debora - zbyt uszkodzony, żeby poznać całą jego treść. Udało się z niego jednak odczytać wzmiankę o jakichś „szczątkach”, które wedle piszącego nigdy nie dotarły do miejsca przeznaczenia - miasta w Niemczech o nazwie Magdeburg. Jeszcze te go nie sprawdziłam, ale wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że to miasto leży przy szwajcarskiej granicy. Czymkolwiek były owe „szczątki” - a mogło chodzić o szczątki ludzkie, a więc zwłoki Agamemnona - twój ojciec zapobiegł wyeksponowaniu ich z Niemiec. Tego jestem absolutnie pewna.

Rosjanie - podjęła po chwili - wywieźli z Berlina wiele starożytnych zabytków. I wciąż trzymają je u siebie. Rzecz w tym, że ten najbogatszy, najwspanialszy, najbardziej tajemniczy zbiór przemknął im koło nosa. Od tej pory minęło pięćdziesiąt lat, a oni wciąż na niego polują.

Nad stolikiem zapadła długa cisza. Gdzieś na ulicy rozległ się dźwięk klaksonu, ktoś wykrzyknął coś po grecku, ktoś inny wybuchnął śmiechem w odpowiedzi, a tymczasem dwie kobiety siedziały znieruchomiełe i oszłomione.

44.

Zamówiły lunch. Debora uzmysłowiła sobie, jak surrealistyczna w gruncie rzeczy była obecna sytuacja, biorąc pod uwagę relacje z Tonyą w Stanach, a przede wszystkim fakt, że jeszcze przed godziną Murzynka groziła jej pistoletem. Czemu więc wspólny lunch wydał jej się niespodziewanie czymś całkiem naturalnym? Pewnie dlatego, że pomiędzy nimi wytworzyło się milczące poczucie wspólnoty. Obie były Amerykankami i znalazły się w dalekim, obcym kraju - ale nie to miało największe znaczenie; istotniejszy był fakt, że należały do silnych duchem kobiet, które próbowały - na razie bezskutecznie - pojąć tajemny sens, kryjący się za ich osobistą stratą i tragedią.

Debora niczego nie kryła przed Tonyą. Opowiedziała jej o Richardzie, Marcusie, mejlach do Calvina (choć nie wspomniała o nieśmiały próbach flirtu, jeżeli to w ogóle można było nazwać flirtem) oraz o tajemniczym ostrzeżeniu, jakie otrzymała wkrótce przed zamachem na Akrokoryncie. Wyjawiała wszystko, co wiedziała, o szczątkach Agamemnona, o marnej reputacji Schliemanna jako archeologa, o MWD, a nawet o cholernym galionie, którego wystawienie pociągnęło za sobą lawinę dramatycznych wydarzeń.

- I ten facet, Marcus, nagle zniknął? - dopytywała Tonya.

- Na to wygląda - odparła Debora. - Nie udało mi się go złapać ani w Atenach, ani w Koryncie. Niewykluczone, że w ogóle wyjechał z Grecji.

- Myślisz, że to on próbował cię wczoraj zabić?

- Nie osobiście. Tego jestem pewna. A czy zlecił zamach... nie wiem. Jednak nie sądzę. Nie pojmuję, co mógłby na tym zyskać. Choć z drugiej strony nie wiem, co ktokolwiek mógłby zyskać na mojej śmierci, więc w gruncie rzeczy to niczego nie dowodzi.

Na dłuższy moment zapadła cisza, aż w końcu Tonya zadała pytanie, które wisiało w powietrzu od chwili, gdy zaczęły wymieniać informacje.

- I co teraz?

Debora bezradnie potrząsnęła głową.

- Zamierzam wrócić do domu - stwierdziła. - Nie mam tu już nic do roboty. A ty?

- Cóż, przyjechałam, żeby cię zastrzelić - powiedziała Tonya, a jej twarz rozświetlił uśmiech. - I prawdę mówiąc, ta myśl wciąż wydaje mi się kusząca. Ktokolwiek przejmie stery w muzeum, z pewnością nie będzie miał takiej obsesyjnej potrzeby kontrolowania wszystkiego jak ty.

- Dzięki. - Debora odwzajemniła uśmiech.

- Co byś powiedziała na drobne zakupy? - Tonya zerknęła na drugą stronę drogi, w stronę sklepu z replikami, a radosny uśmiech odmłodził ją natychmiast o dobre dziesięć lat. - Nic bardziej nie poprawia mi humoru niż wydawanie pieniędzy, no może poza modlitwą w kościele. Zaopatrzyłeś się już w odpowiednie suweniry?

- Nic nie kupiłam i nie zamierzałam kupić - mruknęła Debora. - Ale, co tam, czemu nie.

Zebrały swoje rzeczy i ruszyły w stronę witryny wypełnionej „najwspanialszymi replikami antyków w całej Grecji!”. Przed wejściem spojrzały na siebie z ledwo maskowanym smutkiem. Chociaż obie starały się robić dobrą minę do złej gry, zdawały sobie sprawę, że grzebanie w pamiątkach dla turystów to dość żalosne zwieńczenie ich prywatnych śledztw.

Kiedy się znalazły za drzwiami, obie stanęły jak wryte. Sklep był olbrzymi, wielkości hangaru, a każdy centymetr jego ścian pokrywały półki, gabloty i regały. Debora z niedowierzaniem wodziła wzrokiem po rozmaitej wielkości rzeźbach z marmuru i gipsu, miniaturowych kraterach, misach i amforach, replikach cykladzkich figurek, które w Muzeum Archeologicznym przywołały jej na myśl Moore'a i Picassa. Zauważyła również klasyczne wazy z czerwonymi i czarnymi figurami, przedstawiające sceny z mitologii; woźniców rydwanów odlanych z brązu na podobieństwo oryginałów z Delf; głowy byków i topory będące odtworzeniem kreteńskich pierwowzorów oraz inne rozliczne reprodukcje zabytków z okresu achajskiego, klasycznego oraz rzymskiego. Niektóre były tanie i tandetne, inne reprezentowały jakoś muzealnych replik. Tonya uniosła małego Priapa z brązu i uśmiechnęła się ironicznie.

- Ci Grecy mają o sobie wygórowane mniemanie - stwierdziła.

Debora już jednak nie słuchała Tonyi. Jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach, gdy chłonęła wzrokiem wystawione towary. W końcu ruszyła energicznie przed siebie, lekceważąc bolesne pulsowanie w kostce.

Całkowicie zignorowała tandetne wyroby, a także i te w średnich cenach, starannie wykonane z dobrych materiałów, idealne na pamiątki, które teoretycznie przysła tu kupić. Wpatrywała się jedynie w górne półki, gdzie ustawiono okazy, które mogłyby spokojnie stanowić część ekspozycji w Muzeum Archeologicznym, bo też gdyby nie cena, trudno by je odróżnić od oryginałów. I nie tylko pietyzm wykonania odróżniał je od pozostałych. Te artystyczne wytwory zdawały się bardzo wiekowe i wyglądały, jakby zaledwie niedawno wydobyto je z ziemi. Wazy, misy, nawet wyroby z brązu sprawiały wrażenie wykonanych przed tysiącami lat i - co więcej - niektóre z nich nie były jedynie replikami znanych zabytków, ale dziełami luźno zainspirowanymi ich stylistyką. Debora nie widziała niczego podobnego ani w sklepach w Atenach, ani w Koryncie. Prawdę powiedziawszy, jedynym miejscem, gdzie miała okazję ujrzeć podobne wyroby, był sekretny pokój za półkami w sypialni Richarda.

- Przepraszam... - Chwyciła gwałtownie ekspedientkę za rękę, zdumiewając dziewczynę swoją obcesowością. - Skąd pochodzą te towary?

- Z najprzeróżniejszych miejsc. Niektóre z zagranicy, nawet z innych kontynentów.

Debora widziała, że dziewczyna odpowiedziała machinalnie, bez zastanowienia.

- Nie, nie. Nie miałam na myśli większości wyrobów znajdujących się w tym sklepie, ale te najkosztowniejsze okazy.

Dziewczyna, prawdopodobnie wietrząc szansę na pokaźne komisowe, poświęciła teraz całą swoją uwagę Deborze.

- To miejscowe wyroby - odparła lekko przymilnym tonem. - Bardzo wyjątkowe, najwyższej jakości, wytwarzane przez jedną rodzinę od wielu pokoleń. Ich prace nie są jedynie replikami, to prawdziwe dzieła sztuki.

Debora z trudem zachowywała spokój.

- Byłabym zainteresowana kupnem podobnych rzeczy. - Machnęła ręką w stronę półki z brązami, których z pewnością nie mogłaby zabrać bez znacznego zwiększenia pojemności bagażu. - Ale przed dokonaniem transakcji zależałoby mi na osobistym kontakcie z artystą.

Tonya, która dołączyła do nich jakiś czas temu, przysłuchiwała się tej wymianie zdań z zainteresowaniem podszytym rozbawieniem.

- Przykro mi, proszę pani, ale ci artyści bardzo strzegą swojej prywatności - odparła dziewczyna. - Niekiedy przynoszą coś do naszego sklepu,

ale większość czasu spędzają w domu, gdzie posiadają własną... jak to się nazywa? Miejsce, w którym powstają przedmioty z metalu.

- Kuźnia? - podsunęła Tonya.
- Właśnie - zgodziła się ekspedientka. - Mają kuźnię.
- A dokładnie w którym miejscu? - nie poddawała się Debora.
- Przykro mi, nie mogę powiedzieć. To ich prywatny dom.
- Rozumiem, jednak...
- Przepraszam. Nie mogę.

- Proszę posłuchać... - umysł Debory znów pracował na przyspieszonych obrotach -...potrzebuję czegoś bardzo wyjątkowego, czegoś na zamówienie. Zjechałam całą Grecję i teraz już wiem, że chcę, by osoba, która wykonała te dzieła, zrobiła coś specjalnie dla mnie.

- Wszystkie prace są unikatowe - zapewniła dziewczyna.

- Tak, ale to, o co mi chodzi, musi zostać wykonane według szczegółowych wskazówek. Jeżeli umożliwi mi pani kontakt z artystą, zadbam, by dostała pani odpowiedni procent od ceny sprzedaży - z pewnością nie mniejszy, niż gdybym kupiła dzieło w tym sklepie.

Ekspedientka się zawahała, w końcu jednak pokręciła głową.

- Przykro mi. To niemożliwe.

- Wciąż ci zależy, żeby to było ze złota? - wtrąciła Tonya, zwracając się do Debory.

Dziewczyna wbiła w kobiety czujny wzrok, Debora tymczasem odzyskała zimną krew.

- O ile mogę wykonać ze złota coś tak dużego - odparła.

Ekspedientka zamrugnęła z wrażenia oczami.

- Może w takim razie zechcą panie pójść za mną.

45.

Niczym niewyróżniający się dom o pobielonych ścianach stał na drugim krańcu miasteczka. Trzy kobiety szły energicznym krokiem, niewiele się do siebie odzywając, jakby każda się obawiała, że jakimś niebacznie wypowiedzianym słowem zniweczy swoją wielką życiową szansę. Dziewczyna telefonicznie, przyciszonym tonem, uprzedziła rodzinę greckich artystów, że będą mieli gości, i kiedy podeszły do drzwi, w progu czekał bosy, mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, głaszcząc białego, wychudzonego kota.

Przez wąską, białoną sień i kuchnię pachnącą oregano chłopiec wprowadził je do pokoju, gdzie już czekał starszy mężczyzna wraz z żoną - oboje w ubraniach z ciemnej, grubej tkaniny. Ściany pokoju były zdumiewająco nagie - ich jedyną dekorację stanowiło kilka czarno-białych, oprawionych w ramki fotografii.

Dziewczyna ze sklepu odezwała się do małżeństwa po grecku, wskazując przy tym na Deborę. Mężczyzna - o długich, gęstych, szpakowatych wąsach - w odpowiedzi mruknął coś z beznamiętnym wyrazem twarzy. Potem powiedział parę słów do żony, która w milczeniu skinęła głową i przeniosła taksujący wzrok na Tonyę.

- A czego to właściwie szukacie? - zapytał wprost stary Grek.

Debora z trudem ukryła zdumienie - ani przez chwilę nie przypuszczała, że ten człowiek zna angielski.

- Cóż, w zasadzie...

Zerknęła na Tonyę, żeby zyskać nieco na czasie, po czym odparła odważnie:

- Grobowej maski. Podobnej do tych, jakie odkopano w Mykenach. A więc wypowiedziała te magiczne słowa. Tymczasem twarz mężczyzny pojaśniała. Szybko rzucił kilka słów żonie i ona też uśmiechnęła się ra-

dośnie, a potem zwróciła się po grecku do Amerykanek, składając przed sobą dłonie jak do oklasków. Stary mężczyzna zaś podniósł się z krzesła i chybliwym krokiem ruszył w stronę drzwi, dając znak ręką, by cudzoziemki podążyły za nim.

- A więc chcecie kupić taką maskę, jaką znalazł Herr Schliemann, he?

- Właśnie.

Poprzez kuchnię wyszli na podwórko, wokół którego stały duże szopy, niektóre z metalowymi kominami.

- Piec do gliny - wyjaśnił Grek, wskazując na jedną z nich. -

Kuźnia - dodał, wskazując na tę, ku której zmierzali. - Herr Schliemann spał w naszym miasteczku - poinformował obce kobiety z dumą w głosie. - Trzy domy stąd. I nie tylko Schliemann. Wielu znanych ludzi. Himmler i Goebbels też tam spali.

Debora zerknęła na mężczyznę spod oka, podejrzewając, że zażartował.

- Ci naziści? - spytała w końcu.

- Ano oni - odparł, wzruszając ramionami. - Mykeny były dla nich bardzo ważne. A Schliemann... jak to go nazywali?... a! „teutoński superman”.

Zaśmiał się chrapliwie, a Debora z Tonyą szybko wymieniły znaczące spojrzenia.

W końcu gospodarz pchnął ciężkie drzwi i przekreślił kontakt. Weszli do sporego pomieszczenia, gdzie na betonowej posadzce stało kilka palenisk oraz różnej wielkości kowadeł. Na ścianach wisiało mnóstwo narzędzi o długich uchwytych - poczerńiałych od ognia chwytaków, sinoniebieskich szczypiec i kleszczy oraz młotów i młotków tak wypolerowanych od wieloletniego użycia, że błyszczały niczym chrom. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęła się robocza ława, na której ustawiono woskowe statuetki w różnych stadiach wykończenia.

- Wszystko robimy wedle starożytnych technik - zapewnił mężczyzna. - Nawet odlewy z brązu. Z każdej woskowej matrycy robimy tylko jedną formę, a z niej tylko jeden posążek. Bardzo powolny proces, bardzo kosztowny. Nikt oprócz nas już tak nie pracuje.

- A co z maskami? - spytała Debora. - Umiałby pan je zrobić?

- Ano umiałbym.

- Robił już pan je kiedyś?

- Jedną czy dwie - odparł, wzruszając ramionami. - Wiele lat temu. I ot, takie małe.

Rozsunął ręce na odległość mniej więcej piętnastu centymetrów.

- Czy umiałby pan zrobić większą? Naturalnych rozmiarów?
- A pewnie, że bym umiał. - Ponowne wzruszenie ramion przywiodło na myśl Deborze dyrektora ateńskiego muzeum. - Ale złoto jest bardzo drogie. Trudno je znaleźć teraz w Grecji. Za dawnych czasów, za czasów Agamemnona, w złocie było wiele zanieczyszczeń. Cyna. Cynk.
- Czy mógłby pan zrobić maskę z takiej samej kompozycji metali?
Zmarszczył brwi w zamyśleniu.
- Prawie takiej samej - zdecydował. - Tyle że autentyczne maski nie są identyczne. Zostały prawdopodobnie wykute ze złota pochodzącego z różnych stron, nie ma więc jednego ustalonego... eee... składu. Którą miałbym dla was skopiować? Maskę Agamemnona?
- Nie. Chciałabym maskę podobną do tych z muzeum, ale nie taką samą. Czy mógłby pan wykonać moje zamówienie?
Skinął głową, a potem uniósł palec, jakby prosił je o chwilę cierpliwości, i wyszedł z kuźni. W czasie gdy go nie było, kobiety jedynie uśmiechały się do siebie, spoglądając na posąжки w różnej fazie wykonania. Po kilku minutach stary Grek powrócił, niosąc w ręku dwie czarno-białe fotografie w ramkach - zapewne te, które wcześniej wisiały na ścianach pokoju.
- Popatrzcie. - Mężczyzna wyciągnął w stronę kobiet pierwsze zdjęcie.
Serce Debory zabiło gwałtownie, a potem jakby nagle stanęło w miejscu. Monochromatyczna fotografia ukazywała mężczyznę pochylonego nad kowadłem, trzymającego w dłoniach dużą, pośmiertną maskę. Różniła się od tych z Muzeum Archeologicznego - była natomiast tą samą maską, którą Debora zobaczyła na ekranie komputera.
- Mój dziadek - powiedział mężczyzna z dumą. - A teraz patrzcie na to.
Podsunał Deborze drugie zdjęcie, na którym dwaj mężczyźni uśmiechali się do obiektywu. Jeden był ogorzały, jowialny, z wielkimi wąsiskami; drugi - również z wąsami, ale dużo szczuplejszy, w profesorskich druczanych okularach. Obaj mieli na sobie staromodne, ciemne surduty o śmiesznie wąskich klapach.
- To znów mój dziadek - pochwalił się starszy mężczyzna.
- A kim jest ten drugi? - zapytała Tonya.
- To... - odezwał się kowal, stukając palcem w fotografię niczym dyrygent pałeczką w partyturę -...to jest Herr Heinrich Schliemann.

46.

Debora rozpoznała Schliemanna, gdy tylko zerknęła na zdjęcie. Rozpoznała charakterystyczną dla niego postawę - na wpół ogarniętego obsesją akademika, na wpół pompatycznego showmana - i poczuła, jak zamiera w niej serce. Potrzebowały z Tonyą dziesięciu minut, żeby się wymówić od dłuższej wizyty w kuźni. Kupiły od starszego małżeństwa dwie prace i kilka innych ze sklepu na osłode, ale przez ten cały czas Debora nie mogła sformułować choćby jednej sensownej myśli. Czowała się, jakby w doniesienie o rodzinnej tragedii wdarł się niespodziewanie głos telemarketera, i nie była zdolna do racjonalnego czy uprzejmego zachowania. Teraz już tylko chciała jak najszybciej wyrwać się z tej kuźni, z tego miasteczka, z tego kraju. Dla niej wszystko się skończyło.

Owe zdjęcia mogły bowiem oznaczać tylko jedno. Maski i wszystkie towarzyszące jej eksponaty, za które Richard oddał życie, były dziewiętnastowiecznymi imitacjami mykeńskiej sztuki, wykonanymi przez utalentowanego greckiego rzemieślnika. Wprawdzie Richard i Marcus - a zapewne także wysłannicy rządu greckiego i rosyjskiego - dali się tak samo oszukać jak ona, ale to nie było teraz dla nich żadnym pocieszeniem. Wszystko, co w tej sprawie zrobiła - całe te badania i poszukiwania, narażanie życia, ryzykowanie utraty wolności i reputacji - opierało się na wielkim kłamstwie.

I nie miało już najmniejszego znaczenia, w jaki sposób maski i pozostałe przedmioty trafiły do Stanów. Nie miało znaczenia, czy w kasecie znajdowały się jakieś szczątki lub czy Sowieci gonili za tym zbiorem przez ostatnich pięćdziesiąt lat. Nie miało znaczenia, kto wszedł w posiadanie skradzionej kolekcji. Ostatecznie jej wartość nie przekraczała wartości starannie, artystycznie wykonanego suweniru dla turystów. I to z powodu

takich - z punktu archeologicznego - śmieci poniósł śmierć ojciec Tonyi, przez nie też został zamordowany Richard. To był jakiś straszny, gorzki dowcip w najgorszym możliwym guście - ironia losu nabierająca tragiczniejszej wymowy z każdym kolejnym zabójstwem. Debora, idąc ulicą w ostrych promieniach słońca, z trudem tłumiała mdłości.

Tonya nie musiała jej pytać, co czuła. Sądząc po łzach upokorzenia, jakie sama zaczęła ocierać jeszcze w kuźni, dla niej też wymowa tych z dumą prezentowanych fotografii była oczywista. Czy Schliemann wiedział o owej masce, miał coś wspólnego z jej wykonaniem? Chciał na niej zarobić, by mieć za co upiększać swoją ateńską rezydencję? Prawdopodobnie nie. Choć to już też nie miało teraz znaczenia. Ojciec Tonyi zginął nadaremno. Ona zapewne wołałaby nawet, żeby zginął z powodu czystego, prozaicznego rasizmu. Wówczas przynajmniej jej palący gniew mógłby nabrać szczególnej moralnej wymowy. W zaistniałej sytuacji jednak ojciec Tonyi okazał się bezwiedną ofiarą idiotycznej pomyłki. O tak, to wszystko było jednym beznadziejnym dowcipem.

Zostawiły ekspedientce adresy, na które miała przesłać zakupy, ochocho wyzbywając się swoich euro. Ta waluta już na nic im się nie przyda. Obie postanowiły wracać do domu. Kiedy szły ku czerwonemu renaultowi, Debora próbowała sobie przypomnieć, co właściwie kupiła, ale nie umiała wymienić ani jednego artykułu.

- Chcesz się zabrać ze mną do Aten? - spytała Tonya.

- Muszę wrócić do hotelu w Koryncie. Spakować rzeczy - odparła Debora. - Sprawdzić, czy nie próbował się ze mną skontaktować Marcus albo Calvin. Pojadę do Aten jutro pierwszym porannym autobusem.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Tonya skinęła głową. Wyjęła kluczyki z torebki, a potem - jakby pod wpływem impulsu, który od jakiegoś czasu próbowała zwalczyć - objęła Debore. Raz jeszcze obie spojrzały sobie w oczy, uśmiechając się smutno i z trudem tłumiąc łzy. Potem Tonya bez słowa wsiadła do samochodu i zaczęła się oddalać. Debora nawet nie pomachała jej na pożegnanie.

Ruszyła w stronę przystanku autobusowego. Za jej plecami odezwał się klakson samochodu, więc odskoczyła ku ścianie najbliższego domu, żeby auto mogło swobodnie przejechać. Klakson rozległ się ponownie. Zirytowana, Debora obejrzała się za siebie i ujrzała taksówkę. Kierowca najwyraźniej sądził, że przydałby się jej środek transportu.

Co innego robiłaby na tej drodze tykowata Amerykanka?

- Chce pani obejrzeć starą cytadelę?

W zasadzie nie miała ochoty na powrót do prastarych murów, ale jakiś cichy głos podpowiedział jej, że jeszcze na dobre nie pożegnała się z Richardem. Do tej pory zapewne już go pogrzebano. Ona pożegna go tutaj, w tej twierdzy, która tak bardzo go fascynowała.

Otworzyła więc drzwi czarnego samochodu i bez słowa wsiadła do środka.

Wszystko, co się wydarzyło w ostatnich dniach, wydało się nagle odległe i nieistotne, zepchnięte na daleki plan przez odkrycie, jakiego dokonała w miasteczku. Pozostał jej do odegrania jeszcze jeden, ostatni akt i będzie mogła wracać do domu.

Miała jeszcze bilet kupiony rano, weszła więc bez żadnych problemów. Cytadela była taka sama jak wcześniej, tyle że teraz wydawała się mniej-sza, mniej majestatyczna - jak piękny teatr oglądany po uprzedniej inspekcji zakurzonych, byle jakich kulis. Wspięła się, jak poprzednio, ku Lwiej Bramie, ujrzała ten sam krąg grobów szybowych, od których wszystko się zaczęło, a potem ruszyła ku akropolowi. Było już dość późno, większość turystów wróciła do hoteli lub - co bardziej prawdopodobne - do pobliskich kafejek i sklepików z pamiątkami. Niektórzy zapewne znajdowali się w drodze do Aten czy Delf, wciąż zafascynowani wielkością mitów i historii.

Z wysokości akropolu Debora powiodła wzrokiem po murach, okręgu szybów i tholosach, a następnie popatrzyła na domy kupców, wykładaną kamiennymi płytami drogę i dzikie, poszarpane wzgórza.

- Przybyłam tu dla ciebie, Richardzie - wyszeptła. - Przybyłam, bo chciałam pomóc. Na swój sposób żałuję, że to zrobiłam, ale nie mogłam się oprzeć impulsowi. - Pochyliła się i uniosła garść zwirowatej ziemi. - Żegnaj, Richardzie. Byłeś kiepskim historykiem i nie najlepszym kustoszem, ale dobrym, wspaniałym człowiekiem. Bardzo cię kochałam.

Szerokim łukiem rzuciła zaciskaną w dłoni ziemię w powietrze, a jej część opadła wprost w kamienną nieckę szybów.

Przez chwilę Debora stała jeszcze w milczeniu, a potem rozejrzała się dookoła. Słońce powoli chyliło się za wzgórze, ostatnie grupy z przewodnikami ruszały w stronę głównej bramy, by jeszcze przed zmrokiem zwiedzić Skarbiec Atreusza. Teraz w ruinach oprócz niej pozostał tylko jakiś chudy chłopak - osiemnasto-, może dwudziestoletni. Siedział na scho-

dach, którymi weszła na akropol, i wpatrywał się w nią zmrużonymi oczkami o twardym spojrzeniu. Kiedy zwróciła na niego wzrok, podniósł się z leniwą powolnością, a jego blade usta wykrzywił złośliwy uśmiešek. I wówczas Debora zauważyła, że chłopak tak naprawdę wcale nie siedział na kamiennym stopniu, tylko na jaskrawozielonym motocyklowym kasku.

47.

Zamarła w bezruchu. Chłopak był oddalony od niej o niecałe trzydzieści metrów, wyraźnie więc widziała, jak zaciągnął się papierosem, spoglądając na nią z zimnym rozbawieniem, i jak pstryknął palcami, odrzucając wciąż żarzący się niedopałek. Stała nieporuszona, gdy odwrócił głowę - hardy, pewny siebie, wciąż z tym samym sarkastycznym uśmiechem na twarzy, jakby cieszył go jakiś tylko jemu znany żart. Był chudy, żyłasty, nienaturalnie blady, jedynie na wygolonej czaszce ciemnym cieniem kładł się nieznaczny odrost. Miał małe, blisko osadzone oczy, wpatrujące się teraz w bliżej nieokreślony punkt przestrzeni. Ostentacyjnie ignorował obecność Debory, ale wyczuwał jej panikę i wyraźnie się nią upajał. Kiedy w końcu przeniósł na nią wzrok, zrobił to z wystudiowaną powolnością showmana, jak gdyby spragnione popisu tłumy już się nie mogły doczekać jego oczywistego triumfu.

Zjawił się tu, żeby cię zabić: tym razem własnymi rękami, patrząc ci prosto w oczy.

Debora szybko się rozejrzała wokół, głównie po to, by oderwać oczy od jego spojrzenia - paraliżującego niczym wzrok kobry. Akropol mykeński nie był specjalnie wysoko położony, gdyby jednak chciała skoczyć w dół, zapewne coś by sobie połamała, tocząc się pośród ruin czy odbijając od kolejnego kręgu murów, a prześladowca i tak dopadłby ją w kilka sekund. Cytadelę zbudowano z myślą o obronie przed najeźdźcami, więc jedyna droga do Bramy Lwów wiodła tymi samymi schodami, na których teraz w nonszalanckiej pozie stał chłopak. Debora mogła więc jedynie ruszyć w głąb twierdzy, łudząc się nadzieją, że w pewnym momencie uda jej się przechytrzyć zabójcę i przemknąć gdzieś obok niego.

Począł, aż ona ponownie skieruje na niego wzrok, i wówczas zaczął rozpinać koszulę. Deborę ogarnął niejasny lęk, który jeszcze wzrósł, gdy

zobaczyła, co chciał jej pokazać chłopak. Za pasek miał zatknięty nóż - nie taki, od którego zginął Richard, tego była pewna - ale duży, szeroki nóż myśliwski o grubo ząbkowanym ostrzu i morderczo ostrym czubku. Jednak ów nóż nie był aż tak złowieszczy jak pokrywające tors zabójcy tatuaże. Nawet z miejsca, w którym stała, widziała je dość wyraźnie: bogata w szczegóły maska pośmiertna rozciągająca się od sutka do sutka i od mostka do pępka, a na jej górze stylizowany ptak, najprawdopodobniej orzeł, o kanciastym, imperialnym rysunku. To zapewne rzymski orzeł legionowy, pomyślała Debora. Przez maskę biegły także greckie litery i chociaż prześladowca się nie spieszył, chcąc dobrze przestraszyć Debore, nie mogła ich odczytać z miejsca, w którym stała. Domyślała się jednak, w jakie słowo się układały.

Miała wrażenie, że minęła wieczność, zanim napastnik ponownie się poruszył, zresztą zrobił to w teatralnie żartobliwej manierze: udał, że rzuca się gwałtownie do przodu, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, a drugą ściskając skierowany ostrzem ku ziemi nóż. Debora odruchowo podskoczyła, a jej prześladowca wybuchnął głośnym śmiechem - wysokim, chłopięcym, przywodzącym na myśl figlarny chichot. Deborze ten dźwięk wydał się jeszcze bardziej przerażający niż nóż i tatuaże chłopaka. Nie zamierzała więc dalej czekać biernie na rozwój wypadków - odwróciła się i zaczęła biec przed siebie, przecinając megaron pałacu, rozpaczliwie próbując przywołać w pamięci szkic cytadeli, który widziała w przewodniku.

Nie ruszył za nią, w każdym razie nie od razu. Kiedy się obejrzała przez ramię, zobaczyła, jak podnosi z ziemi kask i powolnym krokiem idzie w jej stronę, wciąż uśmiechnięty, jakby cieszyła go perspektywa pościgu. Najwyraźniej był w swoim żywiole - można by odnieść wrażenie, że z lubością odgrywa jakąś scenę z kiepskiego filmu akcji albo z własnych fantazji. Może na przykład stał się w tej chwili Terminatorem - niezniszczalnym, nieugiętym, przepojonym beznamiętnym okrucieństwem.

Debora nie przystanęła ani na moment, kierując się na północ.

Mykeny, jak większość cytadel, miały na tyłach co najmniej jedną sekretną bramę, którą można było podczas oblężenia dostarczać pożywienie lub potajemnie wysyłać wojska do walki czy na zwiady. To wejście znajdowało się z dala od głównych wrót, a w porównaniu z monumentalnością Lwiej Bramy było jedynie wąskim przesmykiem w potężnym murze. Tego rana Debora dostrzegła z oddali Północną Bramę, ale nie bardzo wiedziała, jak ją zlokalizować, tym bardziej że w tej chwili nie widziała wyraźnie całego pasma murów. Przemknęła tyłami ruin królewskiego pałacu, cały czas pnąc się w górę, i obrzuciła szybkim spojrzeniem kamien-

ne ściany. Ciągnęły się one dużo dalej ku wschodowi, niż zapamiętała z porannej wizyty.

Północna Brama musi być gdzieś tam.

Jeszcze przyspieszyła kroku. Jeżeli uda jej się umknąć przez sekretne wrota, chłopak może ją dopaść na dole, wybiegając przez główne wejście, ale tam już będą inni ludzie - ostatni turyści, a także pracownicy ochrony obiektu. Ponownie zerknęła za siebie i zobaczyła zabójcę podążającego jej śladem z rozchylonymi ustami i pochyloną głową, na podobieństwo myśliwskiego psa.

Nie, nie psa, lecz hieny.

Po lewej stronie zostawiła dom z kolumnami i wbiegła na szeroką ścieżkę biegnącą po pozostałości murów. Skręciła w prawo i podążała ku krańcowi cytadeli. Wyciągała nogi, bo zabójca przyspieszył kroku, prawdopodobnie przejrząwszy jej zamiary. W kostce odzywało się ostre rwanie, ale Debora nie zwalniała. Usłyszała, że chłopak też już wydostał się na mury i bezlitośnie ją ścigał.

Poprzedniego dnia uznała, że wyglądał złowrogo w motocyklowym kasku, który - zasłaniając całkowicie twarz chłopaka - czynił zeń istotę odczłowieczoną, a więc niebezpieczną. Teraz jednak, kiedy ujrzała jego oczy, nie poczuła się pokrzepiona. Czaiły się w nich ślepa podłość, a także bezduszny sadyzm o wiele bardziej przerażający niż kask Robocopa. I do tego owe tatuaże...

Przedstawiła coś bardzo znajomego. Związane z maską, naturalnie, ale nie w sensie dosłownym. Bo przecież Debora doskonale wiedziała, jak wyglądały grobowe złote oblicza mykeńskie - w ostatnich dniach widziała różne ich warianty. Nic dziwnego więc, że wizerunek samej maski wydawał jej się swojski. Niemniej było w niej coś jeszcze...

Debora przebiegła kolejnych kilka kroków i w końcu dopuściła do siebie wątpliwości, które nękały ją już od pewnego czasu. Ten fragment murów był jej kompletnie nieznanym. Rano widziała Północną Bramę z pewnej odległości i znacznej wysokości, ale nie zapuściła się aż tak daleko w głąb ruin.

- Nie! - wymamrotała pod nosem. - Nie, Panie Boże, błagam, tylko nie to.

Ale z każdym przebytym metrem prawda stawała się coraz brutalniejsza. Błądnie oceniła odległości. Brama Północna była położona bardziej na zachód, niż jej się wydawało, a więc znajdowała się niedaleko jej prześladowcy. Debora mogła biec wzdłuż murów, lecz nie zbliżało jej to do wyjścia, oddalało natomiast od innych ludzi, którzy mogli się jeszcze krę-

cię w pobliżu Lwiej Bramy. Przebiegła następne pięć kroków i postanowiła się zatrzymać.

Rozejrzała się dookoła. Mur zakręcał lekkim łukiem i teraz jego kraniec znajdował się poza zasięgiem jej wzroku.

Równie dobrze mogę to zrobić w tej chwili, uznała.

Chwyciła za skraj muru i zaczęła się wdrapywać na parapet. Może to właśnie jej największa szansa. Jeżeli chłopak nie zauważy, że się tu wspięła, pewnie ją minie, a tymczasem ona zawróci, przebiegnie przez agorę i dopadnie do Lwiej Bramy. Desperacko zdierała skórę palców o ostre kamienie, aż wreszcie zahaczyła ramieniem o krawędź i wydzwignęła się na parapet. Spojrzała w dół i odetchnęła z ulgą. Jeszcze go tam nie było. A więc jej się udało.

Dopiero kiedy się wspięła nieco wyżej, zobaczyła, że on też stoi na parapecie. Był całkiem blisko i uważnie jej się przyglądał. Zrobił to samo co ona, tyle że nieco wcześniej, bo zapewne chciał zaatakować ją z góry. Tak czy owak, znajdował się teraz między Deborą a obiema bramami.

Nie miała już dokąd uciekać.

48.

Nie miała już dokąd uciekać - mogła więc tylko ukryć się pod ziemią. Na krańcu ruin cytadeli ujrzała kamienny, trójkątny portal zakończony ostrym szpicem podobnie jak pseudogotyckie okna synagogi Ohabei Shalom w Brooklynie, do której chodziła z okazji szabasu i innych uroczystości do trzynastego roku życia. Ten portal z grubo ciosanych gładkich głazów był wejściem do szybu wiodącego ku sekretnej cysternie i otchłani dzielącej jej cembrowinę od lustra wody. Debora długo się nie wahała.

I tak nie ma przed nią innej drogi...

Pobiegła do zięjącego ciemnością otworu. Miał góra metr szerokości i jakieś trzy do czterech metrów wysokości. Kamienie posadzki były wyszlizgane, szyb wydawał się przyjemnie chłodny, ale wzbudzał grozę. Wejście w jego czeluści skazywało ją na... na coś ostatecznego. Nie umiała tego sprecyzować, a niejasne myśli, które powolnie formowały się w jej głowie, tylko podsyciły przerażenie.

Wskoczyła w mroczny otwór i zerknęła przez ramię. Gdyby napastnik nie spostrzegł, że się tu zapuściła, mogłaby mu się jeszcze wymknąć. Ale to raczej płonne nadzieje, chłopak znajdował się zbyt blisko. I, oczywiście, zobaczyła, jak sunął w jej stronę - był już tak niedaleko, że teraz bez trudu odczytała słowo wytatuowane u dołu maski: „Atreusz”.

Przez chwilę wpatrywała się w tors chłopaka z rozdziawionymi ustami, choć nie owo starożytne słowo wprawiło ją w takie oszołomienie, tylko straszna nieuchronność rzeczywistości. Zabójca wciąż się zbliżał, uśmiechając się obrzydliwie, Deborze więc nie pozostało nic innego, jak tylko wskoczyć w głąb tunelu i zdać się na improwizację.

Pierwsze kilka stopni pokonała bez trudu, lecz nagle szyb skręcił ostro i znalazła się w gęstym mroku. Ściany były zdumiewająco gładkie, jakby otynkowane, nie zamocowano w nich jednak żadnej poręczy czy choćby

my wyznaczącej drogę, Debora musiała więc znowu, próbując wymacać stopą krawędzie nierównych schodów. Kolejny zakręt i znalazła się w kompletnych ciemnościach. Następną kilka stopni i potknęła się - kontuzjowana kostka nie wytrzymała ciężaru, gdy druga noga trafiła w próżnię. Debora przewróciła się, ale na szczęście zdołała się zatrzymać po przekoziółkowaniu przez zaledwie parę schodów. Zatrzymała jednak impet ręką z wywichniętym nadgarstkiem i ledwo zniosła przeszywający ból, który na szczęście szybko przeszedł w tępe ómienie. Stała z powrotem na nogach i z ledwością pokonała dwa kolejne wyboiste sto Bez światła sobie nie poradzi.

Słyszała zbliżające się kroki napastnika, rozbrzmiewające echem w kamiennym szybie. On też zwolnił, ale przecież teraz już nie musiał się spieszyć. Udało mu się zapędzić ją w ślepy zaułek, zapewne właśnie o niczym innym nie marzył. Nie miała gdzie się ukryć, nie zdołała wymacać żadnej niszy, w której mogłaby przycupnąć. Przed nią tylko siedemdziesięciometrowa, ciemna przepaść zakończona lodowatą otchłanią wodną o niewyobrażalnej

Zrzuciła z ramion plecak i otworzyła jedną z jego bocznych kieszeni. Trzymała tam komórkę, której nie używała od czasu przyjazdu do Grecji. Nie używała, bo system nie działał poza Stanami, ale nawet gdyby działał, i tak w tych podziemiach nie miałyby zasięgu. Niemniej ów telefon mógł się okazać cennym źródłem światła!

Gdy tylko otworzyła klapkę, mały cyfrowy ekranik zaśnił na zielono. Nie był to mocny blask, ale w tej czarnej pieczarze wszystko, co świeciło, dawało szanse przetrwania. Wyciągnęła komórkę przed siebie i opuściła nisko rękę, a wówczas z ciemności wyłoniły się połyskujące fluorescencyjnym blaskiem schody, jakby ich powierzchnię pokrywały owe mikroorganizmy sprawiające, że fale tropikalnych mórz jarzyły się w mroku nocy. Ostrożnie i niepewnie Debora przyspieszyła kroku.

Z początku starała się liczyć stopnie, ale szybko straciła rachubę. Pokonała ich z pewnością co najmniej pięćdziesiąt, a w tym czasie tunel wielokrotnie skręcał pod ostrym kątem - wbijał się spiralą w skalisty grunt, prowadząc do jakiejś piekielnej nory króliczej.

Jestem Alicją. Jednak to nie ja gonię Białego Królika, tylko on mnie ściga, a zamiast kieszonkowego zegarka dzierży śmiercionośny nóż, pomyślała.

Nieustająco posuwała się w dół, schodziła coraz niżej, jedną ręką wodząc po zimnej ścianie, w drugiej trzymając telefon. I przez ten cały czas

próbowała sobie przypomnieć, co o studziennym szybie napisano w jej przewodniku. Tunel miał być długi, kręcony, a zejście bardzo trudne, Debora nie pamiętała jednak, czy podano jego długość. Ile stopni pokonała do tej pory? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Coś w tych granicach, jednak żadna z tych liczb nie pomogła jej przypomnieć sobie niczego poza tym, że szyb kończył się przepastną otchłanią, za którą nie było już nic poza głębią wody i śmiercią.

Już gdy o tym czytała, zdejmował ją lęk, ale teraz, w tym grobowym chłdzie i ciemnościach, opis szybu wzbudzał prawdziwe przerażenie. Istniało przecież duże prawdopodobieństwo, że w mdłym blasku komórki nie dojrzy krawędzi cysterny, a w pobliżu nie znajdzie się żadna przyjazna dusza, która mogłaby jej pospieszyć z pomocą.

Przecież taki upadek i tak by cię zabił. Nawet gdybyś nie uderzyła w nic innego poza lustrem wody. Siedemdziesiąt metrów... ile to?... około dwustu czterdziestu stóp. Uderzenie z takiej wysokości w wodę byłoby jednoznaczne z upadkiem na beton.

- Zamknij się! - powiedziała na głos, by uciszyć przygnębiający szept rozumu. - Po prostu się zamknij!

Odliczyła starannie następnych dziesięć stopni, jedynie dlatego, żeby się uspokoić, a wówczas kolejna myśl zakiełkowała jej w głowie.

Zapewne cembrowina studni jest ogrodzona jakąś liną? Tak, niewątpliwie wprowadzono podobne zabezpieczenie. Jeżeli więc się pospieszy i dotrze tam przed napastnikiem - a mogła się poruszać zwawiej od niego dzięki mdłemu światełku komórki - wówczas odcepi linę z jednej strony i opuści się na niej w głąb mrocznej cysterny. Zabójca nie spostrzeże cembrowiny, postawi o krok za dużo i z wrzaskiem poleci ku leżącym na dnie przepaści mrocznym, lodowatym wodom.

Boże, pomyślała, gdy przed oczami ujrzała przerażającą scenę: jego palce skrobiające po ścianie cysterny, szukające jakiegokolwiek zaczepienia, może nawet prześlizgujące się po jej ubraniu, a potem lot w czarną pustkę...

O Boże!

Czy w ogóle zdołałaby wprowadzić swój plan w życie, nawet gdyby trafiła na linę odpowiedniej długości i dostatecznie mocno przymocowaną do muru? Czy zdążyłaby odwiązać jeden z jej końców? Zawisnąć w ciemnościach, w próżni cysterny, nasłuchując kroków prześladowcy, z nadzieją, że chłopak popełni błąd, którego jej się udało uniknąć? A jeżeli zorientowałby się w sytuacji i usiadł, chichocząc, nad cembrowiną, podczas gdy ona wisiałaby nad przepaścią (siedemdziesięciometrową...), z omdlewającymi

ramionami? Wystarczyłoby, żeby poczekał, aż całkiem opadnie z sił... mógłby też ją kopnąć czy odciąć linę, a wówczas to ona runęłaby w otchłań...

Spalimy ten most, gdy już go przekroczymy.

Ta lingwistyczna hybryda należała do ulubionych powiedzonek Richarda.

- Deboro! - dobiegł ją głos z głębi tunelu. Był miękki, śpiewny, niemal kojący.

To on! Zabójca.

Debora zamarała na ułamek chwili, po czym jeszcze szybciej ruszyła w dół, z mocno walącym sercem, tłumiąc falę mdłości. Nie odzywaj się. Po prostu idź przed siebie.

- Zaraz cię dopadnę, Deboro! - Kolejny zaśpiew.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Napastnik nie był Grekiem, tylko Amerykaninem. Południowcem? Bardzo prawdopodobne.

- Jakie to uczucie? - wykrzyknął. - „Nie dożyjesz następnej godziny, lecz nie poznasz tego przyczyny”.

Zaśmiał się rozbawiony własną rymowanką. Debora jednak go już nie słuchała.

Tunel skręcił ponownie, potem raz jeszcze i schody nagle się skończyły.

Przez chwilę wodziła wyświetlaczem telefonu po skałach, ale w końcu musiała się pogodzić ze straszną prawdą.

Cysterna nie była ogrodzona żadną liną. Nie było też żadnej przepaści. Nie zabezpieczono otchłani liną, tylko czymś ją przykryto. Przewodnik turystyczny Debory po raz kolejny się okazał żałośnie nieaktualny.

Debora znalazła się w matni.

49.

Ponieważ dzięki światelku komórki znacznie przyspieszyła, zwiększyła dystans dzielący ją od chłopaka. Minęło więc kilkanaście sekund, zanim usłyszała jego kroki - kilkanaście sekund, w czasie których łudziła się nadzieją, że zabójca zdecydował się wrócić na górę. Wolałaby już, żeby czekał na nią przed tunelem, niż przyparł ją do muru w ciemnościach jak szczura.

Ta wizja wzbudziła w niej gniew i podsyciła wolę walki.

Ona nie jest szczurem. To on jest krwiożerczym, podstępny drapieżcą.

Zbliżał się nieuchronnie i teraz oprócz szurgotu stóp do Debory dotarł jeszcze inny odgłos, niewiele głośniejszy od jego ciężkiego oddechu.

On pogwizduje.

Był to wysoki, niemelodyjny dźwięk, jakby chłopak gwizdał przez zęby, rozciągając usta i szczerząc zęby niczym szakal, czy raczej (powróciło wcześniejsze skojarzenie) chichocząca hiena. Nonszalancja, z jaką zamierzał ją zabić, i jego kompletna obojętność wzbudziła w niej furię. Położyła włączony telefon na jednym ze stopni tuż za ostatnim zakrętem, a sama wycofała się na koniec szybu.

Napastnik był już bardzo niedaleko. W tych ciemnościach wydawało jej się, że dzieli ich zaledwie wyciągnięcie ręki. Przyłgnęła do ściany okalającej zakrytą cysternę, w której zapewne setki dumnych turystów przez te wszystkie lata zakończyło żywot, i napięła mięśnie rąk i nóg niczym jeden z tych pajaków budujących lejkowate pułapki i w każdej chwili gotowych, by skoczyć na ofiarę.

Jej przewaga wywołana zaskoczeniem będzie tylko chwilowa. Nie miała więc czasu na zabawę w półśrodkach.

Pochwyciła zarys sylwetki chłopaka, gdy zbliżał się do stopnia z telefonem. Pochylił się nad komórką i wówczas w blasku wyświetlacza

ujrzała wyraźnie jego twarz - upiorną swą bladością w zielonkawym świetle.

Biały Królik...

Odruchowo zmrużył oczy, gdy po tak długim przebywaniu w ciemnościach spojrzął w jarzący się wyświetlacz, a wtedy Debora rzuciła się do przodu, kopiąc swojego prześladowcę z całej siły w twarz zdrową nogą. Cios doszedł celu i chłopak zachwiał się na nogach.

- Niespodzianka! - wykrzyknęła, po czym huknęła go w policzek kantem dłoni.

Padł na plecy i głośno uderzył o kamienne stopnie, łapiąc z trudem powietrze, ale w ten sposób znalazł się poza zasięgiem światelka telefonu i Debora straciła go z oczu. Raz jeszcze wymierzyła kopniaka, jednak cios trafił w próżnię i niemal pozbawił ją równowagi. Postąpiła krok w przód, ponieważ zdając sobie sprawę, że jej sylwetka odcina się wyraźnie od muru w blasku komórki leżącej kilkadziesiąt centymetrów za nią. Jego nóż ciał ją przez ramię i nieznacznie zadrasnął w szyję.

Skrzywiła się, odskoczyła w tył i instynktownie złapała za ranę. Krew nie tryskała fontanną, a więc nie doszło do uszkodzenia arterii. To jej wystarczyło. Nie zamierzała tracić czasu na dodatkowe oględziny. Kopnęła z całej siły telefon i rzuciła się w prawo - jak najdalej od śmiertelnoścno go noża - a potem z lekko pochyloną głową niczym rozjuszony byk natarła na prześladowcę.

Ktoś równy jej wzrostem mógłby mieć przewagę, wymierzając ciosy z wysokości kilku stopni, ale chłopak był od niej niższy o kilkanaście centymetrów, a na dodatek zupełnie nieprzygotowany na ów pełen furii atak. Rozległ się głuchy odgłos - jego głowa trzasnęła o skałę - i czysty, metaliczny dźwięk, kiedy nóż uderzył o kamienne podłoże. Debora nie próbowała go szukać ani sprawdzać, czy napastnik stracił przytomność. Zrobiła krok przez jego wiotczące ciało i popędziła w górę po schodach.

Dwukrotnie pośliznęła się na zdradliwych stopniach (jeden z nielicznych trafnych opisów w jej przewodniku), ale uparcie parła do przodu, a z każdym krokiem powietrze stawało się mniej chłodne. Wciąż jeszcze otaczały ją ciemności, wiedziała jednak, że z każdym schodkiem zbliża się do światła, ciepła, do życia. Biegła więc na oślep i choć parę razy boleśnie zderzyła się na zakrętach z murem, nie zatrzymała się ani razu. Wkrótce mrok z czarnego stał się brunatny, a schody nabrały konturów i głębi. Jeszcze jeden spiralny wiraż, jeszcze kilkanaście stopni i już znalazła się na zewnątrz, oślepiona światłem późnego popołudnia. Poczula, że

oblewa ją pot, stres przyprawia o dreszcze, a w zranionym ramieniu pulsuje ostry ból - to wszystko jednak nie powstrzymało jej od biegu ku ruinom pałacu, ku kręgu grobów i jeszcze dalej, do Lwiej Bramy. Wypadła na szeroką drogę wiodącą do cytadeli, a mając w pamięci mit o Orfeuszu, który udał się do Hadesu po ukochaną Eurydykę, przez cały ten czas ani razu nie spojrzała za siebie.

50.

Tym razem opowiedziała o wszystkim strażnikom, ci zaś zawiadomili policję. Czy napastnik stracił życie? Nie wiedziała. Nie sądziła, by zginął, ale niewykluczone, że był nieprzytomny. Policjanci zjawili się po ponad dwudziestu minutach, a zanim zaopatrzyli się w latarki i doszli do szybu studziennego, minęło kolejnych kilkanaście. Dwaj funkcjonariusze dzielnie zapuścili się w dół, jeden z odbezpieczonym pistoletem w dłoni, ale warkot małego motocykla odjeżdżającego z parkingu utwierdził Deborę w przekonaniu, że tamci nikogo nie znajdą w studziennym szybie. Napastnik zapewne wypełził z króliczej nory, kiedy składała zeznania, i wymknął się niepostrzeżenie przez Północną lub Tylną Bramę i pieszo, okrążając twierdzę, dotarł do swojego motoru.

Otępiła, usiadła w popołudniowym słońcu, podczas gdy jeden z policjantów przerzucał zawartość wiekowej apteczki w poszukiwaniu środków, którymi mógłby opatrzyć jej rany. Cięcie na szyi było bardzo płytkie, ale to na ramieniu już dużo głębsze, więc zatamowanie krwi wymagało więcej zachodu. Policjant cały czas próbował podnieść Deborę na duchu, jednak jego słowa prawie do niej nie docierały i trzeba było kilkakrotnie powtarzać pytania, by na nie odpowiedziała.

Funkcjonariusze odnaleźli i zwrócili jej komórkę, zapisali nazwisko Debory oraz adres hotelu, w którym się zatrzymała, lecz kiedy powiedziała, że nazajutrz zamierza wrócić do Stanów, szybko schowali notesy i zaczęli zerkać na zegarki. Zawieźli ją jednak do Koryntu, pod same drzwi Ephiry, oszczędzając telepania się autobusem i długiej drogi do przystanku, której chyba nie zdołałaby pokonać o własnych siłach.

W hotelu nie czekały na nią żadne wiadomości, i chociaż kusiło ją, by zajść do kafejki internetowej i sprawdzić pocztę, nie starczyło jej na to odwagi. Poinformowała więc tylko recepcjonistkę, że wymelduje się naza-

jutrz wczesnym rankiem, a potem zamknęła na trzy spusty w pokoju wraz z kanapką, którą kupiła w barze w holu. Zjadła ją pospiesznie, popiła wodą, wzięła szybki prysznic, a potem telefonicznie zarezerwowała miejsce na jutrzejszy lot, a przy okazji -pod wpływem niezrozumiałego impulsu - zażyczyła sobie kosztownych posiłków w samolocie. Zrobiła to po raz pierwszy w życiu.

Wierzysz, że Bóg uchroni cię przed białymi królikami o morderczych zapędach?

Wolne żarty.

Pod wpływem kolejnego impulsu zadzwoniła do Calvina Bowersa - wystukała w ekspresowym tempie numer, żeby nie zastanawiać się nad tym, co właściwie robi.

- Halo? - odezwał się nieco bełkotliwym głosem pobrzmiewającym irytacją.

Powinna była się zastanowić nad różnicą czasu, zanim zdecydowała się na telefon. Przez moment siedziała w milczeniu, zaciskając w panice dłoń na słuchawce jak wtedy, gdy miała czternaście lat i strzeliło jej do głowy, by zadzwonić do rozgrywającego drużyny futbolowej - przerwać delikatną pajęczynę towarzyskich powiązań, która nadawała życiu szkoły strukturę i określała niepisaną hierarchię. Nie miała pojęcia, jak straszne głupstwo popełniła, dopóki tamten chłopak (Tim Andrews - o dziwo, umysł Debory przechował jego nazwisko w jednym z niewielkich, mrocznych lochów pamięci) nie wyśmiał jej niemiłosiernie.

- Debora? - ponownie odezwał się Calvin Bowers. - To ty?

Jego głos - nagle troskliwy, pełen nadziei, tak daleki od drwiącego tonu Tima Andrews, jak tylko można sobie wyobrazić - sprawił, że znowu poczuła się sobą.

- Tak. Przepraszam, że cię niepokoję. Jestem beznadziejna w obliczaniu tych...

- Nie ma o czym mówić - zapewnił. - Gdzie jesteś?

- Jutro wracam do domu. Dzisiaj ktoś próbował mnie zabić. Już po raz drugi. Ale wszystko ze mną w porządku.

Owo „po raz drugi” zabrzmiało niemal jak dowcip. Calvin, poważnie zaniepokojony, zasypał ją pytaniami. Wsłuchiwała się we własne odpowiedzi wypowiedziane z chłodnym opanowaniem, chwilami wręcz z nonszalancją, i zastanawiała się, jakim cudem potrafi się zdobyć na taki spokój. Panika, stres, druzgocące rozczarowanie, poczucie totalnej klęski, fizyczne wyczerpanie wyparowały nagle niczym poranna mgła w jasnych promieniach słońca i Deborę ogarnął niewytłumaczalny błogostan.

- O której przylatujesz? - spytał. - Przyjadę po ciebie na lotnisko.

Spojrzała na bilet i wyrecytowała wszystkie dane, zastanawiając się przy tym, czemu Calvin jest wobec niej taki opiekuńczy, a przede wszystkim - dlaczego jej to sprawia tak wielką przyjemność.

- Doskonale - stwierdził, gdy wszystko zanotował. - Cieszę się, że wreszcie cię zobacze.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała po prostu:

- Ja także.

Następnego dnia pierwszym porannym autobusem przyjechała do Aten, zadzwoniła na lotnisko, żeby sprawdzić, czyjej samolot wystartuje zgodnie z planem, po czym z dworca autobusowego wzięła taksówkę i kazała się zawieźć do Muzeum Archeologicznego. Popadreuś siedział w swoim gabinecie, ubrany w ten sam - lub bardzo podobny - nienaganny w kroju ciemny garnitur, miał jednak nieznacznie zmierzwiłone włosy i wyglądał na poważnie zgnębionego. Kiedy zobaczył, kto staje w drzwiach, z trudnością zmusił się, by przywołać na usta typowy dlań lakoniczny, uprzejmy uśmiech.

- Panna Miller. Miło panią widzieć. Obawiam się jednak, że dziś będę bardzo zajęty.

- Przyszłam się tylko pożegnać - oznajmiła Debora. - Mój samolot odlatuje za... - zerknęła na zegarek - ...mniej więcej trzy godziny.

Słyszając te słowa, wyraźnie się odprężył, a jego uśmiech stał się cieplejszy.

- Przykro mi to słyszeć. - Jego słowa zabrzmiały zdumiewająco szczerze. - Proszę siadać. Czy napiłaby się pani kawy? To nie...

- To nie jest żadna rozpuszczalna nesca - weszła mu w słowo z uśmiechem. - Tak, poproszę. Chętnie się napiję.

Podniósł słuchawkę i wydał odpowiednie polecenie, nie spuszczać oczu z gościa. Kiedy skończył rozmowę, Debora pochyliła się w jego stronę i bez zbędnych wstępów przeszła do rzeczy.

- Nie zabiorę panu wiele czasu. Chciałam jedynie wyjaśnić, czemu w ogóle się tutaj zjawiłam.

Jej zasadniczy ton sprawił, że dyrektor wyprostował się na krześle, jakby szykując się na złe wieści.

- Nie przyjechałam do Aten w celach turystycznych. Mój pracodawca - a jednocześnie założyciel i główny sponsor muzeum, którego jestem kustoszem - został kilka dni temu brutalnie zamordowany. Znalazłam jego ciało w pomieszczeniu, gdzie zgromadzono niewielką, na pierwszy rzut

oka niezwykle cenną kolekcję przedhelleńskich dzieł sztuki. Brakowało tam jednak pewnego eksponatu. Nigdy go osobiście nie widziałam, ale mam powody przypuszczać, że były to ludzkie szczątki w pośmiertnej masce wraz z innymi regaliaми mykeńskiego władcy. Richard - człowiek, który został zamordowany - uważał, że ów niezwykle zabytek został potajemnie wywieziony z Grecji przez Schliemanna i znalazł się w prywatnych zbiorach w Niemczech. W ostatnich dniach drugiej wojny Niemcy usiłowali przetransportować szczątki, maskę i pozostałe eksponaty do miasta o nazwie Magdeburg, a następnie do Szwajcarii, zostali jednak powstrzymani przez amerykańską jednostkę pancerną. Kolekcja w jakiś sposób trafiła na czarny rynek. Sprzątnięto ją sprzed nosa przynajmniej jednemu poważnie zainteresowanemu kolekcjonerowi prywatnemu oraz agentom władzy sowieckiej, którzy już wywieźli do Moskwy jeden cenny przedhelleński zbiór znany jako Skarb Priama. O ile się nie mylę, Richard głęboko wierzył, że owe ludzkie szczątki są szczątkami samego Ag. Na moment zapadła cisza.

- A co pani o tym sądzi? - spytał Popadreus wyważonym, wręcz beznamiętnym głosem. Jak do tej pory na jego twarzy nie ukazał się choćby cień niedowierzania czy szoku. Ale to akurat wcale nie dziwiło Debory.

- Jeżeli rzeczywiście mamy do czynienia z ludzkimi zwłokami - odparła Debora - jestem przekonana, że nie są to szczątki Agamemnona.

I w ogóle nie są one szczególnie wiekowe. Uważam także, że pośmiertna maska, a także całe ewentualne wyposażenie grobowca zostały odtworzone przez greckiego rzemieślnika pod koniec dziewiętnastego wieku. W jaki sposób i za czyją sprawą te obiekty trafiły do Niemiec, nie potrafię wyjaśnić, wiem natomiast, że w końcu znalazły się w Atlancie, w stanie Georgia, w ukrytym pokoju w rezydencji, w której mieści się małe muzeum.

Przyniesiono kawę. Gdy sekretarka rozstawiała filiżanki, i dyrektor, i Debora zachowywali milczenie, wciąż jednak ostrożnie mierzyli się wzrokiem.

- Fascynująca historia - powiedział Popadreus, kiedy już zostali sami. - Chętnie bym się jednak dowiedział, czemu postanowiła pani przedstawić mi ją tuż przed swoim wyjazdem.

Pierwsze fatalne posunięcie z jego strony. Zapewne zdawał sobie z tego sprawę, bo unikał jej wzroku, pilnie koncentrując się na słodzeniu kawy.

- Myślę, że dobrze pan wie.

- Naprawdę? - Nie było to wyzwanie, lecz autentyczne pytanie. - Dlaczego pani tak uważa?

- Przypuszczam, iż dotarło do rządu greckiego - być może nawet za pośrednictwem pańskiej instytucji - że prawdopodobnie ze stanowiska wykopaliskowego Schliemanna wywieziono jakieś ludzkie szczątki, które przez pierwsze pięćdziesiąt lat ukrywano w Niemczech, a przez następne pięćdziesiąt przechowywano w nieznanym miejscu. Niespodziewanie wypląły one na powierzchnię w Atlancie, a człowiek, który wszedł w ich posiadanie, byłby skłonny odesłać je do miejsca pochodzenia. Niewykluczone, że ów kolekcjoner zaproponował, iż zwróci zwłoki i królewskie insygnia w zamian za prawo do zatrzymania reszty wyposażenia grobowego w Stanach. Grecki minister kultury i dziedzictwa narodowego, którego notabene miałam przyjemność spotkać w tym budynku, mógł zasugerować, że sprawa jest warta bliższego rozpoznania - kto wie, może nawet wyraził zgodę na zakup niezwyklego znaleziska, jakże istotnego dla narodowej i kulturowej tożsamości Greków.

Popadreuś milczał przez dłuższą chwilę, w końcu westchnął i uśmiechnął się lekko.

- Ciekawa teoria. Naturalnie, oparta na czystych spekulacjach, niemniej wysoce interesująca.

- Dziękuję - odparła Debora i upiła łyk kawy.

- W istocie tak interesująca, że chętnie usłyszałbym ciąg dalszy.

Debora odstawiła filiżankę i uważnie spojrzała na dyrektora. Nie kąpił z niej ani nie lekceważył jej słów. W jego oczach pojawił się szczególny wyraz - smutku i zrozumienia. Kierowała nim prawdziwa dociekliwość - było to zaproszenie, niemal pokorna prośba, żeby Debora wyjawiała wszystko, co wie.

- W porządku - powiedziała. - Cóż, uważam, że dwóch znawców mykeńskiej sztuki - być może zatrudnionych w tym muzeum - wysłano do

Atlanty, żeby spotkali się z obecnym właścicielem szczątków i negocjowali warunki ich zwrotu, o ile pobieżne oględziny potwierdzą ich autentyczność. Mniej więcej w tym samym czasie pewien Rosjanin także zjawił się w Atlancie, żeby zdobyć eksponaty, chociaż nie wiadomo, czy działał na

Tego, co powiedziała do tej pory, była absolutnie pewna. Natomiast istniało kilka możliwych zakończeń tej historii i Debora nie mogła się zdecydować, którą z nich przedstawić pierwszą.

- Greków usatysfakcjonowało to, co zobaczyli - podjęła po chwili.

- Usatysfakcjonowało na tyle, że od razu chcieli zabrać kolekcję, jednak właściciel zgłosił pewne obiekcje, co doprowadziło do ostrej wymiany zdań, a następnie do aktu przemocy...

Popadreus uniósł dłoń, dając do zrozumienia, żeby zamilkła. Przez chwilę siedział nieruchomo z wyrazem bolesnego smutku na twarzy. Kiedy się odezwał, Debora zrozumiała, że tonem głosu lub jakimś gestem zdradziła, iż sama nie bardzo wierzy w tę wersję.

- Przejdźmy do alternatywnego zakończenia - zaproponował dyrektor.

- Owi dwaj greccy wysłannicy, nazwijmy ich attache kulturalnymi, byli pod wrażeniem tego, co zobaczyli, więc zaproponowali poddanie szczątków dodatkowym badaniom. Richard wyraził na to zgodę i pozwolił im zabrać skrzynię zawierającą zwłoki i złożone wraz z nimi regalia, zadowolony, że powrócą do Grecji. Na mocy obopólnego porozumienia reszta zbioru pozostawała jego własnością, którą w odpowiednim czasie zamierzał przekazać na własność muzeum. Jednak kiedy wspomniani attache opuścili jego rezydencję, zabierając skrzynię - niespodziewanie pojawił się ktoś trzeci. Odkrył, że już doszło do transakcji - a wyjątkowo mu zależało, żeby jej zapobiec - po czym zabił Richarda oraz Rosjanina, który udawał bezdomnego, by niepostrzeżenie śledzić wydarzenia w muzeum. Tymczasem Grecy starannie zbadali zawartość skrzyni i odkryli, że jednak nie są to autentyczne zabytki mykeńskie. Zrezygnowali więc z wysyłania nabytku do kraju, a do tego dobrze się zakonspirowali w obawie, że mogliby zostać wplątani w morderstwo Richarda.

- Przede wszystkim dlatego, by nie wprowadzać w zakłopotanie rząd swojego kraju - dorzucił z naciskiem Popadreus. - Byłaby to w istocie dość poważna kompromitacja, gdyby się okazało, że władze dużego, europejskiego państwa posunęły się do nadzwyczajnych środków, żeby pozyskać coś, co pod względem kulturowym i historycznym nie przedstawia żadnej wartości.

Debora zrozumiała, że oto uzyskała potwierdzenie słuszności swojej teorii. Na nic bardziej jednoznacznego nie mogła liczyć.

- A więc ktoś zupełnie inny zabił Richarda? - spytała.

- Naród grecki bardzo się szczyi swoim dziedzictwem - stwierdził Popadreus. - I ma ku temu powody, szczególnie gdy mowa o spuściźnie starożytności. Świadomość wielkości greckiej kultury jest dla nas niezwykle ważna. Pozwala zachować poczucie tożsamości. Niemniej nie wierzę, by jakikolwiek Grek usankcjonował unicestwienie ludzkiej istoty tylko po to, żeby sprowadzić na ojczystą ziemię czyjekolwiek szczątki.

Urwał i skurczył się w sobie, jakby w nagłym poczuciu druzgocącej porażki.

- Richard Dixon - podjął po chwili - był człowiekiem prawym i wiel-

kim przyjacielem narodu greckiego. Fakt, że to, co chciał nam ofiarować, okazało się całkowicie bezwartościowe, należy uznać - jeśli nie za temat na antyczną tragedię - to w każdym razie za kosztowną i bardzo gorzką pigułkę zarówno dla niego, jak i dla nas. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Debora wzbiła wzrok w podłogę. Nie była pewna, kogo dokładnie Grek miał na myśli, mówiąc „i dla nas”, ale odniosła wrażenie, że ją również zaliczył do tej grupy, i ogarnęło ją wielkie, ściskające gardło wzruszenie.

- Spóźni się pani na samolot. - Popadreuś podniósł się z fotela.
- Debora z trudem stłumiła łzy, zmusiła się do uśmiechu i także wstała.
- Bardzo dziękuję za kawę. Jest doprawdy doskonała.
- Będzie tu pani zawsze mile widzianym gościem - powiedział na do widzenia.

INTERLUDIUM

Francja, 1997 rok

Randolph Fitz-Stephens dwa dni wcześniej skończył osiemdziesiąt siedem lat i lekarze gorąco odradzali mu tę podróż, twierdząc, że może się okazać niebezpieczna, on jednak zbył ich ostrzeżenia lekceważącym machnięciem ręki. Ostatecznie czekał na tę chwilę ponad połowę życia, nie zamierzał więc dopuścić, by stan zdrowia stanął mu na przeszkodzie. Cekał na swój triumf ponad pół wieku - przeszukiwał dokumenty, rejestry, sponsorował nurków, inicjował międzynarodowe akcje poszukiwawcze. I przez te pięćdziesiąt lat jedyne, co go spotykało za podjęte trudy i wysiłki, to kpiiny wszystkich, którym wyjawiał prawdę. Wszystkich, z wyjątkiem syna. Marcus chciałby tu być tego dnia, ale także sprzeciwiałby się podróży Randolpha w obecnym stanie zdrowia, Marcus więc musiał jeszcze jakiś czas żyć w nieświadomości. Jakże go ucieszy ostateczny triumf ojca!

Za kilka dni przetransportują szczątki Agamemnona, króla Myken, do Anglii! I dopiero wtedy rozpoczną pertraktacje z przedstawicielami muzeum. Jeżeli Randolph nie doczeka dnia, gdy bohater wojny trojańskiej spocznie w pełnym majestacie pod partenńskim fryzem ocalonym przez lorda Elgina, Marcus z pewnością tego dopilnuje.

Randolph od dawna wiedział, że doszło do fałszerstwa w papierach. Chaos ostatnich dni wojny doprowadził do administracyjnego koszmaru. Nie dziwił się więc, że w takiej sytuacji pozbawieni wszelkich skrupułów Amerykanie wymknęli się z ładunkiem, który miał trafić do innego miejsca przeznaczenia, ani że nie można było odnaleźć żadnych dokumentów wskazujących, gdzie de facto skierowano cenny fracht. W owych majowych dniach czterdziestego piątego roku nie przyszło mu jednak do głowy, że jakiś bezimienny niemiecki okręt pośle jego bezcenny skarb na dno

morza, i że pół wieku później ruchy ławic piasku wypchną wrak amerykańskiego transportowca na powierzchnię, a fale poniosą go ku skałom bretońskiego wybrzeża.

Pewien dwunastoletni chłopiec pierwszy zainteresował się skrzynią przegniłą od morskiej wody. Wydobył z niej kilka ceramicznych naczyń i poszedł z nimi do lokalnego sklepiku z antykami. I dopiero gdy odwiedzający miasteczko Marcus zażądał dowodów autentyczności jednej z amfor, zorientował się, że ma przed sobą protokół wydobywania z osiadłego na mieliźnie wraku bezcennego znaleziska, za które już kiedyś zapłaciła jego rodzina. Czy jednak ludzkie szczątki przetrwały akcję wydobywczą, a przede wszystkim dziesiątki lat pod wodą? To zależało od sposobu, w jaki zabezpieczono zwłoki przed zapakowaniem do skrzyni. Gdyby jednak zachowała się choćby kosteczka, byłaby warta poniesionych kosztów i owych wszystkich lat czekania.

Handlarz utrzymywał, że całość zachowała się w nienaruszonym stanie, chociaż twierdził tak jedynie na podstawie pobieżnych oględzin. Nie chciał wyjawiać, jak wielu kontrahentów zamierzało przystąpić do nieformalnej licytacji, Randolph jednak nie miał wątpliwości, że zdoła przebić każdego. Nadal miał zdjęcia - teraz już żałośnie wyblakłe i pogięte - które przesłał mu dziesiątki lat temu pierwszy, fałszywy sprzedawca. Randolph musiał zdobyć ów niezwykle zabytek. Moralnie skarb należał już do niego.

Siedział, wyprostowany jak struna przy metalowym stoliku w wyznaczonej kawiarni i czekał. Handlarz spóźniał się ponad godzinę. Randolph z wolna sączył herbatę (czy jakkolwiek się nazywało to, co powstawało po wymoczeniu torebki z herbacianym pyłem w ledwo letniej wodzie) i nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby wrócić do domu, zanim dane mu będzie spojrzeć na starożytne szczątki ludzkie.

Młody mężczyzna przemierzył rynek miasteczka energicznym krokiem, z wzrokiem utkwionym w patio kawiarni.

To zapewne ów handlarz.

Irytacja Randolpha wywołana długotrwałym czekaniem rozwiązała się jak wczesnoporaną mgłą.

- Pan Fitz-Stephens? - spytał mężczyzna, siadając naprzeciwko. - Przykro mi, ale ważne sprawy zatrzymały monsieur Thibodaux, myślę jednak, że mógłbym panu pomóc.

- Monsieur Thibodaux do mnie nie przyjdzie? - obruszył się Randolph, czując, jak mgła irytacji tak bardzo gęstnieje, że aż zaczyna go dławzić.

- Byłby wdzięczny, gdyby pan zechciał się do niego pofatygować. Czy nie miałby pan nic przeciwko krótkiej przechadzce? Zaparkowałem po drugiej stronie rynku.

- Dokąd jedziemy? - spytał Randolph, powoli, z trzaskiem stawów podnosząc się z krzesła.

- Na plażę - rzucił nonszalancko młody mężczyzna. W jego angielszczyźnie nie było ani śladu francuskiego akcentu.

Przeszli na drugą stronę rynku, potem jechali samochodem, a następnie znowu na piechotę przemierzali połąć ciemnego, twardego piasku, kierując się ku odosobnionemu miejscu, oddalonemu zaledwie o paręset metrów od skał, na których ostatecznie spoczął wrak „St. Lo” z rozdartym, zalanym wodą kadłubem.

Dzień był pochmurny i z każdą minutą niebo ciemniało, grożąc ulew- nym deszczem, a tymczasem Randolph zostawił parasol w kawiarni. Na dodatek w nogach czuł przejmujący ból - normalnie przez cały tydzień nie chodził tak dużo, jak dzisiejszego dnia.

- Proszę zaspokoić moją ciekawość - odezwał się w pewnej chwili młodszy mężczyzna. - Jak pan sądzi, co zawiera skrzynia wydobyta z transportowca?

- Szczątki Agamemnona, greckiego władcy, zabalsamowane przez Schliemanna, a także wyposażenie królewskiego grobowca - odparł Randolph takim tonem, jakby recytował litanie: z rewerencją, trwożnym podziwem i nabożną wiarą. - Oraz galion hiszpańskiego, renesansowego ga- leonu, którym jednak nie jestem szczególnie zainteresowany.

- Czy coś jeszcze? - spytał mężczyzna z sarkastycznym uśmiechem. Randolph widywał już różne wersje tego uśmiechu, ilekroć wyjawiał komuś, co według niego znajdowało się na pokładzie „St. Lo”, tym razem jednak dojrzał w wykrzywieniu ust mężczyzny coś wyjątkowo złowieszcze- go. Złapał się na tym, że rozgląda się wokół w poszukiwaniu innych ludzi. Kiedy ich nie dostrzegł, ogarnął go lęk.

- Czegóż więcej można by żądać? - zdobył się na gorzkie rozbawienie, by pokryć niepokój.

W odpowiedzi nieznajomy jedynie parsknął pogardliwym śmiechem.

Okrążyli wrzecionowaty, poszarpany skalny ostaniec wynurzający się niespodziewanie z błyszczącego, wymytego wodą piasku. W najwyższym punkcie gład miał mniej więcej trzy metry wysokości, ale jego bok łagodnie opadał ku szaremu morzu.

- To pana bawi? - spytał Randolph. Ten człowiek zdecydowanie nie wzbudzał sympatii.

- Minęły pięćdziesiąt trzy lata - odparł młody mężczyzna z tym samym, pełnym pogardy uśmiechem - a ty wciąż nie pojmujesz, z czym masz do czynienia! Na Boga, zabicie cię będzie aktem łaski. A przy okazji - oto monsieur Thibodaux.

Trup leżał twarzą do dołu tuż za skalnym występem, na wpół zatopiony przez nadchodzący przyływ, z włosami dryfującymi w rytm ruchu drobnych fal.

- Kim jesteś? - spytał Randolph, z wysiłkiem odrywając wzrok od leżących przed nim zwłok.

- Jeszcze jednym gorzko rozczarowanym klientem tego handlarza - odparł morderca, z uśmiechem satysfakcji spoglądając na trupa. - Handlarza, który nie rozpatrzył z należytą starannością roszczeń wszystkich zainteresowanych stron.

Randolph, ku własnemu zdumieniu, złapał się na tym, że także się uśmiecha.

- A więc nie udało ci się przejąć skarbu!

- Wkrótce go dostanę - zapewnił morderca. - Ty natomiast nie będziesz miał już okazji komukolwiek wyjawić, że coś podobnego w ogóle istnieje.

- Mój syn cię odnajdzie. Odnajdzie Agamemnona.

- Wiesz co, nie podoba mi się myśl, że mógłbyś zginać tak pełen dumy i pewności siebie. Może więc najpierw ci wyjawię, co rzeczywiście kryje skrzynia, a dopiero potem cię zabiję? Wierz mi, to, co usłyszysz, z pewnością zetrze ten wyniosły uśmieszek z twojej twarzy. Więc jak? Chcesz umrzeć w nieświadomości czy w końcu się dowiedzieć, za czym tak bezsensownie goniełeś przez te wszystkie lata?

Randolph zawahał się, niepewny, jak zareagować, a tymczasem młody mężczyzna - biorąc jego milczenie za zgodę - wyciągnął zza kurtki niezwykły, długi sztylet, po czym wyznał starcowi prawdę.

Fitz-Stephens osunął się powoli na ziemię z szeroko rozwartymi oczami, oszołomiony nie tyle ciosem sztyletu w pierś, ile słowami, które wryły się w jego pamięć i wzbudziły w nim falę przerażenia równie potężną jak fala Atlantyku, mająca wkrótce wyrzucić jego ciało na biały piasek u stóp wyniosłych bretońskich wydm.

CZEŚĆ TRZECIA

POWRÓT DO ITAKI

Chociaż kadisz odmawiany jest w intencji zmarłych, nie ma w tej modlitwie żadnych odniesień do śmierci. Jest to świadectwo wiary w sprawiedliwość Boga, która nas nie opuszcza nawet w najcięższych chwilach żałoby, nawet wówczas, gdy Jego wyroki pozostają dla nas niepojętą tajemnicą. Kiedy śmierć - zaprzeczenie życia - zdaje się wszechmocna, kadisz odnawia naszą wiarę w sens ludzkiego istnienia. Poprzez tę modlitwę publicznie manifestujemy pragnienie przynależności do żydowskiej społeczności naszych przodków. Kultuwując tradycję spajającą pokolenia, wyrażamy naszą nieustającą wiarę w miłość i sprawiedliwość Boga oraz wyrażamy błaganie, by jak najszybciej Pan zechciał ustanowić swoje królestwo na ziemi i sprowadzić pokój.

Rozważania nad modlitwą kadisz,
„Księga modlitw na szabas i inne święta”
oprac. przez Amerykańskie Zgromadzenie Rabinów
oraz Zjednoczoną Synagogę Ameryki

51.

Samolot linii Delta opuścił Ateny zgodnie z rozkładem, tuż po dwunastej w południe, kierując się ku nowojorskiemu lotnisku imienia JFK, skąd dalej miał lecieć do Atlanty. Debora spojrzała przez okno na błękitne niebo i spowity gorącym powietrzem pas startowy, po czym spróbowała wyciągnąć nogi. Ogarnęło ją dobrze znane, upokarzające poczucie bezsilności.

Nie ma co się czarować. Ten świat jest łaskawy jedynie dla drobnych kobiet - i to niemal pod każdym względem.

Kiedy się wzbili w powietrze, miała nadzieję, że uda jej się obejrzeć Akropol z lotu ptaka, ale nie dostrzegła nic poza prostokątami wyblakłego betonu, który w tak przygnębiających ilościach występował w tym mieście. Jej pobyt w Grecji dobiegł końca. Wracła do domu. Miała nadzieję, że jej losy potoczą się pomyślniej niż losy Greków po zakończeniu wojny trojańskiej. Większość z nich nigdy nie ujrzała ojczyzny, a na tych, którym było to dane, czekały jedynie chaos lub skrytobójcza śmierć. Odyseusz miał najwięcej szczęścia, ale i tak dopiero po dziesięciu latach dotarł do rodzinnej Itaki, gdzie jeszcze musiał się zmagać z istnym pandemonium, jakie się rozpętało na skutek jego powrotu.

Przez następną godzinę Debora studiowała czasopisma podróżnicze, przyglądając się fotografiom nieznanymi miejsc i zastanawiając się, jak wiele z nich zdąży zobaczyć przed śmiercią.

Jeżeli wydarzenia ostatnich dni potraktować jako zapowiedź przyszłości, natychmiast wyruszaj na safari lub w równie egzotyczne miejsce albo już dziś żegnaj się z tym światem.

To zabawne, ale dobrze znajome, sterylne wnętrze samolotu, wytłumione buczenie silników i napór ciśnienia w uszach sprawiały, że dwukrotny zamach na jej życie wydał się nagle czymś absurdalnie nierealnym.

Po raz pierwszy od chwili, gdy usłyszała wysoki warkot motoru na drodze do twierdzy, może nawet od chwili, gdy w ruinach Akrokoryntu padły strzały, Debora zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie był to jednak zbieg okoliczności lub jakieś kolosalne nieporozumienie.

Ale odezwał się do niej po imieniu. Tam, w tunelu prowadzącym do cysterny, napastnik zawołał: „Deboro”. Poczowała, jak na owo wspomnienie przesywa ją lodowaty dreszcz. „Nie dożyjesz następnej godziny, lecz nie poznasz tego przyczyny”.

Za każdym razem był to ten sam zabójca, miał na piersiach wytatowane to samo słowo, które z nieznanых przyczyn Richard zanotował w noc swojej śmierci. To nie przypadek ani pomyłka. Ktoś rzeczywiście chciał jej śmierci.

Tylko dlaczego? Zamordowanie Richarda z powodu bezwartościowych „skarbów” to jedno, ale pościg za nią na drugi kontynent wydawał się kompletnie pozbawiony sensu. Jeżeli ona zdołała ustalić, że złote i ceramiczne przedmioty z sekretnego pokoju zostały wykonane w charakterze turystycznych pamiątek przez greckiego wiejskiego rzemieślnika, z pewnością mógł to zrobić i ten, kto postanowił ją zgładzić. Zdobycie tej informacji nie wymagało wiele zachodu. Poza tym ludzie gotowi na wszystko, byle zdobyć tę kolekcję, musieli przecież wiedzieć, za czym gonią - musieli mieć świadomość, że to przedmioty bez żadnej wartości. A jeżeli o tym wiedzieli, czemu wciąż na nią polowali?

To bez sensu.

(„... nie poznasz przyczyny”)

Czy możliwe, że jednak ta kolekcja była autentyczna? Debora nie miała dowodów, że jest inaczej - nic poza silnym przeczuciem i kilkoma poszlakami. Czyżby Popadreus celowo utwierdzał ją w przekonaniu, że Richard wszedł w posiadanie falsyfikatów, by zniechęcić Deborę do dalszych działań, naprawdę zaś oczekiwał już cennej przesyłki? To niewykluczone, ale wyjątkowo mało prawdopodobne. Jeżeli kiedykolwiek Grecy przemyciliby ludzkie szczątki ze złotą maską do Aten i wystawili je na widok publiczny, Debora od razu by wiedziała, skąd się wzięły, i uwikłała grecki rząd w skomplikowany, kosztowny proces sądowy, w trakcie którego trzeba by wyjaśnić pochodzenie znaleziska i sposób jego przejęcia.

Chyba żebyś tego nie dożyła, odezwał się cichy głos, który z lubością podsuwał równie złowieszcze myśli. Ledwo Popadreus dowiedział się o twoim zainteresowaniu maskami pośmiertnymi, a natychmiast zaczął cię ścigać zabójca. Czy to przypadek?

O, nie. W żadnym razie nie uwierzy, że dyrektor ateńskiego muzeum byłby zdolny do tak nieludzkich działań. I choć siłę tego argumentu łatwo można by zakwestionować, Debora postanowiła polegać na własnej intuicji.

Opadła na oparcie fotela, zamknęła oczy i skierowała myśli ku Calvinowi. Obiecał, że przyjedzie po nią na lotnisko. Debora uśmiechnęła się leciutko i ogarnęło ją radosne podniecenie, wypierając chwilowo z jej świadomości wszystkie straszne skojarzenia ze słowem „związki”, a także ponure ostrzeżenia (kilka z nich opartych na jej dość tragikomicznej przeszłości), których wygłaszaniem tak bardzo się rozkoszował cichy wewnętrzny głos.

W końcu jednak ponownie zadźwięczała jej w uszach szydercza rymowanka zabójcy („...i nie poznasz tego przyczyny”). Jakże prawdziwe słowa, rzeczywistość nie miała pojęcia, co się dzieje. A im więcej się dowadywała, tym bardziej czuła się zagubiona. Jakby próbowała ułożyć łamigłówkę z kawałków zawierających elementy jeszcze innej układanki. Z każdym wskakującym na swoje miejsce fragmentem coraz wyraźniej wyczuwała, że pod spodem kryje się jeszcze inny obrazek, którego jednak nie była w stanie dostrzec.

Jakimś cudem udało jej się przespać kolejne trzy godziny, a kiedy się obudziła, personel pokładowy sprzątał po obiedzie i szykował się do lądowania w Nowym Jorku. Znalazszy się już na lotnisku, kupiła „New York Timesa” i czekając na odlot do Georgii, zachłannie przeczytała go od deski do deski.

Czterdzieści pięć minut przed planowym lądowaniem w Atlancie do Debory podeszła stewardesa czy też pracownica personelu pokładowego - czy jakkolwiek się oni teraz nazywali. Pochyliła się nisko nad fotelem, jednak jej profesjonalny uśmiech nie do końca maskował wyraz zakłopotania.

- Panna Miller?- Dziewczyna jeszcze szerzej rozciągnęła usta, ukazując idealnie białe i równe zęby. - Panna Debora Miller?

- Tak. Czy coś się stało?

- Ależ skąd! - skłamała radośnie stewardesa. - Wkrótce będziemy lądować w Atlancie i chciałam się tylko upewnić, że siedzi pani na właściwym miejscu.

- Doprawdy... - Słowa dziewczyny wzbudziły w Deborze czujność.

- Kiedy już skończymy kołować, jeden ze stewardów przyjdzie po panią.

- Dlaczego? Nic z tego nie rozumiem.

- Wsiądzie pani pierwsza.
- Pierwsza?
- Przed innymi pasażerami - odparła dziewczyna, a jej usta przypominały teraz recepturkę rozciągniętą do granic możliwości.
- Ale czemu? Dlaczego ja? O co tutaj chodzi?

52.

Ogarnął ją gwałtowny niepokój, lecz im bardziej zdecydowanie domagała się wyjaśnień, tym energiczniej personel zaprzeczał, by otrzymał jakiegokolwiek szczegółowe informacje. Przemawiali do niej uspokajającymi głosami, nachylali się troskliwie i częstowali ją niezliczonymi uśmiechami, jakby mieli do czynienia z rozkapryszoną trzylatką lub pasażerem żądającym wołowiny, której ostatnią porcję wydano trzy rzędy wcześniej. Na szczęście na sąsiednim fotelu nikt nie siedział, Debora nie musiała więc przez ostatnich dwadzieścia minut lotu znosić zaintrygowanych spojrzeń lub wścibskich pytań.

Dlaczego ma wysiąść pierwsza i kto tak zarządził?

A może to specjalna niespodzianka, jakimś cudem zaaranżowana przez Calvina, który chciał jej oszczędzić przepychanki i stania w kolejkach - nieuniknionych uciążliwości po lądowaniu? Ta myśl nieco podniosła ją na duchu. Niewykluczone, że owa niezwykła procedura została wszczęta ze względu na jej bezpieczeństwo - na przykład dla ochrony przed którymś ze współpasażerów. Podniosła się energicznie z fotela i zaczęła rozglądać na wszystkie strony, ale ujrzała jedynie obojętne, nieznane jej twarze. Jediną osobą, jaka zwróciła na nią uwagę, był pewien dzieciak, który głośno zaczął skarżyć się matce, że „ta wysoka kobieta” zasłania mu ekran. Debora natychmiast opadła na siedzenie i nawet zapięła pas, żeby nie narażać się na kolejne przesadne uprzejme napomnienia personelu pokładowego.

A może nie tylko Calvin czeka na nią na lotnisku. Ponownie poczuła przypływ niepokoju. Ale jeżeli ktoś tam na dole, w Atlancie, zamierzał się z nią krwawo rozprawić, jakim cudem zdołał zmusić personel samolotu do uległości?

Takim samym, w jaki „detektyw” Cerniga przejął kontrolę nad dochodzeniem, chociaż wcale nie był gliniarzem.

Samolot zaczął się zniżać i żołądek podjechał jej do gardła niczym łódź uniesiona niespodziewanie silną falą. Debora niecierpliwie zabębniła palcami o poręcz, podczas gdy z interkomu płynęło zwyczajowe głośzenie o zamocowaniu stolików, ustawieniu oparć w pozycji pionowej...

O rany! Łądujcie, jak macie lądować!

Spojrzała przez okno. Samolot przebił się przez niewielki obłok, a potem jej oczom ukazało się miasto - rozciągnięte we wszystkich kierunkach, wyczekujące. Próbowła się zorientować, na co dokładnie patrzy, tylko po to, by zająć czymś myśli, ale niczego nie rozpoznawała. Widziała jedynie kompleksy przemysłowe, magazyny i wielkie parkingi oraz szerokie, zatłoczone drogi ze stacjami benzynowymi na poboczach. I tylko gdzieś w oddali, pomiędzy drzewami, migąły białe domki. To mogło być dowolne przedmieście w każdej metropolii.

Stewardesa, która pierwsza do niej podeszła z zaskakującą wiadomością, usiadła na rozkładanym siedzeniu przy kabinie pilotów i zapięła pas. Przez chwilę ich oczy się spotkały, ale dziewczyna szybko odwróciła wzrok. Przyłapaną bez służbowego uśmiechu na ustach, sprawiała wrażenie zmęczonej i niespokojnej. Debora zaczęła się zastanawiać, czy ów niepokój nie miał przypadkiem czegoś wspólnego z jej osobą.

Chwilę później dał się słyszeć charakterystyczny odgłos wysuwania podwozia, uświadamiający wszystkim wokół, że -jakkolwiek nieprawdopodobnie to brzmiało - owa wielka srebrna tuba była tworem mechanicznym latającym w zgodzie z prawami fizyki.

Teraz wyraźnie już było widać samochody, a nawet kilku - jakże rzadkich w Atlancie - pieszych. Przed oczami Debory pojawiły się czubki drzew, linie energetyczne, a w końcu - niespodziewanie - zatłoczona autostrada, niemal naturalnej wielkości. Przelecieli nad jej sześcioma pasami, ponad wysokim siatkowym ogrodzeniem i znaleźli się nad pasami startowymi przecinającymi połączenie poźółkłej darni. Przez chwilę lecieli tak, jakby wielki samolot był szybowcem unoszącym się na prądach powietrznych, po czym koła uderzyły o asfalt. Zadziałały hamulce i Debora poleciała do przodu siłą inercji.

Wciąż jeszcze kołowali w stronę terminalu, gdy podszedł do niej jeden ze stewardów - młody, atletyczny mężczyzna, najprawdopodobniej gej.

- Gdzie pani bagaż, panno Miller?

Popatrzyła na niego półprzymtomnie i wskazała na schowek nad fotelami. Steward wyciągnął plecak i plastikową torbę z zakupami.

- Czy ma pani coś jeszcze?

- Nie.

- Kiedy tylko samolot stanie w miejscu, ruszamy do wyjścia.

Skinęła głową w milczeniu. Czuła suchość w ustach i rozglądała się wokół, chociaż nie miała pojęcia, czego właściwie wypatruje. Przypomniła sobie, że gdy w wieku dziesięciu lat miała publicznie zagrać na pianinie, drżącymi, spoconymi dłońmi odchyliła nieznacznie kurtynę, żeby zerknąć na widownię centrum kulturalnego na Brooklynie i sprawdzić, czy zjawiał się ojciec. Teraz czuła się bardzo podobnie - jakby znowu ogarnęła ją artystyczna trema.

Samolot wykonał kilka naziemnych manewrów i w końcu się zatrzymał. Zanim zgasły napisy nakazujące zapięcie pasów, steward już pomógł Deborze wstać i poprowadził ją do wyjścia. Stewardesa, która siedziała w pobliżu, szybko się poderwała, jakby wzywały ją pilne obowiązki, i odwróciła

Młody człowiek eskortujący Deborę nacisnął lewar, pchnął drzwi i Debora ujrzała rękaw prowadzący do terminalu. Pracownicy personelu naziemnego w wodoodpornych kurtkach i różowych odblaskowych kamizelkach rozstąpili się na boki; za nimi stał umundurowany policjant, a obok niego Keene i Cerniga.

- Dzięki - Keene zwrócił się do stewarda. - Teraz już my się wszystkim zajmujemy.

Funkcjonariusz w mundurze wziął bagaże Debory i steward bez słowa wycofał się do samolotu.

- Zechce pani pójść z nami, panno Miller - odezwał się Cerniga.

- Mamy do pani parę pytań dotyczących...

- Nigdzie z panem nie pójde - oświadczyła Debora.

- Ależ pójdzie pani - zapewnił Keene, postępując w jej stronę. - Jeżeli nie po dobroci, to...

Z głębi tunelu dobiegł jakiś tumult i chwilę później pojawił się mężczyzna - z rozwianymi włosami i zatroskaną miną, ścigany przez jednego z pracowników ochrony lotniska. Był to Calvin Bowers.

- Deboro! - wykrzyknął.

- Weźcie stąd tego faceta! - wrzasnął Keene.

- Calvin, oni chcą mnie ze sobą zabrać! - odkrzyknęła do Calvina, który teraz, zastawiony przez ochroniarza, próbował zza jego ramienia zorientować się, co się dzieje.

- Jestem jej adwokatem! - W tonie prawnika pojawiła się ostra nuta.

- Jeżeli chcecie ją aresztować, mam prawo i obowiązek jej towarzyszyć.

- Na razie jeszcze nikt nikogo nie aresztował - oznajmił Cerniga, nie spuszczać oczu z Debory. - Ale zapewne do tego dojdzie, jeżeli ta awantura natychmiast się nie skończy.

Calvin uwolnił się od ochroniarza i podskoczył do nich dwoma susami.

- Czy możemy tu ściągnąć innych policjantów? - zwróciła się Debora do prawnika.

- Z nami jest pani całkowicie bezpieczna - zapewnił Cerniga.

- Doprawdy? - rzuciła wojowniczo. - W takim razie chcę zobaczyć pańską odznakę.

Cerniga wyraźnie się zasepił.

- Nie mamy teraz czasu na podobne ceregiele...

- Powiedziałam, że chcę zobaczyć pańską odznakę! - wykrzyknęła głośniej i bardziej histerycznym tonem, niż zamierzała.

Cerniga zerknął spod oka na Keene'a, ale detektyw tylko wzruszył nieznacznie ramionami i odwrócił wzrok. Cerniga z kwaśną miną sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął czarne, skórzane etui wielkości i kształtu klasycznego portfela. Otworzył je jedną ręką, szybkim wprawnym ruchem i podsunął pod nos Deborze.

Oniemiała. W etui znajdowała się plastikowa karta z jego zdjęciem - bardzo przypominająca prawo jazdy - a przez jej środek biegły trzy wielkie litery: FBI.

53.

- FBI? - wykrztusiła z niedowierzaniem. Instynktownie spojrzała na Keene'a, który ponownie wzruszył ramionami i kiwnął potakująco głową.

- Czemu wcześniej pan mi tego nie powiedział?

- Uznano to za zbędne.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Calvin. - Dlaczego tą sprawą zajęły się władze federalne? Kto właściwie kieruje tu śledztwem?

- Ja - odparł Cerniga.

Keene tymczasem cofnął się o krok i z rozbawieniem obserwował sytuację.

- To jakieś szaleństwo! - Oburzenie Calvina wzięło górę nad jego profesjonalnym opanowaniem. - Nie może pan jednego dnia podawać się za gliniarza, a drugiego...

- Owszem. - Cerniga tym razem nie zamierzał ustępować. - W zaistniałej sytuacji właśnie mogę.

- Przepraszam... - u boku Debory ponownie się pojawił wyraźnie zakłopotany steward -...ale mamy pełen samolot pasażerów, którzy już bardzo się niecierpliwiają. Może więc zechcą państwo przenieść tę dyskusję do budynku terminalu?

Cerniga obrócił się na pięcie i wyprowadził całe towarzystwo z łącznika.

Przeszli przez odprawę celną i paszportową w chaosie nieustannego wymachiwania legitymacjami i odznakami, cały czas prowadząc między sobą ostry spór. Jak na ironię to Debora, którą wyprowadzano z lotniska w upokarzający sposób, zachowywała największy spokój. Ostatecznie, powiedziała sobie w duchu, sytuacja mogła być dużo gorsza. I chociaż nie pojmowała gry Cernigi, czuła się teraz o wiele bezpieczniej niż jeszcze

przed chwilą na pokładzie samolotu - a właściwie od czasu gdy podслуchała rozmowę dwóch detektywów.

Calvina jednak nie udało się tak łatwo spacyfikować.

- Żądam natychmiastowego wyjaśnienia, czemu w sprawę zaangażowało się FBI! - wykrzyknął rozszłoszczony.

- Już to wyjaśniałem - odparł Keene. Jego rozbawienie szybko się ulotniło i na powrót stał się zgryźliwym, gburowatym gliniarzem. - Skradzione przedmioty wywieziono poza granicę stanu. W grę wchodzi również międzynarodowy przemyt. Zbyt gruba sprawa dla nas, prowincjonalnych prostaczków.

Mundurowy policjant po wyjściu z lotniska wszedł do stojącego przy krawężniku radiowozu, natomiast Debora i trzech pozostałych mężczyzn skierowali się ku staremu oldsmobile'owi Keene'a (zaparkowanemu niezgodnie z przepisami tuż przy wejściu do strefy bagażowej). Wyjechali ślimacznicą z terenu lotniska i skręcili w stanową 185.

Debora i Calvin tkwili ściśnięci na tylnym siedzeniu. Kiedy postąpiła mu spojrzenie spod oka, wyglądał przez okno z gniewną miną, szybko jednak odwrócił się ku niej - jakby wyczuwając wzrok Debory - po czym posłał jej ciepły uśmiech.

- Nie w taki sposób zamierzałem cię powitać.

Tylko skinęła głową.

- Co wybieracie? - rzucił Keene z przedniego siedzenia.

- A cóż to ma znaczyć? - zaperzył się Calvin.

- Pytam jedynie, dokąd mamy odwieźć łaskawą panią - odparł detektyw, szczerząc zęby do Cernigi, który - o ile Debora zdołała się zorientować - nie zareagował na to w żaden widoczny sposób.

- A mam jakiś wybór? - spytała.

- Chce pani jechać do domu, wziąć prysznic i takie tam czy woli pani udać się od razu do muzeum?

Aż ją skreśliło na myśl, że Keene węszyłby w jej mieszkaniu, podczas gdy ona brałaby kąpiel.

- Do muzeum - zdecydowała.

Do domu wróci sama. Bo jak już tam dotrze, będzie się chciała uspokoić i zrelaksować, a nie zabawiać w gospodynię i poddawać przesłuchaniu nad filiżanką kawy lub herbaty.

A jeżeli Calvin zechce przyjechać do ciebie wieczorem?

Och, zamknij się! Zamknij!

Odwróciła się do okna i przygryzła wargę, żeby zdusić nieznaczny uśmiech.

- Wróćmy raz jeszcze do przyczyn, które skłoniły panią do opuszczenia kraju - zarządził Cerniga.

Był szorstki, wręcz konfrontacyjny od czasu, gdy spotkali się na lotnisku, chociaż Debora nie umiała zdecydować, czy jego zachowanie wynikało z faktu, że musiał oficjalnie zmienić swój status z „detektywa” na „agenta”, czy też brało się z jakichś innych przyczyn. Prawdopodobnie jego antagonizm miał źródło we wcześniejszych wydarzeniach. Debora odnosiła niejasne wrażenie, że Cernidze nie spodobała się jej zamorska eskapada, mimo że - co podkreśliła na samym początku - nikt jej nie zakazywał wyjazdu ze

- Już przecież o tym mówiłam - jęknęła. Od ponad godziny prowadzili rozmowę w małym biurze muzeum i powoli zaczynała ją opuszczać cierpliwość.

- Panno Miller, myślę, że w świetle dotychczasowych pani działań mógłbym bez trudu oskarżyć panią o utrudnianie śledztwa. I jeżeli nadal będzie pani tak nieskora do współpracy, nie pozostawi mi pani innego wyboru.

Cerniga nie blefował. Był naprawdę wściekły i prawdopodobnie nieco upokorzony - zarówno jej wyjazdem z kraju, jak i marnymi postęпами dochodzenia, powinna więc nieco spuścić z tonu. Ostatecznie - mimo że początkowo wprowadził ją w błąd - jako agent federalny był jej sojusznikiem w dążeniu do rozwiązania zagadki śmierci Richarda. Jeżeli więc nie zacznie lepiej traktować tego faceta, może w końcu sama stać się główną podejrzaną.

- No dobrze - mruknęła ugodowo. - Wyjechałam, ponieważ mój przyjaciel został brutalnie zamordowany, ponieważ ktoś włamał się do mojego mieszkania i ponieważ podejrzewałam, że nie jest pan prawdziwym policjantem. Wybrałam Grecję, bo wszystkie okoliczności związane ze śmiercią Richarda wskazywały właśnie na ten kraj, więc chciałam... właściwie sama już nie mam pojęcia, co zamierzałam zrobić.

- Zabawić się w drugą Nancy Drew? - rzucił ironicznie Keene, nie podnosząc wzroku znad swojego notesu.

Debora wzruszyła ramionami.

- Nie wiedziałam, komu mogę zaufać - podjęła po chwili. - Wówczas wyjazd wydawał mi się rozsądnym rozwiązaniem.

- Takiego rozsądku zapewne uczą w muzealnych szkołach - zadrwił Keene. - W realnym świecie można go o kant dupy rozbić.

- Nie istnieje nic takiego jak „muzealna szkoła” - sprostowała. - A jeżeli ma pan na myśli uniwersytet czy jakikolwiek inny aspekt życia związany z moją pracą, to są one jak najbardziej realne.

- Doprawdy? - Keene zaczepnie przekrzywił głowę i spojrzął na Deborę w tak bezczelny sposób, jakby chciał ją sprowokować do rękoczynów.
- Owszem. - Spiorunowała go wzrokiem.
- Proszę nam ponownie opowiedzieć o wszystkim, co spotkało panią w Grecji - wtrącił Cerniga głośno, ale beznamyślnie, kładąc w ten sposób kres spięciu Debory z detektywem - już trzeciemu w przeciągu ostatniej godziny.

Debora szczegółowo i szczerze opowiedziała o wydarzeniach w Grecji, zataiła jednak dwie rzeczy. Przede wszystkim nie wyjawiała, że zaginiona pośmiertna maska znajdowała się na częściowo zachowanych ludzkich szczątkach, więc policjanci wciąż sądzili, że poszukują jedynie cennego zabytku. Fakt, że Debora początkowo uwierzyła w historię o zwłokach Agamemnona, wydawał się zbyt kompromitujący, by głośno o nim mówić. Miała nadzieję, że jeżeli zachowa tę wiadomość dla siebie, może uratuje godność paru osób, które dały się bardziej od niej oszukać: Richarda, greckiego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Siergieja Wołoszynowa, a nawet Marcusa, chociaż jemu akurat najchętniej by teraz przyłożyła.

Próbowała zainteresować Cernigę sprawą zabitego Rosjanina, agent jednak nie chciał o tym słyszeć, Keene zaś przewrócił teatralnie oczami, gdy na dowód słuszności swoich racji przywołała wzmiankę o jakichś „pozostałościach” w rosyjskim liście.

- Nie ma mowy o żadnym związku - zachnął się ostro. - Tej samej nocy w okręgu Foulton zabito dwóch handlarzy narkotyków. Czy sądzi pani, że oni też mieli chrapkę na jakąś grecką grobową maskę? Chcieli ją zawiesić w charakterze gustownej maskotki w swoim mercedesie?

- Rosjanin nie ma nic wspólnego z naszą sprawą - zdecydował Cerniga, powściągając sarkazm Keene'a w ten jedyny sposób możliwy do zaakceptowania przez policjanta. - Jego sprawa jest zamknięta.

- Zupełnie nie pojmuję, dokąd ma nas doprowadzić ta rozmowa - wtrącił w końcu Calvin Bowers. Wyglądał na zmęczonego i wymizerowanego, jakby niewiele spał poprzedniej nocy. - Może więc podejmiemy ją na nowo nazajutrz rano, jeżeli mają panowie do mojej klientki jeszcze jakieś pytania - inne niż te, na które już kilkakrotnie

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Cerniga zdecydowanie nacisnął na klamkę, a wówczas Tonya, w kombinezonie barwy okrętu wojennego, uzbrojona w szczotkę, wsunęła głowę do środka.

- Zamierzam wszystko pozamykać - oznajmiła. - Czy mogłabym jeszcze w czymś pomóc przed wyjściem?

Nawet nie rzuciła okiem w stronę Debory.

- Dziękujemy - odrzekł Cerniga, kręcąc głową. - My już też kończymy.

Tonya skłoniła się z szacunkiem i zaczęła się wycofywać. Zatrzymała się jednak w pół kroku, jakby tknięta nagłą myślą, i zwróciła się do Debory.

- A, panno Miller, chciałabym złożyć wypowiedzenie. Bardzo lubiłam pana Dixona, ale teraz, kiedy go zabrakło, nie widzę dla siebie miejsca w tym muzeum.

W słowach i tonie czarnoskórej kobiety było wyzwanie i wyniosłość, a uśmiezek Keene'a nie pozostawiał wątpliwości, jak bardzo go cieszy, że Murzynka publicznie dała prztyczka w nos nowej paniusi-szefowej. Debora natomiast dojrzała w oczach tamtej ukryte ostrzeżenie - wyraźny przekaz: „podejmij tę grę”.

Drugą rzeczą, którą Debora zataiła przed Keene'em i Cernigą, było spotkanie z Tonyą w Mykenach oraz fakt, że czarnoskóra kobieta miała czysto osobiste powody, by interesować się zaginionymi eksponatami, nawet jeśli były to jedynie imitacje.

- Rozumiem - odparła chłodno. - Ale jeżeli wszystko tutaj nie będzie lśnić, nie wypłacę ci ostatniej pensji. Nie było mnie zaledwie parę dni, a to miejsce wygląda tak, jakbyś nawet nie raczyła przejechać mopem po podłogach. Czy ty w ogóle przychodziłaś do

- Skorzystałam z sytuacji, żeby odwiedzić rodzinę w Luizjanie - odparła Tonya jeszcze bardziej wojowniczym tonem. - Ostatecznie muzeum jest zamknięte, a pod nogami ciągle kręci mi się policja. Bez urazy - rzuciła w stronę Keene'a.

- Nie ma o czym mówić - odparł szybko, najwyraźniej rozkoszując się całą sytuacją.

Sprytne, pomyślała Debora, z trudem powstrzymując uśmiech. Zwracając się bezpośrednio do Keene'a, sprzątaczką odwróciła jego uwagę od reakcji Debory na tę drobną bajeczkę. Jak dobrze, że zdecydowała się nie wspominać o Tonyi, gdy opowiadała o swoich greckich przygodach.

- Panno Miller? - Głos czarnoskórej kobiety brzmiał tak wyniośle, jakby to ona była kustoszem, a Debora sprzątaczką. - Czy przed wyjściem mogłaby mi pani poświęcić chwilę? Chodzi o moje deklaracje podatkowe.

- Naturalnie - odrzekła Debora z rezerwą.

Kiedy za sprzątaczką - a raczej dziennikarką - zamknęły się drzwi, Debora zaczęła się zastanawiać, czemu Tonya w ogóle jeszcze tu urzędowała. Dlaczego zdecydowała się zostać pod nosem FBI, szczególnie że

- jak obie ustaliły - eksponat, którego poszukiwali agenci, był kompletnie bezwartościowy. Cóż, Tonya sprytnie wyznaczyła im spotkanie w cztery oczy, więc zapewne nim minie wieczór, Debora się wszystkiego dowie.

- Mam jedno pytanie - odezwał się Keene. - Gdyby to pani ukradła maskę, co by pani z nią zrobiła?

Debora zastanowiła się przez chwilę. Ze strony Keene'a było to zapewne mało subtelnie zawołowane oskarżenie, uznała jednak, że kwestia jest istotna.

- Sądzę, że wystawiłabym ją na sprzedaż na czarnym rynku. Chyba że bym to zrobiła na polecenie konkretnego kupca. Lub też przyciśniłabym ją na jakiś czas, poczekała, aż sprawa przycichnie - aż wszyscy poza najbardziej zdeterminowanymi kolekcjonerami przestaną się interesować zaginionym obiektem.

Keene uniósł brew, tym razem jednak bez ironii. Pewnie nie oczekiwał poważnej odpowiedzi, a tymczasem uzyskał informację, którą wyraźnie uznał za ważną.

- A gdyby pracowała pani na konkretne zamówienie - wtrącił Cerniga - powiedzmy greckiego rządu, i przybyła tu nie po to, żeby ukraść maskę, tylko poddać ją oględzinom?

Debora w bardzo enigmatyczny sposób zrelacjonowała swoje rozmowy z Popadreusem, ale - jak widać - Cerniga zdołał sporo wyczytać między wierszami.

- Myślę, że zrobiłabym wszystko, żeby potwierdzić jej autentyczność.

- To znaczy, jak by się pani do tego zabrała?

Debora westchnęła.

- Przede wszystkim poprosiłabym o opinię eksperta. Chociaż zapewne ludzie, których ma pan na myśli, sami są ekspertami wysokiej klasy. Wobec tego dostarczyłabym eksponaty do laboratorium, gdzie wykonano by odpowiednie testy.

- Ale skoro Richard zamierzał sprzedać lub oddać część kolekcji, musiał wcześniej zadbać o potwierdzenie autentyczności, by przedstawić je ewentualnemu kontrahentowi - zauważył Cerniga.

- Nie, jeżeli określony eksponat był kłopotliwy w transporcie lub gdyby za wszelką cenę chciał utrzymać jego istnienie w sekrecie - stwierdziła Debora. - Lub sądził, że to, co posiada, może go narazić na atak pozbawionych skrupułów handlarzy. Wówczas trzymałby okazy w ukryciu, ujawniając tylko drobiazgi, by wzbudzić zainteresowanie kontrahenta. Natomiast wysyłanie wyników jakichkolwiek testów z założeniem, że ewentualny kupiec przyjmie je bez zastrzeżeń, byłoby wielką naiwnością.

Osoba zainteresowana kupnem z pewnością chciałaby osobiście sprawować pieczę nad badaniami.

- Czegoś tu nie pojmuję - wyznał Keene. - Jeżeli to coś jest duże i ze złota, znaczy się kosztuje kupę forsy. Co za różnica więc, czy jest stare i skąd dokładnie pochodzi?

- Bo to nie tylko kwestia nominalnej wartości kruszcu - odezwał się Calvin. - Liczy się też wartość kulturowa, estetyczna, konotacje historyczne. To czyni przedmiot bezcennym.

- Wciąż nie kapuję - oznajmił z dumą Keene. Najwyraźniej uważał, że jeśli uzna dyskusję o kulturze i historii za stek bzdur, stanie się bardziej męski i na dodatek zacznie celniej strzelać.

- Tak naprawdę nie ma wielkiej różnicy między wartością nominalną a kulturową - powiedziała Debora. - Złoto jest cenne tylko dlatego, że spodobało się ludziom i nie występuje powszechnie w naturze. Podobnie ma się sprawa z diamentami. Diament jest przecież nie mniej powszechny od jakiegoś rzadkiego pierwiastka czy minerału. Różni się od nich tylko tym, że wzbudza zachwyty w ludziach. Jednak podczas gdy złoto i diamenty nieustannie wydobywa się w wielu miejscach świata, mykeńskie maski pośmiertne są absolutnym unikatem. Kolejne już nigdy nie powstaną. Z tego względu ich wartość ściśle się wiąże z okresem powstania i z tym, kogo przedstawiały. Stąd tak istotne jest potwierdzenie ich autentyczności.

- A jak można to zrobić? - zainteresował się Cerniga. - Wspomniała pani o testach laboratoryjnych. Czy mówimy o datowaniu węglem?

- Nie można w ten sposób określić wieku złota. Ta metoda określa czas połowicznego rozpadu radioaktywnego węgla tylko w takim materiale, który kiedyś był substancją organiczną lub w którym można znaleźć organiczne zanieczyszczenia. Dlatego w wypadku metali szlachetnych jest niemiarodajna.

- A czy są dostępne jakieś inne testy?

- Żadne, które dawałyby jednoznaczne rezultaty bez udokumentowanego certyfikatu pochodzenia.

- Czemu więc, u diabła, rozwodzimy się nad tym? - zirytował się Cerniga.

- Ponieważ inne eksponaty z kolekcji można datować metodą węglową - odrzekła Debora. - Na przykład ceramikę. Naturalnie nie wiemy, co dokładnie znajdowało się w skrzyni wraz z maską. Wiemy jednak, że określenie wieku innych przedmiotów pochodzących z tego samego archeologicznego stanowiska może dać odpowiedź na pytanie o autentyczność maski.

Zachowała dla siebie najważniejszą informację - tym, co z pewnością można datować metodą radiowęglową, była tkanka ludzka. Jeżeli rzeczywiście szczątki Agamemnona znajdowały się w małym pomieszczeniu za półkami, można by określić ich wiek z dokładnością do mniej więcej stu lat. W przeszłości przeprowadzenie podobnego testu wymagałoby dostarczenia sporej ilości materiału, a więc znacznego uszkodzenia eksponatu, przed czym - ze zrozumiałych względów - archeolodzy bardzo się wzbrani. Jak ktoś kiedyś powiedział: „Ten, kto niszczy obiekt, by ustalić, czym jest w istocie, zbacza ze ścieżki mądrości”. Wszystko jednak uległo zasadniczej zmianie wraz z wynalezieniem akceleracyjnej spektroskopii masowej. Obecnie laboratoria dysponujące ogromnymi funduszami (urządzenia ASM kosztowały miliony dolarów) mogły uzyskiwać precyzyjne wyniki badań nawet ze śladowych ilościowo próbek.

Podobnych laboratoriów, siłą rzeczy, było bardzo niewiele, więc jeżeli Grecy chcieliby się odwołać do podobnych testów, nie mieliby wielkiego wyboru na terenie Stanów. Debora jednak wiedziała przynajmniej o jednej takiej placówce. Na szczęście dla Greków, którzy odwiedzili Richarda, a także dla niej samej, laboratorium znajdowało się zaledwie dwie godziny jazdy samochodem od Atlanty.

54.

- Mogę podwieźć panią do domu? - zaproponował Cerniga.

Debora poczuła się nieswojo. Calvin stał tuż obok i usłyszawszy słowa agenta, wyraźnie się zmieszał. Cerniga go uprzedził, a ponieważ samochód Debory wciąż stał zaparkowany przed synagogą (o ile policja nie odholowała go na jakiś podmiejski parking), nie przychodziła jej do głowy żadna wymówka, którą mogłaby się posłużyć, by odprawić agenta.

- Przed wyjściem muszę się zająć dokumentami Tonyi - przypomniała. - To może potrwać dłuższą chwilę.

Nie miała odwagi spojrzeć na Calvina.

- Nie ma problemu. Poczekam - zapewnił Cerniga.

Zmusiła się do uśmiechu i grzecznościowego „dziękuję”, po czym z wiele mówiącym skupieniem zaczęła przekładać papiery na biurku.

- W takim razie ja już będę się zbierał - zdecydował prawnik.

Debora podniosła na niego wzrok i w jego oczach dojrzała rozdrażnienie.

- Okay. A więc do jutra.

Nie miała pojęcia, co w tej chwili myślał i jakie nadzieje wiązał z dzisiejszym wieczorem - prawdę powiedziawszy, nie wiedziała, jakie były jej własne nadzieje - nie ulegało jednak wątpliwości, że profesjonalna kurtuazja Cernigi nie przypadła Bowersowi do gustu.

- Oczywiście - odparł. Zawahał się, jakby zamierzał coś jeszcze powiedzieć, ale kiedy Cerniga zwrócił się w jego stronę, Calvin zaczął się wycofywać. Kiedy Debora usłyszała, jak nieubłaganie zamykają się za nim drzwi, miała ochotę wyc.

- Chciała pani porozmawiać ze sprzątaczką?

- Rzeczywiście. - Wzięła się w garść. - Postaram się to załatwić jak najszybciej.

Ledwo się powstrzymała, by nie ruszyć biegiem do drzwi. Kiedy się znalazła w foyer, Calvin dochodził już do drzwi wyjściowych. Zawołała go i natychmiast odwrócił się w jej stronę. Przypomniała sobie ich pierwszą rozmowę i irytację, jaką wzbudziło w niej stwierdzenie, że indiański tomahawk - leżący w gablocie oddalonej zaledwie o kilka metrów - jest wytworem barbarzyńskiej kultury. Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Co się stało? - spytał Calvin.
- Słuchaj, przepraszam... - Machnęła ręką w stronę biura.
- Nie ma o czym mówić. Spotkamy się jutro.
- Jasne. - Poczucia się nagle jak naiwna nastolatka. - Naturalnie.

Stał przez chwilę w milczeniu, kołysząc się lekko, jakby rozdarty dwoma sprzecznymi impulsami, aż w końcu uśmiechnął się przeproszająco i postąpił krok w tył.

- A więc do jutra - powiedział.
- Uhm - mruknęła.
- Już się nie mogę doczekać.

Patrzyła na jego oddalające się plecy niepewna, czego właściwie chciała w owej chwili.

Tonya stała w kuchni i wyciskała mop nad zlewem. Kiedy ujrzała Deborahę, szybko do niej podeszła, wyjrzała na korytarz, po czym cicho zamknęła drzwi.

- Hej! - Uściskała ją szybko. - Co u ciebie? Wszystko w porządku?
- Uhm. Jestem tylko cholernie zmęczona.

- W to nie wątpię - odparła Tonya. Miała wyraz twarzy zatroskanej przyjaciółki i Debora nie mogła się nadziwić, jak diametralnej zmianie uległy ich wzajemne relacje od spotkania w Mykenach. - Słuchaj - ciągnęła czarnoskóra kobieta - przepraszam za mój wcześniejszy występ. Błagam, powiedz, że nie wspomniawsz o naszej greckiej przygodzie.

- Nie wspomniałam.
- Dzięki Bogu. - Na twarzy Tonyi pojawił się wyraz wielkiej ulgi.
- Czy wiesz, że Cerniga jest agentem FBI? - spytała Debora.
- Aha. Poinformował mnie, gdy tylko wróciłam. Może myślał, że jak mi to powie, natychmiast wyjawię mu wszystkie swoje sekrety. W pierwszej chwili nie uwierzyłam, ale zadzwoniłam gdzie trzeba i sprawdziłam. Nie ma wątpliwości - rzeczywiście pracuje w agencji. I to mi właśnie nie daje spokoju. Czemu federalni zainteresowali się sprawą Richarda? Przecież to nie ich jurysdykcja.

- Szczątki (a tak przy okazji, powiedziałam im tylko o masce, nie

wspominałam nic o zwłokach) podobno przewieziono poza granice stanu, może nawet przemycono przez obszar eksterytorialny. To sprawa dla FBI, czyż nie?

- Jasne - zgodziła się Tonya. - Kiedy jednak się dowiedzieli o tym przemyście?

Debora w lot pojęła tok rozumowania Tonyi i przejął ją chłodny dreszcz - jak wówczas, gdy przez szyb wentylacyjny w toalecie dotarła do niej sprzeczka Keene'a z Cernigą.

- Przecież wezwano ich w sprawie morderstwa, tak? - podjęła wątek Tonya. - I od razu się pojawili we dwóch. A wtedy nie było jeszcze mowy o przemyście, a nawet o kradzieży. Skąd więc FBI? Słuchaj, zadzwoniłam do mojego kumpla, który jest detektywem w okręgu Clayton, i zapytałam, jakie są najczęstsze przyczyny włączania federalnych do spraw o zabójstwo. I wiesz, co mi powiedział?

-Co?

- Zbrodnie na tle dyskryminacji.

- Dyskryminacji?

- Nie wahał się ani przez chwilę. To były jego pierwsze słowa.

W Deborze znów się odezwało przykre poczucie, że podąża kompletnie fałszywym tropem, roztrząsa zupełnie nieistotne poszlaki, próbuje złożyć nie tę łamigłówkę, która jest naprawdę ważna...

- Ale jaki związek z dyskryminacją mogła mieć śmierć Richarda? - zdumiała się Debora. - Był przecież białym mężczyzną i do tego, o ile mi wiadomo, jak najbardziej heteroseksualnym. Jego żona co prawda zmarła dawno temu, ale... nie, nie. Z całą pewnością był hetero.

- A jeżeli zbrodnia, którą oni się zajmują, nie ma nic wspólnego ze śmiercią Richarda? - spytała Tonya. - Jeżeli chodzi o jakąś sprawę sprzed wielu lat?

O, Boże! Zaczyna się.

- Myślisz, że chodzi o twojego ojca?

- Mówię tylko, że przez długi czas zadawałam w tej sprawie mnóstwo pytań. - Tonya nieznacznie spuściła z tonu. - Wielokrotnie kontaktowałam się z władzami wojskowymi, prowadziłam nawet rozmowy na temat ekshumacji zwłok ojca. Więc teraz się zastanawiam, czy przypadkiem ktoś nie postanowił wszcząć postępowania w tej sprawie.

- Czemu jednak władze miałyby utrzymywać podobne dochodzenie w tajemnicy? Szczególnie przed tobą?

- Tu mnie masz. W każdym razie w tej chwili nie zamierzam wykladać kart na stół. Rozumiesz, co mam na myśli?

Debora pokiwała z wolną głową, ale tak naprawdę nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Przestępstwa na tle dyskryminacji? Nie kupowała tego, ale wiedziała, że gdyby to przyznała, wystawiłaby na poważny szwank świeżą przyjaźń z Tonyą. Dla reporterki przedzierzgniętej w sprzątaczkę sprawa śmierci ojca była tak ważna, tak silnie sprzęgnięta z zawitymi emocjami, że wyrażenie jakiegokolwiek sceptycyzmu nie wchodziło w grę. Debora знаła Tonyę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak by zareagowała: uporem i agresją - zrodzonymi z głębokiego poczucia krzywdy - które doprowadziłyby do zamknięcia się na innych.

Spoglądała więc jedynie na czarnoskórą kobietę z pośpianą miną.

- A gdy już o tajemnicach i sekretach mowa - Tonya przybrała familiarny ton, a w jej oczach pojawił się błysk rozbawienia - zauważyłam, że zaczęłaś się delikatnie malować i używać perfum. Wiesz, już od dawna się zastanawiałam, kiedy wreszcie pojmiesz, że uniwersytet, który ukończyłaś, nie pozbawi cię tytułu, jeżeli od czasu do czasu będziesz wyglądać bardziej kobieco i zalotnie.

Debora zbyła tę uwagę machnięciem ręki, czując jednocześnie, że się rumieni. Rzeczywiście, rano pociągnęła usta szminką i spryskała Chanel 19, z których i jedno, i drugie przeleżało się w jej szufladzie niemal tak długo jak mykeńskie złoto przed odkryciem go przez Schliemanna.

- Onegdaj sprzątaczkę wiedziały, gdzie ich miejsce - odpowiedziała z żartobliwą wyniosłością.

- A! Stare dobre czasy. - Tonya wybuchnęła śmiechem, po czym ruszyła w stronę drzwi, dzierżąc w ręku wiadro i mop.

Debora tymczasem wróciła myślami do ich wcześniejszej rozmowy i ewentualnych problemów, jakie zwiastowała. Przestępstwa na tle dyskryminacji?

- A tak przy okazji... - Tonya obróciła się w progu. - To miasto, które miało leżeć na granicy ze Szwajcarią - jak ono się nazywało?

- Magdeburg.

- Tak mi się właśnie zdawało. No więc nie leży nad granicą. W każdym razie ja niczego takiego nie znalazłam. Jest jakiś Magdeburg w pobliżu Berlina, ale przewożenie tajemniczej skrzyni do pobliskiego miasta nie miałoby chyba sensu - szczególnie w chwili gdy alianci deptali już naziściom po piętach. Jak sądzisz?

- Pewnie masz rację. - Debora ściągnęła brwi. - Ale niewykluczone, że jest jeszcze inne miasto o tej samej nazwie.

- Niewykluczone - zgodziła się Tonya, zamykając za sobą drzwi.

Debora włączyła komputer w biurze, weszła do Internetu i wrzuciła „Magdeburg” w wyszukiwarce Google. Pierwsze strony odwoływały do linków tylko w języku niemieckim. Jeden wyglądał tak, jakby dotyczył jakiegoś teatru, kolejny chyba zachwalał atrakcje turystyczne, nie załączono jednak mapy pokazującej lokalizację miasta, a podpowiedź wyszukiwarki, że być może chodzi nie o „Magdeburg”, tylko „Magdenburg”, także okazała się chybiona. Na następnych stronach Debora znalazła szczęśliwie link do witryny izby handlowej, tym razem - o, dziwo! - po angielsku, i tam też znalazła mapę.

Tonya miała rację. Magdeburg rzeczywiście leżał w środku Niemiec, mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Berlina, w landzie zwanym Saksonią. Wysyłanie szczątków w owym kierunku było niemal równoznaczne z oddaniem ich zachodnim aliantom. Może naziści chcieli je uchronić przed Rosjanami nadchodzącymi od wschodu? To jednak nadal nie wyjaśniało, czemu konwój znalazł się na południu, w miejscu oddalonym o czterysta kilometrów od Magdeburga.

Debora postanowiła przejrzeć jeszcze jedną stronę, a tam rzucił się jej w oczy artykuł prasowy napisany po angielsku. Kliknęła na ten link i ze zdumieniem przeczytała następujący tekst.

Ponura zbrodnia i bujność natury:
nowe dowody w sprawie magdeburgskiej masakry

Podczas prac budowlanych, prowadzonych w 1994 roku, robotnicy natknęli się na szkielety trzydziestu dwóch młodych mężczyzn, którzy bez wątplenia ponieśli śmierć w tym samym czasie. Ów zbiorowy grób mógł pochodzić z lat 1945–1960, stąd początkowo uznano, że odkryto zwłoki ofiar kolejnej nazistowskiej zbrodni. Dziwiła jedynie lokalizacja, ponieważ nawet gestapo unikało masowych pochówków w samym centrum miasta.

Ostatnio w tej sprawie pojawiły się jednak nowe dowody sugerujące, że do masakry nie doszło pod koniec drugiej wojny światowej, lecz siedem lat później, a jej sprawcami byli funkcjonariusze sowieckich tajnych służb.

Badania pyłków roślin już od jakiegoś czasu wykorzystywano w kryminalistyce do ustalania miejsca popełnienia zbrodni. Teraz biolog Reinard Szibor

z magdeburckiego Uniwersytetu imienia Ottona von Guericke, opierając się na tych samych testach, określił porę roku, w której doszło do zbiorowego mordu. W czaszkach siedmiu ofiar Szibor odnalazł pyłki babki zwyczajnej, lipy i żyta, a więc roślin kwitnących na przełomie czerwca i lipca. Oznacza to niezbicie, że ofiary zginęły już po upadku nazistowskich Niemiec.

Odpowiedzialność za tę masakrę spada więc bezspornie na Sowietów.

Debora poczuła jeszcze większy zamęt w głowie. Czemu odpowiedzialność automatycznie spadała na sowieckie służby i czy mógł być jakoś z tą sprawą związany Wołoszynow - bezdomny Rosjanin, zabity w pobliżu muzeum? Czy to możliwe, że owa masakra miała cokolwiek wspólnego z fałszywymi antykami, których tropem mordercy trafili do Richarda? Nie było powodu, żeby tak sądzić, niemniej w umyśle Debory te wszystkie zgony sprzed lat zdawały się jakoś łączyć ze sobą, jakby każda odkryta kosteczka składała się na potężniejszą, dziwaczniejszą bestię, której naturę Debora zdołałaby określić dopiero po złożeniu kompletnego szkieletu.

To wszystko zdawało jej się równie nielogiczne jak nowa fiksjacja Tonyi - zbrodnia na tle dyskryminacji. Debora postanowiła się nad tym głębiej nie zastanawiać. Ostatecznie nie istniały żadne dowody na potwierdzenie tej teorii - nic poza zdawkową uwagą znajomego policjanta spytanego, jaki jest najczęstszy powód włączania federalnych do śledztwa w sprawie morderstwa. Kiedy jednak szła do samochodu Cernigi, ujrzała przed oczami obraz białego chłopaka, który polował na nią w Grecji - jego buńczuczna postawa, nienawistny błysk w oku, wygoloną jak u skinheada głowę, niezwykle tatuaże...

Zbrodnie na tle dyskryminacji?

Agent odwiózł ją do domu, zachowując profesjonalne milczenie. Gdy przyjechali na miejsce, poszedł z nią do mieszkania i stał cierpliwie w progu, póki Debora się nie upewniła, że w środku nie ma intruzów ani żadnych niepokojących śladów.

Kiedy odkryła, że było jednak inaczej, Cerniga już odjechał.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że mieszkanie się znajduje w takim stanie, w jakim je zostawiła. Ale mniej więcej po godzinie zaczęła odkrywać drobne detale świadczące o czymś przeciwnym: ciuchy, które rzuciła

na kosz z brudami, teraz wisiały w szafie, szuflada biurka była zamknięta na klucz, książki poustawiane na półkach w innej kolejności. Marcus powiedział, że niczego tu nie tknął, i Debora mu wierzyła. A więc podczas jej nieobecności ktoś inny kręcił się po mieszkaniu i najwyraźniej czegoś szukał. Nie robił tego w pośpiechu, jakby wiedział, że właścicielka nie pojawi się zniecka i że ma czas, by starannie pozacierać ślady przeszukiwania. Gdyby nie jej chorobliwie pedantyczna natura, Debora prawdopodobnie niczego by nie zauważyła. Co nie zmieniało faktu, że zupełnie nie wiedziała, czego ktoś mógł u niej szukać.

Zadzwoniła do Cernigi i poinformowała go o swoim odkryciu, powiedziała jednak, że nie chce, by kogokolwiek przysyłał. Raz jeszcze sprawdziła wszystkie kąty, a potem wyjęła z kuchennej szuflady młotek i zaczęła walić w zaklejony warstwą farby bolec zasuw, aż w końcu trafił na swoje miejsce.

- Prawdopodobnie odryglowanie tych drzwi zajmie mi rano co najmniej dziesięć minut - mruknęła pod nosem, przezornie zostawiając młotek na wierzchu.

W ciszy gorącej, wilgotnej nocy znowu zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie Richard musiał zginąć. W Grecji wszystko układało się w bardziej klarowną całość, chociaż faktem jest, że teraz jej wyprawa wydawała się niezwykle odległa w czasie i przestrzeni, a niedawne przeżycia równie dalekie i egzotyczne jak starożytne ruiny. Kiedy tam była, wierzyła, że po powrocie do kraju wszystko stanie się bardziej oczywiste, bo dobrze znane otoczenie pomoże jej uporządkować myśli. Tymczasem kiedy już się znalazła z powrotem w domu, zaskoczyła ją ciągła obecność policji w muzeum i oszołomiły osobliwe teorie Tonyi. Wraz ze śmiercią Richarda straciła przekonanie, że tutaj jest jej prawdziwy dom, i nagle poczuła się całkiem zagubiona.

Pod wpływem chwili chwyciła za słuchawkę i szybko wystukała numer.

- Halo?

- Hej, Calvin. Tu Debora. Wybacz, że dzwonię tak późno.

- Sądziłem, że gdy już cię ściągnę do kraju, wreszcie uda mi się uczciwie przespać przynajmniej jedną noc.

Uśmiechnęła się, słysząc radość w jego głosie, i natychmiast opuściło ją poczucie niepewności.

- Nie mów mi, że potrzebujesz snu dla poprawienia urody - powiedziała tonem sugerującym „to zupełnie zbędne dla kogoś tak niezwykle atrakcyjnego fizycznie”.

Calvin zaśmiał się nisko, uwodząco.

- Skoro ty najwyraźniej nie sypiasz bez względu na godzinę i kontynent, na którym się znajdujesz, koncepcję, że sen poprawia urodę, należy uznać za czysty mit.

Debra poczuła, że się rumieni, i szybko zmieniła temat, żeby nie odpowiedzieć jakimś sarkazmem na jego niewinny flirt.

- Słuchaj, Calvin, nie wydaje ci się dziwne, że FBI włączyło się w sprawę śmierci Richarda, zanim w ogóle pojawił się wątek przewożenia czegokolwiek przez granicę stanu, nie wspominając już o międzynarodowym przemyśle?

- Prawdę mówiąc, wcześniej się nad tym nie zastanawiałem - odparł momentalnie poważny i skupiony. - Teraz jednak, gdy o tym wspomniałaś... A co ty o tym sądzisz?

- Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, żeby uznać zabójstwo Richarda za zbrodnię na tle dyskryminacji?

Milczał przez dłuższą chwilę, jakby nagle jej pytanie kompletnie go oszołomiło.

- Zbrodnie na tle dyskryminacji? - powtórzył po chwili. - W wypadku Richarda? Jak to?

- Nie mam pojęcia - odparła zrezygowana. - Tak się tylko zastanawiałam.

- Dziwne pomysły przychodzą ci do głowy w środku nocy - zauważył.

Z tonu Calvina jasno wynikało, że znowu się uśmiecha. Przynajmniej nie powiedział „do twojej małej ślicznej główki”.

- Masz rację - rzuciła lekkim tonem. - Wybacz. Nie powinnam była cię niepokoić.

- Nie niepokoisz ani trochę - zapewnił. - Cieszę się, że zadzwoniłaś. Wcześniej... to znaczy przy tych gliniarzach... - urwał gwałtownie. - Teraz od razu czuję się lepiej.

- Uhm.

- A u ciebie wszystko w porządku? Może chcesz, żebym przyjechał?

Wahała się odrobinę za długo, zanim pospiesznie zaczęła zapewniać, że u niej wszystko w porządku, że się pozamykała na trzy spusty, więc Calvin w żadnym razie nie musi się fatygować.

- Jeżeli jesteś pewna.

- Słuchaj, miałbyś jutro ochotę na przejażdżkę za miasto? - zapytała zniecierpliwiona. - Jeżeli się rano okaże, że nie jestem pilnie potrzebna Cernidze, zamierzam się wybrać na małą wycieczkę.

- Chętnie z tobą pojadę. A dokąd?

- Do Aten - odparła.
 - Jedziesz z powrotem do Grecji? - Był więcej niż zszokowany; w jego głosie pobrzmiwała panika.
 - Do Aten w stanie Georgia - odpowiedziała ze śmiechem. - Miasta Buldogów z Atlanty*, gdzie - między innymi - znajduje się Centrum Stosowanych Badań Izotopowych.
 - A co to takiego, na Boga?
 - Instytucja posiadająca skomplikowane i zawrotne drogie urządzenie pomiarowe. To tam zapewne zgłosił się ten, kto przypuszczał, że w sypialni Richarda znajdowały się szczątki Agamemnona.
 - Jakże znowu szczątki?
- Tym razem opowiedziała mu niemal wszystko.

* Drużyna futbolu amerykańskiego z uniwersytetu stanowego, niezwykle popularna w całej Georgii.

55.

Debora z samego rana zadzwoniła do Cernigi. Nie, nie będzie mu dzisiaj potrzebna. Tak, może się zająć załatwianiem spraw „w okolicy”, nie powinna jednak wyłączać komórki ani opuszczać granic stanu. Debora chętnie przystała na warunki agenta, po czym zgrabnie wykręciła się od dalszej dyskusji, bez konieczności uciekania się do kłamstw.

Czemu po prostu nie powiesz mu o laboratorium? Nie wyjaśnisz, że tajemniczy wysłannicy z Grecji - jeżeli rzeczywiście to oni zabrali szczątki - najprawdopodobniej tam właśnie skierowali pierwsze kroki? - napominała się w myślach.

Bo to zapewne ślepa uliczka. Bo skradzione przedmioty były bezwartościowe. Ponieważ podejrzewała, że Cerniga wciąż ukrywał przed nią rzeczywiste przyczyny zaangażowania w śledztwo władz federalnych. A przede wszystkim dlatego, że reputacja Richarda ucierpiałaby niemiłosiernie, gdyby się okazało, jak wiele pieniędzy i wysiłków poświęcił na śmieci niewarte zajmowanej przez nie przestrzeni.

A może dlatego, że spodobało ci się odgrywanie Nancy Drew?

Nie, zdecydowała buntowniczo. Na pewno nie z tego powodu.

Połączyła się z Calvinem, który poprosił, żeby podjechała po niego do pracy. Musiał dokończyć pewną papierkową robotę, zanim urwie się na resztę dnia. Jakimś cudem udało mu się nadać ich wyprawie taki charakter, jakby należało zabrać ze sobą szampana z truskawkami, i nagle Debora złapała się na tym, że wybiera ubranie z nietypową dla siebie dbałością o szczegóły. Założyła kolczyki, spryskała się perfumami i nawet pociągnęła usta szminką o odważniejszym odcieniu. Ów krok okazał się jednak zbyt rewolucyjny, szybko więc starła pomadkę zawstydzona zarówno tym, że ją nałożyła, jak i tym, że ją zmazała.

Boże, nienawidzę flirtu i zalotów. O ile w dwudziestym pierwszym wieku w ogóle jeszcze można mówić o zalotach. Te misterne rozgrywki, znaczące półuśmiechy, nabrzmiałe podtekstami uwagi, drobne podchody i wystudiowana nonszalancja. Zaloty to jak rozgrywka tenisowa, którą należy sprytnie przegrać - osiągnąć niezły wynik, żeby nie wyglądało na oddanie meczu walkowerem, ale ostatecznie ulec partnerowi. To rozgrywka tenisowa na wysokich obcasach i z woalką na twarzy.

Cichy, mroczny głos podpowiedział od razu inną możliwość - może po prostu bała się tego, do czego mogły doprowadzić zaloty: do uczucia, związku (cóż za okropne słowo) i tej najbardziej subtelnej ze wszystkich relacji, czyli seksu?

A co to ma za znaczenie?, rzuciła w duchu, uciekając od poprzedniej myśli, jakby groziła śmiertelnym porażeniem. Powiedzmy, że nienawidzę zalotów i na tym poprzestańmy, dobrze?

Wybrała lekką sukienkę, niewyzywającą w kroju, żeby można się w niej było pokazać w laboratorium, jednocześnie na tyle niezobowiązującą, by wprowadzić aurę pewnej bez troski. Miała sprawiać takie wrażenie, jakby Debora bez głębszego zastanowienia chwyciła ją z wieszaka.

I prawdopodobnie tak właśnie powinnam postąpić...

Z tą myślą energicznie wyszła z domu, celowo nie spoglądając uprzednio w lustro.

Kancelaria Calvina mieściła się w szklanym wysokościowcu mieniącym się ciemnym błękitem rozgrzanego ostrza ze stali. Stało na najdroższym terenie w mieście, gdzie ceny nieruchomości osiągały poziom Bostonu czy Nowego Jorku. Debora - zazwyczaj obojętna wobec budowli negujących swoją kosztowną prostotę i technologicznym wyrefinowaniem wyznawane przez nią wartości - poczuła przyjemny, choć niepokojący dreszcz na widok Calvina wychodzącego kocim, leniwym krokiem przez drzwi z dymnego szkła. Oto mężczyzna, którego wdzięk i elegancja predestynowały do przebywania w podobnych przybytkach.

- Niezłe biuro - rzuciła, gdy już odjeżdżali.

Calvin jedynie wzruszył ramionami.

- W środku panuje ponury mrok, a do tego mamy za mało wind. Jedyna korzyść jest taka, że mieszkam dosłownie za rogiem.

Uśmiechnęła się i przyśpieszyła, wjeżdżając na autostradę. Ciekawe, czy to preludium do zaproszenia?

Przez następne trzy kwadranse jechali międzystanową, a potem skręcili w drogę prowadzącą do Aten. Przez cały czas rozmawiali o książkach i filmach, ani słowem nie wspominając o Richardzie czy czekającej ich misji.

Zdumiał ich widok tętniącego życiem miasteczka, które wyłoniło się niespodziewanie w całej okazałości spośród sosnowego lasu niczym Atena - bogini, od której miasto wzięło nazwę - z głowy Zeusa. Debora zaledwie sześć miesięcy wcześniej była na Uniwersytecie Stanu Georgia z okazji pewnego seminarium i wciąż miała w samochodzie mapę kampusu. Wystarczyło, że rzuciła na nią okiem, a bez trudu znalazła Roverband Road i CSBI.

Z racji letnich wakacji nie było tu widać tłumu studentów, ale Centrum Stosowanych Badań Izotopowych, poza programami naukowymi, zajmowało się także działalnością komercyjną, stąd zawsze panował tam spory ruch. Zatrzymali się w recepcji, gdzie Debora potwierdziła zapowiedzianą telefonicznie wizytę i zgłosiła, że mają przy sobie próbkę, która będzie jednak wymagała uprzedniego przetworzenia. Tak, zgadzają się zapłacić dodatkowo za wykonanie przez laboratorium odpowiedniego preparatu i nie, nie są zainteresowani zwiększeniem dokładności na podstawie obserwacji fluorescencji scyntylatora, a jedynie datowaniem radiowęglowym. W czasie całej tej wymiany zdań Calvin wydawał się niespokojny i lekko zdezorientowany. Podczas gdy recepcjonistka przekazywała dane bezpośrednio do laboratorium, Debora posłała mu promienny uśmiech, na który odpowiedział niepewnym uniesieniem kącików ust.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział przyciszonym głosem. - Masz interesującą nas próbkę?

- To coś nieco innego - szepnęła. - Po prostu zachowuj się, jakby to był dla ciebie chleb powszedni.

Człowiek, który wyszedł im na spotkanie, miał żółtawobrazową cerę i krótko przystryżoną brodę. Wywodził się zapewne z Bliskiego Wschodu, może nawet z północnej Afryki, mówił jednak bez cienia obcego akcentu.

- Doktor Kerem - przedstawił się na wstępie. - Proszę tędy. Macie państwo ze sobą próbkę?

Debora wyjęła z torebki zakorkowaną probówkę, w której znajdowała się niewielka, drewniana drzazga.

- To wystarczy? - zdumiał się Calvin, a ona szybko uciszyła go wzrokiem.

- Dużo za dużo - odparł naukowiec. - Widzę, że chcecie państwo, byśmy sami spreparowali materiał do badania?

- Tak, proszę - powiedziała Debora. - Jesteśmy niemal pewni, że to fragment szesnastowiecznego hiszpańskiego galeonu, ale potrzebujemy definitywnego potwierdzenia.

- Naturalnie. - Kerem wprowadził ich do dużego, oświetlonego jarzeniówkami pomieszczenia, w którym rozlegał się szum pracujących urządzeń.

- To tutaj przeprowadza się testy? - zainteresowała się Debora.

W pokoju znajdowało się kilka konsoli, metalowe cylindry i kilometry wielokolorowych kabli, z których większość znajdowała się w klatkach z metalowej siatki. Kerem niespodziewanie uśmiechnął się szeroko, z niekłamana dumą, jakby ktoś właśnie obwołał jego syna najlepszym graczem Mafej Ligi Baseballowej.

- Oto 1.5SDH-1 Pelletron, akceleracyjny spektrometr masowy wyprodukowany przez National Electrostatics. Spodziewaliście się państwo większej maszyny, prawda?

- Rzeczywiście. - Debora zrozumiała, że takiej właśnie powinna udzielić wypowiedzi, chociaż całe urządzenie miało jakieś pięć metrów długości.

- To małe чудо mierzy stężenia izotopowe z dokładnością jednej kwadrylionowej części. Zapędzi w kozi róg wszystkich Goliatów wśród aparatury. Limit detekcji w wypadku tego spektrometru to cztery razy dziesięć do minus osiemnastej mola 14C.

Debora i Calvin starali się przywołać na twarzy wyraz stosownego oszołomienia.

- Właśnie tak - podjął Kerem, chociaż nikt nie podważał jego słów, po czym zaczął wskazywać na poszczególne części aparatu, błędnie zakładając, że Debora ma pojęcie o tak zaawansowanej technice spektroskopii.

- Tu się znajduje źródło jonów, następnie magnes wzbudzający, potem akcelerator typu Pelletron, magnes analizujący, komora dryfu z puszkami Faradaya, analizator elektrostatyczny, no i w końcu detektor 14C. Jeżeli państwa próbka ma mniej niż sześćdziesiąt tysięcy lat, bez trudu ustalimy jej wiek.

- Ach, tak. Cudownie - mruknęła Debora.

Kerem wyciągnął rękę po próbkę z drobiną drewna.

- Proszę to u mnie zostawić - powiedział. - Musicie też państwo wypełnić w recepcji odpowiednie dokumenty. Skontaktuję się z państwem, gdy będę miał wyniki. Koszt testu wynosi czterysta dolarów.

- A kiedy możemy się spodziewać wyników?

- Za dwa do trzech miesięcy - odparł doktor, ale na widok zatroskanej twarzy Debory dorzucił: - Czy to pilne?

- Raczej tak.
- Możemy przyspieszyć badanie - skrócić okres oczekiwania do dwóch tygodni, ale za ekspresową usługę trzeba zapłacić sześćset dolarów.
Dwa tygodnie?
- Deborę uderzyła nagła myśl.
- A kiedy mogę odebrać pozostałe wyniki?
- Pozostałe wyniki?
- Owszem - rzuciła, nie patrząc na Calvina. - Nasze muzeum zleciło inne badania mniej więcej tydzień temu. Chodziło o ludzkie szczątki oraz ceramikę. Dostarczyło je do państwa dwóch Greków. Może moglibyśmy jednocześnie odebrać wyniki wszystkich testów?
- Debora wstrzymała oddech w czasie, gdy naukowiec ze skupioną miną przeglądał formularze zleceń.
- Nie widzę żadnych innych próbek pochodzących z pani instytucji.
- Niewykluczone, że jako zleceniodawca widnieje Richard Dixon - podsunęła Debora. - Jest fundatorem i głównym sponsorem naszego muzeum, zajmuje się poważniejszymi wydatkami.
- Kolejna chwila czekania. Debora nerwowo przygryzła wargę.
- Dixon. Owszem. Dopłata za usługę ekspresową. Wyniki będą gotowe na jutrzejsze popołudnie. Podano jednak inny adres kontaktowy i to tam jesteśmy zobowiązani przesłać wszystkie informacje.
- Naturalnie. - Deborze serce waliło jak młotem. - Ale jeżeli można, wpadniemy tu jutro i rzucimy okiem na rezultaty. Pan Dixon bardzo na nie czeka. Musimy podjąć kilka pilnych decyzji w sprawie nowej wystawy.
- Rozumiem. Proszę przyjść - odrzekł Kerem. - Zatrzymaliście się państwo w naszym mieście?
- Właśnie zamierzamy zameldować się w hotelu - wyjaśniła Debora, wciąż celowo odwracając wzrok od Calvina.

56.

Wynajęli dwa pokoje, chociaż prawdopodobieństwo, że tej nocy skorzystają tylko z jednego, wydawało się Deborze dużo wyższe od średniej statystycznej. To sprawiało, że była zdenerwowana i jeszcze bardziej skrepowana niż zwykle. Nie do końca wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Calvin chyba miał takie same oczekiwania wobec niej, jak ona wobec niego, niemniej nieznośny wewnętrzny głos, zawsze ochoczo podsycający lęki i niepewność, nieustannie wzmagał jej zakłopotanie.

Nie znoszę takich sytuacji. Ledwo to pomyślała, ogarnął ją pusty śmiech. Jakby podobne sytuacje zdarzały jej się co tydzień! Tymczasem ostatnią przygodę miała... zbyt dawno, żeby liczyć lata. Ponieważ nie było sensu się nad tym zastanawiać, wzruszyła w duchu ramionami i zwróciła wzrok na Calvina pochłoniętego jedzeniem.

Ona sama z przyjemnością poprzestałaby na kanapce i szklance piwa. W Atenach - miasteczku akademickim - aż się roiło od barów serwujących takie przekąski. Miała nadzieję, że potem mogliby wpaść do któregoś z klubów, posłuchać jakiejś wybijającej się lokalnej kapeli, idącej w ślady REM lub B-52. Jednak Calvin miał zupełnie inny pomysł na spędzenie wieczoru. Debora nie bardzo wiedziała jaki, domyślała się jednak, że bardziej wyrafinowany.

Okazało się, że zarezerwował stolik w najelegantszym i najkosztowniejszym lokalu w mieście (gdzie z pewnością nie mieli szans natknąć się na dzieciaki, które zjechały tu na letnie kursy uniwersyteckie), po czym zamówił pieczeń jagnięcą i butelkę - jak podkreślił - przedniego bordeaux, a wszystko to zrobił z lekkością i wdziękiem stałego bywalca równie ekskluzywnych miejsc. Debora w pierwszym odruchu chciała poprosić o piwo, w zwykłym odruchu przekory, szybko jednak z tego zrezygnowała, bo prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, co właściwie

chciałyby zmanifestować, a poza tym bawiło ją, że Calvin tak bardzo dba o klasę. Niemniej eleganckie otoczenie nie zachęcało do swobodnej, kującej nerwy rozmowy. Panowała tu nienaturalna cisza, która byłaby bardziej na miejscu w świątyni niż restauracji, nadająca każdej wypowiedzi szczególne znaczenie. W końcu, nie znajdując nic istotnego do powiedzenia, Debora postanowiła dla odmiany przekazać inicjatywę konwersacyjną Calvinowi.

Opowiedział jej o swojej pracy, podkreślając monotoność zajęć i nie wdając się przy tym w zawiłe detale - za co była mu wdzięczna - oraz o swojej wielkiej pasji, wędkowaniu na muchę, również oszczędzając zbędnych szczegółów.

- Wszystko sprowadza się do opracowania strategii - tłumaczył. - To znaczy doboru odpowiedniej muchy w zależności od panujących warunków i gatunku ryby, na którą się chce zapolować. Ale najbardziej pasjonujące jest własnoręczne wykonywanie much - żeby odnieść sukces, trzeba się nauczyć, jak przechytrzyć przeciwnika.

Debora uśmiechnęła się szeroko.

- Wiem, że wydaje się to łatwym zadaniem dla kogoś, kto wykonuje mój zawód - powiedział. - Ale wierz mi, przechytrzenie pstrąga mknącego w rwącym strumieniu... To o wiele bardziej satysfakcjonujące niż jakikolwiek kontrakt, bez względu na sumę, która na nim widnieje.

Spodobały jej się te słowa.

- A więc chytry z ciebie lis.

- Uwielbiam taktyczne podchody. - Skinął głową i obdarzył Deborę szczególnym uśmiechem, nadającym jego wypowiedzi podniecający kontekst. - Uwielbiam łowy, które wymagają drobiazgowego planowania.

- Chciałeś powiedzieć: połowy. Bo przecież łapiesz ryby?

- A czy w ten sposób można złapać coś innego? - rzucił z szelmowskim uśmiechem.

Zaśmiała się i na dłuższą chwilę utkwiała wzrok w jego twarzy.

- Pod niektórymi względami przypominasz mi Richarda - powiedziała w końcu.

Przez jego twarz przebiegł cień, jakby Calvin nie był pewien, czy to komplement, czy może wręcz przeciwnie.

- A dokładniej?

- Och, to tylko takie moje odczucie - zarumieniła się, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat.

- No już, mów.

- Cóż... obaj odznaczacie się szczególnym poczuciem humoru - po-

wiedziała, starannie dobierając słowa. - Zasadza się na pewnej intelektualnej grze, która może być deprymująca.

- Dla ciebie? - parsknął śmiechem. - Nigdy w to nie uwierzę.

- Nie miałam na myśli „onieśmielająca”. Jest w tym element refleksji, niemal kalkulacji, która każe ludziom zachować dystans. To tak, jakbyś cały czas patrzył na innych jak na małe rybki i już w wyobraźni starannie kleił stosowną dla nich muchę, czy co ty tam z tymi muchami robisz.

- Wiąże. - Teraz już roześmiał się na całe gardło.

- No właśnie.

- Nie wiem, jak to jest ze mną - odezwał się po chwili - ale rozumiem, co masz na myśli, gdy chodzi o Richarda. Niekiedy, jak na ciebie patrzył, można było odnieść wrażenie, że przejrzał wszystkie twoje sekrety.

- A ty masz ich wiele?

- Żadnych. - Otrząsnął się z chwilowej zadumy. - Opowiem ci o wszystkim, o czym zechcesz.

- Aha, już to widzę.

- Tak czy owak, nie jestem pewien, czy podoba mi się twoja ocena mojej osoby: inteligentny, ale wyrachowany i przebiegły. To nie brzmi zbyt pozytywnie.

- Bo ja wiem? - Debora wzruszyła ramionami, siłąc się na nonszalanckość. - Ma swoisty urok.

Sięgnęła po kieliszek i pociągnęła długi łyk, spuszczaając zalotnie powieki.

Kiedy wrócili do hotelu, stało się jasne, że żadne z nich nie było pewne, jak zakończy się ten wieczór. Przez cały czas żartowali i flirtowali, wycofując się jednak, gdy posuwali się za daleko. Debora wmawiała sobie, że to dla niej najlepsze rozwiązanie - ostatecznie przy jej braku doświadczenia nie powinna przyspieszać spraw, poza tym prawie w ogóle nie знаła tego mężczyzny. Ale gdy pod swoimi drzwiami nachylił się, by ją pocałować, bez reszty poddała się chwili.

W pokoju znowu się pocałowali - z początku nieśmiało, delikatnie, chwilę później jednak - zachłannie, namiętnie. Kiedy jednak Calvin zaczął rozpinąć jej sukienkę, Debora wbrew własnej woli zeszywniała, zatrzymał się więc w pół gestu i spojrzał uważnie w jej twarz. Zarumieniła się gwałtownie, nie wiedząc, co powiedzieć, co zrobić. Czemu jego i jej oczy musiały być dokładnie na tej samej wysokości?! Nie mogła znieść tego milczenia i jego wzroku, odwróciła więc głowę, a tymczasem Calvin sięgnął do włącznika i zgasił światło.

Ciężkie, gęste zasłony sprawiły, że pokój pogrążył się w idealnej ciemności; Deborze serce podskoczyło do gardła, jakby znowu się znalazła w mykeńskim tunelu prowadzącym do starożytnej cysterny. Kiedy jednak Calvin ponownie zaczął ją całować i przesuwać delikatnie dłońmi po jej ciele, czekając na przyzwolenie - mrok wyzwolił w niej poczucie niesamowitej swobody i wolności. Miała wrażenie, że jest pijana, że znalazła się na niesamowitych wakacjach - anonimowa, zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności. Przyciągnęła go z całej siły, jednocześnie z trudem powstrzymując się od szlochu.

57.

Kiedy się obudziła, Calvin właśnie wychodził, żeby poszukać jakiegoś przyjemnego miejsca, w którym mogliby zjeść śniadanie, leżała więc samotnie i ku własnemu zdziwieniu zaczęła się zamartwiać tym, co może przynieść dzień. W końcu jednak się podniosła, wzięła prysznic i ubrała, tak że kiedy wrócił, siedziała już w fotelu i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w gazetę.

W pobliskiej kafejce zamówili omlety i gofry - te pierwsze doskonałe, drugie niemal na pewno z paczki, bo ciepłe na brzegach, ale podejrzenie zimne w środku. Zjedli w pośpiechu, niewiele rozmawiając, jakby gonił ich czas. A tymczasem do sprawdzenia wyników testów pozostało kilka ładnych godzin. Rzecz w tym, że nie mieli ochoty siedzieć w hotelu ani w tej kafejce czy też jakiejś innej kawiarni. A kiedy Debora zerknęła na zegarek trzy razy w przeciągu pięciu minut, zdecydowali, że zaczekają w samym centrum, gdzie laboranci dadzą im znać od razu, jak nadejdą wyniki.

Ta cała sytuacja przypomniła Deborze chwile, które spędziła w szpitalu obok pogrążonej we śnie sąsiadki, czekając, aż chirurdzy operujący jej ojca wyjdą z sali. Przez sześć nocnych godzin nie zdołała zmrużyć oka i tylko wpatrywała się w minutową wskazówkę wiszącego zegara z taką intensywnością, że autentycznie widziała, jak ta wskazówka się przesuwa. W tym czasie drzwi, za którymi zniknął wózek z ojcem, otwierały się kilkakrotnie, ale za każdym razem wyłaniała się zza nich jakaś lekarka spiesząca do domu, całkowicie ignorująca Deborę. Kiedy w końcu pojawił się chirurg, jej serce napełniło się nadzieją zrodzoną z godzin czekania. Pode-rwała się na nogi, jednak zanim na dobre się wyprostowała, już wyczytała z twarzy doktora straszną prawdę i przez krótki moment, gdy mężczyzna szukał odpowiednich słów pocieszenia, wydawało jej się, że jest zupełnie sama w tym nienaturalnie białym pomieszczeniu. Szybko jednak przebudzi-

ła się sąsiadka, a będąc osobą o zdecydowanie bardziej ortodoksyjnych religijnych poglądach niż rodzina, od razu kazała Deborahze rozerwać ubranie na wysokości serca na znak głębokiej żałoby. Debora, kompletnie onie miała, posłusznie wykonała polecenie i to był ostatni związek z konserwatywnym judaizmem gest w jej życiu. W następnym tygodniu wyjadła parę krewetek z sałatki, którą celowo kupiła w brooklyńskich delikatesach. Jej rodzice nigdy nie przykładali wagi do koszerności potraw, więc zapewne nie przejęliby się wybrykiem córki, nawet gdyby o nim wiedzieli. Od tamtej pory zresztą Debora już więcej nie jadła koszernej jedzenia, aż do czasu gdy zamówiła koszerne dania na lot powrotny z Grecji. Nigdy też nie powróciła do judaistycznych praktyk religijnych.

Szczerze powiedziawszy, kiedy podrosła, żałowała, że zjadła wówczas te krewetki w infantylnie wyrażonym odruchu pogardy wobec Boga - Boga, który zabrał jej ojca. Ojciec uznałby to za tani, obraźliwy gest - nie ze względu na pogwałcenie ortodoksyjnych zasad, ale z powodu jego mściwej małości.

Cóż, to już zamknięty rozdział.

Problem w tym, że nie do końca zamknięty. Bo przecież śmierć ojca była kresem, lecz i początkiem nowej, bardzo trudnej fazy życia.

Na szczęście wyniki testów będą definitywnym końcem pewnej sprawy. Ludzkie szczątki albo pochodzą sprzed wieków, albo nie. Kropka.

Przesiedzieli w recepcji półtorej godziny, zanim się zjawił doktor Kerem.

- Cóż za gorliwość - zauważył, po czym wyciągnął z podłużnej koperty kilka złożonych wydruków z komputera. - Za chwilę przekażę te wyniki do odesłania. Rozumiem jednak, że nadal państwo chcecie rzucić na nie okiem?

- Naturalnie - rzuciła Debora tak absurdalnie lekkim tonem, że doktor Kerem spojrział na nią z zaskoczeniem spod swoich okularów.

W końcu rozłożył wszystkie wydruki, na których widniały jakieś wykresy, a poniżej rozliczne kolumny cyfr i symboli chemicznych, które specjalista zapewne zdolny był złożyć w długą, pasjonującą opowieść.

- Jak to rozumieć? - spytał Calvin, potrząsając jedną ze stron.

- To wyniki badania obiektów ceramicznych - wyjaśnił Kerem. - Testy za każdym razem wykazywały, że dany okaz pochodzi z osiemnastego, dziewiętnastego wieku. Nie możemy określić precyzyjnej daty, ponieważ w owym czasie nastąpił znaczny wzrost zużycia paliw kopalnych, co nieco zaciemnia obraz.

- Jest pan tego pewien, doktorze? Niemożliwe, żeby to była starożytna ceramika? - spytała Debora.

- Proszę zdefiniować pojęcie „starożytna”.
- Z epoki brązu. Powiedzmy dwunasty wiek przed naszą erą.
- Absolutnie wykluczone.

Debora miała takie wrażenie, jakby coś wyszło z niej powietrze. Słowa naukowca nie były dla niej niespodzianką, wprawiły ją jednak w głębokie przygnębienie. Richard zginął z powodu tych bezwartościowych imitacji i - co gorsza - dla nich żył.

- A co z ludzkimi szczątkami? - zainteresował się Calvin.
- Tu sprawa przedstawia się inaczej.

Debora potrzebowała dobrej chwili, by dotarły do niej słowa doktora.

- To znaczy? - Na twarzy Calvina pojawił się wyraz niezwyklej koncentracji, a oczy rozblęły mu zimnym światłem.

- Szczątki nie pochodzą z tego samego okresu co ceramika - odparł Kerem.

- O ile są starsze? - spytała Debora z zapartym tchem. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewała.

- Wcale nie są starsze. Raczej bliższe naszym czasom.
- Co takiego? - Wbiła w doktora pełen niedowierzania wzrok.
- Różnice nie są dramatyczne. To szczątki z dwudziestego wieku, sprzed lat pięćdziesiątych.

- Jest pan pewien? - wtrącił Calvin.

Kerem spojrzał na niego z nieznaczną irytacją.

- Nasz spektrometr wykrywa produkty rozpadu radioaktywnego węgla - oświadczył. - Stopień i czas rozpadu izotopów radioaktywnych powszechnie obecnych w materii organicznej jest nam dobrze znany. Na tej podstawie możemy dość precyzyjnie określić wiek substancji pochodzącej nawet sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat, lecz nie starszej, bowiem w starszych próbkach ilości radioaktywnego węgla są na poziomie niższym od poziomu detekcji. Na drugim końcu spektrum plasują się natomiast próbki pochodzące z drugiej połowy dwudziestego wieku. Próby nuklearne, intensywnie przeprowadzane w latach pięćdziesiątych, znacznie podniosły poziom radioaktywności materii organicznej, co widać wyraźnie w wynikach badań. Szczątki, które oddali państwo do naszego laboratorium, z pewnością pochodzą z ery przedatomowej, ale są późniejsze niż okres mieszczący się w przedziale osiemnasty-dziewiętnasty wiek. To zwłoki człowieka z dwudziestego wieku, który zmarł mniej więcej w połowie lat czterdziestych.

Debora mimowolnie rozdziawiła usta. Połowa lat czterdziestych? To nie miało najmniejszego sensu.

- Czy mogę zerknąć na wyniki? - poprosił Calvin.

Kerem wręczył mu kopertę, Bowers zaś z dziwną miną zaczął przebiegać oczami rzędy cyfr.

Debora natomiast miała wielką ochotę zapytać Kerema, czy aby na pewno się nie pomylił, zdawała sobie jednak sprawę, że to pytanie byłoby nie tylko bezsensowne, ale na dodatek aroganckie.

- No tak - wykrztusiła w końcu. - Wszystko jasne. A więc chyba już powinniśmy się zbierać.

- Pozostałe wyniki będą gotowe za mniej więcej dwa tygodnie - zapewnił ją doktor. - Czy mam je przesłać do muzeum?

- Pozostałe wyniki? - Debora wciąż czuła się jak pijana.

- Hiszpański galeon.

- Ach, tak. Naturalnie. Proszę wysłać je pocztą.

Kerem wyjął z rąk Bowersa kopertę, pożegnał się uprzejmie i zostawił ich w dużym, jasnym holu, który teraz jeszcze bardziej przypominał Deborahze szpitalną poczekalnię.

- Dobrze się czujesz? - spytał Calvin.

- Tak - skłamała gładko. - Muszę zadzwonić do Cernigi.

Teraz już nie miała wyjścia. Czas skończyć z zabawą w detektywa.

- Dobrze - odparł Calvin, mierząc ją uważnym spojrzeniem. - To prawdopodobnie rozsądne. Ty dzwoń, ja w tym czasie skoczę do toalety. Potem chyba powinniśmy ruszać w drogę.

To było niemal pytanie. Tak jakby rozwój wypadków nagle miał ją skłonić do zaproponowania wspólnego wypadu w góry czy coś w tym rodzaju. Debora nie zamierzała dłużej słuchać Calvina, skinęła tylko głową i zaczęła szukać w torebce telefonu.

A więc nie były to szczątki Agamemnona. Od jakiegoś czasu już o tym wiedziała, jednak to, co dzisiaj usłyszała, wprawiło ją w kompletne osłupienie i wzbudziło niewytłumaczalny lęk. Bo nagle się okazało, że nie mieli do czynienia ani ze starożytnymi zwłokami wykopanymi po tysiącletnich spoczywania w ziemi, ani z kośćmi zabranymi z pierwszego lepszego cmentarza pod koniec dziewiętnastego wieku. Te szczątki były całkiem współczesne, a więc nie miały nic wspólnego ze Schliemannem, z wykopaliskami, Mykenami, a nawet archeologią jako taką.

Owo nieoczekiwane rozwiązanie sprawiło, że w głowie Debory zaczęło dzwięczeć zupełnie nowe, natarczywe pytanie. Dążąc do odnalezienia eksponatów skradzionych z kolekcji Richarda, myślała w kategoriach „jak”, „co” i „dlaczego”. Teraz najważniejszą kwestią stało się inne pytanie.

Czyje właściwie zwłoki spoczywały w królewskim majestacie za półkami w sypialni Richarda?

58.

- Agent Cerniga - usłyszała w słuchawce.
- Tutaj Debora Miller. Właśnie jestem w Atenach.
- Pani jest... gdzie?!
- W Atenach, w stanie Georgia - odparła. - I przed chwilą odkryłam coś, o czym pan się powinien dowiedzieć.
- Proszę mówić.

No więc powiedziała. Zaczęła od tego, że pojechała do laboratorium CSBI, by zlecić określenie wieku galeonu, i przypadkiem natknęła się na wyniki testów eksponatów ze skradzionej skrzyni. Cerniga nie zakwestionował jej słów, kontynuowała więc sprawozdanie z wizyty w centrum - teraz już niczego nie ukrywając. Nie wspomniała jedynie, że był z nią Calvin, więc kiedy wyszedł z budynku, uśmiechając się radośnie, odwróciła się do niego plecami i skupiła na rozmowie z Cerniga.

- Jaki jest telefon do tego centrum? - spytał agent, wysłuchawszy w milczeniu konkluzji wynikających z badań.

Debora zerknęła na pokwitowanie zlecenia testu i szybko podała numer.

- Nie sądzę jednak, żeby powiedzieli panu coś ponad to, co już pan ode mnie usłyszał - dorzuciła.

- Nie jestem zainteresowany kolejnymi szczegółami, tylko adresem kontaktowym podanym przez tego, kto zlecił usługę. Obecnie odnalezienie tej osoby jest o wiele ważniejsze niż wyniki testów. Panią natomiast proszę, żeby jak najszybciej wracała pani do Atlanty i nadal nie wyłączała komórki.

Oczywiście, że najważniejsze było odnalezienie zleceniodawców, dotarło do niej z całą jasnością, gdy tylko się rozłączyła. Jak w ogóle mogła o tym nie pomyśleć?! Przecież sednem sprawy nie była jakaś archeologicz-

na zagadka, lecz morderstwo popełnione na jej najbliższym przyjacielu. Prowadzący dochodzenie nie szukali tajemniczych anonimowych szczątków ludzkich, tylko bezwzględnego zabójcy, i gdy Debora uświadomiła sobie, że w ferworze wydarzeń fakt ten umknął jej pamięci, ogarnęły ją ból, smutek i palące wyrzuty sumienia.

Jechała szybko, próbując wyciągnąć jakieś wnioski ze wszystkich informacji, które dotychczas udało jej się zgromadzić. Szczególnie zaprzątały jej umysł ostatnie odkrycia, siedziała więc w milczeniu; nie żałowała tego, co ubiegłej nocy zaszło między nią a Calvinem - jednak zdecydowanie wolałaby, żeby go tu teraz nie było. Nie miała ochoty na żadną rozmowę. Na czułości ani żartobliwy flirt. Musiała się porządnie nad wszystkim zastanowić. Z zasady niechętnie otwierała usta, jeżeli nie miała nic ciekawego do powiedzenia. I choć zazwyczaj wymyślenie jakiejś błyskotliwej odzywki zajmowało jej zaledwie parę milisekund, w tej chwili miała w głowie chaos, a do tego wciąż odczuwała niewytłumaczalny lęk. Zdecydowanie nie miała ochoty dyskutować o swoich emocjach i rozterkach.

- Co się dzieje? - spytał w końcu Calvin.

- Nic. - Pokręciła zdecydowanie głową. - Po prostu próbuję się skoncentrować.

- Na prowadzeniu auta czy interpretacji wyników testów?

Właśnie zaczęło padać i Debora włączyła wycieraczki.

- Na jednym i drugim.

Nie uśmiechnęła się ani nie oderwała oczu od drogi. Miała nadzieję, że jej zdawkowe odpowiedzi zniechęcą Calvina do dalszej dyskusji.

- Co sądzisz o tych ludzkich szczątkach? - Nie dawał za wygraną.

Miała wrażenie, że tak naprawdę wcale nie był zainteresowany jej opinią, ale ponownym nawiązaniem kontaktu. Nie zamierzała jednak podjąć gry, wzruszyła więc tylko ramionami.

- Nic nie przychodzi ci do głowy?

- Nie bardzo - mruknęła.

Odwrócił głowę i wbił wzrok w szybę poznaczoną kroplami deszczu.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - zapytał. - To znaczy między nami.

- Jasne, Calvin. - W jej głosie pobrzmiwała irytacja. Po prostu się zamknij i zostaw mnie w spokoju, pomyślała. - Jedynie próbuję się skoncentrować.

Tak naprawdę jej myśli przez cały czas krążyły wokół trzech spraw: wieku ludzkich szczątków, zainteresowania FBI zbrodniami na tle dyskryminacji oraz śmierci czarnoskórego dowódcy jednostki pancerniej, który nigdy nie miał zobaczyć swojej córki. Ale jeżeli ten, kto zamordował Richarda - i próbował zabić ją w Grecji - wiedział, że w ukrytym pokoju nie znajdowały się szczątki Agamemnona, tylko zapomnianego czarnoskórego oficera, zamordowanego przez żandarma-rasistę przed pięćdziesięcioma laty, to czemu z taką bezzwzględną zaciętością próbował je przechwycić?

Z zamyślenia wyrwał ją ostry sygnał telefonu: nadał „La Cucaracha”, dowcip Richarda. Od ponad godziny jechali z Calvinem w milczeniu i właśnie wynurzyli się z lesistej okolicy w miejscu, gdzie jezioro Allatoona połyskiwało ciemnymi szarościami pomiędzy ociekającymi deszczem konarami drzew.

- Podaj mi komórkę, z łaski swojej - poprosiła Debora, gdy telefon wysliznął jej się z ręki i wylądował na podłodze pomiędzy nogami Calvina.

- A więc jednak nie odjęło ci mowy?

To zapewne miał być dowcip, wypadł jednak dość blado.

- Po prostu... Dzięki. - Niemal wyrwała komórkę z jego dłoni i energicznie otworzyła klapkę. - Halo?

- Tu Cerniga. Gdzie pani jest w tej chwili?

- Od granic miasta dzieli mnie jakieś pół godziny jazdy. Może mniej. Czy coś się stało?

- Podam pani pewien adres i namiary, jak tam trafić. Chcę, żeby pani tu natychmiast przyjechała. Proszę nigdzie indziej nie wstępować po drodze.

- W porządku. Słucham.

- Czy nie musi się pani zatrzymać, żeby wszystko zapisać?

- Postaram się zapamiętać - odparła, po czym przycisnęła telefon do ucha i zaczęła na migi pokazywać Calvinowi, że trzeba coś zanotować.

- O co chodzi - spytał?

- Długopis - wypowiedziała, bezgłośnie odwracając usta od komórki.

- W porządku - odezwał się Cerniga. - A więc adres to Greencove Street numer 136, mniej więcej dwadzieścia minut jazdy na południe od lotniska. Proszę zjechać z 1-85 w Palmetto i skręcić w lewo. Po mniej więcej sześciu kilometrach dotrze pani do Haysbridge Road. Proszę tam raz jeszcze skręcić w lewo, a zaraz potem w prawo. To będzie właśnie Greencove. Czekam w pierwszym budynku po lewej stronie. Jest dość

oddalony od ulicy, ale z pewnością go pani zauważy. Sprawia wrażenie opuszczonego.

Debora powtarzała na głos wszystkie wskazówki, a Calvin notował z kwaśną miną. Najwidoczniej mu się nie spodobało, że został zredukowany do roli stenografa.

- Co to za miejsce? I czemu mam tam przyjechać?
- To tutaj właśnie zadekowali się nasi Grecy - odparł Cerniga chłodno. - Tutaj też przechowywali skrzynię.
- Jak się panu udało ich znaleźć? - Debora nie kryła zachwyty.
- Zadzwoniliśmy do laboratorium CSBI. Podali nam adres kontaktowy.
- No, tak. Oczywiście. To wspaniale.
- Nie powiedziałbym. Ktoś zdołał nas uprzedzić.
- Czy... - Deborze nagle zabrakło słów. - Czy wszystko w porządku?
- Po prostu niech pani jak najszybciej tu przyjedzie - odparł Cerniga i przerwał połączenie.

59.

- Zamierzam jechać sama na spotkanie z Cernigą - oznajmiła Calvinowi, nadal nie odrywając wzroku od zalanej deszczem drogi. - Gdzie cię podrzucić?

Zwrócił się w jej stronę, pochwyciła to kątem oka, jednak przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Calvin? - ponagliła.

- Czy zachowałem się niestosownie? - zapytał. - A może żałujesz wczorajszej nocy?

- Nie - odparła, nie do końca przekonana, czy to szczerą odpowiedź.

- Po prostu uważam, że nie powinniśmy się tam pokazywać razem.

- Dlaczego nie?

- Cóż, przede wszystkim dlatego, że nie zostałeś zaproszony.

- No, cudnie - burknął. - Wiesz co, Deboro? Może rzeczywiście tak będzie lepiej. Co prawda muszę jeszcze dziś wpaść do muzeum, ale po prostu odwieź mnie do biura.

Niewiele brakowało, a zaczęłyby go przeproszać - tłumaczyć, że jej zachowanie nie miało nic wspólnego z jego osobą, ale postrzeganiem ich obojga przez innych jako parę, co z kolei uczyniłoby ich relację bardziej realną, a więc podnoszącą poziom lęku; że w gruncie rzeczy bała się, do czego ich to wszystko doprowadzi - w końcu jednak tylko skinęła głową i mruknęła:

- Jak sobie życzysz.

Kiedy po chłodnym i zdawkowym pożegnaniu Bowers sztywnym krokiem wmaszerował do swojej imponującej szklanej wieży, Debora gwałtownie ruszyła spod krawężnika i wkrótce pozostawiła za sobą centrum Atlanty. Minęła zjazdy prowadzące w kierunku lotniska oraz małych mia-

steczek satelickich o zupełnie nieznanym jej nazwach, takich jak: Fairburn, Jonesboro i Union City. W końcu znalazła się na autostradzie niemal sama - przed nią rozciągała się jedynie szeroka wstęga asfaltu porośnięta po obu stronach lasem - i Debora zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie pomyliła drogi.

Po raz kolejny zerknęła na nierówne pismo Calvina, po czym podniosła wzrok znad kartki akurat w chwili, gdy na poboczu pojawił się drogowskaz na Palmetto. Zwolniła, zjechała z autostrady i znalazła się na jednopasmowej szosie biegnącej przez pastwiska usiane rdzawymi stodołami z białymi trymowaniami. Atlanta zdawała się leżeć w innym świecie. Wręcz w innym wymiarze czasu.

Czemu dom przy Greencove nosił numer 136 - nie umiałaby powiedzieć, ponieważ wydawał się jedynym budynkiem przy tej ulicy. Tak jak powiedział Cerniga, był oddalony od chodnika, więc jego kontury tylko majaczyły niewyraźnie w strugach deszczu. Rzeczywiście - sprawiał wrażenie zaniedbanego i opuszczonego. Była to wiekowa rezydencja, prawdopodobnie wiktoriańska, z wysoką czworokątną wieżyczką po jednej stronie i zdobieniami przywodzącymi na myśl chatkę z piernika. Po renowacji - zakładając, że można by ją jeszcze przeprowadzić - budowla przedstawiała sobą imponujący widok: pomimo ogromu, odznaczała się bowiem wdzięcznymi, eleganckimi liniami. W tej chwili jednak dom otaczały radiowozy i samochody służb specjalnych z migającymi na dachach światłami, omiatającymi ściany ostrą czerwienią i błękitem.

Gdy Debora to ujrzała, wszystkie myśli o Calvinie natychmiast wyleciały jej z głowy. Zaparkowała przy krawężniku i odetchnęła głęboko, niczym nurek przed zejściem w głębinę. Kiedy wysiadła, zaczęły ją siec strugi deszczu, wtuliła więc głowę w ramiona i biegiem pokonała żwirowy podjazd. Przed drzwiami zatrzymał ją umundurowany policjant, musiał być jednak uprzedzony o jej przybyciu, bo gdy tylko się przedstawiła, wpuścił ją do środka.

Rozejrzała się po holu i natychmiast doszła do wniosku, że rzeczywiście od dłuższego czasu nikt nie mieszkał w tym domu na stałe. Był niemal pozbawiony mebli, a te, które się w nim znajdowały, sprawiały wrażenie skazanych na unicestwienie staroci, jakby nie przeszły przez sito selekcji, gdy ostatni właściciel zmarł i co lepsze okazy zabrano na aukcję. Do Debory docierał też odgłos nieustannie kapiącej wody. Nieszczelna rura czy dziurawy dach? Najprawdopodobniej to drugie.

- Tu, na górze. - Keene przechylił się przez poręcz pokrytą grubą warstwą kurzu schodów.

Debora odgarnęła mokre włosy z twarzy i ruszyła w górę w tej samej chwili, gdy Keene zaczął iść w dół.

- A! - mruknął z niekłamana satysfakcją. - Oto i jej wysokość, pani kustosz we własnej osobie.

- O co chodzi? - spytała Debora, zbyt niespokojna, żeby wdawać się w kolejną potyczkę słowną ze złośliwym gliniarzem.

- Radzę wziąć się w garść - powiedział detektyw. - To nie jest przyjemny widok.

Trup mężczyzny znajdował się na podeście. Leżał na plecach, w rozpiętej koszuli, a na jego piersi widniały wycięte nożem, stylizowane na greckie litery, układające się w słowo „Atreusz”. Poza tym na bladym ciele nie widniały żadne inne znaki ani ślady krwi, która zebrała się w sporą kałużę pod plecami denata.

Debora oparła się dłonią o ścianę, bo nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa.

- Ten napis wycięto już po śmierci - oznajmił Cerniga, wynurzając się z jednego z pokoi na piętrze. - Ów człowiek został najpierw dwukrotnie postrzelony z bliskiej odległości w plecy. Dopiero potem ktoś się zabawił w kaligrafa. I proszę mi wierzyć - od tej strony zwłoki wyglądają dużo lepiej.

Wyrzucał z siebie słowa szybko, energicznie, nie kryjąc złości czy może frustracji.

- Zna pani tego człowieka?

Debora przyjrzała się uważnie zamordowanemu mężczyźnie. Szczupły, o ciemnej karnacji, mniej więcej pięćdziesięcioletni. Jego włosy i wąsy były nieco dłuższe, niż wymagała obecna moda, do tego gęsto przetykane siwizną.

- Nie. - Debora zdecydowanie pokręciła głową. - Czy jest Grekiem?

- W każdym razie ma grecki paszport - odparł Cerniga. - Znaleźliśmy przy nim również inne dokumenty, ale nikt nie potrafi ich odcyfrować. Wysłałem je do tłumaczenia i... owszem, pochodzą z Grecji.

- Dokumenty?

- Nie, ofiary. Zwłoki kolejnego mężczyzny znajdują się w sypialni. Proszę mu się dobrze przyjrzeć, panno Miller. Bardzo dobrze. A potem zejść na dół i powiedzieć mi wszystko, czego mi pani do tej pory nie opowiedziała. Wówczas spróbujemy ocenić, w jak poważnych znalazła się pani opałach.

Przemknął obok niej niczym burza, zatrzymał się jednak w połowie schodów i dorzucił:

- Gdyby od razu powiedziała mi pani o tym laboratorium, moglibyśmy dotrzeć tu kilka ładnych dni wcześniej, a wówczas ci mężczyźni nadal by żyli. Myślę, że powinna pani głęboko przemyśleć moje słowa.

Debora zamarła, jakby ktoś właśnie jej wymierzył siarczasty policzek. Keene, stojący po drugiej stronie holu, mierzył ją lodowatym, twardym wzrokiem, odmawiającym prawa do przebaczenia. Debora szybko umknęła spojrzeniem. Paliły ją policzki, a głos uwiązł w gardle - bo też nie przychodziły jej do głowy żadne słowa, które byłyby odpowiednie w zaistniałej sytuacji.

60.

Kiedy dojechała do domu, deszcz przestał padać i nad ulicami unosił się mleczny opar, a cykady i rzekotki na nowo podjęły swoje chóralne śpiewy. Debora wywlokła się z samochodu i ruszyła w mrok - ciężki, gorący, przesycony wilgocią niczym turecka łaźnia - wysysający z niej resztki emocjonalnej energii, które jeszcze pozostały po spotkaniu z Cernigą w Palmetto.

Chociaż prawdę mówiąc, nie tyle było to spotkanie, ile werbalna chłosta - grad inwektyw za porażające amatorszczyznę działania i obsesyjne ukrywanie informacji przed jedynymi ludźmi zdolnymi wykryć morderców Richarda. Najbardziej jednak bolało ją obciążenie odpowiedzialnością za śmierć obu Greków. Keene dołączył do nich dużo później i tym razem poprzestał na roli usatysfakcjonowanego obserwatora. Debora nie płakała, zdołała powstrzymać łzy, ale po kilku nieśmiałych protestach siedziała w milczeniu, przyjmując wszystkie ciosy, świadoma, że nie ma sensu oponować - co gorsze przekonana, że racja rzeczywiście leżała po stronie tamtych.

Owszem, miała powody, by z początku podchodzić z nieufnością do policji, a w szczególności do Cernigi; i tak, nawet kiedy wyjawiał, że jest agentem FBI, wciąż traktowała go podejrzliwie, ponieważ miała świadomość, że nie mówi jej całej prawdy o prowadzonym śledztwie. Tyle że były to marne usprawiedliwienia. Jako prowadzący śledztwo Cerniga miał bowiem pełne prawo ujawnić jej tylko to, co uznał za stosowne. Ona natomiast miała absolutny obowiązek dzielenia się z nim wszystkimi informacjami w jakikolwiek sposób związanymi ze sprawą. Stąd w świetle jej dotychczasowych dokonań detektywi z pewnością mogliby ją oskarżyć o świadome utrudnianie śledztwa, gdyby tylko przyszła im na to ochota. Debora podejrzewała, że decyzja w tej sprawie w dużym stopniu zależała

od reakcji rządu greckiego na śmierć obywateli ich kraju na terenie Stanów, a więc poniekąd od nacisku wywieranego przez Greków na FBI. Podejrzała jednak, że rząd grecki nie będzie interweniować w tej sprawie, i dzięki temu uda jej się uniknąć odpowiedzialności prawnej. Co jednak w żadnym stopniu nie zmniejszało jej poczucia winy.

- Wystarczyło podnieść słuchawkę i wystukać numer! - grzmiał Cerniga. - Wystarczyło powiedzieć: „Wie pan co? Założę się, że ten, kto

wszedł w posiadanie skradzionego eksponatu, zgłosił się do CSBI na Uniwersytecie Stanu Georgia, by zlecić zbadanie próbek”. Natychmiast sta-

Nie znalazła na te słowa żadnej logicznej odpowiedzi. Nawet takiej, którą mogłaby usprawiedliwić własne posunięcia przed sobą samą. Bo właściwie czemu pojechała do laboratorium, nie wspominając o niczym Cernidze? Czy rzeczywiście zrobiła to, kierując się pseudocórczynymi zobowiązaniami wobec Richarda? Być może. Chociaż gdy jechała już do domu, zaczęła ją boleśnie i uparcie nękać całkiem inna myśl - może zachowała się tak, a nie inaczej, żeby wyrzucić odpowiednie wrażenie na Calvinie? Kiedy sobie uświadomiła podobną możliwość, ogarnęły ją straszny wstyd i pogarda dla samej siebie.

- Za kogo właściwie pani się uważa? - wróciły do niej wykrzykiwane przez Cernigę słowa. - Za genialnego detektywa zapędzającego w kozi róg wszystkich zawodowców siłą porażającej intuicji i logiki? Jak do tej pory pani posunięcia zahamowały oficjalne dochodzenie i kosztowały życie dwóch ludzi, a przy tym nie doprowadziły do żadnych istotnych odkryć. Czy rzeczywiście nadal pani myśli, że ta sprawa ma jakikolwiek związek z archeologią? - zapytał z podszytym zgrozą niedowierzaniem. - Doprawdy, panno Miller, jak na osobę wykształconą, momentami wykazuje się pani zdumiewającą głupotą.

W mrocznej ciszy mieszkania słowa Cernigi wciąż dźwięczały Deborze w uszach. Próbowała je zagłuszyć muzyką, potem telewizją, ale jedno i drugie wydało się jej aktem zniewagi wobec zamordowanych, tanią próbą ucieczki od emocji, od których nie miała prawa uciekać. W końcu, zrezygnowana i przygnębiona, położyła się na łóżku i wbiła wzrok w obracający się pod sufitem wiatrak, owiewający jej spocone ciało chłodnym podmuchem. Nie leżała jednak długo. Kiedy się podniosła, włączyła komputer i sprawdziła pocztę. Nic. Żadnych wiadomości. W głębi ducha liczyła na jakąś wiadomość od Calvina, ostatecznie jednak dziękowała losowi, że nie musi stawać z nim do konfrontacji. Naturalnie miał prawo się czuć zdeprymowany i dotknięty jej pełnym dystansu milczeniem w drodze

z Aten, ale Debora już wtedy wyczuwała, że czekają poważna przeprawa z Cernigą, więc przygotowanie się na nieprzyjemności wzięło górę nad pączkującym romansem. To przecież powinno być zrozumiałe.

W duchu musiała jednak przyznać, że głównym motywem jej zachowania było zupełnie coś innego: dopuściła Calvina zbyt blisko siebie i jego atencje stały się zbyt krepujące, musiała się więc od niego oddalić, by zaczerpnąć ożywczy haust świeżego powietrza. Kiedy to sobie uświadomiła, opadło ją zaniepokojenie. Może jej zdeklarowany izolacjonizm, tak pomocny w zamierzonych szkolnych czasach, gdy czuła się wśród koleżanek dziwadłem i odmieńcem, nagle ostro i niespodziewanie zwrócił się przeciwko niej, niczym wierny pies, któremu nadepnęto na ogon. A gdy tak siedziała w mdłym blasku ekranu monitora i wpatrywała się w pustą skrzynkę odbiorczą, uświadomiła sobie, że potrzeba zachowania dystansu wobec Calvina i impulsywne ukrywanie swojej wiedzy przed FBI miały jedno i to samo źródło.

Dopiero teraz na to wpadłaś, Deb? Cóż, nie da się ukryć, że Cerniga miał rację. Jak na inteligentną kobietę niekiedy się wykazujesz zdumiewającą głupotą.

Wciąż jeszcze dumiała nad swoimi emocjonalnymi problemami, gdy dostrzegła błyskające światełko na automatycznej sekretarce. Nacisnęła guzik odtwarzania i usłyszała znany, choć nieoczekiwany głos.

- Witaj, Deboro.

Natychmiast wróciły do niej wspomnienia owej nocy, gdy zginął Richard i rozpoczęła się cała szarada.

- Witaj, Marcusie - mruknęła, jakby stał tuż przed nią z ulubioną fajką w dłoni.

- Przepraszam, że się nie skontaktowałem z tobą w Grecji, ale musiałem podążyć nieoczekiwanym tropem, który zawiódł mnie z powrotem do Atlanty. Posłuchaj, musimy koniecznie porozmawiać. Ten eksponat...

- Najwyraźniej szukał odpowiednich słów, a na dodatek jego ton stał się bardziej nagły. - Chodzi o sprawę, którą wspólnie badaliśmy. To... To zupełnie coś innego, niż nam się zdawało... - Urwał gwałtownie, a w tle pojawiły się dziwne odgłosy. - Jeszcze się odezwę - obiecał.

Ale drugiego nagrania już nie było.

61.

Debora powróciła do komputera. Marcus z pewnością zadzwoni. A nawet jeżeli się nie odezwie, niewielka strata - ona sama do tej pory z pewnością zebrała już przynajmniej tyle samo informacji co ekscentryczny Anglik. Pewnie on także odkrył, że zwłoki w pośmiertnej masce i wszystkie towarzyszące im przedmioty nie były tym, co spodziewali się znaleźć - że ich drobna kruczata nie miała sensu, i dlatego w głosie Marcusa dało się wyczuć...

Żal?

...zniecierpliwienie. Rozczarowanie. Cóż, doskonale rozumiała jego uczucia.

Mimo tej logicznej konkluzji, Debory nie opuszczał niepokój. Otworzyła więc główną stronę Google'a i przez dłuższą chwilę wbijała wzrok w puste okienko z migającym kursorem. W końcu wystukała powoli siedmioliterowe hasło. „Atreusz”.

Ekran na moment wygasł, po czym ukazała się pierwsza z kilku tysięcy stron: studenckie prace dotyczące greckich mitów, bryki z treści dramatów antycznych, gra komputerowa osadzona w realiach starożytnej Helady, a nawet portal ze zdjęciami wakacyjnymi z Myken. Jednak w jej obecnym nastroju zalane słońcem ruiny i radośnie uśmiechnięte twarze wydały się żałośnie groteskowe.

Wróciła więc do strony głównej i w pole wyszukiwania wpisała kolejne słowa: „Agamemnon”, „*tholos*”, „złoto”, „Schliemann”...

Nic. Zero rezultatów poza sugestią, by sprawdziła pisownię haseł.

Do imienia Atreusz dodała więc jeszcze inne wyrazy: „ceramika”, „grobowiec” oraz „zwłoki”, ale w rezultacie wyświetliły się zupełnie nieinteresujące ją linki. Spróbowała więc kombinacji: „Atreusz”, „1940”, „druga wojna światowa”, „sherman”, wszystkie jednak odnalezione pro-

pozycje odnosiły się do stron związanych z militariami, gdzie ani razu nie pojawiało się imię mitycznego Mykeńczyka.

Debora westchnęła zgnębiona i w akcie desperacji wrzuciła w wyszukiwarke hasło: „Atreusz, dyskryminacja”, a kiedy czekała na wyświetlenie rezultatów, rozległo się niespodziewane pukanie do drzwi.

Zerknęła na zegarek. Wpół do jedenastej. Oby nie był to Cerniga czy - nie daj Boże - Keene.

Calvin!

Ledwo to pomyślała, odezwały się w niej sprzeczne uczucia - ulga pomieszana ze strachem i wstydem.

Przycisnęła oko do wizjera i wydało jej się, że wzrok ją myli.

Pod drzwiami stała Tonya.

62.

Jakże to niespodziewany widok, pomyślała Debora, gdy usiadły we dwie przy kuchennym stole i zaczęły popijać wino przyniesione przez gościa. Do tej pory tylko raz w życiu udało im się szczerze porozmawiać - tyśiące kilometrów od domu, w małym, greckim miasteczku, co zresztą wydawało się teraz całkiem nierzeczywiste.

- Dziś po południu w muzeum pojawił się agent Cerniga - odezwała się Tonya. - Powiedział mi, co się stało. A gdy na dodatek zobaczyłam minę Keene'a, doszłam do wniosku, że przydałby ci się porządny drink.

Debora uśmiechnęła się blado w podziękowaniu.

- Ten facet szczerze mnie nie znosi - oświadczyła po chwili. - Znaczą się, Keene.

- To pewnie mama pociecha, ale mam wrażenie, że ja też nie należę do jego faworytek - odparła Tonya.

- A właściwie co ty jeszcze robiłaś w muzeum? - zainteresowała się Debora. - Zdaje się, że rzuciłaś pracę.

- Muszę wypełnić warunki kontraktu. - Tonya uśmiechnęła się szeroko. - Poza tym, jeszcze się nie zabrałam do szukania innej pracy. Tak naprawdę zrezygnowałam tylko po to, aby federalni odnieśli wrażenie, że się nie lubimy, może jednak poproszę cię o drugą szansę. Jeżeli oskarżą mnie o wtykanie nosa w nie swoje sprawy, będę zmuszona ujawnić to w podaniu o pracę. Gdyby w „AJC” zamierzali mnie zatrudnić w charakterze dziennikarki śledczej, podobna adnotacja mogłaby nawet pomóc, obawiam się jednak, że chcieliby, abym wróciła do działu recenzji kulinarnych, a tamci patrzyliby krzywo na zaszarganą kartotekę. Do diabła! - wykrzyknęła. - Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że może rzeczywiście zostanę skazana na dożywotnie czyszczenie toalet.

- To przecież nie jest prawdziwa praca - zaproponowała Debora - jedynie...

- Dorywcze zajęcie do czasu, aż znajdę coś odpowiedniejszego. Jasne
- weszła jej w słowo Tonya. - Moja mama tak właśnie powtarzała sobie przez całe życie. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się łobuzersko.
- Teraz jednak chętnie bym posłuchała o twojej przygodzie z panem Calvinem Bowersem, radcą prawnym i adwokatem.

Deborę niemal zatkało.

- Cerniga ci o tym powiedział?

- No coś ty. Dopiero teraz wiem to na pewno. Wcześniej tylko zgadywałam.

- Widzę, że naprawdę należy się wystrzegać dziennikarzy - zaśmiała się Debora.

- A co ze sprzątaczkami? No już, gadaj. Jestem spragniona szczegółów.

- To był miły wieczór.

- Jasne. Przecież widzę, że masz jeszcze resztki szminki.

- Przyszedł, żeby udzielić mi kilku rad w dziedzinie makijażu czy żeby wysłuchać najnowszych wieści?

- Czyżbym usłyszała słowo „wieści”? - wyszeptwała Tonya z żartobliwie konspiracyjną miną.

- Widziałam rezultaty badań interesujących nas zwłok - powiedziała z wolna Debora i sama się zdumiała nutą smutku we własnym głosie.

Tonya przez cały czas próbowała przejść do porządku dziennego nad odpowiedzialnością Debory za śmierć dwóch Greków, to jednak niewiele dawało. Przytłaczająca prawda wisiła ciężko między nimi i Debora miała wrażenie, że oddziela ją od Tonyi bezkresny, ponury tunel.

- Odnalazłaś szczątki? - spytała czarnoskóra kobieta.

- Nie, ale widziałam wyniki ich datowania.

- Czy jest tak, jak przypuszczaliśmy?

- Mniej więcej. Ceramika, a więc prawdopodobnie i wyroby ze złota, jest dziewiętnastowieczna. Zwłoki pochodzą z późniejszego okresu. Z połowy lat czterdziestych ubiegłego wieku.

Tonya powoli odstawiła kieliszek.

- Sądzisz, że to mój ojciec?

- Nie wiem.

- Ale jak ci się zdaje?

- Myślę, że to możliwe - odparła Debora, zbyt zmęczona i przygnębiona, by wdawać się w polemikę. - Co prawda nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby...

- To by wyjaśniało, czemu w sprawę zaangażowało się FBI. - Tonya

poderwała się z krzesła z błyskiem podniecenia w oku. - Zabójstwo na tle dyskryminacji.

- No, nie wiem. - Debora pokręciła głową. - Nie rozumiem, czemu ktokolwiek posuwałby się do tak drastycznych środków, żeby zdobyć jego zwłoki, nawet jeżeli badanie szczątków mogłoby jasno wykazać przyczynę śmierci. Zdaję sobie sprawę, że wojskowi niechętnie ujawniają ciemne sprawy, ale przecież teraz to już zamierzchna historia. Nie sądzę, by ktoś uważał, że ogłoszenie prawdy w tej kwestii spowodowałoby trzęsienie ziemi.

Tonya posłała jej pełne oburzenia spojrzenie.

- Wybacz, proszę - rzuciła szybko Debora. - Ja jedynie...

- A gdyby facet, który go zabił, ów żandarm... - przerwała jej Tonya -...o ile rzeczywiście służył w żandarmerii, później stał się jakąś wielką szycią lub był ojcem wielkiej szycy? To mogłoby spowodować trzęsienie, o którym wspomniałaś. I tłumaczyłoby, dlaczego ktoś za wszelką cenę chroniłby zabójcę czy też jego rodzinę.

- Być może - odparła Debora znużonym, pełnym przygnębienia tonem.

Tonyę jednak tak bardzo pochłonęła własna historia, że zupełnie nie dostrzegała, w jakim stanie znajduje się jej towarzyska.

- Widzę jednak, że nie jesteś o tym przekonana?

W głosie czarnoskórej kobiety pojawiło się wyzwanie, Debora jednak nie miała ochoty na sprzeczkę.

- Uważam, że to niewykluczone.

- Ale mało prawdopodobne.

Tonya nie zamierzała odpuścić. Zależało jej na pełnym poparciu, a tego akurat nie otrzymała.

- Sądzisz, że nikt nie zwracałby sobie głowy kimś takim jak mój ojciec? - rzuciła z dawną wojowniczością. - Że każdy ma w nosie zabójstwo czarnoskórego żołnierza dokonane w czterdziestym piątym roku?

Debora postanowiła załagodzić sprawę, chociaż obawiała się, że już za późno.

- Nic podobnego nie powiedziałam. Zasugerowałam jedynie, że nie widzę w tym żadnej logiki. Czemu zabójca twojego ojca zadawałby sobie trud upozowania go na mykeńskiego władcę?

- Aby ukryć fakt, że zamordował Amerykanina. Swojego rodaka.

- Ale przecież twój ojciec został oficjalnie pochowany - zauważyła Debora. - Nikt nie próbował ukryć faktu jego śmierci. Nie było takiej potrzeby. Wszyscy wówczas dobrze wiedzieli, że słowo białego podoficera żandarmerii wystarczy, by uciszyć cały pluton czarnoskórych żołnierzy.

Przez twarz Tonyi przebiegł gwałtowny skurcz - nie był to jednak tylko gniew, ale także ból i upokorzenie. Jakby Debora ją spoliczkowała.

- Cóż, a więc nie ma o czym mówić - zachnęła się ostro i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

- Przecież nic takiego nie powiedziałam. - Debora zerwała się z miejsca i pobiegła w stronę niedawnej sojuszniczki. - I w żadnym razie nie uważam, że to było w porządku.

- Nie jestem głucha. Dobrze wiem, co mówiłaś - rzuciła Tonya przez ramię.

- Tonyu... - W głosie Debory pojawiła się błagalna nuta. - Jest mi do prawdy bardzo przykro. Ten dzień był dla mnie... Ale wierz mi, że nie chciałam...

- Nie ma o czym mówić. - Kobieta energicznie szarpnęła za klamkę. - Zobaczmy się w muzeum, jak sądzę.

Trzask drzwi poniósł się głośnym echem po mieszkaniu. Debora wsłuchiwała się jeszcze w stukot jej obcasów odbijający się echem od ścian korytarza, była jednak zbyt zmęczona, a przede wszystkim zbyt udręczona, żeby gonić za Tonyą.

Uff. Cudowne zakończenie dnia. Właśnie zraziłaś do siebie ostatniego prawdziwego sprzymierzeńca.

Zgasła górne światło i podeszła do komputera, by się wylogować. Już nawet najechała kursorem na okno zamknięcia, gdy dotarło do niej, co widnieje na ekranie - wyniki wyszukiwania dla hasła „Atreusz, dyskryminacja”.

Pierwszy link był zupełnie niespodziewany. Najechała na niego kursorem, kliknęła i czekała na wyświetlenie strony.

Najpierw ujrzała nagłówek: „Społeczne Centrum Pomocy Prawnej Południa: grupy rasistowskie, rozmieszczenie w wybranych regionach”.

Na środku widniała czerwona mapa stanu Georgia, upstrzona rozmaitymi symbolami: flagami konfederacji, swastykami, białymi kapturami, czarnymi wojskowymi buciskami oraz krucyfikami. Poniżej znajdowała się lista odpowiadających im organizacji: Czarni Separatyści, Ku-Klux-Klan, Tożsamość Chrześcijańska, Neonaziści. A jeszcze dalej podgrupy: Naród Islamski, Nowy Ruch Czarnych Panter, Biali Rycerze Północnej Georgii, Ruch Aryjski, Rewolucja Białego Człowieka, Narodowi Socjaliści.

Serce podskoczyło jej do gardła, gdy zerknęła na sam dół strony, gdzie widniały organizacje zaklasyfikowane jako „inne”.

Jedna z nich nosiła nazwę „Atreusz”.

Symbol ją reprezentujący - jedyny tego rodzaju na całej mapie - widniał tam, gdzie powinna się znajdować Atlanta. Na pierwszy rzut oka małe logo wydawało się jedynie żółtym trójkątem, gdy jednak Debora się przyjrzała uważniej, dostrzegła w owym trójkącie wąskie szczeliny oczu. I teraz nie miała już żadnych wątpliwości - to była złota pośmiertna maska.

63.

W pierwszym odruchu chciała przeczytać wszystko, co się znajdowało w Internecie, w następnym - zadzwonić do Cernigi.

Ale przecież on o tym z pewnością wiedział. To dlatego się pojawił w muzeum u boku Keene'a. Bo tak naprawdę tu nie chodziło o Schliemanna czy Agamemnona, tylko o tę dziwną organizację. Czymkolwiek była i cokolwiek sobą reprezentowała.

Notka odnosząca się do grupy Atreusz był dużo krótsza od pozostałych.

Mała organizacja o rasistowskim zabarwieniu, założona w latach 50., i od początku otoczona nimbem tajemniczości – stąd wielu badaczy podważa fakt jej istnienia, tym bardziej że przez kilka dekad grupa ta pozostawała w uspieniu. Jej nazwa wypłynęła ponownie na początku lat 90., gdy chętnie zaczęli tatuować ją sobie skinheadzi; w tymże czasie pojawiły się również posty internetowe sugerujące, że Atreusz zrzesza niewielką liczbę członków i działa w głębokiej konspiracji. Cele tej organizacji nie są znane, chociaż nie ulega wątpliwości, że – jak w wypadku innych grup powiązanych ze skinheadami – jej ideologia oparta jest na hasłach nienawiści oraz promowaniu przemocy wobec mniejszości społecznych: w szczególności homoseksualistów oraz żydów i czarnych. Złota maska, pojawiająca się we wspomnianych tatużach oraz na transparentach i flagach, stanowi logo organizacji od chwili jej ustanowienia, nie wiadomo jednak dokładnie, co symbolizuje.

Znowu maska!

Wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Chciała uciec od tego obrazu, odwrócić oczy, ale złoty trójkąt przyciągał ją niczym magnes. Maska nie wyglądała jak prawdziwa, pewnie dlatego, że przy tak dużym pomniejszeniu zniknęły szczegóły. Przypominała raczej niewielkie logo, symboliczne wyobrażenie tragedii lub komedii...

Logo teatru.

Debora już kiedyś je widziała. Nie miała co do tego wątpliwości. Ta stylizowana, komputerowo przetworzona miniatura wyglądała znajomo, jednak nie z powodu achajskich masek z muzeum ateńskiego i setek ich fotografii reprodukowanych w rozlicznych książkach i albumach.

Teraz, jak się nad tym zastanowiła, uświadomiła sobie, że kiedy ujrzała tatuaż na piersi chłopaka-zabójcy w Mykenach, również miała takie samo wrażenie: już widziała podobny rysunek... Nie autentyczną mykeńską maskę, tylko jej miniaturę...

Zerwała się z krzesła i zaczęła krążyć po pokoju, próbując sobie przypomnieć, gdzie po raz pierwszy mogła coś takiego zobaczyć. I nagle zniechęciła się. Przed jej oczami nie pojawił się granatowosiny kontur na bladej skórze czy też piksele układające się na ekranie w żółty czy też złoty trójkąt - tylko czarno-białe logo na mięsistym, białym papierze.

Szybko ruszyła do sypialni i chwyciła torebkę, z którą przemierzyła niedawno pół świata. Była wypchana nieotwartą korespondencją sprzed dwóch tygodni: dokumentami i rachunkami, które Debora zabrała z muzeum po przyjęciu i nie zdążyła ich przekazać Richardowi, ponieważ gdy zobaczyła go ponownie - już nie żył. Szybko zaczęła przerzucać listy i ujrzała to, czego szukała: białą, długą kopertę z czerpanego papieru przypominającego fakturę płótno. Nazwisko Richarda i nazwę muzeum wystukano na jakiejś staromodnej maszynie do pisania. Gdyby na kopercie widniał adres rezydencji, przesyłka nigdy nie znalazłaby się w rękach Debory. W górnym lewym rogu, zamiast adresu nadawcy, znajdowała się jedynie mała stylizowana maska.

Wyglądała bardzo niegroźnie. Debora przypomniała sobie, jak pierwszy raz zobaczyła tę kopertę. Wówczas była przekonana, że w środku znajduje się prośba o dotację dla jakiejś lokalnej grupy teatralnej. Jednak w świetle wszystkiego, co się od tamtej pory wydarzyło, a także w kontekście żółtej ikony na monitorze, list nie wydawał się już tak niewinny.

Ostrożnie zaczęła otwierać przesyłkę, tnąc nożem mięsisty papier. Wyciągnęła rękę na długość ramienia i wytrząsnęła zawartość koperty na stół,

drugą dłonią zasłaniając nos i usta. Jeżeli ujrzalaby jakiś proszek, zaczerpnęłaby kolejny oddech, dopiero wypadłszy na ulicę.

W środku nie było jednak żadnego proszku, jedynie pojedyncza kartka ekskluzywnego papieru, której treść także wystukano na maszynie.

Doskonale wiemy, jaki eksponat znalazł się w Twoim posiadaniu i co zamierzasz z nim zrobić. Żądamy, byś natychmiast zmienił swoje plany. Jeżeli ów obiekt nie znajdzie się w rękach ludzi predestynowanych do podjęcia dzieła wielkiego wodza, ty sam oraz degeneraci, z którymi współpracujesz, zostaną starci w pył jak za uderzeniem miecza wszechmogącego Boga. Jeśli dopuścisz do wywiezienia eksponatu z kraju, możesz się spodziewać krwawych represji i pogromów, gdy moc tego, co posiadasz, zostanie wreszcie uwolniona.

Debora odłożyła list na stół i cofnęła się z przestachem, jakby jego treść była bardziej śmiertelna od gazu paralizującego czy węgla.

- Ta sprawa nie ma nic wspólnego z archeologią - mruknęła, przypominając sobie słowa Cernigi.

Chyba że ci faszystujący szaleńcy uważają się za spadkobierców Agamemnona...

Niewykluczone, że o to właśnie chodziło.

Wojnę trojańską - legendę gloryfikującą szlachetność i honor - przetransponowali w etos ludobójstwa, a opowieść o dążeniach achajskiej Grecji - wówczas najpotężniejszego organizmu społecznego w Europie - posłużyła do unicestwienia bogatego ludu Bliskiego Wschodu. Starcie Okcydentu z Orientem, Europejczyków z Azjatami, plemion żyjących na ziemi będącej później kolebką chrześcijaństwa z niewiernymi Turkami. Z Achillesa, Agamemnona i innych herosów uczyniono ikony nazizmu - aryjskich wojowników ścierających w pył obcą kulturę...

Choć było to manipulacyjne zniekształcenie historii, literatury i całego kontekstu kulturowego, Debora dostrzegła kryjącą się za nim chorą logikę - bez wątpienia wyznawaną przez tego, kto napisał ów list, przekonano, że wojna prowadzona przez Agamemnona w epoce brązu była w istocie rasistowską krucjatą. Z listu jednoznacznie wynikało, że kimkolwiek byli ludzie należący do Atreusza, desperacko pożyłali zawartości skrzyni, ponieważ mogli ją wykorzystać w jakichś przerażających celach.

Moc z niej uwolniona miała ponoć siłę „miecza wszechmogącego Boga”.

Jak brzmiały słowa Marcusa nagrane na sekretarkę? „To zupełnie coś innego, niż nam się zdawało”.

Cerniga się nie mylił. Morderstwo Richarda nie miało nic wspólnego z archeologią. Z historią, sztuką, a nawet z pieniędzmi. Debora wciąż nie wiedziała, co się znajdowało w kasecie - teraz tak naprawdę czuła się jeszcze bardziej zagubiona niż na początku, bo wszystkie jej założenia okazały się fałszywe - ale domyślała się, czemu niektórzy byli gotowi bestialsko zabijać, byle tylko wejść w posiadanie znaleziska. To była broń. Broń o niewyobrażalnej sile destrukcji.

64.

- Tak - rzuciła sucho w słuchawkę - to bardzo pilne.

Podziała ponownie swoje nazwisko, a potem czekała niecierpliwie w ciemnym pokoju, mdło rozjaśnionym tylko blaskiem monitora. Głos, który usłyszała po chwili, był szorstki, brzmiała w nim irytacja.

- Cerniga. O co chodzi tym razem?

- Znalazłam list, który przyszedł do Richarda w dzień jego śmierci. Przeczytałam go dopiero teraz i jestem przekonana, że to właśnie z powodu tego pisma ktoś próbował mnie zabić w Grecji. Mordercy nie znaleźli listu i doszli do wniosku, że poznałam jego treść.

- Co tam jest napisane?

Debra przysunęła kartkę do ekranu, by wyraźnie widzieć litery przez foliowy woreczek, do którego na wszelki wypadek włożyła kartkę. Nie zamierzała już ryzykować zniszczenia ważnych dowodów. Kiedy skończyła czytać, po drugiej stronie słuchawki zapanowała głucha cisza.

- Agencie Cerniga? Słyszysz mnie pan?

- Czy jest pani w domu?

- Tak.

- Proszę się nie ruszać z miejsca i z nikim nie kontaktować.

- To broń, prawda? - spytała, gdy tylko zjawił się w progu.

Nie przyszedł sam, za jego plecami czaił się Keene. Nawet jak na niego miał wyjątkowo kwaśną minę.

- Agencie - ponagliła. - Chodzi o broń?

Cerniga z westchnieniem zaczął studiować list.

- A pani ciągle mało? - powiedział, powoli przebiegłszy treść wzrokiem.

Debora chciała się szczerze przeprosić, wyrazić dezaprobatę dla samej siebie, ale spostrzegła, że agent nie jest w nastroju do żartów - patrzył twardo i mocno zaciskał usta. W końcu popatrzył znacząco na Keene'a.

- Powiedz jej - zarządził.

- Co takiego? Mam jej wszystko opowiedzieć? - Keene posłał Cernidze pełne oburzenia spojrzenie.

- Jasne. O ile dzięki temu uda się ją uciszyć na najbliższe dziesięć minut i powstrzymać od ciągłego wchodzenia nam w drogę.

Debora spuściła oczy, czując, że się rumieni.

- Okay. - Keene wzruszył ramionami i rozsiadł się w fotelu. - No więc tak, przypuszczamy, że chodzi o broń. Wzmianki o Atreuszu pojawiają się nieregularnie od lat pięćdziesiątych i zawsze są pełne mętnych, apokaliptycznych bredni. Organizacja nigdy nie wzięła na siebie odpowiedzialności za jakiegokolwiek akty przemocy, chociaż uważamy, że jest powiązana z różnymi skrajnie pravicowymi bojówkami. Nie mamy jednak pojęcia, o co właściwie im chodzi. Prawdopodobnie przywódcą Atreusza - a także jego założycielem - był niejaki Edward Graves, miejscowy przedsiębiorca i multimilioner. Zmarł w połowie lat sześćdziesiątych i nie wiemy, kto - o ile organizacja de facto przetrwała - stanął wówczas na jej czele. Wiemy natomiast, że nie sposób ustalić, co się stało z jego fortuną. Krążą pogłoski, że jej lwia część została przeznaczona na zabezpieczenie przyszłości Atreusza. Tak czy owak przez wiele lat niemal wszyscy analitycy zgodnie twierdzili, że organizacja przestała istnieć, aż niespodziewanie jej nazwa wypłynęła przy okazji śmierci pewnego obywatela brytyjskiego na terytorium Francji.

- Ojca Marcusa.

- No właśnie. Federalni długo nie wiedzieli nic poza tym, że stary Anglik pojechał do żabojadów, by na czarnym rynku kupić zabytki pochodzące z wykopalisk. Kiedy brytyjska policja przeszukała jego dom, odkryła bliżej nieokreślone powiązanie pomiędzy starcem a Edwardem Gravesem, jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Miało to coś wspólnego z jakąś maską...

- Czy Graves w czasie wojny był zmobilizowany i walczył w Europie?

- Debora weszła Keene'owi w słowo.

- Tak - odparł Cerniga. - Służył w żandarmerii. A czemu? Czyżby pani coś jeszcze przed nami ukrywała?

Poczuła suchość w gardle. Tonyi zależało, by nie ujawniać jej historii.

- Panno Miller? - W głosie Cernigi pojawiła się groźna, lodowata nu-

ta, a Debora znowu ujrzała przed oczami zwłoki dwóch Greków, których życie mogłaby uratować, gdyby tylko...

- Ojciec Tonyi był dowódcą plutonu czołgów, tam służyli sami czarnoskórzy, i pod koniec wojny znalazł się na południu Niemiec.

Opowiedziała ze szczegółami wszystko, co wiedziała. Ujawniła nawet podejrzenia Tonyi - że w skrzyni, przykryte złotą maską, znajdują się szczątki jej ojca, Andrew Mulligrew.

Keene co rusz piorunował ją wzrokiem, Cerniga natomiast kazał powtórzyć całą historię, po czym zrobił notatki i kilkakrotnie wypytywał o szczegóły. To z pewnością była dla niego zupełna nowość. Prawdopodobnie nic nieznacząca, bo nie dość, że odnosiła się do zamierzchłej przeszłości, to nie stanowiła żadnej poszlaki mogącej doprowadzić do obecnego miejsca przechowywania znaleziska. Debora jednak poczuła drobną satysfakcję, że w końcu jej się udało zaskoczyć czymś agenta.

- Uznałam, że orzeł wytatuowany na piersi tego chłopaka był rzymski - podjęła po chwili. - Ale się myliłam, prawda? To godło Trzeciej Rzeszy.

- Istnieje między nimi związek - potwierdził Cerniga. - Naziści uważali się za duchowych spadkobierców starożytnych Greków i Rzymian.

- A więc ta broń... - powiedziała Debora.

- Czy naprawdę nie może pani zostawić tej sprawy w spokoju?

- Pomyślałam, że gdybym wiedziała, czego dokładnie szukacie, mogłabym pomóc - mruknęła potulnie.

- Tak jak pomogła pani tym dwóm sztywniakom w Palmetto? - wtrącił ironicznie Keene.

Ponownie spuściła wzrok, a tymczasem odezwał się Cerniga - suchym, beznamiętnym tonem, jakim zazwyczaj wyjawia się brutalne fakty.

- Sądząc po systemie oświetlenia pokoju ukrytego za półkami, możemy założyć, że skrzynia ze szczątkami i wyposażeniem grobowym miała ponad dwa metry długości i niecały metr szerokości, była więc rozmiarów przeciętnej trumny. Zakładamy też, że szczątki nie zajmowały więcej niż metr. Gdy doliczymy do tego jej głębokość, nie popełnimy zapewne grubego błędu, przyjmując, że mamy do czynienia co najmniej z dwoma metrami sześciennymi wolnej przestrzeni, w której można ukryć sporo broni.

- Naturalnie, nie mówimy o skrzyniach z karabinami - dorzucił Keene z rozkosznym uśmiechem.

- Sądźmy... - Cerniga ciągnął tym samym, pozbawionym emocji głosem - ...że chodzi o broń masowego rażenia, coś, czego nigdy nie udało nam się znaleźć w Iraku. Powstała w ostatnim roku wojny, w nazistow-

skich Niemczech, a udało ją się wywieźć z kraju pod przykrywką fałszywych starożytności. Wiemy, że niemiecki program nuklearny był dość zaawansowany, choć prawdopodobnie nie aż tak, by pozwalał na wyprodukowanie bomby atomowej. Co nie oznacza, że naziści nie dysponowali materiałem rozszczepialnym, z którego obecnie można by stworzyć coś, co nazywamy brudną bombą.

- Jeżeli w skrzyni znajduje się promieniotwórcza substancja, jest perfekcyjnie zabezpieczona - zauważyła Debora. - Gdyby bowiem wyciekła choć odrobina, test izotopowy natychmiast wykazałby olbrzymi wzrost poziomu radioaktywności.

Cały czas udawała przed sobą, że oto bierze udział w swoistej burzy mózgów, a nie jest poddawana karze za uprzednie wybryki i zaniechania. Ale tak naprawdę Cerniga zdawał się mówić: „Chcesz wiedzieć, co się dzieje? Bardzo proszę. A jeżeli prawda śmiertelnie cię przerazi, tym lepiej - za wszystko możesz winić tylko siebie”.

- Skłaniamy się ku teorii, że to broń chemiczna czy raczej biologiczna - odrzekł agent. - Naziści prowadzili bardzo zaawansowane badania w tej dziedzinie.

Między innymi w obozach koncentracyjnych, pomyślała Debora, i przeszedł ją dreszcz.

- Czarna ospa nieźle załatwiłaby sprawę. - Keene spojrzał na Deborę z sardonicznym uśmiechem. - Nie do pogardzenia byłby też jakiś nieznanый szczep grypy czy kilka fiolek dżumy...

Debora nie zamierzała dać się sprowokować, zapytała więc w zamian:

- Czy Richard o tym wiedział?

- O niczym nie miał pojęcia - odparł stanowczo Cerniga. - Wierzył, że lada dzień obwieści o największym archeologicznym odkryciu tego wieku, rozstawi wasze muzeum i wkrótce zostanie uznany za bohatera narodowego Grecji.

Chociaż ze słów agenta jasno wynikało, że Richard kierował się jak najszlachetniejszymi pobudkami, jednocześnie ton Cernigi sugerował, że jej przyjaciel był bujającym w chmurach naiwniakiem.

- Podobnie jak pani... - dorzucił z naciskiem agent, żeby przypadkiem nie umknął jej podtekst tych słów -...kompletnie nie wiedział, co się wokół dzieje.

- Cały czas wierzył, że ta heca dotyczy historii i archeologii. - Keene roześmiał się jej prosto w twarz. - Czy da pani wiarę?

- A co z tym Rosjaninem? - spytała Debora, nie patrząc na detektywa. - Zdanie z listu, który miał przy sobie, sugerowało...

- Co pani sobie właściwie wyobraża! - wrzasnął Cerniga z poczerwieniałą, wykrzywioną furią twarzą. - Że przyszedliśmy tutaj, by wysłuchiwać wydumanych teorii, jakby była pani jakimś cholernym ekspertem, geniuszem dedukcji, który wykona za nas pracę koncepcyjną?! Dziesiątki razy już pani powtarzałem, że Rosjanin nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

- Ja tylko pomyślałam... - wykrztusiła, sprowadzona jego gniewem do parteru.

- Więc niech pani nie myśli! - wszedł jej w słowo. - Niech się pani zajmie swoimi sprawami, dobrze? Już skreśliliśmy panią z listy podejrzanych. Jeśli o mnie chodzi, jest pani jedynie koszmarnym utrapieniem. Proszę więc nie plątać się nam pod nogami, a najlepiej - w ogóle zniknąć nam z oczu na dłuższy czas. Wyjechać na wakacje.

- Hej, może do Rosji? - Keene tego dnia wprost przechodził samego siebie.

- Tak czy owak - ponownie odezwał się Cerniga - nie chcę tu pani widzieć do czasu zamknięcia dochodzenia. Czy to jasne?

Debora jedynie skinęła głową w milczeniu.

65.

Plac Czerwony spływał strugami deszczu. Debora przyleciała do Moskwy poprzedniego dnia rano i przez cały czas lało niemiłosiernie, tak że teraz nie wyobrażała już sobie tego miasta bez stalowoszarego nieba, ociekających wodą drzew, szklistych od kałuż chodników i mokrych cerkiewnych kopuł.

Drugi dzień pobytu.

To kompletne wariactwo z jej strony. Nigdy nie powinna była tu przyjeżdżać. Przez dwadzieścia lat właściwie nie ruszała się ze Stanów, a tu nagle w przeciągu dwóch tygodni po raz drugi się wybrała w nieplanowaną podróż do Europy. Nie stać jej było na podobne ekstrawagancje - przyjdzie jej spłacać te idiotyczne eskapady do końca roku, a może nawet do połowy następnego. Już Grecja nie należała do najtańszych krajów, ale okazało się, że pod względem cen nowa, kapitalistyczna Rosja biła Grecję na głowę, a nawet na tysiąc głów. Dlaczego, do diabła, w ogóle ją tu przywiał?

Bo chciała rozdrażnić Cernigę? Wymazać z pamięci pogardę, z jaką on i Keene piętnowali jej bezmyślną amatorszczyznę? A może żeby się uwolnić od innych obrazów...

..bestialsko zamordowanych Greków, leżących z szeroko rozwartymi oczami...

Lub ocalić głowę, kryjąc się na innym kontynencie?

Tak, to zapewne było najbliższe prawdy.

Niemniej coś nieustannie nie dawało jej spokoju. Cerniga stwierdził, że cała sprawa nie miała nic wspólnego z archeologią ani historią, z zabitym Rosjaninem czy Magdeburgiem, ale z jakąś nieznaną bronią. A jednak Debora nie mogła się uwolnić od wrażenia, że albo agentowi umknął ważny element, albo tamci dwaj nadal o czymś jej nie mówili. Że sedno tej tra-

gicznej farsy kryło się zupełnie gdzie indziej. Wyczuwała to od dawna: z początku sądziła, że podąża tropem pozornie niegroźnego zwierzęcia, ale z czasem nabrała przekonania, że to nie jest łagodny baranek, ale wilk czy też jeszcze większa, jeszcze groźniejsza bestia, której prawdziwej natury nie odkryje, póki nie stanie z nią oko w oko.

A więc przyjechała do Rosji. Przyjechała tu wbrew zdrowemu rozsądkowi i możliwościom finansowym, zdecydowana, by dalej podążać niezwykłym tropem do chwili, aż ślad się urwie albo doprowadzi ją w końcu do nieznanej bestii.

Wczoraj, po niemiłosiernie długim locie, załatwiła od razu trzy rzeczy. Zameldowała się w dawnym hotelu Belgrade przy Sadowej, zaledwie przystanek metra od Kremla. Odwiedziła Muzeum imienia Puszkina i oszołomiona wpatrywała się w Skarb Priama, kolekcję kosztowności wykopanych przez Schliemanna na terenie Troi, przemyconą do Niemiec ponad sto lat temu. Nie wiedziała, jak owe zabytki miały się do jej obecnych poszukiwań, nabrała za to pewności, że śmierć byłego sowieckiego agenta zaledwie o przecenicę od muzeum i to tej nocy, gdy znikają z niego inne memorabilia wojny trojańskiej, nie była przypadkowa. Zbiór Richarda składał się co prawda tylko z imitacji, nie zmieniało to jednak faktu, że w 1945 roku obie kolekcje znajdowały się w Berlinie i właśnie stamtąd zostały po kryjomu wywiezione - choć każda w innym kierunku.

Debora zadzwoniła także do Aleksandry Wołoszynow. A w zasadzie zrobiła to dwukrotnie. Za pierwszym razem odebrał mężczyzna, powiedział, że nic nie rozumie, i przerwał połączenie. Za drugim - słuchawkę podniosła córka zabitego Rosjanina, nie wykazała jednak ochoty na spotkanie z Deborą, chociaż ostatecznie wzięła numer do hotelu, na wypadek gdyby zmieniła zdanie.

Odezwała się tego ranka.

- Mój mąż nie znosi, jak rozmawiam z kimś o ojcu, a ściślej o pracy ojca. Mimo to spotkam się z panią.

Umówiły się tutaj, na placu Czerwonym, z jednej strony zamkniętym staromodną i przeładowaną ornamentami fasadą budynku domu towarowego GUM, z drugiej - kontrastową, surową bryłą mauzoleum Lenina i ceglanyimi murami Kremla. Debora owinęła się szczelnie zbyt cienkim płaszczem i wbiła wzrok w kopuły cerkwi Bazylego Błogosławionego, połyskujące w deszczu czerwienią i złotem. Wprost nie mogła uwierzyć, że naprawdę znalazła się w tym miejscu.

Miała dość lat, by pamiętać stosunki między ZSRR a USA w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, chociaż swoją wiedzę o zimnej wojnie czer-

pała głównie z pozbawionej głębszego sensu sportowej rywalizacji i banalnych hollywoodzkich produkcji. To zapewne z ich powodu zdziwiła się, że wokół nie leży śnieg - mimo że był przecież środek lata. Równie dziwne wydało jej się tutaj logo McDonalds - i to tuż obok ponurego gmachu, na którym wciąż widniał sierp i młot. Debora zdawała sobie sprawę, że ZSRR odszedł w przeszłość, ale jego klimat wciąż tak namacalnie unosił się w wilgotnym powietrzu, że zwodnicze ikony zachodniego kapitalizmu wydawały się bożonarodzeniowymi ozdóbkami, które lada tydzień zostaną usunięte.

Mniej więcej czterdziestopięcioletnia Aleksandra Wołoszynow była tęga jak jej ojciec, o bladej twarzy, surowych rysach, i ciemnych oczach, w których się czaił wyraz ostrożności czy może nieufności. Miała na sobie ciemny płaszcz, a na głowie jasnoniebieską chustkę. Debora, nie wiadomo dlaczego, spodziewała się kogoś młodszego, usunęła się więc tęgiej kobiecie z drogi, mamrocząc przeprosiny.

- Debora Miller? - odezwała się tymczasem tamta obojętnym głosem.

- Tak - odrzekła Debora z uśmiechem. - Pani Aleksandra Wołoszynow?

- Siergiej Wołoszynow był moim ojcem - odparła, czyniąc to subtelne rozróżnienie. - Po co pani tu przyjechała?

Deborę, do tej chwili uskrzydloną zgodą Rosjanki na spotkanie, ogarnęło nagłe zwątpienie. Ta kobieta nie miała najmniejszej ochoty z nią rozmawiać. Nie podobało jej się, że Amerykanka w ogóle tutaj się zjawiała.

- Próbuję zrozumieć, co spotkało pani ojca, ponieważ sądzę, że ma to ścisły związek ze śmiercią innego człowieka.

- Pani nie jest z policji.

- Nie. Ale człowiek, który zginął, był mi bardzo bliski.

Rosjanka, przyciskając torebkę do pokaźnego brzucha niczym tarczę, przez moment nad czymś się zastanawiała, po czym powiedziała:

- Policjanci stwierdzili, że znalazł się w niewłaściwej dzielnicy. Został napadnięty. To wszystko.

- Osobiście w to nie wierzę.

- Pani Miller... - zaczęła Rosjanka.

- Panno - poprawiła ją Debora z uśmiechem.

Aleksandra spojrzała bystro na Deborę i po raz pierwszy także się uśmiechnęła.

- Nie wyszła pani za mąż. To mądre.

- Obecnie też tak uważam.

Rosjanka skinęła głową i niespodziewanie chwyciła Deborę pod ramię, po czym ruszyła w stronę cerkwi Bazylego Błogosławionego.

- Mój ojciec... - patrzyła prosto przed siebie -...mój ojciec nie myślał zbyt trzeźwo.

- Czy był niezrównoważony psychicznie?

Aleksandra pomyślała przez chwilę, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Był szalony. Ojciec był szalony.

Debora nie wiedziała, co mogłaby na to odpowiedzieć, pozwoliła więc kobiecie mówić dalej.

- Moja matka zmarła sześć lat temu i ojciec na długi czas pogrążył się w smutku. Nie jadł. Nie chciał wychodzić z domu. Nic tylko siedział w swoim mieszkaniu. A potem, po roku czy dwóch, poszedł... - wykonała dziwny ruch ręką, który jednak nie wyrażał smutku, raczej irytację.
- Zainteresował się swoją dawną pracą. Aż za bardzo. Wciąż coś na ten temat czytał. Wciąż o tym opowiadał. I to każdemu! Mnie, mojej rodzinie, ludziom w sklepach i barach, ludziom w parku. Wszystkim! I zawsze to samo. Był dumnym synem Rosji, pracował dla swojej ojczyzny, poznał wiele sekretów. Nienawidził Brytyjczyków i Amerykanów, ale również nienawidził dawnych sowieckich władz! To byli kłamcy i mordercy. Teraz zresztą nie jest lepiej. Co przyniosła pierestrojka? Hamburgery i uliczne gangi, modne stroje i mafie, a biedni nadal głodują - jak za Stalina, jak za carów... . I tak w kółko. Wciąż to samo.

Jej głos stwardniał, gdy wygłaszała litanie, której zapewne musiała wysłuchiwać wiele razy.

- Był szalonym, starym człowiekiem - podjęła po chwili. - Każdego denerwował. Każdy się z niego naśmiewał. Teraz nie żyje. I tak jest lepiej. Lepiej dla niego. Dla mojej rodziny. Dla mnie.

- Jeżeli tak bardzo nienawidził Ameryki, czemu tam pojechał?

- Bo miał źle w głowie. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem.

- Czy to możliwe, że chciał rozwikłać jakąś dawną sprawę, jeszcze z czasów gdy pracował w MWD?

- Rozwikłać?

- Zbadać - wytłumaczyła Debora. - Dowiedzieć się czegoś więcej o wydarzeniach z dawnych lat.

- Być może - odparła Aleksandra, lekko zaintrygowana. - Wciąż robił jakieś notatki na temat swojej pracy, ale ich nie przeglądałam.

- A ma pani jeszcze te zapiski?

- W domu. Całe kartony. Przysłali do mnie te pudła, kiedy opróżnili jego mieszkanie. Choć wcale ich nie chciałam. Bo i co mam z nimi zrobić?

- Czy mogłabym rzucić na nie okiem?

Aleksandra spojrzała uważnie na Deborę.

- Ten człowiek, który zginął. To kochanek? Deborę rozbawiła bezpośredniość pytania.

- Był dla mnie jak ojciec.

Rosjanka rozważała coś przez chwilę.

- Dobrze - zdecydowała w końcu. - Może je pani zobaczyć.

Wsiadły do metra i Debora złapała się na tym, że z zapartym tchem wpatruje się w mozaiki oraz płaskorzeźby zdobiące ściany najstarszych stacji: oto chłopci, z ramionami pełnymi snopów zbóż, obejmujący hoże traktorzystki, dzierżące klucze francuskie w dłoniach; dalej Lenin porwany siłą własnej retoryki; gdzie indziej triumfalna radziecka piechota na tle zwycięskich czotgów. To był dla niej zupełnie inny świat.

- Powiedziała pani, że ojciec przebywał w Magdeburgu - zagaiła Debora, gdy tylko znalazły się znowu na świeżym powietrzu.

Aleksandra nie wykazywała ochoty do rozmowy w zatłoczonym - Pracował w kwaterze głównej MWD we wschodnich Niemczech. Skierowali go tam... kiedy był młody.

- W latach pięćdziesiątych?

- Tak.

Debora w zamyśleniu zmarszczyła brwi. Czemu Niemcy mieliby wysłać cenną dla nich skrzynię do miasta zdobytego przez Sowietów? Magdeburg leżał co prawda na południowy zachód od Berlina, ale wciąż na tyle blisko polskiej granicy, że w żadnym razie nie można go było uznać za bezpieczny obszar - z pewnością nie tak bezpieczny jak na przykład Szwajcaria. Poza tym, o ile wierzyć w historię Tonyi, Amerykanie natknęli się na niemiecki konwój w miejscu oddalonym o wiele kilometrów od Magdeburga. A to uprawdopodobniało trudne do przełknięcia przypuszczenie: Cerniga miał rację. Dwa zabójstwa dokonane tej samej nocy w Atlancie nie były ze sobą powiązane, a wzmianka w rosyjskim liście nie odnosiła się do konwoju zaatakowanego przez Andrew Mulligrew.

„Szczątki nigdy nie dotarły do Magdeburga...”.

A jednak Deborę wciąż nękało przeświadczenie, że istnieje jakieś ogniwo łączące te sprawy, tyle że wciąż wymyka się jej percepcji - niczym obrazek, na który trzeba spojrzeć pod odpowiednim kątem, by dojrzeć, co naprawdę przedstawia.

- Mówiła pani, że ojciec w kółko opowiadał o tym samym. Że miał obsesję na punkcie przeszłości.

- Obsesję - powtórzyła Aleksandra, wyraźnie zadowolona z doboru słowa. - Właśnie.

- Czy ta obsesja dotyczyła jakiegoś konkretnego wydarzenia lub incydentu?

- Nie - odpowiedziała tamta po chwili wahania.

Odwróciła szybko wzrok i Debora nie miała już wątpliwości, że tym razem Rosjanka skłamała.

Aleksandra mieszkała dobre pół godziny jazdy metrem od centrum miasta, w betonowym, rozpadającym się bloku z ery breżniewowskiej, do którego dochodziło się ścieżką prowadzącą przez brzozy zagajnik, srebrzyście połyskujący białą korą drzew. Wjechały na czternaste piętro rozklekotaną, trzęsącą się windą pomalowaną na zjadliwie zielony kolor i śmierdzącą uryną. Mieszkanie było małe, skromnie umeblowane, ale czyste i starannie wysprzątane. Aleksandra zaprosiła Deborę do środka niemal królewskim gestem, najwyraźniej dumna ze swojego lokum. Za oknem widniały cztery takie same bloki, a gdy Debora podeszła bliżej, zobaczyła, że jest ich nieskończenie wiele. Ciągnęły się aż po horyzont.

Mąż Aleksandry, Wasilij, tęgi mężczyzna tuż po pięćdziesiątce, nie mówił - a w każdym razie twierdził, że nie mówi - po angielsku. Obrzucił takującym spojrzeniem jej wysoką, chudą postać, gdy niepewnie wkraczała do pokoju - niczym zagubione, Nielotne ptaszysko. Aleksandra natychmiast zaczęła coś mówić do męża po rosyjsku, surowo, stanowczym tonem, mężczyzna zaś od czasu do czasu potakiwał monosylabami. W końcu powitał Deborę - o wiele cieplej, niż się spodziewała - po czym, pogwizdując, zniknął za drzwiami.

- Poszedł kupić coś na obiad - wyjaśniła Aleksandra. - Pani zje z nami.

Było to swoiste zaproszenie, Debora podziękowała więc z uśmiechem, zastanawiając się jednocześnie, czy wyprawienie męża z domu nie wiązało się bardziej z tym, że miały rozmawiać na zakazany temat niż z autentyczną potrzebą zrobienia jakichś zakupów.

W kącie stało pięć kartonów, na których widniała tylko jedna naklejka - tak na oko z adresem.

- Proszę. - Aleksandra wskazała na pudła nonszalanckim gestem. - Może je pani przejrzeć.

Poszła do kuchni, by zaparzyć kawę, pozostawiając Deborę samą z dokumentami i zdecydowanym przekonaniem, że córka zabitego Rosjanina najchętniej by to wszystko spaliła.

Debora pootwierała kartony i tekturowe teczki oraz leżące luzem papiery - niektóre starannie posegregowane, zapisane pismem maszynowym,

inne zaś niedbale powpychane, pokryte odręcznymi notatkami. No i, jak się należało spodziewać, wszystkie po rosyjsku, a więc kompletnie dla niej niezrozumiałe.

- Czy mogłaby mi pani pomóc? Przetłumaczyć kilka zdań? - zwróciła się do Aleksandry, gdy Rosjanka wróciła z tacą zastawioną kawą i małymi herbatnikami.

- Tu nie ma nic ważnego - skrzywiła się Aleksandra.

- Gdyby przynajmniej chciała mi pani powiedzieć, co oznaczają słowa wypisane na teczkach...

Aleksandra, postępując głośno, przykucnęła obok jednego z pudeł.

Debora nie wiedziała, czego właściwie ma się spodziewać. To raczej niemożliwe, by Siergiej Wołoszynow trzymał we własnym domu oficjalne dokumenty, a już zupełnie nieprawdopodobne, że odesłano by je najbliższej rodzinie, gdyby zawierały informacje wagi państwowej.

Aleksandra przebierała palcami po papierach, a im dłużej to robiła, tym bardziej jej twarz zastygała w kamienną maskę.

- Nic istotnego - powiedziała w końcu. - Same bzdury.

Debora zauważyła, że w przeglądany kartonie znajdowały się głównie listy napisane na papierze z oficjalnymi nagłówkami opatrzonymi dobrze znanymi emblematami Związku Radzieckiego.

- Czego dotyczą te papiery?

- Jego... - Rosjanka przez chwilę szukała odpowiedniego słowa. - Obsesji.

- Czy to poufne informacje? To znaczy, czy to tajne dokumenty? Znalazłaby się pani w niebezpieczeństwie, gdyby mi ujawniła ich treść?

Nieoczekiwanie na twarzy Aleksandry pojawił się mroczny uśmiech.

- Nie - odparła. - Mój ojciec służył w straży granicznej. Nosił mundur, ale był jedynie drobnym urzędnikiem. Wykonywał nieistotną, papierkową pracę dla ludzi, którzy się zajmowali tajnymi, niebezpiecznymi operacjami. Oni byli ważni i potężni. Mieli dostęp do wielu sekretów. Ale nie mój ojciec.

- Nie rozumiem więc, czemu pani nie chce mi nic powiedzieć o tych dokumentach.

Aleksandra poderwała się z ziemi z niespodziewaną gwałtownością i Debora odruchowo wtuliła głowę w ramiona, przekonana, że kobieta ją uderzy. Ale tamta jedynie kopnęła pudło - dwukrotnie, z całej siły, wykrzykując przy tym jakieś urwane, rosyjskie słowa. Zawartość kartonu posypała się na dywan.

Debora także podniosła się pospiesznie, mamrocząc słowa przeprosin.

- Nie - odezwała się Aleksandra, z twarzą wykrzywioną furią. - To nie pani powinna przeproszać, tylko on. Mój ojciec.

Raz jeszcze kopnęła karton, rozrywając go na kawałki.

- Pani ojciec? Ale dlaczego?
- Za to wszystko. Za ten idiotyzm... te żenujące nonsensy.
- Nic z tego nie rozumiem. - Debora delikatnie ujęła dłoń kobiety.

- A bardzo bym chciała. Co znajduje się w tych listach?

Rosjanka powoli się uspokajała, chociaż na jej zazwyczaj pozbawionej wyrazu twarzy wciąż jeszcze rysował się gniew.

- Mój ojciec był głupcem. - Tym razem w jej tonie nie było już jednak goryczy, tylko wstyd i ból. - Przez lata wiernie służył swojej ojczyźnie, za komunistycznych czasów, w dawnym NRD.
- W Magdeburgu - podsunęła Debora.
- Tak. W Magdeburgu. Dostał wiele odznaczeń i nagród. Ale w końcu odesłali go do Rosji, zabrali medale i obniżyli... status?
- Został zdegradowany?
- Tak. Zdegradowany. O kilka stopni. Wtedy już mu nie ufali. Jeszcze przez piętnaście lat pracował w KGB, jednak był już zupełnie innym człowiekiem. Kiedy skończył... Kiedy odszedł na emeryturę, miał nadal niższy stopień niż w czasach, gdy służył we wschodnich Niemczech.
- Co on takiego zrobił? - spytała cicho Debora, pewna, że znalazła się o krok od ważnego odkrycia.
- Zaczął wypisywać te bzdury - odparła Aleksandra, unosząc w zaciśniętej dłoni kilka listów.
- To znaczy?

Rosjanka zamilkła i przymknęła oczy. Palcami jednak cały czas przebierała papiery, aż w końcu wyciągnęła jeden z nich.

Różnił się od pozostałych - był grubszy i błyszczący. Okazało się, że to czarno-białe zdjęcie, poznaczone strzałkami i uwagami wypisanymi czerwonym flamastrem. Aleksandra położyła je na cienkim dywanie, delikatnie i ostrożnie, jakby miała do czynienia z czymś bardzo kruchym lub niebezpiecznym, po czym pchnęła w stronę Debory.

- Co to takiego? - spytała Debora, podnosząc fotografię i spoglądając na kobietę. Rosjanka jednak milczała.

Okazało się, że na arkuszu jest nie jedno, ale cztery zdjęcia, przedstawiające - każde z innego ujęcia - leżącego na plecach mężczyznę z zamkniętymi oczami i lekko uchylonymi ustami. Na dwóch dość rozmytych fotografiach widać go było od pasa w górę; dwie pozostałe - dużo ostrzejsze - ukazywały zbliżenia twarzy, wyraźnie ukazujące plamę na czole mężczyzny. Wyglądała jak rana po kuli.

- Wciąż nic nie pojmuję - rzuciła Debora, zniecierpliwiona teatralnym zachowaniem Rosjanki. - Kogo przedstawiają te zdjęcia?

Aleksandra jednak nadal milczała i Deborę ogarnęło dziwne przecucie. Ponownie, tym razem uważniej, spojrzała na zbliżenia twarzy.

- Nie rozumiem... - mruknęła. - Kto...

Zanim jednak zdążyła zadać pytanie, rysy mężczyzny ze zdjęcia zaczęły się układać w znajomy obraz: cienkie, czarne włosy zaczesane na bok, linia brwi i podbródka, kształt ust, a nad górną wargą krótko przystrzyżony, charakterystyczny wąsik...

- Nie. To niemożliwe.

Wpatrywała się oniemiała w czarno-białą fotografię, w czerwone linie i strzałki, którymi była poznaczona.

- To niemożliwe - powtórzyła. - On wygląda jak...

- Hitler - powiedziała Aleksandra, nie patrząc na Deborę. - Adolf Hitler.

- Owszem. Hitler. Ale...

- Kilka dni przed końcem wojny... - Aleksandra zniżyła głos do szeptu - ...Hitler popełnił samobójstwo w swoim betonowym bunkrze, tak?

- Tak - odparła machinalnie Debora, niezdolna w tej chwili do logicznego myślenia. Czuła się tak, jakby błądziła w gęstej mgłę, a może raczej - co było dużo gorsze - jakby wylaniała się z gęstej mgły nieświadoma, co się czai po drugiej stronie.

- Rosjanie tam dotarli i odnaleźli jego ciało. A także ciała innych - ciągnęła Aleksandra. - Zabrano je do zbadania, ale ponieważ były w złym stanie, a na dodatek panował upał, nie wysłano ich do Moskwy. Na polecenie NKWD zostały przetransportowane do kwatery głównej SMERSZ (to coś w rodzaju wywiadu wojskowego), znajdującej się w...

- W Magdeburgu - dokończyła za nią Debora.

Mgła się rozpraszająca, ale teraz Debora miała wrażenie, że leci bezwładnie w dół - że dzieje się to, czego tak się obawiała, gdy znalazła się w szybie prowadzącym do mykeńskiej studni - opada z nieznośną powolnością w niezmierną otchłań.

- Uhm. W Magdeburgu. Tam właśnie zabrali zwłoki. Zupełnie oficjalnie. Wszyscy o tym wiedzieli. Tylko mój ojciec w to nie wierzył. Mój szalony ojciec. Obsesyjnie zaczął się upierać...

- Że ciało nie dotarło do Magdeburga - powiedziała Debora i w tej samej chwili zadźwięczały jej w uszach słowa z listu, który Siergiej Wołoszynow miał przy sobie w noc śmierci. - Szczątki Adolfa Hitlera nigdy nie dotarły do Magdeburga.

Czyżby więc zwłoki, które zostały poddane testowi C14, były...

W żadnym razie. W sekretnym pokoju Richarda miałyby się znajdować zwłoki Hitlera? To niemożliwe. Absurdalne. Jak mogłyby tam trafić?

W taki sam sposób jak Skarb Priama trafił do Muzeum imienia Puszkina, podpowiedział cichy, natrętny głos.

66.

Minęły trzy godziny. Wasilij wrócił z zakupami i siedział w kuchni wraz z Aleksandrą przygotowującą posiłek. Debora natomiast, przycupnąwszy na brzegu pokrytego perkalem fotela, wpatrywała się w pełne papierów kartonowe pudła i w myślach próbowała logicznie poukładać nowe wiadomości.

Jeżeli Siergiej Wołoszynow miał rację, wówczas wszyscy - ona, Richard, Marcus i jego ojciec - podążali kompletnie fałszywym tropem. Debora od początku uważała, że „szczątki” z rosyjskiego listu odnoszą się do zwłok pochodzących ze skrzyni transportowanej w niemieckim konwoju, której zawartość znalazła się w posiadaniu Richarda - i w tym względzie prawdopodobnie się nie myliła. Błędnie natomiast założyła, że to Niemcy chcieli przewieźć skrzynię do Magdeburga. A tymczasem Niemcy zmierzali do Szwajcarii. Do Magdeburga wysłali ludzkie szczątki Rosjanie, zrobili to dużo później i - jeżeli przyjąć wersję Wołoszynowa - wyeksplodowali nie te zwłoki, na których im rzeczywiście zależało.

Ojciec Aleksandry święcie wierzył, że szczątki odnalezione przez Sowietów nie były zwłokami Hitlera, tylko jednego z kilku jego sobowtórów, i że to one zostały przewiezione do Magdeburga dla weryfikacji tożsamości. Sądził, że prawdziwe szczątki Hitlera potajemnie wywieziono z Berlina. Potrzebował dziesięciu lat, by dotrzeć do informacji o przechwyceniu przez amerykańską jednostkę szczególnego niemieckiego konwoju w okolicach granicy szwajcarskiej. Kilka kolejnych dekad zajęło mu ustalenie, co się stało z ładunkiem transportowanym przez ów konwój. A kiedy doszedł do wniosku, że wreszcie zlokalizował ostateczne miejsce przechowywania poszukiwanych przez niego zwłok, wystąpił o amerykańską wizę i przyjechał do Atlanty.

Czyżby to wszystko było wytworem szalonego umysłu?

W ten sposób teorię Wołoszynowa potraktowali jego przełożeni - a ponieważ uparcie nie chciał jej porzucić, został pozbawiony wszystkich odznaczeń, zdegradowany i odesłany do Rosji. Jednak kiedy Debora prześlędziła - dzięki niechętej pomocy Aleksandry - tok rozumowania zabitego Rosjanina, nie mogłaby z całym przekonaniem stwierdzić, że to czyste wymysły maniakałnego wyznawcy teorii spiskowych.

Wołoszynow nie był odosobniony w swoich przypuszczeniach, że w Magdeburgu nie pochowano szczątków wodza Trzeciej Rzeszy. Sam Stalin oskarżał Brytyjczyków i Amerykanów, że umożliwili Hitlerowi ucieczkę, czy wręcz zapewнили wygodną egzystencję w jakimś odległym - najprawdopodobniej południowoamerykańskim - kraju. To zapewne był jedynie chwyt propagandowy, mający ukazywać zachodnich aliantów jako sprzymierzeńców zbrodniarza, który dał Rosjanom aż nadto powodów do nienawiści. Wiadomo jednak było, że Stalin miał pewne wątpliwości, czy sowieccy żołnierze znaleźli właściwe zwłoki.

O ile Debora zdołała się zorientować, Wołoszynow stworzył swoją teorię na podstawie rządowych dokumentów, zeznań naocznych świadków i szeptanych pogłosek, stąd znajdowały się w niej nieścisłości czy wręcz sprzeczności. Ojciec Aleksandry jednak wydawał się nimi nie przejmować - uważał, że to wynik tuszowania czy wręcz fałszowania prawdy w oficjalnych dokumentach. Dla niego ważnym argumentem na potwierdzenie własnej tezy były relacje pułkownika Mienszikowa, przekazywane bezpośrednio Wołoszynowowi w listach napisanych podobnym pismem jak to, które widniało na kartce znalezionej przy Rosjaninie w noc zabójstwa. Zanim Mienszikow poznał ojca Aleksandry - wówczas młodego rekruta, wdrażającego się do pracy na eneradowskiej placówce - dowodził frontowym oddziałem piechoty SMERSZ i brał udział w zdobyciu Berlina. Twierdził, że jego jednostka przeszukiwała bunkier Hitlera. Że uczestniczył w przesłuchaniach ocalałych tam świadków i w wydobywaniu nadwęglonych zwłok Hitlera i Ewy Braun z płytkiego grobu w ogrodach kancelarii Rzeszy.

Według relacji wspomnianych świadków, Hitler pozbawił się życia 30 kwietnia 1945 roku strzałem w głowę z własnego mauzera. Jego nowo poślubiona żona zażyła cyjanek. Oba ciała wyniesiono na zewnątrz, obalano benzyną i podpalono, a całą operację nadzorował adiutant fuhrera, major SS Otto Gunsche. Oprócz niego świadkami kremacji byli także: Martin Bormann, Joseph Goebbels, Heinz Linge (ordynans Hitlera) oraz Erich Kempka (jego szofer). Z powodu ciężkiego sowieckiego ostrzału artyleryjskiego trzeba było przerwać kremację, zanim zwłoki uległy całko-

witemu zwęgleniu. Żołnierze pełniący służbę w bunkrze - między innymi Ewald Lindloff i Hans Reisser - którzy pogrzebali ciała, twierdzili, że uległy one destrukcji uniemożliwiającej identyfikację wzrokową.

Rosjanie odkryli domniemane szczątki Hitlera dopiero kilka dni po jego samobójczej śmierci i to właśnie w owych dniach - według Wołoszynowa - autentyczne zwłoki wodza zapakowano do skrzyni i w eskorcie opancerzonych pojazdów wysłano ku szwajcarskiej granicy. Wołoszynow był przekonany, że Sowieci odkopali szczątki jednego z sobowtórów Hitlera, chociaż nie potrafił stwierdzić którego. Niektóre poszlaki wskazywały na Gustava Webera, inne na aktora o nazwisku Andreas Kronstaedt, jeszcze kolejne na Juliusa Schrecka, ulubionego kierowcę Hitlera, należącego do partii nazistowskiej od czasu jej założenia. To zwłoki jednego z nich, jak utrzymywał Wołoszynow, tak skrupulatnie sfotografowano, zanim ogień uniemożliwił identyfikację, i to one zostały przewiezione do rosyjskiego laboratorium w dzielnicy Berlin-Buch, gdzie autopsji dokonali: rosyjski specjalista medycyny sądowej, doktor Faust Szerowski, i anatomopatolog, major Anna Marantz - dokładnie 8 maja, gdy cała wolna Europa świętowała Dzień

Ostatecznie szczątki pogrzebano na pustej parceli przy Klausenstrasse w Magdeburgu. Pozostały tam do 1970 roku, kiedy to funkcjonariusze KGB wydobyli je z ziemi i wrzucili do wód rzeki Ehle w pobliżu niewielkiej miejscowości Biederitz, oficjalnie dlatego, by miejsce pochówku Hitlera nie stało się mekką dla skrajnie prawicowych i nacjonalistycznych niemieckich organizacji.

Debora początkowo sądziła, że nie istnieją żadne przesłanki uwiarygodniające wersję Wołoszynowa poza różnicą czasową, dzielącą samobójstwo Hitlera od odkrycia jego szczątków przez Sowieców - na tyle dużą, by móc potajemnie wywieźć zwłoki z Berlina. Kiedy jednak - naciskając na Aleksandrę - poznała więcej faktów, niektóre kwestie uznała za co najmniej zastanawiające.

Okazało się, że relacje jeńców niemieckich, którzy widzieli Hitlera po śmierci, a potem uczestniczyli w grzebaniu szczątków, w pewnych punktach zasadniczo różniły się między sobą. Na przykład w kwestii rany wlotowej. Jedni twierdzili, że fuhrer strzelił sobie w usta, drudzy, że w skroń lub kącik oka. Według niektórych zwłoki znajdowały się na sofie, obok Evy Braun, według innych - na fotelu. Podobno istniał raport stwierdzający, że krew na obiciu sofy okazała się niewłaściwej grupy.

Tym jednak, co najbardziej zdumiało Debore, były makabryczne wydarzenia towarzyszące przewozowi ciała do Magdeburga. Według oficjal-

nych, rządowych dokumentów, Rosjanie w pewnym momencie przerwali podróż, pogrzebali zwłoki przy drodze, a następnie je odkopali. I zanim dotarli na miejsce przeznaczenia, powtórzyli tę dziwną procedurę co najmniej dziewięć razy. Władze nie podały żadnej przyczyny uzasadniającej takie postępowanie, ale Wołoszynow wyciągnął własne wnioski. Uznał, że Sowieci byli rozdarci: z jednej strony chcieli poddać szczątki badaniom, z drugiej - woleli, żeby zniknęły na zawsze. A oba impulsy wynikały z obawy, że w rzeczywistości nie są to zwłoki Hitlera.

Nawet gdy w końcu doszło do autopsji, jej wyniki przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Niemcy, którzy przebywali do ostatnich dni w bunkrze, zgodnie twierdzili, że Hitler się zastrzelił - świadczyły o tym również zdumiewające fotografie, których autentyczności nie udało się zweryfikować. Tymczasem autopsja wykazała ślady cyjanku i kawałki szkła w jamie ustnej. Na dodatek nie znaleziono kuli. Naturalnie, wódz nazistów mógł rozgryźć ampułkę z trucizną w chwili strzału, pocisk mógł się gdzieś zgubić, jednak owe ustalenia wzbudziły niepokój. Podczas kolejnego przeszukania bunkra znaleziono ponoć drobny fragment kości ciemieniowej, mający sugerować, że istniała rana wylotowa, co z kolei tłumaczyło brak pocisku wewnątrz czaszki. O ile Debora dobrze zrozumiała, ów fragment znajdował się wciąż w posiadaniu Rosjan, którzy jednak - co wymowne - nie kwapili się do przeprowadzenia testów DNA. Wołoszynow sądził, że dodatkowe przeszukanie było zasłoną dymną - podjętą przez władze próbą zatuszowania niejasnych punktów raportu z autopsji.

Identyfikacja uzębienia sprowadziła się do badania fragmentu mostka znalezionego w ogrodach kancelarii. Uznano, że należał do Hitlera, ale weryfikację jego autentyczności oparto jedynie na zawodnej pamięci ludzkiej - w tym wypadku asystentki dentystycznej Kaethe Hausermann oraz technika dentystycznego Fritza Echtmana. Oboje pracowali u dentysty fuhrera, doktora Fritza Blaschke, i byli zagorzałymi nazistami, którzy - jak argumentował Wołoszynow - mogli uzgodnić swoje zeznania na długo przed aresztowaniem. Niewykluczone też, że odtworzyli fragment protezy i podłożyli w strategicznym miejscu, aby zmylić Sowieców. Ojciec Aleksandry sądził, że hitlerowcy od dawna planowali wywiezienie zwłok wodza i dlatego chętnie podsuwali Rosjanom różne poszlaki, na tyle przekonujące, by usatysfakcjonować zwycięzców, w gruncie rzeczy jednak nie dowodzące niczego. Właśnie z tego też powodu zwłoki z ogrodu zostały nadpalone - miały być nierozpoznawalne, lecz niecałkowicie zwęglone, żeby Sowieci nie wszczęli poszukiwań prawdziwego ciała. I dlatego w ręce Rosjan wpadły te niezwykle zdjęcia zwłok przed kremacją. Bo i czemu

- argumentował Wołoszynow - któryś z lojalnych nazistów, darzących umiłowaniem wodza głębokim szacunkiem, miałby fotografować jego ciało w takim stanie? Nie istniało żadne logiczne wyjaśnienie tego faktu poza jednym - był to element przyjętej taktyki dezinformacji.

Ojciec Aleksandry twierdził również, że w 1970 roku KGB rozprawiło się definitywnie z domniemanymi szczątkami Hitlera nie w celu likwidacji potencjalnego miejsca pielgrzymek neonazistów, ale po to, by raz na zawsze przeciąć wszelkie spory wokół szczątków, które nie były w rzeczywistości szczątkami fuhrera. Władze sowieckie nie mogły dopuścić, żeby kiedykolwiek zwłoki poddano badaniom przy użyciu nowych technik wykorzystywanych w medycynie sądowej do identyfikacji ofiar zbrodni.

A więc Sowieci zdawali sobie sprawę, że nie odnaleźli zwłok Hitlera. Kiedy już jednak przewieźli do Magdeburga jego domniemane szczątki, nie chcieli przyznać przed światem, że się pomylili. Ale dobrze wiedzieli o swoim błędzie.

Najważniejsze z zebranych przez Wołoszynowa poszlak pochodziły od jego przyjaciela i przełożonego, Mienszikowa. Przede wszystkim relacje pułkownika o tym, co widział i czego nie widział w Berlinie, sprawiły, że ojciec Aleksandry w ogóle zainteresował się tą sprawą. Ale tak naprawdę tylko jedna z opowieści Mienszikowa wprawiła Deborę w osłupienie i tak wielką ekscytację, że Aleksandra musiała ją przeczytać dziewczynie aż trzy razy.

Zaciskając kurczowo pepeszę w dłoniach, skradając się głównym korytarzem bunkra - korytarzem zakończonym schodami prowadzącymi do ogrodów, w których palono ciała - za załomem Mienszikow znalazł sztylet. Nie był to jednak sztylet wojskowy, ale niezwykle nóż, wyjątkowo piękny, o wąskich długim ostrzu z brązu, inkrustowanym złotymi płytkami układającymi się w rysunek lwów i goniącego za nimi wojownika w rydwaniu.

Nie uległo wątpliwości - Mienszikow natknął się na ceremonialną mykeńską broń.

Zaginione ogniwo łączące obie sprawy!

Ale to nie ów sztylet sprawił, że Wołoszynow podjął obsesyjną krucjatę i przez pięćdziesiąt lat tropił niemiecką skrzynię, by - podążając jej śladem - zakończyć życie na drugim końcu świata. I nie z powodu zakłamań czy zafalszowań w oficjalnych dokumentach uporczywie wypisywał listy do władz, płacąc za to kolejnymi degradacjami. W dużym stopniu powodowała nim nienawiść do wszystkiego, co uosabiali sobą hitlerowcy, a także głęboka, wręcz paradoksalna lojalność wobec własnego kra-

ju i jego kontrowersyjnych władz. Jednak tym, co przede wszystkim uczyniło z niego nieugiętego bojownika o sprawę, była śmierć Mienszikowa, który - wraz z trzydziestoma innymi sowieckimi żołnierzami - został rozstrzelany za odmowę krwawego tłumienia rozruchów w Magdeburgu w 1953 roku.

Siedząc w fotelu, Debora uniosła znaleziony przez Mienszikowa sztylet - sztylet, który przekazał swojemu podwładnemu, niestrudzenie poszukującemu prawdy. Debora nawet nie musiała bacznie oglądać sztyletu, by wiedzieć, że pochodzi on z kolekcji znajdującej się teraz w sekretnym pomieszczeniu w Atlancie.

Oto, pomyślała, brakujący element łamigłówki.

67.

Debora patrzyła przez okno samolotu na szybko oddalające się budowle Moskwy, powracając jednocześnie myślami do Aleksandry i jej męża. Ugościli ją, między innymi, kawiozem i wódką, jakby była specjalnym ambasadorem, któremu trzeba okazać wyjątkową serdeczność i podać to, co w Rosji najlepsze. Wasilij z początku ukradkiem i podejrzliwie spoglądał na Deborę, potem jednak skupił się na żonie, najwyraźniej tylko ostatnim wysiłkiem woli zachowującej zwyczajowe milczenie. Pod koniec obiadu Debora doszła do wniosku, że twarz Aleksandry przywodzi jej na myśl kruchą tamę w czasie wielkiej powodzi; kiedy po raz trzeci wychylili po kieliszku wódki, tama zaczęła pękać.

- Sądzi pani... - zapytała Rosjanka z wypiekami na twarzy - ...sądzi pani, że mój ojciec... nie był jednak szaleńcem?

Po tych z największym trudem wypowiedzianych słowach w pokoju zapadła ciężka, pulsująca czujnym wyczekiwaniem cisza. Czyżby przez wszystkie owe lata wstydu i zażenowania w tej kobiecie nieustannie tliła się nadzieja, że jej ojciec nie był żalosnym błaznem, za jakiego go uważano? To być może wyjaśniało, czemu ostatecznie udostępniła Deborze dokumenty, których sama nigdy nie zamierzała czytać.

Debora spojrzała uważnie na Rosjankę walczącą ze swoimi emocjami i ucieszyła się, że może jej udzielić szczerzej odpowiedzi.

- Nie uważam go za szaleńca. Prawdę powiedziawszy, sądzę... - zaważała się, zdumiona własnym przekonaniem. - Sądzę, że on miał rację.

W tym momencie tama runęła i Aleksandra zaczęła płakać - płakać nad sobą i nieżyjącym ojcem.

W Rosji Debora znalazła odpowiedź na wiele pytań. Do tej pory często miała wrażenie, że podąża fałszywym tropem, że intryga, która się przed nią rozwija, należy do zupełnie innej historii, i teraz wreszcie wie-

działa dlaczego. Jedyne, co mogło łączyć tę sprawę z archeologią, to przekonanie nazistów, że są kontynuatorami etosu starożytnych Greków. Hitler uważał się za nowego Agamemnona prowadzącego ksenofobiczną wojnę przeciwko „niższym rasom”. Nic dziwnego, że po śmierci chciał spocząć w majestacie należnym achajskim królom.

Przypomniała sobie rozmowę z rzemieślnikiem w Mykenach na temat hitlerowskich notabli wojażujących po tamtych stronach - rzeźników i psychopatów w rodzaju Himmlera i Goebbelsa - którzy nazywali Schliemann „teutońskim supermanem”, między innymi dlatego, że odkopał szczątki innych nadludzi: herosów z armii Agamemnona. To układało się nawet w swoisty logiczny ciąg. Hitler zabiegał, by olimpiada roku 1936 odbyła się w Berlinie, uważał bowiem Niemców za spadkobierców fizycznej i kulturalnej supremacji starożytnej Grecji. Przed odjazdem na lotnisko w jednej z moskiewskich księgarni Debora przejrzała książkę na temat nazistowskiej estetyki. Bała się, że zobaczy barbarzyńską, zdegenerowaną sztukę, tymczasem - nic podobnego. Estetyka okresu nazizmu była powściągliwa, klasyczna i odrzucała awangardowy abstrakcjonizm czy ekspresjonizm na rzecz konserwatywnego. Nade wszystko elity polityczne Trzeciej Rzeszy ceniły sztukę i architekturę starożytnej Grecji. W książce Debora ujrzała wiele planów i szkiców budowli - niektóre zostały sporządzone przez samego Hitlera - stylizowanych na ateński Partenon. Podobnie rzecz się miała z posągami. Nawet aryjska „filozofia” odwoływała się do grecko-rzymskich ideałów - a raczej była ich nacjonalistyczną, etnocentryczną, rasistowską wersją; jedna z ideologicznych tez nazizmu głosiła, że zmierzch świata antycznego i degeneracja czasów współczesnych to naturalna konsekwencja krzyżowania się ras. Stąd, jeżeli naród się oczyści przez eliminację „niższych nacji”, odrodzi się złoty wiek symbolizowany przez kulturę

Nic dziwnego więc, że po śmierci wodza, w hołdzie dla jego zamiłowania do klasycyzmu i imperialnych ambicji, „wyposażono” go niczym mykeńskiego władcę. Ale te wszystkie przedmioty - abstrahując od faktu, czy ktoś wiedział, czy też nie wiedział, że to imitacje - nie miały dla nazistów żadnej wartości. Tak naprawdę liczyły się tylko szczątki wodza.

Co uderzające - Wołoszynow nigdy, choćby półgębkiem, nie sugerował, że Hitler nie zginął kwietniowej nocy w bunkrze. Najwyraźniej nie zajmowały go insynuacje Stalina. Owa oparta na teorii spiskowej propaganda, choć swego czasu dość nachalnie lansowana, na dłuższą metę nie miała szans powodzenia, bo zbyt dużo ludzi wiedziało zbyt wiele o ostatnich dniach życia fuhrera. Deborę jednak nurtowała zupełnie inna kwe-

stia. Czemu w chwili, gdy cały ich świat płonął i walił się w gruzy, naziści zajmowali się konserwacją ciała swojego przywódcy - przywódcy, którego plany doprowadziły kraj do upadku, i który już nie żył?

By w odpowiednim momencie wskrzesić wspaniałe dni przeszłości, wypowiedział ponury głos.

To nie były jakieś tam zwłoki, tylko ikona, monumentalny symbol. Podobnie jak Lenin w mauzoleum obok Kremla - spoczywający tam do obecnej chwili, choć już lata temu runął system, o który walczył. Bez względu na to, jakimi w istocie motywami kierowali się Rosjanie, gdy unicestwiali szczątki pogrzebane w Magdeburgu, nikt lepiej od nich nie zdawał sobie sprawy, że męczennik jest niemal równie groźny jak żywy wódz. Ostatecznie każda relikwia przyciąga wyznawców...

No dobrze, ale co się działo po wywiezieniu szczątków wodza z Berlina?

Na użytek Rosjan w bunkrze podrzucano ciało któregoś z sobowtów, jednak w drodze do Szwajcarii konwój z autentycznymi zwłokami został przechwycony przez amerykańską jednostkę i to złożoną z ludzi w najbardziej spektakularny sposób stojących w sprzeczności z ideałami Hitlera - oddział czarnoskórych żołnierzy.

Chichot historii... ironia losu.

Gdyby zwłoki pozostały pod ich ochroną, sprawa z pewnością zostałaby ostatecznie zamknięta. Rzecz w tym, że nazistowskie Niemcy nie miały monopolu na rasizm.

- Coś cholernie niesamowitego - mruknęła Debora.

Tak miał odpowiedzieć ojciec Tonyi swojemu kierowcy, Thomasowi Morrisowi, na pytanie, co znajduje się w skrzyni. „Coś cholemie niesamowitego”.

Cóż, Hitler upozowany na Agamemnona zapewne kwalifikował się do takiego opisu.

Potem pewien podoficer żandarmerii ukradł skrzynię, po drodze zabijając czarnoskórego dowódcę. Był przekonany - i jak się okazało słusznie - że nikt nie potraktuje tej zbrodni na tyle poważnie, żeby wszczynać formalne śledztwo. Z początku zapewne nie wiedział, co to za greckie garnki, musiał jednak sądzić, że są cenne. Zaczął węszyć tu i ówdzie, i w końcu udało mu się nawiązać kontakt z brytyjskim kolekcjonerem, od którego wyciągnął różne informacje na temat maski i pozostałych przedmiotów, mając Anglika obietnicą sprzedaży kolekcji. W jakiś sposób wyciągnął od tamtego pieniądze, które przeznaczył na transport zwłok Hitlera do Stanów. Z nieznanых powodów skrzynia nigdy nie dotarła do miejsca przeznaczenia - i ów żandarm stracił ją z oczu. Założył jednak tajną, prawicową organizację, której nadrzędnym celem było odszukanie zaginionego „skarbu”.

Przez lata nie było wiadomo, co się stało ze znaleziskiem, aż niespodziewanie pojawiło się ono we francuskim nadmorskim miasteczku. Richard dowiedział się o tym czarnorynkowymi kanałami i sprowadził skrzynię do Atlanty. Przekonany, że ludzkie szczątki są szczątkami Agamemnona, uznał, że powinny zostać zwrócone Grecji.

Richard jednak tragicznie się pomylił, skrzynia zniknęła, a Debora nie miała pojęcia, gdzie i w czym posiadaniu mogła się znajdować. Pozostało jednak inne, ważne pytanie. Czy te szczątki mogły nadal wzbudzać takie namiętności, o jakie chodziło dawnym nazistom? Zjednoczyć wszystkich psychotycznych zwolenników supremacji białych pod wspólnym sztandarem? Mnożyć ich szeregi, zagrzewać do działania - do wzięcia szturmem Troi od wewnątrz? Czy nadejdzie taki dzień, że dzielnice rezydencji, korporacyjne wieże ze szkła i drobne przedsiębiorstwa padną ostatecznie łupem wroga, który - choć uśpiony - już znalazł się na ich terytorium, na podobieństwo Achajów przyczajonych w wielkim, drewnianym koniu? Nie, to absolutnie niemożliwe! Tylko czy na pewno? Może to z jej strony naiwne zaklinanie rzeczywistości. Deborze stanęła przed oczami mapa Georgii najeżona małymi ikonami: KKK, Ruch Aryjski, Nowa Konfederacja, skinheadzi... A więc jednak to nie jest tak absolutnie wykluczone.

Zaraz po lądowaniu zadzwonił do Cernigi i o wszystkim mu opowie. Opowie o szczątkach Hitlera i Wołoszynowie, o Magdeburgu i upadku Berlina, wykaże mu...

...że się mylił?

Owszem, to też. Więc z pewnością nie będzie to łatwa rozmowa.

Pomyślała o Calvinie i zaczęła się zastanawiać, jak on by podsumował tę całą historię. Ubiegłego wieczoru w końcu wróciła do wspomnień tej nocy, którą spędzili razem, i ze zdumieniem odkryła, że nie może przywołać żadnych obrazów. Jej pamięć ograniczała się do dość wyblakłych wrażeń dotykowych, pewnie dlatego, że Calvin zgasił światło, a grube zasłony nie przepuszczały blasku ulicznych latarni. Rano zerwał się przed nią i teraz żałowała, że go nie zobaczyła bez profesjonalnej „zbroi” - że jedyne, co jej pozostało, to mało konkretne, odrealnione błądzenie palcami po ciele w ciemności. Szkoda, że nie widziała wówczas jego twarzy, chętnie ujrzałaby ją teraz pod powiekami.

Cóż, następnym razem zobaczysz i zapamiętasz.

O ile coś podobnego się jeszcze wydarzy. Żeby tak się stało, będzie musiała przeprowadzić o wiele trudniejszą rozmowę niż ta, jaka czekała ją z policją.

68.

- To kompletne bzdety, jakaś pokręcona teoria spiskowa - zawyroko-
wał Keene.

Cerniga, choć niechętnie, zgodził się spotkać z Deborą i wkrótce poja-
wił się w jej mieszkaniu z nieodłącznym Keene'em u boku.

- Ależ niech pan posłucha - zwróciła się Debora do agenta. - Oto ma-
my zabitego Rosjanina o władniętego obsesją na punkcie zwłok Hitlera,
podążającego ich tropem aż do Atlanty, pod drzwi muzeum Druid Hills...

- Tylko dlatego, że jakiś zwariowany stary Rusek wierzył, że...

- Proszę posłuchać - upierała się Debora. - Wy sądzicie, że to jakaś
wydumana, bzdurna teoria w rodzaju „oni nigdy nie wylądowali na Księ-
życu - wszystko nakręcili w studiu”, a tymczasem to najoczywistsze wy-
jaśnienie sprawy, łączące w logiczną całość wszystkie fakty. Z jednej stro-
ny mamy neonazistowską organizację goniącą za czymś, co panowie
uważacie za tajną broń. Z drugiej - miłośnika sztuki goniącego za czymś,
co w jego mniemaniu jest kolekcją przedhelleńskich zabytków. Do tego
wszystkiego dochodzą ludzkie szczątki z połowy lat czterdziestych, ozdo-
bione regaliaми achajskiego władcy. A co, jeżeli tak naprawdę wszyscy
mają po części rację? Jeżeli nie jest to żadna nuklearna materia ani pojem-
nik z czarną ospą? Jeżeli te szczątki są zarówno wytworem określonej kul-
tury, jak i groźną bronią?

Keene już otwierał usta, żeby zaprotestować, Cerniga jednak uciszył go
wzrokiem. Gniew, którym aż kipiał przy ich ostatnim spotkaniu, ustąpił
miejsca spokojnej rezygnacji, lecz w miarę przemowy dziewczyny jego mi-
na stawała się coraz bardziej niewyraźna i patrząc nań, Debora czuła-jak-
kolwiek wydawało się to niedorzeczne - że być może ona jednak ma rację.

- Co pani przez to rozumie? - zapytał.

- Że nie mamy do czynienia ani z bronią biologiczną, ani chemiczną,

tylko ideologiczną, o amerykańskiej konsekwentnej polityce. Dla tych nazistowskich szaleńców Hitler był bogiem i ojcem. A jego szczątki nabierają magicznego wymiaru.

- Magicznego?

- Dla nich tak. Są czymś więcej niż sztandarem - są talizmanem, ikoną, najwznioślejszym symbolem wszystkiego, kim są i w co wierzą.

- No dobrze - zgodził się Cerniga. - Ale jak mogą się stać bronią?

- Ponieważ taki symbol odznacza się potężną mocą przyciągania. Szczątki, które miały zostać skazane na zapomnienie dziesiątki lat temu, unicestwione przez wrogów hitlerowskiej ideologii, zostają nagle objawione w glorii chwały. To dla neonazistów niemalże akt rezurekcji. Triumf, wzorzec wojenny. Przywódcy Atreusza bez wątpienia wierzą, że pomoże im to w rozpętanu wojny.

- Przeciwno komu?

- Czarnym, Arabom, Żydom, gejom, niepełnosprawnym, lewicy, małżeństwom ludzi różnych ras... - Debora wyliczała na palcach - a także tym wszystkim, którzy uznają ich prawo do istnienia.

Teraz obaj mężczyźni patrzyli na nią z uwagą i niepokojem na twarzach.

- Odnalezienie ciała Hitlera może być tą iskrą, która rozpali ogień.

- W tym kraju to niemożliwe - stwierdził cicho Keene.

- Miejmy nadzieję, że pan się nie myli - odparła Debora.

- Nawet gdyby do tego doszło, nigdy nie zwyciężą.

- Poprzednim razem też nie zwyciężyli - Debora zwróciła się stronę Keene'a - ale niech pan pomyśli, jakie piekło rozpętał. Poza tym to będzie inna wojna: bez czołgów, bez mundurów, bez inwazji czy aneksji. Sprowadzi się do aktów terrorystycznych - wysadzania mostów, ostrzelania McDonaldów, podkładania bomb w elektrowniach. Nie tylko otwarte wojny prowadzą do straszliwych konsekwencji. A choćby jedna ofiara w takiej wojnie to jedna ofiara za dużo.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, aż w końcu Cerniga podniósł się z fotela. Wyglądał na zdeprymowanego - jakby on też przez cały czas układał jakąś łamigłówkę, którą teraz Debora wyróciła mu do góry nogami. Obraz był zupełnie inny, bardziej niesamowity, budzący lęk, ale spójny.

- Cóż, sam nie wiem - powiedział. - To się wydaje... W każdym razie musimy pójść tym tropem. Nie twierdę, że ma pani rację, ale niewykluczone, że coś się za tym kryje. Dzięki.

Debora tylko skinęła głową, Keene zaś wbijał wzrok w czubki własnych butów.

- Proszę posłuchać. - Cerniga zatrzymał się przy drzwiach. - Poprzednim razem potraktowałem panią zbyt surowo. Tamci Grecy nie zginęli z pani winy. Nie pani do nich strzelała...

- Naturalnie. Gdybym jednak powiedziała panu...

- To w żadnym razie nie jest pani wina. - Popatrzył na nią wyczekująco i Debora nieznacznie skinęła głową, zaciskając usta. - Czy jest ktoś, u kogo mogłaby się pani zatrzymać - zapytał. - Jacyś przyjaciele, rodzina?

Debora odwróciła wzrok.

- Owszem, jest ktoś taki - odparła, niepewna, czy to nadal aktualne.

69.

Gdy policjanci odeszli, usiadła na skraju łóżka i przyglądała się, jak za oknem deszcz wsiąka w nocny mrok. Przelotna mżawka przekształciła się w porządną ulewę, a od zachodu dobiegały głucho pomruki grzmotów. Nie ulegało wątpliwości, że nim wstanie świt, przez niebo przetoczy się wiele błyskawic i gromów.

Otworzyła notes z adresami i znalazła numer domowego telefonu Tonyi. Nie miała pojęcia, czy nadal jest aktualny - czy w ogóle był prawdziwy, bo nigdy wcześniej do niej nie dzwoniła - ale postanowiła spróbować. Po ośmiu dzwonek odezwała się automatyczna sekretarka. Debora wydukała kilka słów przeprosin, po czym - jękając się i płacząc - wyłożyła Tonyi swój dziwaczny plan na wypadek sytuacji awaryjnej - plan, którego istota zasadzała się na jakimś, jak to nazywała Tonya, „babskim” przedmiocie - szmince, perfumach lub czymś w tym rodzaju.

Debora przez chwilę w roztargnieniu piłowała paznokcie, po czym zebrała się na odwagę, wsunęła pilnik do tylnej kieszeni spodni i zadzwoniła do Calvina, ale i tu natknęła się na automat. Ponieważ nie przyszła jej do głowy żadna lapidarna, błyskotliwa uwaga, którą można by uznać za adekwatną do sytuacji - szczególnie w wypadku, gdyby Calvin siedział w domu i przysłuchiwał się nagraniu - przerwała połączenie. Było absurdalnie późno, zatelefonowała jednak do jego biura, ale tu też rozległ się mechaniczny głos. Postanowiła więc iść spać, lecz kiedy miała się już kłaść, przypomniała sobie, że Calvin chętnie pracował w nocy w muzeum. Mogłaby tam wpaść, niby przypadkiem, i spróbować wszystko wytłumaczyć.

Jesteś gotowa mu wyjawić, czemu po wizycie w CSBI nie chciałaś w ogóle z nim rozmawiać? Czemu po raz drugi bez słowa uciekłaś z kraju...?

Ubrała się szybko i zamykając drzwi mieszkania, wystukała na komórce numer muzeum.

Po wielu dzwonek Calvin odebrał telefon.

- Tak, Deboro, o co chodzi? - rzucił zniecierpliwionym tonem.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- A kto inny mógłby dzwonić o takiej godzinie?

- Jadę do muzeum - oznajmiła. Nie zamierzała wygłaszać przeprosin przez telefon.

- Tak po prostu? - Był wkurzony, jednak trudno mu się dziwić. - Najpierw wyjeżdżasz z kraju, nie zadając sobie nawet trudu, żeby przedtem zatelefonować, po czym zjawiasz się na moim progu...

- Chciałam ci przypomnieć, że to też mój próg - rzuciła lekkim tonem, by rozładować atmosferę. - Jesteś przecież w muzeum.

- To bez znaczenia.

- Czy możemy o tym porozmawiać twarzą w twarz? - spytała.

Zamilkł, jakby rozważał jej propozycję.

- No dobrze - powiedział w końcu.

- Czy mam coś przynieść? Może jakąś chińszczyznę na wynos?

- Najpierw tu przyjedź. Sprawdźmy, jak się mają sprawy, zanim zdecydujemy się na tak szalony krok, jak wspólny posiłek.

- W porządku.

- Wydrukowałem menu ze strony internetowej - oznajmił, gdy tylko weszła do biura muzeum. - Z Ogrodów Hongkongu.

- Wydawało mi się, że powinniśmy zobaczyć, jak się mają sprawy, zanim zdecydujemy się na cokolwiek szalonego - odparła.

- Zdałem się na przecucie.

Do tej pory żadne z nich się nie uśmiechnęło.

- A co ono ci odpowiedziało?

- Że przychodzisz tu, żeby mnie przeprosić, i że ostatnio nie było ci lekko - sądząc po tym, co usłyszałem o domu w Palmetto. Dlatego będę bardziej wyrozumiały, niż na to zasługujesz i...

- Och, zamknij się i podaj mi to menu.

Wreszcie się uśmiechnął i Debora odpowiedziała mu tym samym.

- Na co masz ochotę? - zapytał.

- Na kurczaka Kung Pao?

- I na co jeszcze?
- Na smażone pierożki.
- Naprawdę? - rzucił rozbawionym tonem, stając za nią i obejmując ją w pasie.
- A - mruknęła, patrząc mu w oczy. - Pytasz, na co poza tym miałabym ochotę?
- Właśnie.
- Hmm... bo ja wiem? Może zamówiłabym jeszcze naleśnika wiosennego.
Odepchnął ją delikatnie, parszcząc śmiechem.
- Zoża!
- Dziewczyna musi się najpierw najeść - odparła. - O deserze porozmawiamy później.
- Okay. Nie miałabyś ochoty przejść się ze mną po tę chińszczyznę? Siedzę tu od kilku godzin, no a ty masz mi wiele do wyjaśnienia.

Muzeum było położone w zadrzewionej dolinie, odległej o jakieś dwieście metrów od głównej drogi, i kiedy szli pod dębami oraz słodko pachnącymi eukaliptusami, rześkie po deszczu powietrze pachniało odurzająco.

Calvin wysłuchał jej mocno ocenzonej relacji z wydarzeń ostatnich dni, a kiedy powiedziała, jak bardzo gnębią ją wyrzuty sumienia z powodu śmierci Greków, delikatnie ujął ją za rękę.

- Nie możesz się obwiniać - zapewnił. - Całkowita odpowiedzialność spada na tego, kto strzelał.

Ścisnęła dłoń Calvina i zerknęła na niego spod oka.

Był w cienkim, białym T-shircie, na który narzucił koszulę khaki - w takim samym kolorze jak jego płócienne spodnie. „Wyluzowany prawnik z Południa” - tak w myślach określiła ów styl. W ciepłym, sodowym świetle latarń wyraźnie widziała jego regularną, wyrazistą twarz: bardzo męską i wyjątkowo atrakcyjną. Uśmiechnęła się do niego, by w ten sposób podziękować za wsparcie, akurat w chwili, gdy dotarli do restauracji - dużej, bijącej po oczach czerwienią, o wystroju wnętrza, który można było skwitować tylko w jeden sposób: zderzenie Orientu z Disneylandem.

Dania już czekały zapakowane, więc spędzili tam zaledwie parę minut, ale gdy wyszli na zewnątrz, znowu zaczęło mocno padać. Przez chwilę postali pod szerokim, czerwonym portykiem restauracji, szybko jednak doszli do wniosku, że przez dłuższy czas ulewa będzie tylko przybierać na sile. Puścili się więc biegiem w stronę muzeum.

Ledwo minęli dwie przecznice, rozległ się huk gromu, a nad centrum miasta niebo rozświetliła błyskawica. Wybuchnęli śmiechem, nie zwalnając kroku. Calvin nucił piosenki Freda Astaire'a, a Debora tanecznym płasem przebiegła przez kałużę na tyle głęboką, że woda wlała jej się do butów. Deszczówka z radosnym stukotem i poszumem wypływała z rynien i wpadała do studzienek burzowych. I nawet ból w kostce nie mógł popsuć Deborze świetnej zabawy i radości, jaką czerpała z biegu obok tego pięknego mężczyzny przez ścianę gęsto padających kropel. Jak tylko znajdą się w muzeum, będą musieli ściągnąć z siebie mokre ubrania. Tak przecież nakazywał rozsądek...

Gdy dopadli do drzwi, oboje zwijali się ze śmiechu. Debora była przemoczona od stóp do głów - jakby w ubraniu brała kąpiel w wannie. Calvin zrzucił z siebie koszulę i odsłonił cienki T-shirt, przylegający do

Debora w końcu trafiła kluczem w zamek i zataczając się, wpadli do chłodnego, pogrążonego w ciszy holu, po którym głośnym echem zaczął się nieść ich śmiech. Debora poczuła się jak dziecko przyłapanie na chichotaniu w świątyni - ich wesołość wstrząsnęła dostojną, zmurszałą martwością tych ścian. Calvin zamknął drzwi i spojrzął na Deborę, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Mam wrażenie, że trochę zmokłem.

Debora, oniemiała, wbiła w niego wzrok.

Nie, nie. Tylko nie to. Nie. Wszystko, tylko nie to.

Z koszuli khaki, którą trzymał w ręku, spływała woda. Blask lampy znad wejścia sączący się przez szklane drzwi padał na Calvina, otaczając go złocistą poświatą, niczym świętego. Biały T-shirt przywierał do jego muskularnego ciała, a cienka przemoczona tkanina stała się niemal przezroczysta - i przypominała delikatną, gadzią wylinkę, spod której wyłaniały się cienkie, szarogranatowe, miękkie linie układające się w kształt nazi-stowskiego orła i pośmiertną, grecką maskę, którą przecinało jedno słowo: Atreusz.

70.

A więc tak wygląda prawda.

Od jakiegoś czasu Calvin ją zastanawiał, budził w niej podejrzenia, które natychmiast odrzucała, ale teraz wszystko stało się jasne.

Jeżeli się odwrócisz i zaczniesz zachowywać naturalnie, może on się nie zorientuje. Wysuszy się, włoży z powrotem koszulę i pomyśli, że niczego nie zauważyłaś. Że mu się udało - jak wtedy, gdy zgasił światło w hotelowym pokoju. Uzna, że nie dostrzegłaś, jaki ma tatuaż na piersi.

Niestety, gra pozorów i ukrywanie emocji nigdy nie należały do najmocniejszych stron Debory. Może wymyślić jakąś wymówkę, żeby się oddalić na moment - ukryć na parę minut, ale przecież on oczekiwał, że zjedzą razem kolację; zapewne spodziewał się też czegoś więcej. Tymczasem ona nie mogła na niego patrzeć. Wiedziała, że gdy tylko zobaczy jego uśmiech, nie powstrzyma się od pytania, czy tak samo uśmiechał się do Richarda, zanim wbił mu nazistowski sztylet w pierś. Kiedy usłyszy głos Calvina, natychmiast wyobrazą go sobie, jak rozmawia z komórki w toalecie laboratorium CSBI, przekazując komuś adres domu, w którym znajdowali się Grecy.

Nie musiałaby go natomiast pytać, co złego zrobił w życiu. Wszystko już było jasne. Każdy element układanki znalazł się wreszcie na swoim miejscu i Debora mogłaby zrelacjonować jego posunięcia, jakby sama była ich świadkiem.

W głębi duszy wiedziałaś. Przekonywałaś samą siebie, że to nieprawda, ale wiedziałaś.

Teraz powinna odwrócić się w jego stronę - żartować, śmiać się, flirtować, jakby nic się nie stało. A potem, po kolacji i seksie, mogłaby zadzwonić do federalnych i zakończyć to raz na zawsze. Musi tylko przebrnąć przez kilka następnych godzin - może nawet mniej, jeśli uda jej się znaleźć zgrabną wymówkę, by się wymknąć i zatelefonować.

- W porządku? - zapytał Calvin z leniwym, kocim uśmiechem.

- Jasne. - Odwróciła się ku niemu i też rozciągnęła usta w uśmiechu. - Jestem tylko kompletnie przemoczona. Chyba pójde się przebrać.

- Zjedzmy najpierw. Zawsze marzyłem, by za stół mieć jakiś tysiacletni zabytek. Co byś powiedziała, gdybyśmy sobie urządzili kolację na tej indiańskiej ekspozycji?

- Pewnie, czemu nie? - ponownie zmusiła się do uśmiechu. - Rozstaw wszystko, a ja tymczasem się umyję.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Wydajesz się... bo ja wiem?... niespokojna.

- Powiedzmy, że się cieszę na to, co mnie czeka - odparła.

- Masz na myśli chińszczyznę? - rzucił z obleśnym uśmieszkiem. I ty go uważałaś za atrakcyjnego mężczyznę!

- Nie tylko - wykrztusiła.

Rozpromienił się i wyciągnął ku niej ramiona.

- Muszę się najpierw umyć - odsunęła się z grymasem.

- Może pójde z tobą? - Znowu ten lubieżny uśmieszek.

- Możesz skorzystać z tej małej łazienki.

- A czy dużym mężczyznom wolno z niej korzystać?

Próbował być figlarny, a jej chciało się wyć.

- Tylko w wyjątkowych wypadkach - odparła i cofnęła się o kolejny krok.

- Pospiesz się, bo pójde cię szukać.

Debora usiadła na klapie ubikacji w zamkniętej kabinie i roztrzęsionymi rękami zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu teleBłagam, Boże, niech zadziała. Szybciej, szybciej...

„Boże przedwieczny, który zsyłasz pociechę udręczonym sercom, zwracamy się do Ciebie o łaskę w tej trudnej godzinie próby”.

Słowa pojawiły się w jej głowie nieoczekiwanie - wychynęły z jakiegoś zakamarka pamięci. Debora próbowała się otrząsnąć. Wbiła wzrok w komórkę. Nawałnica mogła zaburzać sygnał, szczególnie w tej nieszczęśliwej, gdzie stało muzeum.

Wyjęła z portfela wizytówkę Cernigi i szybko wystukała numer.

- Czy mogę mówić z agentem Cernigą? - rzuciła w słuchawkę, gdy zgłosiła się jakaś kobieta.

- Agent Cerniga pojechał już do domu. Czy zechce pani zostawić wiadomość?

- Muszę się z nim natychmiast skontaktować. To bardzo pilna sprawa, bezpośrednio związana z obecnie prowadzonym przez niego śledztwem.

No już kobieto, rusz się.

- A o jakie śledztwo chodzi?

- W sprawie śmierci Richarda Dixona i dwóch obywateli Grecji - odparła zniecierpliwiona. - Proszę posłuchać, naprawdę nie ma teraz czasu na podobne rozmowy.

- Czyje nazwisko mam mu podać? - Kobieta była niewzruszona.

- Mówi Debora Miller. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

Impet otwartych kopniakiem drzwi sprawił, że wylądowała na podłodze, a telefon wypadł jej z ręki i posunął po śliskich kafłach.

Calvin Bowers podniósł go leniwym ruchem i wrzucił do miski klozetowej.

- Naprawdę powinnaś coś zrobić z tym szybem wentylacyjnym - po wiedział cichym, spokojnym głosem, z beznamiętnym wyrazem twarzy i Debora odniosła wrażenie, że widzi tego mężczyznę po raz pierwszy w życiu. - W tym budynku nie można liczyć na choćby chwilę prywatności.

71.

Nie płakała. Nie błagała. Nie próbowała niczego tłumaczyć. Nie próbowała się odwoływać do poczucia sprawiedliwości, przyjaźni czy chwil romantycznych uniesień, bo instynktownie wiedziała, że żadna z tych wartości nie liczyła się dla niego. Powinna wpaść w panikę, ale absurdalność sytuacji stłumiła strach i Debora czuła się dziwnie opanowana i zdystansowana. Wracał też znajomy bunt. Nie będzie płakać. Nie będzie błagać.

Jeszcze nie zdążyła podnieść się na dobre, a z całej siły uderzył ją wierzchem dłoni w bok głowy. Nie tyle ją zabolalo, ile zaskoczyła nonszalancja, z jaką zademonstrował swą brutalność, skuliła się więc obok ubikacji. Bowers wciąż zastawiał sobą drzwi, nie miała więc jak uciec.

Dotarło do niej, że będzie chciał ją zabić tu i teraz. Bo czemu miałby postąpić inaczej? Przykucnęła i spojrzała w górę. Ich oczy się zetknęły i na ustach Bowersa pojawił się złowieszczy uśmiech.

- Wiesz - jego głos brzmiał obco w jej uszach - w zasadzie się cieszę z takiego obrotu sprawy. Bo nie sądzę, że mógłbym raz jeszcze znieść twój dotyk.

Debora zeszywniała, ale zachowała milczenie.

- Słyszałaś, co powiedziałem? - zapytał spokojnym, cichym głosem, po czym dorzucił szeptem, który brzmiał niemal czule: - Żydowico?

Zacisnął dłoń w pięść, ale w chwili gdy się zamachnął, Debora ruszyła do przodu, niczym z wielką siłą wyrzucona dzida, i ugodziła go głową w brzuch. Jego pięść prześliznęła się po jej ramieniu. Trochę zabolalo, lecz niecelny cios pozbawił go równowagi, a do tego silnie uderzony przez Deborę, bezwładnie zwałił się na plecy, z głuchym traskiem uderzając głową o posadzkę. Debora wzdrygnęła się i odskoczyła z mroczną nadzieją w sercu, że ten upadek był śmiertelny.

Zatrzymała się i spojrzała na Bowersa. Nigdzie nie zauważyła śladów krwi i chociaż białka oczu uciekły mu w tył głowy, wiedziała, że Calvin wkrótce się ocknie. Przeskoczyła niezdarnie przez niego, zatrzasnęła drzwi i skierowała się w głąb muzeum.

Musi się dostać do telefonu!

Ruszyła w stronę biura, szukając w kieszeniach kluczy, biegnąc długim krokiem, nie zważając na ból w kostce.

Znajdowała się w holu, gdy usłyszała trzask. Nadchodził Calvin.

Debora się zawahała. Jeżeli teraz wejdzie do biura, odetnie sobie drogę ucieczki. Bowers zapewne sforsuje drzwi, zanim uda jej się zadzwonić i ściągnąć pomoc. A więc telefon musi poczekać. W tej sytuacji powinna jak najszybciej znaleźć się na otwartym terenie. Kilkaset metrów dalej przebiegała ruchliwa droga, a Debora знаła okolicę o wiele lepiej niż on.

Odwróciła się, żeby przejść na drugą stronę foyer, i wówczas go zobaczyła - po drugiej stronie tej obrzydliwej rzeźby dziobowej. Włókł się powoli, lekko przechylony na jedną stronę, niczym idący halsem galeon. Może uderzenie głową o podłogę przyprawiło go o lekki wstrząs mózgu.

Dobra nasza.

Najwyraźniej uznał, że już udało jej się zbiec. Zapewne z powodu omdlenia zatracił poczucie czasu.

Dobrze.

Ale nie tak dobrze, jakby sobie życzyła. Kiedy ukryta w mroku łudziła się nadzieją, że on wyniesie się z muzeum, a ona wreszcie zadzwoni do Cemigi, Bowers zwolnił, uważnie wpatrując się w zamknięte drzwi - z niemal zwierzęcą intensywnością. Potem obrócił się na pięcie i nachylił nad czymś, co leżało na posadzce. Debora ostrożnie wyjrzała zza zielonkawej kobiety-smoka, szczerzącej zęby do Calvina, i serce podeszło jej do gardła. Dotykał dłonią wypchanej czymś plastikowej torby.

Natychmiast zdała sobie sprawę, co to takiego: jedzenie z chińskiej restauracji.

Sprawdzał, czy wciąż jest ciepłe.

Zaledwie kilka minut temu - choć teraz wydawało się to nonsensownym, groteskowym snem - miała to być ich wspólna kolacja, swoista gra wstępna. Minęło parę chwil, zanim Debora zdała sobie sprawę, co on właściwie robi - próbuje się zorientować, jak długo leżał nieprzytomny i jak daleko w tym czasie ona mogła uciec. Bowers tymczasem wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął wystukiwać numer.

Słyszając jego przyciszony głos, Debora zaczęła się powoli, ostrożnie wycofywać, nie spuszczać wzroku z telefonującego mężczyzny. Dwa bezsze-

lestne kroki, jeszcze jeden i nagle niespodziewanie się potknęła. Odgłos tego potknięcia poniósł się nieznacznym echem i Calvin odwrócił się gwałtownie. Dostrzegł ją natychmiast, więc Debora pomknęła tylko w jednym możliwym kierunku - wzdłuż korytarza ku dwuskrzydłowym drzwiom prowadzącym do galerii ekspozycyjnych.

Znała to muzeum jak własną kieszeń. Tutaj mogła się ukryć, tutaj mogła sprytnie kluczyć, przedostać się do rezydencji, a stamtąd na zewnątrz...

Widniejące przed nią drzwi otworzyły się z głośnym hukiem.

A w progu, z wyciągniętymi rękami, podtrzymując ramieniem telefon, stał wygolony chłopak z tatuażami na piersi - ten sam, którego pozostawiła nieprzytomnego na schodach prowadzących do mykeńskiej, podziemnej cysterny. Biały Królik.

- Taa - rzucił w słuchawkę, ruszając gwałtownie w stronę Debory.

- Widzę ją.

Efektownym ruchem prestidigitatora, czy może wprawnej striptizerki, wyciągnął zza pleców nóż - zupełnie inny niż ten, który miał w Grecji. Sztylet był długi i smukły, o lekko wygiętym jelcu, z małą swastyką na rękojeści. To tym sztyletem zabito Richarda. Pełna żalu i bólu Debora zrozumiała natychmiast, że należał on do Calvina.

72.

Nie miała już dokąd uciekać. Drogę odwrotu odcinał jej Calvin, poruszający się teraz ze zdumiewającą energią, a przed nią stał młody skin-head, który - nucąc pod nosem - nie spuszczał z niej wzroku. Mogłaby spróbować staranować któregoś z nich, ale jej szanse powodzenia były równe zeru: nie mogła liczyć na element zaskoczenia, poza tym z pewnością szybko dopadłby ją drugi z prześladowców. Nie miała więc jak się bronić.

Nagle przypomniała sobie coś ważnego. Sięgnęła do torebki i wyjęła flakon perfum: Chanel N° 19. Wymierzyła wylot atomizera w stronę skin-heada i chłopak się zachwiał - jednak nie dlatego, że złąkł się o swoje oczy, ale ponieważ zaczął się skręcać ze śmiechu.

- Rzuć to - zażądał Calvin takim tonem, jakby trzymała w ręku maczugę. - Nie zamierzamy zrobić ci krzywdy. Chcę ci tylko zadać kilka pytań.

- Niby jakich? - Wciąż jeszcze stacją było na wojowniczość.

- Kiedy wszystko odkryłaś? A przede wszystkim, kto jeszcze o tym wie?

- Odczep się.

- To nie jest najlepszy moment, by okazywać feministyczną niezależność.

Schylił się i sięgnął za łydkę. Chwilę później rozległ się odgłos jakby rozdieranego materiału, a może odrywanego rzepa i w ręku Calvina pojawił się pistolet.

Debora skierowała perfumy w jego stronę.

- Suka - rzucił chłopak, wciąż uśmiechając się pogardliwie. - Ależ jest żalosna.

Postąpił dwa kroki w jej stronę i Debora, kapitulując teatralnie, wypuściła flakon z dłoni. Roztrzaskał się z hukiem na posadzce, niczym super-

nowa eksplodując iskrzącymi drobinami szkła i intensywnym aromatem - piżma i świeżych kwiatów.

W trzech długich susach znalazł się u jej boku i mocno chwycił ją za ramię.

- Pójdiesz z nami. A jeśli będziesz posłuszna, być może uda ci się przeżyć tę noc.

Nawet jeśli przetrwasz tę noc, nie pożyjesz o wiele dłużej. Bowers cię zabije, gdy uzna, że wyciągnął już od ciebie wszystko, co wiesz - a zrobi to jeszcze wcześniej, jeżeli się zorientuje, iż nikt nie ma pojęcia, że posłaś tej nocy do muzeum.

Zostało ci więc najwyżej kilka godzin - może nawet mniej.

Chłopak na wpół prowadził, na wpół ciągnął Deborę przez muzealne korytarze, a potem przez rezydencję do drzwi wychodzących na podjazd. Stała tam stara, granatowa furgonetka, z silnikiem pracującym na jałowym biegu. Debora od razu się zorientowała, że to ten sam van, którym próbowano zepchnąć ją z drogi tuż przed ucieczką do Grecji. Wszystkie okna były mocno przyciemnione, natomiast w środku kabiny paliło się światło i Debora dojrzała, że siedzi tam jeszcze jeden skinhead.

No, cudnie. Bowers ma prywatną, małą armię. Swoje własne Hitlerjugend.

- Za chwilę spotka cię zaszczyt, na jaki nie zasłużyłaś. Pojedziesz z tyłu.

- I to niby ma mnie tak uszczęśliwić?

- Jasne. Wreszcie zobaczysz to, czego tak bardzo poszukiwałaś.

Nawet w chwili, gdy śmierć wydawała jej się nieunikniona, poczuła ukłucie ciekawości.

A więc skrzynia jest w furgonetce!

Odciągnął jej ręce do tyłu i okleił gładką taśmą. Chłopak wepchnął ją brutalnie do środka, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Debora, zgięta we dwoje, leżała na podłodze furgonetki, z której usunięto wszystkie siedzenia. Kiedy członkowie Atreusza wsiedli do kabiny i van ruszył, podniosła głowę i wbiła wzrok w stojącą przed nią skrzynię.

Nie wyróżniała się niczym szczególnym, a przynajmniej tak się wydawało z miejsca, w którym leżała Debora: duża skrzynia wielkości trumny, z pomalowanego na czarno drewna. Jej górna część, zapewne szklana, była niewidoczna, ponieważ przykrywał ją gruby, ciemny koc. Poza kocem jedynym elementem łamiącym regularność bryły był przewód elektryczny wychodzący z jej wnętrza.

Chwilę później ruszyli z miejsca.

Tak na oko podróż trwała około piętnastu minut. Na samym początku i tuż pod koniec jazdy poruszali się bardzo wolno krętą drogą, w ciemnej okolicy, ale przez większość czasu furgonetka przemieszczała się z dużą szybkością, a światła mijanych budynków załamywały się na ciemnych szybach i tańczyły na suficie. Deszcz wciąż nie przestawał padać i do Debory przez cały czas docierał jednostajny skrzyp wycieraczek.

Kiedy znaleźli się na miejscu, pierwszy wyskoczył z kabiny chłopak, ale minęła dobra minuta, zanim rozległ się zgrzyt tylnych drzwi. Debora uniosła głowę.

- Wsiądź powoli - zarządził Bowers z przedniego siedzenia. - I nie rób niczego głupiego, bo strzelę ci w głowę. Zrozumiano?

On nie żartuje.

Nie odpowiedziała, tylko zaczęła się w milczeniu przesuwać po podłodze, aż w końcu stopami sięgnęła żwiru drogi. Chłopak już na nią czekał. Nadal trzymał obnażony sztylet i przyglądał się jej ze złośliwym rozbawieniem.

- Wtedy, w Grecji, sprawiłaś mi ból, Żydówko.

Powiedział to tonem rozkapryszonego dziecka, z akcentem typowym dla zacofanej prowincji Południa - wylegarni najgorszych szumowin. Głos miał dziwnie chłopięcy, a cała jego postać wydawałaby się groteskowa - niczym wyjęta z kreskówki - gdyby Debora nie wyczuwała bijącej od niego lodowatej, głębokiej nienawiści.

- Za to, że próbowałaś mnie zabić, gudłajko - dorzucił i z całej siły trzasnął ją ręką w głowę.

Debora miała wrażenie, że coś eksplodowało jej w czaszce, i przez chwilę sądziła, że pękł jej bębenek. Odruchowo zgięła się wpół, poczuła napływające do oczu łzy i przygryzła wargę, żeby stłumić szloch.

- I trzymaj gębę na kłódkę - dorzucił skinhead.

Debora nie odezwała się słowem, ale się wyprostowała, bo szóstym zmysłem wyczuła obecność Calvina.

- Przygotuj rampę - rzucił do chłopaka. - Teraz ja jej popilnuję. I od daj mi sztylet.

Z chłodnym rozmysłem spojrzął jej w oczy, ale gdy odpowiedziała pełnym wzgardy spojrzeniem, wzruszył ramionami i nieznacznie się uśmiechnął.

- Piękny, prawda? - podsunął w jej stronę broń o wysmukłym ostrzu.

- To ceremonialny sztylet Luftwaffe z okresu Trzeciej Rzeszy. Dostałem go od mojego mentora.

- Uhm. Edwarda Gravesa.

Twarz Calvina stężała.

- Gdzie to usłyszałaś? Powiedz mi, co zdołałaś odkryć i kto jeszcze o tym wie, a dobijemy targu.

- Tak jak z Richardem?

- Richard kompletnie się nie znał na interesach. Jestem pewien, że pójdzie nam lepiej.

- Na twoim miejscu nie byłabym taka tego pewna.

Ponownie wzruszył ramionami.

- Jeżeli postanowiłaś zostać męczenniczką, kimże jestem, by cię po wstrzymać?

Podsunał jej sztylet pod oczy i w wypolerowanym ostrzu Debora ujrzała własne odbicie. Było dziwnie dalekie, niczym senny obraz - połyskliwa, obca syrena wynurzająca się z jasnego morza.

- Pomóż mi z tą skrzynią - odezwał się Biały Królik. Przetaczał wielką czarną bryłę, wciąż zasłoniętą kocem, w dół, po zbitej z desek rampie opartej o tylne drzwi.

- Tylko przypadkiem nie uciekaj - rzucił Calvin.

Mógł sobie podarować to ostrzeżenie. Furgonetka stała za załomem dużego, kamiennego budynku otoczonego ceglany murem, w którym znajdowała się brama z kutego żelaza, zapewne zamykana elektronicznie. Debora po prostu nie miała dokąd uciec. Bowers zastrzeliłby ją w kilka sekund.

On tymczasem odwrócił się i całym ciężarem oparł się o skrzynię popychaną przez chłopaka zwirową drogą.

- Musimy zabrać to do środka - powiedział skinhead. - A co zrobimy z Żydówką?

Debora nagle poczuła, że musi odwlec ich decyzję, jakakolwiek ona by była, zaczęła więc wyrzucać z siebie słowa:

- Interesuje cię, od jak dawna o wszystkim wiedziałam? Już od długiego czasu. Pamiętasz ten wspólny wieczór w Atenach? Powiedziałeś, że podzielasz moje odczucia, gdy komentowałam sposób bycia Richarda. Wspomniałeś nawet o jego spojrzeniu. A przecież wcześniej mówiłeś, że nigdy nie poznałeś Richarda osobiście. Że nie widziałeś go w życiu na oczy. Poza tym, oprócz mnie tylko ty jeden mogłeś sprawdzić adres, na który laboratorium miało wysłać wyniki. Czy doprawdy sądzisz, że o tym nie pomyślałam? Musiałabym też być ostatnią idiotką, gdybym się nie zorientowała, że ilekroć wysyłałam ci z Grecji mejl na temat moich planów, natychmiast jakiś maniackalny szaleniec próbował mnie zabić. Kimkolwiek był ów szaleniec, musiał wiedzieć, że odkryłam coś bardzo istotnego

- na przykład wtedy, gdy przeglądałam pliki z komputera Richarda. A ten jakże gorączkowo poszukiwany przez ciebie list? Znowu ty byłeś jedyną osobą, która wiedziała, że musiał przejść przez moje ręce. Ale tak naprawdę, Calvin, wszystko stało się dla mnie oczywiste dużo, dużo wcześniej - a mianowicie pierwszego dnia naszej znajomości, kiedy wspomniałeś o „barbarzyńskim” tomahawku i „Manifest Destiny”. Czy naprawdę przypuszczałeś, że te wszystkie fakty nie złożą się na obraz rasistowskiego kretyna, jakim ty właśnie jesteś?

Rzecz w tym, że nie wskazały. Powinny były, ale tak się nie stało. Oświecił ją dopiero widok jego tatuażu. A tymczasem, pomijając wszystko inne, od początku powinno być dla niej oczywiste, że tak zawrotnie przystojni faceci nie umawiają się z takimi kobietami jak ona.

Doprawdy? Cóż, ich strata.

Szkoda, że dopiero teraz odzyskała trzeźwość myślenia. Że ją zawiodła, gdy Debora rozmawiała z Cernigą, bo wtedy z pewnością wspomniałaby mu o różnych drobnych poszlakach, które - niczym okruszki - wiodły wprost do Calvina Bowersa.

Ale przecież kiedy się widziała z agentem, jeszcze o tym nie wiedziała. Nie była niczego pewna.

Calvin wpatrywał się w nią uważnym wzrokiem. Deszcz spływał mu strugami po twarzy, on jednak zdawał się tego nie zauważać.

- I komu o tym wszystkim powiedziałaś?

Debora w milczeniu patrzyła mu prosto w oczy - buntowniczo, z całą pogardą, na jaką była się w stanie zdobyć.

Uśmiechnął się nieznacznie - lekko rozbawionym, lekko powątpiewającym uśmiechem, jakby chciał dać do zrozumienia, że jej nie wierzy, ale na razie nie będzie roztrząsał tej kwestii. Na razie.

- Zamkniemy ją razem ze skrzynią - zdecydował. - Posiedzi tam, aż zmięknie. A jeżeli wciąż jeszcze nie wierzy, że traktujemy tę sprawę poważnie, zobaczy coś, co jej uświadomi, jak bardzo się myli.

73.

To była duża rezydencja, może nawet swego czasu zamieszкана. Choć-
ciaż prawdę powiedziawszy, Debora nigdy wcześniej nie widziała podob-
nego domu. Z wyglądu przypominał bowiem świątynię - grecką świątynię
obłożoną białym kamieniem, wspartą na wysmukłych kolumnach.
Cerniga podejrzewał, że założyciel Atreusza pozostawił organizacji sporą
fortunę zbitą na podejrzanych interesach prowadzonych podczas wojny.
Ten dom został z pewnością zbudowany z jego pieniędzy. Zza
otaczającego posesję ceglanego muru dochodził nieodległy szum ruchu
ulicznego, Debora jednak nie była w stanie się zorientować, z której

- Tę niezwykłą budowlę obmyślił mój wielki poprzednik - oznajmił
Calvin i kuksańcem ponaglił dziewczynę do marszu. - Ten, który pięćdzie-
siąt lat temu wprawił w ruch całą maszynę. Edward Graves. Wspaniały
człowiek i przyjaciel. Był mi niemal ojcem. Żałuję, że nie dożył dzisiejsze-
go dnia. Rezydencja służy zgromadzeniom naszej małej organizacji, ale jej
prawny status jest tak zagmatwany, że nikt nigdy się nie połapie, kto jest
właścicielem nieruchomości.

- Burżuazyjne monstrum - stwierdziła Debora.

- Sam dom jest nieistotny, chociaż też został wzniesiony przez Edwar-
da. To jedynie skorupa.

- Chroniąca co?

- Wkrótce zobaczysz - odparł z ożywieniem, wręcz z ekscytacją.

Niewysokie, kamienne stopnie wiodły do potężnych, dwuskrzydłowych
drzwi. Kiedy Debora weszła na schody, chłopak zaczął układać na nich
prowizoryczną rampę, by wtoczyć skrzynię.

Debora przystanąła, czekając, aż Calvin przekreśli klucz w zamku. Od-
sunęła się od Białego Królika - jego sarkastycznego uśmiešku i pozba-
wionych ludzkich uczuć oczu, zastanawiając się jednocześnie, czy jest

to odpowiedni moment na ucieczkę. Może lepsza byłaby śmierć od kuli na tych schodach niż to, co ją czeka za tymi drzwiami?

- Wchodź do środka - powiedział Calvin i wykonał zapraszający gest ręką, godny osiemnastowiecznego dżentelmena.

Weszli do kwadratowej sieni, a potem dużego holu o podłodze ze szlachetnego drewna. Na ścianach wisiały obrazy: atletyczne, męskie postaci; surowe krajobrazy; studia starożytnej broni. A także czarno-białe, oprawione w ramki zdjęcia klasycznych - bądź stylizowanych na klasyczne - posągów w jakimś muzeum zawieszonym sztandarami ze swastykami, wszystkie datowane na koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku i opisane tylko jednym słowem „Berlin”. Na jednej z fotografii nazistowscy prominenci w galowych mundurach stali zapatrzeni w słynną marmurową rzeźbę przedstawiającą dyskobola.

Tymczasem Calvin, jednym okiem wciąż spoglądając na Deborę i mierząc do niej z pistoletu, odsunął na bok orientalny chodnik, pod którym ukazał się kwadrat z drewna dużo jaśniejszy od reszty podłogi. Bowers odsunął rygle zasuw z brązu i jasny fragment powoli się zapadł, ujawniając kamienną rampę opadającą ku podziemiom budynku.

- Schodź - rozkazał Calvin, wciąż z tym samym, pełnym fascynacji wyrazem twarzy

Debora zerknęła z niepokojem w mroczny otwór. Kamienne bloki, z których postawiono ściany, wydały się jej niepokojąco znajome.

Zebrała się w sobie i weszła na rampę, a Calvin stanął za nią i włączył latarkę o silnym snopie światła. Debora musiała się schylić, gdy przechodziła pod dźwigarem podłogi, a wówczas owiał ją ciepły, domowy aromat drewna, który jednak w miarę schodzenia w dół zaczął ustępować zapachowi wychłodzonej ziemi. Światło latarki tańczyło na kamiennych ścianach i z każdym krokiem robiło się coraz zimniej. Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi, gdy Debora się zorientowała, co jest poniżej.

- O mój Boże - sapnęła.

- Robi wrażenie, prawda?

Ujrzała masywne drzwi pomiędzy czymś na kształt potężnych filarów ułożonych z poziomych, kamiennych bloków. Ponad wielką belką nadproża znajdował się duży trójkąt zakryty kamienną płytą z reliefem przedstawiającym achajskie królewskie lwy. Oto miała przed oczami Skarbiec Atreusza, w samym sercu Atlanty zrekonstruowany w oryginalnej formie, wyciosany z granitu Georgii.

- To dokładna replika oryginału w skali jeden do trzech - powiedział z dumą Calvin. - Przez dziesięć lat wznosiło ją grono zaufanych przedsię-

biorców budowlanych. Bardzo zaufanych. Większość z nich to nasi ludzie. Nie ma jej na żadnych planach tego budynku. Wszystkie służby świata mogłyby przeszukiwać rezydencję od dachu po parter i nikt by tego nie odkrył.

Za jego plecami Biały Królik mozolnie staczał skrzynię po kamiennej rampie.

- Nie bardzo rozumiem - mruknęła Debora. - Sądziłam... już sama nie wiem...

Calvin jedynie rozciągnął usta w tym swoim mdłym uśmiechu, po czym wyjął z kieszeni masywny klucz.

- Wiedziałem, że nie zdołasz tego pojąć - powiedział, przekręcając klucz. Musiał tu być cały system zamków, bo mechanizm puścił w kilku miejscach drzwi. Calvin zaparł się ramieniem i uchylił potężne skrzydło, za którym panowała gęsta ciemność.

- Sądziłeś, że jak zobaczę tę replikę, od razu zrozumiem powagę sytuacji? - spytała, odyskując odrobinę rezonu. - To wszystko jedynie utwierdza mnie w przekonaniu, że jesteś kompletnie obłąkany.

- Nie miałem na myśli grobowca - odparł i otworzył na oścież nabijane ćwiekami drzwi, kierując snop światła latarki ku wnętrzu. - Tylko to.

W środku budowla wyglądała tak samo jak *tholos* w Mykenach - wspaniały przykład cyklopowej konstrukcji, tutaj w nieco bardziej szarym odcieniu, ale z tą samą wysoko wysklepioną kopułą i chłodną pustką wnętrza. Jediną różnicę stanowiły zamocowane w ścianach obejmny na pochodnie i wściekle czerwone chorągwie upstrzone swastykami. Tym jednak, co w tej chwili najbardziej wstrząsnęło Debora, tym co blask latarki wyłonił z mroku i zatrzymał w kręgu światła, było ciało rozciągnięte na ziemi.

Mężczyzna leżał na plecach, z jednym ramieniem wysuniętym przed siebie, jakby w błagalnym geście.

Debora zamknęła oczy i zacisnęła zęby, żeby z jej ust nie wyrwał się szloch.

Nieopodal miejsca, gdzie stała, dostrzegła połamaną fajkę. A więc Marcus podzielił los swojego ojca.

74.

- Zamkniemy cię tu na jakiś czas - oznajmił Calvin. - Sami pójdziemy omówić sytuację, a potem wrócimy i porozmawiamy.

- Zabiliście go w Grecji i przetransportowaliście do tego miejsca? Dlaczego?

Tak naprawdę wcale jej to nie obchodziło. Po prostu chciała odwlec moment, gdy zostanie w tych grobowych ciemnościach sam na sam z ciałem Marcusa.

- Oczywiście, że nie zabiliśmy go w Grecji - odparł Calvin. - Facet przyjechał tu z Europy i zaczął mnie szukać. A nawet znalazł.

- A ty go zabiłeś.

- Naturalnie.

- Ale czemu? - Debora za wszelką cenę starała się opanować drżenie głosu. - Przecież był jedynie entuzjastycznym kolekcjonerem i podobnie jak Richard sądził, że odnalazł szczątki Agamemnona.

- Owszem, tak było - zgodził się Bowers. - Dopóki się ze mną nie spotkał. Jakimś cudem powiązał mnie z moim mentorem, a potem odnalazł ten mały grobowiec, który ostatecznie okazał się jego grobem. Oczywiście tymczasowym.

Uśmiechnął się, rozbawiony.

- Kiedy się rozeznał w mojej... - najwyraźniej szukał odpowiedniego słowa - ...orientacji filozoficznej, rozpoczął poszukiwania w zupełnie innym kierunku. Zanim zdołałem go wytropić, jemu już się udało odkryć coś, o czym ty nadal nie masz pojęcia.

- A mianowicie? - Wciąż jej to nie obchodziło, nadal chciała tylko przedłużyć rozmowę.

- Zorientował się, co kryje skrzynia.

W tym samym momencie Biały Królik dotoczył ją do centralnego punktu komory.

- Już niemal wszystko gotowe - oznajmił.

Umysł Debory pracował na przyspieszonych obrotach. Powinna im powiedzieć, co udało jej się wydedukować. Zaszokować ich swoją wiedzą. Teraz tylko to jedno mogło ją uratować.

- Przecież już ci mówiłam, że ja też zdołałam wszystko odkryć.

- Jasne. Nie wątpię w to ani przez moment - rzucił sarkastycznie.

- Na przykład, wiem doskonale, że jeżeli policja poddałaby twój pistolet testom balistycznym, natychmiast zostałbyś przymknięty i oskarżony o zabójstwo Siergieja Wołoszynowa, byłego agenta MWD, którego zamordowałeś, ponieważ wiedział, co się znajduje w tej skrzyni.

Na moment zamarł, najwyraźniej szczerze zaskoczony. Szybko jednak zaczął się ponownie uśmiechać.

- Chcesz usłyszeć, co jeszcze udało mi się odkryć? - spytała Debora. Czas rzucić wyzwanie jego triumfalnej pysze i pełnemu wyższości milczeniu.

Bowers jednak ją zignorował i zwrócił się w stronę chłopaka gmerającego u spodu skrzyni w poszukiwaniu przewodu. W końcu udało mu się go znaleźć i wsunąć wtyczkę do niewidocznego dla Debory kontaktu. Spod koca popłynął upiorny blask wyostrzający kontury muru z ciosanego kamienia. Jednocześnie, dokładnie nad wiekiem, miękkim światłem rozbłysły reflektory. Biały Królik pocwałował ku ścianie i wpatrywał się w skrzynię z pełnym rewerencji lękiem.

- Oto chwila prawdy - obwieścił Calvin i powoli, w pełnej uszanowania pozie, zsunął koc.

Debora ujrzała zasuszone ciało mężczyzny, zapewne jakoś zakonserwowane, ale mało widoczne z powodu dużej złotej maski i sfatygowanej flagi w kolorze wyblakłej czerwieni, na której widniał czarny, stylizowany orzeł.

- Powinien był zgnić w berlińskim bunkrze - stwierdziła.

Chłopak gwałtownie zwrócił się w jej stronę i przez chwilę wydawało się Deborze, że tym razem posunęła się za daleko. Z ust Calvina nie zniknął jednak pełen satysfakcji, obrzydliwy uśmiešek, którym osadził skinheada w miejscu.

- Nasz wódz wreszcie znalazł się w domu - oznajmił Bowers z błyskiem w oku. - I tym samym misja Atreusza została pomyślnie wypełniona. Sprowadziliśmy doczesne szczątki Adolfa Hitlera do Ameryki i one przyciągną masy. Któż się zdoła oprzeć takiej armii?

A więc naprawdę miała rację. To jej nie ocali, teraz już nie, ale przynajmniej umrze ze świadomością, że zdołała samodzielnie rozwikłać zagadkę.

75.

- Ona od dawna wszystko wiedziała - wysyczał Biały Królik.
 - To nieważne - odparł Calvin, wciąż z tym samym uśmiechem na ustach.
 - Człowieku, musimy pogadać. I to natychmiast.
- Calvin w końcu oderwał nieruchomy wzrok od na wpół zmumifikowanego ciała i przeniósł na twarz chłopaka. Przez chwilę tylko przyglądał mu się w milczeniu, w końcu jednak musiał zdać sobie sprawę z zaniepokojenia małego zbira, bo tylko kiwnął głową i wycofał się z grobowca.
- Zamknij ją - z uśmiechem spojrzął na Deborę. - To naturalnie będzie jedynie tymczasowe miejsce jej pobytu.

Debora usiadła najdalej, jak mogła, od ciała Marcusa, wbiła wzrok w szklane wieko skrzyni znajdujące się tuż pod jedynym źródłem światła w tym pomieszczeniu i zamyśliła się głęboko. Doszła do wniosku, że do tej pory nie zdradzała się z niejasnymi podejrzeniami wobec Calvina w nadziei, że jeżeli on rzeczywiście był poważnie zamieszany w tę sprawę, to może doprowadzi ją do miejsca, w którym są przechowywane szczątki. Cóż, ostatecznie tak się stało, ale teraz już ta wiedza na nic jej się nie przyda.

Ale przecież tak naprawdę to nie był jedyny powód, dla którego ignorowała te podejrzenia...

Ignorowała je, bo gdyby okazały się wydumane...

Gdyby zdołała sobie wmówić, że są wydumane...

...to co? Zamieszkalibyście w małym białym domku z drewnianym płótkiem i szczęśliwie wychowywali statystyczną dwójkę dzieci?

Czyż to nie żałosna ironia losu? Niczym heroina telenoweli odrzuciła wszystkie wewnętrzne rozterki po to, żeby ten związek miał jakieś szanse

powodzenia, a tymczasem jej wybranek (do spółki ze swoim kamratem, Białym Królikiem) zamierzał ją zabić. Będą ją torturować, póki im nie wyzna, że nie powiedziała o niczym federalnym, po czym ją wykończą, a jej krwią spryskają tę ziemię w jakimś quasi-pogańskim rytuale pogrzebowym na cześć rozmiłowanego w marszowym kroku rzeźnika, mordercy milionów. To było niemal śmieszne. Niemal.

Na razie jednak jeszcze żyła, i kiedy tak dumiała nad swoim „związkiem” z Calvinem, wysunęła z tylnej kieszeni wąski pilnik i zaczęła przetrzucać go w palcach. I nagle ją oświeciło. Mozoląc się, przebiła czubkiem pilnika szarą taśmę, po czym zaczęła ją piłować z góry na dół. Wkrótce udało jej się przerwać plastik i uwolnić dłonie.

Podniosła się z posadzki, podeszła do szklanej kopuły skrzyni i zaczęła szukać jej zamknięcia. Znalazła dwa zaczepy, zwolniła je i uniosła szklaną pokrywę. Nie poczuła żadnego odoru - no może poza smużką formaliny - chociaż nie dałaby głowy, czy przypadkiem ten nieznaczący ślad zapachu nie był jedynie tworem jej wyobraźni.

Bez zastanowienia sięgnęła do środka i obiema rękami zdjęła maskę.

Twarz, która się za nią kryła, choć mocno wysuszona i pomarszczona, była niewątpliwie twarzą mężczyzny z niewielkim, szczeciniastym wąsikiem i cienkim czarnym pasmem zaczesanych na bok włosów, spod których przeświecało coś, co wyglądało na ślad po kuli. Oczy trupa były zamknięte, tkwiły w zapadniętych oczodołach.

Iluż ludzi unicestwił ten człowiek? Jak wiele jeszcze mogłoby zginąć z powodu tych na wpół zmurszałych kości?

Zacząła się rozglądać za jakimś luźnym kamieniem, którym w ostatecznym akcie buntu mogłaby roztrzaskać owo monstrum.

A może było inne, lepsze rozwiązanie.

Okrążając powoli skrzynię, zaczęła rozważać swój nowy pomysł. I tak nie miała nic lepszego do roboty. Więc przynajmniej mogła spróbować.

Zajęło jej to kwadrans. Kiedy skończyła, zaczęła ciągnąć za jedyny widoczny elektryczny przewód, aż w końcu oderwała go od ściany i wówczas wszystkie światła pogaśły. Pozostała w ciemnościach. Usiadła, oparta się plecami o zimny, kamienny mur i wsłuchując się w przytłumione pomruki gromu, bezskutecznie próbowała wyłowić wzrokiem z ciemności jakieś kształty. Po kilku minutach usłyszała trzask odskakujących zamków. Poderwała się na nogi i splotła ręce za plecami.

Może to Cerniga...

W drzwiach ujrzała jednak Białego Królika, za którym stał Calvin Bowers.

- Ta suka uszkodziła światło - rzucił chłopak.
- Nie szkodzi - odparł Calvin.
- Nic nie widzę w tych ciemnościach - zaprotestował skinhead, wpatrując się w mrok świdrującymi oczkami.

Debora spostrzegła, że obaj wyglądają na zdenerwowanych, nawet zdjętych lekką paniką, i od razu poczuła się lepiej. Bali się, że mogła jakoś naprowadzić FBI lub policję na ich ślad - na ślad wiodący do tego domu.

- Zmiana planów - oznajmił Calvin. Znowu wydawał się chłodny i opanowany.

Chłopak tymczasem zarzucił koc na szklaną pokrywę skrzyni i zaczął wytaczać ją z kamiennego pomieszczenia, Calvin zaś wyjął pistolet i, uśmiechając się nieznacznie, powiedział:

- Żegnaj, Deboro.

76.

Nie wahała się ani chwili. Gdy tylko zobaczyła wymierzoną w siebie lufę, zaczęła się szybko cofać. Calvin stał dobrze oświetlony i, widząc wyraz irytacji na jego twarzy, Debora zorientowała się, że stracił ją z oczu. Zawahał się, przesunął nieznacznie broń najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a tymczasem Debora bezszelestnie cofnęła się jeszcze o kilka kroków, usiadła i podsunęła kolana pod brodę. Nie odrywając oczu od jaśniejszego prostokąta drzwi i stojącego w nich nieruchomo Calvina, zdjęła but i delikatnie odrzuciła w bok. Wylądował z cichym pacnięciem trzy metry od niej i ten nieznaczny dźwięk wystarczył, by Calvin uznał, że wreszcie zlokalizował cel. Wystrzelił raz, potem jeszcze dwukrotnie, a w zamkniętym, kamiennym pomieszczeniu huk wydawał się ogłuszający.

Debora usłyszała świst rykoszetu i zwinęła się niemal w kłębek, a tymczasem kule odskakiwały od muru.

- Pospiesz się - ponaglił Calvina Biały Królik, bardzo już zniecierpliwiony. - Musimy jechać.

Debora zerknęła spod oka na drzwi, robiąc wszystko, by się przy tym nie poruszyć, na wypadek gdyby oczy Calvina przywykły do ciemności. On jednak wciąż tkwił w tym samym miejscu z uniesionym pistoletem niepewny, czy dosięgnął celu.

Biały Królik, z wysiłkiem toczący skrzynię w górę po rampie, obejrzał się przez ramię.

- Dorwałeś ją? - spytał z niepokojem. - Musisz mi pomóc. Nie ma czasu...

- Już idę. Chyba ją trafiłem.

- Chyba? To wleź tam i się upewnij.

- Żeby przemknęła się obok i wykiwała mnie tak, jak ciebie w Myke-

nach? - rzucił Calvin i w końcu opuścił pistolet. Odwrócił się w stronę chłopaka, a widząc, jak napina mięśnie, Debora doszła do wniosku, że chorobliwie nie znośli, gdy ktoś śmiał mu cokolwiek nakazywać. - W gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia - oznajmił. - Ona i tak jest już trupem.

Jeszcze nie, ty sukinsynu.

Calvin zaczął się wycofywać, a chwilę później zatrzasnęły się ciężkie drzwi i zazgrzytały zamki. Grobowiec ponownie pogrzyżył się w całkowitych ciemnościach.

I co teraz? Nie wydawało się, żeby jej prześladowcy zamierzali powrócić - co ją cieszyło, ale wydawali się przeświadczeni, że nie stanowiła już dla nich zagrożenia - co było niezrozumiałe. Nie chcieli jej zabrać jako zakładniczki, nie chcieli zawracać sobie nią głowy, może więc uznali, że umrze z głodu zamknięta w tym kamiennym grobowcu, mając tylko zwłoki do towarzystwa?

„Ona jest już trupem”, oświadczył Calvin.

Fanfaronada czy rzeczywiście tak uważał?

Poczuła gwałtownie narastający strach. Ile czasu upłynie, zanim Tonya natknie się na perfumy? To był umowny znak - ważny punkt planu, który Debora nagrała jej na sekretarkę. Jeżeli podejrzenia wobec Calvina okazałyby się słuszne, pozostawi jakiś ślad, który nie mógłby ująć uwagi w czasie sprzątanania. Miało to być coś babskiego: smuga szminki na lustrze, kolczyk w widocznym miejscu, rozlane perfumy, które każda kobieta wyczułaby natychmiast po wejściu do budynku. Taki znak był potwierdzeniem, że rozszyfrowała Calvina...

I kolejnym dowodem na to, że znowu spełży na niczym jej wysiłki, aby...

Aby co? Wreszcie stać się subtelną, delikatną kobietą? Nonsens. Przecież nie potrzebuje troskliwego faceta u boku, by dowieść swojej kobiecości.

A przynajmniej tak jej się wydaje.

No i słusznie.

Wszelki żal, że nie będzie już nigdy w życiu flirtować z Calvinem Bowersem, zniknął, kiedy ujrzała wyraz jego oczu, gdy z wyrachowaniem i pogardą nazwał ją Żydowicą.

Niech spłonie w ogniu piekielnym!

A gdyby kiedykolwiek odezwał się w niej żal, że odkryła prawdę, przejrzała tego człowieka, powinna natychmiast wykorzystać ten smutek ze swojego serca, bo takie sentymenty są przeraźliwie cłkliwe, głupie i autodestrukcyjne.

Niech spłonie.

Połowa rodziny jej matki zginęła w krematoriach Oświęcimia z winy ludzi pokroju Calvina Bowersa i przez tę kupę zmurszałych kości, którą za wszelką cenę chciał zachować dla potomności Atreusz.

Niech spłonie.

Dopiero po dłuższej chwili Debora zdała sobie sprawę, że w grobowcu nie jest już tak chłodno jak przedtem, i wtedy uświadomiła sobie, jaką zaplanowali dla niej śmierć. Okrążała powoli pogrążoną w mroku komorę, macając rękami nierówne ściany w poszukiwaniu obłuzowanego bloku, gdy nagle uderzyło ją, że kamień jest ciepły.

W pierwszym momencie sądziła, że to wytwór jej wyobraźni. Ale nie. Im dalej się posuwała, tym wyraźniej wyczuwała, że mur z każdą minutą rozgrzewa się coraz bardziej. W końcu poczuła także dym. Po omacku dotarła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

Dobiegł ją odległy trzask i przerażający hurkot kojarzący się z nadchodzącą falą żarłocznego ognia.

„Ona już jest trupem”.

Wielki Boże!

Dom stał w płomieniach i za chwilę kamienny grobowiec przekształcił się w rozżarzony piec. Na długo przedtem, zanim ogień strawi masywne, cedrowe drzwi, a strażacy zdołają zapanować nad rozszalałym żywiołem, ona będzie martwa - zmumifikowana niczym ciała grzebane bezpośrednio w prażących piaskach Sahary. I na chwilę, na jedną przerażającą chwilę, w ciemnościach kamiennego grobowca ogarnęła ją rozpacz - nie strach czy poczucie bezsilności - ale najprawdziwsza, pustosząca duszę rozpacz. Po czym jak mantra powróciła niedawna myśl...

Niech spłonie.

77.

O, nie! Nie podda się tak łatwo. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Zaczęła walić w drzwi i wzywać głośno pomocy, dopóki paląca suchość w gardle nie przyprawiła jej o mdłości. Powietrze szybko traciło wilgotność i teraz już Debora wyczuwała na języku smak niewidzialnego dymu. Znowu zaczęła się przesuwać wzdłuż ścian, szukać palcami, starając się zapanować nad paniką. Wbijając wzrok w gęstą ciemność, łudząc się, że może za drzwiami pojawi się luna i uda jej się dojrzeć jakąś szczelinę w kamieniach. Ale przecież grobowiec wcinał się głęboko w ziemię, więc nawet gdyby jakimś cudem zdołała usunąć nierówno ciosane głązy z tylnej ściany, natknie się jedynie na tłustą, gliniastą glebę Georgii.

Myśl!

Zastanowiła się nad możliwością wspinaczki, ale kształt *tholosu* absolutnie to wykluczał. A nawet jeżeliby jej się udało sięgnąć szczytu kopuły, i tak nie miałyby jak się wydostać. Na dodatek na górze powietrze jest gorętsze, bardziej przesycone dymem, szczególnie jeżeli cała znajdująca się nad grobowcem konstrukcja stała już w płomieniach.

Piekielna kokilka. Nawet jeżeli nie dotrze tu ogień, i tak się upieczesz.

Tonya natknie się na perfumy dopiero rankiem, ale choćby w tej sekundzie odkryła roztrzaskany flakon, i tak policja nie wiedziałaby, gdzie szukać Debory.

Myśl!

Problem w tym, że myślenie czy logika na niewiele się zdadzą. Ona sama nie mogła się stąd wyrwać i wszcząć alarmu. Nie mogła nikogo poinformować o swoim położeniu. Bez wątpienia w końcu zjawi się straż pożarna, ściągnięta przez zaniepokojonych sąsiadów - o ile tu w ogóle są jacyś sąsiedzi - ale jej to już nie pomoże.

Najgorętsze wydawały się bloki otaczające drzwi i Debora instynktownie się od nich odsunęła. Ale przecież to oczywiste, że one rozgrzewały się najszybciej - płonęła cała rezydencja, płonęły piwnice, natomiast tył grobowca wrzynał się w ziemię i skalę. Co nie zmieniało faktu, że Debora znajdowała się w kamiennym piecu. Pewnie przeżyłaby nieco dłużej w tylnej części komory, ale to jedynie różnica kilku minut.

Nagle uderzyła ją pewna myśl.

„To dokładna replika oryginału”. Tak powiedział Bowers.

W jaki sposób ta informacja mogłaby jej pomóc?

W żaden. *Tholos* to kamienna konstrukcja kopułowa z drewnianymi drzwiami, których ogień jeszcze nie zdoła strawić, gdy z niej już dawno pozostanie skwarka.

Ale zaraz. Te budowle odznaczają się pewnym charakterystycznym elementem.

Pobiegła z powrotem w stronę drzwi i przylgnęła do nierównych, mocno rozgrzanych bloków.

To szaleństwo. Wracaj do tyłu. Tam jest chłodniej!

Zaczęła po omacku szukać oparcia dla rąk i nóg.

Wspinaczka wydawała się niemożliwa z powodu wklęsłego, kopułowego kształtu budowli.

Ale zaraz, do wysokości trzech metrów mur jest niemal pionowy. Trzeba się tylko trochę wydzwignąć.

Wymacała palcami płytką niszę i zaczęła się podciągać w górę. Powoli oderwała od ubitej ziemi najpierw jedną, potem drugą stopę i próbowała szukać kolejnego występu w cyklopowych blokach. Bez skutku.

Opadła na ziemię, krztusząc się i kaszląc.

To się nie uda.

Przesunęła się na drugą stronę drzwi, dużym łukiem omijając leżące nieopodal zwłoki.

Ponownie zaczęła sprawdzać nierówny mur i znowu się wydzwignęła. Tym razem znalazła oparcie dla stóp i weszła na tyle wysoko, by dosięgnąć nadproża. To ześlizgując się, to wdrapując w górę, zdołała chwycić za kanciasty brzeg belki. Przez chwilę wisała na jednym ręku, w końcu jednak złapała się i drugą. Wiedziała jednak, że jeżeli nie uda jej się podciągnąć gwałtownym podrzutem - to spadnie.

Kant nadproża ostro wbijał się jej w dłonie, ale szczęśliwie manewr się powiódł.

Belka miała mniej więcej pół metra szerokości - akurat tyle, by Debora mogła przykucnąć przed płytą osłaniającą trójkąt odporowy. Dotknęła jej dłonią - była gorąca.

- Powiedziałeś, że to dokładna replika, sukinsynu - mruknęła pod nosem. - Zaraz się przekonamy.

Powoli, ostrożnie zaczęła się podnosić, mocno trzymając się wystających bloków po obu stronach dużego trójkąta. Krzywizna kopuły sprawiała, że Debora stała mocno odchylona do tyłu. Mimo to uniosła nogę, by z całej siły kopnąć kamienną płytę, od drugiej strony ozdobioną reliefem wyobrażającym dwa lwy.

- Replika - prychnęła. - W skali jeden do trzech.

To oznacza, że płyta nie powinna mieć więcej niż jakieś dwa i pół centymetra grubości, bo przecież trójkąt odporowy zapobiega zbyt dużemu naciskowi na nadproże...

Cóż, zaraz się przekonamy...

Kopnęła najmocniej, jak mogła.

Poczuła tak straszny ból kości podudzia, że aż wrzasnęła. Zachwiała się, na moment utraciła równowagę i niewiele brakowało, by spadła.

Mimo to kopnęła raz jeszcze, krzycząc przy tym na całe gardło, a po chwili znowu, z całym impetem, zdając sobie sprawę, że ryzykuje złamanie kości.

Kość pozostała cała, za to w płycie pojawiła się nieznaczna rysa. Debora uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Jeszcze dwa kopniaki i rysa przerodziła się w grube pęknięcie. Po trzecim kopniaku Debora zobaczyła światło - czerwone, migotliwe, wzbudzające lęk. Ale rozjaśniające ciemność.

Ponownie uklękła i teraz zaczęła walić w płytę dłońmi. Pojawiły się kolejne, zygzakowate pęknięcia, a wraz z nimi pomarańczowy blask przywodzący na myśl lawę spływającą nocą po zboczu wulkanu. Jeszcze jedno uderzenie i powstał otwór wielkości jej głowy. Uskrzydłona, zaczęła uderzać pięściami w kamień, aż w końcu płyta pękła i dwie trzecie trójkąta rozpadło się w kawałki, które z hukiem uderzyły o posadzkę po drugiej stronie.

Teraz już mogła się precyzyjnie przesuwać przez otwór, chociaż poważnie się zawałała, gdy ujrzała szalejący ogień. Wyglądało to tak, jakby drewniana konstrukcja podpiwniczenia płonęła. Jeszcze trochę, a całość się zawali. Czy *tholos* przetrwa ten kataklizm, trudno było powiedzieć. Debora zerknęła po raz ostatni na komorę grobową, oświetloną teraz migotliwym blaskiem ognia, po czym wygramoliła się na zewnętrzny występ nadproża.

Poczuła żar na skórze. Przykucnęła, zwróciła się twarzą w stronę ognia i ostrożnie zaczęła się opuszczać na rękach, po czym opadła w dół i potoczyła się po podłodze, by nie obciążać niebezpiecznie kolan i kostek.

Jedynie kamienna rampa nie stała w płomieniach. Debora zrozumiała, że do tej pory pozostała przy życiu tylko dlatego, że znajdowała się bardzo głęboko - daleko od najgorszego ognia i dymu, ale teraz będzie musiała wejść na górę i przedrzeć się przez żywioł do wyjścia. Opuściła nisko głowę i poderwała się do biegu. Z każdym krokiem temperatura rosła w postępie geometrycznym. Na kłapie zamykającej rampę była mała dźwignia. Debora ją pociągnęła i kłapa zjechała w dół przy akompaniamencie głośnego poświstu, gdy wysrane z dołu powietrze podsycało łakome płomienie.

Debora wyrzała zza kłapy. Żar skręcił pasemka jej włosów. Korytarz, którym tu wcześniej szła, był jedną wielką ścianą ognia. Ta droga ucieczki została odcięta. Jeżeli jednak zostanie tutaj, nie będzie już mowy o jakiegokolwiek ucieczce. Nie zastanawiając się wiele, wypełzła do holu i zgięta wpół pobiegła przed siebie pomiędzy płonącymi ścianami, zasłaniając usta brzegiem koszuli i starając się oddychać jak najpłycej.

W pewnym momencie ujrzała drzwi i złapała za klamkę. Klamka była tak rozpalona, że Debora najpierw usłyszała, jak skwierczy skóra jej dłoni, a dopiero potem poczuła straszny ból. Odskoczyła gwałtownie i pobiegła dalej, krztusząc się i parszcząc. Klamka kolejnych drzwi była chłodniejsza, kiedy je jednak otworzyła, zobaczyła szafę. Opadła na kolana i zbliżyła twarz do podłogi, by odetchnąć mniej gorącym, mniej zadymionym powietrzem. W porównaniu z tym, co wdychała przed chwilą, miała wrażenie, że chwyta ustami hausty orzeźwiające jak woda z górskiego potoku. Szybko poderwała się jednak na nogi i popędziła przed siebie. Zobaczyła załom, a za nim - kolejne drzwi. Drzwi prowadzące na zewnątrz!

Rozległ się ogłuszający trzask i w snopie iskier zawałiła się część stropu. Debora pochyliła głowę i rzuciła się ku wyjściu, w tym samym momencie gdy belka, pod którą stała jeszcze przed sekundą, eksplodowała, jakby ktoś nafaszerował ją dynamitem.

Wreszcie drzwi, mnóstwo parzących, idiotycznych zasuw, aż w końcu chłodne, wilgotne powietrze nocy.

Debora biegiem wypadła na szerokie schody oświetlone nie tylko ogniem szalejącym za jej plecami, ale także światłami trzech strażackich wozów. Członkowie ich załóg właśnie podłączali węże do hydrantu i na jej widok rozdzielili usta ze zdumienia. Gdy pierwszy z nich rzucił się w jej stronę z aparatem tlenowym, usłyszała, jak inny wykrzykuje:

- Powiedzieli nam, że nikogo nie ma w środku! Powiedzieli...

- Czy ktoś jeszcze został w budynku? - spytał strażak z aparatem, pomagając jej zejść ze schodów i tuląc ją w ramionach niczym niemowlę. Debora poczuła niewymowną wdzięczność, bo nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Oparła się o mężczyznę całym ciężarem.

- Ktoś? - wymamrotała oszołomiona.

- Czy ktokolwiek jest jeszcze w środku? - powtórzył cierpliwie. - Nie jesteśmy w stanie opanować tego pożaru. Poczekamy, aż wszystko się wypali. Będziemy tylko prowadzić działania zapobiegające rozprzestrzenianiu się ognia. Proszę mi więc powiedzieć - tam nie ma już nikogo?

Zawahała się na moment, po czym pokręciła głową.

Niech spłonie.

78.

Debora spędziła noc w Grady Memorial Hospital, gdzie na wszelki wypadek zatrzymano ją na obserwację. Przez jakiś czas leżała w masce tlenowej, podczas gdy pielęgniarki opatrywały jej rozliczne skaleczenia, oparzenia i stłuczenia. W końcu, o świcie, po paru godzinach niespokojnego snu, doszła do siebie na tyle, że postanowiono ją wypuścić do domu.

Punktualnie o szóstej rano pojawił się Cerniga z Keene'em u boku.

- Pracowita noc? - spytał agent.
- Dość przeciętna - rzuciła lekkim tonem.
- Zechce mi pani o tym opowiedzieć?
- Nie tutaj. Na moim gruncie.
- W domu?
- Nie. W muzeum.

O tej porze nie było jeszcze korków, więc w niecałe dwadzieścia minut dotarli na miejsce.

- Możemy porozmawiać w pokoju Richarda? - poprosiła.
- Jasne - odparł Cerniga. - A dlaczego?
- Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Może żeby zakończyć wszystko tam, gdzie się zaczęło.

Cerniga usiadł za biurkiem i rozłożył na blacie swój notes. Debora wybrała fotel zwrócony tyłem do półek z książkami, starając się ignorować ból poparzonych, poowijanych bandażami ramion i dłoni. W szpitalu zastosowano różne maści i kremy, ale i tak miała wrażenie, że jej skóra jest jak bibuła - cienka i nadwrażliwa, piekła ją przy najlżejszym powiewie powietrza. Keene stał nieopodal z bardzo zawstydzoną miną.

- Bo rozumiem, że sprawa jest już zakończona? - podjęła Debora.
- Tak, śledztwo dobiegło końca - odparł Cerniga. - Różne biurokra-

tyczne procedury będą się jeszcze ciągnąć miesiącami, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby panią od nich uwolnić.

- Jest pan pewien, że to on był sprawcą?

- Bowers? Tak, bez wątpienia. Odnaleźliśmy furgonetkę: płonęła w kanale odpływowym w pobliżu Virginia Highlands.

- Wypadek?

- Trudno powiedzieć. Wygląda raczej na celowe podpalenie.

- Podpalenie?

- Składanie w ofierze własnego życia, pozowanie na męczennika umierającego za ideologię jest dość popularne wśród tych ludzi. Chociaż nie bardzo pojmuję, czemu się do tego posunęli, skoro udało im się zbiec z tym, na czym im tak bardzo zależało. We wraku znaleźliśmy dwa ciała. Jeden z zabitych to niewątpliwie ten wytatuowany skinhead, o którym pani już nam wspominała. Drugi - kierowca - to najprawdopodobniej Calvin Bowers. Do pełnej identyfikacji potrzebne nam będzie badanie uzębienia, ale myślę, że bezpiecznie możemy tak założyć. W skrzyni znajdującej się z tyłu furgonetki były jeszcze jedne zwłoki. Czy mam rozumieć, że to szczątki, o których nam pani opowiadała?

- Nie. Bo widzi pan, oni nie odjechali z tym, na czym im zależało. Pewnie dlatego spalili furgonetkę i popełnili samobójstwo. Te zwłoki to ciało Marcusa. Zamieniłam zwłoki, tamte zostawiłam w grobowcu Atrousza, aby pochłonał je ogień. Gdy odjeżdżali, tak bardzo się spieszyli, że się nie zorientowali, co zabierają. Ale zapewne wkrótce odkryli prawdę.

Keene gwizdnął cicho, a Cerniga zerknął na nią spod oka. Nie powiedział ani słowa, ale widać było, że jest pod dużym wrażeniem. Debora szybko odwróciła wzrok. Nie chciała jego podziwu ani litości. Teraz marzyła tylko o tym, by to wszystko wreszcie się skończyło.

- Czy zachowała się złota maska?

- W obecnym stanie nie nadaje się do wystawienia, bardzo mi przykro.

- Nie ma o czym mówić. Marcusowi odpowiadałaby taka forma pogrzebu: spalony na stosie jak Homerowy bohater, do tego w masce Agamemnona. - Uśmiechnęła się smutno. - Lub czymś w tym rodzaju.

- Wie pani, kiedy Niemcy zaatakowali Grecję, Hitler osobiście zakazał bombardowania Aten - powiedział Cerniga. - Uważał, że to jego duchowa ojczyzna. Niektórzy utrzymują, że druga wojna światowa była wojną współczesną pod względem technologicznym, natomiast starożytną ze względu na wyznaczone cele.

- Unicestwienie wroga - mruknęła Debora. - Starcie z powierzchni ziemi obcych miast, kultur, ludów uznanych za „niższą rasę”.

- Zbyt wysokie cele dla Atreusza, biorąc pod uwagę fakt, że grupa zrzeszała zaledwie paru członków - zauważył Cerniga. - Zapewne to wy-
nik obsesyjnego utajnienia i paranoi. Ostatecznie przy takich założeniach
trudno prowadzić rekrutację przed Wal-Martem. Niemniej ewidentnie
dysponowali wielkimi pieniędzmi.

- Pozostawiony przez Gravesa, dawnego żandarma?

- Tak. Udało mu się zbić niezłą fortunę pod koniec wojny we Francji
i zrobił z niej dobry użytek po powrocie do Stanów. Był wyjątkowo zdol-
nym finansistą i biznesmenem. Do tego bardzo szanowanym.

Debora westchnęła znużona. Nie widziała w tym nic paradoksalnego.

- Teraz, kiedy wiemy, kto był przywódcą Atreusza, bez trudu uzyska-
my dostęp do jego kont bankowych - powiedział Cerniga. - Zapewne się
okaże, że Calvin Bowers był niezwykle majątnym człowiekiem. Żeby zor-
ganizować przedsięwzięcie na taką skalę, trzeba dysponować potężnymi
sumami pieniędzy.

Debora ponownie odwróciła wzrok. Musiała przyznać w duchu, że
przez chwilę była zafascynowana Calvinem - jego pewnością siebie i ota-
czającą go aurą władzy. Teraz się tego wstydziła. Zawsze sądziła, że już
dawno temu uodporniła się na podobne atrakcje.

Może na coś takiego nie sposób się uodpornić. Dlatego trzeba się ca-
ły czas mieć na baczności...

- Kiedy poszła pani zobaczyć się z Bowersem - w jej myśli wdarł się
głos Cernigi - czy już pani wiedziała?

- O czym? - Zesztywniała pod jego uważnym spojrzeniem.

- Że to on zamordował Richarda?

Przez chwilę milczała, po czym zerknęła w inną stronę i przecząco po-
kręciła głową.

Cerniga i Keene w końcu sobie poszli, Debora natomiast pozostała
w fotelu, rozmyślając o Marcusie, Richardzie, a nawet o Calvinie. Z po-
czątku sądziła, że maska Atreusza to tylko kawałek odpowiednio ufor-
mowanej złotej blachy pokrywającej twarz starożytnych szczątków ludz-
kich. Ale się myliła. Maską Atreusza to twarz, którą ludzie tacy jak Calvin
na co dzień pokazują światu - nieustanne kłamstwo, którym mogą się za-
słonić, zdystansować od bliźnich, pokryć strach i nieufność rysujące się na
ich prawdziwych obliczach. Jak wiele takich Calvinów jest jeszcze w Geor-
gii, w całej Ameryce - pozornie wiodących normalne życie, a tak napraw-
dę pełnych nienawiści i pogardy dla innych, dążących do tego, by zmieść
z powierzchni ziemi wszystkich, którzy nie są tacy sami jak oni i nie wy-

znają ich wartości? Ta myśl ją zmroziła i przygnębiła - miała wrażenie, że jej wnętrze ścisnęła niewidzialna dłoń w stalowej rękawicy wojownika.

Dzieci i ich ojcowie.

Tu tkwiło sedno sprawy. Ona i jej ojciec. Tonya, Marcus, Aleksandra i ich ojcowie. W pewnym, mniej dosłownym sensie Richard. Może nawet Graves i Calvin - faszystujący podoficer żandarmerii, który zaszczerpił w swym protegowanym idee Atreusza. I sam mityczny Atreusz oraz Agamemnon i Orestes, który z zemsty za śmierć ojca zabił swoją matkę morderczynię... Priam i Hektor. Niezliczone - i dla niej bezimienne - ofiary obozów śmierci, zarówno rodzice, jak i dzieci. Klątwa rzucona na Atreusza skazała jego ród na wzajemne mordy i akty krwawej zemsty. Kiedy teraz w ciszy rozmyślała nad tym wszystkim, zrozumiała, że owa klątwa rozprzestrzenia się jak pożar, jak zaraza zatruwa każdego, kto znajdzie się w jej kręgu.

Sięgnęła po książkę, którą czytała poprzedniego dnia: „Powstanie i upadek hitlerowskich Niemiec”.

Calvin nie żył. Wolał śmierć niż życie ze świadomością porażki. Oczywiście trzeba będzie jeszcze poczekać na badania dentystyczne. Jednak kto inny mógłby się znajdować w owej furgonetce? Atreusz - dumna organizacja zrzeszająca dwóch członków. Jakże to żalosne. Niemniej ładunek nienawiści, jaki nieśli, mógł się okazać prawdziwie zabójczy.

Nagle uderzyło ją pewne wspomnienie.

Dwóch? Ależ skąd. Przecież był tam jeszcze ktoś trzeci - chłopak, którego zauważyła siedzącego w wanie, tuż przedtem zanim zawieźli ją do kamiennego grobowca...

A to znaczy...

Musi natychmiast zadzwonić do Cernigi. Już miała sięgnąć po słuchawkę, gdy usłyszała charakterystyczne kliknięcie sekretnego mechanizmu - półki z książkami zaczęły się przesuwać w stronę pokoju.

79.

Niemożliwe, żeby w pomieszczeniu za półkami panowała dużo niższa temperatura niż w pozostałej części pokoju, więc lodowaty podmuch, jaki ją niespodziewanie owiał, musiał być wytworem jej wyobraźni.

- Witaj, Calvinie - powiedziała, nie odwracając głowy.

Energicznie podszedł do drzwi i przekręcił zamek. Był wymizerowany, a jego chłodne opanowanie gdzieś zniknęło. Miał na sobie garnitur o wiele bardziej wymięty, niż wymagały tego kanony mody. Zaschnięta na twarzy, krew mieszała się z sadzą i jakimś smarem. Szytylet kołysał się luźno zawieszony na nadgarstku, jakby Bowers zapomniał, że ma go przy sobie. Potargane włosy i nieobecny wzrok wytwarzały jakąś niepokojącą aurę nieobliczalności.

- Nie dziwisz się, że mnie widzisz?

- Nieszczerólnie - odparła. - Ten spektakl ze skradaniem się za moimi plecami idealnie się wpisuje w twoją poetykę. Właśnie czytam coś na temat nazistowskiej ideologii i estetyki: ludobójstwo drogą do piękna i czystości. To byłoby śmieszne, gdyby nie było tak obrzydliwe. Przypuszczam, że policjanci znajdą kule w ciałach, które zostawiłeś w furgonetce?

- Niestety, moje ostatnie. Chociaż jak użyję tego cacka... - nagle przypomniał sobie o sztylcie -...zadośćuczynię sprawiedliwości i dochowam wierności pewnej drobnej tradycji.

Spojrzała na sztylet, ale nie odezwała się słowem.

- Wymierzę ci sprawiedliwość - ciągnął, podchodząc bliżej - za to, co zrobiłaś wczorajszej nocy. Za to, jak zbezczęściłaś...

- Umiłowanego fuhrera? - rzuciła z pogardą. - Wreszcie spotkał go zasłużony koniec. A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? To, że ty sam podpaliłeś stos.

- Zamknij się - warknął, unosząc sztylet.
- Wy doprawdy jesteście kretynami. Supremacja białych? To po prostu śmieszne.
- Zamknij się, ty Żydowico! - wrzasnął.
- Nic z tego, co powiesz, nie zdoła mnie dotknąć, infantylny palancie - rzuciła, podrywając się z fotela. - Te wasze sztandary, hasła, idiotyczne, niedowarzone idee...

Podskoczył ku niej rozjuszony, a wówczas ponownie zadziałała najpierwotniejsza część jej mózgu i Debora podjęła walkę. Nie drapała, nie wymachiwała rękami, ale zwinęła dłoń w pięść i huknęła go prosto w twarz. Bowers szybko ją unieruchomił, niczym klinczujący przeciwnika bokser, uniemożliwiając wyprowadzenie kolejnego ciosu. Debora więc zmieniła taktykę - uniosła kolano, by kopnąć go w krocze, on jednak przejrzał jej zamiary, odskoczył w lewo i jednocześnie pchnął ją tak mocno, że upadła na łóżko. Rzucił się na nią, przyszpilił jej ramiona i uniósł do góry sztylet.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Panno Miller?

To był głos Tonyi. Calvin oniemiał, po czym przycisnął dłoń do gardła Debory. Próbowwała się wyrywać, a wtedy przyłożył jej do szyi nóż.

- Właśnie przyszłam i pomyślałam, że może tu panią znajdę.

Na usta Calvina wypełził obrzydliwy uśmiezek.

- Ona o niczym nie ma pojęcia - wyszeptał i ku zdumieniu Debory wykrzyknął: - Daj nam dwie chwile, dobrze, Tonyu? W tym momencie jesteśmy oboje... nieprzygotowani na podjęcie gości.

- Och, bardzo przepraszam, panie Bowers - rzuciła Tonya zażenowanym tonem. - W takim razie przyjdę później.

- Doskonale - wykrzyknął.

Nie! Nie odchódź! Wracaj!

Przez chwilę wsłuchiwał się w panującą za drzwiami ciszę, a potem uśmiechnął się tym samym lubieżnym uśmiechem, który widziała poprzedniego wieczoru.

- Zdążymy jeszcze raz skosztować nasz związek.

- Nie sądzę.

Tak właśnie pomyślała Debora, jednak nie ona wypowiedziała te słowa. Zrobiła to za nią Tonya.

Stała tuż za Bowersem. Calvin odwrócił się i próbował podnieść, ale w tym samym momencie czarnoskóra kobieta uderzyła go zabytkowym, kamiennym tomahawkiem w głowę. Nieprzytomny powoli osunął się na

ziemię, Debora zaś usiadła na łóżku, trzymając się za szyję i łapczywie chwytając ustami powietrze.

- Jak na barbarzyńską broń działa całkiem nieźle - zauważyła Tonya. Debora zaniemówiła ze zdumienia, a przyjaciółka posłała jej znaczące spojrzenie.

- Błagam, powiedz, że nie rozbiłaś tych perfum przypadkowo.

80.

Dwa miesiące później

Przyjęcie dla sponsorów dobiegało końca. Zaserwowane przekąski pod każdym względem przewyższały te podane poprzednim razem i właśnie pracownicy firmy Smak i Elegancja pilnie - by nie powiedzieć ostentacyjnie - zabrali się do porządków. Deborze zaś pozostało jeszcze tylko jedno do zrobienia: wygłoszenie ostatniego toastu.

Weszła na podium i zerknęła w stronę kwartetu smyczkowego. Muzycy przeszli do pianissimo, po czym umilkli i ochoczo wykorzystali wolną chwilę, by zaspokoić pragnienie. Debora tymczasem powiodła wzrokiem po twarzach licznie przybyłych gości, a potem spojrzała na stojącą z tyłu Tonyę, która natychmiast uśmiechnęła się promiennie. Ktoś zastukał delikatnie łyżeczką o brzeg kieliszka i umilkły rozmowy.

- Miło nam państwa gościć, panie i panowie - rozpoczęła Debora, a wówczas już na dobre zapadła cisza. - Nie zamierzam psuć nikomu wieczoru długą przemową, uznałam jednak, że powinnam przekazać państwu kilka informacji. Po pierwsze, w imieniu naszego muzeum chciałam wszystkim gorąco podziękować za obecność na dzisiejszej uroczystości oraz za pomoc i życzliwość okazane w tych ostatnich, jakże trudnych tygodniach. Państwa wsparcie - zarówno duchowe, jak i finansowe - jest dla nas niebywale cenne, zrobimy więc wszystko, co w naszej mocy, by osiągnąć zamierzone cele.

Rozległy się grzecznościowe oklaski, które Debora przyjęła uśmiechem i kurtuazyjnymi skinieniami głowy.

- Korzystając z okazji, chciałabym przedstawić jednego z nowych pracowników muzeum - podjęła po chwili. - Tonya Mulligrew co prawda dołączyła do nas parę miesięcy temu, jednak obecnie powierzono jej zupełnie inne zadanie. Została menedżerem do spraw wizerunku - zajmie się

naszym PR, a więc kontaktami z prasą i szeroko pojętym odbiorcą sztuki, przejmie również wszelkie obowiązki, które uda mi się zrzucić na jej barki. Panie i panowie, powitajmy Tonyę!

Wszyscy posłusznie odwrócili się do tyłu, a Tonya - uśmiechając się skromnie - uniosła dłoń z miną uczniaka-winowajcy. Na dzisiejszym przyjęciu pojawiło się znacznie więcej osób niż zazwyczaj, a to, że znajdowało się wśród nich dużo twarzy o zróżnicowanym kolorze skóry - o czym Debora i Richard zawsze marzyli, a czego, mimo najszczerzych chęci, nigdy nie zdołali osiągnąć - było pierwszym spektakularnym sukcesem Tonyi.

- Chciałabym również ogłosić, że w najbliższym czasie organizujemy dwie nowe wystawy. Pierwsza będzie ekspozycją stałą poświęconą czarno-skórym niewolnikom w dziewiętnastowiecznej Georgii - fascynującym i poruszającym studium spuścizny Afroamerykanów, na które złożą się wytwory kultury materialnej, a także fotografie i inne dokumenty szczegółowo opisujące dzieje czarnej społeczności: handel niewolnikami w Afryce, gehennę podróży na statkach niewolniczych, warunki życia na plantacjach oraz fenomen „Podziemnej Kolei”*. W ramach wystawy, w specjalnie do tego celu wybudowanym audytorium, będzie także prezentowany pełnometrażowy, edukacyjny film dokumentalny. Mamy również nadzieję, że uda nam się pozyskać wartościowe eksponaty z małych, niedofinansowanych muzeów oraz archiwalia z prywatnych kolekcji, pozwalające na przedstawienie jak najpełniejszego obrazu Atlanty z lat poprzedzających Deklarację Wolności.

Nastąpiły kolejne oklaski - tym razem długie i gromkie.

- Druga, czasowa ekspozycja - planowana na pierwszy kwartał przyszłego roku - będzie niepowtarzalną okazją zapoznania się ze sztuką przedhelleńską Grecji. Dzięki uprzejmości Dimitriego Popadreusa, dyrektora Narodowego Muzeum Archeologicznego w Atenach, Druid Hills będzie pierwszym nieeuropejskim ośrodkiem kulturalnym, w którym zostaną wystawione zabytki egejskiego kręgu kulturowego - mykeńskie złoto, brązy i ceramika. Będzie to wydarzenie na skalę ogólnie

narodową, jesteśmy więc zachwyceni, że to nam przypadł w udziale ten zas Kolejne burzliwe oklaski.

* „Underground Railroad” - doskonale zorganizowany łańcuch ludzi dobrej woli pomagających zbiegłym z Południa niewolnikom w przedostaniu się do stanów Nowej Anglii, gdzie zniesiono niewolnictwo już w drugiej połowie XVIII w.

Udostępnienie owej kolekcji było nadspodziewanie hojną formą podziękowania za szczerość intencji Richarda oraz dyskrecję i takt Debory. Popadreus zadzwonił niespodziewanie zaledwie trzy dni wcześniej, a jego ciepły, miękki głos wydawał się echem starożytnej świetności. Deborę do łez wzruszył jego gest. W głębi duszy była przekonana, że Richard chętnie oddałby życie za możliwość przybliżenia mieszkańcom Georgii kultury, która stała się inspiracją dla dzieł Homera.

- Na koniec chciałabym wnieść toast za człowieka, bez którego to wszystko nie byłoby możliwe; za człowieka, którego tak bardzo nam wszystkim brakuje dzisiaj wieczoru...

Głos jej się załamał. Ponownie otworzyła usta, potem zmusiła się do uśmiechu, a tłum czekał - cierpliwy, pełen zrozumienia. Jednak Debora nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Na dzisiejszą uroczystość przygotowała kilkuminutowe wspomnienie o Richardzie, by podkreślić, jak wiele znaczył dla lokalnej społeczności i dla niej osobiście. Zamierzała przytoczyć kilka anegdot obrazujących jego determinację promowania sztuki, poczucie humoru, zdolność do empatii. Przez pół nocy obmyślała, jak - w najlepszej formie - wyrazić swoją miłość do nieżyjącego mentora, a tymczasem w krytycznym momencie głos ją zawiódł.

- Przepraszam - to wszystko, na co zdołała się zdobyć.

Próbowała jeszcze zapanować nad sobą, dorzucić choćby kilka zdań, powiedzieć cokolwiek, jednak niespodziewanie z jej oczu popłynęły łzy i potoczyły się strumieniem po policzkach.

Zanim obraz rozmył się jej przed oczami, instynktownie poszukała wzrokiem Tonyi i ujrzała, jak przyjaciółka w milczeniu podnosi kieliszek. Debora natychmiast uczyniła to samo, mówiąc:

- Panie i panowie, za Richarda Dixona.

- Wzruszająca przemowa - oznajmił Harvey Webster. - Nie sądziłem, że jest pani do czegoś takiego zdolna.

- Harvey, muszę przyznać, że ma pan niezwykle talent do wygłaszania dwuznacznych komplementów - odparła Debora z uśmiechem.

Jeszcze pięć minut, a wszyscy się wyniosą. Pięć minut - i będzie mogła jechać do domu, wyspać się, a nazajutrz wrócić do jako takich pozorów normalnej pracy. Musi jeszcze tylko znieść tych pięć ostatnich minut protekcjonalności i pikantnych aluzji.

- Jest jeszcze jedna rzecz warta publicznego ogłoszenia, uznałem jednak, że lepiej będzie, jeżeli przekażę pani tę nowinę na osobności.

Debora zeszywniała.

Rada nadzorcza podjęła jakieś działania, aby cię usunąć ze stanowiska, albo postanowili radykalnie obciąć fundusze, czy też...

- Słucham pana. - Pociągnęła łyk martini, żeby ukryć zdenerwowanie.

- Liga Chrześcijańskich Biznesmenów podjęła decyzję o samorozwiązaniu - oznajmił Webster. - Uznaliśmy, że nasza misja się wyczerpała. A w ramach ostatniej akcji charytatywnej postanowiliśmy przekazać na rzecz muzeum bardzo pokaźną sumę.

- To niezmiernie hojny dar - odpowiedziała Debora, czując, jak ogarnia ją ulga. Kiedy Liga przestanie jej siedzieć na karku, zyska niebywałą swobodę decyzyjną, a przy okazji uwolni się od poczucia winy, które ogarniało ją za każdym razem, gdy przyjmowała czek od owych dzentelmenów. Jednocześnie zrodziło się w niej pewne podejrzenie - podejrzenie, które z dość marnym skutkiem usiłowała w sobie zdusić.

- Przynajmniej tyle mogliśmy uczynić - odparł Webster, rozciągając w uśmiechu swoje wilgotne, obmierzłe usta.

- Niemniej to intrygujące, że akurat teraz zdecydowali się panowie na ten krok - wypaliła w końcu.

- Doszliśmy do wniosku, że to najważniejszy moment. - Beznamiętnie spojrzął jej w oczy.

- FBI sądzi, że Atreusz miał ściśle powiązania z legalnie funkcjonującym biznesem - rzuciła *ad hoc* Debora. - Uważają, że ta mała grupa była jedynie fanatycznie zideologizowaną jednostką do zadań specjalnych, działającą z polecenia o wiele szacowniejszych obywateli, podzielających poglądy o wyższości białej rasy.

- Doprawdy? Osobiście nigdy nie słyszałem o owej „jednostce”.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię. Ostatecznie mówimy o swego rodzaju komórce terrorystycznej. Wydawało nam się, że dysponuje ona bronią o niezwyklej sile destrukcji, ostatecznie jednak okazało się, że to broń ideologiczna.

- Doprawdy? - Wciąż się uśmiechał i okazywał kurtuazyjne zainteresowanie, umiejętnie prowadząc grę pozorów. - Mówiła pani, że nazwa tej grupy brzmiała Atreusz? To zdaje się z łaciny?

- Z greki - odparła, również obdarzając go uśmiechem. - Potomkowie Atreusza dopuszczali się niewyobrażalnie barbarzyńskich aktów wobec członków własnej rodziny; nałożona na niego klątwa skazała całą jego progeniturę na prowadzenie bezsensownych wendet i śmierć z ręki małżonków lub dzieci. Ponieważ uosabiał przemoc i nienawiść, a jednocześnie był istotną postacią dla kultury heroicznej Grecji, stał się ikoną neonazistów, symbolem tego, do czego dążyli, i metod, jakie za-

mierzali stosować - szczególnie w odniesieniu do osób takich jak ja czy Tony a.

- Nieprawdopodobne - uznał Webster.
- Również tak uważam.

Niespodziewanie jego uśmiech stał się lodowaty.

- Tacy ludzie jak pani zawsze będą szukać jakiejś sprawy, za którą warto walczyć, rozglądać się za złem wymagającym naprawy.

- Boże, mam nadzieję, że ma pan rację.
- Krucjaty bywają niezmiernie kosztowne - rzucił tonem dobrego wujaszka.

- Wiem. Ale zazwyczaj są warte poniesionych kosztów. Parę miesięcy temu został zamordowany pewien bezdomny. Rosjanin. On był krzyżowcem. Walczył, obsesyjnie dążył do celu i zapłacił za to najwyższą cenę.

- Sama pani widzi.

- Wczoraj dostałam list od córki tego człowieka. Rząd jego kraju zwrócił mu wszystkie odznaczenia i pośmiertnie uhonorował go specjalnym medalem za zasługi dla ojczyzny.

- Nie zmienia to jednak faktu, że nie ma go już wśród żywych.

- To prawda - zgodziła się Debora. - Za to córka zachowa go we wdzięcznej pamięci i będzie kochać do końca swoich dni. To coś, czego nie da się kupić.

Gdy w końcu pożegnała się z Websterem, odezwała się jej komórka. Dzwonił Cemiga. Powiedział, że bardzo chciał być na przyjęciu - by podtrzymać ją na duchu - ale zatrzymała go praca. Cieszył się, że Debora doszła do siebie, a dla muzeum zaczyna się pomyślny okres, i zapytał, czy nie zechciałaby któregoś dnia wybrać się z nim na drinka, żeby „wymienić się wieściami”.

Debora zerknęła na gości wciąż jeszcze kręcących się po foyer w cieniu potężnego galionu (który notabene okazał się autentycznym szesnastowiecznym zabytkiem). Kobieta-smok łaskawie obdarzała uśmiechem wszystkich zgromadzonych. Debora przywiązała się do tej rzeźby. Nadal uważała ją za obrzydlistwo, ale zawsze patrzyła na nią jak na ostatni, przewrotny żart Richarda i z tego powodu szczerze polubiła owo monstrum.

- Dzięki za zaproszenie - odpowiedziała.
- I co w związku z tym?
- Mam numer pana telefonu.
- To doskonale - odparł niepewnym głosem.

Debora zakończyła rozmowę i zaczęła szukać wzrokiem Tonyi. Pomimo obiecujących oznak zmian, pracownicy firmy cateringowej zostawili

niezły bałagan - na jednym ze stołów piętrzyły się plastikowe talerzyki i porzucone serwetki. Nieważne. Teraz najważniejsze, by grzecznie acz stanowczo pozbyła się wreszcie tych wszystkich ludzi, pojechała do domu i znalazła się w łóżku o jakiejś sensownej godzinie. Jutro sobota, a więc szabas, a Debora zdecydowała - jak oznajmiła wczoraj przez telefon nieposiadającej się ze zdumienia matce - że wybierze się na spotkanie jednej z *chavu-rah**, którą znalazła, surfując po Internecie. To będzie dla niej otwarcie nowego rozdziału, o wiele bardziej istotne niż pogodzenie się ze szminką i perfumami, które znalazły trwałe miejsce na podręcznej półce w łazience. Postanowiła, że pożegna się z Richardem i z Marcusem, a może nawet z własnym ojcem i bezimiennymi krewnymi jej babki, bestialsko pomordowanymi w latach wojny, odmówieniem modlitwy „El moleh rachamim”.

„Boże Miłosierny, pozwól duszom naszych umiłowanych, którzy odeszli do domu wiekuistego, przebywać w bezpiecznej przystani Twojej obecności. Daj im niezmałony pokój wśród świętych i czystych - tych, co świecą jasnością firmamentu niebieskiego.

Boże miłosierdzia, chroń ich po wsze czasy pod skrzydłami swojej boskiej obecności, i spraw, by ich dusze żyły życiem wiecznym, a pamięć o nich inspirowała mnie zawsze do czynów szlachetnych i pobożnych. Amen”.

Czy wierzyła w te słowa? Nie bardzo. Ale może z czasem w nie uwierzy, gdy wypowie je w obecności innych - tych, którzy zmagali się z problemami tego samego świata, tych samych bolesnych prawd i paradoksów. Niewykluczone, że rzeczywiście dany jej będzie nowy początek. W każdym razie wciąż żyła w niej taka nadzieja - warta o wiele więcej, niż kiedyś jej się zdawało.

* Niewielkie religijno-towarzyskie grupy żydowskie, których członkowie zbierają się parę razy w miesiącu w celu wspólnej modlitwy, kultywowania tradycji żydowskich, a także rozwijania własnych, najzupełniej świeckich zainteresowań.